

ZDANIE

„Trzech na jednego”
z JANUSZEM TAZBIREM

W numerze m.in.: Stanisław BURKOT, Stanisław GĘBALA, Andrzej KURZ,
Aleksander KWAŚNIEWSKI, Zdzisław SADOWSKI, Adam SCHAFF,
Józef SMAGA, Marian STĘPIEŃ, Andrzej WALICKI, Marek ZAGAJEWSKI

1-2 (152-153) 2012



WIT JAWORSKI

Zapiski z Dalekiego Wschodu

Trzecia noga

Mówią że torował miejsce trzodzie
I nigdy nie stanął na przodzie
Zawsze go można było spotkać w środku
Przebranego za cień w publicznym wychodku
Kiedy przejrzał jaka kampania będzie w modzie
Stawał się rozkładem jazdy w narodzie
I tak to z woli nieba i trzoda
Człowiekowi trzecią nogę doda

Prawo

Choć pozbawiono go obu rąk
Dano mu prawo do istnienia
Zmienili go w ciosany drąg
By szydzić z pręgi jego cienia

Krytyk

Do ogrodu wszedł przez Bramę Stu Kwiatów
Wszedł ścieżką zdrowia pod baldachimem batów

Nowoczesny Pan Wu

Uczony Wu Ping dbał by każdy oksymoron
Czytany na głos wydawał kojący ton
W czasach wszechobecnej dialektyki
Dostał zaszczytu posiadania lektyki
Reedukowany przeniósł w niej ziemi kilka ton

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

1–2 (152–153) 2012

OD REDAKTORA

30 lat temu, w kwietniu 1982 roku ukazał się pierwszy numer miesięcznika „ZDANIE”. Powinien pojawić się w styczniu, ale – jak wiele innych tytułów – musiał poczekać do wiosny, która miała być „nasza”, a okazała się niczyja. I musiało upłynąć jeszcze prawie 10 lat, zanim podejmowane w różnych miejscach próby mediacji i szukania kompromisu doprowadziły do Okrągłego Stołu.

„ZDANIE”, zanim uzyskało formalny status czasopiśma, ukazywało się w latach 1978-1981 jako samodzielna publikacja „Kuźnicy” (wydrukowano, dzięki życzliwości Wydawnictwa Literackiego, 15 tomów) i od samego początku wspierało tzw. reformatorski nurt w partii. W stanie wojennym, wskutek osławionego „cięcia po skrzydłach”, podcięto je nie tylko reformatorom, lecz także „ZDANIU”, które – po włączeniu w struktury RSW – przestało być

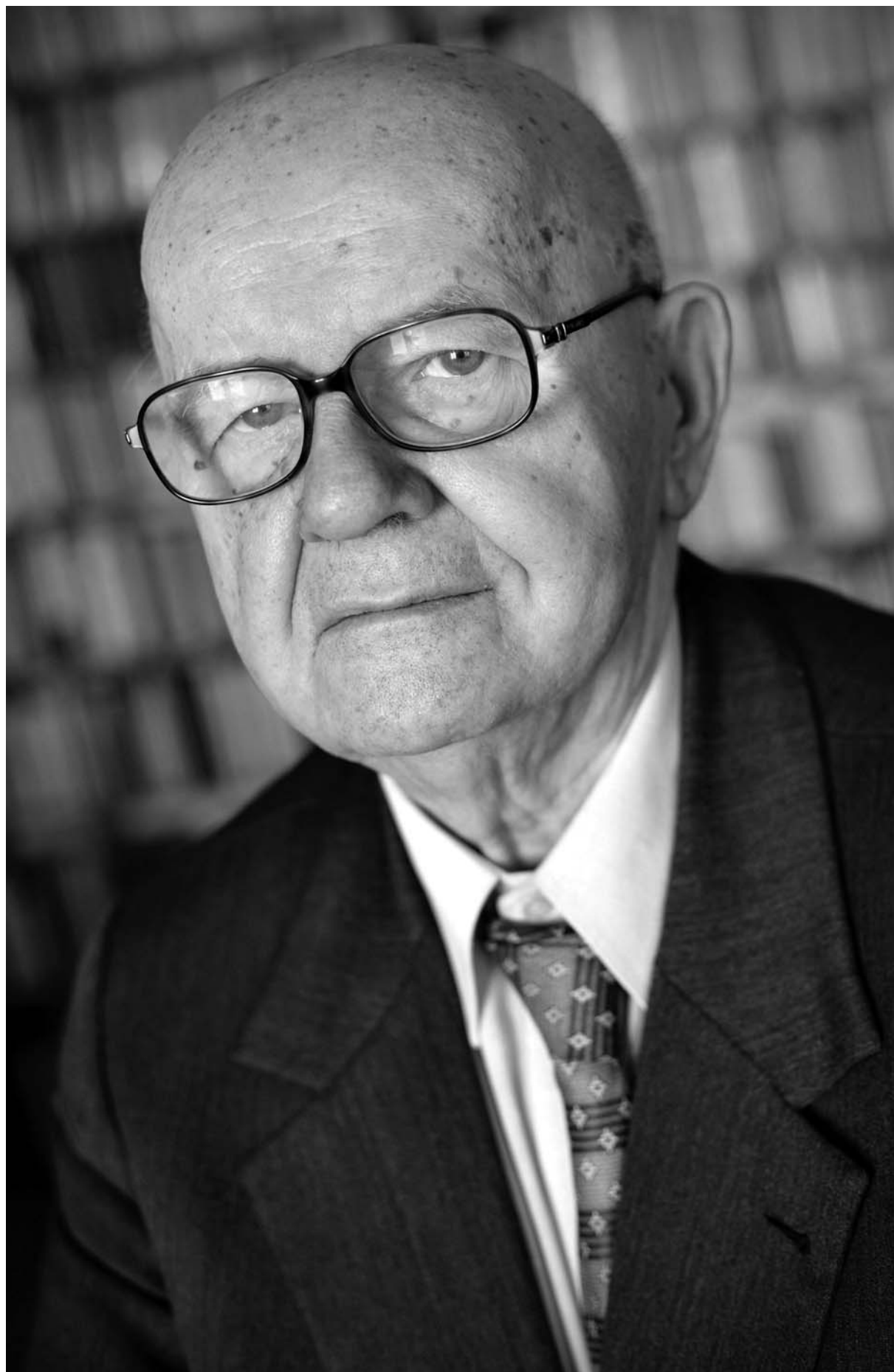
pismem „Kuźnicy”, a ona po „samorozwiązaniu”, musiała czekać do końca lat 80. na uzyskanie pełnej podmiotowości. Dla „ZDANIA” nie były to jednak lata stracone. Mimo odwołania pierwszego redaktora naczelnego Zbigniewa Reguckiego, mimo kilkuletniej zwłoki w powołaniu jego następcy, mimo podtrzymywania niepewności co do dalszych losów pisma i redakcji, mimo surowych, niekiedy miażdżących ocen odpowiedniego Wydziału KC, „ZDANIE” robiło swoje. Był to jeden z nielicznych, oficjalnie ukazujących się w latach 80. tytułów, który uparcie i konsekwentnie realizował linię porozumienia, dialogu i otwartości.

I tej linii „ZDANIE” pozostało wierne do dziś, choć nie zrezygnowało z własnej, lewicowej tożsamości.

EDWARD CHUDZIŃSKI

Janusz Tazbir HISTORIA TO SZTUKA... „Trzech na jednego”	3
Aleksander Kwaśniewski PATRZEC W PRZYSZŁOŚĆ	17
Edward Karolczuk GLOBALIZACJA A PARTYKULARYZM I SEPARATYZM	21
Zdzisław Sadowski JAKIEGO ŁADU SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO POTRZEBUJE POLSKA?	24
Henryk Domański, Zbigniew Sawiński ZNAC SWOJE MIEJSCE W HIERARCHII	26
Marek Zagajewski DWA PAŃSTWA – JEDEN KRAJ	28
Adam Schaff – Andrzej Waliński KORRESPONDENCJA (1982-1985)	38
Andrzej Kurz Z PRZYPADKÓW TELEWIZYJNEGO NAIWNIAKA	55
Józef Smaga POLSKA – ROSJA. SPRAWY TRUDNE	62
Katarzyna Brataniec NIEPEWNE LOSY REWOLUCJI (EGIPT, MAROKO, TUNEZJA, LIBIA)	71
Roman Chymkowski POŻĄDANIE WSCHODU. MIĘDZY SZTUKĄ A PORNOGRAFIĄ	77
REALITY SHOPKA SZOŁ 2012	82
Tomasz Bohajedyn KARTKI Z DZIENNIKA KONTRAKTOWCA	85
Stanisław Burkot „NIE BYĆ BOKSEREM, BYĆ POETĄ”	89

94	Stanisław Gębala PANIE TADEUSZU, JAK ŻYĆ?
98	Marian Stepien CZY POWRÓT WŁADYSŁAWA BRONIEWSKIEGO?
102	Władysław Loranc BOY, GOMBROWICZ, MIŁOŚĆ – NASI WSPÓŁCZEŚNI
106	Bolesław Faron PRYWATNY ZUKROWSKI
112	Henryk Czubała FAJERWERKI ZENADY (uwagi o czytaniu Mastowskiej)
115	Filip Ratkowski WIELKOŚĆ I UPADEK „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”
119	Jerzy Ślabicki W POSZUKIWANIU POLITYCZNEGO REALIZMU
121	Grzegorz Babiński POLSKA BIEDA
122	Andrzej Romanowski PRL JAKO PRZYSTAŃ
124	Przemysław Trzeciak O SCHEMACIE
126	Andrzej Banas LETNIA PODRÓŻ DO ZIMOWEJ STOLICY
128	Krzysztof Komornicki „SNIADANIE WIOSLARZY”...
130	Tomasz Goban-Klas TECZKA JOBSA
131	Sceptyk KRÓTKI KURS HISTORII „ZDANIA”
132	JUBILEUSZ WIESŁAWA MYŚLIWSKIEGO



trzech na jednego

JEDEN:

JANUSZ TAZBIR

TRZECH:

EDWARD CHUDZIŃSKI

PAWEŁ DYBICZ

FILIP RATKOWSKI

HISTORIA TO SZTUKA, W KTÓREJ DO KATEDR JEST KOLEJKA, A NA ŁAWACH UCZNIOWSKICH PUSTKI

EDWARD CHUDZIŃSKI: Profesor Pigoń napisał kiedyś książkę *Z Komborni w świat*, więc ja sobie zapisałem roboczo hasło „Z Kałuszyna w świat”. Proszę nam coś opowiedzieć o tym Kałuszynie, o swojej małej ojczyźnie...

JANUSZ TAZBIR: Kałuszyn? No tak.... Dopiero po osiemdziesięciu latach od chwili, gdy opuściłem to miasteczko, natknąłem się na prześmieszoną cytata z Norwida. Znacie Panowie na pewno *Tajemnice Paryża* Eugeniusza Sue. W swoim czasie, a i długo potem ta książka, jeden z pierwszych kryminałów, stała się przebojem wydawniczym i Norwid okrutnie się z jej sukcesu naśmiewał. Skoro bowiem wydano *Tajemnice Londynu*, *Tajemnice Berlina*, wreszcie pomniejszych miast zapytali, dlaczego by nie napisać „Tajemnic Kałuszyna”? Dlaczego przyszedł mu do głowy akurat Kałuszyn, pojęcia nie mam, ale w każdym razie była to dość nieoczekiwana pointa dla serii rzeczy niewartych wzmianki...

FILIP RATKOWSKI: A mógł nie drzwić – tylko piśać! Optywałby w pieniądze.

TAZBIR: Zapewne, ale Kałuszyn pozostał nadal niewielkim miastem, podobnie jak inne tego typu. Do dziś nie podźwignął się ze zniszczeń wojennych – ma mniej ludności niż przed wojną. Nic dziwnego,

w roku 1938 mieszkało w nim ponad 80 proc. Żydów. Stosunki też panowały specyficzne, bo gdy na przykład młody policjant się żenił, to brał żonę pod rękę, zachodził do wszystkich kupców żydowskich w okolicy i przedstawiał ją. To wystarczyło, by miała prawo brać w tych sklepach wszelkie towary do swego użytku bezpłatnie. Podkreślam jednak – do swego użytku!

No cóż, policjant był wtedy panem i władcą. Zawsze mógł takiemu kupcykowi wymierzyć mandat a to za handel w niedzielę, a to za podejrzaną towar, za śmieci przed drzwiami... Żydzi zwracali zresztą uwagę, że w Kałuszynie mógłby, a nawet powinien być burmistrzem Żyd. Był zresztą osobny referent do spraw żydowskich w magistracie. Orientowałem się w tych sprawach już jako dziecko, bo mój ojciec był sekretarzem urzędu miasta. Ale Żyda burmistrzem zrobić nie mogli, bo wiadomo było przecież, że starosta nigdy by go nie zatwierdził.

Mieszkańcy Kałuszyna zajmowali się głównie rzemiosłem, przy czym ciekawe, że pewne gałęzie były niejako obsadzone etnicznie. Wielu było szewców Żydów i krawców Żydów, natomiast na przykład sitarze, a wśród nich rodzina mego dziadka, to byli wyłącznie Polacy. Ma Kałuszyn zresztą swoje tradycje i swoje ambicje, wydaje teraz na przykład „Rocznik Kałuszyński”.

CHUDZIŃSKI: Jest też zapewne jakieś Towarzystwo Miłośników Kałuszyna?

TAZBIR: Jest, oczywiście, Towarzystwo Przyjaciół Kałuszyna. Jest też inne wydawnictwo w Mińsku Mazowieckim „Rocznik Nowomiński”. Sam czasami w tym pierwszym publikuję. Znalazłem na przykład zupełnie przypadkowo wydany po wojnie w Australii dziennik człowieka, który przed wojną pracował przez kilka lat w Kałuszynie. Opisuje tam m.in. szczegółowo, jak dopuszczano się oszustw wyborczych! W Polsce ostatnie uczciwe wybory, do pamiętnych wyborów czerwcowych z 1989 r., odbyły się w 1928 roku. Tak dowodzi przynajmniej Andrzej Garlicki. A potem było zabawnie. Fałszowano wybory do sejmu, do senatu, ale nie fałszowano wyborów samorządowych. Dlatego w Łodzi, na przykład, prezydentem miasta był socjalista...

Moje związki z Kałuszynem utrzymywały się, choć rodzina wyjechała z miasteczka w 1934 roku. Dziadkowie zostali na miejscu i z reguły spędzałem u nich wakacje. Miałem tam też kolegów... Ojciec charakter miał dość niezależny i większość swoich zwierzchników, po części zresztą słusznie, uważał za głębszych od siebie. Dochodziło do konfliktów i dlatego od 1935 roku odwiedziliśmy kolejno Równe, Brześć nad Bugiem, Białystok i Łomżę. To było dla mnie utrapienie! W roku szkolnym 1937/38 byłem kolejno w trzech szkołach, a każdy nauczyciel miał swoje wymagania i w każdej z tych szkół musiałem od początku zaprowadzać zeszyty!

CHUDZIŃSKI: Dla Polaka łatwiej było znaleźć pracę na kresach, a wielu skonfliktowanych z władzą zsyłano tam karnie.

TAZBIR: Oczywiście. Specyficzne stosunki panowały na przykład w Równem. Na Wołyniu mieszkało osiemdziesiąt kilka procent Ukraińców, sporo Żydów i garstka Polaków. Co tu ukrywać, to był kraj półkolonialny! W policji, w urzędach, w sądach nie było wśród oficerów i podoficerów WP ani jednego Ukraińca. Wojewoda Józewski prowadził wprawdzie wobec Ukraińców politykę ugodową, ale po śmierci Piłsudskiego musiał odejść. A przecież też nie był przesadnie liberalny i nie pozwolił na przykład założyć Związku Młodzieży Ukraińskiej i musiał powstać Związek Młodzieży Wołyńskiej. Kiedy Józewski odszedł, władze zaczęły realizować ostrą politykę polonizacyjną...

Na kresach zmianę nastrojów widać było wyraźnie. Później się dowiedziałem, że w styczniu 1939 r. odbyła się nawet specjalna, całkowicie utajniona konferencja policji i Korpusu Ochrony Pogranicza z ministerstwem spraw wewnętrznych, na której omawiano plany wysiedlenia ludności ukraińskiej z pasa przygranicznego. Bo sprzyjała podobno infiltracji...

RATKOWSKI: Opowiadała mi matka, że młodzi Ukraińcy przechodzili przez granicę na stronę „radiańską”, a tam były kołchozy, z których wywieziono chłopów i zostali same baby! Mieli tam święte życie przez zimę, a na wiosnę wracali do polskich majątków, żeby zarobić przy pracach polowych!

TAZBIR: To było możliwe jeszcze w początkach lat dwudziestych! Potem już nie, bo w ZSRR kurs też ogromnie się zaostriżył i granica została uszczelniona. Moja babcia miała pięć córek, jedna z nich wyszła za

mąż i została w Moskwie. W 1936 roku jej męża rozstrzelano, mąż drugiej umarł w łagrze w 1942 r., mąż trzeciej, czyli mój ojciec też wylądował w łagrze, czwartym siedział w więzieniu już „polskoludowym”. Jak miałem w jakiejś ankiecie wskazać, kto z członków rodziny ucierpiał od okupanta hitlerowskiego, to nie miałem co tam wpisać...

CHUDZIŃSKI: A o drugiego okupanta nie pytało?

TAZBIR: Takiej rubryki nie było.

PAWEŁ DYBICZ: O tym bezpieka wiedziała i nie musiała pytać!

TAZBIR: W czasach PRL w jakimś piśmku czytałem o swoim kuzynie, że „ojca zabił mu okupant”. I było to prawdą. Poniekąd...

CHUDZIŃSKI: Czy te uwagi, którymi się Pan z nami teraz dzieli, to już refleksja historyka, czy obraz świadomości nastolatka? Kiedy wojna wybuchła miał Pan dwanaście lat.

TAZBIR: Wiele z tych rzeczy doskonale pamiętam. Zawsze zresztą zachwycała mnie atmosfera małego miasteczka. Na przykład w czasie jednych z moich wakacji usłyszałem, jak ksiądz z ambony ostro strofuje wiernych, że nie poszli na wiejska zabawę... Byłem przez chwilę mocno zdumiony, póki nie okazało się, że zabawa była zorganizowana na naprawę muru cmentarnego! Elita była zresztą w Kałuszynie identyczna jak w każdym miasteczku, do którego trafiał ojciec – ksiądz, burmistrz, aptekarz, nauczyciel i mówiło się o wielu lokalnych sprawach...

DYBICZ: Jaka atmosfera panowała w końcówce lat 30.? Czy mówiło się o wojnie? Czy czuło się, że wojna wisi w powietrzu?

TAZBIR: Takie wyraźne poczucie zagrożenia pojawiło się po wcieleniu Zaolzia. Rzeczywiście mieliśmy poczucie narastającej grozy, szczególnie że mieszkaliśmy już wtedy w Łomży i wokół miasta zaczęły się intensywne roboty fortyfikacyjne. Istniało więc poczucie zagrożenia, ale nikt nie przypuszczał, że to będzie zagrożenie z dwóch stron. Wszyscy uważali, że sobie z Niemcami poradzimy. Po klęsce wrześniowej mój ojciec uchodził za pesymistę, bo twierdził, że dopiero na jesieni 1940 roku wrócą wojska polskie. Większość uważała, że wolność wróci na wiosnę 1940!

RATKOWSKI: „Im słońeczko wyżej, tym Sikorski bliżej!”

TAZBIR: Otóż właśnie. W dodatku powszechnie sądzono, że „Żydzi wszystko wiedzą”, a Żydzi w Łomży, zajętej przez Armię Czerwoną, kupowali złotówki za ruble, co miało dowodzić, że przedwojenne złotówki znów będą ważne. Właśnie w Łomży zastał nas wybuch wojny i wkrótce wydarzyło się nieszczęście...

Opublikowałem kiedyś w „Polityce” artykuł, któremu Marian Turski dał tytuł *Łomża – Zachodnia Białoruś*, gdzie wspominam ten dramat. Oto już w kilka miesięcy po wejściu bolszewików przyszli do mojego ojca nauczyciele po kalendarze na rok 1940, a ojciec rozdał im kalendarzyki przysłane już w lecie. I okazało się, że w kalendarzach była nie tylko Matka Boska, ale i Rydz Śmigły z Mościckim, więc ojciec za propagandę kontrolucyjną dostał osiem czy sześć lat łagru. Wsadzono go w 1940 roku i wkrótce wywieziono na Sybir. Dopiero w 1942 r. po porozumieniu Sikorski-Majski został

zwolniony i poszedł do wojska Andersa. Do kraju wrócił na stałe dopiero w 1971 roku.

DYBICZ: Długo się namyślał!

TAZBIR: Długo! Ciągłe mnie pytał w listach, czy mogę dać gwarancję, że się nie powtórzą deportacje! Pełnej gwarancji dać nie mogłem...

RATKOWSKI: Takie obawy pokutowały przecież jeszcze w stanie wojennym!

TAZBIR: No właśnie, ale tłumaczyłem mu, że nikt się go czepiać nie będzie, choć wiadomo było na przykład, że wszystkich, którzy od Andersa w dobrej wierze wrócili do swoich domów na terenach za Bugiem ogarniętych przez ZSRR, po paru latach wsadzono do łagrów, a rodziny zesłano na Sybir. U nas natomiast, jeśli ktoś nie był oficerem i nie kontaktował się z podziemiem, to nawet w czasach stalinowskich specjalnie się go nie czepiano.

CHUDZIŃSKI: Jakie były losy Polaków pod okupacją „wschodniego sąsiada”?

TAZBIR: W Łomży na początku przeorganizowano szkołę powszechną i średnią na „szkołę radziecką z polskim językiem nauczania”. Po aresztowaniu ojca przenieśliśmy się do Choroszczki pod Białymstokiem, żeby zejść władzy z oczu. Tam już nauczycielami byli w większości Rosjanie, bo Polacy albo byli w więzieniu, albo uciekli, czy wyjechali do Generalnej Guberni. Nauczyciele nie brali zupełnie pod uwagę faktu, że uczniowie nie znają rosyjskiego i musieliśmy wkuwać bez zrozumienia terminy i pojęcia. Do dziś pamiętam po rosyjsku prawo Archimedesesa: *Na pogrużenoje w židkosti tielo...* i tak dalej. Potem, na jesieni 1940 roku nieco zmienił się kurs. Były wówczas dwie szkoły – polska i rosyjska, ale w obu obowiązywał ten sam zakres nauki rosyjskiego. Do szkoły rosyjskiej chodziły dzieci urzędników i wojskowych, którzy przybyli z „Sowietów” – Białorusini, a swoje dzieci posłali tam też wszyscy Żydzi.

RATKOWSKI: No cóż, przypomnieli sobie czasy rozbiorów!

TAZBIR: Potem przyszedł rok 1941. I to nieprawda, że Rosjanie nie spodziewali się ataku. Spodziewali się! Chodziłem w owym czasie z upodobaniem do miejscowej biblioteki, a tam był ganeczek, na którym wprowadzono obowiązkowe dyżury mieszkańców, żeby wypatrywali wrogie samoloty. Już w maju 1941 roku polecono sołtysom sporządzenie listy osób pochodzenia niemieckiego, a w znajdującym się nieopodal kompleksie szpitala psychiatrycznego osadzono wojsko i zorganizowano *wojennyj garadok*... Niemcy mówili potem z zalem, że nie wiedzieli o tym, bo by go zbombardowali.

Jakoś z matką przetrwaliśmy zagrożenie wywózkami do Rosji, a i później, w 1942 r. udało nam się uniknąć niebezpieczeństwa, gdy wyznaczono nas oboje na roboty do Niemiec. Udało nam się z tego wykupić i przejechałem do kuzyna, do majątku Józefin koło Łap. Tam, mając lat 15 zostałem tak zwanym „pisarzem majątkowym”, choć moja znajomość niemieckiego była mocno ograniczona. To się nazywało *Gutschreiber*. Z sąsiednimi majątkami prowadziliśmy korespondencję, oczywiście po polsku. Listy nosili fernali. Jakoś z moim odpowiednikiem w sąsiednim majątku nie mogliśmy dojść do porozumienia. Trzeba było się spotkać. I proszę sobie wyobrazić jego zdumienie, kiedy

prawdziwy *Gutschreiber*, liczący lat z górą pięćdziesiąt, nieczynny sędzia, spotyka – piętnastolatka! Przyglądał mi się z niedowierzaniem, nie wierzył, że te listy ja pisałem, ale potem zaprzyjaźniliśmy się bardzo. Po wojnie był sędzią w Bielsku-Białej.

I tu znów historia absurda, ale typowa dla tamtych czasów. Otóż w jakimś momencie, jeszcze w 1940 roku bolszewicy go aresztowali, a rodzinę wywieźli. Ostatecznie, przed wkroczeniem Niemców go wypuścili, ale rodzina oczywiście została chyba gdzieś w Kazachstanie, a potem przez Iran wyjechała do Afryki Południowej. I już nie wróciła do kraju...

Facet w każdym razie był całkiem do rzeczy i sporo spraw prawnych mi wyjaśniał, ale przyznam, że ich nie rozumiałem do końca. Tam nauczyłem się też nieufności do tekstów źródłowych, szczególnie dotyczących historii gospodarczej, bo tak kręciliśmy w raportach dla Niemców, że przechodzi ludzkie pojęcie! Wspominam o tym w mojej książce *Długi romans z muzą Klio*. Pisaliśmy na przykład, że cielaka ukradli bandyci, a szedł pod nóż. Mam zresztą kolegów historyków, którzy też byli takimi *Gutschreiberami*, ale na Wileńszczyźnie. Oni pisali, że „wilki zjadły”. Te elaboraty kontrolowali w Królewcu starsi panowie, którzy nie poszli na front. Irytowali się, ale tylko przysyłałi srogie monity. Rozumieli, że wilki w tym „dzikim kraju” buszują, a skandalem jest fakt, że w majątku bydełka nie dopilnowano!

CHUDZIŃSKI: I na tej posiadzie dworskiego pisarza dotrwał Pan do końca wojny?

TAZBIR: Dotrwałem i do dziś, jak widzę napis Reiffeisen Bank, to mam niedobre skojarzenia, bo odbiorcem zboża zajmował się właśnie Reiffeisen. Majątek był zresztą pod niemieckim zarządem i w Kamiennym Dworze (notabene majątku wdowy po J. Połsudskim) rezydował szef całego klucza, Niemiec, straszny łobuz. Z czasem jednak złagodniał.

DYBICZ: Po Stalingradzie?

TAZBIR: Oczywiście, rura mu zmiękała. Byli też żandarmi, ale ci zachowywali się – jak to żandarmi. Bali się trochę miejscowej ludności i byli dla niej znośni. Pamiętam, że pod koniec okupacji zaczęli korzystać z maszyny do pisania w biurze buchaltera, którym był Polak. Pisali raporty o sytuacji w okolicy, a kalki wyrzucali do kosza i myśmy z nich dowiadywali się, że „ludność zachowuje się lojalnie, spokojnie, natomiast tylko przeciągające bandy Żydów i bolszewików dają się we znaki”. Miała to być więc lewicowa partyzantka, tymczasem na Białostocczyźnie PPR nie istniała. We Lwowie organizację PPR rozwiązano w połowie 1943 roku, a tu w ogóle jej nie zakładano, bo przewidywano, że te tereny zostaną włączone do ZSRR.

Niemcy, którzy nie mieli kadry, w charakterze administratorów tzw. *treuhänderów* osadzali polskich ziemian, często dawnych właścicieli, którzy powtarzali fernalom, że ci tylko tymczasowo pracują u Niemców, bo po wojnie wszystko wróci w stare koryto. I muszę powiedzieć, że fernali nienawidzili ziemian, a warunki w czworakach były okropne. Kiedyś w „Nauce”, kwartalniku Polskiej Akademii Nauk upomniałem się o to, żeby ktoś zechciał opisać „życie codzienne w czworakach”, skoro tak wiele się pisze o życiu w dworach. W wielu pamiętnikach czytam, że między dworem a robotnikami rolnymi panowały dobre stosunki. Może gdzieś były dobre, ale na pewno nie u nas!

DYBICZ: Jako świadek historii musiał Pan jakoś reagować na wywózki do łagrów, a potem na eks-terminację Żydów. Co mówiono o tym, jak patrzyli na to Polacy?

TAZBIR: Tuż po wrześniu '39 zastanawialiśmy się, owszem, czy nie grozi Polakom na kresach przesiedlenie z rejonów przygranicznych, ale nikt nie spodziewał się tak ogromnej skali represji.

DYBICZ: Pierwsze wywózki były w lutym 1940 r.!

TAZBIR: To był koszmar. Wywożono rodziny urzędników, policjantów, wojskowych, ziemian... Ludzie, a szczególnie dzieci, zamierzali w wagonach, a i na miejscu gdzie trafiali, sytuacja była dramatyczna. Spora wywózka była w czerwcu i wtedy głównie wywożono osoby, które pochodziły z Generalnej Guberni i nie zarejestrowały się na powrót na tamte tereny. Wielką deportację z czerwca 1941 r. przerwała wojna z Niemcami. I jest tu rzecz, którą nie bardzo rozumiem. Z miejsc deportacji wywiezieni wysyłali listy do krewnych, opisujące tę całą przerażającą sytuację, drogę i a potem budowę lepiank w gołym stepie... I tych listów nikt nie cenzurował?!

RATKOWSKI: Może uważali to za zjawisko zupełnie normalne? Albo miało to być dodatkowe narzędzie terroru?

TAZBIR Nie! Oni po prostu uważali cały kraj za jedno wielkie więzienie, z którego i tak nic nie wypłynie na zewnątrz. Jakie bowiem znaczenie ma, że jeden więzień do drugiego napisze, jak mu się żyje w celi? Te listy były wstrząsające i spory ich zespół trafił po wojnie do Instytutu Hoovera. Kiedy Instytut zwiedzała po latach delegacja uczonych ZSRR, to demonstracyjnie ominęła odpowiednią gablotę... Niemcy, gdy weszli do Łomży (znam to jednak z drugiej ręki), natychmiast rozplakatowali listy osób przewidzianych przez Rosjan do wywózki. Widać szukali wtedy jakiegoś poparcia ludności.

Nie mniejszym wstrząsem była dla mnie eksterminacja Żydów. Nie byłem jej naocznym świadkiem, bo po wykupieniu z obozu przejściowego na roboty do Niemiec ukrywałem się przez jakiś czas w Białymstoku i jakoś tych bestialstw nie widziałem. Był to jednak dla wszystkich wstrząs i niezależnie od uczuć, jakie różne osoby żywiły do Żydów, panowało przekonanie, że to pierwszy etap! Że w następnym etapie Niemcy zabiorą się za nas.

DYBICZ: A nie było głosów satysfakcji? Dobrze im tak, bo zbratali się z Sowietami?

TAZBIR: Owszem, były. Pamiętam wystąpienie księdza, który ni z tego ni z owego wygłosił na Wielkanoc 1943 r. kazanie, że wprawdzie dzieją się rzeczy straszne, ale trzeba pamiętać, że Żydzi to przecież naród bogobójców, który ponosi karę... Wspominając o tym okazuję się niewdzięcznikiem, bo ksiądz ów miał bardzo bogatą bibliotekę antysemityczną, którą chętnie przeglądałem. Tam na przykład przeczytałem po raz pierwszy *Protokoły Mędrców Syjonu*.

CHUDZIŃSKI: I stąd pańskie zainteresowanie tą problematyką?

TAZBIR: Być może. Ów ksiądz miał także bogaty zespół literatury pięknej autorów endeckich, jak choćby Weyssenhoffa. Był w Łomży bardzo silny ośrodek wydawniczy drukujący książki antysemityczne, na przykład powieści Klemensa Junoszy... A tak na-

wiasem mówiąc, przed paroma miesiącami ukazała się pośmiertnie wydana powieść Dobraczyńskiego o Dmowskim. Nad wyraz hagiograficzna. Kończy się tym, że w chwili wybuchu wojny Dmowski ściągnięty jest do Warszawy, by pokierować walką przeciw Niemcom. I w pewnym momencie człowiek, który mu towarzyszy, wyciąga pistolet i strzela, bo „z polecenia masońsko-żydowskiego” ma zabić przywódcę, który mógł Polskę uratować! Tymczasem, jak wiadomo, Dmowski zmarł w styczniu 1939 r. właśnie pod Łomżą, w Drozdowie.

CHUDZIŃSKI: Ciągłe mnie jednak intriguje, jak na te wszystkie wstrząsające wydarzenia reagował dorastający chłopiec, chociażby penetrując bibliotekę pełną antysemitycznych druków. Jak dojrzewa młody człowiek w tak burzliwym okresie i ekstremalnych warunkach?

TAZBIR: Czytywałem te rzeczy jak powieści awanturnicze i żebym wierzył, to nie powiem. Już wówczas zresztą było we mnie coś z historyka. Natrafiłem tam na przykład na parę pozycji niezwykłych. Oto w XVI-XVII wieku pilnie obserwowano w Rosji, co się wyjawia w Polsce, przepisywano to w kilkunastu czy dwudziestu egzemplarzach i trafiało to do rąk dostojników dworu. W ZSRR ten sposób postępowania został niejako skopiowany i pewne pozycje literatury światowej przekładano i wydawano w bardzo ograniczonym nakładzie. Po raz pierwszy przeczytałem więc właśnie po rosyjsku książkę Anatola France'a *Bogowie łakną krwi*, o rewolucji francuskiej, która w tamtym czasie w ZSRR nie mogła się ukazać oficjalnie. Widocznie jakiś wysoki oficer sowieckiego pol-wychu zostawił ją zwiewając.

RATKOWSKI: A gospodarze domu, cóż mieli z tym zrobić? Zanieśli do księdza!

TAZBIR: Pewnie tak właśnie było. A wracając do nastrojów towarzyszących tym dramatycznym wydarzeniom muszę powiedzieć, że ziemianie panicznie bali się Rosjan i swoich fernali. Stoimy kiedyś przy płocie z dziedziczką, która była oficjalnie administratorem wyznaczonym jeszcze przez Niemców, drogą idą cofające się wojska niemieckie, a ona mówi do mnie – udawajmy że się cieszymy, bo fernali patrzą!

CHUDZIŃSKI: Chciałbym jeszcze wrócić na moment do pańskiej edukacji...

TAZBIR: Kiedy Niemcy weszli, byłem w Choroszczy i tam przez krótki jeszcze czas istniała podstawowa szkoła polska, ale szybko ją Niemcy zamknęli. Trochę uczyłem się prywatnie, a w czasie kiedy pracowałem w majątku wiele czytałem. Jednak po wojnie, ku swojej hańbie, trafiłem do trzeciej gimnazjalnej, choć z racji wieku powinienem iść do pierwszej licealnej. To było strasznie nudne, ja byłem dorosłym człowiekiem, a nauczycielka nie była najmądrzejsza i zniecierpliwiała mnie szybko. Nudziłem się strasznie i zadawałem jej trudne pytania. Moja małżonka, która jest doświadczonym pedagogiem, powiada niekiedy, że nauczyciel powinien się zachowywać w klasie jak pogromca zwierząt w klatce z tygrysami, a przede wszystkim nie okazywać strachu.

Więc nauczycielka powiada: Widzę, że pan Tazbir (na tzw. semestrach, gdzie w ciągu jednego roku prze-rabiano dwie klasy, mówiło się do uczniów per pan, pani) znów się ironicznie uśmiecha. Może pan Tazbir



Fot. Krzysztof Żuczowski

wyjaśni, co mu się znów nie podoba w moim komentarzu? I zaczynała się awantura.

W jakimś momencie pytam: A czy Puszkina pisywał powieści? Ona nie bardzo zorientowana w literaturze rosyjskiej powiada: A cóż pan tu znowu wymyślił? Może pan czytał te powieści? A ja na to: Owszem czytałem. A ona – Może w oryginale? Ja – W oryginale. I koniec tej rozmowy brzmiał: Proszę siadać! Do tego gimnazjum poszedłem już w Warszawie. Miałem tu stryja Stanisława Tazbira, na ulicy Hożej. Był znanym działaczem oświatowym, przed wojną dyrektorem Rady Szkolnej, a w czasie okupacji kierownikiem Działu Opieki nad Młodzieżą w Radzie Głównej Opiekuńczej.

CHUDZIŃSKI: Ta przewaga intelektualna brała się z intensywnego samokształcenia?

TAZBIR: Oczywiście. A w dodatku miałem taki zwyczaj, że gdy przeczytałem jakąś książkę, to pisałem z niej recenzję. Mam do dzisiaj te grube zeszyty. Była to lepsza wprawka niż zadania domowe czy klasówki. Do dziś pamiętam na przykład rosyjską książkę *Nowikow i jego wremia*, to był taki rosyjski oświeceniowiec z XVIII/XIX wieku, gdzie znalazłem wiele frapujących informacji. Czytałem to pokornie przez wiele miesięcy i koniec końców to mi się przydało. Także *Panią Bowsy* przeczytałem po rosyjsku, bo akurat takie wydanie było pod ręką.

RATKOWSKI: Pisanie recenzji, a przede wszystkim ich gromadzenie jest już chyba śladem kształtowania się temperamentu naukowca?

TAZBIR: Pewnie tak, bo robiłem sobie z tych lektur wypisy źródłowe, na przykład pod kątem historii

Kościola, która mnie zawsze interesowała. Byłem też zafascynowany Boyem. Jak wiadomo to on napisał *Mózg i pleć*, a ja wtedy postanowiłem napisać książkę *Mózg i nahajka – szkice o literaturze rosyjskiej*. Ponadto naszkicowałem sobie 10 tematów, którymi się zajmę, gdy będę prawdziwym historykiem i proszę sobie wyobrazić, że z tych tematów trzy czy cztery rzeczywiście zrealizowałem. O arianach, o protestantach, o Kostce Napierskim...

RATKOWSKI: A te nienapisane?

TAZBIR: Tych już nie pamiętam.

DYBICZ: Dobór tematów to efekt atmosfery w rodzinie czy raczej późniejszych lektur?

TAZBIR: Wszystko po trosze. Zresztą mój ojciec był wręcz maniakiem lektury i gdy nas ewakuowano w dniach wrześniowych do Pawłowa pod Bielskiem Podlaskim, to wziął dwa worki książek, które do dziś ozdabiają tamtejszą bibliotekę szkolną. Już nie zabieraliśmy ich dalej. Czytałem rzeczywiście bardzo dużo, ale wynikało to także z tego, że w Choroszczu, gdzie spędziłem dwa lata, nie miałem towarzystwa, bo nie mogłem się dogadać z miejscowymi. Oni głównie tłukli się między sobą, ale mnie nie ruszali, bo dobrze podpowiadałem i pisałem im zakończenia wypracowań.

CHUDZIŃSKI: A więc najpierw ciągnęło Pana raczej w stronę literatury niż historii?

TAZBIR: Być może, trudno to mi dziś ocenić. Tuż po wojnie wychodziły pisma „Płomienie” oraz „Młoda Rzeczpospolita”, gdzie zamieszczałem drobne recenzje, ale jeśli mam być szczery, to od historii literatury odstraszyła mnie jedna rzecz – język staro-cerkiewno-

-słowiański! Zdecydowałem się więc na historię i tu, uwaga, zawsze powtarzam studentom, żeby nie wierzyli bezkrytycznie źródłom. W średniej szkole mieliśmy nauczycielkę panią Martynowiczową, która była zdecydowanie zachowawczych poglądów i przez cały rok uczyła nas dziejów kształtowania się naszej granicy wschodniej. Jak się zmieniała, w jakich warunkach, jak nas jak ser okrawali. Po latach, w *Polskim Słowniku Biograficznym* wyczytałem, że była „bardzo uzdolnionym pedagogiem”. Bzdura! Była nudziarą nie z tej ziemi! Świadkiem Henryk Samsonowicz, który razem ze mną uczył się w liceum im. Słowackiego. Swoją drogą, było tam zabawnie, bo to było liceum żeńskie, do którego przyjęto kilkunastu chłopców i jak wynika z *Encyklopedii Warszawy*, z tego żeńskiego liceum wyszło też dwóch znaczących wychowanków – Samsonowicz i Tazbir.

CHUDZIŃSKI: Czy w tym czasie dokonał Pan, jak wielu pańskich kolegów, jakichś wyborów ideowych?

TAZBIR: Muszę powiedzieć, że była to dość dziwna bifurkacja. Czytywałem chętnie literaturę piękną – lewicową, podobał mi się Kruczkowski, czytywałem „Odrodzenie”, a potem „Nowiny Literackie”, ale z drugiej strony miałem świeżo w pamięci to, co się działo w latach 1939-41 i to co się działo później, po wygnaniu Niemców. To mnie zdecydowanie hamowało. Nie wstąpiłem do żadnej organizacji młodzieżowej, a w mojej szkole, jeszcze w Białymstoku, w 1945 roku, co jakiś czas znikali niektórzy z kolegów i okazywało się, że poszedł do partyzantki! Jeden z nich miał taką odważną matkę, że ta poszła go szukać „do lasu”. Mimo że „leśni” straszili ją na różne sposoby, mówili, że syna powinna zostawić, bo poszedł do podchorążówki, że za chwilę wybuchnie trzecia wojna światowa i zostanie oficerem, a to przecież dla chłopskiego syna ogromna kariera! Wyciągnęła go stamtąd dosłownie za uszy i pewnie uratowała mu życie!

RATKOWSKI: To była samobójcza polityka, a dziś ci chłopcy są uważani za bohaterów!

TAZBIR: Pytałem profesora Gieysztorą, który w czasie okupacji pracował w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, dlaczego nie mówiono wprost, że trzeciej wojny nie będzie? Nie umiał mi tego wytłumaczyć. Przeciwnie, pisano że wkrótce sytuacja się zmieni i na przykład, jak pamiętam, na Białostoczczyźnie większość ludzi była przekonana, że to drugi zabór sowiecki i że skoro pierwsi Sowieci uciekli przed Niemcami, to drugich przegonią Amerykanie i Anglicy! Pamiętam upiorne wrażenie, jakie sprawiło na mnie zachowanie znajomego, który usłyszał 9 maja 1945 r. pałąbę z karabinów i zareagował prawdziwym zachwytem. Zaczęło się! Wojna się zaczęła od nowa!

CHUDZIŃSKI: Jednak się nie zaczęła i mógł Pan rozpocząć w miarę spokojnie studia historyczne.

TAZBIR: Maturę złożyłem w 1947 roku, za to studia skończyłem, wtedy było to możliwe, w ciągu trzech lat. I miałem to szczęście, że trafiłem na solidnych, przedwojennych wykładowców. Takich jak Tomkiewicz, Herbst, Manteuffel, jak Woliński...

DYBICZ: Małowist...

TAZBIR: Małowist przed wojną uczył w szkole średniej, ale miał już niezłą naukową pozycję. Musiałbym też wspomnieć o Kieniewicz, ale Kieniewicz miał pew-

ną wadę. Dużo pisał i wartościowe rzeczy, ale nie lubił mieć uczniów...

DYBICZ: Kiedy ja studiowałem, ograniczał się już wyłącznie do pracy z doktorantami.

TAZBIR: Dzięki pozycji naukowej naszych mistrzów panowały u nas na Uniwersytecie Warszawskim przyzwyczajone stosunki. Tymczasem pamiętam taką anegdotkę o rektorze Uniwersytetu Wrocławskiego, nie pamiętam jego nazwiska, którego pytano, jakie ma stosunki ze Związkiem Młodzieży Polskiej, a on odpowiedział: Bardzo dobre, ani razu mnie do siebie nie wzywali!

U Manteuffla nie było oczywiście mowy, żeby jakiegoś ZMP mogło go do siebie wezwać. Opowiadał mi natomiast, jak przyszedł raz do niego jakiś niemądry instruktor z czegoś tam i zaczął podnosić głos. – Wywaliłem go natychmiast – powiada Manteuffel – ale autentycznie przestraszyłem się, bo jestem chory na serce i bałem się, żeby mi moja irytacja nie zaszkodziła! Ale dlaczego taki był skład kadry uniwersyteckiej i dlaczego zezwolono, żeby szefem tego instytutu był Manteuffel, uczestnik wojny 1920 roku, tego nie wiem i nie pojmuję...

CHUDZIŃSKI: W dodatku element obcy klasowo!

TAZBIR: Stawiam taką tezę: w okresie międzywojennym synowie chłopscy mogli iść tylko na księży lub nauczycieli, dlatego spora część elity intelektualnej rekrutowała się ze świata chłopskiego. Weźmy Bujaka, Bystronia, Pigionia... Natomiast po wojnie znaczna część rekrutowała się z ziemian, którzy potracili majątki i musieli z czegoś żyć, tak jak Kieniewicz, Gieysztor... Można takie nazwiska mnożyć.

CHUDZIŃSKI: Jak to się stało, że w latach stalinowskich mogli was uczyć i wychowywać potomkowie ziemian i arystokracji? Ktoś nie zadbał o czystość ideologiczną?

RATKOWSKI: Rozpaczliwie brakowało specjalistów! Jest też taka broszurka Stalina o pracy z kadrami, z której wynika, że na każdego trzeba mieć haka! Na przykład takiego, że ktoś jest „bezet”, czyli były ziemianin!

TAZBIR: Nie sądzę. W planach obsada Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk miała być inna. Żanna Kormanowa, którą nazywano Konną Żandarmową, miała być dyrektorem Instytutu i obsadzić go wyłącznie członkami partii. Ale ktoś miał dojście do Bieruta i ułatwił przyjęcie przez niego delegacji uczonych. Poszli Małowist, Manteuffel, chyba Kula i jakoś mu ten pomysł wyperswadowali. Kadra bywała sztorcowana lekko, ale dawała solidne podstawy naukowej następcom. Jak czytam teraz pamiętniki Michała Głowińskiego, to na polonistyce było całkiem inaczej: Jakubowski, Żółkiewski... Naprawdę nie było śmiesznie!

CHUDZIŃSKI: Ale tenże Żółkiewski, hetman wojujących marksistów, jak nie mógł przedwojennych profesorów pozostawić na katedrach, to organizował im naukowy warsztat pracy, nie dydaktyczny. Konradowi Górskiemu zafundował Pracownię Języka Adama Mickiewicza, a prof. Dłuską pomógł osiągnąć z klasztoru, gdzie się zaszyla, na UJ.

TAZBIR: A Pan wie dlaczego Żółkiewski dał pracownię Konradowi Górskiemu? Bo się bał, że wszyscy co lepsi wykładowcy uciekną na Katolicki Uniwersytet

Lubelski, jedyny taki z tej strony Łaby. Mogła tam uciec i Dłuska.

RATKOWSKI: Cóż, ze starymi pannami bywają kłopoty!

TAZBIR: Są i dzisiaj! Starą panną była Świderkówna, wybitna specjalistka m.in. od zagadnień bibliistki. Poszła do klasztoru i siostry ją stamtąd wypirzyły! Ukutem przy okazji anegdotkę i opowiedziałem pewnej osobie bez poczucia humoru: Wie pani dlaczego siostry wyrzuciły Świderkównę z klasztoru? A dlatego, że Łanowski doniósł, że wspólnie tłumaczyli nieprzystawne wiersze łańskie. Co zresztą było prawdą. Na to dama odpowiedziała: – Ach, bardzo się panu dziwię, że pan takie rzeczy opowiada! Do podobnej podłości profesor Łanowski nie byłby zdolny! – Kiedy to opowiadałem Łanowskiemu, to się zaśmiewał do łez.

A wracając do Górskiego, to znalazł się w powieści *Inauguracja* napisanej przez niejakiego Wróbla i wydanej w 1954 r. Występuje tam pod jakimś pseudonimem i doczekał się takiej oto wzmianki: Już drugi semestr analizuje faszystowskie powieści Kadena Bandrowskiego! – Oczywiście zamiast przerabiać cenną literaturę radziecką.

DYBICZ: Panie Profesorze, czy to pańskie zainteresowanie czasami dość odległymi jednak od współczesności nie jest pochodną takiej niepisanej umowy zawartej na Zjeździe Historyków w Otwocku: przejdziemy przez ten najtrudniejszy okres nie wchodząc w historię najnowszą?

TAZBIR: Jednak tę umowę nie wszyscy podpisali i nie wszyscy przestrzegali. Władze były zresztą kapryśne. Na przykład Sieradzki był bardzo dobrze widziany i Piwarski również, i nagle władza odkryła ich przedwojenne artykuły o Piłsudskim. Obu wylano. Współpracowałem swego czasu z ośrodkiem zbierającym bibliografię do historii ruchu robotniczego. Zajęcie było dobrze płatne i dorabialiśmy sobie na studiach, nawet wspólnie z mediewistami. Był tam też Geremek i zgadaliśmy się, że obaj mieliśmy wątpliwą przyjemność zetknąć się z Kormanową i że nie mamy czego szukać w historii najnowszej. To doświadczenie spowodowało, że zainteresowałem się wiekami średnimi.

A Otwock? Tak, pewnie na to wpłynął, bo epoki dawniejsze były bezpieczniejsze. Innym sposobem ucieczki było wydawanie źródeł historycznych, byle były dobrze dobierane...

RATKOWSKI: No i taki renesans, na przykład, był „postępowy”!

TAZBIR: Bo „marksści” traktowali historię jak ciastko, torcik – stefankę. Warstwy postępowe były przekładane wstecznymi. Średniowiecze było wsteczne, renesans postępowy, barok wsteczny. Dlatego barok skracano jak było można. Wedle tej szkoły zaczynał się dopiero u schyłku XVII i kończył w połowie XVIII stulecia. Po baroku było postępowe oświecenie, po oświeceniu romantyzm w dużej mierze wsteczny. Potem pozytywny pozytywizm, a kolejna Młoda Polska – okropna!

CHUDZIŃSKI: Dekadencka!

TAZBIR: Przyszanie więc panowie, że to dość uproszczony obraz dziejów.

RATKOWSKI: Biedny Boy!

TAZBIR: Boy znalazłszy się po wybuchu wojny we Lwowie opublikował antologię poezji Młodej Pol-

ski. Gdy zorientował się, że już sam tytuł budzi negatywne emocje u władzy, był skłonny go zmienić, ale ostatecznie cały nakład poszedł na przemiał. Książka okazała się zbyt przesycona sentymentem do polskiej kultury i do tego okresu. Uratował się tylko jeden egzemplarz.

DYBICZ: A pańskie zainteresowanie właśnie epoką baroku i sarmatyzmem, to pokłosie wychowania na Sienkiewiczu?

TAZBIR: Nie. Ja miałem zresztą naganną w oczach historyków literatury skłonność do analizowania nie arcydzieł literatury, ale raczej dzieł autorów trzeciorzędnych, bo moim zdaniem lepiej oddają epokę. Wolałem Józefa Korzeniowskiego, Chodźkę, Bernatowicza..., bo oni pokazują jak było naprawdę. Inna rzecz, że bywa z tym różnie. Znacie panowie historię, jak to było z dziadkiem Orzeszkowej? Nie? Otóż Orzeszkowa bardzo się nim szczyliła i nawet w dwóch miejscach tę postać umieściła. Zakończył kampanię napoleońską w stopniu majora, z dużą pensją i wszystko się zgadzało, z wyjątkiem tego, że naprawdę walczył po stronie rosyjskiej. Tak, badanie historii to zajęcie fascynujące, dające mnóstwo frazujących zaskoczeń. Mało kto wie na przykład, że w wojnie polsko-rosyjskiej 1830 roku brał udział batalion ochotników fińskich! Też po stronie rosyjskiej, naturalnie.

RATKOWSKI: A kto pamięta, że książę Józef Poniatowski był oficerem służby austriackiej, a Jan Henryk Dąbrowski – pruskiej?

TAZBIR: To się nie liczy, bo było w czasach, gdy Polska posiadała bardzo małą armię i rzemiosło wojkowego trzeba się było uczyć w obcych armiach.

CHUDZIŃSKI: Którego z profesorów uważa Pan za swego mistrza?

TAZBIR: Chyba Tomkiewicza. Miał niezwykle szerokie poglądy, dużo zrozumienia dla historii sztuki, miał ładny styl wykładania. Bardzo sobie ceniłem profesora Herbsta, ale miał jedną wadę – świetnie wykladał, ale nie bardzo lubił pisać. Miał temperament społecznika, dużo jeździł z odczytami. Pracę magisterską pisałem u Tomkiewicza na temat, który od razu musiałem nieco ocenzurować, gdyż zająłem się naszą ksenofobią w XVII i XVIII wieku, a doktorat to *Reformacja a problem chłopski*. Z kolei tematem habilitacji był Stanisław Lubieniecki i jestem do niej tak przywiązany, że zwróciłem się do pana Uchańskiego w Iskrah z propozycją, że nie chcę honorarium, byle tylko wydał tę książkę w wersji poprawionej ponownie, co też uczynił. A potem, gdy nadeszły lepsze czasy cenzuralne, szczególnie po 1989 roku, zająłem się w szerszej mierze historią literatury i napisałem m.in. esej o postaci rezydenta w literaturze. Przed laty napisałem rzecz także z tego gatunku *Powieść historyczna jako lustro współczesności*, opartą nie tylko na naszej literaturze, ale też na literaturze radzieckiej i hitlerowskiej. Gdy cenzor ją przeczytał, powiedział że bardzo mu się podoba i „jakby pan Tazbir coś jeszcze napisał, to on chętnie przeczyta”, ale ani słowa nie może puścić. Przeleżało to parę lat, aż przyszedł rok 1981 i rozprawa doczekała się wydania. Pisałem tam zresztą, że Jasienica kreśląc postać Zygmunta III Wazy miał na myśli Gomułkę. Pani Ciołkoszowa w Londynie też miała podobne spostrzeżenie...

CHUDZIŃSKI: Asystenturę zaproponowano Panu od razu po studiach?

TAZBIR: Tak, ale wkrótce stosunki na uniwersytecie tak się popsuty, że w połowie 1953 roku przeniosłem się do Instytutu Historii PAN. Osiałem tam na stałe, do przejścia na emeryturę.

CHUDZIŃSKI: I dydaktyki Pan nie uprawiał?

TAZBIR: Przez kilka lat miałem seminarium z historii kultury na Uniwersytecie Warszawskim.

CHUDZIŃSKI: Jako polonista pozwolę sobie zauważyć, że spośród historyków właśnie Pan najczęściej wkracza na teren badań literackich.

TAZBIR: Nie zaprzeczę. Książka *Od Haura do Isaury* jest w zasadzie pracą z dziedziny krytyki literackiej, a piąty tom moich pism wybranych, który wydało krakowskie wydawnictwo „Universitas”, też jest poświęcony pracom krytycznoliterackim. Może wynika to z faktu, że bardzo lubię czytać powieści, a w nich szukam tła historycznego. Na przykład w *Obrazie arian w literaturze polskiej* pokazuję, jak na ich temat tworzono liczne teorie spiskowe, podobne do *Protokołów Mędrców Syjonu!* Inna rzecz, że dobrze zrobiłem, że nie poszedłem na polonistykę, bo bym się pogubił w tych wszystkich „paradygmatach”, „traumach” itp... Na zjeździe historyków w Poznaniu profesor Kieniewicz odważył się podnieść łapkę i zapytać: „A co to jest ta trauma?” Sala odetchnęła, bo nikt nie wiedział co to jest, ale też nikt nie odważył się spytać.

RATKOWSKI: No cóż, po doświadczeniach Tuska z ACTA już wszyscy wiemy co to jest „trauma”!

TAZBIR: A „paradygmat”?

CHUDZIŃSKI: No właśnie, czy Pana zdaniem nauki historyczne są mniej podatne na mody naukowe?

TAZBIR: W porównaniu z nauką o literaturze chyba tak. Przyznam się szczerze, że niektórych prac z dziedziny literatury nie rozumiem!

RATKOWSKI: A może chodzi o to, że trzeba koniecznie znaleźć nowy punkt widzenia, by o tym samym napisać raz jeszcze?

TAZBIR: Niewykluczone. Napisałem kiedyś esej, który oburzył historyków literatury: *Pan Tadeusz, czyli jakoś to będzie* – z tezą, że Polacy robili powstania jak w *Panu Tadeuszu*: „szlachta na koń siędzie, ja z synowcem na czele i jakoś to będzie!” A niezujący już dziś Bogdan Zakrzewski napisał kontresęj: *Pan Tadeusz, czyli jeszcze Polska nie zginęła!*

DYBICZ: Czy przejście do PAN uchroniło Pana przed stosowaniem metodologii marksistowskiej?

TAZBIR: Nie będę zaprzeczał, że w swoim czasie „cytaty z klasyków” dawałem, choćby w tej pracy *Reformacja a problem chłopski*, ale potem tego było coraz mniej.

RATKOWSKI: Nie utożsamiamy metodologii marksistowskiej ze stalinowską frazeologią!

TAZBIR: Do dziś uważam, że pewne elementy marksistowskiej metodologii są w badaniach historycznych przydatne. To profesor Małowist mówił na przykład, że po to, by zbadać jakiś problem, trzeba przeanalizować bazę tego problemu, niejako gospodarcze podłoże. Może dlatego miał mi za złe, że pisząc *Modę na chińszczyznę* nie zbadałem podstaw społeczno-gospodarczych Chin! A nie miało to żadnego związku

z historią Chin, gospodarczą czy jakąś inną, bo tematem był tylko snobizm polskiej magnaterii, zainteresowanie egzotyką i to wszystko!

CHUDZIŃSKI: A gdyby miał Pan wskazać jakąś najbliższą sobie szkołę, metodologię, co by to było?

TAZBIR: Trudno mi to określić. Byłaby to chyba szkoła dość tradycyjna, zbliżona raczej do Handelsmana niż do tego, co się uprawia obecnie. Gdy student przynosi mi pracę i pyta: Czy pan profesor nie sądzi, że w teatrze jezuickim był szum informacyjny?, to ja z kolei pytam: Panie drogi, co pan chce przez to powiedzieć? – No – powiada chłopak – to, że oni sami nie rozumieli niektórych przedstawień, bo były za trudne! To mówię mu, żeby to tak właśnie otwaracie i jasno napisać!

Dziś młodzi ludzie pisują jakimś żargonem, a ci co nim nie pisali, już nie żyją. Pięknie i wyraziście pisała pani Kulczycka-Saloni, Krzyżanowski... Wyśmiewa się czasem z tego żargonu Henryk Markiewicz w „Dekadzie Literackiej”. Modne słowa nie dadzą same z siebie rezultatów olśniewających.

CHUDZIŃSKI: Wspominany tu Geremek, a i Modzelewski są pod wpływem szkoły francuskiej...

TAZBIR: Są pod nieco przesadnym wpływem „Annales”. Zresztą uważam, że mamy tu w Polsce kompleks, który nazwałem „kompleksem Timbuktu”. Mianowicie wystarczy, żeby ktoś napisał coś o Polsce w obcym języku, zaraz się to tłumaczy, choćby książka była grubo głupsza od tego, co się u nas pisze. Cieszymy się, że ktoś się nami zajmuje... Ja sobie nie wyobrażam, żeby ktoś w Polsce napisał historię Anglii z błędami i żeby została ona przetłumaczona w Anglii. Tymczasem to co pisze Davies, Adam Zamoyski czy Beauvois zawiera często zasadnicze błędy. Czy czytaliście u Daviesa, skąd się wzięła nazwa „szlachta zaściankowa”? Otóż ten mędrzec pisze, że szlachta budowała się między chłopami i wznosiła takie wysokie ściany, żeby się od chłopów odgradzić. Pan Davies twierdzi też, że magnaci polscy postępowali nie *fair*, bo w walkach w XVII wieku używali oddziałów uzbrojonych czarownic! Słowo daję! Gdyby coś takiego napisał Polak, to na długie lata byłby narodowym pośmiewiskiem!

CHUDZIŃSKI: Co Pan Profesor uważa za najwyższe osiągnięcie polskiej historiografii?

TAZBIR: Wydaje mi się, że bardzo dobrze rozwinięty się badania nad historią społeczno-gospodarczą; tutaj oczywiście pierwszoplanowe nazwisko to Kula. Kieniewicz też badania nad wiekiem XIX postawił bardzo wysoko, choć ja osobiście stawiłbym przed nim Kukiela, a zaraz po Kieniewicz postawiłbym Tadeusza Łepkowskiego. Interesujące badania prowadził Wyczański nad XVI wiekiem, bardzo ciekawe rzeczy pisał Geremek i pisze Modzelewski, a wcześniej Zientara, niestety zmarł przedwcześnie, a wiele wspaniałych rzeczy by jeszcze napisał. Często się uważa, że jeśli historyk zmienia poglądy, to dokonuje tego pod wpływem oportunizmu, strachu, chęci robienia kariery. A przecież na te zmiany wpływają często nowe badania własne autora, jego kolegów czy adwersarzy, zmienia się też kwestionariusz badawczy. Bywa, że akurat coś innego zainteresuje nas z przeszłości.

CHUDZIŃSKI: Pana zdaniem w humanistyce bywa tak, że im ktoś więcej napisze, tym więcej popełnia błędów i że tylko krowa nie zmienia poglądów, a historyka za to winić nie należy. Chyba że zmienia poglądy z powodów koniunkturalnych.

TAZBIR: I o ile sam je zmienia. Bo była na przykład taka zacna pani docent Pieradzka, która napisała historię floty polskiej... Bellona to wydała w okresie stalinowskim, a któryś z redaktorów powiedział mi: Myśmy to tak doprawili, że chyba autorka tego nie pozna! Nie uzgadniali z nią niczego. Wydawnictwa były zresztą bezczelne i robiły swoje, a jeszcze bezczelniejsza była cenzura. W którymś kolejnym wydaniu Ptaśnika *Miasta i mieszczaństwo w Polsce* było kilkanaście istotnych skreśleń, a np. w pamiętnikach Kilińskiego o Moskalach 52 ingerencje cenzury! Herbst się wściekał, że prasa emigracyjna po wydaniu tych pamiętników pisała, „jak się udało tak antyrosyjski pamiętnik wydać w Polsce?” – Idioci – wołał Herbst – teraz dopiero cenzorzy wezmą się do pracy!

DYBICZ: Takie zmiany poglądów to nie jest jednak tylko polska przypadłość...

TAZBIR: Ależ naturalnie. Nie wiem, czy czytał pan Weintrauba książkę o poglądach akademika Tarlego. Akademik pisał o wojnie krymskiej i w zależności od aktualnych stosunków ZSRR z Anglią i Francją zmieniał poglądy na ten temat. Szczególnie że w Rosji można było za to mocno oberwać. Był taki Szamil, bohater antycarskich ruchów wyzwoleniczych na Kaukazie. Poszła za tym chyba nawet Nagroda Stalinowska dla autora pracy o nim, a wkrótce się okazało, że Szamil był angielskim agentem i chciał oderwać Kaukaz od Rosji, żeby nie doczekał rewolucji październikowej!

RATKOWSKI: Którą, jak widać, imam Szamil przewidział już w połowie XIX wieku!

TAZBIR: I ci, którzy pisali inaczej, poszli do łagru. Taka sama sytuacja była ze *Słowem o wyprawie Igora*. Zależnie od koniunktury politycznej bywało autentycznym lub falsyfikatem.

RATKOWSKI: Mam na półce wydaną przez Arc-ta, z przekładu dostarczonego przez United States Information Service, *Drugą wojnę światową*. Sam Stalin by jej lepiej nie napisał!

CHUDZIŃSKI: U nas podobnej fluktuacji ocen podlegała postać Kostki Napierskiego.

TAZBIR: Oczywiście. Pisałem o tym jeszcze w PRL i jakoś przeszło, może dlatego, że to było wydanie w językach obcych. Napierski był w służbie szwedzkiej, ale grubo przed najazdem Szwedów na Polskę, potem działał jako zwykły kondotier i zajął Czorsztyn z myślą o tym, by otworzyć drogę na Polskę wojskom Rakocznego. W obronie Kostki występował prof. Przyboś, a Adam Kersten zwrócił słusznie uwagę, że żaden przywódca chłopskiego powstania nie siedziałby w słabo ufortyfikowanym zamczku, zamiast ruszyć na wieś, aby budzić je do buntu! W ogóle nie mieliśmy szczęścia do przywódców ludowych, Taki Mucha z XV wieku okazał się agentem wołoskim, Kostka Napierski agentem siedmiogrodzkim, Szela wiadomo, chodził na pasku starosty Breinla, już nie mówię o Dzierżyńskim, Marchlewskim czy Konie!

RATKOWSKI: Cóż, wierzyli w rewolucję światową i myśleli, że Europa będzie, nie jak głosił de

Gaulle „od Atlantyku po Ural”, tylko od Uralu po Atlantyk!

TAZBIR: Mówił nam nasz nauczyciel w Choroszczy w roku 1940: uczcie się rosyjskiego, bo jak komunizm opanuje cały świat, to cały świat będzie mówił po rosyjsku!

DYBICZ: Niektórym ta znajomość języka bardzo się przydała i zrobili kariery.

TAZBIR: A niektórzy się od tego odcinali programowo! Sam pisałem, że nic tak nie rozkwita jak fałszywy patriotyzm podlany autentycznym leninizmem! W szkole przez tyle lat uczyli, a kandydaci na studium doktoranckie nie umieli przeczytać jednego zdania po rosyjsku! *Pabocze dwiżenie* – czyta taki. Mówię mu, że „p” po rosyjsku czyta się jak „r”, a ten swoje! Tymczasem rosyjski to naprawdę piękny język!

RATKOWSKI: I można wyczytać w nim całkiem ciekawe rzeczy. I Wysockiego posłuchać...

DYBICZ: Dziś płaci się za naukę rosyjskiego spore pieniądze.

TAZBIR: A wiecie panowie, że w 1944 roku w warszawskich gazetach wydawanych przez Niemców pojawiała się niemało ogłoszeń: „Uczę rosyjskiego”. I z nieznanym bliżej przyczyn ogłoszeń takich było tym więcej, im bardziej zbliżał się front!

CHUDZIŃSKI: Pana zainteresowania naukowe koncentrują się wokół reformacji, kontrreformacji, tolerancji, religii, kultury... Mieszczą się one w głównym nurcie historii, ale Pana Profesora ciągnie często na pobocza.

TAZBIR: Bo mnie mało interesowała historia polityczna czy militarna, raczej kultura i jej obrzeża. Pisałem na przykład o tytulaturze w Polsce od XVI wieku po Polskę Ludową. Prawda, lubiłem pewien płodozmian i uważam, że historyk, który ciągle zajmuje się jednym okresem, ma w gruncie rzeczy nudne życie. Anatol France też był historykiem i napisał przenudną książkę doktorską o Joannie d’Arc, ale przytacza zabawną anegdotę o specjalistach. Oprowdza przewodnik kogoś po muzeum i w pewnej chwili mówi: Przepraszam, ale ta gabłota to gabłota mego kolegi, tu już nie mogę udzielać wyjaśnień!

RATKOWSKI: Tak sobie myślę, że zadaniem historyka jest podtrzymywanie stałego sporu z zastanymi poglądami na dzieje. Na to, o czym akurat wszyscy jesteśmy przekonani...

TAZBIR: Znam takich co mają ciągle nowe pomysły! Niedawno podszedł do mnie facet i powiada: Mam dowody, że Rydza Śmigłego otruto na polecenie Komendy Głównej AK! Przyślę dokumenty. Nie przysłał. Inny powiada: Mam dowody, że na czas oblężenia przez Szwedów Jasnej Góry Kordecki wyjechał z Częstochowy. Nie przysłał dowodów. Teraz byłem w Poznaniu na promocji swojej książki i jeden ze słuchaczy pyta, czy to prawda, że Batorego otruto. Powiadam: Bzdura, jest na ten temat książka Scheuringa *Czy królobójstwo?*

RATKOWSKI: Ale ludzie nie przyjmują rzeczowych argumentów! Znam człowieka, który upiera się, że „sam Tazbir potwierdza autentyczność *Protokołów Mędrców Syjonu*...

TAZBIR: Że ja tak twierdzę?

RATKOWSKI: Właśnie!

TAZBIR: Spotkałem kiedyś damę, która powiada: Twierdzi pan że to falsyfikat? Może to i falsyfikat, ale

niech pan powie, dlaczego wszystko się sprawdza? Ży-
dzi rządzą!

CHUDZIŃSKI: W końcu to Pan napisał, że historyk musi się w pewnym momencie zdecydować: albo chce pisać prawdę, albo chce być czytany!

RATKOWSKI: Ale jest też problem, czy historyk odpowiada na społeczne zapotrzebowanie, jak choćby Jasienica?

TAZBIR: Ale też miał Jasienica swoje wyraziste poglądy czy wręcz manie. Piastowie byli dobrzy, Jagiellonów krytykował, a nie cierpiał Wazów. I sformułował tezę, która wszystkim nam się ogromnie podobała, że w Polsce rządzeni zawsze byli dobrzy i mądrzy, tylko rządzący byli nie na poziomie i popełniali same głupstwa.

DYBICZ: Każda władza chętnie by wymieniła społeczeństwo na lepsze! Ale tu rodzi się pytanie czy bardziej interesuje Pana społeczeństwo, czy jednostka? Bo pańskie prace analizujące obyczaje wskazują raczej na społeczne konteksty...

TAZBIR: A jednak los jednostki zawsze bardziej angażuje czytelnika i bardzo chętnie czytamy pamiętniki. To Topolski napisał kiedyś, że „Tazbir uprawia behawioryzm”. Pojęcia nie miałem, że coś takiego uprawiam! A osiągnięcia wiedzy zawsze polegają na tym, że likwidują poprzednie osiągnięcia. Po historyku pozostają dzieła wznawiane i często wypada się dziwić, że są wznawiane i trzeba je zaopatrywać w jakieś przypisy. Szansę mają historycy, którzy piszą zajmująco, a więc ci, którzy umieją zainteresować od strony stylu, a nie tylko od strony treści. Jak napisał kiedyś złośliwie Urban w swoim *Alfabecie* o Geremku, że jak przeczytał jakąś książkę naukową Geremka, to zrozumiał dlaczego on się zajął polityką. Taka była nudna.

CHUDZIŃSKI: Kiedyś na pytanie co zostaje po historyku, Kieniewicz odpowiedział, że artykuły i rozprawy po dziesięciu latach się starzeją, monografia jest aktualna kilkanaście lat, natomiast tak naprawdę po historyku zostają krytyczne wydania źródeł.

TAZBIR: Nie wszyscy historycy zajmują się wydawaniem źródeł, ale rzeczywiście, jak myśmy ze Szczucim wyдали antologię literatury ariańskiej XVI wieku, to historycy korzystają z niej do dziś! Tyle że źródła bywają fałszowane. W 1956 roku „Po prostu” ujawniło, że w ulótkach KPP, przytaczanych w jakimś wyborze źródeł, tam gdzie w wydanej wersji było: „Precz z hecą antyżydowską”, w pierwodruku można przeczytać: „Precz w hecą antyniemiecką”! Podobnie było z nazwiskami członków redakcji przedwojennych pism lewicowych. Składy redakcji zmieniały się w miarę, jak poszczególni ludzie – ofiary czystek stalinowskich – byli kolejno rehabilitowani po 1956 roku.

RATKOWSKI: A co mamy powiedzieć o zdjęciach, na których poszczególni ludzie znikali jak za dotknięciem różdżki?

TAZBIR: W słynnej książce francuskiej gromadzące sfalszowane zdjęcia Lenin przemawia z ciężarówką w otoczeniu tłumu. Na kolejnych edycjach co rusz ktoś z tego zdjęcia znika, aż Lenin zostaje sam. Zresztą nie trzeba do tego Rosjan! Wszyscy znamy sławne zdjęcie zatytułowane „Przyjazd Pił-

sudskiego do Warszawy 9 listopada 1918 r.”, które zostało zrobione w roku 1916 roku, bo o przyjeździe Piłsudskiego z Magdeburga w 1918 r. wiedziało tylko kilka osób. Dziś zresztą sprawa została wyjaśniona, ale pokutowała przez całe XX-lecie międzywojenne, a i potem także!

DYBICZ: Historycy nie lubią gdybania, ale gdyby przyszło Panu żyć w II połowie XIX wieku, byłby się Pan przypisał do warszawskiej szkoły historycznej czy krakowskiej?

TAZBIR: Zdecydowanie do warszawskiej. Bo czym innym jest twierdzić, że zostaliśmy zamordowani przez zbrojną przemoc sąsiadów, a czym innym, żeśmy upadli z własnej woli, z powodu anarchii i niezdolności do rządzenia. W 1914 roku sprawdzać się zaczęła właśnie warszawska szkoła, a nie krakowska, która twierdziła, że przyłączenie ziem wschodnich nas pograżyło.

RATKOWSKI: Ale jest przecież coś na rzeczy, że w trzech kolejnych zaborach Rosja wzięła tylko tereny etnicznie niepolskie...

TAZBIR: Co więcej, w pierwszym okresie, aż do powstania listopadowego nie prowadziła polityki rusyfikacyjnej, zachowała lwą część przywilejów szlacheckich, a dopiero klęska powstania listopadowego spowodowała zagładę polskość na kresach. Przepa-
dło Liceum Krzemienieckie, Uniwersytet Wileński... Wcześniej szlachcic na „ziemiach zabranych” mógł nawet nie wiedzieć, że jest rosyjskim poddanym, bo jeździł na sejmiki, stawał w trybunałach, gdzie posługiwano się Statutem Litewskim z XVI wieku aż do roku 1840. Najgorszym zaborem był zabór austriacki, o czym się zapomina, bo patrzymy na sytuację po 1867 roku, kiedy zaczęła się epoka autonomii galicyjskiej. To Jan Ptaśnik powiedział w 1913 roku, że będziemy mieli niepodległą Polskę, własny rząd, więzienia i policję, ale takiej wolności słowa jak w Galicji to już nie będzie!

RATKOWSKI: Jednak ta wielka Polska Jagiellońska czy Rzeczpospolita szlachecka, której wszyscy jesteśmy dziećmi, w naszych oczach jawi się jako polskie państwo „od morza do morza”. A przecież było to państwo trzech, pięciu, czy nawet siedmiu narodów, o czym nie chcemy pamiętać...

TAZBIR: Kiedyś w „Polityce” napisałem, ilu było Polaków w Polsce. Otóż wedle moich obliczeń ci, którzy mówili po polsku, stanowili w I Rzeczypospolitej zaledwie 40 proc., a w 1931 roku, wedle danych oficjalnych, 69 proc., co moim zdaniem było jeszcze podfałszowane. Na przykład do ludności polskiej zaliczano „tutejszych”...

CHUDZIŃSKI: Jakie więc mamy prawo odwoływać się do tradycji „polskiego państwa narodowego”?

TAZBIR: To typowe rzutowanie w przeszłość pewnego zjawiska, które w Europie zrodziło się w XIX wieku. Gdy mówimy na przykład o Polsce przedrozbiorowej, to Żydzi niemal w niej nie występują i o to żydowscy historycy mają do nas pretensje. A fakty są takie, że zarówno w XVII wieku jak i w 1939 roku Żydzi stanowili około 10 proc. ludności Rzeczypospolitej, mimo tak ogromnych różnic terytorialnych! Są takie zjawiska. Także historycy Kościoła nie mogą zrozumieć, że liczba siostr zakonnych na początku i u schył-

ku XX wieku była taka sama, choć liczba ludności się zmieniła.

RATKOWSKI: I tu rodzi się pytanie o konsekwencje tego narodowego mitu dla rzeczywistego procesu dziejowego. A może jedną z przyczyn klęsk powstań narodowych, łącznie z powstaniem warszawskim, było to, że ciągle patrzyliśmy daleko poza obszar rzeczywistego zasięgu polskości? Że ambicje przerastały możliwości?

TAZBIR: Bądźmy sprawiedliwi – jakie powstanie mogło wygrać? Przecież wiadomo, że w czasach powstania listopadowego Clausewitz gromadził wojska koło Wrocławia, a car Mikołaj I gotów był za pomoc w uśmierzeniu powstania podarować Prusom część Królestwa Kongresowego!

RATKOWSKI: Dziś IPN nie dałby się przekonać, że taka interwencja była możliwa...

TAZBIR: Specjalni historycy pisują specjalne teksty. Dotyczy to także „historiografii IPN-owskiej”. Ale sam także widziałem wydany w 2002 roku rosyjski podręcznik, w którym stoi jak byk, że Suworow tak humanitarnie obchodził się z ludnością zdobytej Warszawy, że popadł w niełaskę u Katarzyny! A skoro już mówimy o powstaniu listopadowym, trzeba podkreślić, że była to klęska także dla Mikołaja I. Car miał nadzieję, że Polska będzie polem eksperymentalnym i jeśli uda się wprowadzenie konstytucji bez większych kłopotów, to on rozciągnie ten system na resztę cesarstwa. W tym samym czasie Metternich mówił, że po Kongresie Wiedeńskim tylko wariat zostawiłby Polakom armię...

RATKOWSKI: Profesor Łojek upierał się, że powstanie miało szansę!

TAZBIR: A pamięta Pan, co jego zdaniem by się działo po zwycięskim powstaniu? Napisał, że w 1848 roku Polska upomniaby się o „ziemie zabrane”! Rosjanie, Austriacy czy Prusacy nie mogli na to pozwolić! Póki się oni ze sobą nie pobili, to nie było żadnych szans. Prawda, że pobili się w jakimś momencie Prusy z Austrią, ale to była wojenka lokalna i nie wywarła żadnego wpływu na „europejski koncert mocarstw”. Bardzo lubię futurologię, ale mocno wątpię, czy gdyby Napoleon III wygrał w 1870 roku, to upomniałby się o Polskę! Gdzie tam! Bo Rosja by się sprzeciwiła, a to był dla Francji sojusznik kluczowy! W rozmowie w 1873 r. między cesarzem niemieckim a Aleksandrem II kaiser powiedział, że ta Francja coś ociąża się z kontrubucjami i „boję się, że będziemy musieli interweniować”. Na to car odrzekł: „W takim razie to i my musimy przyjąć Francji z pomocą. Interweniować!” Zapadła cisza i kaiser powiedział: „Ja sobie tylko tak głośno rozmyślałem!”

RATKOWSKI: W końcu 1981 roku Jaruzelski przeżywał w istocie klasyczny dylemat Chłopickiego. Dyktator powstania rozmawiał z Petersburgiem i dowiedział się, że może osiągnąć jakieś porozumienie, jeśli „wyprowadzi armaty i uspokoi warszawską ulicę”. Nie zdecydował się, złożył dyktaturę i do końca życia spokojnie mieszkał w Krakowie. Inni się bili i efekty znamy. Natomiast Jaruzelski armaty wyprowadził...

TAZBIR: A ja jestem pewien, że gdyby Konstancy internował podchorążych, to nie byłoby powstania listopadowego! Miał wprawdzie pułki rosyjskie, ale nie

chciał ich ściągać do Warszawy. Jak ostatecznie wyszlibyśmy na tym, to sprawa otwarta.

RATKOWSKI: Ale na przykład pułk, chyba szaserów, pod pułkownikiem Zielonką, ścierał się pod arsenalem z mieszkańcami Warszawy. W pewnej chwili pułkownik zakomenderował „i nie oparł się z pułkiem aż za górą u cesarzewicza”. Potem zresztą Konstancy zwolnił ich z przysięgi i pułk wrócił do Warszawy.

TAZBIR: A na Krakowskim Przedmieściu mieszkańcy zatraskiwali okiennice! Gorszą się, kiedy ludzie piszą bzdury o sprawach, o których nie mają pojęcia. Pani Bikont napisała na przykład, że Borejsza chyba w patriotycznym szale urządził w roku 1940 obchody ku czci Mickiewicza we Lwowie, „co się Rosjanom nie mogło podobać”. Obchody transmitowane przez radio i nagłośnione przez prasę mogły się Rosjanom nie podobać? To znaczy, że autorka nic nie rozumie z mechaniki ustroju totalitarnego!

RATKOWSKI: Historycy z IPN tak samo nic nie rozumieją z istoty systemu PRL. Nie umieją np. czytać między wierszami, w czym moje pokolenie było wyszkolone doskonale.

TAZBIR: Sam byłem świadkiem, jak na pewnym spotkaniu Wołoszański musiał tłumaczyć, dlaczego Piłsudski w 1920 roku nie poszedł na Moskwę i nie rozwalił bolszewików. Przecież to była sześćioletnia wojna, wszystkie strony były śmiertelnie zmęczone! A były jeszcze resztki białych i właśnie czytałem coś o przygotowywanym uderzeniu na Petersburg, chyba w 1919 roku. Już były gotowe nie tylko oddziały białogwardyjskie, ale i estońskie, i gotów był udzielić pomocy Mannerheim. Ale Mannerheim zapytał Kołczaka, czy może zagwarantować niepodległość Finlandii, a ten odpowiedział: W żadnym wypadku! O to samo Piłsudski pytał Denikina i dowiedział się, że zdecyduje rosyjska Konstytuanta! W przeciwieństwie do bolszewików, którzy obiecywali wszystko. I nie mieli zamiaru dotrzymać niczego!

CHUDZIŃSKI: Jak to się dzieje, że Pan jako historyk zaczynał od XVI wieku, jest teraz jest coraz bliżej współczesności?

TAZBIR: Współczesność zawsze mnie interesowała. Mam na przykład niewykorzystane obszernie materiały na temat kolaboracji we Francji, w Belgii, w innych krajach i także możliwej kolaboracji w Polsce, ale nie mogłem pisać na tamte tematy z powodów cenzuralnych. Nawet gdy napisałem o Polsce jako o „przedmurzu”, to miałem siedem cięć cenzury, a pisanie półprawd nigdy mnie nie bawiło.

RATKOWSKI: O, do pisania półprawd i nieprawdy zawsze znajdują się chętni!

TAZBIR: To na pewno. Jak czytam na przykład, że Rosjanie pod koniec 1939 roku dali na terenach przez siebie zajętych polskim uczniom podręczniki polskiej literatury tłumaczone z rosyjskiego, to diabli mnie biorą. Bo podręczniki literatury polskiej były wydane sporo później, a ponadto układali je Polacy: Borejsza, Kleiner, Kawyn...

DYBICZ: Nawiązując do Reja, ile w nas jest dzisiaj z chama, ile z pana, a ile z plebana?

TAZBIR: Już Kersten zauważył, że nikt z chłopskich czytelników Sienkiewicza nie utożsamia się z Michałkiem, który pojawia się epizodycznie, ale każdy z Kmi-

ciem, Skrzetuskim! Jaka jest tego przyczyna? Mamy dość klęsk, a ostatnia nasza wygrana przed 1920 rokiem to była odsiecz Wiednia. Ale teraz, jak zauważam, coraz częściej ludzie przyznają się do chłopskiego pochodzenia.

RATKOWSKI: Pewien działacz ludowy z lat 70., jak się trochę rozochocił po kilku kieliszkach, zaprowadził mnie na skraj sadu i powiada: Widzisz redaktorze tę piaskową górkę? Tameśmy panów w 46 rżnęli! Myślał oczywiście o rabacji. Trwa w ludziach pewna hardość...

TAZBIR: Niestety, trwa. Opowiadała mi pani Kłowska, że podczas badań terenowych wiejscy chłopcy odgrazali się: „powtórzmy Szelę”, a potem wieczorem przyszli do niej, by popytać, kim właściwie był ten Szela? Wiele z tej „hardości” jest wyuczonych z książek w PRL.

CHUDZIŃSKI: Jak Pan profesor sądzi, w którą stronę wychyli się szala: autogloryfikacji, bezkrytycznego zapatrzania w siebie, czy do głosu znowu dojdą prześmiewcy i szydercy?

TAZBIR: Ktoś powiedział, że narody szczęśliwe mało interesują się historią i jeśli będzie się nam powiadało, to zainteresowanie historią opadnie. Tak się działo pod koniec II Rzeczypospolitej. Akademii 3. maja były równie nudne, jak akademie z okazji Święta Morza czy Święta Lasu i daty zaczęły pulsować krwią dopiero pod wpływem tego, co się działo w latach 1939-1945. Inna rzecz, że jest zapotrzebowanie na słuchanie komplementów. Myślę, że zaczniemy inaczej patrzeć na powstania narodowe, raczej obliczając realne straty niż nierealne sukcesy. Dopiero niedawno, po wielu latach powstał na przykład pomnik Ludności Cywilnej Warszawy.

Rozmawiałem kiedyś z pewnym lekarzem, uczestnikiem powstania, o nastrojach pod koniec walk. Zapytałem w pewnej chwili, jaki był nastrój w piwnicach, gdzie gnieździł się cywil. Odpowiedział: Wolałem biegać pod ostrzałami ulicami i podwórkami, niż tam schodzić i słuchać co mi powiedzą.

Jestem przekonany, że historiografia będzie normalniała i pozbędziemy się kompleksu „podręcznika medycyny”. Podręcznik medycyny zajmuje się pierwszymi przejawami choroby, a my przestaniemy się zastanawiać, czy potrzebna była odsiecz Wiednia, czy hołd pruski był wstępem do rozbiorów.

RATKOWSKI: Przecież Albrecht Hohenzollern był siostrzeńcem Zygmunta Starego!

TAZBIR: No właśnie. Pewnie wkrótce zaczniemy normalniec.

CHUDZIŃSKI: Ale na razie polityka historyczna i IPN mają się dobrze...

TAZBIR: Nazwałem kiedyś historię wielką wypożyczalnią kostiumów. Te kostiumy są potrzebne „wielkim patriotom”, jak choćby tym z „Naszego Dziennika”, którego jestem, nie przestraszcie się panowie, admiratorem. Bo napisali: „z przykrością musimy się zgodzić w tym miejscu z Januszem Tazbirem”, a innym razem: „PAN-ie, usuń tego Pana, bo obraził Papieża”. A ja po prostu napisałem, że Polska nie miała nigdy wielkich teologów. No i tym samym obraziłem Jana Pawła II, który dla „Naszego Dziennika” wielkim teologiem był! Miło słuchać o sobie takich miłych rzeczy. I pewnie dlatego ciągle się chwylimy, że dwukrotnie ocaliliśmy

Francję – powstaniem kościuszkowskim, potem listopadowym...

CHUDZIŃSKI: A w 1920 roku Europę!

DYBICZ: To kiedy wreszcie znormalniejemy? Przecież ciągle nam te historyczne daty podrzucają i wykorzystują politycy. A to rocznica Cudu nad Wisłą, a to Katyń, a to Smoleńsk, a to stan wojenny...

TAZBIR: Nie sądzę, żeby to miało trwać jeszcze długo. Pamiętam, jak w 1930 roku skromnie odchodziło rocznicę powstania listopadowego...

RATKOWSKI: Był okolicznościowy znaczek!

TAZBIR: Był, rzeczywiście, ale jeśli nie będzie wstrząsów, kryzysu i jakiejś powszechnej zapaści, to nie będziemy się już domagać pożyczek od Europy w imię tego, że ratowaliśmy ją przed Rosją. Zresztą Rosja też twierdzi, że Europę ocaliła. Jewtuszenko pisał, że po bitwie nad Kałką Rosja cierpiała za całą Europę, a bez powstrzymania Tatarów przez Rosjan nie byłoby wieży Eiffla.

CHUDZIŃSKI: To Wierzyński w jednym z wierszy powiada: „nie mów o Polakach i Litwinach, to pole minowe”. I ta fraza powtarza się w relacjach z wszystkimi pozostałymi sąsiadami. Czy w ramach tego „normalnienia” dogadamy się jakoś po sąsiedzku? Kiedyś, przy okazji obchodów rocznicy Unii Lubelskiej wypowiadał się Pan z nadzieją o rozwoju stosunków polsko-litewskich. Teraz nie wygląda to dobrze.

TAZBIR: Na dzień stosunku Litwinów do Polski leży strach. Litwini nie boją się kultury rosyjskiej choćby z racji różnicy alfabetów, boją się natomiast wpływów polskich i stąd kłopoty a to z nazwami miejscowości, a to ze szkolnictwem... Litwini boją się, że Polacy zaproponują tłuste stypendia...

RATKOWSKI: Jak to czasem miło pomyśleć, że nie tylko my się boimy, ale ktoś też się nas może obawiać!

TAZBIR: Nie są to obawy całkowicie bezpodstawne. My do olimpiady historycznej dopuszczamy tylko uczniów z terenu Polski, a poloniści także z krajów ościennych. I moje koleżanki-polonistki miały bzy w oczach, gdy słyszały, jak uczennice z Litwy czy Białorusi „mówią tak jak mówił Mickiewicz!” Mam jednak nadzieję, że jeśli nie będzie wstrząsów, to rzecz się uładzi.

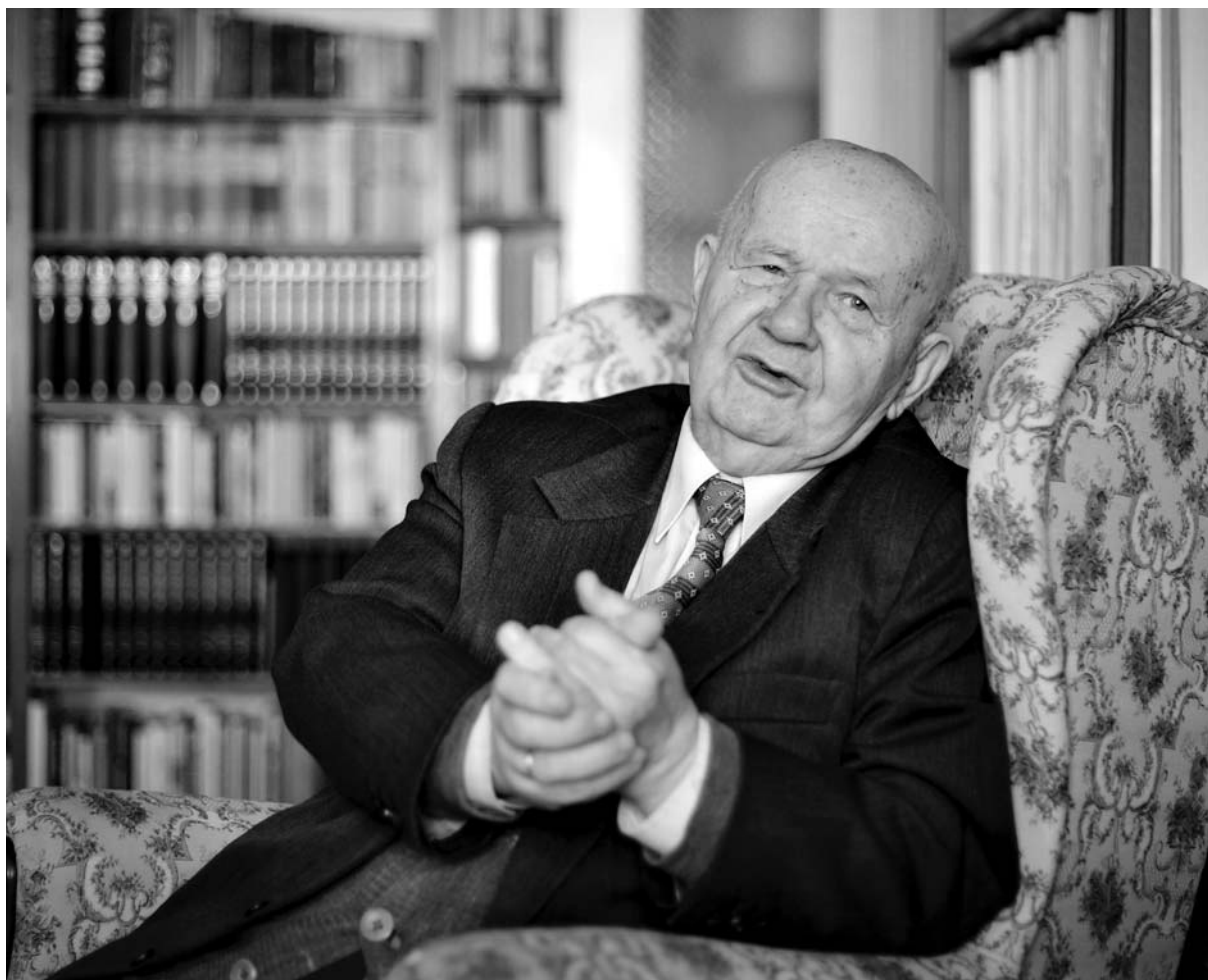
DYBICZ: A tymczasem Europa nam się przebudowuje, zmienia swój obraz... Czy przypadkiem jednym ze źródeł nowych nacjonalizmów nie jest hasło „Europa regionów”?

TAZBIR: Owszem, mamy wybuchowy nacjonalizm baskijski, dążenia odśrodkowe bretońskie, obłąkany pomysł „Padanii”, choć jest trochę w tym racji, że ci mafiosi z południowych Włoch żyją na koszt Północy...

CHUDZIŃSKI: Belgia się na naszych oczach rozpada z tego powodu.

TAZBIR: Wiadomo, że Szkocja się wycofuje ze Zjednoczonego Królestwa, Walia... Ale ja bym tego nie przeceniał.

RATKOWSKI: Może to koniec epoki państwa narodowego. W końcu żadne z wielkich mocarstw państwem narodowym nie było – od Rzymu po Polskę Jagiellońską, Anglię, która „rządziła falami”, a nawet Rosja czy kajzerowskie Niemcy były po-



Fot. Krzysztof Żuczkowski

dzielone wewnętrzne i miały swoje małe nacjonalizmy. Może o te sprawy nikt się nie będzie już spierał z nikim? Jak w Szwajcarii?

TAZBIR: Napisałem kiedyś dla zabawy rozważania futurologiczne *Dzieje Kościoła katolickiego w XXI wieku* i poszedłem z tym na inaugurację roku akademickiego u jezuitów. Niestety był tam biskup, który im nawrzucał, jak można pozwalać takiemu Tazbirowi wypowiadać się o Kościele i słusznie, bo wieszczęłem w tej wypowiedzi schizmę! Gdy bowiem wziąć z jednej strony „Znak” i „Tygodnik Powszechny”, a z drugiej „Nasz Dziennik” i „Rycerza Niepokalanej”, to żaden przysły badacz nie uwierzy, że to pisma tego samego Kościoła! Podejrzewam jednak, że ta wizja się nie sprawdzi.

DYBICZ: Pewnie się nie sprawdzi, bo większość katolików ani tych, ani innych pism katolickich nie czyta!

TAZBIR: W czasach PRL-u reżim ograniczał przydziały papieru dla „Tygodnika Powszechnego”, a dziś papieru jest pod dostatkiem, a nakład spadł radykalnie. Zresztą większość biskupów jest po stronie Rydyka.

CHUDZIŃSKI: Pytanie, o którym „Tygodniku Powszechnym” mówimy? Ten dzisiejszy wyparł się tamtego, turowiczowskiego!

TAZBIR: Rzeczywiście, Turowicz by tego pisma nie poznał. Dziwne rzeczy się tam podziały. Niektóre, jak szukanie agentów, całkiem zabawne, a trzeba przyznać, że Turowicz miał poczucie humoru. Byłem kiedyś, przed laty, w redakcji „Tygodnika...” i zobaczyłem dwie tablice – na jednej artykuły skonfiskowane przez cenzurę państwową, na drugiej skonfiskowane przez cenzurę kościelną. Inna rzecz, że na tej drugiej tablicy był na przykład obszerny fotoreportaż z wystawy aktu. Nie wiem, co im strzeliło do głowy.

CHUDZIŃSKI: Kiedyś „Tygodnik” był kolportowany przez Kościół i można go było kupić po mszy. Teraz wielu księżom wydaje się pismem co najmniej podejrzanym.

TAZBIR: Nawiązałem przed laty sympatyczny kontakt z redaktorem Żychiewiczem. Pisał, że ciągle go o coś podejrzewają, między innymi o żydowskie korzenie. Stwierdził, że Żydem nie jest, ale „nic na to nie poradzę, że wśród księży tu w Krakowie za Hebrajczyka biegam”.

CHUDZIŃSKI: Czy i kiedy wyzwolimy się z tych fobii?

TAZBIR: Nie żyjemy na wyspie. Jeśli tylko sytuacja gospodarcza się nie popsuje, to wszystko powinno pójść w dobrą stronę.

DYBICZ: **A jeśli te fobie się nasilą, to znów będziemy się bali, że „przyjdą Niemcy i nas wykupią?”**

TAZBIR: Nie sędzę, to jest akurat chwyt przegrzany. Jednak Barbara Skarga, kiedy proszono ją, by jako była wilnianka podpisała oświadczenie, że my Polacy rezygnujemy ostatecznie z Wilna, powiedziała mi: – Nie mogłam tego podpisać, choć się z tym zgadzam, bo by mnie moi znajomi zamordowali! Byłem też na spotkaniu w Kole Wołyńian. Mówiłem tam o arianach na Wołyniu w XVII wieku. A dyskusja była o czym? O rzeziach wołyńskich!

DYBICZ: **Ale, Panie Profesorze, przez cały PRL publicznie o tym nie mówiono, a potem, w III RP też przyjęliśmy opcję, by nie zadrażniać stosunków z Ukraińcami!**

TAZBIR: A myśli Pan, że w PRL zależało komuś na dobrych stosunkach z Ukraińcami? To dlaczego zrobiono film *Ogniomistrz Kaleń*? A dlaczego Bellona wytlukła trzy wydania *Czerwonych nocy* Cybulskiego? Jest tam mnóstwo okrucieństwa.

RATKOWSKI: **Trzeba było jakoś emocje społeczne kanalizować. Lepiej było wskazywać na ukraińskich faszystów niż radzieckich towarzyszy.**

CHUDZIŃSKI: **Do tego dochodzi problem niemiecki i stosunek do niego Gomułki.**

TAZBIR: Nie tylko Gomułki. Niech Pan weźmie pod uwagę to, co wychodzi z wywiadów Torąńskiej. Gdy patrzyła na ekipę Mazowieckiego i trudności, przez które musiała ona przebrnąć w stosunkach z Niemcami, to okaże się, że ta antyniemieckość miała swoje uzasadnienie. Niemcy wcale się nie kwapili do uznania powojennych granic. Nawet Kohl! Ja od 1973 roku do schyłku lat 80. byłem członkiem podręcznikowej komisji historycznej Polska – RFN. I co ciekawe, opory były nie tylko przy Kulturkampfie czy polityce hitlerowskiej, ale największe dotyczyły Krzyżaków. Niemcy uważali, że zakon miał wielką misję cywilizacyjną na wschodzie! Dogadać się nie było łatwo. Nieodmiennie właśnie Krzyżacy trafiali do protokołu rozbieżności. Inna rzecz, że Sienkiewicz przedstawił ich nader diabolicznie. I kult szatana, i morderstwa, i pedofilia...

RATKOWSKI – **Oj, z tą pedofilią to się tak ciągnie przez wieki i ciągnie. Od Zeusa Gromowładnego, który miał swojego Ganimedesa...**

TAZBIR: A sam Sienkiewicz?

CHUDZIŃSKI: **No właśnie, Czy przy tak zróżnicowanym podejściu do historii, przy tak różnych przekonaniach ugruntowanych w różnych krajach jest możliwy wspólny podręcznik historii dla całej Europy?**

TAZBIR: Tak, pod warunkiem, że nie będzie to podręcznik dziejów politycznych. Jest taki stary dowcip o Francuzie, który wraca z Londynu i mówi, że ci Anglicy to jacyś masochiści! Bo my to stacje metra nazywamy od zwycięstw: Wagram, Jena, Austerlitz, a Anglicy dają nazwy od klęsk: Waterloo, Trafalgar etc. Jedynym sensownym podręcznikiem będą dzieje kultury europejskiej, pokazujące wzajemne przenikanie się i wzbogacanie. Profesor Wyczański dokładnie analizował życiorys Kopernika i wielokrotnie powtarzał, że dostanie katedrę ten, kto udowodni, że Koper-

nik mówił po polsku. Wiadomo, że gdy jeździł po Warmii spisywać grunty chłopskie, to miał ze sobą człowieka który, wszystko na to wskazuje, pracował jako osobisty tłumacz! Inna rzecz, że Kopernik nie uważał się za Niemca, bo nie było żadnej świadomości narodowej niemieckiej! Był owszem Prusak, Bawarczyk, Torunianin, Sas...

CHDZIŃSKI: **Czy historia i historycy mają w tych procesach jakąś rolę do odegrania?**

DYBICZ: **Wielką, bo rządzą nami historycy. Premier i prezydent, marszałek Senatu są z zawodu historykami.**

TAZBIR: Historia to taka sztuka, w której do katedr jest zawsze kolejka, a na ławach uczniowskich przeważnie pustki. Ciągłe wagarują politycy. Najlepszy przykład to Hitler, który wbrew wszelkim przestrogom, w tym przestrogom samego Bismarcka rozpoczął wojnę na dwa fronty. Inny przykład, to pewien wykład Stanisława Mackiewicza o wiarołomstwie Anglii. Przypomniał broszurę Studnickiego, który już przed wojną przewidział, że Francja wezwie na pomoc Anglię, my zostaniemy pokonani w pierwszej fazie wojny, a ostatecznie, aby pokonać Niemcy, Anglia wynagrodzi Rosję częścią ziem polskich, o czym nam nie powie oczywiście! I co władze sanacyjne zrobiły w tą broszurą? Słusznie skonfiskowały.

CHUDZIŃSKI: **Co Pan Profesor ma jeszcze w planach?**

TAZBIR: Marzy mi się napisanie rzeczy o tym, jaką opinię miały jedno stulecie o drugich. Zawsze o poprzednikach pisze się jak najgorzej, będzie więc lekturą fascynującą przeczytać, jak w baroku oceniano odrodzenie, w oświeceniu barok i co później pisano o oświeceniu!

RATKOWSKI: **Już sobie wyobrażam, co o nas napiszą!**

TAZBIR: Mam teorię, którą mi podsunął kolega, że zmarli naukowcy mają w niebie prawo chodzenia do czytelników i mogą czytać wszystkie publikacje, które ukazały się do momentu ich śmierci. Lecz nie późniejsze. A dlaczego? Żeby się nie denerwowali tym, co napiszą o nich!

RATKOWSKI: **To w niebie! A w piekle odwrotnie. Będą musieli czytać tylko dzieła następców!**

CHUDZIŃSKI: **Dziękujemy za rozmowę i za gościnę w Pana domu.**

Rozmawiali:

EDWARD CHUDZIŃSKI

PAWEŁ DYBICZ

FILIP RATKOWSKI

Warszawa, 8 lutego 2012 r.

Panu Pawłowi Dybiczowi, zastępcy redaktora naczelnego „Przeglądu”, dziękujemy za udział w rozmowie, pomoc w jej realizacji oraz zapewnienie dokumentacji zdjęciowej. (Red.)

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI

PATRZEĆ W PRZYSZŁOŚĆ

Najwyższa pora, by europejska lewica podjęła poważną, programową debatę, bo moment dla refleksji nad stanem świata jest zupełnie wyjątkowy. Dodatkowym argumentem, żeby to zadanie i wyzwanie podjąć jest fakt, że wszystko wokół nas się zmienia, a w środowisku lewicowym panuje od jakiegoś czasu nowy duch. Dał on o sobie znać także tu, w Polsce, choć rezultat wyborów dla lewicy był, mówiąc najdelikatniej, kwaśno-słodki. Sojusz Lewicy Demokratycznej nie może mieć żadnej radości z tego rezultatu, natomiast jeśli wierzyć, że Ruch Palikota jest uzupełnieniem lewicowego frontu, to niewątpliwie około dwudziestu procent środowiska lewicowe w tych wyborach zebrały. To dobry punkt wyjścia do tego, by myśleć pozytywnie o przyszłości.

Wszystko to nie zmienia wszakże faktu, że lewica rządzi w tej chwili w bardzo niewielu krajach Unii Europejskiej, natomiast możemy wymienić przynajmniej dwa kraje, gdzie znalazła się w ciężkich opałach – Grecję i Hiszpanię. Krajem, który trzyma się mocno i może być nadzieją dla lewicy jest Dania, gdzie wybory zostały wygrane. Poważne nadzieje można też wiązać z prawdopodobnym w niezbyt odległej przyszłości wynikiem wyborów w Niemczech i we Francji. To przyczyniłoby się do wzbudzenia i odświeżenia ducha socjaldemokratycznego w całej Europie.

Tak więc zadanie: jak zbudować program, z czym zwrócić się do wyborców, jak komunikować się ze społeczeństwem staje się obowiązkiem chwili. Zaczniemy jednak od zmian, które determinują wszystko, a które nie zawsze są zauważane przez świat polityki, a nawet przez media, ponieważ zbyt skupiamy się wszyscy na wydarzeniach dnia codziennego. Ponadto owe przemiany dokonują się niezwykle szybko, a sprawy bieżące przestają nam niejako perspektywę. Zastanówmy się jednak, jakie zmiany zachodzące dzisiaj determinują sposób myślenia społeczeństw i dlatego muszą zostać uwzględnione przy konstruowaniu wszelkich programów społecznych, w tym oczywiście również wyborczych.

Musimy mieć na uwadze przede wszystkim zmiany techniczne i technologiczne zachodzące we współczesnym świecie. Jednak nagromadzenie tych nowości i intensywność postępu naukowo-technicznego, a jednocześnie tempo, w jakim nowe pomysły, nowe wynalazki są przekształcane w formę dostępną dla każdego obywatela, są nieporównywalne z czymkolwiek, co dotąd działo się w świecie.

Dzisiaj mamy więc do czynienia z niezwykle doniosłą rolą postępu naukowo-technicznego, ze zjawiskami, które w dużo większym stopniu zmieniają nasze myślenie, nasze postawy i zachowania niż jakiegokolwiek ideologie czy programy polityczne. Internet, sms, sposoby komunikowania się na świecie budują dziś *de facto* zupełnie nową sieć związków społecznych i zachowań indywidualnych. Nie zauważając tego, nie będziemy przygotowani

na wszystko to, co nas niebawem czeka. Niby wszyscy o tym wiemy, ale nie zawsze zdajemy sobie sprawę, w jakim stopniu te nowe zjawiska budują nową świadomość.

Oto kiedyś na spotkaniu z młodym audytorium zauważyłem, że w trakcie mojego wystąpienia wielu słuchaczy wyciągnęło komórki i zaczęło coś tam pisać, wysyłać sms-y. Przerwałem więc, żeby mogli dokończyć te czynności. A na to oni, nie odrywając palców od klawiatury, powiadają: nie, nie, proszę mówić, Pan nam nie przeszkadza! Tak więc coś, co skłonni byłibyśmy uznać za pogwałcenie reguł dobrego wychowania w końcu na spotkaniu z byłym prezydentem, dla nich było czymś zupełnie normalnym. Zacząłem się więc zastanawiać, z czego to wynika? A przyczyna jest w istocie prosta. Sms po raz pierwszy został wysłany w 1995 roku w celu nawiązania komunikacji między operatorami. Ja rozmawiałem z grupą dwudziestolatków, dla których sms jest dziś powszechną formą komunikowania i ich wysyłanie w trakcie poważnego spotkania czy ważnej rozmowy nie jest żadnym obciążeniem!

Tego rodzaju zjawisk, takich zmian, nastąpiło całe mnóstwo. Zarówno w sferze porozumiewania się ludzi, jak i w poruszaniu się po świecie, formułowaniu myśli i tak dalej. Ta pierwsza wielka zmiana technologiczna, której jesteśmy świadkami trwa, bo nie powiedziano jeszcze ostatniego słowa. Będzie ona wpływała na otaczający nas świat, na sposób formułowania myśli, na strukturę społeczną, programy polityczne i zmusi nas do tego, byśmy wreszcie zdali sobie sprawę z głębokości przemian nie tylko w sferze materialnej, ale także w sferze psychicznej.

Jednym z takich zjawisk, które są równolegle skutkiem jak i przyczyną takich zmian jest globalizacja. W ostatnim czasie nastąpiła też gwałtowna zmiana struktur społecznych i dla wszystkich, w tym szczególnie dla socjaldemokratów stanowi ona i wyzwanie, i problem. Ta zmiana struktury wynika po pierwsze z demografii, bo większość partii socjaldemokratycznych działa w krajach wysokorozwiniętych, gdzie mamy do czynienia z niskim przyrostem naturalnym, starzeniem się społeczeństw i wszystkimi problemami, jakie z tego wynikają. Tymczasem żyjemy w świecie, w którym niedawno urodził się siedmiomiliardowy obywatel i trwa spór, czy urodził się na Filipinach, w Japonii w Indiach czy w Rosji? Mnie najbardziej odpowiada ta ostatnia opcja, bo chłopcu dano na imię Aleksander, więc miło będzie przypomnieć sobie na starość, że taki fakt nastąpił.

Żyjemy więc w społeczeństwach, gdzie ludzi jest coraz więcej, w społeczeństwach starzejących się, żyjemy też w strukturach społecznych, gdzie różnica między liczbą ludności zamieszkującej na kontynencie europejskim i azjatyckim będzie się dramatycznie zmieniać z wszystkimi tego konsekwencjami. Nie sposób nie uwzględnić tego faktu w myśleniu strategicznym. Trwa proces różnicowania się społeczeństw i ich starzenia się. To najistotniejszy czynnik z punktu widzenia programowania

politycznego – zupełna zmiana związków i relacji, jakie do tej pory zachodziły w społeczeństwach. Umieliśmy je uchwycić i opisać posługując się takimi kategoriami jak partie polityczne, związki zawodowe, struktury klasowe (klasa robotnicza), „białe kołnierzyki” i tak dalej. To wszystko się zmienia, jeżeli już się nie zmieniło.

Natomiast najbardziej wyrazistym znakiem naszych czasów jest fakt, że nastąpiła daleko posunięta indywidualizacja. Ludzie chcą żyć swoim indywidualnym życiem. Nie ruszając się z domu otrzymują pełną informację dzięki internetowi, mogą się też doskonale komunikować, tak więc potrzeba bezpośrednich, osobistych kontaktów w życiu społecznym wyraźnie zmniejszyła się. Widać to znakomicie, gdy patrzymy na losy partii politycznych. Te słynne „volkspartei” skupiające po kilkaset tysięcy osób znikły i partie mają dziś członków coraz mniej, a w warunkach takich jak w Polsce po upadku komunizmu członkostwo w partiach jest praktycznie śladowe, na poziomie kilku, najwyżej kilkunastu tysięcy osób! Ci, którzy mówią, że mają więcej, zwyczajnie kłamią na potrzeby partyjnej propagandy czy dla swoich układów wewnątrzpartyjnych. To właśnie jedna z ważnych oznak, że postępuje atomizacja społeczeństwa.

Elementem tej atomizacji jest także bardzo poważny kryzys rodziny. Jeśli spojrzymy na statystyki, to uprzymiśmy sobie, ile par żyje w związkach nieformalnych, które staramy się teraz jakoś formalizować przez ustawę o związkach partnerskich. Ta ustawa będzie też miała, nie ukrywajmy, istotne skutki w postaci osłabienia instytucji małżeństwa. Gdy jednak spojrzeć, jak wiele dzieci rodzi się w związkach pozamałżeńskich, to zobaczymy jak te tradycyjne konstrukcje, które były przecież podstawą struktury społecznej, rozsypują się na naszych oczach. Zmiana struktur będzie miała poważne konsekwencje. Po pierwsze – poszła bardzo daleko, a po drugie – jest nieodwracalna. I będzie miała istotny wpływ na koncepcje polityczne, poprzez które będzie się wyrażała.

Nie dotyczy to oczywiście tylko socjaldemokracji! Przed identycznymi problemami stoją chadecy, liberałowie, zieloni i wszyscy inni, bo taki jest po prostu współczesny świat, za którym musimy nadążyć, bo inaczej pójdzie swoją drogą. Bez nas.

Natomiast gdy dochodzimy do gospodarki, to przeżywam swoiste *déjà vu*, ponieważ widzę na różnych konferencjach ludzi zatroskanych losem kapitalizmu i przypomina mi się wówczas hasło z innej epoki, które brzmiało: „Socjalizm tak – wypaczenia nie!”. Dzisiaj hasło dnia brzmi: „Kapitalizm tak – wypaczenia nie!” Jak skończyły się próby naprawiania socjalizmu, wszyscy wiemy; mówię o naszym socjalizmie środkowoeuropejskim, nie chciałbym, żeby Szwedzi się na mnie obrazili. Wydaje mi się, że kapitalizm dziś jest silniejszy niż tamten socjalizm i szansa poprawiania go istnieje. Natomiast na pewno trzeba precyzyjnie przeanalizować, co w kapitalizmie źle funkcjonuje. I tu mamy dwie szkoły. Skrajni liberałowie twierdzą, że wszelkie kłopoty współczesnego kapitalizmu wynikają z tego, że jest go za mało. Gdyby było mniej państwa, jeszcze więcej rynku, jeszcze więcej konkurencji, to byłoby świetnie. Taki pogląd wydaje się jednak bardzo idealistyczny, że nie powiem naiwny. Natomiast socjaldemokraci u podłoża kłopotów dostrzegają m.in. nieopanowane jeszcze w pełni konsekwencje nowych technologii. Wiara w „turbokapitalizm”, w samoregulacyjną rolę rynku doprowadziła do tego, że wiele procesów

całkowicie wymknęło się spod kontroli. Rozmawiałem z Josephem Ackermannem, Szwajcarem, pierwszym Niemcem na stanowisku szefa Deutsche Banku i spytałem go, jak to było możliwe, że tak renomowany bank wpakował tyle pieniędzy w toksyczne operacje finansowe. A on powiada, że w takim wielkim banku możliwa jest kontrola najwyższej 40 procent operacji. To wszystko działało do pewnego momentu. Kiedy pierwsza kostka domina, czyli bank Lehman Brothers, padła, nastąpiła dramatyczna dezintegracja rynku kapitałowego.

Dlatego precyzyjne przeanalizowanie tych wszystkich zjawisk, co się stało i dlaczego tak się stało, jest pierwszoplanowym zadaniem dla socjaldemokracji. Tu możemy liczyć przede wszystkim na naszych zachodnioeuropejskich kolegów, bo oni jednak z kapitalizmem mieli więcej do czynienia i lepiej go znają niż my po dwudziestu latach transformacji. Powinniśmy też przyjąć do wiadomości, że konsekwencje kryzysu będą o wiele głębsze, niż dziś możemy przewidzieć. Ten kryzys toczy się powoli i w Polsce nie odczuwamy wielkiego zagrożenia, a nawet dramatycznej sytuacji w Grecji jest do opanowania. Jednak może to zgoła inaczej wyglądać, jeśli kryzys osiągnie Włoch.

Tak więc gospodarka wymaga głębokiej, krytycznej analizy i regulacji, które pomogą opanować zdeintegrowany rynek. Natomiast rzeczywiście ważną konsekwencją kryzysu jest poderwanie zaufania do najpotężniejszych instytucji finansowych i ekonomicznych. Dotyczy to relacji tak delikatnych, jak relacje banku z klientem, który mu powierza swoje pieniądze i z państwem, które jest jakimś gwarantem działania rynków finansowych. Może to spowodować poważne konsekwencje, nie tylko w formie „ruchu oburzonych”.

Czy z tego braku zaufania wyrośnie ruch porównywalny zasięgiem do ruchów studenckich roku 1968, tego nie wiemy, ale niewątpliwie odbudowanie czy budowanie na nowo zaufania do instytucji rynku i państwa może okazać się zadaniem skomplikowanym. Co gorsza, taka sytuacja stwarza ogromne pole do popisu dla różnych populizmów, bo przecież nie brak ludzi, którzy chętnie wykorzystają obecne słabości kapitalizmu.

Ważnym problemem są zmiany klimatyczne, o których ciągle mówimy, ale skutki których przewidzieć będzie trudno. Nie zgadzam się z Wacławem Klausem, który głosi pogląd dość ekscentryczny, że wszystko jest w najlepszym porządku. Ja nie jestem pewien, czy mamy do czynienia z ociepleniem, czy z ochłodzeniem klimatu, bo to w zależności od pory roku wygląda różnie. Natomiast teza, że czynnik ludzki wpływa na zmiany klimatyczne bardziej niż kiedykolwiek jest tak oczywista, że nie podlega dyskusji. Gdy żyło na ziemi miliard ludzi, wpływ ten musiał być mniejszy niż dziś, gdy żyje siedem miliardów używających współczesnej techniki. Nie trzeba być noblistą, żeby dojść do takiego wniosku.

Tak więc zmiany klimatyczne to problem, którym musimy interesować się wszyscy i nie można go zostawić tylko ruchom zielonych czy gremiom ekologicznym. Socjaldemokraci niemieccy będą tu mieli sporo do powiedzenia, na przykład, jak sobie wyobrażają świat po zamknięciu elektrowni atomowych, jak bardzo liczą na energie odnawialne, jak wyobrażają sobie w czasie kryzysu gospodarczego zrealizowanie planów wyłączenia elektrowni atomowych. Takie poglądy w sprawie ograniczenia atomu w pełni podzielam, ale zastanawiam się, na ile są realne!

Nie lubię słowa kryzys, bo jak je za często powtarzamy, to staje się samosprawdzalną prognozą. Mówmy więc o chwilowych problemach, przejściowych zaburzeniach, które jednak nie wpływają na istotę systemu, bo demokracja przy swoich wszystkich wadach jest jednak systemem nieidealnym, ale jak zauważył Churchill – najlepszym. Natomiast na początku XXI wieku musimy przyznać – tak, demokracja ma kłopot! Wynika on, jak już wspominałem, z atomizacji społeczeństw. Ludzie dziś nie odczuwają więzi ze swym państwem w sposób tak silny jak to odczuwali wcześniej. Widać to choćby po frekwencji wyborczej nawet w państwach o starej tradycji demokratycznej. Ciągłe frekwencja jest tam spora, ale nie jest to już 80 tylko 60 procent.

To jest również pojawianie się alternatywy. Nie możemy żyć dwadzieścia lat po upadku komunizmu w błogim przeświadczeniu, że alternatywy dla demokracji i gospodarki rynkowej nie ma. Alternatywa jest i objawia się najwyraźniej w dobie kryzysu. To jest model chiński: „rynek tak – demokracja nie!” I siłę czerpie z tego, że proces podejmowania decyzji jest tam szybszy, że nie traci się czasu na różne procedury, że nie zakłócają go kolejne wybory i zmiany gabinetów. Jestem wprawdzie przekonany, że modelu chińskiego nie da się przenieść do Europy, bo mamy tu ciągle za mało Chińczyków, ale możliwe jest na przykład przeniesienie go do Rosji, choć mało jest nacji bardziej różniących się od siebie niż Chińczycy i Rosjanie. Ale już pojawia się w innych krajach byłego ZSRR i jest to jakaś alternatywa.

Jeśli Chiny rzeczywiście wesprą nasze fundusze stabilizacyjne i jeśli nie wykorzystają naszych słabości, bo im potrzebna jest stabilna Europa jako bogaty rynek zbytu, to pozycja tego kraju będzie rosła. I nasze apele, by przyjmować Dalajlamę w stolicach krajów europejskich z racji moralnych zobowiązań, jakie mamy wobec walczącego o wolność Tybetu, pozostaną bez echa. Mówię to z pewnym żalem, ale zwycięży *realpolitik*.

Słabość demokracji jest zjawiskiem realnym i widocznym gołym okiem. Bo skoro zarzucamy Papandreu, że krokiem populistycznym było dążenie do przeprowadzenia w Grecji referendum w sprawie cięć oszczędnościowych, to przyznajemy się zarazem do ogromnej klęski demokracji! Gdybyśmy odrzucili presję czasu i wymóg dramatycznej sytuacji, to musielibyśmy przyznać, że nie ma bardziej uczciwego sposobu niż referendum! Powinno się zapytać ludzi: Chcecie zostać w systemie euro – musicie ponieść wielkie koszty. Nie godzicie się? To wychodzimy i doprowadzamy kraj do bankructwa ze wszystkimi konsekwencjami tego faktu. Jeśli spojrzeć na to z punktu widzenia zasad demokratycznych, a szczególnie socjaldemokratycznych, to powinniśmy Papandreu złożyć gratulacje, bo zasadnicze decyzje w demokracji można podejmować tylko w ten sposób.

Inny, ale bardzo istotny objaw kryzysu demokracji to dobór ludzi, którzy garną się do polityki. Co robi dzisiaj młody człowiek, który kończy uczelnię ze znakomitymi wynikami i ze znajomością języków? Ma cztery oferty na stole – pierwszą ze świata finansowego, drugą ze świata korporacyjnego, trzecią z medialnego, a czwartą ze świata polityki i ta ostatnia jest najslabsza. Nie dziwny się więc, że jakość debaty politycznej nas nie zadowala, a liderów politycznych nie cenimy. Na tym tle doskonale wypada system chiński, gdzie doboru do polityki dokonuje się precyzyjne, drogą poważnej eliminacji i selekcji.

Hierarchia, która tam została stworzona, wykazuje często wyższy stopień kompetencji niż to, co my możemy jej przeciwstawić.

Nie jest to jeszcze zapewne czas na granie *larum* dla europejskiej demokracji, ale na pewno wszystkie siły polityczne, a szczególnie socjaldemokracja muszą brać tę ewentualność pod uwagę. Jeśli demokracja miałaby się rozwijać wedle tego modelu, z którym mamy do czynienia, jeśli nie doprowadzimy do większego uspołecznienia życia politycznego i partyjnego, to będzie ona karleć, a to byłoby bardzo złą prognozą dla naszego świata.

Tak więc bez zrozumienia wymienionych tu uwarunkowań, a przynajmniej bez głębokiej dyskusji na wskazane tematy, nie da się sformułować żadnego sensownego, długofalowego programu politycznego. Nie mówię o hasłach na kolejną kampanię wyborczą, bo to zawsze można zrobić, ale jeśli chcemy wieloletniej i skutecznej obecności socjaldemokracji w życiu politycznym, to musimy odpowiednio zareagować na zachodzące zmiany w świecie współczesnym.

Jaki więc wyłania się z tego projekt, o którym warto dyskutować i który powinien być trzonem myślenia socjaldemokratycznego nie tylko w Europie środkowo-wschodniej, ale w całej Europie? Zacznijmy od kwestii wolności, o której mówił już Willi Brandt w swym wielokrotnie cytowanym przemówieniu. Dla obywatela wykształconego, żyjącego w nowoczesnym świecie, wolność i obrona tej wolności przed wszelkimi zagrożeniami, także płynącymi z tego nowoczesnego świata, to potrzeba pierwszoplanowa. Pojawiają się tu różne dylematy i trzeba będzie rozstrzygać, ile wolności, a ile bezpieczeństwa, ile wolności indywidualnej, a ile państwa, czyli ile regulacji i zakazów, które ingerują w naszą codzienność – aktywność zawodową czy biznesową. Bardzo wyraziście manifestuje się też wolność intelektualna czy duchowa, w sprzeciwie wobec reguły Kościołów.

Lewica ma tu wielki dorobek i ogromne tradycje, bo zawsze była środowiskiem emancypacyjnym. To socjaldemokracja walczyła o emancypację kobiet, robotników, ludzi upośledzonych, imigrantów. To trzeba dziś kontynuować, wszystkie dokonania historyczne winny być przejrane pod kątem nowych potrzeb i na ten aspekt wolnościowy trzeba kłaść nacisk. Jeśli szukamy przyczyn sukcesu Palikota w ostatnich wyborach, to czynnik wolnościowy był bardzo istotny. Wolność i pokazanie, że my prawa jednostki traktujemy jako sprawę zasadniczej wagi jest dla socjaldemokracji bardzo istotne w zmieniającym się świecie.

Drugi problem to nierówności społeczne. I on ciągle narasta. Jak do tej pory próbowano go rozwiązać? Na dwa sposoby – poprzez zwiększanie podatków dla najuboższych, co i tak pewnie okaże się konieczne, żeby zapobiec skutkom kryzysu, albo przez pewnego rodzaju system zasiłków społecznych, który ma to do siebie, że rzeczywiście udziela pewnej pomocy środowiskom najslabszym, ale także demoralizuje, bo nie zmusza ich do aktywności. Dzisiaj spojrzenie na nierówności społeczne jest bardziej skomplikowane niż proste przeciwstawienie biednych bogatym czy zdrowych – chorym. Do tego dochodzą różnicowania geograficzne – jeśli urodziłeś się w złym miejscu, od razu jesteś upośledzony. Walka z nierównościami musi być prowadzona nowocześniejszymi sposobami – przede wszystkim poprzez lepsze systemy edukacyjne i pełny dostęp do nich, przez projek-

ty redukujące nierówności regionalne, a także udzielając wsparcia społecznego, które by pomagało ludziom biednym poprzez ich aktywizowanie, co udało się w Brazylii.

Zmiany wymaga na pewno system edukacji. Powinien on być dostosowany do tego nowego, zmieniającego się świata. Partia czy ugrupowanie polityczne, które przedstawi program edukacji stwarzający rzeczywiście szansę dla młodych ludzi, może liczyć na ich poparcie. Ale nie może to być program opierający się na wzorach z przeszłości z niewielkimi zmianami, tylko całkowicie nowy projekt.

Kolejny element takiego programu to określenie wyraźnego stanowiska w sporze między globalizacją i reakcją na nią, czyli pogłębieniem integracji w ramach Unii Europejskiej, a ideą i konstrukcją państwa narodowego. To jeden z najpoważniejszych i najgorętszy ze sporów, a jego rozstrzygnięcie czeka nas w najbliższej przyszłości. W Polsce on się już toczy między Kaczyńskim i Tuskiem, ale też między SLD i Palikotem. Musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, czy chcemy państwa narodowego jako miejsca obrony wartości tradycyjnych, konserwatywnych, najbardziej rudymentalnych, czy jesteśmy gotowi pójść dalej w procesach integracyjnych, czyli mówiąc krótko – zakończyć proces integracji przez stworzenie Federacji Europejskiej! Za tym idzie oczywiście rezygnacja z wielu instrumentów państwa narodowego.

Rzecz jest niełatwa, ale wymaga jasnego postawienia. Gdybym więc miał dziś budować program socjaldemokratyczny dla Europejczyków, to oświadczenie, że finałem procesu integracji europejskiej ma być powstanie Federacji miałyby głęboki sens, bo oznaczałoby nie tylko działania polityczne, które ku temu zmierzają, ale budowanie świadomości europejskiej, czego dziś nie robimy, bo obawiamy się, że nie zdobędzie dla tej idei akceptacji. No i w ten sposób pozostawiamy pole populistom, nacjonalistom i przyczyniamy się do renesansu szowinizmu narodowego, którego bym się w warunkach europejskich obawiał.

Oczywiście to nie jest pełna lista problemów, które winny współtworzyć program socjaldemokracji europejskiej, jednak one zdecydują, czym on różnić się będzie od programów innych środowisk politycznych. A tylko taki program może znaleźć odbiorców wśród młodych wyborców, którzy w starych strukturach nie znajdują dla siebie ani miejsca, ani odpowiedzi na ich pytania i wątpliwości.

I jeszcze jedno. Stawianie problemu w ten sposób, że Europa Środkowa jest jakimś „innym zwierzęciem” niż Zachód z racji swoich historycznych doświadczeń, z każdym dniem będzie traciło sens. Będąc razem w Unii Europejskiej widzimy naocznie postępujący proces wzajemnego zbliżania się zarówno w sferze ekonomicznej, jak i sposobów myślenia. Mówi się, że zarysowują się różnice nawet w obrębie Europy Środkowej, gdyż mieliśmy różne doświadczenia. Polska i Węgry miały rzeczywiście systemy bardziej liberalne niż Bułgaria i Rumunia czy Czechosłowacja Husaka, ale na polskim przykładzie widać wyraźnie, że czynnik historyczny traci na znaczeniu.

Źródłem sukcesu formacji, którą kierowałem w latach 90. minionego stulecia, było odwołanie się do ludzi, którzy żyli w PRL i nie wyrażali zgody na to, żeby ich wysiłek i praca zostały unieważnione. Tym różniliśmy się od konkurencji, a zarazem odwołał się do realnie istniejącej licznej grupy ludzi, którzy stali się ofiarami procesu przekształceń. Głównym czynnikiem był sformułowany przez

nas program modernizacyjny, który pozwalał wierzyć, że lewica będzie sprawą kraju posuwała naprzód. A drugim atutem był czynnik ludzki! Myśmy naprawdę rozporządzali wybitnymi postaciami, które w opinii wyborców miały kompetencje i tytuł do rządzenia i z nich moglibyśmy stworzyć nie jeden rząd lecz kilka. Dziś czynnik historyczny traci na znaczeniu i w pewnym sensie stał się kontraproduktywny. Z tych milionów ludzi, którzy byli głęboko zainteresowani obroną swej przeszłości, z każdym dniem robi się mniejsza garstka. Także w stosunku do młodego pokolenia jest to kontraproduktywne. Pamiętajmy, że w życie weszły pokolenia, które urodziły się już po upadku komunizmu i dla nich informacja, że jakaś partia jest „postkomunistyczna” przywołuje jakąś nieznaną im przeszłość.

Tak więc sprawą zasadniczą staje się pytanie, jak partie socjaldemokratyczne będą umiały znaleźć się w tym szerokim nurcie myślenia paneuropejskiego czy myślenia o zmianach w Europie, i jak będą definiowały problemy swych krajów. W Polsce, gdyby dziś nazwać problemy, które będą zajmować ludzi i staną się wehikułem służącym budowie pozycji lewicy, to najlepiej je zdefiniował Palikot – walka o wolność światopoglądową i neutralność w tej sprawie państwa. Palikot robi to na gruncie antyklerykalnym, SLD może to robić na gruncie racjonalnym, ale musi to robić, bo to jest dzisiaj, uwzględniając historyczną pozycję Kościoła katolickiego w Polsce i kryzys, w jakim on się znalazł, problem, który obchodzi więcej ludzi niż nam się wydaje.

Drugi problem, który także staje się bardzo widoczny, a obawiam się, że będzie narastał, to nierówności społeczne i poczucie młodych, wykształconych ludzi, że nie ma dla nich miejsca w wolnej, kapitalistycznej Polsce w początkach drugiej dekady XXI wieku! Pamiętajmy też, że polityka poza treściami programowymi podlega uwarunkowaniom psychologicznym. Każda partia musi wiedzieć, że nawet dysponując bardzo dobrym programem i znacznymi osiągnięciami dochodzi do momentu, w którym następuje pewne znużenie. Można wprawdzie wygrać drugie wybory, ale w demokracji bardzo trudno wygrać wybory trzecie. Przyczyną nie jest to, że partie stały się nagle niedobre, ale w dobie szczególnej ekspansywności mediów oglądamy określonych ludzi 24 godziny na dobę i to niekoniecznie w przyjaznym świetle. Pominę tu wyjątkowe postacie jak Margaret Thatcher, Blaira czy Kohla, ale zwykle politycy zużywają się szybciej.

To kolejna dobra prognoza dla socjaldemokratów, bo po wahadle, które odchyliło się na prawo, powinno przyjść odchylenie w lewo. Ale tu przestroga dla naszych socjaldemokratów – wahadło się wychyli, lecz muszą się jeszcze znaleźć ludzie, którzy okażą się rzeczywistą, poważną, sensowną i interesującą alternatywą dla rządzących aktualnie. I jeżeli takich ludzi socjaldemokraci nie będą mieli w ciągu najbliższych czterech lat, to wahadło się wychyli nie dla socjaldemokratów, tylko dla innych ugrupowań, bo żyjemy w demokracji, w której wszystko się może wydarzyć.

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI

Wystąpienie na konferencji *W poszukiwaniu nowych dróg rozwoju – socjaldemokratyczne perspektywy dla Europy Środkowo-Wschodniej*, która odbyła się w Warszawie 3 listopada 2011 roku z inicjatywy Fundacji im. Friedricha Eberta, Ośrodka Myśli Społecznej im. F. Lassalle'a oraz tygodnika „Polityka”.

EDWARD KAROLCZUK

GLOBALIZACJA A PARTYKULARYZM I SEPARATYZM

Globalizacja miała uczynić świat jedną globalną wioską, a człowieka obywatelem świata. Z kolei według innej koncepcji powstało wszechpotężne *Imperium* jako nowy ład o strukturze sieciowej, pozbawiony zwartego centrum władzy, niezależny od dotychczasowych granic państwowo-narodowych. Wbrew tym prognozom separatyzm narodowy i narodowościowy ma się dobrze i stał się niejako drugą stroną liberalnej globalizacji.

Źródła współczesnego separatyzmu można szukać w globalizacji, która niesie ze sobą m.in.: unifikację produkcji, konsumpcji i kultury oraz przekazu telewizyjnego i filmowego; okcydentalizację; narzucanie języków lokalnym narodom i narodowościom; zmiany struktury społecznej; szybką degradację lub niewyjaśniony awans wielu grup społecznych; szybkie przekształcenia własnościowe; wyrzucanie poza nawias społeczny wielu nie zintegrowanych z systemem globalnym środowisk; rozwój ponadnarodowej i ponadlokalnej biurokracji; utratę punktów orientacyjnych w systemie wartości; poszerzenie dystansu pomiędzy Centrum a peryferiami; bankructwo dekolonizacji; zmiany cen i stóp procentowych wywołane odległymi faktami ekonomicznymi; łamanie przemocą zwyczajów międzynarodowych.

Odpowiedzią części społeczeństw na te przemiany związane z globalizacją jest m.in.: rozwój poczucia otoczenia poszczególnych państw i narodów przez wrogów, którzy tylko dybią na ich pomyślność i egzystencję; odradzanie się tradycyjnych konfliktów terytorialnych; rozbudzanie dążeń do separatyzmu i regionalizmu oraz buntu; rozwój ruchów ekologicznych, które nie chcą być ani polityczne, ani lewicowe, ani prawicowe; odradzanie się mistycyzmu, powroty do religii i nastanie mody na odległe religie, na egzotyczne filozofie zgodne z „naturą”; uciekanie młodego pokolenia w narkotyki, które zastępuje ucieczkę starszego pokolenia w alkohol. Rozwijające się ruchy odśrodkowe są odpowiedzią na zagrożenia ze strony świata zewnętrznego, jakie zawisły nad poszczególnymi państwami i społecznościami lokalnymi, a istniejące sprzeczności i frustracje często znajdują swoje ujście podczas brutalnych zajęć na stadionach lub po meczach piłkarskich.

Zwolennicy globalizacji twierdzą, że przyszłością w ustanowieniu nowego globalnego ładu są państwa narodowe, których suwerenność należy ograniczyć.

Zjawisko to nie jest jednak jednoznaczne w ocenie, gdyż w latach 90. XX w. powstały 23 nowe państwa, a wiele podległych narodów nadal dobija się swojej niepodległości. Z kolei przeciwnicy globalizacji uważają, że państwa narodowe nie dość energicznie przeciwstawiają się transnarodowym korporacjom i ich polityce, że tylko naturalne i silne zbiorowości lokalne wierne tradycjom zdołają pokonać rosnące zagrożenia. Ożywa separatyzm narodowościowy w krajach uważanych dotąd za jednolite. Niektóre separatyzmy mają mniejsze lub większe swoje historyczne i społeczne uzasadnienie, a niektóre sprawiają wrażenie bardziej tworów medialnych niż rzeczywistych, gdyż nie stoją za nimi żadne historyczne mniejszości narodowe czy narodowościowe.

Zdaniem Habermasa powstanie państw narodowych związane było z rozpadem społeczeństw stanowych, kiedy dokonywała się transformacja „narodu szlacheckiego” w „naród ludowy”. Od czasu Rewolucji Francuskiej 1789 r. uzyskanie praw obywatelskich nałożyło na obywateli obowiązek służby wojskowej i ryzykowania życia dla całej wspólnoty. Służba wojskowa (także kobiet w późniejszym okresie) stała się drugą stroną praw obywatelskich. Gotowości do walki i śmierci za ojczyznę miała dowodzić zarówno patriotyzmu, jak i przekonania republikańskich. W świadomości społecznej „kamienie milowe walki o wolność republikańską łączą się z symboliką śmierci upamiętniającą poległych na polu chwały”¹.

Ukształtowanie się współczesnych narodów wymagało przezwyciężania starych więzi partykularnych i regionalnych. Poprzez przynależność do „narodu” powstała więź solidarności między osobami, które zaczynały być postrzegane jako sobie obce. Ukształtowanie się państwa narodowego w nowy sposób legitymizowało państwo jako instytucję panowania klasowego. Ta nowa legitymizacja była niezbędna w związku z tym, że wraz z rozwojem pluralizmu światopoglądowego panowanie polityczne zostało pozbawione podstawy religijnej i „boskiego namaszczenia”. Ponadto procesy związane z rozwojem gospodarki rynkowej nasiliły ruchliwość społeczną i przyspieszyły wyzwolenie się

¹ Jürgen Habermas, *Uwzględniając innego. Studia do teorii politycznej*, Warszawa 2009, s. 122.

jednostek spod panowania więzi stanowych. Prawa poddanego zmieniły się w liberalne i polityczne prawa obywatelskie. Do zastąpienia rozpadających się więzi stanowych konieczna była idea dająca możliwość mobilizacji ludu mocniej niż prawa człowieka – suwerenność narodu.

Idea narodu i ducha narodu stała się formą tożsamości zbiorowej, dostarczając „prawnie ukonstytuowanej formie państwowej substratu kulturowego” (s. 120). Obywatelstwo zostało „podwójnie zakodowane”: z jednej strony – przez prawa obywatelskie, a z drugiej – zdefiniowane jako kulturowa przynależność do narodu. „Bez tej kulturowej interpretacji praw obywatelskich (*staatsbürgerliche Rechte*) państwo narodowe w fazie swego powstawania nie znalazłoby dość siły, by przez zaprowadzenie demokratycznego obywatelstwa stworzyć jednocześnie nową, bardziej abstrakcyjną płaszczyznę integracji społecznej” (s. 120).

Ten kto zdobywa tożsamość w wyniku wojen zewnętrznych i wojen domowych, zdobywa możliwość określania granic wspólnoty narodowej. Nacjonalizm określa granice w specyficzny sposób. „Nawet jeśli świadomość narodowa sama jest artefaktem, projektuje ona wyobrażoną wielkość w postaci narodu jako coś wyrosłego naturalnie, co w przeciwieństwie do sztucznego porządku prawa pozytywnego i konstrukcji państwa konstytucyjnego rozumie się samo przez się” (s. 123). W rzeczywistości to państwa były silnym czynnikiem narodotwórczym. W świadomości późniejszych pokoleń nastąpiło jednak odwrócenie kolejności tego procesu i wszelkie ruchy społeczne ubrane w narodowy, narodowościowy czy kulturowy kostium wydają się bardziej pierwotne i ważniejsze od ruchów ogólnopaństwowych. Dlatego Habermas dodaje, że „Właśnie sztuczność mitów narodowych, zarówno w obróbce naukowej, jak i w wersji propagandowej czyni nacjonalizm z gruntu podatnym na nadużycie przez elity polityczne” (s. 123).

Zdaniem Habermasa ten złożony proces uniwersalistycznego przekształcania lojalności wobec wioski, rodziny, kraju i dynastii nie obejmował całej ludności nawet w krajach wysoko rozwiniętych do początków XX w. Nacjonalizm jest więc stosunkowo świeżej daty i jest różnie zakorzeniony w poszczególnych regionach danych państw. Nowe więzi utrwały się stopniowo poprzez powszechny obowiązek służby wojskowej, w czasie której wyrabiano gotowość do walki i ofiarności przeciwko „wrogom ojczyzny”. W sytuacji zagrożenia solidarność obywateli ujawniała się jako jedność tych, którzy ryzykują życie dla narodu i ojczyzny, co nie oznacza, że w poszczególnych regionach danych krajów nie było jednostek i grup, które takiej potrzeby zbyt mocno nie odczuwały.

To właśnie urzeczywistnienie wspólnoty narodowej przyniosło możliwość zaistnienia republikańskich praw wolnościowych, a zatem i – co zakrawa na paradoks – możliwości demokratycznej walki o partykularne interesy. Po ukształtowaniu się narodu i ujawnieniu się jego sprzeczności społecznych pojawia się złudzenie, że świadomość narodowa jest tylko zewnętrzną formą, a istotą jej jest świadomość regionalna, co ma często swoje wsparcie w zróżnicowanym poziomie rozwoju gospodarczego poszczególnych krajów. Świadomość narodowa wykuta w walce z innymi narodami „jawi się

tylko jako osłona dla urzeczywistnianych w sferze wewnętrznej indywidualnych wolności obywateli – zarówno wolności składających się na prywatną autonomię obywateli społeczeństwa, jak i tych składających się na polityczną autonomię obywateli państwa” (s. 136).

Kiedy jedność narodowa zostaje zagrożona w wyniku wewnętrznych sprzeczności klasowych czy globalizacji, niektórym w reakcji obronnej zaczyna się wręcz wydawać, że patriotyzm lokalny jest zdrowszy i ważniejszy, a patriotyzm narodowy służy mu tylko za tło świadomości. Próbują nawoływać do tworzenia wspólnot, które są przeciwne wspólnotom narodowym osłabionym przez globalizację. Ich zdaniem nacjonalizm ogólnonarodowy dożywa swoich ostatnich dni i przestaje być konieczny dla rozwoju republiki i demokracji. Sensem demokratycznego rozwoju społeczeństwa staje się jego zróżnicowanie. Konstytucja, ogólnokrajowe prawo oraz tradycje powstań i zwycięstw w bitwach narodowych nie muszą zatem być szanowane.

Taka geneza i sposób funkcjonowania narodu sprawia, że występują w jego tonie immanentne sprzeczności. Z jednej strony, naród powstający z politycznej woli obywateli jest źródłem legitymizacji demokratycznej i dążenia do uniwersalizmu zrzeszenia wszystkich wolnych i równych obywateli zjednoczonych wspólnym językiem i historią, ale z drugiej strony, sztuczność mitów narodowych sprawia, że pojawia się partykularizm często pod płaszczykiem obrony „autentycznej” regionalnej kultury czy „małej” ojczyzny.

By zneutralizować wewnętrzne konflikty klasowe, rządy państw narodowych z jednej strony – inicjują konflikty z innym narodami i tolerują rasistowskie zachowania, ale z drugiej strony, ponieważ integracyjna moc demokracji obywatelskiej może ujawnić się tylko wtedy, gdy będzie można stworzyć warunki dla rozwoju wszystkich i ich egzystencji w pożądanym przez siebie formach, bagatelizuje i toleruje ruchy separatystyczne i autonomiczne. Ze swych prawno-politycznych kompetencji wszyscy obywatele mogą jednak skorzystać tylko pod warunkiem nienaruszalności przez państwo sfery prywatnej i prywatnej aktywności. Łata po II wojnie światowej dowiodły żywotności i korzyści demokratycznej wspólnoty narodowej. Globalizacja przyniosła jednak inne i nowe problemy, ale nie zlikwidowała sprzeczności pomiędzy nacjonalizmem a patriotyzmem, globalnym uniwersalizmem a partykularyzmem.

Denacjonalizacja gospodarki w warunkach globalizacji przy dominacji neoliberalizmu sprawia, że polityka narodowa coraz bardziej traci władzę nad warunkami produkcji, w których powstają zyski. Rządy mają coraz mniejszy wpływ na przedsiębiorstwa, które podejmują decyzje inwestycyjne z punktu widzenia swoich globalnych interesów. Państwa narodowe znalazły się w ślepych zaułku. Próbują ratować swą tożsamość w sytuacji, gdy globalizacja pozbawia je resztek władzy. Stąd też same państwa narodowe zaczynają wspierać ruchy regionalne i kulturę lokalną w nadziei, że ochronią swą odmienność i tożsamość wobec zagranicy oraz zamaskują rozrywające je od środka konflikty klasowe. Również poszczególne partie polityczne (nie tylko te programowo narodowe czy rządzące) szukają sojuszników wśród ruchów separatystycznych w nadziei na zajęcie jakiejś niszy wyborczej i poprawę

swoich wyników w wyborach. W efekcie ruch separatystyczny zaczyna odgrywać większą rolę, niż to wynika z rzeczywistej roli chcącej wyodrębnić się mniejszości.

Globalizacja na płaszczyźnie ekonomicznej stwarza problemy, których społeczeństwa nie są w stanie rozwiązać w ramach państw narodowych ani ustaleń między suwerennymi państwami. Obserwowana jest bowiem erozja suwerenności państw i dotychczasowych form demokracji, a nowe ponadnarodowe skuteczne struktury demokratyczne jeszcze się nie ukształtowały. Poszczególne środowiska próbują utrzymać lub uzyskać kontrolę nad lokalnymi środkami produkcji i surowców, i to jest najbardziej ogólna podstawa wszelkiego partykularyzmu oraz walki o autonomię w tonie poszczególnych dotychczasowych państw narodowych. Ponieważ poszczególne państwa narodowe nie są w stanie poradzić sobie z problemami socjalnymi i ekologicznymi niesionymi przez globalizację, Habermas stawia pytanie o to, czy „przewyciężenie” państwa narodowego nastąpi na drodze jego likwidacji czy odtworzenia na wyższym poziomie? To z kolei rodzi pytanie o przyszły kształt demokracji oraz o nową definicję ogółu tych, do których mają się odnosić prawa obywatelskie. Czy obywatele korzystając ze swoich republikańskich wolności nie są niejako naturalnie skazani na występowanie przeciwko swemu własnemu rządowi?

Granice międzypaństwowe są najczęściej wynikiem przypadków zrodzonych podczas burzliwych konfliktów, wojen i wojen domowych – ten kto zdobywa władzę, określa granice z innymi państwami. Według Habermasa republikańskie poglądy umacniają przekonanie o przypadkowości wielu granic, a „sięgnięcie do organicznie rozumianego (*gewachsene*) narodu może wyposażyć granice w aurę udawanej substancjalności i uprawomocnić je przez skonstruowane odniesienia do pochodzenia. Nacjonalizm wypełnia normatywną lukę odwołując się do tak zwanego »prawa« do narodowego samookreślenia” (s. 145).

We współczesnych warunkach historycznych poza narodem i w oderwaniu od narodu, który cieszy się państwową niepodległością, nikt nie może w pełni korzystać ze swych praw obywatelskich. Prawo każdego narodu do własnego państwa jest wręcz warunkiem koniecznym do gwarantowania praw indywidualnych. Z jednej strony – „dana grupa narodowa kwalifikuje się do tego, by mieć prawo do narodowego samookreślenia właśnie przez to, że sama siebie definiuje jako jednorodny naród i zarazem ma moc kontrolowania owych granic z takich przypisanych cech” (s. 146). Ale z drugiej – założenie o jednorodnym narodzie jest sprzeczne z zasadą dobrowolności i prowadzi do normatywnie niepożądanych konsekwencji, „zmusza do represyjnej polityki, czy to przymusowej asymilacji obcych elementów, czy to utrzymywania narodowej czystości przez apartheid i czystki” (s. 146), wysiedlenia i kontroli napływu obcych, segregacji i zakładania rezerwatów i bantustanów.

Koncepcja republikańska zakłada, że wspólnoty etniczne mogą nadawać sobie demokratyczną konstytucję i ustanawiać się jako suwerenne państwa – wszyscy walczący o autonomię nie muszą nikogo pytać o zgodę, jeśli są dostatecznie silni, zwarci i gotowi do poświęceń. Trzeba bowiem pamiętać, że wszystkie państwa narodowe nie wyrastają i nie kształtują się w sposób pokojowy z osobnych grup etnicznych, ję-

zykowych czy kulturowych, lecz „podbijają sąsiednie regiony, plemiona, subkultury, wspólnoty językowe i religijne. Nowe państwa narodowe powstają na ogół kosztem asymilowanych, uciskanych lub marginalizowanych »pod-ludów«. Tworzeniu państwa narodowego pod hasłami etnonarodowymi prawie zawsze towarzyszyły krwawe rytuały czystek i zawsze jakieś nowe mniejszości poddawano nowym represjom. [...] Dość często po szczęśliwym wyzwoleniu prześladowani sami stawali się prześladowcami” (s. 146-147). Widzimy, że demokratyczne prawo do samostanowienia może zamieniać się w swoje przeciwieństwo – prawo do represji wobec „nowych-obcych”, którzy z narodowej większości przekształcili się na danym terenie w wyniku transformacji w regionalną mniejszość. Stare problemy mogą więc wracać pod nowym sztandarem.

Nie każde żądanie samookreślenia jest słuszne. Jak pisze Habermas, „Żądanie secesji jest dopiero wtedy uprawnione, gdy centralna władza państwa odmawia praw jakiejś części ludności skupionej najednym terytorium; wtedy żądanie inkluzji można przeprowadzić na drodze wiodącej przez narodową niepodległość” (s. 147). Prawa do secesji nie można uzasadnić powoływaniem na demokrację i prawa człowieka, ani wyrażać zgody na secesję: „Dopóki mianowicie wszyscy obywatele cieszą się tymi samymi prawami i nikt nie jest dyskryminowany, nie ma normatywnie przekonywującej racji na rzecz odłączenia się od istniejącej wspólnoty. Przy tym założeniu nie może być mianowicie mowy o represji i »obcym panowaniu«, które dawałoby mniejszościom prawo do secesji” (s. 147).

ONZ gwarantuje wszystkim narodom prawo do samostanowienia, ale nie nadaje pojęciu narodu znaczenia etnicznego. Nie są narodem poszczególne osoby żyjące w rozproszeniu, tylko dlatego, że złożą samookreślającą deklarację. Nie są również narodem ci mieszańcy jakiegoś regionu, którzy z racji wyższego poziomu jego rozwoju gospodarczego manifestują i wyolbrzymiają swą odmienną kulturę, gdyż muszą wносить więcej środków do budżetu państwa, niż z niego dostają.

Na obecnym etapie demokratyczne państwa narodowe nie mogą z racji wyznawanych wartości siłą stłumić wszelkich partykularyzmów i regionalizmów, ale nie mogą też pozwolić na rozkawałkowanie z byle powodu narodowej wspólnoty.

Sprawdzianem z republikanizmu i demokracji jest również stosunek do polityki imigracyjnej. Europejskie państwa wysoko rozwinięte wobec demograficznego kurczenia się ich społeczeństw prowadzą politykę imigracyjną podporządkowaną swoim względom gospodarczym. Tymczasem z wyznawanej neoliberalnej ideologii i gotowości do obrony praw człowieka wynika obowiązek, by nie ograniczać kontyngentów imigracyjnych do potrzeb gospodarczych kraju czy regionu przyjmującego, czyli mile widzianych i wykształconych fachowców gotowych świadczyć pracę za połowę płacy robotczej. Chodzi o to, by politykę imigracyjną prowadzić w oparciu o kryteria akceptowane przez wszystkich zainteresowanych i nie odwoływać się do potrzeby obrony własnej tożsamości.

ZDZISŁAW SADOWSKI

JAKIEGO ŁADU SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO POTRZEBUJE POLSKA?

Pytanie postawione w tytule może prowadzić do dwojakiego rodzaju refleksji¹. Można nastawić się na szukanie określenia jakiegoś upragnionego celu przemian, o których wiadomo, że muszą nastąpić. Można też raczej próbować określić, co jest osiągalne. Gdy się mówi o zamierzeniach, ekonomiści są zwykle skłonni skupiać uwagę na tym, co jest osiągalne. Ja jednak już może zbyt długo zajmowałem się tym co osiągalne, tym razem więc raczej pomiję ten aspekt, a skoncentruję się na kwestii, co by się chciało osiągnąć. Myślę jednak, że nie może chodzić o bujanie w obłokach, lecz trzeba trzymać się ziemi. Dlatego sądzę, że nie można odpowiedzieć na to pytanie w odniesieniu do Polski bez uważnego przyjrzenia się temu, co się dzieje na świecie i czego można się spodziewać od rozwoju światowego.

Otóż świat znajduje się, oczywiście jak zawsze, w stanie ewolucji, tylko że teraz ewolucja ta ma pewne cechy zupełnie nowe i bardzo szczególne. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza rozwój światowy przyniósł dwie wielkie przemiany. Jedna – to przemiana związana z rewolucją naukową czy naukowo-techniczną, która wprowadziła świat na wspaniałą drogę tworzenia nowej cywilizacji informacyjnej, która już zmieniła i dalej zmienia warunki życia, a której burzliwy rozwój obserwujemy na co dzień. Druga – to przemiana polegająca na potężnym wynaturzeniu, jakiego doznał podstawowy system funkcjonowania gospodarki na świecie – system gospodarki rynkowej. To wynaturzenie polega na tym, że całe życie gospodarcze świata zostało podporządkowane kapitałowi finansowemu i rynkom finansowym.

Nie jest tu potrzebna długa analiza. Wystarczy zdać sobie sprawę z tego, że międzynarodowe obroty kapitału, wynikające z nieustannego poszukiwania korzystnych lokat, w ciągu ostatnich 30 lat osiągnęły rozmiary wielokrotnie, wiele setek razy przewyższające obroty handlu światowego. A, idąc nieco dalej, wystarczy uświadomić sobie nonsens tego, że te nieustanne przepływy kapitałowe są sterowane przez kilka agencji ratingowych, które profesjonalnie zajmują się wskazywaniem inwestorom, gdzie należy przesunąć kapitał.

Jaskrawość tego nonsensu widać, gdy przypomnimy sobie, na czym polegać powinna gospodarka i czym powinna zajmować się nauka ekonomii. Gospodarka służyła przez wieki zaspokajaniu potrzeb ludzkich w warunkach ograniczoności środków, a wraz

z postępowaniem cywilizacji głównym sposobem zdobywania potrzebnych środków stało się wytwarzanie dóbr i usług za pomocą pracy. Teraz jednak gospodarka w znacznej części polega na grze giełdowej nastawionej na osiąganie zysków dzięki właściwemu inwestowaniu kapitału pieniężnego. Jest to coś zupełnie innego. Jest to właśnie to, co nazywam wynaturzeniem.

Otóż to wynaturzenie pociągnęło za sobą niebagatelne skutki. Obecnie już niemal wszędzie słyszy się i widzi coraz głośniejsze i coraz bardziej stanowcze wyrazy oburzenia i słuszne narzekania na ogromne i wciąż zwiększające się zróżnicowanie dochodowe i majątkowe, z jakim mamy do czynienia w świecie. Jest to właśnie jedno z głównych następstw tego wynaturzenia. Ta współczesna forma gospodarki ma właśnie to do siebie, że na jednym biegunie tworzy wielkie fortuny, a na drugim pozostawia rosnącą nędzę. Efekty wzrostu gospodarczego, który ciągle się odbywa, nie trafiają do mas ludności, one pozostają poza nim, zasilając najbardziej niewielką stosunkowo grupę bardzo bogatych osób, właścicieli kapitału finansowego. To zróżnicowanie, ta polaryzacja, z którą mamy do czynienia, przynosi wyniki w postaci wzrostu napięć społecznych, konfliktowości, burz społecznych, a nawet trwających w tej chwili rewolucji społecznych w świecie arabskim, szykujących się również i gdzieś indziej.

Mamy więc ciekawą sytuację. Z jednej strony wspinała cywilizacja informacyjna, a z drugiej obszar, który domaga się zmiany, jakiejś zasadniczej korekty. Francuski bojownik o prawa człowieka Stefan Hessel wydał niedawno książeczkę, pt. *Czas oburzonych (Indignez-vous)*, czyli w przekładzie właściwszy byłby tytuł „Czas się oburzyć”. Jest interesujące, że ta 30-stronicowa książeczka zrobiła we Francji furorę, a jej 94-letni autor zdobył nią sobie niesłychane uznanie. Napisał teraz nową książeczkę, pt. *Droga nadziei*. Pasuje ona do omawianego tu tematu, bo odpowiada na podobne pytanie. Oczywiście nie w odniesieniu do Polski, tylko przede wszystkim do Francji, ale stosuje się to w ogóle do świata. Odpowiada na to pytanie w kategoriach słusznych zamierzeń, ujmowanych w bardzo piękne słowa i budzących natychmiastowe poparcie. To się czyta z rozkoszą i odbiera się z pełnym przekonaniem, że tak właśnie powinno być. Chodzi o to, że potrzebne jest ogólne współdziałanie ludzi dobrej woli, potrzebna jest eliminacja nędzy, biedy, głodu i wszystkich nieszczęść, które się z nimi łączą. Nie trzeba tu tego rozwijać.

Nasuwa się jednak takie zasadnicze pytanie: czy ten burzliwy rozwój wiedzy, z jakim mamy obecnie do czynienia, doprowadzi również do znalezienia sposobu

¹ Tekst oparty na wystąpieniu autora na Jubileuszu 85-lecia Profesora Tadeusza Kowalika, zorganizowanym przez Polskie Towarzystwo Ekonomiczne i Instytut Nauk Ekonomicznych PAN w dniu 9. grudnia 2011 r.

sprostania tym zdecydowanie negatywnym zjawiskom, które od pewnego czasu znamionują ewolucję systemu gospodarki rynkowej? Czy potrafi przezwyciężyć te zjawiska? Czy potrafi nawet dotknąć tego, co здаwałoby się jest pierwszym i zasadniczym postulatem, mianowicie opanować międzynarodowe ruchy kapitału, uporządkować na nowo i uzdrowić międzynarodowy system finansowy? Ten właśnie postulat był pierwszą reakcją wielu różnych gremiów na wielki kryzys finansowy roku 2008. Teraz jednak stało się jasne, że można go powtórzyć dowolną ilość razy, ale to się nie dzieje. Ci, którzy są przedmiotem takiego postanowienia, mianowicie udziałowcy wielkich centrów kapitału finansowego są dostatecznie silni, aby przeciwstawić się wszelkim próbom działania w kierunkach dla nich niekorzystnych. Tkwimy więc ciągle w tym samym miejscu. Nie umiemy odpowiedzieć, czy nasza wiedza potrafi przezwyciężyć zagrożenia.

Przed światem jest więc bardzo trudny okres. Ten ład, w którym świat się znajduje, ład społeczno-gospodarczy świata jest w tej chwili właściwie bezładem. Znajdujemy się w sytuacji ogromnego i rosnącego napięcia, które może doprowadzić do bardzo różnych zjawisk, a przede wszystkim do pogarszania się sytuacji gospodarczej podstawowych mas ludności świata. A pogarszanie się tej sytuacji będzie oczywiście oznaczało dolewanie oliwy do tego ognia desperacji, który już się tli w rozmaitych punktach.

Jeżeli mamy taką sytuację w świecie, to co z tego wynika dla Polski? Oczywiście nic dobrego, bo Polska nie ma możliwości decydowania o losach świata ani nawet istotnego wpływania na decyzje głównych graczy. Można jednak uczynić spostrzeżenie, że właśnie jako stosunkowo niewielki i niezamożny kraj Polska może jeszcze przez pewien czas rozwijać się własną drogą, a przede wszystkim może na swoim własnym odcinku próbować przezwyciężyć te same negatywne zjawiska, jakie obserwujemy wszędzie na świecie. Jest to możliwe bez względu na to, czy świat będzie dalej zmierzał ku katastrofie, czy też potrafi przezwyciężyć zagrożenia, jakie przed nim stoją. Jeżeli w Polsce zdołamy podjąć skuteczną walkę o eliminację biedy i polaryzacji społecznej, jeżeli zdołamy podjąć intensywną walkę o rozwój wiedzy i ogólnego poziomu wykształcenia społeczeństwa, jeżeli więc kraj zdoła sprostać tym dwóm swoim największym priorytetom rozwojowym, to Polska potrafi sobie zapewnić taki rozwój, który ją przez pewien czas będzie utrzymywał w pozycji kraju osiągnącego coraz lepszą pozycję w świecie. Warto taki cel sobie postawić. Natomiast trudno powiedzieć, czy jest on osiągalny.

Jaki ład społeczno-gospodarczy powinien temu towarzyszyć? Doświadczenie ostatniego ćwierćwiecza było zdominowane przez kierunek myślenia zwany neoliberalizmem, który zapanował wtedy na świecie. Neoliberalizm jest to kierunek ahistoryczny, który usiłował wskrzeszać tezy twórców koncepcji liberalizmu ekonomicznego, głoszących w XVIII wieku idee systemu wolnorynkowego. Od powstania tych idei dzieli nas 200 lat doświadczenia z działaniem kapitalistycznego systemu rynkowego, które dowodnie ujawniło zarówno zalety, jak i wielkie słabości gospodarki rynkowej. Koncepcja nawrotu do pierwotnej idei przy zlekceważeniu całego doświadczenia historycznego nie mogła zdać egzaminu inaczej niż właśnie burząc porządek społeczny

i doprowadzając do przedstawionych właśnie zjawisk bezład. Ale wielki kryzys i sytuacja, w jakiej znalazł się świat, położyły na szczęście kres neoliberalizmowi.

Natomiast pozostaje na arenie dziejów liberalizm demokratyczny, który moim zdaniem w pełni zasługuje na utrzymywanie znaczenia podstawowego kierunku myślenia w tworzeniu nowego ładu społeczno-gospodarczego, chyba w pewnej koniunkcji z socjaldemokracją. Założenia takiej koniunkcji zostały już wytworzone, kiedy – tylko przypomnę – w roku 1981 r. ogłoszony został rzymski Manifest Międzynarodowego Zrzeszenia Liberałów. W manifestie tym *expressis verbis* sformułowano tezę, że nie można osiągnąć celów liberalizmu w społeczeństwie, w którym utrzymuje się masowe bezrobocie i znaczny margines biedy, w którym nie jest zapewniona należyta ochrona zdrowia oaz powszechny dostęp do edukacji i innych dóbr publicznych. Wynikał z tego jasno sformułowany wniosek, że działanie rynku wymaga wspomaganie i regulowanie przez państwo. Państwo powinno więc pełnić funkcję współregulatora gospodarki rynkowej. Myślę, że tej koncepcji warto się trzymać, dostosowując ją do zmieniających się realiów.

Ten manifest rzymski został, można powiedzieć, wyparty i wdeptany w ziemię przez zwrot w kierunku neoliberalizmu. Ale on żyje, pozostaje w pamięci niektórych osób takich jak ja sam. To jest dokument, który moim zdaniem zasługuje na to, żeby go poprawić, wydać jeszcze raz w odpowiedniej liczbie egzemplarzy, żeby można było z niego wyciągnąć rzeczywiste wnioski praktyczne.

Dlaczego podkreśliłem potrzebę koniunkcji z socjaldemokracją? Liberalizm demokratyczny od swoich narodzin był bardzo silnie zorientowany na troskę o społeczną sprawiedliwość, ale opierał się na wierze w dobroczynne funkcjonowanie wolnego rynku. Jednak kapitalistyczna gospodarka rynkowa nie spełniła tych oczekiwań, stąd w ramach tego kierunku powstawały różne koncepcje naprawcze. Jedną z nich stała się zrodzona w Niemczech w połowie XX stulecia koncepcja społecznej gospodarki rynkowej. Warto o niej pamiętać, bo wniosła ciekawą odpowiedź na pytanie, jak instytucjonalnie poprawiać rynkowy ład konkurencyjny bez ingerencji państwa, realizowany z pewnym powodzeniem w Niemczech po II wojnie światowej.

W podobnym czasie powstała w Anglii zupełnie odmienna, choć też liberalna koncepcja państwa opiekuńczego, oparta na idei korygowania podziału rynkowego przez redystrybucyjną politykę państwa. Koncepcja ta została mocno pchnięta naprzód i rozbudowana przez socjaldemokrację, i jest realizowana ze znakomitymi efektami zwłaszcza w krajach skandynawskich. Otóż wydaje się, że dzisiejsza gospodarka rynkowa wymaga połączenia obu tych koncepcji, czyli właśnie koniunkcji.

Na wyjściowe pytanie dają więc odpowiedź: Polsce potrzebny jest taki ład gospodarczy, który będzie spełniał strukturalne i instytucjonalne wymagania społecznej gospodarki rynkowej, a jednocześnie będzie nastawiony na bieżące korygowanie podziału rynkowego w imię sprawiedliwości społecznej przez regulacyjne działanie państwa. W sensie ideowym byłby to ład oparty na koniunkcji liberalizmu demokratycznego z socjaldemokracją.

HENRYK DOMAŃSKI, ZBIGNIEW SAWIŃSKI

ZNAĆ SWOJE MIEJSCE W HIERARCHII

Polacy są narodem o silnych orientacjach egalitarnych, czego wskaźnikiem jest fakt, że odsetek osób wskazujących na zbyt duże różnice dochodów stanowił, w 2010 roku, 90 proc. dorosłej ludności, podczas gdy zaraz po upadku systemu komunistycznego – 65,8 proc. Można by na tej podstawie wnioskować, że na początku transformacji poziom przyzwolenia dla nierówności społecznych był wyższy niż kilka lat później, co mogło wynikać z rewolucyjnego zapału, a także chęci zmanifestowania sprzeciwu wobec komunizmu kojarzonego z polityką egalitaryzacji dochodów. Fala entuzjazmu i nadzieje na poprawę stopy życiowej przytłumiły ewentualne obawy przed zmianą. Późniejsze załamanie się tych nastrojów było wynikiem rozczarowania systemem kapitalistycznym, wynikającym z doświadczeń.

Czy rokuje to źle dla stabilności i rozwoju stosunków rynkowych? Analiza innego aspektu przyzwolenia na nierówności sugerowałaby, że tak nie jest. Ludzie proszeni o wyznaczenie „sprawiedliwego” poziomu zarobków wybranym zawodom, wyraźnie je różnicują. Wyobrażenia na temat „sprawiedliwego” poziomu dochodów układają się w hierarchiczną wizję pożądanego ładu, która dzięki swej niezmienności stabilizuje porządek społeczny mimo strajków i roszczeń płacowych, i tego, że prawie wszyscy chcieliby mieć więcej niż mają. Prawdopodobnością jest to, że odrzucając nierówności na gruncie normatywnym opowiadamy się na ogół za utrzymaniem dotychczasowej hierarchii, na szczycie której sytuują się dyrektorzy wielkich koncernów, niektórzy politycy i elita biznesu. Można ten zastanawiający dysonans interpretować jako wynikający z potrzeby uznawania otaczającej nas rzeczywistości za „słuszną” i za wyraz pragmatycznego przystosowania się do niej. Trudno jest żyć z nią w niezgodzie.

Potwierdzeniem pragmatycznego stosunku do kwestii nierówności są ustalenia pochodzące z najnowszej edycji Europejskiego Sondażu Społecznego przeprowadzonego na przełomie 2010 i 2011 roku. Próba dobrana metodą losową objęła 1751 dorosłych Polaków w wieku 15 lat i powyżej. Opinie na temat zarobków otrzymano z odpowiedzi na pytanie: „Będę czytał teraz nazwy różnych zawodów. Proszę podać w przybliżeniu wysokość miesięcznych zarobków, jakie – zdaniem Pana(i) – zwykle otrzymują ludzie wykonujący te zawody, a następnie zarobki, jakie – Pana(i) zdaniem powinni otrzymywać. Interesują nas typowi pracownicy, którzy wykształceniem i zdolnościami nie różnią się zbyt od większości w tym samym zawodzie”. Dla każdego

zawodu obliczona została średnia zarobków odnośnie do tego, jak „jest naprawdę” i jak „być powinno”.

Na szczycie hierarchii faktycznych zarobków mieszkańcy Polski lokowali właściciela fabryki (81 tys. zł.), a na kolejnych pozycjach, z kwotami w granicach 15-16 tys. – ministra, dyrektora przedsiębiorstwa i sędziego Sądu Najwyższego. Zaraz za nimi byli poseł na Sejm i adwokat, a następnie profesor uniwersytetu i lekarz. Te same zawody, chociaż z pewnymi korektami na rzecz „sprawiedliwości”, sytuowały się na szczycie hierarchii postulowanych zarobków. W ocenie społecznej, najwyższe zarobki „powinien” uzyskiwać, tak jak uzyskuje faktycznie właściciel fabryki – średnio 57 tys. zł. Drugą pozycję zająłby sędzia, natomiast dyrektor i minister znaleźliby się na pozycji trzeciej i czwartej.

Ludzie woleliby, żeby zawody stojące na straży ładu prawnego były lepiej wynagradzane od reprezentantów wysokiej kadry kierowniczej i władzy. Według kryteriów sprawiedliwości społecznej również poseł na Sejm zasługuje na niższe zarobki. Gdyby decydowało społeczeństwo, to powinien on zostać wyprzedzony przez adwokata i profesora, chociaż nie powinien go przeskoczyć lekarz. Z kolei najniższe zarobki uzyskują i powinni uzyskiwać robotnicy niewykwalifikowani, robotnicy rolni, sprzedawcy i sekretarki.

Jak więc widać, zarobki uznawane za sprawiedliwe nie odbiegają znacznie od tego, co ludzie sądzą na temat aktualnych zarobków w poszczególnych zawodach. W obu przypadkach w górnej części hierarchii lokują się przedstawiciele biznesu, politycy i zawody inteligenckie, zaś w dolnej części niżsi urzędnicy i robotnicy. Prawdopodobność ta nie jest niczym nowym. Występowanie jej stwierdzono w różnych krajach, a w przypadku Polski występowało ono w czasach PRL i w latach 90. Fakt, że zarobki, które się w przekonaniu ludzi uzyskuje, są silnie skorelowane z zarobkami, które powinno się uzyskiwać wskazywałby, że to „co jest” dostarcza uzasadnienia temu, co „być powinno”, bo – być może – ludzie chcą wierzyć w głębszy sens otaczającego ich ładu. Jest to wynikiem potrzeby uznawania otaczającej rzeczywistości za „słuszną” i przejawem pragmatycznego przystosowania się do niej. W szczególności postulaty sprawiedliwej dystrybucji dochodów nie idą w kierunku premiowania zawodów wymagających wyższego wykształcenia (takich jak lekarz), kosztem uprzywilejowanych finansowo reprezentantów wielkiego biznesu.

Parasol pragmatycznej akceptacji obejmuje również polityków, czego świadectwem są wyższe kwoty postu-

lowanych zarobków dla ministra niż przedstawiciele inteligencji. Dzieje się tak mimo wyjątkowo niskiego prestiżu polityków. Od początku badań nad prestiżem zawodów profesor uniwersytetu lokowany był niezmiennie na najwyższej pozycji, lekarz w pierwszej piątce, a co do ministra, to w ocenie społecznej nie zasługuje on obecnie na więcej prestiżu niż referent w biurze i dobry robotnik. Ale widocznie w przypadku „sprawiedliwej” dystrybucji wynagrodzeń ważniejszym czynnikiem od merytokracji i wiedzy okazuje się przekonanie, że to „co jest” ma sens – uzasadnia się przez sam fakt, że istnieje. Potwierdzały to nasze wcześniejsze obserwacje, że w świadomości społecznej „sprawiedliwe zarobki” i prestiż są nagrodami z innego porządku. O ile wysokie zarobki najwyższych dostojników państwowych należą się im z tytułu zajmowanych stanowisk, to obdarzanie zawodów inteligentnych najwyższym prestiżem można traktować jako odzwierciedlenie mechanizmu rekompensującego im stosunkowo niskie zarobki, chociaż opinia społeczna nie byłaby skłonna przyznawać im więcej niż mają.

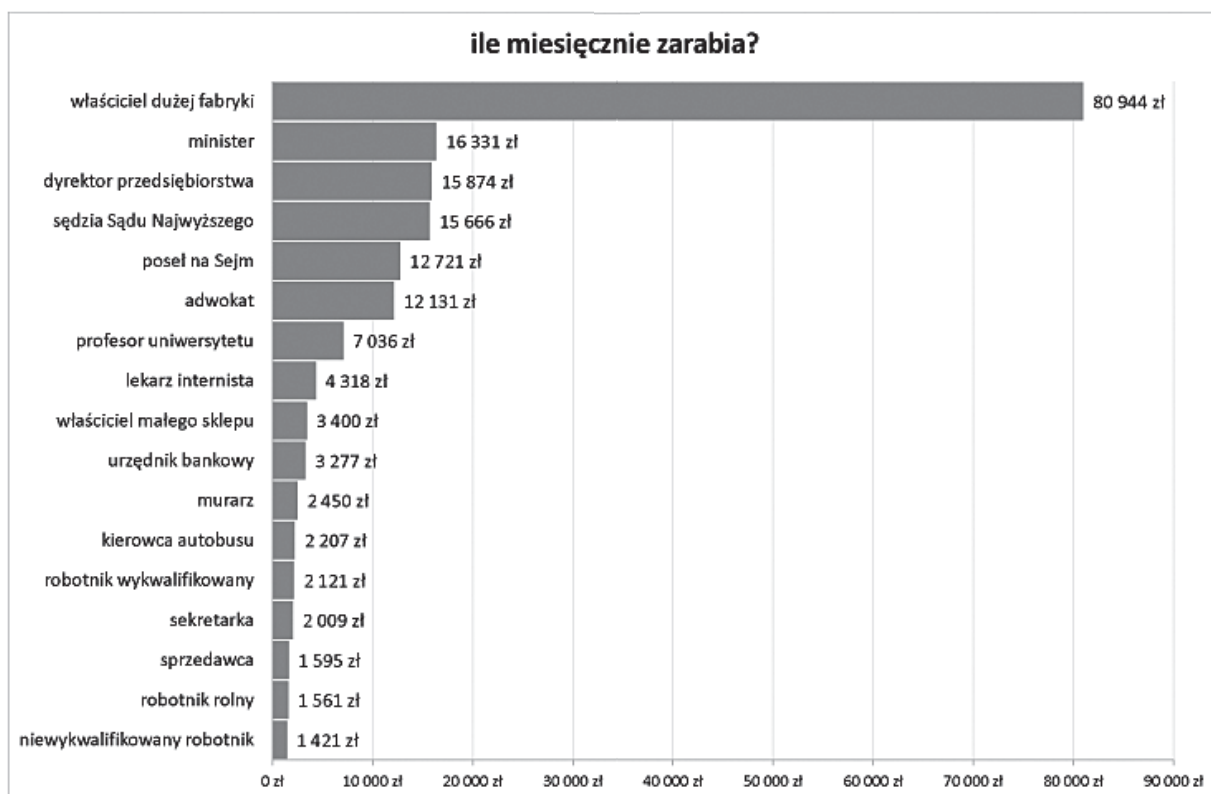
Widać też, że generalnej akceptacji hierarchii dochodów towarzyszą postulaty zmniejszenia jej rozpiętości. Jest to umiarkowana odmiana strategii nazywanej „janosikową” (zabrać najbogatszym, rozdać ubogim). Postulaty zarobkowe dla przedsiębiorców, sędziów, dyrektorów, polityków i przedstawicieli inteligencji kształtują się na niższym poziomie od kwot postrzeganych zarobków.

Według potocznej sprawiedliwości, reprezentanci tych zawodów zasługują na mniej, niż uzyskują faktycznie. Najwięcej – bo prawie o połowę – chcemy zmniejszyć zarobki posłom, a następnie ministrom (o 38 procent) i właścicielom dużej fabryki – o około

30 procent. Zwróćmy jednak uwagę, że spełnienie tych postulatów nie spowodowałoby degradacji członków aktualnej elity biznesu, gdyż, w opinii społecznej, zarabialiby oni w dalszym ciągu najwięcej. Może to świadczyć o akceptacji rynkowych mechanizmów dystrybucji dóbr, jak i tego, że nie czujemy się pokrzywdzeni żyjąc ze świadomością, iż są ludzie uzyskujący nieproporcjonalnie wysokie dochody. Odwrotnie jest w przypadku urzędników czy robotników. Uważa się, że w zawodach tych zarobki powinny być nieco wyższe, czego efektem byłoby zmniejszenie różnic między najwyższą i najniższą wynagradzanymi zawodami.

Obserwator polskiej sceny społeczno-politycznej mógłby zapytać, jak to się dzieje, że narzekania na niskie dochody i presja na podnoszenie wynagrodzeń nie przekładają się na konflikty i napięcia społeczne. Można odnieść wrażenie, że temperatura nastrojów wokół podziału dochodów czasami grozi wybuchem. Czy jest to zagrożenie realne? Wyniki badań wykazują, że obrażenia na temat „sprawiedliwego” poziomu dochodów układają się w hierarchiczną wizję pożądanego ładu, która dzięki swej niezmienności stabilizuje porządek społeczny mimo strajków i roszczeń płacowych i tego, że prawie wszyscy chcieliby mieć więcej niż mają. Skłonność do „samolegitymizowania” się nierówności stabilizuje je i osłabia możliwe konflikty społeczne. Jest to uniwersalna prawidłowość, odnosząca się nie tylko do Polski. Brak akceptacji nierówności dochodowych jest charakterystyczną cechą społeczeństw postkomunistycznych, lecz raczej nie zagraża destabilizacji stosunków społecznych.

HENRYK DOMAŃSKI
ZBIGNIEW SAWIŃSKI



MAREK ZAGAJEWSKI

DWA PAŃSTWA – JEDEN KRAJ

Medialna „wojna krzyżowa”

Jerzy Bralczyk, Andrzej Markowski i Walery Pisarek, profesorska kapituła prowadzonego przez Instytut Języka Polskiego Uniwersytetu Warszawskiego plebiscytu najważniejszych słów w 2011 roku, po analizie ponad dwu tysięcy propozycji internautów i zestawień słów dnia, czyli kluczowych słów prasy ustalili, że na trzecim miejscu popularności po „prezydencji” i „kryzysie”, znalazły się *ex aequo* dwa słowa „katastrofa” i „krzyż”, których połączenie wskazuje jednocześnie na „smoleński” kontekst ich używania.

Kolejna „wojna krzyżowa” przetoczyła się przez media, tym razem z Januszem Palikotem w roli głównej, który jeszcze przed wyznaczoną na 8 listopada 2011 roku inauguracją Sejmu VII kadencji złożył 27 października na ręce marszałka sejmu wniosek o usunięcie krzyża z sali plenarnych obrad. Godzi się przypomnieć, że Palikot nieopatrnie obiecał wyborcom podjęcie starań o zdjęcie krzyża z sali obrad Sejmu, chociaż wbrew pozorom wśród członków Ruchu Palikota sprawa nie była taka prosta, jeśli zważyć, że na przykład poseł Roman Kotliński, były ksiądz, twórca i redaktor naczelny niekleroikalnego tygodnika „Fakty i Mity” nie był zwolennikiem rozpoczynania sejmowej działalności od zdejmowania krzyża.

W każdym razie na początek parlamentarzystom Ruchu Palikota chodziło o to, aby wbrew wszelkim przeciwnościom losu podjąć beznadziejną próbę uniknięcia złożenia ślubowania pod wiszącym na ścianie krzyżem. Ustępujący marszałek Grzegorz Schetyna, jak łatwo można się domyślić, nie miał najmniejszego zamiaru zająć się tą kwestią, tym bardziej że na inaugurację Sejmu zaprosił znaczące grono nie tylko katolickich dostojników kościelnych. Dla całości obrazu wydarzenia należałoby przypomnieć także pełną licznym cytatów z Jana Pawła II mowę marszałka-seniora Józefa Zycha, które istotnie ubogaciły inaugurację o religijny wymiar. Nie zaskakuje zatem, że na koniec Palikot w komentarzu dla mediów ocenił sakralizację symbolicznej warstwy inauguracji jako mocno skan-

daliczną, ponieważ przebieg tego posiedzenia Sejmu jego zdaniem wyglądał „trochę na uroczystość religijną, a nie na uroczystość w świeckim państwie” (dziennik.pl, 8 XI 2011).

Inauguracyjne posiedzenie Sejmu zachowało rzecz jasna naturalnie świecki charakter, chociaż równocześnie za sprawą obecności hierarchów, krzyża, odwołań do papieskich nauk i Boskiej pomocy w poselskich przysięgach zostało nasycone w niespotykanej wcześniej skali widoczną warstwą symboliczną o jednoznacznie religijnej wymowie. Suma tych zabiegów doprowadziła do oczekiwanego połączenia uroczystości religijnej i świeckiej w jedną całość, w której symboliczne znaki katolickiej państwowości udanie przeniknęły w rozmaite momenty uroczystości świeckiego państwa. W ten sposób dokonano świadomej sakralizacji najważniejszej instytucji demokratycznego państwa w intencji, jak należy się domyślać, umocnienia pozycji i autorytetu władzy. Nie bez powodu kardynał Kazimierz Nycz na tradycyjnym spotkaniu opłatkowym w sejmie, przy absencji parlamentarzystów Ruchu Palikota i SLD, mając wybór między dostojnym milczeniem a zabranieniem głosu w tej sprawie, wygłosił swoiste *dementi*: „Mam głębokie przekonanie, że swoją osobą i obecnością nie sakralizuję tego miejsca, któremu na imię parlament Rzeczypospolitej Polskiej” (22 XII 2011). Trafność wypowiedzi warszawskiego hierarchy nie budzi specjalnych wątpliwości, chociaż widoczny język dyplomatycznych oświadczeń nie brzmi przekonująco jeśli zauważyć, że „sakralizacja” sejmowej przestrzeni publicznej już się przed laty dokonała i jest stale wzmacniana, na co wskazuje chociażby praktyka intonowania przez posłów PiS modlitwy w trakcie prac Sejmu. Ten dwójsty, religijny i świecki zarazem charakter inauguracji Sejmu pełni zatem mimowolnie funkcję symbolicznego przekazu konstytutywnej obecności państwa kościelnego na samych szczytach świeckiej władzy, nadając jej niejako automatycznie status „sanktuarium państwa”.

Tę klasyczną formułę wprowadził ostatnio do publicznego obiegu Bronisław Komorowski, udzielając

jeszcze jako prezydent elekt pierwszego powyborczego wywiadu, w którym w sporze dotyczącym obecności „prezydenckiego krzyża” na Krakowskim Przedmieściu zajął niezwykle pryncypialne stanowisko: „Pałac Prezydencki jest sanktuarium państwa. Krzyż, co było zrozumiałe, postawiono w nastroju żałoby, lecz żałoba minęła i trzeba te sprawy porządkować. Krzyż to symbol religijny, więc zostanie we współdziałaniu z władzami kościelnymi przeniesiony w inne, bardziej odpowiednie miejsce”. (*Nie chodzi o to, żeby ludzi bolało*, z B. Komorowskim rozmawiali A. Nowakowska, J. Kurcki, M. Wroński, „Gazeta Wyborcza”, 10 VII 2010). Należy dodać, że w tym przypadku od samego początku „odpowiednim miejscem” dla krzyża miał być pobliski kościół, w którym ostatecznie znalazł on swoją siedzibę. Ciekawe, że stojąc na gruncie poszanowania autonomii państwa i Kościoła, co potwierdził w tym wywiadzie, prezydent elekt użył formuły „sanktuarium państwa” dla podkreślenia świeckiego charakteru swojej przyszłej siedziby jako „głowy państwa”, chociaż „sanktuarium” mieści się wyraźnie w polu semantycznym *sacrum*, a nie *profanum*.

Ideologia „odpowiedniego miejsca” dla krzyża kolejny raz pojawiła się w mediach właśnie po przeniesieniu krzyża z Krakowskiego Przedmieścia do kościoła, gdy demonstrujące przeciwko temu grupy ludzi ustawiły nowy „posmołeński krzyż” przed sejmem pod koniec lipca 2010 roku. W krótkim czasie doszło do powtórzenia scenariusza z Krakowskiego Przedmieścia i kolejny krzyż smoleński znalazł swoje godne miejsce, tym razem w kaplicy sejmowej, dzięki wspólnej decyzji jej kapelana ks. Jacka Dzikowskiego i kancelarii sejmu, gdzie jest już całkowicie niedostępny dla wiernych spoza *establishmentu*, tracąc wszelkie znaczenie dla przysłowiowego ludu.

Po upływie niemal półtora roku prezydent Komorowski potwierdził swoje stanowisko w sprawie krzyża na Krakowskim Przedmieściu, po czym od razu przeszedł do wyrażenia swego stosunku do krzyża sejmowego: „Nie podobał mi się sposób zawieszenia krzyża w sali sejmowej na początku kadencji AWS. Ale krzyż zawisł i już. Jest krzyżem tradycji ks. Popiełuszki. Krzyżem, który wisiał w czasie wizyty Jana Pawła II w polskim Sejmie. Można dyskutować, czy sanktuarium państwa, jakim jest Sejm, to miejsce na symbolikę religijną, ale dzisiaj ona jest faktem. I nawet przywódcy lewicy mówią, że się do tego przyzwyczaili”. (*Komorowski: Nie straszcie Polaków*, rozmawiali P. Wroński, J. Kurcki, „Gazeta Wyborcza”, 26 XI 2011). I chociaż Komorowski podkreślił, że nie zmienił zdania w kwestii „krzyża prezydenckiego”, to jednak tym razem formuła „sanktuarium państwa” została przezeń użyta ostatecznie jako argument na rzecz uznania sakralnego charakteru Sejmu w rezultacie swoistego „zasiedzenia” krzyża na ścianie sali sejmowej.

Na pierwszy rzut oka zmienne stanowisko Komorowskiego naraża go na łatwe, chociaż niesłuszne, zarzuty hipokryzji czy koniunkturalizmu. Między „sejmowym krzyżem” a jego odpowiednikiem z Krakowskiego Przedmieścia jest bowiem zasadnicza różnica. Ta różnica ma „klasowy charakter”, jak pisało się nie bez racji przed laty na Wschodzie i pisze nadal na Zachodzie, a więc w zupełnie innym sensie niż podnosi to prezydent RP. Można podejrzewać, że „krzyż pre-

zydencki” został przez „lud” umieszczony na Krakowskim Przedmieściu w odruchu żywiołowego protestu społecznego jako wyraz buntu przeciwko niesprawiedliwości i ubezwłasnowolnieniu na skutek prowadzonej przez władzę polityki. W rezultacie zabranie krzyża sprzed siedziby prezydenta RP i przeniesienie go do sąsiadującego z pałacem Namiestnikowskim kościoła pozbawia go całej właściwej mu symboliki o radykalnej wymowie społecznej. W przeciwieństwie do tego „krzyż sejmowy” jest znakiem politycznej władzy jako symbiozy jej strony świeckiej z religijną oraz współdziałania państwa kościelnego i świeckiego, czego przejawem jest chociażby zgodne doprowadzenie do tego krzyża zawieszenia. Z tego punktu widzenia obecność krzyża w pomieszczeniach parlamentu traktowana jest przez prezydenta RP, mimo pewnych zawahań, jako całkowicie naturalna – podobnie jak w jego miejscu pracy – prezydenckim gabinecie.

Zrozumiałe, że tak pilnie jak tylko było to możliwe, przy pierwszej nadarzającej się sposobności także Watykan krytycznie odniósł się do inicjatywy Ruchu Palikota, co uczynił już 29. października 2011 kard. Gianfranco Ravasi, przewodniczący Papieskiej Rady Kultury podczas promocji *Nowego Leksykonu Biblijnego* na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w trakcie I Kongresu Biblijnego obradującego pod hasłem *Biblia kodem kulturowym Europy*. Nietrudno się domyślać, że stanowisko Watykanu z natury rzeczy wspiera państwową stronę funkcjonowania katolicyzmu w życiu społecznym naszego kraju.

Wniosek o zdjęcie krzyża

W tym czasie, w piśmie datowanym na 26 października 2011 r. postowie Ruchu Palikota zwrócili się do marszałka Schetyny o „wydanie zarządzenia nakazującego usunięcie krzyża łacińskiego, znajdującego się w sali posiedzeń Sejmu RP, który został tam umieszczony sprzecznie z prawem w nocy z 19 na 20 października 1997 r. przez ówczesnych posłów na Sejm RP III kadencji, pp. Tomasza Wójcika i Piotra Krutula”. Inkryminowany krzyż jest nielegalny, ponieważ został bezprawnie zawieszony i ponadto znajduje się w sejmie bez podstawy prawnej z obrazą fundamentalnych kodyfikacji zawartych w Konstytucji RP (1997), Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności (1993), Konkordacie między Stolicą Apostolską a Rzeczpospolitą Polską (1993) oraz ustawie o gwarancjach wolności sumienia i wyznania (2005).

Według sygnatariuszy wniosku „Rzeczpospolita Polska jest państwem świeckim, którego władze publiczne, w tym władza ustawodawcza powinny zachować bezstronność w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych. Nie jest dopuszczalne umieszczenie i obecność krzyża łacińskiego w sali posiedzeń plenarnych Sejmu RP, bowiem taki krzyż manifestuje szczególną skłonność organu władzy publicznej, jakim jest Sejm RP, ku religiom chrześcijańskim, w szczególności zaś – w polskich warunkach, znamionowanych przez dominację Kościoła katolickiego we wszystkich sferach życia – ku religii rzymsko-katolickiej.

Obecność krzyża łacińskiego zwisającego ponad głowami posłów stanowi permanentne naruszenie gwarancji bezstronności władzy publicznej w sprawach

religii, a zatem oznacza stan permanentnego bezprawia trwający już 14 lat. Niezbędnym jest, aby Sejm RP (i jego organy, w tym marszałek Sejmu) dawał przykład poszanowania prawa, w szczególności Konstytucji RP będącej najwyższym źródłem prawa w wewnętrznej percepcji wieloskładnikowego i multicentrycznego systemu prawa obowiązującego w Polsce”.

W obszernym uzasadnieniu wnioskodawcy po opisaniu „okoliczności faktycznych” zawieszenia krzyża i wykazaniu braku jakichkolwiek „prawnych uregulowań” jego obecności w sejmie, przeszli do omówienia relacji między państwem i organizacjami wyznaniowymi w zróżnicowanych modelach konstytucyjnych państw demokratycznych, by na zakończenie przedstawić „europejski standard gwarancji swobody sumienia i wyznania oraz otwartości, bezstronności i pluralizmu władz publicznych w sprawach religijnych i światopoglądowych”.

Ten solidnie pod względem prawnym opracowany kilkunastostronicowy dokument, jako argumenty na rzecz przywrócenia na sali plenarnej po upływie czterech lat stanu sprzed powieszenia krzyża, podjął trzy podstawowe kwestie. Po pierwsze, sygnatariusze uważają za naczelną wartość demokratycznego społeczeństwa zasadę świeckości państwa, oznaczającą jego bezstronność w kwestiach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych, która jest nie do pogodzenia z obecnością jakichkolwiek symboli religijnych na sali sejmowej. Po wtóre, wedle wnioskodawców pojawieniu się w tym miejscu krzyża łańcuskiego towarzyszą liczne przywileje Kościoła katolickiego i przechylenie władzy publicznej w stronę państwa wyznaniowego określonej religii. I na koniec, zawieszenie krzyża w sali plenarnej sejmu jest w świetle prawa szczególnie uwłaczające, ponieważ polega na bezprawnym zachowaniu prawodawców w miejscu służącym stanowieniu praw – siedzibie prawa i praworządności.

Jak złośliwie zauważyli wnioskodawcy, nie bez powodu postawie Akcji Wyborczej „Solidarność” Piotr Krutul z Białegostoku i Tomasz Wójcik z Wrocławia, *nomen omen* absolwenci studiów politechnicznych, „zawiesili krzyż pod osłoną nocy, zapewne zdając sobie sprawę z bezprawności swoich poczynań – gdyby było inaczej, zwróciliby się oni do władz Sejmu o zgodę na zawieszenie krzyża”.

Ponieważ wszystko na tym świecie, nie wyłączając krzyża sejmowego, ma swoją historię, należałoby zapytać o historię krzyża senackiego, który znajduje się na stosownym miejscu w sali plenarnej senatu od samego początku jej istnienia, chociaż związane z tym faktem okoliczności nie są do dzisiaj znane opinii publicznej. Dziwnym trafem nikt nie stawia pytań o krzyż senacki, a *désintéressement* parlamentarzystów Ruchu Palikota świadczy o stosunku tego ugrupowania do sławnej izby refleksji czy zadumy, czego wyrazem było niekandydowanie „palikotowców” do Senatu połączone ze swoistym bojkotem wyborczym wyższej izby parlamentu. Dla zrozumienia z kolei tej sytuacji może okazać się pomocne przypomnienie kluczowej roli w budowaniu zrębów senackiej administracji tak znaczących wychowanków warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, jak Wojciech Sawicki, pierwszy szef Kancelarii Senatu, aktualnie sekretarz generalny Zgromadzenia Parlamentarnej Rady Euro-

py czy jego ówczesny podwładny Jacek Michałowski, obecnie szef Kancelarii Prezydenta.

Może jeszcze kiedyś, i nie będzie to Sąd Ostateczny, opinia publiczna pozna tajemnicę pochodzenia krzyża senackiego, a może nawet dowie się, jakie to „tajemnicze siły” spowodowały całą falę krzyży w salach posiedzeń komisji sejmowych, które zaczęły się pojawiać mniej więcej w tym samym czasie, kiedy spłynęły do Sejmu pierwsze opinie w sprawie krzyża sejmowego życzliwych Kościołowi ekspertów, co naturalnie nie mogło wzbudzić szerszego zainteresowania mediów oraz ich publiczności.

Wokół sejmowego krzyża

Krzyż sejmowy ma stosunkowo niewielkie rozmiary i wisi sobie spokojnie nad nader skromnymi, jak na skalę sali plenarnej sejmu, bocznymi drzwiami, które będąc za plecami marszałka łączą salę plenarną ze znajdującym się na jej zapleczu salonikiem służącym członkom rządu i zaproszonym gościom do przechodzenia na toczące się obrady.

Na pytanie, w jaki sposób krzyż znalazł się w sali sejmowej, jednoznacznej chociaż niezgodnej ze stanem faktycznym odpowiedzi udzielił ks. Paweł Powierza, duszpasterz parlamentarzystów i kapelan kaplicy sejmowej. „Krzyż został подарowany do sejmu przez matkę bł. ks. Jerzego Popiełuszki. Stąd symbolika obecności krucyfiksu na sali sejmowej jest jeszcze głębsza, ponieważ nawiązuje on do męczeństwa kapelana »Solidarności«. Symbolizuje wartości, które głosił ks. Jerzy swoją postawą, swoim kapłaństwem: »Zło dobrem zwyciężaj«. Kiedy wierzący parlamentarzyści patrzą na ten krzyż w czasie obrad Sejmu, są niejako jeszcze bardziej zmotywowani do coraz większego wysiłku na rzecz dobra nas wszystkich. Sądzę natomiast, że u osób niewierzących krzyż ten nie powinien wywoływać negatywnych emocji, bo jest po prostu symbolem poświęcenia, wielkiej miłości, które Chrystus ukazał nam oddając swoje życie na krzyżu za wszystkich ludzi. A są to wartości nierozdzielnie zrośnięte z naszą kulturą narodową, z naszą tożsamością. Dlatego krzyż nie powinien nikomu przeszkadzać. Tym bardziej że nawiązuje również do wielkiego kapłana, który za te właśnie wartości oddał życie. A przecież wielu z tych, którzy dzisiaj tak dumnie powołują się na wartości demokratyczne, zdaje się o tym zapominać. Nie byłoby dzisiaj demokracji w Polsce, gdyby nie postawa ks. Popiełuszki i wielu innych kapłanów, którzy z krzyżem w ręku uczyli nas zło dobrem zwyciężać” (*Postawie modlą się razem*, z ks. P. Powierzą rozmawia S. Meetschen, „Idziemy” nr 46/323, 13 XI 2011).

W ten sposób w przejrzystej postaci została przedstawiona oficjalna wykładnia „ideologii” obecności krzyża na sejmowej sali w perspektywie sakralizacji państwa, którą mimo rażąco płaskiego dydaktyzmu można przyjąć albo odrzucić, posługując się racjonalnymi argumentami, skoro ksiądz kapelan używa świeckiej retoryki o politycznym charakterze nie wymagającej wiary, lecz jedynie intelektualnej życzliwości u odbiorcy. Problem jednak leży gdzie indziej, bowiem cała logika wywodu oparta jest na błędnej przesłance faktycznej, gdyż matka ks. Popiełuszki nie była ofiarodawczynią sejmowego krzyża.

Nie sposób także pominąć teologicznej słabości przyjętej konstrukcji myślowej, wedle której bliskiemu

członowi rodziny błogosławionego kapłana, nawet w osobie jego matki, której syn z powodu zaangażowania w polityczne przemiany stracił życie, miałyby przysługiwać z tytułu pokrewieństwa prawo do występowania w imieniu Kościoła, zwłaszcza w kwestiach związanych z życiem publicznym i funkcjonowaniem najwyższych władz państwowych, także w tak szlachetnym celu, jak zawieszenie krzyża w sejmie. Trudno pojąć, jak te osobliwe wywody mogły uzyskać status oficjalnej wykładni kościelnej i stały się narzędziem upowszechnianej w opinii publicznej religijnej propagandy. Chyba że chodzi o to, aby dać poznać społeczeństwu, jak dalece Kościół także w sejmie jest „u siebie” i posiada pełną swobodę ustanawiania własnych porządków, a przedstawiona przez kapłana dorobiona *ex post* „ideologia” związana z „krzyżem Popiełuszki” ma ułatwić obywatelom rozumiejącą akceptację tego stanu rzeczy jako uniwersalnej normy życia społecznego.

Przechodząc do przedstawienia Operacji Krzyż Sejmowy należy przypomnieć, że ma już ona niemal dwudziestoletnią tradycję, skoro jej początki sięgają schyłku 1992 roku, kiedy to ówczesny poseł Sejmu RP I kadencji Czesław Sobierajski, obecnie przewodniczący Klubu PiS w Sejmiku Śląskim zainicjował zbieranie podpisów w sprawie umieszczenia krzyża podczas jego uroczystej intronizacji na frontonie sali Sejmu RP na tle flagi Polski, obok godła. Intencją wnioskodawców, wedle relacji inicjatora całej tej akcji, było podkreślenie hierarchii, która przez wieki ukształtowała się w narodzie polskim, że „Bóg jest najwyższym Prawodawcą i od Niego bierze początek wszystko, co dobre”.

Gdy pod wnioskiem podpisało się 50 posłów 26 listopada 1992 roku, został on skierowany do ówczesnego marszałka Sejmu prof. Wiesława Chrzanowskiego. Sygnatariusze uważali, że należy doprowadzić do zawieszenia „Krzyża obok Godła RP w sali plenarnej obrad. Będzie to nawiązanie do tysiącletniej historii Polski, która z tego znaku miłości i pojednania czerpała siłę i wytrwałość w chwilach najtrudniejszych, nawet dramatów, które dotknęły naszych przodków. Ufamy, że pod tym znakiem także teraz łatwiej nam będzie budować niepodległą i sprawiedliwą Polskę” (Cz. Sobierajski, *O Krzyżu w Sejmie RP*, „Niedziela. Tygodnik Katolicki. on line, Niedziela Ogólnopolska”, 09/2010).

Po upływie trzech miesięcy 25 lutego 1993 roku prezydium Sejmu zwróciło się do klubów poselskich o opinię w sprawie zawieszenia krzyża, otrzymując poparcie Porozumienia Centrum, Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, Ruchu dla Rzeczypospolitej, Porozumienia Ludowego, NSZZ „Solidarność”, Chrześcijańsko-Demokratycznego Stronnictwa Pracy, Partii Chrześcijańskich Demokratów i Konfederacji Polski Niepodległej oraz w trybie indywidualnym poszczególnych posłów z Polskiego Stronnictwa Ludowego i z Klubu Niezależnych Posłów. Natomiast zdecydowany sprzeciw wyraziły kluby parlamentarne Sojuszu Lewicy Demokratycznej, Unii Demokratycznej i Polskiego Programu Liberalnego, w którym byli między innymi Donald Tusk, Mirosław Drzewiecki, Jan Krzysztof Bielecki, Michał Boni, Janusz Lewandowski. Wobec braku reakcji kierownictwa Sejmu 14 maja 1993 roku do laški marszałkowskiej został skierowany projekt uchwały z podpisami 230 posłów jako ponaglenie w sprawie

zawieszenia krzyża. Po uzyskaniu opinii klubów parlamentarnych nic nie stało już na przeszkodzie w doprowadzeniu przez prezydium Sejmu do zawieszenia krzyża, a niczym nieuzasadniona zwłoka w działaniach marszałka Sejmu mogła budzić pewien niepokój. Tymczasem 30 maja 1993 roku doszło do zaskakującego rozwiązania Sejmu i ponownych wyborów, w których zwycięski sojusz SLD z PSL pogrzebał całą sprawę na najbliższe lata.

Jasnogórski krzyż sejmowy

Należy zaznaczyć, że zarówno przy podejmowaniu kwestii zawieszenia krzyża sejmowego w latach 1997 i 2011 nie odwoływano się do zapomnianej przez opinię publiczną inicjatywy Sobierajskiego. Wielce zastanawia brak głębszego zainteresowania tą sprawą, chociaż cały kontekst historyczny wskazuje, że mimo jawnego utracenia planu Sobierajskiego umieszczenia krzyża na frontonie sali sejmu na tle flagi narodowej obok godła RP w trakcie jego uroczystej sejmowej intronizacji, kwestia obecności krzyża w sejmie nie dawała spokoju parlamentarzystom kolejnych kadencji i kilkakrotnie wracała jak swoisty bumerang.

Kolejną taką próbę podjęto w 1997 roku, ale opis przebiegu zdarzeń razi nie tylko niechlujstwem i brakiem staranności w relacjach uczestników całej operacji, ale też szeregiem rozbieżności, przeinaczeń, przemilczeń i niedomówień, które rodzą uzasadnione podejrzenia o świadomy zamiar ukrywania całej prawdy dotyczącej Operacji Krzyż Sejmowy. Skromna baza źródłowa złożona z trzech rozmów z Tomaszem Wójcikiem, kolejno Czesława Ryszki *Krzyż w Sejmie RP*, („Niedziela. Tygodnik Katolicki.on line, Niedziela Ogólnopolska” 09/2010; dalej NO 2010), wywiadu Jacka Harlukowicza z głównym bohaterem wydarzeń *Bomba z opóźnionym zapłonem*, („Gazeta Wyborcza, 29-30 X 2011; dalej GW 2011) i na koniec Marka Zygmunta z Wójcikiem *O to walczyliśmy z komuną*, („Nasz Dziennik”, 10-11 XI 2011; dalej ND 2011) oraz *de facto* jedyne starannie udokumentowanego artykułu Gabriela Michalika *Krzyż Ossolińskich, Krzyż Popiełuszków, Krzyż Polaków*, („Gazeta Polska”, 2 XI 2011 roku; dalej GP 2011), chociaż w najwyższym stopniu niezadowolająca dostarcza materiału umożliwiającego częściową rekonstrukcję Operacji Krzyż Sejmowy.

Bezpośrednim impulsem do zawieszenia krzyża był dla Wójcika rzucający się w oczy w trakcie spotkania organizacyjnego nowo wybranych posłów brak krzyża na sali plenarnej. Odkryło się ono mniej więcej tydzień przed inauguracyjnym posiedzeniem Sejmu, wyznaczonym na 20 października 1997 roku i jak wspominał po latach Wójcik „nie było w tym nic patetycznego, zwyczajnie przy kolacji w gronie kilku osób zaczęliśmy rozmawiać o tym niedopatrzaniu i zastanawialiśmy się, jaki powinien to być krzyż, tzn. jakiej wielkości, gdzie go kupić, gdzie zawiesić itp. Nie pamiętam wszystkich uczestników rozmowy, ale z pewnością wśród nich byli: senator Ligia Urniaż-Grabowska, poseł Kazimierz Janiak i ja. Z rozmowy wyniknęło w zupełnie naturalny sposób, że krucyfiks powinien być jakoś wyróżniony, specjalny. Wówczas zwrócono się do kustosa zbiorów jasnogórskich – o. Jana Golonki OSPPE. Chodziło o to, aby krzyż do sali plenarnej sejmu pochodził z Sanktuarium Królowej Polski” (NO 2010.).

Należy dodać, że wymienieni uczestnicy luźnej rozmowy przy kolacji należeli do licznej grupy wybitnych działaczy NSZZ „Solidarność”, którzy zostali wybrani do parlamentu z listy Akcji Wyborczej „Solidarność”. Po wtóre, po wstępnej wymianie opinii w trybie pilnym rozmówcy przeszli do konkretów, zwracając się o pomoc na Jasną Górę do ojców paulinów. I na koniec świadomie lub przypadkowo inicjatorzy zawieszenia krzyża w sali plenarnej słowa „krzyż” i „krucyfiks” traktowali synonimicznie. Widać wyraźnie, że Wójcikowi także, gdy nie jest zbyt precyzyjny, jednoznacznie chodzi o krucyfiks, którym jest znany od VI wieku nowej ery malowany lub rzeźbiony krzyż z postacią Chrystusa. Natomiast krzyż, mimo jego jedenastu odmian, znany głównie jako „krzyż łaciński” na polskim gruncie, jest symbolem wiary chrześcijańskiej, którego wyobrażenia sięgają III wieku nowej ery.

Kluczowa rola ojców paulinów w sprawie krzyża sejmowego została w pełni potwierdzona przez senator Urniaż-Grabowską, chociaż zwraca uwagę nieco odmienne rozłożenie przez nią akcentów. Przede wszystkim Urniaż-Grabowska przypomniała, że jesienią 1997 roku „po zwycięskich dla AWS wyborach postawie tej formacji wraz z kapelanem parlamentarzystów zwrócili się do przeora paulinów na Jasnej Górze, o. Izydora Matuszewskiego, z prośbą o ofiarowanie krzyża do sali plenarnej Sejmu” (GP 2011). Ponieważ wszystko co dobre dla Polski ma swój początek na Jasnej Górze, to zwrócenie się pod ten adres w sprawie tak wielkiej wagi jak sejmowy krzyż było całkowicie naturalne. Rodzi się jednak pytanie, czy bez wysoko postawionych osobistości zarówno ze sfery *sacrum* jak i *profanum* byłoby możliwe przyjęcie przez „jasnogórskich stolarzy” tak znakomitego i wymarzonego przez każdego wykonawcę zamówienia. Dlatego nieco zaskakuje, że częstochowscy paulini nader skromnie informują o swym doniosłym wkładzie w dzieło chrystianizacji państwa polskiego, a Urniaż-Grabowska podkreśla, iż „wszystko odbyło się bardzo dyskretnie” (GP 2011). Kwestia druga, to konsekwentne wskazywanie na „krzyż”, chociaż do sejmu z Częstochowy przyjedzie krucyfiks. Ale najważniejsze w tej relacji jest pojawienie się w sprawie krzyża przemilczanego przez Wójcika „kapelana parlamentarzystów” jako niewątpliwie pierwszoplanowej postaci toczących się wydarzeń.

W tym punkcie należy od razu wyjaśnić, że obowiązki duszpasterza parlamentarzystów znacznie wykraczają poza rutynowe pełnienie wobec nich posługi kapłańskiej, bowiem polegają na organizowaniu całości życia religijnego posłów i senatorów RP. Temu celowi służy Rada Duszpasterstwa Parlamentarzystów, która na comiesięcznych posiedzeniach w gabinecie zastępcy szefa Kancelarii Sejmu z udziałem gospodarza, kapelana i posłów, na ogół prawicowych ugrupowań, omawia plan spotkań modlitewnych z wybitnymi prelegentami krajowej rangi, które odbywają się raz w miesiącu, z wyłączeniem wakacji sejmowych w pobliskim kościele św. Aleksandra.

Oprócz odbywających się dwa razy w roku rekolekcji stale organizowane są pielgrzymki parlamentarzystów do sanktuariów, w pierwszej kolejności na Jasną Górę i do Watykanu, które stwarzają wiele możliwości naturalnych spotkań kapelana z parlamentarzystami i podejmowania wspólnych ustaleń we wszelkich in-

teresujących kwestiach. Warto dodać, że codzienna msza w kaplicy sejmowej ma też szczególną atmosferę i oprawę, ponieważ posługę liturgiczną spełniają sami parlamentarzyści łącznie z wypełnianiem funkcji lektorskich przez czytanie tekstów skomponowanych z głoszonymi przez kapłana krótkimi homiliami. Kapelan prowadzi także na życzenie posłów i senatorów „rozmowy duchowe” głównie o wartościach, pokorze czy ufności. Konkluzywnie można stwierdzić, że bezdyskusyjną zasadą regulującą działalność kapelana ma być traktowanie kaplicy jako apolitycznego miejsca w parlamencie i unikanie mieszania się do polityki, chociaż do dyskusji pozostaje ocena jego udziału w zabiegach o umieszczanie krzyży w salach Sejmu i Senatu. Pierwszym duszpasterzem parlamentarzystów i kapelanem kaplicy sejmowej był dr teologii, ks. prałat Henryk Chudek, niezwykle wpływowy proboszcz kościoła św. Aleksandra z placu Trzech Krzyży, który swoim parafialnym zasięgiem obejmuje ważne instytucje państwowe w centrum stolicy, w tym parlament RP. Jego pozycja w życiu parlamentu i Kościoła zdaje się wskazywać, że nie jest możliwe, aby ks. prałat Chudek znalazł się wśród osób zaskoczonych pojawieniem się krzyża w sali obrad sejmu.

Kontynuując swe zabiegi o krzyż sejmowy z Jasnej Góry, Wójcik powiada: „Telefonicznie przedstawiłem o. Janowi naszą prośbę, a ten od razu obiecał, że w ciągu kilku dni przygotuje odpowiedni krzyż. Faktycznie, 17 października otrzymaliśmy wiadomość, że krzyż jest gotowy i ojcowie poświęcą go w czasie Mszy św. w sobotę 18 października 1997 r. o godz. 15” (NO 2010). Po jego odbiór przyjechała do Częstochowy delegacja w bliżej nieznanym składzie, ale na pewno z udziałem Urniaż-Grabowskiej i Wójcika, którzy po uroczystości przeszli z krzyżem do zakrystii, by zrobić sobie pamiątkowe zdjęcia. Następnie delegację parlamentarzystów gościł redaktor naczelny tygodnika „Niedziela” ks. Ireneusz Skubiś. Wójcik podsumował wizytę słowami: „Jak pamiętam, krzyż stał w jego gabinecie oparty jednym ramieniem o kopię obrazu Matki Bożej Częstochowskiej” (NO 2010).

Jak się wkrótce okazało krzyż sejmowy ma jasnogórski charakter nie tylko za sprawą paulińskich mistrzów stolarki, ale także ze względu na pochodzenie materiału, z którego został wykonany. Jego historia sięga około połowy XVII wieku, kiedy jeden z naszych najwybitniejszych polityków i dyplomatów, w swoim czasie marszałek sejmu i kanclerz wielki koronny Jerzy Ossoliński ufundował sporządzony z dębu i hebanu rzadkiej urody, ołtarz zdobiący kaplicę Cudownego Obrazu Matki Boskiej. Po ostatniej renowacji tego zabytkowego ołtarza pozostały równie zabytkowe fragmenty dębu i hebanu o liczącym ponad trzy wieki jasnogórskim „zasiedzeniu”, które decyzją ojców paulinów posłużyły jako materiał do wykonania zamówionego krzyża. Po uzupełnieniu jasnogórskiego krzyża o XIX-wieczną figurkę Jezusa Chrystusa z drewna lipowego, krucyfiks oczekiwał na odbiorców na ołtarzu w pobliżu obrazu Jasnogórskiej Madonny.

Senator Urniaż-Grabowska przypomniała, co pominął poseł Wójcik, że wraz z wręczeniem krzyża delegacja parlamentarzystów AWS otrzymała w Częstochowie ważne przesłanie oo. Izydora Matuszewskiego i Jana Golonki do posłów i senatorów RP, które ostatecznie

nadało jasnogórski status sejmowemu krzyżowi. „Jasna Góra, łącząc się z nowo powstałym Parlamentem Rzeczypospolitej Polskiej roku 1997, pragnie zapewnić o pamięci i modlitwie przed Świętym Obrazem Matki Bożej Królowej Polski, życząc pomyślnych obrad, debat, jak również siły dla rozumu i woli w kierowaniu Polską, zwłaszcza w sanacji prawidłowo rozumianego żywotnego interesu narodu, tudzież jego dziedzictwa duchowo-kulturowego” (GP 2011). Ten krzyż stał się, według o. Golonki, kustosza zbiorów jasnogórskich, świadectwem symbolicznego połączenia duchowej stolicy Polski z jej stolicą państwową i jest widocznym przejawem stałej tendencji kościelnej państwowości do przenikania w świeckie instytucje życia publicznego.

Także dzięki Urniaż-Grabowskiej wiadomo, co pominął Wójcik, że jasnogórski krzyż sejmowy pierwszą noc w Warszawie spędził na Wiślniej w klasztorze urszulanek w pokoju gościnnym zajmowanym przez kardynała Wojtyłę, tuż przed wyjazdem na jego papieskie konklawe w 1978 roku, oraz w kaplicy klasztornej, gdzie został „omodlony” przez zakonnice. Następnego dnia (19 października) Ligia Urniaż-Grabowska i nieżyjąca już urszulanka siostra Jana Płaska (rocznik 1910), pełniąca w swoim czasie wiele ważnych funkcji w warszawskiej kurii, przewiozły krzyż do siostr sakramentek na Nowym Mieście, a następnie do kościoła św. Stanisława Kostki na Żoliborzu, gdzie zgodnie z wieloletnią tradycją odbywała się uroczysta msza w rocznicę śmierci ks. Jerzego Popiełuszki. Wówczas dochodzi do bezpośredniego kontaktu matki kapłana z jasnogórskim krzyżem sejmowym, w pewnej mierze z inicjatywy Ligii Urniaż-Grabowskiej: „Na moją prośbę pani Marianna Popiełuszko złożyła krzyż na czas mszy na płycie grobu ks. Jerzego. Po mszy pani Marianna podniosła krzyż z grobu i przekazała z powrotem w nasze ręce” (GP 2011). Oczywiście, że osoby towarzyszące tym rytualnym czynnościom zadbały, aby nie wzięli w niej udziału zbędni świadkowie, ale i tak nie sposób podważyć wiarygodności tej relacji, co oznacza, że wbrew wytrwale upowszechnianej propagandzie sejmowy krzyż nie jest darem Marianny Popiełuszko, ale zakonu paulinów na Jasnej Górze.

Zawieszenie krzyża jasnogórskiego

Po tej podniosłej uroczystości krzyż został przewieziony z Żoliborza na Wiejską, gdzie po podpisaniu w nocy z 19 na 20 października umowy koalicyjnej przez posłów Akcji Wyborczej „Solidarność” i Unii Wolności, wedle senator Urniaż-Grabowskiej, około godziny pierwszej w „sali plenarnej odbyła się krótka modlitwa i po licznych przygodach spowodowanych komplikacjami technicznymi zawiesiliśmy krzyż” (GP 2011). Zwraca uwagę całkowicie naturalna w tych warunkach „krótka modlitwa”, której prowadzenie nie wymaga oczywiście obecności kapłana, ale wzmianka o mszy z poświęceniem krucyfiksu w połączeniu z brakiem szczegółowej informacji musi rodzić kolejne pytania dotyczące legalności zawieszania krzyża.

Oceniając po upływie kilkunastu lat całą sytuację Wójcik z rozgoryczeniem odniósł się do krytycznych wypowiedzi przeciwników wieszania krzyża, którzy przez cały czas od samego początku nie przyjmowali „do wiadomości, że zawiesiliśmy krzyż bez spiskowania, z dobrą intencją, że zrobiliśmy to, bo tak uważali-

śmy” (NO 2010). Jawność działań „grupy wieszającej krzyż” była bardzo istotna, ponieważ „nic nie działo się wtedy ukradkiem, w ukryciu. Po prostu w późnych godzinach skończyły się nasze przygotowania i poszliśmy zawiesić krzyż. Robiliśmy to z otwartą przyłbicą, wiele osób o tym wiedziało, była przecież msza z jego poświęceniem” (GW 2011). Zresztą jeszcze przed zawieszeniem krzyża było wiadome, że całe wydarzenie będzie starannie rejestrowane przez zamontowane na stałe w sali obrad kamery techniczne, które pracują nieprzerwanie, przez całą dobę. Ponadto podobno jakiś dziennikarz z ukrycia zrobił kilka zdjęć, chociaż gdyby się ujawnił, jak zapewnił Wójcik, to „ekipa wieszająca krzyż” z wielką chęcią mogłaby nawet pozować do zdjęć. Nie jest oczywiste, czy owym fotografem był na pewno profesjonalny reporter czy równie fachowy dokumentalista z odpowiednich służb.

Bez żadnych wahań Wójcik w imieniu uczestników akcji, z których ujawnił się jedynie Krutul, publicznie przyznał, że „nie pytaliśmy o zgodę nikogo, bo niby kto miałby ją wydać? Nie ukrywaliśmy naszych zamiarów, nie uważaliśmy, że robimy coś niewłaściwego, wręcz przeciwnie – uważaliśmy to za nasz oczywisty obowiązek. Zawiesiliśmy krzyż późnym wieczorem, bo następnego dnia rano rozpoczął obrady Sejm” (NO 2010).

To poczucie słuszności i legalności poczynań, w oczywistym i koniecznym dziele instalowania „jasnogórskiego krzyża” w sali plenarnej sejmu nie opuszcza Wójcika ani przez moment także w trakcie rozwiązywania niebagatelnych technicznych problemów, z jakimi „grupa wieszająca krzyż” musiała się borykać. „W niedzielę 19 października wieczorem – kontynuował Wójcik – przywieźliśmy krzyż do sejmu na spotkanie klubu AWS. Niestety, nie pomyśleliśmy o kilku szczegółach technicznych, takich jak m.in. drabina. Nie mieliśmy wówczas odpowiedniego doświadczenia sejmowego, nie wiedzieliśmy, że do naszej dyspozycji są służby techniczne i można było zlecić zawieszenie krzyża któremuś z techników. W każdym razie młotek i gwoździe miałem, natomiast jako drabiny postanowiliśmy użyć fotela marszałkowskiego. Wcześniej zdecydowaliśmy wybrać miejsce dla krzyża nad drzwiami za stołem prezydyjnym sejmu. Do pomocy w zawieszeniu krzyża zaprosiliśmy posła Piotra Krutula, który ze względu na swój wzrost bez trudu mógł odpowiednio wysoko sięgnąć” (NO 2010).

Zawieszenie krzyża późnym wieczorem czy nawet nocą, było absolutnie konieczne, ponieważ należało zdążyć przed wyznaczoną na następny dzień inauguracją obrad Sejmu III kadencji. Przez cały dzień poprzedzający inauguracyjne posiedzenie Sejmu sala plenarna była zajęta do późnych godzin nocnych i dopiero po północy udało się bez zbędnych świadków zawiesić krzyż, a „nocna pora” nie ma tu nic do rzeczy i jest całkowicie przypadkowa. Gdyby jednak, zastrzegł się Wójcik, musiało dojść do zawieszania krzyża „podczas jakiejś uroczystości, to wówczas mielibyśmy do czynienia ze złamaniem zasady świeckości państwa. Posłowie, którzy nie czują się chrześcijanami, byliby zmuszeni do wzięcia udziału w uroczystości, której nie akceptują” (GW 2011).

Podążając tropem tego cennego wyznania należy przyjąć, że zadaniem ustanowionej przed inaugura-

cją Sejmu III kadencji „grupy wieszającej krzyż” było zorganizowanie w jego sali obrad stosownej religijno-państwowej uroczystości zakończonej wprowadzeniem krucyfiksu w samo centrum parlamentarnej przestrzeni sprawowania świeckiej władzy publicznej. W sumie ta wielce złożona operacja została stosunkowo sprawnie przeprowadzona i krucyfix pozostał w sejmie z silnie ugruntowaną nadzieją na jego trwałą obecność, ale do sankcjonującej prawnie uroczystości, a więc godnego finału nie udało się już doprowadzić. Miłościwie nam panujący Kościół Powszechny w powstałej sytuacji mimo licznych starań musiał jednak zejść z pola społecznej krytyki, a zacierając ślady udziału swoich funkcjonariuszy w operacji instalowania jasnogórskiego krzyża na sejmowej agorze, pozostawił na placu osamotnionego wojownika Tomasza Wójcika z jego lojalnym giermkim Piotrem Krutullem. Obydwa nie bez racji należeli do postaci nietuzinkowych i mimo wielkiego zaangażowania nie bez z trudu poradzili sobie z wykonaniem zleconego im zadania, chociaż prawdopodobnie otrzymali swoiste gwarancje bezkarności i „przymknięcia oczu” na nieliczące z godnością postać działania.

Trzeba przypomnieć, że na Białostocczyźnie pochodzący z Suchowoli Krutul był ważnym działaczem katolickim, w tym kilkuletnim wójtem w tej symbolicznej gminie, a wywodzący się z Dolnego Śląska trzykrotnie internowany w stanie wojennym Wójcik był szefem regionu, członkiem Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” i wiceprzewodniczącym Międzynarodowej Organizacji Pracy w Genewie z ramienia polskiego związku zawodowego.

Należy im przyznać, że tę wielce złożoną operację doprowadzili do pomyślnego finału i pierwsze posiedzenie Sejmu nowej kadencji rozpoczęło się pod patronatem krucyfiksu umieszczonego na ścianie sali sejmowej bynajmniej nie w celach dekoracyjnych czy jedynie jako znak wiary. Zgodnie z logiką scenografii miejsca, które natrętnie określane jest jako sanktuarium państwa, przez obecność w Sejmie krucyfix definiuje się przede wszystkim jako symbol kościelnej władzy państwowej automatycznie zredukowanej do funkcji narzędzia władzy publicznej.

Świeckie państwo

Bliższe wejrzenie w ciąg zdarzeń związany z zawieszaniem i obecnością krzyża w sali plenarnej prowadzi do rozpoznania paradoksalnego procesu kształtowania religijnej tożsamości świeckiego państwa w katolickim społeczeństwie. Opiera się on na rozmaitych i czasami na swój sposób rozbieżnych przesłankach, które symbolizują z jednej strony „krzyż sejmowy”, a z drugiej „krucyfix sali plenarnej” sejm. Oczywiście, że tradycja krzyża „kaplicy sejmowej”, którą wyraża przesłanie jej kapelana kładącego nacisk na męczeństwo ks. Popiełuszki i tradycja „jasnogórska”, zawarta w dołączonym do krucyfiksu narodowo zorientowanym liście ojców paulinów o państwowotwórczej wymowie, nie muszą kłócić się ze sobą. Jednak powyższe zróżnicowanie akcentów występujących obok siebie, a nie przeciwko sobie, w budowaniu mitologii krucyfiksu czy krzyża sejmowego zdaje się wskazywać na dominację żywiołowości w procesie kształtowania religijnej tożsamości państwa świeckiego.

W tym sensie doszło do pojawienia się nowego okresu w długotrwałej epoce formowania zarówno koncepcji, jak i z pewnym opóźnieniem praktyki świeckiego państwa, poczynając od oświeceniowej krytyki państwowego klerikalizmu. Problem zdaje się polegać nie na tym, że w opozycji do klerikalnego charakteru państwa zrodziła się koncepcja świeckiego państwa, ale raczej na tym, że doszło do tego w ramach stanowiska ateistycznego i agnostycznego, a więc w kulturze umysłowej z natury rzeczy nieprzyjaznej myśleniu religijnemu. Zatem wobec teoretycznej praktyki kształtowania koncepcji państwa świeckiego w łonie świeckiego światopoglądu utrwaliła się tendencja zmierzająca do wypracowania na alternatywnym gruncie myślenia religijnego odmiennej koncepcji „świeckiego państwa” jako organizmu integralnie funkcjonującego w ramach kościelnej państwowości. Takie podejście nie oznacza powrotu do jakkolwiek pojętych koncepcji państwa kościelnego czy klerikalnego, ale sprzyjanie subtelnyemu przejściu od statycznie pojmowanego modelu autonomii państwa i Kościoła do dynamicznie rozwijającej się państwowości, w której przenikanie *sacrum* w sferę państwowego *profanum* jest procesem ciągłym o długofalowej perspektywie.

Znakomitym wyrazicielem tej nowej formuły myślenia o świeckim państwie z racji uczestnictwa w „wojnie krzyżowej” stał się były poseł Wójcik, który trafnie zauważył, że parlamentarzyści o chrześcijańskich korzeniach nie powinni dopuścić do zamknięcia się ze swoją religijnością w kaplicznych murach. Wójcik powiada, że kaplica sejmowa „jest miejscem modlitwy, a sejm jest miejscem pracy. Chrześcijanin ma prawo do krzyża w miejscu pracy. W imię tolerancji proszę, by inni to uszanowali. Szacunek dla poglądów innych i wyznania jest rzeczą oczywistą” (GW 2011), co potwierdził także w odniesieniu do podjętej przez stronnika Palikota próby zawieszenia w sali rady miejskiej w Szczecinie gwiazdy Dawida i półksiężyca. Broniąc świeckości państwa Wójcik zapewnił, że jeśli „pan Palikot i ludzie mu bliscy wyznają jakąś inną religię, która ma swoje symbole, i pomagać im to będzie w pracy parlamentarnej, to przecież my, chrześcijanie, jesteśmy ludźmi tolerancyjnymi. I nikt nie zabroni im powieszenia obok krzyża swojego symbolu” (GW 2011).

Odnosząc się do religii jako podstawy tolerancji wyznaniowej Wójcik wyraził z osobistego punktu widzenia nader stanowczą regułę generalną: „To, że uznaję swoją religię za prawdziwą i słuszną, nie oznacza, że mam potępiać kogoś, kto wyznaje inną” (GW 2011). Zatem cywilizacja chrześcijańska z wszechobecną symboliką krzyża jest podstawą świeckiego państwa i gwarantuje wolności religijne na gruncie, jak należy rozumieć, pluralizmu wyznaniowego. Z tego powodu „symbol krzyża nawet komuś, kto jest niewierzący w niczym nie przeszkadza. Niczego też nie narzuca państwu. Nie nakazuje mu konsultowania się z hierarchią kościelną. Mówienie, że krzyż narusza świeckość państwa, jest po prostu bzdurą” (GW 2011). Tym samym Wójcik stojąc na gruncie świeckości państwa zdecydowanie opowiada się za powszechną obecnością krzyża, którego rolę w przestrzeni publicznej porównuje z funkcją tlenu w organizmie ludzkim.

Fałszywie rozumianej „neutralności państwa” oraz „tolerancji” nie tolerującej wiary i prawa do jej publicz-

nego wyznawania należy wedle Wójcika przeciwstawić „świeckie państwo”, które nie decyduje kto, gdzie, kiedy i jak ma wyznawać swego Boga. „Jeśli państwo znacznie regulować, gdzie może wisieć krzyż, a gdzie nie, to będzie właśnie naruszenie neutralności państwa. Staje się ono państwem ideologicznym” (ND 2011) w przeciwieństwie do „świeckości” państwa, które nie ma prawa ingerować w przekonania religijne. W odniesieniu do parlamentu według Wójcika wierzący posłowie i posłanki wykonują praktyki religijne w kaplicy sejmowej „bez zmuszania niewierzących do uczestniczenia w nich. Natomiast krzyż w sali sejmu jest prawem wierzących, by w miejscu ich pracy był główny symbol ich wiary” (ND 2011).

Podstawą świeckiego państwa w ujęciu katolickim jest jego demokratyczny charakter, w tym poszanowanie religijnych przekonań obywateli, polegające na wzajemnym ich uznawaniu oraz równoprawnym traktowaniu niewierzących. Formuła brzmi dobrze, ale jej praktykowanie przez Wójcika ma już dosyć dwuznaczny charakter. Okazało się, że niewierzący posłowie powinni być na swój sposób chronieni i nie mogą być zmuszani do uczestniczenia w jednorazowej uroczystości wieszania krucyfiksu w sali plenarnej Sejmu. Jednak ich długotrwała praca parlamentarna pod krucyfiksem, którego zawieszenia zażyczył sobie przynajmniej jeden wierzący poseł czy posłanka, znakomicie mieści w Wójcika koncepcji „państwa świeckiego”. W związku z tym należałoby uznać za niedopuszczalne zmuszanie niewierzących bądź wyznawców innej wiary do uczestniczenia w uroczystościach religijnych, przyjmując równocześnie za stosowny taki rozwój wydarzeń, kiedy świeckie przedsięwzięcie z udziałem niewierzących czy innowierców zostanie niekoniecznie „z zaskoczenia” w czasie jego trwania nasycone religijną symboliką z właściwymi jej treściami i rytuałami. Widać, że takie rozumowanie legło u podstaw decyzji o sposobie umieszczenia krucyfiksu w sali plenarnej Sejmu.

Te zawile konstrukcje słowne mimowolnie odstaniają istotę katolickiej koncepcji świeckiego państwa, która sprowadza się do stanowczej ochrony wyznawców katolicyzmu, zapewnienia jego rozwoju z prozelityzmem łącznie. W ramach tej koncepcji katolicy ze względu na zajmowaną hegemoniczną pozycję państwową mają dbać o swobody religijne dla innych wyznań. Nieco inaczej należy traktować niewierzących, ponieważ w warunkach świeckiego państwa nadaje się im status wyznawców *quasireligii*, swoistej „nie-wiary” ze swoimi rytuałami, „biskupami” czy księgami głoszącymi Słowo o nieistnieniu Boga. Ta zgrabna, na poły literacka konstrukcja, mając oczywiście pewne odniesienie do rzeczywistości, zawiera w sobie pewien element manipulacji, bowiem abstrahuje od istoty postawy niewierzących, którzy zwykle zajmują znacznie groźniejszą dla wiodącego Kościoła postawę religijnej „absztyncji” bądź areligijności czy swoście pojmowanej obywatelskiej „neutralności” wobec religii i kościołów wszelkich wyznań.

Odnośząc się do szeroko formułowanych zarzutów władczych ingerencji Kościoła w działania państwa, Wójcik podkreślił, że nie spotkał się po 1989 roku „ani razu z sytuacją, by kapłani czy biskupi byli uczestnikami struktur władzy państwowej i podej-

mowali decyzje należące do kompetencji państwa” (ND 2011). Jednak to nie wskazane przez Wójcika, typowe dla klerikalnego państwa, którego w Polsce oczywiście nie ma, zachowania funkcjonariuszy kościelnych stanowią przedmiot społecznej krytyki, ale ich zakulisowe działania i wynikające stąd owoce w postaci określonych decyzji kadrowych, finansowych, gospodarczych czy edukacyjnych na państwowej niwie. Kapłani nie muszą wcale pełnić żadnych funkcji w instytucjach świeckiego państwa, jak wskazuje godne rozważenia zdarzenie, wcale nie wyjątkowe, kiedy to dziekan jednego z ważnych wydziałów zachodniopomorskiej uczelni konsultował z wiadomym skutkiem z biskupem ordynariuszem miejscowej diecezji kwestię zatrudnienia byłego zakonnika na profesorskim etacie, a biskup innej diecezji wręcz zakazał przyjęcia go do pracy na swoim terenie. To bez żadnej przesady klasyka gatunku, znana także byłemu posłowi Wójcikowi.

Wójcik stwierdził, że świeckie państwo bezspornie nie ma prawa ingerować w „przekonania religijne obywateli”. Jego demokratyczny charakter zapewnia poddawanie osądowi obywateli działań wszystkich szczebli władzy państwowej, „niezależnie od tego, jaką pełnią funkcję czy rolę. Jedni specjalizują się w ocenie politycznej, inni w ekonomicznej, a kapłani są m.in. po to, by dokonywali oceny moralnej. Osobiście chcę wiedzieć, jak od strony moralnej są oceniane pociągnięcia premiera, prezydenta, Sejmu czy też poszczególnych polityków” (ND 2011).

Ta pociągająca teza o traktowaniu funkcjonariuszy Kościoła jako specjalistów w formułowaniu moralnych ocen instytucji demokratycznego państwa daje się obronić przed zarzutem uzurpacji jedynie pod warunkiem uznania także innych systemów wartości i koncepcji etycznych. Tymczasem u podłoża kapłańskich ocen władz publicznych z moralnego punktu widzenia nie tylko w tym przypadku leżą wartości religijne artykułowane pod hasłem systemu wartości chrześcijańskich utożsamianych w praktyce z zasadami etyki katolickiej, której podstawę stanowią uniwersalne zasady etyki.

Zadaniem całej tej słownej ekwilibrystyki jest ostatecznie wykazanie, że jedynie system wartości chrześcijańskich zapewnia słuszną kwalifikację moralną życia publicznego i jego władz, ponieważ ma za kryterium faktyczne dyrektywy etyczne katolickich hierarchów. Tym samym świeckie państwo znajduje się w stałej konfrontacji ze światem wartości chrześcijańskich, których dominacja opiera się na znacząco liczebnej przewadze wyznawców katolickiej wiary, a niewierzący etyk czy moralista jest całkowicie marginalizowany w świeckiej przestrzeni publicznej. Mimo tych uzależnień nie jest jasne, dlaczego społecznie zaangażowany katolik rzymski nie mógłby mieć sposobności wyjścia poza system wartości chrześcijańskich w stronę odmiennych konstrukcji etycznych i świeckich systemów wartości. Byłoby także interesujące zobaczyć, w jakiej mierze i skali „świeckość” zabezpiecza swobodę dyskursu etycznego między współwyznawcami a funkcjonariuszami Kościoła, kiedy wiadomo, że w społecznej relacji z kapłanem wiernym pozostaje w swej masie wyłącznie rola biernych słuchaczy i pasywnych uczestników wydarzeń religijnych.

Zebrany materiał dotyczący „jasnogórskiego krzyża sejmowego” jest stosunkowo ubogi, ale dostatecznie przekonujący w ukazywaniu determinacji, planowości i zaangażowania wielu ważnych osobistości i instytucji w przeprowadzeniu operacji ewangelizacji parlamentu za pomocą ważkiego symbolu religijnego. Kampania medialna daje wiele do myślenia o roli dziennikarzy, publicystów i „ekspertów” oraz niegardzących hipokryzją i manipulacją polityków bez względu na szaty, w jakich publicznie odgrywają swoje role. Wszak łatwo dostrzec, o czym się nie wspomina, że bez krucyfiksu na sejmowej sali, a tak było przecież przez pierwsze osiem lat III Rzeczypospolitej, kierownicza rola Kościoła katolickiego posiadała doniosłą i stale rosnącą moc urzędową. Także w czasach sejmowego „bezkrzyżewia” nasilały się publiczne głosy pełne niepokojących informacji o licznych próbach dyscyplinowania polityków, w tym także parlamentarzystów, przez kapłanów różnych szczebli, od biskupów do proboszczów w imię rozmaicie egzemplifikowanych wartości chrześcijańskich.

Jednak warto przypomnieć w tym miejscu pewną chronologię, wedle której po upływie ponad czterech lat od daty podpisania konkordatu doszło wkrótce po „ukrzyżowaniu” Sejmu do uchwalenia ustawy o wyrażeniu zgody na ratyfikację konkordatu (8 I 1998) oraz podpisania dokumentu ratyfikacyjnego (23 II 1998), który spowodował wejście konkordatu w życie (25 IV 1998). Jak okazało się po latach, konkordat był jednym z wielu ważnych wydarzeń umożliwiających udaną budowę na fundamencie wartości chrześcijańskich świeckiego państwa w ujęciu katolickim i ugruntowaniu miejsca Kościoła jako parapaństwowej organizacji życia społecznego.

Wartości chrześcijańskie

W dyskusji wokół wartości chrześcijańskich nie można pominąć wypowiedzi Krzysztofa Kozłowskiego, byłego senatora I-IV kadencji, ministra spraw wewnętrznych (1990) i redaktora „Tygodnika Powszechnego” (1956-2007) na jubileuszu 80. urodzin 10 września 2011 w Muzeum Manggha w Krakowie. Szczególnie pouczający wydaje się ten jej fragment, w którym szacowny jubilat opowiedział o swoich niedobrych doświadczeniach związanych z pracą nad ustawą o mediach publicznych, gdy kolejny raz przekonał się, jak poważnym zagrożeniem dla demokracji są wybrani na stanowiska parlamentarne czy rządowe ludzie, którzy uchylają się od odpowiedzialności. „Obserwowałem to przez lata, wspominał Kozłowski, i wzbierało we mnie przekonanie, że – przy całym szacunku dla demokracji – coś tu nie gra. Aż wreszcie cisnęło mną o fotel w Senacie. Zerwałem się z niego i wybiegłem z sali. Było to wtedy, gdy uchwalaliśmy ustawę o mediach publicznych. W ramach poprawek twórczości senackiej jeden z moich kolegów wstał i powiedział: »No tak, ale w tej ustawie nie ma wartości chrześcijańskich«. Pomyślałem sobie, że może rzeczywiście, jakąś rację może ma. No to wpismy, że media publiczne mają strzec i przestrzegać wartości chrześcijańskich. Ale po chwili zerwał się drugi senator i mówi: »To nie wystarczy w jednym artykule, to co najmniej musi być w dwóch«. Wytrzymałem jeszcze i to. A jak trzeci powtórzył to samo, zrozumiałem, że

są granice absurdu. A może i cynizmu” (K. Kozłowski, *Coś tu nie gra*, „Gazeta Wyborcza”, 14 IX 2011). W tej sytuacji Kozłowski zwrócił się do swego przyjaciela ks. Józefa Tischnera o pomoc w znalezieniu odpowiedniego miejsca w pismach Kościoła, gdzie są spisane wartości chrześcijańskie. W wielce znamiennej odpowiedzi ks. Tischner zwrócił uwagę, że „z tym jest kłopot, a jeżeli to zostało gdzieś skodyfikowane, to chyba w jednym tylko miejscu, w Kazaniu na Górze, w Ośmiu Błogosławieństwach”.

Faktycznie w Kazaniu na Górze, w przesłaniu sprzed dwóch tysięcy lat jest „siedem błogosławieństw skierowanych do konkretnych ludzi bądź stosunkowo niewielkich grup: utrudzonych, sponiewieranych, skrzywdzonych, borykających się z losem. I tylko jedno błogosławieństwo odnosi się do życia publicznego, do tych, którzy działają publicznie”. Jubilat właśnie to jedno publiczne błogosławieństwo zaleca politykom jako przedmiot poważnego namysłu: „Błogosławieni pokój czyniący, albowiem nazwani będą synami Bożymi”¹. W ten sposób Kozłowski, przy wsparciu autorytetu ks. Tischnera, doszedł do wniosku, że poszukiwane przezeń wartości chrześcijańskie, poza jednym małym fragmentem o tych, którzy wprowadzają pokój, nie występują w źródłowej tradycji formowania początków chrześcijaństwa. Nie jest to wszakże sytuacja wyjątkowa, jeśli przypomnieć, że także krzyża rozumianego na sposób upowszechniany we współczesnym życiu religijnym katolików nie da się odnaleźć u jego chrześcijańskich korzeni.

Odnosząc się konkretnie do ustawy o radiofonii i telewizji z 29 grudnia 1992 r., wedle zawartej w rozdziale 3. dyspozycji „audycje powinny szanować uczucia religijne odbiorców, a zwłaszcza respektować chrześcijański system wartości” (art. 18.2.), chociaż w poprzedzającym cytowany fragment art. 18.1. wyraźnie stwierdza się, że „audycje nie mogą propagować działań sprzecznych z prawem, z polską racją stanu oraz postaw i poglądów sprzecznych z moralnością i dobrem społecznym”², co wydaje się w całości konsumuje cytowaną wyżej kodyfikację. Dodatkowo w kolejnym rozdziale 4. „Publiczna radiofonia i telewizja” zapisano, w art.21.2. pkt 6., że jej programy powinny „respektować chrześcijański system wartości, za podstawę przyjmując uniwersalne zasady etyki”³.

Uwaga Kozłowskiego pokazuje, że obok przedstawionego wcześniej krucyfiksu, na „wartości chrześcijańskie” spadło doniosłe zadanie budowania katolickiej tożsamości naszego państwa w ramach opartej na świeckości władzy publicznej nowego typu. Dobrym przykładem tego rodzaju nowej polityki katolickiej stało się umiejscowienie formuły „wartości chrześcijańskich” w nowej ustawie o mediach publicznych świeckiego państwa, czego jak widać klasyczny katolik, bez niczyjej winy, nie był w stanie uznać.

Zdaje się być bliższe prawdy traktowanie Polski minionego półwiecza jako dobrego przykładu wspólnego funkcjonowania państwa świeckiego i kościelnego, czyli dwóch państw w ramach jednej społeczności jednego kraju niż tradycyjne ujmowanie Kościoła jako

¹ *Biblia w przekładzie księdza Jakuba Wujka z 1599 r.*, Oficyna Wydawnicza Vocatio, wyd. III, Warszawa 2000, s. 1958.

² J. Sobczak, *Prawo prasowe. Ustawa o radiofonii i telewizji*, Toruń 1996, s. 70.

³ *Ibidem*, s. 71.

„państwa w państwie”, świeckiej organizacji życia społecznego.

„Katolicka racja stanu”

Romuald Kukołowicz, wieloletni współpracownik i osobisty doradca ds. społecznych i gospodarczych prymasa Stefana Wyszyńskiego, w przeprowadzonym z nim przez Piotra Bączka wywiadzie-rzece *W cieniu Prymasa Tysiąclecia* przypomniał rozważania prymasa o tym, co „polityka trwogi” może zrobić z ludźmi, a także do jakiego stopnia ludzie są „niewolnikami błędu, gdy już tracą wrażliwość na to, co jest nakazem »katolickiej racji stanu«⁴. Kukołowicz, starając się wiernie przedstawić stanowisko prymasa Wyszyńskiego w tej kwestii, powołuje się na jego wykładnię „Bożej racji stanu”, jaką formułował w trudnym okresie internowania. Trudno odnaleźć jej systematyczne opracowanie, ale w *Zapiskach więziennych* w kontekście heroicznego apostołstwa biskupa antiocheńskiego, świętego Ignacego Męczennika, pod datą 1 II 1955 prymas umieścił wiele spostrzeżeń odnoszących się do „Bożej racji stanu” i rozumienia nieubłaganych następstw „pierwszego kroku kapłańskiego. Właściwie kapłan nigdy nie może się cofać, nawet gdyby posłannictwo jego wiodło pod zęby zwierząt. Bóg ma prawo wszystkiego żądać. Może z lękiem, może z trwogą i przerażeniem – a jednak jest to położenie bez wyjścia. I cała praca nasza ma iść nie w tym kierunku, by uniknąć tych ostatecznych następstw, ale – by dojść do nich z usposobieniem ufności, pogody i pełnego zrozumienia, że tak musi być, bo tego wymaga »Boża racja stanu«⁵. Według prymasa nigdy nic nie jest do końca rozstrzygnięte, bowiem także prześladowcy mogą się nawrócić i zyskać w ten sposób, o czym zwykle sami nie wiedzą, ostatnią szansę ratunku, której nie wolno ich pozbawiać.

Paradoksalne odwrócenie tej relacji ludzkich losów można odnaleźć w stosunku Stalina do prymasa Wyszyńskiego, o czym w formie niemal anegdotycznej, ale niebudzącej wątpliwości co do wiarygodności przekazu zapamiętał Kukołowicz i przedstawił w formie wypowiedzi prymasa w pierwszej osobie w wywiadzie. Przy jakiejś okazji na pytanie Kukołowicza, którego z pierwszych sekretarzy KC PZPR prymas ceni najwyżej, usłyszał, że „pana Bieruta”. W kontynuacji tego wątku prymas stwierdził, że „z *Bierutem* wszystko było jasne. Kiedyś był on w Moskwie na uroczystościach rocznicy rewolucji październikowej. Gdy powrócił, spytałem, jak się udała wyprawa do Moskwy. Bierut odrzekł na to, że się nie udała. »Wie Ksiądz Prymas, rozmawiałem ze Stalinem i powiedziałem mu, że chcę Księdza Prymasa wsadzić do więzienia«. Gdy Bierut powiedział otwarcie Księdzu Prymasowi, to On – jak mi sam opowiadał, prawie podskoczył do góry, ale opamiętał się i spokojnie spytał: – *I co na to Stalin?* I wtedy Bierut ze smętną miną odpowiedział:

– *Stalin powiedział tak: wot, ty durak. Co za sztuka wsadzić Prymasa do więzienia, to każdy dureń potrafi. Ty zrób z Prymasa Wyszyńskiego komunistę. To dopiero będzie sztuka! – I za to właśnie cenię*

Bieruta – kontynuował ksiądz prymas. Uczciwie i szczerze przyznał się, że już dawno wsadziłby mnie do więzienia, choć odradzał mu to Stalin. Później Stalin umarł i jak wiesz po sześciu miesiącach znalazłem się w areszcie”.⁶

„Boża racja stanu” wymaga od stanu kapłańskiego pełnego oddania w spełnianiu misji apostołskiej Kościoła, a wywodząca się zeń „katolicka racja stanu” zobowiązuje wiernych do prowadzenia wszelkiej działalności publicznej, w tym politycznej oparciu o troskę o naród i ojczyznę z korzystaniem w jak najszerszej skali z państwowych instytucji i struktur. „Podstawowym zadaniem misyjnej działalności Kościoła jest przekazywanie treści Pisma Świętego i przekazywanie Tradycji”⁷, bez względu na jakiegokolwiek ofiary, okoliczności, bariery kulturowe czy granice państwowe. W tym sensie Kościół spełnia misję apostołską w perspektywie globalnej, rozwijając na religijnej niwie stosunki zwłaszcza między narodem polskim i niemieckim, w niezbyt odległej epoce w postaci dyplomacji epistolarniej.

W jeszcze większym zakresie, zgodnie z „katolicką racją stanu”, prymas przywiązywał szczególne znaczenie do misji na Wschodzie, także w wyjątkowej homilii w gorącym Sierpniu 1980 na Jasnej Górze. Najpierw jednak prymas Wyszyński, powołując się na zakorzenienie polskiego narodu podkreślał, że „skoro od wieków trwamy tutaj między Odrą, Wisłą i tak dalej... to jest to nasze miejsce. Z tym miejscem łączą się nasze obowiązki wobec innych: *Czyńcie sobie ziemię poddaną* (Rdz 1,28). Z tym też miejscem związane są nasze prawa”⁸. Wykorzystanie przez prymasa nowej nazwy geograficznej „i tak dalej...”, być może jakiejś dotąd nieznannej rzeki czy krainy na odległym Wschodzie, w tak doniostej publicznej mowie, wskazuje na własne priorytety Kościoła w polityce zagranicznej wynikające z nieuznawania na płaszczyźnie wyznaniowej istniejących aktualnie granicznych podziałów, co oznacza inne rozumienie „zakorzenienia” narodu niż powszechnie się sądzi. „Katolicka racja stanu”, nie tylko w tym przypadku, zdominowała rację stanu państwa polskiego albo wręcz się nią stała. Może jedynie zaskakiwać dynamika tempa zlewania się w niektórych regionach świata dyplomacji państwa i Kościoła w wysoce skoordynowaną politykę międzynarodową, która może wyrażać ze wszech miar wartą starannej obserwacji nową tendencję historyczną w procesie oddziaływania dwóch państw w jednym kraju.

MAREK ZAGAJEWSKI

⁶ *W cieniu Prymasa Tysiąclecia*, op. cit., s. 85, 87.

⁷ *Ibidem*, s. 239.

⁸ Stefan kardynał Wyszyński Prymas Polski, *Odpowiedzialność – Obowiązki – Prawa w życiu narodu*. Podczas uroczystości Matki Boskiej Częstochowskiej na Jasnej Górze 26 VIII 1980, w: idem, *Nauczanie społeczne 1946-1981*, Warszawa 1990, s. 953.

⁴ *W cieniu Prymasa Tysiąclecia*. Z profesorem Romualdem Kukołowiczem rozmawia P. Bączek, Warszawa 2001, s. 238.

⁵ Stefan Kardynał Wyszyński Prymas Polski, *Zapiski więzienne*, Paris 1982, s.131.

ADAM SCHAFF – ANDRZEJ WALICKI

KORESPONDENCJA (1982–1985)

Wiedeń, 12 stycznia 1982

Drogi Kolego Walicki,
dziękuję za list i za życzenia. Ze swej strony przesyłam najlepsze.

Zacznę od końca Pańskiego listu, od pytania, co robić? Tak się składa, że pyta Pan mnie o to drugi raz, pierwszy przed laty, w obu wypadkach pytania były trudne. Odpowiem banalnie: czekać i patrzeć, co z tego wyjdzie, ma Pan dużo czasu do namysłu. Ale dodaję: jeśli tylko to będzie możliwe – a co to znaczy, tylko Pan będzie mógł odpowiedzieć – wracać do kraju. Idzie nie tylko o nostalgię, lecz o bodźce do pracy. Mówię o tym skrótowo, lecz chyba jest jasne, o co mi idzie. Osobiście zrobiłbym inaczej tylko w wypadku groźby dla życia lub wolności (to ostatecznie obejmuje utratę niepodległości, co nie jest wykluczone i tragiczne tego konsekwencje dla wolności osobistej), ale moja sytuacja jest inna: wiek i przeszłość.

A teraz do samej sprawy. Wypadki nie były dla mnie zaskoczeniem i ostatnie [słowo niezrozumiałe] było koniecznością, in extremis, gdyż groziło coś znacznie gorszego. Pamięta Pan *Miałeś chamie złoty róg* z „Wesela”. Chociaż wypowiedział tam głębokie zdanie w sensie historiozofii O „zwodniczej niemożności” Polaków korzystania z okazji historycznych. Tym razem między innymi z powodu braku edukacji demokratycznej narodu, bez niej traci się umiar polityczny i zastępuje demokrację anarchią. Straciliśmy narodowo unikalną, może niepowtarzalną szansę historyczną, straciliśmy dzięki specyficznej mieszaninie głupoty politycznej i świadomej prowokacji (pochodzących z dużych [słowo niezrozumiałe], o różnej motywacji lecz politycznie [słowo niezrozumiałe] na szkodę Polski). A mogliśmy uzyskać dużo, promieniując na inne kraje, szkoda jest nie tylko narodowa, lecz również międzynarodowa. Zegar został cofnięty, jak daleko, to zobaczymy. Swoją drogą wiemy z historii, że rewolucje, nawet pokonane, nigdy nie są całkiem przegrane – coś pozostaje. Co?, to też zobaczymy.

Osobiście diabli mnie brali od szeregu miesięcy, gdyż widziałem jasno grożące nam „owoce” głupoty. Publikuję teraz te swoje rozważania i przewidywania. Zobaczymy, jak za to zapłacę. Jeśli z tego wyjdę cało, to z pewnością będę odpisywał na listy (zamierzam wrócić do kraju, który jest teraz rodzajem astronomicznej „czarnej dziury”; w połowie lutego i wrócić tu (?) z początkiem marca. Proszę pisywać!

Pozdrawiam i ściskam dłoni

Adam Schaff

25 stycznia 1982

The Australian National University
History of Ideas

The Research School of Social Sciences

Szanowny Panie Profesorze,
dziękuję Panu za tak poważny i ważny list. Zgadzam się z Panem w ocenie zmarnowanych szans. Już trzy lata temu niepokoiła mnie stawka na prowokację i na wymuszenie polaryzacji stanowisk i napisałem wówczas kilka „memoriałów” przeciwko temu, zna je w Warszawie ok. 30 osób, posyłam Panu dwa spośród nich (oczywiście tylko dla Pańskiej wiadomości), sądzę bowiem, że stało się to właśnie, czego pragnąłem uniknąć, czego niebezpieczeństwo chciałem uświadomić tym moim znajomym i przyjaciółom, którzy uznali, iż czas już na „rzucanie rękawic”.

Dołączam również zakończenie tekstu autobiograficznego napisanego jako komentarz do mojej korespondencji z Miłoszem, z okazji jego nagrody. Zawiera on rodzaj podsumowania mojej dotychczasowej pracy.

Chciałbym być ostrożnym optymistą, boje się jednak, że nie ma już warunków kontynuowania dotychczasowej mojej drogi. Szantaż moralny udał się, choć się broniłem; nie potrafiłbym dystansować się od represjonowanych, płacić ceny milczenia (nie mówiąc już o deklaracjach lojalności!), a więc musiałbym jednak płacić cudze rachunki. Gdybym odmówił ich płacenia, straciłbym swą niezależność, stałbym się człowiekiem władzy i to w dodatku na jakimś marginesie, bo jednak zbyt wiele osób znałem, zbyt często bywałem za granicą i w ogóle nie zasługuję na zaufanie policji. Pracowałem dla kraju 30 lat, wróciłbym do najgorszej nędzy, ale wtedy, gdybym wiedział, że moja obecność zmieni na korzyść oblicze polskiej „oficjalnej” nauki, pozwalając mi zarazem zachować szacunek do samego siebie o szacunek społeczny wobec mojej postawy. Boje się, że to niemożliwe. Nastąpił moim zdaniem czas na wielkie kariery miernot bez skrępułów. Być listkiem figowym na nagim królu? – legitymizować represyjny rząd dowodząc własnym istnieniem, że jest on jednak tolerancyjny i „liberalny”? Zgodzi się Pan, że to poważne i trudne dylematy. Ale niczego nie przesądzam, czekam.

Łączę najlepsze pozdrowienia, bardzo ciekaw jestem Pańskich wrażeń z kraju.

A. Walicki

Wiedeń, 1 lutego 1982

Drogi Panie Andrzeju,
dziękuję za list i za maszynopisy.

Brawo! To zostało napisane nie tylko słusznie (w pełni!), ale i pięknie. Myślę podobnie, choć rozpoczynam taniec z innego punktu wyjścia. Przesyłam jako „odpowiedź” dwa moje teksty (z sierpnia i grudnia 1981 r.), które zaświadczą o tym, że jest Pan bliższy pewnym ludziom partyjnym (w każdym razie marksistowskim) niż głupiej – niestety – opozycji. Boleję zresztą nad jej głupotą, podobnie jak Pan.

Będę wdzięczny za reakcję na moje analizy, które wkraczają zresztą trochę w Pańską dziedzinę.

9 lutego jadę do Warszawy (jest tam moja rodzina), około 1 marca powinienem być z powrotem. Napiszę o tym, co widziałem i usłyszałem (z punktu widzenia „słuchania” ciągle jest ich).

Powtarzam: proszę zawiesić sprawę Pańskiego powrotu na 2 lata pobytu w Australii. Osobiście jestem pewny, że Pan wróci i że będą po temu warunki.

Pozdrawiam i ściskam dłoń

Adam Schaff

3 marca 1982

The Australian National University

Szanowny Panie Profesorze, serdecznie dziękuję za oba teksty przysłane mi przed Pańskim wyjazdem do Polski. Zgadza się – niestety! – z większością Pańskich myśli. I mnie cisnęły się pod pióro mocne słowa, takie jak „szaleństwo”, a więc nie dziwię się, że Pan w określonym kontekście użył słów jeszcze mocniejszych, np. „zbrodnia”.

Bardzo ciekaw jestem Pańskich opinii po powrocie z Polski. Osobiście uważam, że mogła zwyciężyć „liberalizacja”, tj. linia ograniczenia zakresu władzy przez prawo, w tym prawa jednostki i prawa autonomicznych (niepolitycznych) zrzeszeń, ale nie „demokratyzacja” w sensie podziału władzy, jej rozdrobnienia; uważam nawet, że istniało niebezpieczeństwo wejścia na drogę „zdemokratyzowanego totalitaryzmu”, tzn. ogromnego rozszerzenia ilości „współdecydentów”, uczestników władzy, bez zabezpieczenia rządów prawa, bez zawężenia zakresu spraw, o których się arbitralnie decyduje. Kultura prawna nie wygrałaby na tym, bo zemocjonalizowane masy utożsamiają własną wolę z prawem. Ekonomia rozłożyłaby się kompletnie, gdyby o wszystkim decydować miały samorządy będące terenem walki politycznej (choćby najbardziej zgodnej z wymogami formalnej demokracji).

Dylemat mój jest moralny: nie chcę być chwalony przez ludzi, których nie szanuję, a potępiany przez środowisko, którego byłem (i jestem) częścią i z którym nie chcę zerwać nadwątlonych już i tak więzów elementarnej solidarności. Chcę wrócić do kraju, ale wtedy, jeśli będę miał pewność, że nie będę mimowolnie narzędziem ludzi z „Rzeczywistości”¹, że moja niezależność będzie szanowana, że samej władzy zależeć będzie na tym, aby polskie życie naukowe nie zostało zdominowane przez serwilistyczne miernoty. Po tym, co się stało, obojętne z czyjej głównie winy, trudno mi to sobie wyobrazić... Zobaczę. Zostawiłem w wydawnictwach dwie książki: *Polska, Rosja, marksizm*² w KiW (plano-

¹ „Rzeczywistość”, tygodnik społeczno-polityczny ukazujący się w latach 1981-1989. Powstał z inicjatywy Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald” i uważany był za organ narodowo-konserwatywnego skrzydła PZPR

² Praca *Polska, Rosja, marksizm. Studia z dziejów marksizmu i jego recepcji* została wydana w 1983 r.

wano wydać w tym roku) i tom prac o romantyzmie³ dla PIW, ponadto, to może jeszcze ważniejsze, *Zarys dziejów filozofii polskiej*⁴ pod moją redakcją dla PWN. Czy odłożą na półkę, czy wydadzą? Prof. Fritzhand⁵ pytał mnie jesienią o zgodę na kandydowanie do PAN, wyraziłem taką zgodę, bo przecież dorobek mam większy niż wielu akademików (m.in. 4 książki po angielsku, 2 po japońsku, 2 po włosku). Nie będzie tych wyborów, to trudno, ale jeśli np. zamiast mnie wybrany zostanie np. prof. Michalik, jako patentowany „leninista” i w dodatku wojskowy, to będzie to wyraźnym wyborem w zakresie polityki kulturalnej.

Na razie piszę nową książkę po angielsku i dość gorzko przeżywam poczucie politycznego, a także ogólnego osamotnienia. Gdybym zdecydował się przedłużyć swój pobyt za granicą to właśnie to, a nie lęk przed biedą czy represjami byłoby tego przyczyną. Najtrudniej być samotnym wśród „swoich”.

Z najlepszymi pozdrowieniami.

Andrzej Walicki

Wiedeń, 11 marca 1982

Drogi Panie Kolego,

wróciłem z Kraju mieszanymi uczuciami. Z jednej strony jest bez porównania lepiej niż to – a w szczególności w prasie emigracyjnej – [co] się o tym pisze (porządek, więcej dyscypliny, lepsze zaopatrzenie, oczywiście ani śladu terroru, o którym się tyle mówi etc.), a jednocześnie jest pod innym względem o wiele gorzej niż myślałem (ślepe zaciętrzewienie, zwłaszcza wśród inteligencji, która przy pomocy mechanizmu [słowo niezrozumiałe] odcina się od oczywistego faktu, że alternatywą jest katastrofa narodowa). Jest pod tym względem (ostatnim), tak źle, że nie należąc do osób strachliwych nie pozwoliłem na druk *Miałeś chamie...* ze strachu przed linczem moralnym. Nie wiem, co mam robić, nie chcę działać niezgodnie ze swoim sumieniem, a boję się mówić prawdę. Tym razem przeszkodą nie jest rząd czy „junta”. Lecz nowe [słowo niezrozumiałe]. Do zwariowania.

Jak już Panu radziłem, proszę nie rozpamiętywać teraz sprawy powrotu. Nie wiadomo, co się stanie wiosną, a Pan myśli o dystansie 2 lat – to czas pozaprzyśły. Zobaczymy...

Książki Panu wydadzą, w to wierzę. Będzie Pan wybrany do Akademii, pozwoliłem sobie dołączyć swój podpis. Ale nie w tym sprawa, a w tym, dokąd pchnie rząd społeczeństwo, pchane – swoją drogą – przez niewiadome siły. Zdrętwiałem z wściekłości, czytając 1-2 numer „Kultury” (artykuł redakcyjny i Pomian) – ci ludzie oszaleli, ale w szaleństwie [słowo niezrozumiałe] zbrodnię.

Można było – ma Pan rację – osiągnąć wiele w ramach liberalizacji, co można i dzisiaj. Ale wszystkiego osiągnąć w tym kraju nie można, w każdym razie od razu. A tu działa *compositum* ludzi typu Wałęsy (po prostu naiwniacy i durnie polityczni) oraz prowokatorów (? kto, z czyjego poduszczenia). Trzeba czekać!

Ściskam dłoń

Adam Schaff

³ Praca *Między filozofią, religią i polityką: studia o myśli polskiej epoki romantyzmu* została wydana w 1983 r.

⁴ *Zarys dziejów filozofii polskiej: 1815-1918* został wydany w 1983 r.

⁵ Marek Fritzhand (1913-1992), etyk, filozof, prof. Uniwersytetu Warszawskiego, członek PAN.

26 marca 1982

The Australian National University

Szanowny Panie Profesorze,
serdecznie dziękuję za list. Jeżeli Pan „przestraszył się” opublikowania swego tekstu, to musi Pan dobrze rozumieć moje dylematy – moje osobiste związki z opozycyjną częścią środowiska były przecież b. silne, od czasów Krzywego Koła, i przedtem.

Otrzymałem nareszcie pierwsze numery „Polityki” i jestem poruszony autentycznością wielu wypowiedzi, zwłaszcza artykułem Passenta⁶. Poczuję, że moje osamotnienie nie byłoby zupełne.

Jeszcze przed otrzymaniem „Polityk” napisałem tekst, który Panu posyłam w ramach „wymiany”. Jest on o tyle pikantny, że napisany został á propos listu mojego przyjaciela z lat szkolnych, który właśnie zgodził się objąć stanowisko dyrektora pol. sekcji Free Europe. Oczywiście jemu głównie tekst ten posłałem.

Jednakże – to też ciekawy przyczynek – posłałem mu go bez ostatniej strony. Stchórzyłem: oto bowiem człowiek na takim stanowisku miałby dowód, że Walicki uważa za możliwe wypuszczenie tylko 90 proc. internowanych. Spytałby, kogo chce nadal internować, a ja byłbym w kropce, bo nie chcę nikogo, a napisałem tak tylko motywowany realizmem...

Dziękuję, że dołączył Pan podpis pod wnioskiem prof. Fritzhanda. Jeśli w ogóle o tym wspominałem, to na pewno nie dlatego, iżbym uważał rzecz za ważną ze względu na mnie; ważne jest tylko, aby nie kompromitować PAN i umiarkowanej linii w kierownictwie nagradzaniem serwilizmu.

Z najlepszymi pozdrowieniami

Andrzej Walicki

18 maja 1982

The Australian National University

Szanowny Panie Profesorze.

Za parę dni wyjeżdżam do Bloomington, Ind., aby wziąć udział w międzynarodowej konferencji o polskim Renesansie (rocznica Kochanowskiego) a przy okazji mieć również krótki ale intensywny kurs na temat podobieństw i związków między myślą polską a rosyjską w XIX w. (załączam program kursu). Spotkam tam ludzi z kraju, a także Kołakowskiego, Miłosza, Weintrauba. Wracam w połowie czerwca.

Nie otrzymałem jeszcze od Pana odpowiedzi na mój ostatni list z obszernym załącznikiem pt. *Zamknięcie rozrachunku*. Prysłano mi natomiast odbitkę obrzydliwego artykułu z „Żołnierza Wolności” pt. *Dywerysja trwa* (nr 91), w którym wymieniony jestem jako członek PPN, a więc – wedle autora – superniebezpiecznej organizacji mafijno-szpiegowskiej. Ze względu na naszą korespondencję pragnę wyjaśnić, że jest to kłamstwo. Elementem prawdy w tym kłamstwie jest tylko to, że Najder⁷ proponował mi w r. 1976 wstąpienie do PPN, na co ja nie przystałem, od razu poprosiwszy go stanowczo, aby mnie nie wtajemniczał w żadne sprawy personalno-organiza-

⁶ Daniel Passent (1938), dziennikarz tygodnika „Polityka”, w latach 1996-2001 ambasador w Chile.

⁷ Zdzisław Najder (1930), historyk literatury, znawca J. Conrada. Dyrektor sekcji polskiej RWE (1982-1987), w 1983 r. skazany w PRL na karę śmierci – oskarżony o współpracę z wywiadem amerykańskim; w 1989 r. wyrok uchylono. W latach 1958-1963 na ewidencji Służby Bezpieczeństwa (TW „Zapalniczka”?).

cyjne. Ma się rozumieć, nie złożyłem na niego donosu i nie zerwałem z nim osobistych stosunków, co z policyjnego punktu widzenia jest zapewne obciążeniem. Z drugiej strony faktem jest, że nie brałem żadnego udziału w pracach PPN i że nawet w prywatnych rozmowach z N. bardzo prędko uwidoczniłem odrębność mego stanowiska. Po napisaniu przeze mnie znanych Panu tekstów w sprawie TKN i opozycji, próby pośredniego chociażby przyciągnięcia mnie do współpracy z niezalegalizowanymi organizacjami całkowicie ustały.

Zastanawia mnie, czemu wśród kilku zaledwie nazwisk wymienionych w artykule pojawiło się również moje. Autor pisze, że policja zna ok. 100 nazwisk z kręgu PPN – wśród tych 100 nazwisk są na pewno nazwiska ludzi, którzy w odróżnieniu ode mnie faktycznie brali udział w zebraniach aktywu PPN, znali jego skład, pisali dla PPN teksty itp. Widocznie jakaś gra odbywa się wokół mojej osoby. Trudno [nieczytelne]

Z pozdrowieniami i wyrazami szacunku

A. Walicki

Wiedeń, 28 maja 1982

Drogi Panie Andrzeju,
odpowiadam z dużym opóźnieniem, gdyż przeleżałem 6 tygodni w szpitalu w Warszawie (operacja oka).

Zacznę od Pańskiego drugiego listu. Niech się Pan nie przejmuję wymienieniem pańskiego nazwiska w artykule „Z[ołnierza] Wol[ności]”. Tam siedzą ludzie prowokatorów – to nie jest agentura. lecz zwykła ekspoztura najciemniejszych elementów sąsiada. Gdy dostregli, że jednak dalej istnieję w kraju, uraczyli mnie nie zwykłym wyjaśnieniem nazwiska w kontekście, lecz całym artykułem psychopaty Wita Gawraka⁸, pełnym insynuacji i ignorancji. Mimo wszystko to jest jeszcze „papierowy tygrys”. W każdym razie ohyda sytuacji w kraju polega na tym, że jest to godzina pluskiew, które wyłazą spoza tapet naszych pomieszczeń. Znaczący to, że uważają za to nadejście ich czasu. Może. Ale jak już Panu pisałem: nie warto zbytnio się denerwować teraz, ma Pan 2 lata czasu – ja niestety, nie mam.

A teraz pański list – artykuł. Wszystkie tezy są ważne, często jesteśmy na tej samej linii rozumowania. Zgubili nas przede wszystkim durnie, którzy próbują kontynuować swoją robotę i teraz. Jak słusznie powiedział Norwid, że Polacy to nie jest społeczeństwo, lecz tylko sztandar narodowy. Jedno mnie w tym liście razi: Pan ciągle jest w defensywie, Pan się broni, chociaż ma Pan pełne prawo do ataku. [...]

Ciekaw jestem Pańskich wrażeń ze spotkań z Kołakowskim i Miłoszem⁹; zwłaszcza pierwszy należy do kategorii ludzi „chorych na Polskę” i wątpię, by mógł Pan ze swoimi poglądami i ocenami znaleźć z nim wspólny język. Gdybym go nie uważał za człowieka „chorego” to musiałbym nim pogardzać.

Jak już chyba pisałem, chciałbym posłać Panu swoją książkę *Ruch komunistyczny na rozdrożu*. Po niemiecku czy po francusku? Na razie tylko tym dysponuję.

Serdeczne pozdrowienia

Adam Schaff

⁸ Wit Gawrak, dziennikarz, literat, członek utworzonego w 1980 r. nacjonalistyczno-komunistycznego Stowarzyszenia „Grunwald”.

⁹ Czesław Miłosz (1911-2004), poeta, laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1980 r.

28 czerwca 1982

The Australian National University

Szanowny Panie Profesorze.

Dziękuję za list z 28.V. Mam nadzieję, że Pańska operacja oka w pełni się udała.

Konferencja w Bloomington odbyła się, z kraju przyjechało sporo osób, miałem okazję do wielu ciekawych rozmów. Potem solidnie się napracowałem (cykl wykładów porównawczych o myśli ros. i pol.), a następnie wróciłem do Canberry w jednym samolocie z Leszkiem K.¹⁰, który przyjechał tu, aby wygłosić tzw. *Tanner lecture*.

Wiele osób w gruncie rzeczy przyznawało mi raczej wątpiąc tylko, czy głoszenie takich poglądów jak moje jest „na czasie”. Nie tylko dlatego, że w kraju toczy się wojna psychologiczna, ale i dlatego, że zawsze mówimy „w kontekście” i nie od naszych intencji zależy sposób wykorzystania naszych myśli. Zgadzam się z tym i stąd moja stanowcza prośba, aby moich listów, itd. nie puszcząć w obieg bez mojej zgody.

Do L.K. napisałem obszernie już w końcu stycznia, mam kopie tego listu, zawiera on wszystkie moje poglądy na błędy opozycji, tyle tylko, że poprzedzony jest deklaracją przyjaźni wobec adresata, powołaniem się na wspólne wartości i prośbą o odłożenie na bok emocji, które mogłyby go ode mnie dzielić. Proszę sobie wyobrazić, że w niejednym przyznał mi rację.

Panie Profesorze, to co się stało jest tragedią i dla Pana i dla mnie, obaj jesteśmy za granicą, i to wystarczająco uzasadnia naszą wymianę myśli. Ciekawi mnie, co myśli człowiek tak mocno związany z ruchem komunistycznym jak Pan. Pan zapewne widzi we mnie przedstawiciela tego skrzydła pol. inteligencji, które postawiło nie na obalenie lub osłabianie ustroju PRL, lecz na kształtowanie go od wewnątrz. I słusznie. Ale ponieważ korespondencja ta nie ma innego celu niż wymiana myśli, czuję się w obowiązku wyjaśnić Panu dlaczego, mimo wszystko, mogę znajdować wspólny język również z L.K.

Pisał Pan kiedyś otwarcie (chyba we *Wstępie do teorii marksizmu*), że socjalizm w Polsce nie jest autogeniczny, że nie byłoby go bez obecności Armii Czerwonej. Rozumiem, że można było mieć wiarę w mandat od Historii, w nieodwracalność przemian i w zablźnienie ran. W dwa ostatnie punkty wierzyli również ludzie tacy, jak ja. Mówiąc we własnym imieniu: pragnąłem wzajemnego przystosowania do siebie polskiego społeczeństwa i narzuconego mu ustroju, cenilem każdy objaw uelastyczniania tego ustroju, liberalizowania go i w dobrym sensie „unarodowiania”. Sądziłem po heglowsku że nastąpi coś w rodzaju „pojednania z rzeczywistością” – nie w sensie bezkrytycznej aprobaty, ale w sensie nauczania się racjonalnego działania w ramach ustroju. I niezależnie od tego, co sądzę opozycji po 1976 roku, trzeba przyznać, że się pomyliłem. Opozycja poniosła klęskę, ale zarazem – jeśli to było jej celem – odniosła „negatywne zwycięstwo” ujawniając ponad wszelką wątpliwość, że przez trzydzieści kilka lat partia rządząca nie zdołała pozyskać sobie narodu, nie sprawdziła się... Stan wojenny można usprawiedliwić, ale tylko wtedy, jeśli relacje partia – społeczeństwo rozpatruje się w kategoriach polityki międzynarodowej, *vel* geopolityki, inaczej mówiąc jeśli w partii widzi się nie organiczną siłę społeczeństwa polskiego, ale mandatariuszkę i gwarantkę interesów ZSRR. Nie muszę

Pana przekonywać, że w ramach polityki czysto wewnętrznej „wojna” z własnym społeczeństwem jest – w Europie przynajmniej – czymś nie do pomyślenia, nie tylko moralnie, lecz również politycznie.

A więc jesteśmy w punkcie wyjścia, tyle że bez złudzeń: stoimy wobec zewnętrznej przemocy. Różnica między mną a L.K. polega na tym, że on reaguje emocjonalnie i moralistycznie, ja zaś pamiętam o jego własnych przestrojach przed nienawiścią i zaciętością, widzę po stronie władzy wielu ludzi uczciwych, tragicznych, a po stronie opozycji wielu demagogów i głupców; ludzi z partii (z wyjątkiem nielicznej klikki) uważam w sumie za wierny obraz społeczeństwa – ani lepsi, ani gorsi. Nie mogę jednak nie zgodzić się co do bankructwa systemu. Wolałbym, żeby bankructwo jego nie zaczęło się od Polski, sądzę, że Polska mocno gospodarczo i państwowo w ramach obecnego systemu byłaby lepiej przygotowana do jakiegoś nowego etapu rozwoju socjalizmu (socjalizm jako taki jest nieodwracalny, również „Solidarność”, wbrew własnej „falszywej świadomości”, jest tego potwierdzeniem). Ale fakt jest faktem. Nie znajduję w sobie ani sił, ani ochoty, aby ponownie zaczynać pracę nad wzajemnym „przystosowywaniem” społeczeństwa do ustroju, ustroju do społeczeństwa. Mogę najgłębiej boleć z powodu zaprzepaszczonej szans, ale nie chcę, aby moja krytyka opozycji była legitymizowaniem tego, co się stało. Niech ciężar tego wezmą na siebie ci, którzy byli i nadal pragną być u władzy. Polsce potrzebne jest minimum legitymizacji władzy, minimum consensusu, ale to nie może spaść z nieba – niech ludzie władzy zapracują na to sami, wtedy nauczą się bardziej to cenić, nie dopuszczając do katastrof. Prawda, trudno rządzić Polakami, ale jako marksista zgodzi się Pan, że „trudny charakter narodowy” nie może być dla władzy i dla systemu rozgrzeszeniem. [...]

Oczywiście czytam po francusku i będzie mi b. miło otrzymać Pańską nową książkę.

Jeśli tak ostro krytykowałem opozycję to m.in. dlatego, że było w niej wielu ludzi bliskich mi, ludzi, po których spodziewałem się większej mądrości. Ale nie chcę płać rachunków ani za błędy opozycji, ani za błędy partii. Pragnę oczywiście, aby zwyciężyli w partii ludzie rozumni, uczciwi. Odrzucam „im gorzej, tym lepiej”.

Z najlepszymi pozdrowieniami

Andrzej Walicki

5 lipca 1982

The Australian National University

Szanowny Panie Profesorze,

dzięki za list. Co do moich „memoriałów z USA” to wiem, niestety, że „weszły w obieg” i domyślam się jak (niedawno dowiedziałem się, że postano je też do „Kultury”). Dlatego właśnie w zakończeniu tekstu pt. *Zamknięcie rozrachunku* tak mocno podkreśliłem, że nie jest on przeznaczony do „kursowania”. (Na razie zna go, oprócz Najdera, tylko Pan i moja córka oraz żona). Tamte, wcześniejsze teksty udostępniłem nie byle jakim osobom: Geremkowi, Lipskiemu¹¹, Najde-

¹⁰ Leszek Kotakowski.

¹¹ Jan Józef Lipski (1926-1991), historyk literatury, krytyk, działacz opozycji demokratycznej m.in. Komitetu Obrony Robotników, wielki mistrz konspiracyjnej łąki wolnomularskiej „Kopernik” w Warszawie.

rowi, Michnikowi¹², miałem nadzieję, że zechcą to ze mną przedyskutować ale reakcje były inne: od grożenia (tylko Najder) towarzyskim szantażem (oświadczyłem, że się go nie boję) do zapewnień, że działalność moja i ich są paralelne raczej niż przeciwstawne, a więc że nie powinienem stawać im na drodze. Zgodziłem się z tym. Plechanow¹³ też odmówił występowania przeciw Rewolucji październikowej, choć miał przecucia najgorsze...

Pośrednio jednak „samookreśliłem się” dość wyraźnie. Nie włączyłem się do „Solidarności”, co więcej, opublikowałem w „Polityce” długi artykuł z krytyką sprzeczności i prymitywnego egalitaryzmu jej gospodarczo-społecznego programu. Cały rok posierpniowy poświęciłem na przygotowanie zbioru rozpraw pt. *Rosja, Polska, marksizm* dla Biblioteki Studiów nad Marksizmem KiW, wyrażając tym samym stanowisko niebył wówczas popularne, że potrzebna jest nam poważna refleksja nad marksizmem i Rosją – nadal, bo te czynniki nadal warunkują naszą sytuację. Itd., itp... W ogóle pracowałem ze zdwojoną energią, choć mówiono, że „nie czas na pracę”.

Ale co teraz?

Jedno z dwojga: albo szansa wzajemnego „przystosowania” narodu i ustroju nigdy nie była realna, a w takim razie 90 proc. tego co robiłem po 1956 roku poszła na marne, albo szansa taka istniała, ale wskutek głupoty obu stron (plus głupoty ingerujących z zewnątrz, z różnych stron) została zaprzepaszczona, co byłoby takim absurdem, takim regresem, po którym nie chce się oglądać rezultatów. W obu wypadkach jednakowo uzasadnione jest moje głębokie zniechęcenie, przyptyw śmiertelnego znużenia i myśl, że w 52. roku życia mam już może prawo decydować nie z punktu widzenia „narodowego” dobra, lecz z punktu widzenia mego własnego dobra i dobra mej indywidualnej pracy, która na szczęście ma także wymiar bardziej uniwersalny. To właśnie, a nie jakieś oburzenie, szok (choćby był) czy też „śmiertelna obraza zgwałconego narodu” (słowa Bratkowskiego¹⁴ z 7-8 nr. „Kultury”) leży u podstaw moich wahań czy nie zostać na dłużej w Australii (kontrakt mój przewiduje automatyczne prawie przedłużenie do lat pięciu).

Pańskie przyjazne zainteresowanie moją sytuacją skłania mnie do dalszych wyjaśnień. A więc:

Mam zaufanie do własnych ogólnych sądów, ale wiem, że w konkretnych życiowych sytuacjach bywam naiwny, a nie chcę dać sobą manipulować. Nie chcę ani szantażów moralnych, ani szantażów policyjnych (vide „Żołnierz Wolności”).

Nie zamierzam iść w ślady L.K. w działaniach politycznych, ale wiem, że w kraju nie przydam się ani „umiarkowanym” w rządzie (bo sytuacja skazuje ich na sojusz z „pluskami”), ani „umiarkowanym” w opozycji (bo nie wierzę w skuteczność słów nie popartych opozycyjnym działaniem). Ale życie na marginesie mogę mieć i w Australii. Mam już po angielsku 4 książki, dwie z nich sam po ang. napisałem (in. *Philosophy and Romantic Nationalism. The Case of Poland*, Oxford Univ.

¹² Adam Michnik (1946), historyk, eseista, publicysta, działacz opozycji demokratycznej i „Solidarności”. Po 1989 r. poseł na Sejm, redaktor naczelny dziennika „Gazeta Wyborcza”.

¹³ Georgij Plechanow (1856-1918), rosyjski filozof i publicysta, działacz ruchu narodnickiego, później marksista.

¹⁴ Stefan Bratkowski (1934), dziennikarz i publicysta.

Press 1982), mam do napisania jeszcze dużo, i to takich rzeczy, których, choć nie będą antyradzieckie ani antyrosyjskie, nie mógłbym w kraju opublikować. Aktualnie jest to wielka książka o postawach wobec prawa i filozofii prawa w Rosji, z dużym rozdziałem o moim pierwszym nauczycielu – Sergiuszu Hesse. ¹⁵ [...]

Konkretnie: w chwili obecnej skłonny jestem prosić PAN o przedłużenie mojego urlopu. Co będzie potem? Chciałbym wrócić, ale nie w warunkach takich jak teraz. Sytuację widzę dość czarno. Szanuję ludzi chcących coś ratować, ale widzę, że mają bardzo małe pole manewru. Niezależność jest możliwa kosztem samotności, ale samotność wśród swoich jest najgorsza. Pisze Pan o Polsce. Tak, ale Polska to nie tylko „tu i teraz”, to także pewna tradycja (nie ta głupioromantyczna, ani też katolicko-endecka) i pewien ideał, a dla takiej Polski można pracować i na obczyźnie. Napisałem już po angielsku jedną książkę o Polsce, mogę napisać następną, m.in., przekornie o tradycjach polskiego marksizmu, żeby nie myślano, że Polska = katolicyzm.

Łączę najlepsze pozdrowienia, czekam na książkę i *Lekcję polską*, cz. 2

A. Walicki

P.S. Przebywający tu Z. Bauman¹⁶ powiedział mi, że ponoć jest Pan teraz w bliskich stosunkach z Gomułką¹⁷. Uderzyło mnie to pewną, niespodziewaną aż, logiką. Ja sam stosunkowo najbardziej identyfikuję się z „okresem Gomułkowskim” (przed 1968), jestem jego wytworem...

Bad Hofgastein, 18 lipca 1982

Drogi Panie Andrzeju,

na Pański list z 28 czerwca, za który dziękuję, odpowiadam z pewnym opóźnieniem, gdyż jestem na wakacjach i list musieli mi tu dostać.

Operacja udała się, ale rzecz jest uciążliwa(oko). Idziemy jednak już w górę.

Z listu widzę, że spotkanie z Leszkiem i innymi przysporzyło Panu kłopotów z samym sobą. Chyba niepotrzebnych. Mówienie prawdy nie jest grzechem i nie oznacza stawania po stronie reżimu, oznacza w Pańskim wypadku krytykę głupoty tam, gdzie ona się przejawia. Napiszę dalej, jak ja to ujmuję i rozumiem. Naprzód jednak chcę podkreślić, że kto Panu mówił, iż w kraju toczy się walka psychologiczna, mówił głupstwa: może komuś tak się wydaje, ale to nie odpowiada rzeczywistości. To jest szamotanina się głupców (proszę przeczytać w majowym numerze „Kultury” obłądne artykuły Bratkowskiego i Kuronia), a nie walka psychologiczna. Prawdziwa walka toczy się o przetrwanie bytu narodowego Polski – groźba *Finis Poloniae* jest realna – przeciw utopijnym fantantom (jak Bratkowski) lub obiektywnym prowokatorom (jak Kuroń z hasłem powstania narodowego). Z tego punktu widzenia władza wojskowa uratowała Polskę *in extremis* i z tego punktu widzenia należy ją ratować nie przed Bratkowskim, ta

¹⁵ Segiusz Hesse (1887-1950), rosyjski pedagog i filozof. Od 1935 r. osiadł w Polsce, prof. Uniwersytetu Łódzkiego, twórca systemu pedagogiki kultury.

¹⁶ Zygmunt Bauman (1925) socjolog i filozof, prof. Uniwersytetu Warszawskiego. Po 1968 r. osiadł w Anglii, aż do emerytury wykładał na University of Leeds.

¹⁷ Władysław Gomułka (1905-1982), działacz komunistyczny, polityk. W latach 1956-1970 I sekretarz KC PZPR.

walka jest śmieszna, lecz przeciw Olszowskiemu¹⁸ i Kociołkowi¹⁹, których walka jest realnym niebezpieczeństwem jako odmiana Targowicy. Jeśli zaś idzie o Partię, to idę znacznie dalej niż Pan i żądam jej rozwiązania i odpowiedni tekst publikuję (prześle Panu).

Pisz Pan, że różni się Pan od Leszka tym, że on reaguję emocjonalnie, a Pan rozumowo. Nie, tak nie jest. Leszek jest wrogiem i dziś nie tylko komunizmu, lecz Polski. Podobnie jak Miłosz, razem z którym podpisał list do władz NRF żądając, by Polsce nie udzielać żadnej pomocy. Otóż mówiąc bez ogródek, to jest tajdactwo. Gdyby coś takiego nastąpiło (nie nastąpi!), co by uzyskano? Ugięcie się rządu? Nigdy! Można natomiast uzyskać wybuch w Polsce, w rezultacie którego nastąpiłaby w Polsce interwencja i dalej planowany nowy rozbiór Polski. Tak jest, to nie jest straszenie, lecz prawda. I tak postępują Polacy? Nie, to są zaślepieni przez frustrację ludzie, którzy stawiają się obiektywnie na pozycji wrogów Polski, przynajmniej obiektywnie.

Dla kontrastu. Trzy dni temu byłem w Rzymie na audiencji prywatnej u Papieża. Rozmowa dotyczyła i tego zagadnienia: otóż papież, którego nikt nie posądzi o sprzyjanie reżimowi rozumiał te sprawy. I może dlatego zgodził się na przesunięcie jego wizyty w Polsce o rok.

Niech Pan nie ulega złudzeniom: Pan ze swymi przekonaniami i pragnieniem nieobalenia socjalizmu w Polsce. Lecz zreformowania go gruntownego – i pod tym względem stoimy na podobnych pozycjach – różni się głęboko od Leszka.[...] Zgadza się z Panem, że rząd i partia powinny się dorobić minimum *credibility*. Ale trzeba im na to pozwolić i pomóc. W przeciwnym razie dojdą do głosu otwarcie komunofaszyści (którzy przygotowują się do przejęcia władzy), którzy już [słowo nieczytelne] na „consensus” i – obiektywnie – na Polskę. A o Polskę trzeba walczyć, nawet jeśli nam się ten rząd nie podoba. Na dumniów, którzy głoszą (np. Michnik), że Polska stoi przelewem krwi narodowej w każdym pokoleniu, należy machnąć ręką: kto gwarantuje, że nam tej krwi starczy?

Wiem, że stoimy na podobnych pozycjach myślowych i dlatego piszę tak ostro, by pomóc Panu otrząsnąć się z wrażeń, które są niespójne z Pańską postawą. Nikt od Pana nie żąda, by Pan występował w tym względzie aktywnie: oczywiście nikomu przesłanych materiałów nie pokażę. Chcę jednak Pana uprzedzić, że prócz ostatniego, poprzednie, które mi Pan przysłał i inne, których nie znałem, widziałem w ręku Werblana²⁰, to znaczy, że jakoś kursują.

Książkę i część drugą *Lekcji polskiej* prześlę.

Serdecznie pozdrawiam i ściskam dłoń.

Adam Schaff

Wiedeń, 24 sierpnia 1982

Drogi Panie Andrzeju,

Pański list (5 lipca) wędrował długo: byłem na wakacjach, odpowiadam natychmiast po powrocie.

¹⁸ Stefan Olszowski (1931), działacz komunistyczny, polityk, minister spraw zagranicznych. W latach 80. XX w. jeden z liderów frakcji konserwatywnej w PZPR.

¹⁹ Stanisław Kociołek, działacz komunistyczny, polityk. W latach 80. XX w. jeden z liderów frakcji konserwatywnej w PZPR.

²⁰ Andrzej Werblan (1924), historyk, prof. Uniwersytetu Śląskiego, dyrektor Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu KC PZPR.

Zaczynam od sedna sprawy: proszę pobyt przedłużyć, i to bez wyrzutów sumienia. Nic po Panu teraz w kraju (jestem w tej samej sytuacji), w szczególności wobec Pańskiego nastawienia, które w pełni podzielam, również w praktyce. Kiedyś Pan chyba wróci, proszę nie palić mostów, ale zostać teraz tam. Pańskie plany pisarskie pochwalam. A więc z czystym sumieniem!

Dla pełnej identyfikacji mojej osoby: byłem i jestem w bardzo bliskich stosunkach z Gomułą. Nie wiem, w jakim „sosie” podał to Panu Zygmunt. Robię to nie z zachwyty nad G., znam różne sprawy negatywne, o których inni nie wiedzą; znam również pozytywne. Rzecz w tym, że nie należę do ludzi, którzy odwracają się od „wielkich”, gdy są w biedzie. Przez długi czas byłem jedynym człowiekiem, który – mimo kontroli bezpieki w jego domu – przychodził do G. regularnie. „Rozbroiłem” w ten sposób propozycję zostania ministrem. Po prostu wstydziłbym się postąpić inaczej (Jeśli Zygmunt jeszcze tam jest, proszę mu to powtórzyć).

Posyłam Panu moją nową książkę po francusku, II część *Polskiej Lekcji* prześlę po przepisaniu tekstu.

Proszę pisać!

Serdecznie pozdrawiam i życzę powodzenia

Adam Schaff

19 października 1982

The Australian National University

Szanowny Panie Profesorze,

nie odpowiadałem na Pański list z 24.8 ponieważ czekałem na c.d. *Lekcji polskiej*. Uptynęło już jednak sporo czasu, a więc nie chcę dłużej zwlekać z podziękowaniem Panu za ten list, za zawarte w nim zrozumienie moich dylematów i wyborów.

Sytuacja w kraju wydaje mi się coraz tragiczniejsza. Odnoszę wrażenie, że władza, zorientowawszy się, że aktywnego poparcia społecznego i tak nie uzyska, zdecydowała się „pójść na całego”. Nie mogę pojąć dlaczego nie przyjęto kompromisowych propozycji, nad którymi pracował Glemp, i dlaczego całkowicie zlikwidowano wiejskie zw. zaw., aczkolwiek chłopci, o ile mi wiadomo, demonstracji nie urządzali, żadnego milicjanta ani zomowca nie pobili. Wiem także o zignorowaniu listu do Jaruzelskiego²¹, podpisanego m.in. przez Gieysztorę i Jana Szczepańskiego²². A to, co się dzieje w gospodarce to już chyba i nowe błędy (eufemizm), nie tylko Gierkowskie.

Łączę najlepsze pozdrowienia i wyrazy szacunku

Andrzej Walicki

11 listopada 1982

The Australian National University

Szanowny i Drogi Panie,

serdeczne dzięki za książkę, którą natychmiast przeczytałem. Zrobiła na mnie duże wrażenie tym przede wszystkim, że właściwie pozrywał Pan w niej mosty łączące Pana z partiami w krajach „realnego socjalizmu”

²¹ Wojciech Jaruzelski (1923), generał armii, w PRL minister obrony narodowej, premier, przewodniczący Rady Państwa, pierwszy prezydent III RP (1989-1990).

²² Jan Szczepański (1913-2004), socjolog, prof. Uniwersytetu Łódzkiego, członek PAN.

(mam na myśli nie ludzi, lecz struktury zinstytucjonalizowane) i że położył Pan krzyżyk na możliwości autentycznego socjalizmu, na razie przynajmniej, w tych krajach. Myślę, że pomysł podbudowania eurokomunizmu marksizmem ortodoksyjnym, tj. wierzącym w wartość cywilizacji zachodniej, wolnym od modnego na zachodzie samobiczowania, masochizmu, (który nie wyklucza wcale narcyzmu), antyindustrializmu *à la* „nowa lewica” itd. A także od sentymentalnego rozczulania się nad krajami zacofanymi – w sumie wolnym od przejawów moralno-ideologicznego kryzysu nękającego Europę, jest dobry, ma szansę i że Pan jest tu właściwym człowiekiem.

Nie bardzo rozumiem (w ramach immanentnej logiki wyvodu) jednej sprawy: dlaczego socjalizm w sensie wąskim, ekonomicznym, dającym się łączyć z „komunofaszysmem” w sferze politycznej i ideowej, jest dla Pana mimo wszystko wartością, czymś, od czego nie ma i nie powinno być odwrotu.

Zastanawiam się nad możliwością napisania o tej książce w Australii. Jest to trudne, bo prawie nie ma tu pism takich jak w Polsce. Tygodniki polityczno-kulturalne w ogóle nie istnieją, jest za to mnóstwo pięknie ilustrowanych magazynów o kwiatkach, domach, łodziach, psach, nawet o łazienkach.

W związku z *Lekcją polską* załączam tekst odczytu wygłoszonego tu przed 13 grudnia: miał być ogłoszony, ale wycofałem go z powodu dezaktualizacji spowodowanej stanem wojennym. Nie ma w nim znanych Panu rozważań w kwestii „politycznego realizmu”, świadomie bowiem ominąłem ten aspekt, są natomiast rozważania z zakresu charakterologii narodowej, zbieżne z Pańskimi.

Z najlepszymi pozdrowieniami

Andrzej Walicki

Wiedeń, 15 listopada 1982

Drogi Panie Andrzeju,

dziękuję za list datowany 22 października br. „Chwila” milczenia powstała z powodu moich ciągłych wyjazdów. Nie wiem, czy Panu już napisałem, że dałem się wszędzie emerytować (przed czasem), by zdobyć „wolną rękę” i zaprząłem się do nowej, chyba gigantycznej, pracy poświęconej problemom młodzieży w obliczu rewolucji mikroelektroniki. Idzie o badania...

O uświadomienie opinii publicznej (na całym świecie, pracując regionalnie) na temat tego, co nadchodzi oraz o [nieczytelne] z decydentami politycznymi na temat praktycznych decyzji w tym zakresie. Inicjatywa wyszła od Klubu Rzymskiego²³, ale została entuzjastycznie podjęta przez Watykan (byłem przyjęty w lipcu na godzinnej audyencji prywatnej przez Papieża) oraz szereg organizacji międzynarodowych. Znowu będę „pływał” po szerokim świecie, ale w kraju mnie nie potrzebują. Jedna zmiana: postanowiłem zmienić taktykę i skończyć z „bojkotem” z mojej strony w tym sensie, że zacząłem publikować w prasie i występować publicznie.

Wyjechałem z Warszawy trzy dni temu. Mogę po raz pierwszy zakomunikować coś optymistyczne-

go: fiasko – i to kompletne – prób strajku generalnego 10 bm., zwolnienie w następstwie Wałęsy i – nareszcie – zdecydowanie pozytywne kroki Kościoła zaczęły zmieniać sytuację na lepszą. Oby się powiodło! Śmierć Breżniewa²⁴ i wymuszona zmiana polityki USA mogą się do tego przyczynić.

Pańska kandydatura do PAN została formalnie (...) wysunięta. Posiedzenie wyborcze odbędzie się wiosną 1983 r. – jestem pewien, tylko po moim trupie mogliby kandydaturę odrzucić.

Lekcja Polska II ukazała się (po niemiecku)²⁵, posyłam oddzielnie.

Proszę pisać! Ściskam dłoń

Adam Schaff

27 listopada 1982

The Australian National University

Drogi Panie Profesorze,

serdeczne dzięki za list z 15 listopada. Wiadomość o formalnym wysunięciu mojej kandydatury do PAN bardzo mnie, rzecz jasna, ucieszyła (przy założeniu, że stan wojenny rychło się skończy, prosiłem bowiem w Bloomington prof. Gieysztorą, aby moja kandydatura nie była rozpatrywana w warunkach stanu wojennego). Jak Pan wie jednak zamierzam przedłużyć i to do roku 1986 swój pobyt w Australii. Odniósł się Pan do tego ze zrozumieniem i nawet pisał Pan, że bym nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Chciałbym jednak wiedzieć, czy istotnie, Pana zdaniem, ewentualny wybór do PAN nie postawi mnie w sytuacji „moralnie zobligowanego” do szybkiego powrotu.

Formalnie rzecz biorąc nie powinno tak być, bo PAN jako korporacja jest tylko autonomiczną społecznością uczonych, a ja uczonym polskim byłem, jestem i będę. Sądzę jednak, że, niestety, nie wszyscy tak myślą. (Nie dotyczy to oczywiście osób, które wysunęły moją kandydaturę). Po obu stronach znajdują się ludzie, którzy, w wypadku mojego przyjazdu do Polski mogliby chcieć w prostacki sposób zdyskontować politycznie ew. wybór do PAN: albo przez wywieranie nacisku, abym zrobił jakiś gest opozycyjny – po to abym albo istotnie coś takiego zrobił, bądź „skompromitował” się w ich oczach, albo, z drugiej strony, abym wystąpił w roli przeciwnika opozycji, co z kolei byłoby dla mnie niezwykle trudne w sytuacji gdy np. J.J.Lipski, z którym się nie zgadzam, ale z którym łączy mnie pewna przyjacielsko-moralna więź, czeka na proces.

Osobiście sądzą, że dla zademonstrowania prawdziwej niezależności PAN kandydatura moja i to szczególnie w sytuacji, gdy jestem poza krajem, jest wyborem dobrym. Ale na wszelki wypadek chciałbym, aby Pan wiedział, że ja osobiście zinterpretowałbym mój wybór do PAN jako wielki zaszczyt zobowiązujący mnie do dalszej pracy dla dobra polskiej nauki – i nie więcej.

Tu natomiast, w Australii, korespondując czy rozmawiając z różnymi osobami nie unikam ostrego formułowania mojego punktu widzenia. Na ostatnie dwa lata w Polsce – wprost przeciwnie. Posłałem paru oso-

²³ Klub Rzymski, istniejące od 1968 r. międzynarodowe forum uczonych, polityków i biznesmenów przygotowujące raporty analizujące globalne problemy świata.

²⁴ Leonid Breżniew (1906-1982), działacz komunistyczny, przywódca ZSRR, od 1966 r. sekretarz generalny KC KPZR. Twórca doktryny ograniczonej suwerenności krajów obozu socjalistycznego.

²⁵ *Polnische Lektion*, *Eropeische Rundschau* nr 4.

bom znany Panu tekst *Zamknięcie rozrachunku*, zastanawiam się nawet, czy nie posłać go doradcy Reagana R. Pipesowi²⁶, który ma *Polish background*, zna mnie od dawna i nawiązał ze mną korespondencję. Zna ten tekst, plus wiele rozwinięć, także prof. Andrzej Brzeski²⁷ z Kalifornii, mój kolega z Krzywego Koła²⁸. Chce on zorganizować w USA forum dyskusyjne na tematy polskie i choć nie zgadza się ze mną, chce jednak, aby moje stanowisko było reprezentowane. Osobiście sądzę, że warto tę propozycję (jeśli rzecz dojdzie do skutku) przyjąć, choć, oczywiście, nie byłby to tekst, który mógłby wpłynąć na postawy polityczne emigracji i jednocześnie spodobać się naszym *hardlinersom*, czy nawet przeciętnym aparatczykom. Albo – albo.

Tezy, mówiąc najkrócej, byłyby takie:

1. Etyka odpowiedzialności, a nie działanie z myślą o tym „co powie historia”, bo polska historia, czy raczej historiografia zawsze chwali „szlachetne kłęski” i zachęca do następnych – zamiast uczyć na przykładzie błędów i straconych szans.

2. Nie można w istniejących warunkach stawiać na polaryzacje i konfrontacyjne wymuszanie ustępstw, jedyną drogą jest poszerzanie sfery konsensusu i wypracowywanie obustronnie akceptowanych reguł gry, tzn. reguł zarówno wygrywania jak przegrywania.

3. Zasadniczym złem ustroju jest nieograniczona (choć w praktyce ograniczana) wszechwładza decydentów politycznych, chodzi więc o to aby ograniczyć zakres władzy polit. (liberalizacja), a nie o to, aby kolosalnie powiększyć ilość osób partycypujących w decyzjach (demokratyzacja w wydaniu „Solidarności”). Władzę dla jej własnego m.in. dobra trzeba ograniczać przez (1) prawa subiektywne obywateli, (2) prawa autonomicznych stowarzyszeń, w tym zw. zaw. (ale nie ogólnopolskiej, terytorialnej konfederacji, bo to dwuwładza, a nie reprezentowanie specyficznych interesów różnych grup) i wreszcie (3) konstytucyjne wyznaczenie dużego zakresu niezależności decydentów ekonomicznych od decydentów polit., tzn. pozwolenie, aby ekonomika rządziła się własnymi prawami, do czego nie jest potrzebne przywrócenie własności prywatnej. Wywód, że ruch z lat 1980-1981 zmierzał raczej w kierunku zdemokratyzowania politycznej wszechwładzy, tj. podzielenia się nią, a nie jej ograniczenia. Magicznie wierzono w decyzje polityczne, a więc w polityczne naciski, negocjacje itd., lekceważono prawo (np. naciśki na sądy, nieodróżnianie ocen moralnych od prawnych), ekonomikę (np. postawy wobec pracy i płac nie do pogodzenia z autonomizacją sfery ekonomicznej, prostacki egalitaryzm schlebający miernocie), słowem, że ruch ten był produktem „socjalizmu” w złym znaczeniu tego słowa, systemem premiującego miernotę, złą pracę, szerzącego „woluntarystyczne” iluzje. 4. Słowem – droga nie przez ograniczanie jednej siły przez inną siłę, bądź przez zastąpienie jednej siły politycznej inną, ale przez ograniczenie siły prawem, przez „uprawowienie” ekonomiki, tj. regulowanie procesów gospodarczych normami prawnymi, a nie zmiennymi, arbitralnymi, nieprzewidywalnymi decyzjami politycznymi.

²⁶ Richard Edgar Pipes (1923), amerykański historyk i sowietolog, doradca prezydenta Ronalda Reagana. Urodził się w Cieszynie, do 1939 r. mieszkał w Warszawie.

²⁷ Andrzej Brzeski, ekonomista, prof. University of California at Davis

²⁸ Klub Krzywego Koła, dyskusyjny klub polityczny działający w Warszawie w latach 1955-1962, zamknięty przez władze PRL

Czasem miałbym ochotę napisać całą broszurę na ten temat, ale to niemożliwe. W naszym kraju albo (1) byłoby to niecenzuralne, albo (2) gdyby cenzura przepuściła uznany zostałbym za jakiegoś renegata i argumenty moje nie miałyby żadnej wagi. Za granicą z kolei nikt tego nie zechciałby drukować. Przesyłając Najderowi *Zamknięcie rozrachunku* spytałem go na próbę, czy „Kultura” nie zechciałaby poważnie przedyskutować te sprawy, uwzględniając również moje argumenty. Rzecz jasna nie spodziewałem się nawet pozytywnej reakcji...

Jak więc Pan widzi, nadal istnieje duży zakres zbieżności między naszymi poglądami. Istnieje również i ta zbieżność, że najchętniej ustawiłbym się tak jak Pan, tj. mogąc mieć *foothold* i w Polsce, i za granicą. Wreszcie, po wstrząsach i rozczarowaniach ostatnich lat nie chcę już podporządkowywać mej pracy w całości tak czy inaczej rozumianemu „dobru narodu”. Chcę mieć też rodzaj „wariackich papierów” dla siebie, np. możliwość publikowania za granicą książek w Polsce niecenzuralnych (choć nie antyrosyjskich lub antyradzieckich), itp. Na pewno rozumie to Pan, bo sam korzysta Pan z tego rodzaju wolności. Ponadto, *last not least*, moje zdrowie i stan nerwowy (bezsensowność) były w Polsce w tak strasznym stanie, że i teraz jeszcze częściej tylko stanąłem na nogi.

Z okazji Świąt i Nowego Roku proszę przyjąć moje szczerze, najlepsze i serdeczne życzenia.

Andrzej Walicki

Notabene – w czerwcu wraca do Polski moja żona (z zamiarem ponownego przyjazdu do Australii po kilku miesiącach), upoważnię ją do rozmów na temat różnych moich spraw.

P.S. 29 listopada 1982:

Ponownie przeczytawszy Pański list doszedłem do wniosku, że ze względu na Pańskie zaangażowanie w sprawę mojej kandydatury do PAN powinien Pan znać całą amplitudę moich wahań. Jest ona olbrzymia i dlatego właśnie wybieram na razie po prostu przedłużenie pobytu czyli zawieszenie decyzji. Bardzo boję się bowiem fatalnego błędu. Chcę przedłużyć swój pobyt o 3 lata, ale – do Pańskiej tylko wiadomości – nie wykluczam ani możliwości powrotu wcześniejszego, zaraz po skończeniu książki, którą tu piszę, ani (druga skrajność) przyjęcia „tenuze” (? - niejasne) tutaj, co byłoby rodzajem odsunięcia się na bok, przejścia na przedwczesną emeryturę (mowa o pracy w instytucie badawczym, całkowicie samodzielnej i nikogo nie interesującej). Co nie znaczy, że nie mógłbym tu b. wiele zrobić – wprost przeciwnie.

Argumenty za szybszym powrotem są liczne i ważne. Wiele więzi zostało naderwanych, ale mimo to wszystkie istniejące więzi łączą mnie z krajem. Nieobecni przestają się liczyć. A przecież tylko w kraju jestem mimo wszystko w centrum tego, czym żyję.

Ale: to, co się stało w Polsce, zwłaszcza 13.XII, jak już w 1976 (gdy pojawiła się aktywna opozycja), zasadniczo podważyło sens mojej długoletniej pracy (taki, jaki jej nadawałem) i motywację do jej kontynuowania. Widzę dziś jasno, że kolosalnie wyolbrzymiałem znaczenie pracy czysto intelektualnej, budowanie na tej podstawie jakiegoś konsensusu itp. Niemniej byłem po stronie tych, którzy domagali się poszerzenia konsensusu przez liberalizację, cały czas środo-

wiskiem moim była frondująca inteligencja, od takich ludzi jak na jednym biegunie Najder, przez Lipskiego i „Krzywe Koło” aż do Bronka Baczki²⁹, który przez kilka lat był mi szczególnie bliski. I oto teraz Bronka od dawna nie ma w kraju, Najder pracuje dla Wolnej Europy, Lipski czeka na proces – to tylko symbole, istotniejsze jest to, że całe to środowisko postawiło na inne metody działania, moich argumentów nie chciało dyskutować, a przecież mimo to prawie wszyscy ludzie, których cenię, lubię, szanuję, są tutaj, a nie po drugiej stronie, jakże mógłbym nagle wystąpić w roli kogoś, kto dowodzi swej racji w sytuacji obecnej? – nie mógłbym nawet znieść sytuacji, w której moje milczenie mogłoby być fałszywie interpretowane. Nie widzę, z drugiej strony, żadnych gwarancji, że partia oczyści się od „pluskiew” i zdoła stworzyć warunki, w których ludzie tacy jak ja mogliby mieć jakieś znaczenie. Pan to unikalny *casus*, czysto indywidualny; ponadto jest tam jeszcze trochę ludzi uczciwych i rozsądnych, ale im bliżej centrum władzy, tym silniejszy siłą rzeczy, choć zwykle wymuszony, sojusz z takimi ludźmi, od których chciałbym trzymać się z daleka.

Dla ilustracji „pluskwizmu” załączam artykuł wymieniający mnie z radą, abym nie wracał. Nikt na to nie zareagował (władze PAN mogłyby), nikt tych insynuacji nie odwołał.

Wreszcie sytuacja osobista. Nazbyt wytężona, wszystko sobie podporządkowująca praca rozwaliła moje poprzednie małżeństwo a *de facto* i obecne – ma ono jakieś szanse utrzymania się i wzmocnienia w Australii, w Polsce rozpadnie się zaraz. A ja nie mogę wyobrazić sobie obecnie samotnego życia w kraju pod naciskiem podwójnych stresów, prywatnych i publicznych. Za dwa-trzy lata ten podwójny kryzys chyba minie. Mam nadzieję, że doczekam się sytuacji, w której ludzie rozsądni będą naprawdę efektywnie kontrolować życie partii, a w „środowisku” zrodzi się obiektywne i subiektywne zapotrzebowanie na ludzi takich jak ja, a także klarowniejsze widzenie własnego środowiskowego interesu (w chwili obecnej podporządkowywanego lekkomyślnie racjom rzekomo ogólnonarodowym, tak jakby interes środowiska nie był interesem polskiej kultury, jakby obrona tego interesu, zamiast składania go w ofierze imponderabiliom, była godnym pogardy egoizmem).

Jeszcze jedno P.S.:

Pragnę Panu bardzo podziękować za zaangażowanie w sprawę mojej kandydatury. Nie jestem wprawdzie przesadnie skromny i sądzę, że jest to kandydatura dobrze obiektywnie uzasadniona, umiem jednak docenić zdolność do obiektywizmu oraz życzliwość pozbawioną ubocznych motywów.

Dobrze pamiętam, że po zdaniu u Pana egzaminu z filozofii chciał Pan umożliwić mi pracę naukową w zakresie filozofii (byłem studentem rusycystyki) i skierował mnie Pan do prof. Krońskiego³⁰. Nic wtedy z tego nie wyszło, ale potem prof. Fritzhand chciał dla mnie załatwić filozoficzną aspiranturę. Dziś znowu Pan i prof. F. w związku z moją kandydaturą do PAN. A więc może oba te fakty jakoś się wiążą – właśnie przez

²⁹ Bronisław Baczko (1924), filozof, historyk myśli społecznej, prof. Uniwersytetu Warszawskiego. Po 1968 r. na emigracji, wykładał na uniwersytecie w Genewie. Współtwórca tzw. warszawskiej szkoły historyków idei

³⁰ Tadeusz Kroński (1907-1958), filozof, historyk filozofii, prof. Uniwersytetu Warszawskiego.

Pański obiektywizm i bezstronną życzliwość, których początkowo, przyznam, nie całkiem może doceniałem.

Wiedeń, 22 stycznia 1983

Drogi Panie Andrzeju,
różne perypetie (dłuższy pobyt w kraju, [słowo nieczytelne] wyjazdy) spowodowały, że na Pański list z listopada odpowiadam dopiero teraz. Przepraszam, a jednocześnie przesyłam Panu najlepsze życzenia noworoczne.

Na poruszone przez Pana sprawy odpowiadam punktami.

1) Pańska kandydatura akademicka: jest dobrze uzasadniona, ważne Pańskim konkurentem jest Klemens Szaniawski³¹, Pańska kandydatura jest lepsza. Wybór do niczego nie obliguje, jeśli idzie o ewentualne wybory powrót do kraju.

2) Sprawa powrotu: niech Pan przedłuży pobyt, ale niech Pan to robi, zachowując wszystkie formalności. Kiedyś Pan wróci, byłoby błędem postąpić inaczej, ale teraz nie wytrzymałby Pan nerwowo.

3) Pańskie wahania: nie są niezwykle ani wyjątkowe. Rozumiem racje. Ja postępuję w następujący sposób: robię to co uważam za słuszne (np. teraz występuję z poparciem ekipy „ostatniej szansy”, za jaką uważam obecną, chociaż nie są to bohaterowie mego romansu) i nie zważam na różne „krytyki”. U nas będą one zawsze, a ponieważ sytuacja jest obiektywnie konfliktowa, to każdy z nas musi decydować sam. Moje przestanki są następujące: działać dla dobra kraju (ja sam decyduję, co jest „dobrem”) zachowując twarz. Z góry trzeba założyć, że dla wielu to co się robi, będzie naganne. Trudno.

4) Atak „Żołnierza Wolności”: ataki na Pana są drobnostką [w porównaniu] z atakami na mnie (aż do oskarżenia mnie o współpracę ze szpiegowskimi ośrodkami). Nie twierdzę, że to jest przyjemne i że nie jest denerwujące. Ale ani nie jest to opinia powszechna, ani decydująca, ani ta, na której mi zależy. Trudno, są i takie ośrodki, zajmujące się m.in. prowokacją. To smutne, ale prawdziwe. Trzeba nauczyć się przechodzić nad tym do porządku dziennego.

5) Mój stosunek do Pana: pełen sympatii i szacunku naukowego. Zasługuje Pan na to i nie ma wobec tego nic nadzwyczajnego w tym, że postępuję zgodnie z takim [słowo nieczytelne]. Jeśli to Panu w czymś pomaga – byłbym zadowolony.

Trochę informacji z kraju. Proszę sobie uświadomić, że czytając prasę zachodnią i emigracyjną, nie wie Pan zupełnie, co w Polsce się dzieje (ja czytam to wszystko, ale mogę porównać z rzeczywistością). Podobnie jednostronne są sprawozdania ludzi przyjeżdżających z kraju, a chcących na gwałt ufrizować się na „buntowników”. W kraju kitłasi się, zwłaszcza w środowisku inteligencji, ale jest spokojnie i to nie są pozory. Po raz pierwszy od dwóch lat widzę promyk nadziei, to jest zasługa tej ekipy. Jest ona otoczona wrogością „twardych” (broniący się „aparatu”), a jak idioci pomagają im „buntownicy”. Jeśli ta ekipa upadnie (wzmocnił ją Andropow³²), to grozi katastrofą; wszelka alternaty-

³¹ Klemens Szaniawski (1925-1990), filozof, logik, prof. Uniwersytetu Warszawskiego, działacz demokratycznej opozycji i „Solidarności”.

³² Jurij Andropow (1914-1984), działacz komunistyczny, polityk, w ZSRR przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Państwa (KGB), od 1982 r. I sekretarz KC KPZR

wa może być tylko na gorsze. Właśnie dlatego stosuję „bojkot bojkotu”. Chcę, by Pan zrozumiał moje racje i motyw. Wielką nadzieję przywiązuję do zmienionej polityki Kościoła i do dialogu z nim; dlatego [słowo nieczytelne] się w tej dziedzinie. Krótko: jest ciągle źle, ale jednak jest lepiej. [...]

Serdecznie pozdrawiam i ściskam dłoń

Adam Schaff

25 marca 1983

The Australian National University

Szanowny Panie Profesorze, dziękuję za list. W sprawie Niżnika pomoc mogą tylko przez śledzenie ogłoszeń i przesyłanych nam regularnie wiadomości o wakujących posadach. Przyznam jednak, że nie znam jego dorobku, nie wiem nawet, jak określić jego dziedzinę (nie wie tego również życzliwy mu Krzysztof Zagórski³³).

„Just In case” dobrze byłoby, gdybym miał jego *curriculum vitae* i spis publikacji. Może coś się uda, ale wątpliwe, bo filozofa jest tu ściśle analityczna w stylu brytyjskim, a na socjologii jest już Zagórski. Istnieje zresztą poważny problem zatrudniania filozoficznie wykształconych Australijczyków i dlatego m.in. (aby bronić ich przed konkurencją z innych krajów) preferuje się „specyficznie australijską” problematykę w filozofii, w praktyce dorabianie filozofii do ekologizmu, feminizmu i ruchu na rzecz „animal rights”.

Do Bauman’a napiszę, należy on do osób, które w ogromnej mierze zgadzają się ze mną, a więc zapewne może też znaleźć wspólny język z Panem. Prosiłbym jednak, aby nie wspominał Pan moje teksty (może niepotrzebnie o to proszę, bo już przedtem to sobie zastrzegłem). Może Pan natomiast wspomnieć, że niektóre moje oceny (bez szczegółów) są Panu znane z korespondencji ze mną (ja też tak to sformułuję).

Pisząc o epizodzie sprzed lat nie chciałem sugerować, że Kroński zarzucał Panu jakąś dwulicowość. Nic podobnego, on raczej sugerował, że w mojej sprawie nikt niczego nie może zrobić, opowiadał, że drżał ze strachu widząc chodzących ponoć (?) za mną funkcjonariuszy UB itp. Pan pamięta sprawę mojego ojca, ale była również na UW sprawa moja, tj. nagonka na mnie zorganizowana przez „kolektyw” na różnych naradach produkcyjnych, z nawróceniem na stalinizm mojej pierwszej żony, wypędzeniem mnie do Sanat. [orium] dla Nerwowo Chorych w Kościanie, a potem wystawieniem mi opinii tak czarnej, że M. Fritzhand, który chciał mi pomóc w uzyskaniu filozoficznej aspirantury, mógł tylko rozłożyć ręce. Na szczęście przyszła „odwilż”.

Serdecznie Pana pozdrawiam

Andrzej Walicki

PS. Osobiście raczej wątpię, czy „Aneks” wydrukuje mój tekst.

Wiedeń, 11 kwietnia 1983

Drogi Panie Kolego.

Niestety, przepadł Pan w wyborach, ale honorowo i bez „machlojek” politycznych.

³³ Krzysztof Zagórski, socjolog, dyrektor Centrum Badań Opinii Społecznej.

Na jedno miejsce w filozofii było pięciu kandydatów (nie dwa, jak myślałem): o. profesor Krąpiec³⁴ (rektor Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie), pan, Kmita³⁵ (Poznań), Szaniawski (Warszawa), Cackowski³⁶ (Lublin). Wynik głosowania: Cackowski (partyjny) – 0, Szaniawski – 3, pan – 5, Kmita – 6, o. Krąpiec – 15. Za Krąpcem przemawiało szereg momentów (politycznych): pierwszy duchowny w PAN, przyjaciel papieża, wybitny tomista. Pańską kandydaturę wnosił Fritzhand (z urzędu), poparł Kieniewicz i ja. Mówiono o Panu w superlatywach. Gdyby było drugie miejsce (prosiłem historyków, by nam je odstąpili – odmówili), przeszedłby Pan z pewnością – w każdym razie „pewniak” na przyszłych wyborach. Gdyby Pan usłyszał, co i jak o Panu mówiono, także Kieniewicz, byłby Pan dumny ze siebie. Mówię to wszystko nie po to, by pocieszać, lecz by Panu uzmysłwić, że w danej sytuacji musiał Pan odpaść, ale odpadł Pan honorowo. Szaniawskiego popierało rzekomo „lobby”, a dostał wszystkiego 3 głosy.

Serdecznie pozdrawiam i proszę o wiadomości.

Adam Schaff

25 kwietnia 1983

The Australian National University

Szanowny Panie Profesorze, bardzo dziękuję za list z 11.IV. Przedtem już koleżdy zawiadomili mnie, że jest pięciu kandydatów, wśród nich ks. Krąpiec. Zdaję sobie sprawę z wagi argumentów przemawiających za ks. K., gdybym był akademikiem, też pewnie głosowałbym za jego kandydaturą. Nie bardzo rozumiem, dlaczego nie było dwóch miejsc, miały być przecież miejsca po Kotarbińskim³⁷ i Tatar-kiewicz³⁸, ale mniejsza o to. Miło mi słyszeć, że prof. Kieniewicz tak pozytywnie mówił o mnie. Inna rzecz, że jeśli głosowało za mną 5 osób i było też pięciu wnioskodawców, to wynika stąd, że tylko wnioskodawcy głosowali na swój wniosek (w mojej sprawie), ergo trudno mówić o popularności kandydata. Ale tak czy inaczej, dobrze, że dokonano takiego właśnie wyboru.

W końcu marca skierowałem na ręce dyrektora IFiS podanie w sprawie przedłużenia o trzy lata mojego urlopu. Jako motywację podałem (1) brak zaległości w pracach dla IFiS, (2) chęć napisania książki *Poland's Encounters with Marxism* (od pierwszego pokolenia marksistów do Brzozowskiego i Abramowskiego) oraz gotowość wydania takiej książki przez Oxford Univ. Press (załączyłem kopię listu z Oxfordu). Mam nadzieję, że może nie będzie oporów. Moja żona ze względów rodzinnych wybiera się na kilka miesięcy do Polski w czerwcu. Też „mam nadzieję, że”, ale mimo to skłamałbym pisząc, że się tym nie niepokoję.

Wyszedł *Zarys dziejów filozofii polskiej 1815-1918*, pod moją red. i w 40 proc. mego pióra (jestem m.in.

³⁴ Ks. Mieczysław Krąpiec (1921-2008), dominikanin, filozof, teolog, prof. Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, wieloletni rektor KUL, członek PAN.

³⁵ Jerzy Kmita (1931), profesor filozofii, logik, związany z „poznańska szkołą metodologiczną”, członek PAN.

³⁶ Zdzisław Cackowski (1930), filozof, prof. Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, członek PAN.

³⁷ Tadeusz Kotarbiński (1886-1981), filozof, logik, prof. Uniwersytetu Warszawskiego, członek PAN, w latach 1957-1962 prezes PAN.

³⁸ Władysław Tatar-kiewicz (1886-1980), filozof, historyk filozofii, prof. Uniwersytetu Warszawskiego, członek PAN.

autorem rozdz. o problematyce filoz. w socjologii, choć PWN przez dziwaczną, sprostowaną w „Polityce”, pomylkę przypisało ten rozdział S. Borzymowi). Napisałem m.in. b. duży, syntetyzujący rozdział pt. *Myśl marksistowska*, który mógłby Pana zainteresować. Prosiłem PWN, aby odłożyło dla mnie kilka egzemplarzy, na pewno przyślą Panu egzemplarz, jeśli poprosi Pan ich o to powołując się na mnie (a na pewno i bez tego). Ale jeśli Pan woli, to ja chętnie ich o to poproszę.

Z najlepszymi pozdrowieniami

Andrzej Walicki

4 sierpnia 1983

Drogi Panie Andrzeju,
przez dłuższy okres zaległa między nami cisza, którą postanowiłem przerwać.

Nie pisałem, choć działo się w Polsce dużo – w zasadzie były to rzeczy względnie dobre – gdyż chciałem dać ich pogłębioną analizę. Jestem wreszcie w tym punkcie. Skończyłem (korzystając z wyjazdu na urlop) trzecią część *Lekcji polskiej* (jakieś 60 s.) poświęconą okresowi od grudnia 1981 do lipca 1983 (tzn. okresowi stanu wojennego). Po przepisaniu przyślę panu kopię we wrześniu. Ogólnie omawiam ten okres jako [nieczytelne]. Zdecydowanie wygrana przez rząd, a wizytę Papieża jako historyczną – zmienić może model Polski, która pozostanie socjalistyczna, ale jeszcze bardziej „inna” od reszty „obozu” niż dotąd. „Solidarność” w sensie partii politycznej złamana definitywnie mimo bredni, które wypisują na ten temat na Zachodzie. Papież odprawił *requiem* na jej grobie.

Drobiazg, ale może ważny dla Pana. Najder został zaocznie skazany na karę śmierci za wieloletnią działalność szpiegowską. To był wyrok nie sfingowany, jedyny poza sprawą Spasowskiego³⁹ i Rurarza⁴⁰.

Osobiście jestem w dziwnej sytuacji, którą wyklarują po wakacjach. Zgodnie z moim rozeznaniem sytuacji, postanowiłem pomóc Jaruzelskiemu: a) pośrednictwem u Papieża (z powodzeniem, zaliczam to sobie jako [nieczytelne] „narodowy”) oraz b) jako publicysta polityczny. Dostałem się w rezultacie w ogień (ciężki) artylerii „twardogłowych” – agenturalnej (niestety niemoc rządu – jedynie działające „kurki” dostaw – powoduje, że Rosjanie zaczęli się prowadzić jak w *Priwislanskom Kraje*). Jeśli zwiążą mi ręce zakazem publikowania, to będzie to kres mojej euforii „pomocowej” i przejdę znowu do emigracji wewnętrznej – [nieczytelne]. Ale może tak źle nie będzie – idzie nie tyle o mnie, ile o instynkt samozachowawczy „władzę sprawujących”. Zobaczymy, napiszę i o tym we wrześniu (publikowanie za granicą będę kontynuował [nieczytelne], dotyczy to i trzeciej części *Lekcji polskiej*, która jest partiami wręcz niebezpiecznie ostra. Nie ukrywam, że [nieczytelne] kosztował mnie bardzo dużo, choć jestem twardy i zahartowany w tych walkach (mnożą się zawały wśród ludzi porządnych i niestety trafiło to Barcikowskiego⁴¹ – przeżył, którego bardzo cenię za

³⁹ Romuald Spasowski (1921-1995), ambasador PRL w Waszyngtonie, po wprowadzeniu stanu wojennego poprosił o azyl polityczny w USA, skazany zaocznie na karę śmierci przez sąd wojskowy PRL.

⁴⁰ Zdzisław Rurarz (1930-2007), ambasador PRL w Tokio, po wprowadzeniu stanu wojennego poprosił o azyl polityczny w USA, skazany zaocznie na karę śmierci przez sąd wojskowy PRL.

⁴¹ Kazimierz Barcikowski (1927-2007), działacz komunistyczny, polityk, sekretarz KC PZPR.

uczciwość polityczną). Pocięchą jest to, że te ataki (również i oficjalne w „Trybunie Ludu”) przywróciły mi „honor” w oczach wielu ludzi, którzy nie uznają może i dzisiaj moich racji politycznych – kraj jest ciągle w sytuacji szoku psychicznego – ale widzą teraz wyraźnie, że ja nie mam nic wspólnego z „tamtymi”. To ważne, gdyż walczę o wpływ głoszonych przeze mnie poglądów.

W kraju jest więc niewesoło, choć sytuacja zmieniała się radykalnie i otworzyła się możliwość wyjścia optymistycznego. Tym gorzej jest na emigracji (tej najnowszej) zagubionej w frustracji (polecam lekturę ostatnich numerów „Kultury”, w szczególności Maciej Poleskiego⁴² – Kuroń? – w numerze majowym, który jest obiektywną prowokacją). Proszę wystrzegać się tych ludzi!

Tyle na dzisiaj, więcej we wrześniu.

Ściskam dłoń

Adam Schaff

14 sierpnia 1983

The Australian National University

Szanowny Panie Profesorze.

Dziękuję za list. Słowa o przerwie w korespondencji sugerują, że nie otrzymał Pan mojego ostatniego listu. Na wszelki więc wypadek załączam jego kopię.

Nie otrzymałem jeszcze odpowiedzi w sprawie przedłużenia mojego urlopu, chodzi koło tego moja żona, która z ważnych powodów rodzinnych (a także psychicznych) wróciła na kilka miesięcy (wraz z synkiem) do kraju. Wyszły wszystkie trzy książki, które przekazałem do druku przed wyjazdem, łącznie z tomem studiów *Polska, Rosja, marksizm*. Jeśli nie ma jej Pan, a chciałby mieć, proszę o tym wspomnieć. (To samo dotyczy *Zarysu dziejów filoz. pol.*, o którym pisałem poprzednio).

Pilnie śledzę sprawy krajowe, czytuję „Politykę”, „Tyg. Powszech.” i inne pisma. Nie znam jednak Pańskiej publicystyki na łamach „Tu i teraz”, a także tekstów w „Trybunie”, o których Pan pisze. Może prześle mi Pan ich fotokopie?

Pisuję do szuflady, koresponduję z wieloma osobami, ale coraz większa ilość moich korespondentów zraża się do mnie i przestaje pisać. Taka to już logika polaryzacji i nacisku konformistycznego. Wiele mi to daje do myślenia, ale też zwiększa poczucie osamotnienia.

Dlatego m.in. miło mi, że Pan o mnie pamięta, chociaż nigdy przecież nie byliśmy w bliskich stosunkach. Ale właśnie z powodu Pańskiej życzliwości chciałbym, aby jasne były dla Pana nie tylko punkty styczne w naszych poglądach, ale także różnice. Nawet to, co łączy nie jest identyczne, bo ważne są przecież także drogi, którymi doszło się do danego punktu. A nasze drogi życiowe były przecież b. różne. Dla pana stalinizm był czymś, przez co przeszli wszyscy marksiści więc i Pan, dla mnie był to koszmar, który do dziś dnia wpływa na moje poglądy, m.in. dlatego wszystko widzę w jaśniejszym świetle, gdy przypominam sobie tamten okres. Dla Pana (vide *Le Mouvement Communiste...*) dezideologizacja partii to jej degrengolada, dla mnie to było przede wszystkim osłabienie nacisku indoktrynacyjnego, możliwość poszerzenia granic wolności myśli,

⁴² Maciej Poleski – pseudonim, pod jakim publikował w drugim obiegu Czesław Bielecki (1948), architekt, działacz opozycji demokratycznej.

„odwojowywania” pewnych obszarów spod władzy partyjnych ideologów. Trzeba też pamiętać, że studiowałem rusycystykę i wciąż czytałem o „płatnych lokajach imperializmu, którzy z pianą na ustach...”, o „zginaniu kolan i biciu pokłonów przed Zachodem”, o ros. myślicielach, którzy „przewyższali o cztery głowy” myślicieli zachodnich i niczego im nie zawdzięczali, itd., itp.

Posłałem Panu na początku ub. roku ostatnie strony mojego autobiograficznego maszynopisu (książki!) dot. mojego stosunku do tradycji polskiej, rosyjskiej i marksistowskiej. To był punkt dojścia, ale droga opisana poprzednio to biografia człowieka mocno związanego psychicznie ze środowiskami b. obcymi, często b. wrogimi systemowi, którego Pan był reprezentantem. Dlatego właśnie sędzę (ludzie, którzy to czytali, z reguły podzielają ten sąd), że jest to dokument socjologicznie ciekawy, ukazujący intelektualną biografię człowieka ulokowanego na b. szczególnym skrzyżowaniu różnych środowisk i nurtów ideowych. Przeglądając to niedawno zauważyłem parę wzmianek o Panu, wolnych od osobistych uprzedzeń i istotnych tylko z punktu widzenia lokalizacji moich myśli i postaw w różnych latach. Nie sędzę, aby mogły one zrobić Panu przykrość, nie chciałem tego, ale jeśli zdecydowałbym się kiedyś na publikację tego dokumentu, to bez zmian wnoszonych *ex post*.

Jeden z życzliwych mi korespondentów napisał mi, że przecież mógłbym „nie tracąc godności” stać się „warunkowych sojusznikiem” Generała. Tak, na pewno, to byłoby logiczne, ale oprócz logiki myśli jest jeszcze logika życia, która to utrudnia. Być sojusznikiem Generała to także być razem z innymi jego sojusznikami, a przecież wie Pan dobrze jak różni ludzie i grupy są w tym obozie. Może Pan powiedzieć, że i dla Pana nie jest mile musieć ocierać się o różne „pluskwy” (Pański termin), albo wręcz agentów sąsiada (też Pańskie słowa), a jednak czasem trzeba dokonywać wyboru niemitego, moralnie trudnego, w imię historycznej odpowiedzialności. Tak, ale i pan myśli czasem o „wewn. emigracji”, chociaż nie ma Pan dodatkowego problemu, którym ja jestem obciążony: tego mianowicie, że w moim wypadku byłoby to zerwanie radykalne ze środowiskiem, którego byłem częścią, zerwanie nie przez odejście w bok, ale przez przejście do innego obozu. Ja zaś czułem się zawsze łącznikiem, ogniwem łańcucha wiążącego ludzi i właśnie dlatego przerażały mnie poczynania opozycji dążące do przerwania tego łańcucha, do stworzenia sytuacji polaryzacyjnej. Chciałem działać od wewnątrz systemu (nie partii, lecz szerzej – ram ustrojowych), wiedziałem, że jeśli środowisko, które uważałem za swoje, chce jakoś oddziaływać na władzę, to nie może władzy izolować i antagonizować. Niemniej jednak łańcuch ów został przerywany, przy czym niektóre jego ogniwa pękły lub odskoczyły na bok. Jestem jednym z nich. Gdybym „doczepił się” do tej części łańcucha ludzkiego, od której oderwało się tylu ludzi, całe środowiska, zmieniłoby to cały sens mojej dotychczasowej pracy i życia. Co innego bowiem pracować nad zmianą systemu w działaniu od wewnątrz, nad tym, by „Polska była Polską” (i Europą) w istniejących ramach tego co możliwe, a co innego stać się po prostu narzędziem tegoż systemu w konflikcie ze środowiskami skądinąd bliskimi, w sytuacji dramatycznego rozdarcia. Stąd pokusa eskapizmu i przedłużenie kontraktu na Antypodach.

Ale myślę wciąż, wciąż przeżywam, dokumentacja moich przemyśleń rośnie. Ze względu na Pańskie kontakty z Janem Pawłem wspomnę (prosząc o dyskrecję), że pod wrażeniem Jego wizyty w Polsce zdobyłem się nawet na posłanie mu mojej najnowszej książki o pol. romantyzmie (zawierającej m.in. jedyną chyba sensowną rekonstrukcję poglądów Norwida na Kościół, historię i naród), dodając do niej list przypominający moje uczestnictwo w sesji o Krasieńskim zorganizowanej niegdyś przez kardynała Wojtyłę, oraz wyrażający radość z powodu słów, które znalazły się w Apelu Jasnogórskim: „Odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy...”. Skomentowałem te słowa tak oto: „sędzę, że w działaniach polit. nie ma doskonałych ucieleśnień absolutnych wartości, a więc, że żaden, najszlachetniejszy nawet ruch nie powinien utożsamiać własnych racji z racjami absolutnymi, upokarzać przeciwnika rzekoma absolutnością własnej racji, a jednocześnie zaniedbywać szukania win po własnej stronie”. Itd., w tym duchu. Nie liczyłem oczywiście na odpowiedź, może ks. St. Dziwisz⁴³ po prostu wrzucił to do kosza.

Napisałem też nowy odczyt o Polsce po angielsku. Australijczycy, gdy wygłaszałem go, przyjmowali go b. dobrze, ale wśród Polaków budzi dwuznaczne uczucia. Nawet sformułowanie, że stan wojenny był tragedią, a nie zbrodnią nie jest zwykle akceptowane. Myślałem o publikacji, ale chyba zrezygnuję, bo – o paradoksie! – zbyt wiele w tym artykule owijania rzeczy w bawełnę i autocenzury... Lepiej już opublikuję kiedyś wspomniany wyżej tekst autobiograficzny, bo to autentyczny, i pisany w sytuacji (1981), w której poczułem się zmuszony do obrony własnej drogi i uczyniłem to maksymalnie uczciwie.

Australia to naprawdę koniec świata, a więc wdzięczny będę za wycinki prasowe i wymianę myśli.

Z najlepszymi pozdrowieniami

Andrzej Walicki

P.S.: Sąd nad Z.N. był zamknięty, czy wiadomo cośkolwiek o rodzaju dokumentacji, świadkach, itd.?

Wiedeń, 22 stycznia 1984

Drogi Panie Andrzeju, przede wszystkim najlepsze życzenia noworoczne. Za list i tekst dziękuję. Odpowiedź spóźniona z powodu „peregrynacji”: miesiąc w Chinach (fantastycznie!), miesiąc w Warszawie (smutno).

Tekst podoba mi się, choć pokłóciłbym się o pewne sformułowania. Jeszcze bardziej podoba mi się książka (*Polska, Rosja, marksizm*), choć rozważanie kwestii narodowej a M. naciągane. A propos, książek od Pańskiej małżonki nie dostałem i bardzo o nie proszę.

Proszę o przystanie ew. tekstu dla „Aneksu”, choć *a priori* jestem przeciwny temu, by Pan u nich publikował. Nasza „najnowsza” emigracja znikowała, a nawet stała się antynarodową. Nie po drodze Panu z nimi.

Nie zgadzam się z Pańskim pesymizmem w sprawie „dialogu”. To, co się dzieje na odcinku stosunków z Kościołem, a wie Pan przecież, że o to walczyłem i przyczyniłem się aktywnie do tego, przekracza moją oczekiwaną. To jest większe i trwalsze niż dialog

⁴³ Kard. Stanisław Dziwisz (1939), sekretarz i przyjaciel papieża Jana Pawła II, metropolita krakowski.

z „Solidarnością” (tam z kim?) A może to jest ideologiczny NEP? Mimo że „konserwa” szaleje.

Konserwa (sznurki ciągnięte z zewnątrz) spowodowała proces karny „Grunwaldu” przeciw mnie (napisałem, że są kontynuacją faszystującego ONR). A jednak przegrali: musieli wycofać skargę. Inna rzecz, że ich dobrze „rozegrałem” z powodu ich głupoty.

W kraju smutno, ale spokojnie. Nawet życie „klubowe” się ożywiło (byłem z powodzeniem gościem „Sigma” na UW).

Serdecznie pozdrawiam i ściskam dłoń.

Adam Schaff

P.S. Z powodów oszczędnościowych rządziej bywam w Wiedniu, proszę się nie zrażać ociąganiem się odpowiedzi.

6 lutego 1984

The Australian National University

Drogi Panie Profesorze.

Dziękuję za list z 22 stycznia. Wciąż dziwię się, dlaczego chce się Panu korespondować ze mną, mimo że politycznie nie znaczą nic, a osobiście nie należałem do kręgu bliskich Panu ludzi. Ale ośmielałem się myśleć, że może istnieje zwyczajne, ludzkie zainteresowanie i że ponadto moje listy i teksty mogą mieć dla Pana jakiś walor poznawczy (w sensie dokumentu społecznego), bo przecież walor taki mają nie tylko poglądy obiegowe.

Skoro prosi Pan o przysłanie tekstu, który przeznaczyłem dla „Aneksu”, to znaczy to, że przyjął Pan warunek dyskrecji (vide mój poprzedni list). A więc posyłam go Panu z prośbą o pamiętanie, że pisany był głównie dla emigracji, z myślą o przekonywaniu, nie rozdrażnianiu, co wpłynęło na rozłożenie akcentów. Ale mam już odpowiedź: wydrukowaliby tylko pod nazwiskiem, bo to dawałoby „gwarancję niezależności i uczciwości intelektualnej”, a w przeciwnym wypadku byłoby komentowane w kraju jako „usprawiedliwienie 13 grudnia”. Cóż perspektywa komentarzy do kt.[órych] musiałbym się ustosunkować nie pociąga mnie, a więc znowu tekst do szuflady. Znowu okazuje się, że „nie ma prawdy ponadpolitycznej”...

„For amusement” załączam też fotokopię tekstu z mojego dziennika myśli (bo mam tu czas i na to!) pt. *Monolog Generała*. Jest to próba maksymalnie życzliwego zrozumienia ludzi skądinąd mi dalekich i odpowiedzialnych za stan rzeczy, który rysuje się mi coraz czarniej. Także parę stron na temat moich osobistych dylematów, jako komentarz do Myśli (wszystko z prośbą o dyskrecję).

Nęka mnie sprawa procesu KOR-u. Oskarżenie „historyczne” i sądowe to dwie różne sprawy, prawo musi być formalne i abstrakcyjne, a z formalnego punktu widzenia stwarzanie sytuacji (bez użycia siły) uniemożliwiającej funkcjonowanie ustroju nie może być karalne. Szkoda, że nie objęto tych ludzi generalną amnestią z okazji wizyty Jana Pawła.

Napiszę do żony w sprawie książki. A może chciałby Pan mieć moją *History of Russian Thought* w *paperback*, z której uczą się Amerykanie? To też łączy się z naszą wymianą myśli na temat odwojowywania cząsteczek naszej niepodległości w różnych dziedzinach.

Z najlepszymi pozdrowieniami

A. Walicki

P.S. Naprawdę zbzikowała „Kultura”, „Aneks” jeszcze daleki od takiego bzika! *Vide* nr 1/84.

Wiedeń, 18 lutego 1984

Drogi Panie Andrzeju,

za list i tekst dziękuję, po pierwsze muszę odpowiedzieć na Pańskie pytanie, dlaczego kontynuuję korespondencję z Panem, mimo że – jak Pan pisze – nic Pan nie znaczy politycznie i nie należał Pan w Polsce do kręgu moich bliskich. Odpowiadam:

a) Przede wszystkim dlatego, że odczuwam dla Pana osobistą sympatię, która sięgnęła do pierwszej naszej rozmowy, gdy – przed laty – przyszedł Pan do mnie jako zrozpaczony młody człowiek (w związku ze sprawą Pańskiego ojca) z prośbą o radę. Wbrew pozorom mam bardzo „cienką” skórę.

b) To... dlatego, że bardzo wysoko cenię Pana naukowo i chciałbym, by kiedyś wrócił Pan do Kraju.

c) Dlatego również, że – mimo różnic naszej [słowo nieczytelne] – podobają mi się Pańskie poglądy i postawa.

Myślę, że po tym wyjaśnieniu zmieni Pan swój pogląd o mnie, jakobym należał do kręgu tych, którzy utrzymują kontakty tylko z tymi, którzy politycznie „coś znaczą”. Zresztą jest to określenie wieloznaczne; wedle mnie Pan politycznie bardzo wiele znaczy choć nie w tym sensie, w którym Pan użył to wyrażenie.

Przejdźmy do Pańskiego artykułu dla „Aneksu”. Jest dobry i uczciwy. Pod większością wywodów mógłbym się podpisać (pod „monologiem Generała” na 100 proc.). Po przeczytaniu tekstu zrozumiałem zdanie: jeśli oni chcą wydrukować, proszę opublikować i to z podpisem (zresztą oni mają w tym względzie rację – publikować tylko podpisany).

Biorę na siebie ewentualną współodpowiedzialność za publikację, gdyby kiedyś wyniknęła z tego przykreść. Dyskusji niech się Pan nie boi – ewentualni przeciwnicy są z góry przegrani.

Odnosnie do Pańskiego szamotania się (sprawa paszportu) powtarzam radę: teraz przedłużyć pobyt, ale z perspektywą powrotu. Pan musi wrócić, jeśli chce Pan kontynuować swoją misję. Ewentualnie będzie Pan publikować za granicą, ja też tak robię (za miesiąc przyślę Panu swoją nową książkę *Polska dzisiaj* po niemiecku, kończę następną (*Dokąd zmierzamy? Skutki społeczne drugiej rewolucji przemysłowej*, też wyjdzie w szeregu języków zagranicą, a w kraju nie wydrukują ze względu na to, bo piszę o konieczności zmian formacji politycznej krajów socjalistycznych). A więc przestać szamotać się, sprawę odłożyć!

O książkę po angielsku poproszę.

W sprawie procesu KOR-u myślę tak jak Pan (zresztą usilnie działałem w kierunku anulowania sprawy). A swoją drogą to są „dupki żółte”, zgrywają się na „bohaterów” – nie są nimi, są przede wszystkim durniami. Czy ten cały Michnik nie rozumie, że jego obfita działalność literacka (z dobrą znajomością prasy i innych źródeł), która dochodzi z taką łatwością za granicę ze specjalnego więzienia pod szczególnym nadzorem jest „organizowana”? Przecież to jasne. Ponieważ obecne kierownictwo MSW składa się ze światłych i kulturalnych ludzi (mówię z dokładną znajomością rzeczy i ludzi!), organizatorami są ludzie wyeliminowani

z tego ministerstwa, ale ciągle w kierownictwie Partii (rodzaj antyministerstwa), którzy chcą:

a) zmusić w ten sposób władze do zorganizowania tego procesu (te władze nie chcą go) i

b) zożyć swoich przeciwników w aparacie władzy (przerażający pod tym względem list otwarty Michnika w „Spieglu” do gen. Kiszczaka – znam Michnika i nie podejrzewam go o świadomy udział w prowokacji, ale ten list jest prowokacją i organizowali to prowokatorzy. Jeśli idzie o KOR, to są oni przede wszystkim nadymającymi się durniami.

Pozdrawiam i ściskam dłoń

Adam Schaff

25 lutego 1984

The Australian National University

Drogi Panie Profesorze.

Serdecznie dziękuję za list z 18 lutego. Osobną przesyłką wysłałem Panu moją *History of Russian Thought*. Inne moje prace wydawane w językach obcych idą w analizie głębiej, ale ta jest najszersza zakresowo i najbardziej znana. Daje mi pewną satysfakcję, że uczą się z niej amerykańscy studenci, a w przedmowie czytają o potrzebie życzliwego rozumienia Rosji. A przy tym żaden z zachodnich speców od Rosji nie zdobył się na napisanie czegoś takiego, a więc jeśli np. Isaac Berlin⁴⁴ napisał, że to rzecz najlepsza, to jest tak skutek dziwnego przypadku (a może wcale nie przypadku?), że właśnie w PRL znalazł się człowiek, który głęboko przeżył problematykę ros.[yjskiej] historii intelektualnej i mógł po „odwilży” bez przeszkód twórczo nad nią pracować.

Pana rada zbiegła się z żalem Z. Baumana oraz paru innych osób, które chciałyby widzieć moje *Myśli* w druku. A więc ponownie wysłałem je do „Aneksu” ze zgodą na druk z podpisem (może oni teraz się wycofają?). Mam nadzieję, że nie spowoduje to komplikacji z przyjazdem do mnie żony – wierzę, że w razie czego popchnie Pan tę sprawę, bo jeśli w MSW są ludzie światli, to naprawdę powinni nie robić z tego sprawy. Wyjaśniam sytuację: mam zgodę Biura Współpr.[acy] z Zagranicą PAN na przedłużenie urlopu do 31 października 1986, na tej podstawie wysłałem paszport do przedłużenia w Sydney, odpowiedziano mi, że potrwa to aż 6 miesięcy (!), bo paszport jest prywatny; żona moja ma już zaproszenie, ale wystarczy złośliwa interpretacja przepisów (że np. najpierw trzeba przedłużyć mój paszport, choć jest w tej chwili ważny do 25 września 1984), aby załatwienie paszportu żony, która chce przyjechać w czerwcu przeciągnęło się w nieskończoność, co dla mnie byłoby psychicznie niesłychanie trudne.

Cieszę się z Pańskiego wyjaśnienia sprawy naszej korespondencji. Epizod, który Pan wspomina, ja pamiętam trochę inaczej. Zdawałem u Pana egzamin z marksizmu, od razu zaproponował mi Pan asystenturę, ja wyjaśniłem, że nie uważam się za marksistę i mam kłopoty z „nową rzeczywistością” (zarówno własne, jak sprawa ojca). Wydawało mi się (co Pan dziś potwierdza), że ujęto Pana uczciwe postawienie sprawy, skierował mnie Pan do Krońskiego, mówiąc, że w historii filozofii człowiek taki jak ja może mieć pole

pracy. Niestety nic z tego nie wyszło, a potem Kr.[oński], z okazji mojej polemiki z nim, tłumaczył mi, że to nie jego wina, co brzmiało nieco dwuznacznie, tak jakby w zasadzie od samego początku nie było to możliwe (rok 1952). Mimo to przypuszczałem (a dziś wiem), że istotnie chciał mi Pan pomóc.

Chciałbym bardzo, aby w Polsce dokonana się pozytywna selekcja w elicie polit.[ycznej], aby nastroje polepszyły się, aby znów powstała szansa „historycznego kompromisu” i abym mógł poczuć się potrzebny. Pańskie listy podtrzymują we mnie wiarę, że nie jest to całkiem wykluczone.

Z najlepszymi pozdrowieniami

A. Walicki

PS. W ramach informacji o moich ostatnich pracach dołączam recenzję L. K. Przykre jednak, że sławiści wyręczyli się filozofem, nie wiedząc, co ze mną zrobić. Osobno wysłałem art.[ykuł] o Róży Luks.[emburg].

Wiedeń, 13 marca 1984

Drogi Panie Andrzeju,

za list i książkę dziękuję, przeczytam uważnie.

Decyzja w sprawie artykułu jest słuszna. Jeśli żona miałaby jakieś trudności z paszportem, niech się zgłosi ponownie do mnie (numer telefonu w książce telefonicznej).

Pamięć ludzka jest zawodna: nie pamiętam historii z Pańskim egzaminem, natomiast doskonale pamiętam naszą rozmowę w związku ze sprawą Pańskiego Ojca. Tkwi mi ona w uszach po dziś dzień. Nie wiem, co nagadał Kroński: on był trochę chytry, ja natomiast nigdy nikogo nie zwodziłem i nigdy nie stanąłem nikomu, kto był zdolny, na drodze jego kariery naukowej. Przeciwnie, pomagałem nawet zaciekłemu przeciwnikom, co mi „bokiem wychodziło”, gdyż rzekomo ludzie najgorzej znoszą takie „zadłużenie”. Dwa przykłady krańcowe: Ładosz⁴⁵ i Kołakowski.

A propos „inaczej myślących”. Zna Pan Józefa Niżnika. Ciągnąłem go za sobą od 1968 r., gdy znalazł się w trudnościach. Został docentem w moim byłym zakładzie w Instytucie. Zachowuje się doskonale – o dziwo! Znalazł się w ciężkich tarapatach osobistych i powinien wyjechać na jakiś czas, gdyż inaczej „pęknie”. Montowałem tutaj wielkie badanie i chciałem go ściągnąć do siebie. Niestety nie znalazłem finansów. Czy nie widzi Pan dla niego jakichś możliwości w swoim Uniwersytecie? Zdolny, rzutki, specjalność *social philosopher*, dobra znajomość języka. Gdyby były jakieś możliwości, on sam napisze.

Za kilka dni wyjdzie moja książka *Polen heute*, natychmiast pošlę. Napisałem nową książkę – analizę implikacji społecznych drugiej rewolucji przemysłowej (*Ku czemu zmierzamy?*). Przyślę ewentualnie xerox, tłumaczenie i publikacja potrważą.

Czy byłby Pan tak łaskaw posłać mi adres Bauma- na? Chciałbym z nim nawiązać kontakt. Byłoby miło z Pana strony, gdyby Pan odegrał rolę pośrednika i zapytał go, czy zechce? Ludzie na emigracji powariowali; psychologicznie wy tłumaczalne, ale przykre. Baczko np. zerwał ze mną kontakt (już wiele lat temu), choć

⁴⁴ Isaac Berlin (1909-1997), brytyjski filozof i historyk idei.

⁴⁵ Jarosław Ładosz (1924-1997), filozof, logik, prof. Uniwersytetu Śląskiego, od 1990 r. prezes Stowarzyszenia Marksistów Polskich.

byliśmy blisko. Utrzymuję kontakt tylko z tym nieszczęśliwym Jurkiem Rudzkim.

Serdecznie pozdrawiam

Adam Schaff

Wiedeń, 10 kwietnia 1984

Drogi Panie Andrzeju,
za list dziękuję. Dane Niżnika przyślę, ale rozumiem, że szanse są niewielkie.

Dziękuję za książkę o rosyjskiej myśli.

Ciekaw jestem, czy „Aneks” wydrukuje Pana artykuł. Myślę, że nie. To są typowi stalinowcy *à rebours*, to odnosi się do całej tej formacji. Oni nie zdają sobie z tego sprawy, ale należą do „minionego okresu”.

Proszę pisać.

Ściskam dłoń

Adam Schaff

P.S.: Ogromnie ciekaw jestem na reakcję Baumana – to był superstalinowiec, czy się zmienił duchowo?

P.S. 2: Wyjaśniam: dla mnie odczynnikiem pozwalającym rozpoznać stalinowca jest brak tolerancji. Sprawa tolerancji ma znaczenie decydujące w tym wypadku.

7 maja 1984

The Australian National University

Szanowny Panie Profesorze.

Dziękuję za list z 10 kwietnia. O reakcji Z.B. już Panu w międzyczasie pisałem. Z „Aneksu” nie mam wiadomości. Rozważano opublikowanie moich *Myśli* wraz z polemikami i moją na nie odpowiedź. Przypuszczam, że szukają obecnie odpowiednich polemistów i od tego uzależniają decyzję ostateczną. Zmartwiła mnie ogromnie wiadomość o 16-letniej (!) umowie gospodarczej PRL z ZSRR. Podobnie jak Pan, obciążam za to winą, częściowo przynajmniej, amerykańską politykę sankcji.

Co do „stalinizmu” Z.B. – nie ma Pan racji. On zajmuje się hermeneutyką, pogrążył się w „rozumiejących” interpretacjach, a więc uprawia socjologię „bez dogmatu” zakładającą, że nikt nie ma całkowitej racji. W grę wchodzi raczej pewne alergie oraz rzeczywista niechęć do pisania listów. Podkreślił, że „nie ma żalu do nikogo”, a już na pewno nie do Pana. Nadal uważa się za socjalistę, ale nie przywiązują takiego znaczenia jak Pan do rozgrywek wewnątrz PZPR i dlatego woli unikać (to moja interpretacja) kontaktów z osobami zbyt bliskimi polskiemu „establishmentowi”.

Z najlepszymi życzeniami

Andrzej Walicki

Wiedeń, 18 maja 1984

Drogi Panie Andrzeju,
otrzymałem Pański list z datą 7 V. Z treści wynika (*casus* Baumana), że napisał Pan jeszcze jeden, który nie dotarł do mnie. Mniejsza o B., jeszcze jeden [nieczytelny] (choć sympatyczniejszy niż inni), ale może było w nim coś jeszcze. Proszę wobec tego pisać na przyszłość na mój adres prywatny

A-1020 Wien, FLOSSGASE 2/28

Czytałem Pański artykuł w „Zdaniu” (o pojęciu wolności u Marksa). Jak Pan widzi łatwiej niż z „Aneksem”.

Posyłam Panu oddzielnie moją książkę *Polen heute*

(zbiór artykułów, które częściowo Pan zna, ale całość daje jakiś obraz). Przyślę Panu również „zbiorek” artykułów moich polemistów, z którego wypłył obraz naszej [nieczytelny]. Ale jest faktem, że w tymże zbioru wyszła nakładem KiW moja książka (*Polen heute*), która normalnie drukiem tu ukazać się nie mogła. Taki komunistyczny „samizdat” – kraj Mrożka!

Poza tym ustabilizowany smutek. Teraz z [nieczytelny] Kościół żre się wewnątrz, że aż wstyd patrzeć – „gnoją” biednego Glempa, który wyraźnie chce realizować linię Wyszyńskiego. Do tej kampanii włączył się aktywnie papież – szkoda! Moje dialogowe propozycje biorą w teń. Tym razem wina spada nie na rząd.

Serdecznie pozdrawiam

Adam Schaff

16 czerwca 1984

The University of Sydney

Drogi Panie Profesorze,
dziękuję za list z 18 maja. Smutne to, co Pan pisze, ja też tak to widzę.

Mój artykuł jednak ukaże się w „Aneksie” z trzema polemikami (jedną bardzo brutalną i pełną fantastycznych wręcz insynuacji) oraz (mam nadzieję) z moją odpowiedzią. W odpowiedzi tej najważniejszym zdaniem jest stwierdzenie, że istotnie byłem utopistą, chociaż tylko „względny”: tzn. utopistą nie w sensie ignorowania „czynnika obiektywnego”, ale utopistą w sensie zbyt wysokich wymagań stawianych „czynnikiowi subiektywnemu”. (Postawy krytykowane nazywam „utopizmem absolutnym”). Innymi słowy (co napisałem), okazało się, że w Polsce nie ma bazy społecznej dla tego typu działania wewnątrzustrojowego, który chciałem uprawiać.

Myślę, że to samo choć od innej strony, stosuje się do Pana. Autentyczny kompromis historyczny byłby na pewno możliwy, gdyby jedną stronę reprezentowali tacy ludzie, jak Pan, a drugą tacy jak ja. Ale to właśnie okazało się niestety marzeniem ściętej głowy. Co nie znaczy, rzecz jasna, że dążenie do takiego kompromisu nie było słuszne.

Jak się Pan domyślił, nie śpieszno mi przy takiej diagnozie z powrotem do kraju. Na szczęście mam możliwość i chęć pisania po angielsku książek o Rosji, Polsce itd. (w tym książki o marksizmie w Polsce przed 1918, podobnej do pracy wydanej w KiW). Myślę, że uda mi się zachować „niezależność w obie strony”.

Dziękuję bardzo za obiecane przesyłki. Co do Z.B. – raz jeszcze podkreślam, że nie ma on żadnych urazów wobec Pana, a z moimi poglądami w bardzo dużej mierze zgadza się. Ponieważ jednak tak wielu ludzi jest naprawdę „chorych”, reagujących nienormalnie, ponawiam prośbę o traktowanie naszej korespondencji jako ściśle prywatnej.

Z najlepszymi pozdrowieniami

Andrzej Walicki

Wiedeń, 17 lipca 1984

Drogi Panie Andrzeju,
dziękuję za list z 16 czerwca br.

W tzw. międzyczasie zdarzyła się historia, która stanowi jaskrawy dodatek do Pańskiej oceny: w „błyskawicznym” pociągnięciu Centralna Komisja Kontroli

Partyjnej usunęła mnie z Partii. Szczegóły tego zagrania są niezwykle ciekawe, ale nie chce mi się babrać w nich. Niech jedno starczy: wedle zapewnień najwyższych postawionych czynników, stało się to wbrew woli kierownictwa. Jeśli tak jest rzeczywiście – nie mogę tego wykluczyć – znaczy to, że jest ono bezsilne. Pański znajomy Wilson (sekretarz ambasady australijskiej) „nadał” mi (ze strony zachodnich „analityków”) taką wersję: ponieważ wybory do Rad [Narodowych] były zwycięstwem grupy Jaruzelskiego i „groziła” stabilizacja jej linii, przeciwnicy przeprowadzili akcję przeciwko mnie – licząc na rozgłos sprawy w kraju i za granicą – by to wrażenie i szansę przekreślić. Ja również mam wrażenie z powodu surrealizmu całej tej sytuacji (jednocześnie „Grunwald” ponownie wniósł przeciwko mnie pozew do sądu o zniewagę), że nie szło w tej akcji o mnie, lecz raczej posłużyłem jako pretekst do ataku przeciw określonej linii. Swoją drogą reżym nam się „kładzie” haniebnymi akcjami typu proces w sprawie mordu dokonanego na Przemysku, tak, że jest dzisiaj wstyd należeć do tej partii. Uwolniłem się od tego i nie żałuję.

W tej sytuacji nie ma powodu, by się Pan spieszył z powrotem, zresztą tego nie doradzałem. Co będzie dalej – zobaczymy, *Ce sera, sera*, jak mówi piosenka.

A swoją drogą niech się Pan trzyma z daleka od różnych „Aneksów”. Nie warto zadawać się z szaleńcami, jeśli to nie jest gorzej.

Moja nowa książka *Ku czemu zmierzamy* będzie przyjęta jako Raport Klubu Rzymskiego. Zajmę się potem praktycznie jej konsekwencjami w dziedzinie walki związków zawodowych o skracanie czasu pracy. To z pewnością jest coś społecznie pożytecznego.

Pozdrawiam i ściskam dłoń

Adam Schaff

P.S. Niech się Pan nie przejmuję bez przerwy „tajnością” naszej korespondencji. Rzecz jest zrozumiała, a Pańskie niepokoje mogą wywołać wrażenie, że się Pan jej wstydzi, w co nie chciałbym wierzyć.

30 lipca 1984

Drogi Panie Profesorze.

Dziękuję za list z 17 lipca. Oczywiście wcześniej już dowiedziałem się o usunięciu Pana z partii. Ubolewam nad tym, ale nie dziwię się. Osobiście sądzę, że wytłumaczeniem może być również chęć zaakcentowania autonomii Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej w stosunku do linii I Sekretarza i Rządu. Przecież obaj wiemy, że wśród znacznej większości członków obecnego KC nie był Pan i nie mógł być, człowiekiem popularnym....

Przykro mi, że w ogóle przyszła Panu do głowy myśl, iż mógłbym „wstydzić” się naszej korespondencji. Wprost przeciwnie, wcale nie ukrywam jej istnienia, a na własny użytek robię kopie moich listów, bo sądzę, że kiedyś całość tej korespondencji nabierze może wagi dokumentu (jednego z wielu) naszych smutnych czasów. Dużo mnie ona nauczyła, zwłaszcza w połączeniu z tekstami, które od Pana otrzymałem. Początkowo, na przykład, Pański opór wobec dezideologizacji partii wydawał mi się rozbieżny z interesami ludzi takich jak ja, ideologizacja bowiem kojarzyła mi się wyjątkowo z (1) doktrynerstwem i (2) kładzeniem nacisku na indoktrynację (z dwojga złego wolałem już cynicz-

nych pragmatyków). Teraz widzę to inaczej, choć tych niebezpieczeństw nadal nie lekceważę.

Sądzę, że w ocenie Pańskiej postawy istotne są dwie rzeczy. *Primo*, chęć przeciwstawienia liberalizacji bez zasad, czysto pragmatycznej, czegoś w rodzaju liberalizacji podbudowanej ideologicznie, podniesionej do godności zasady. *Secundo*, położenie nacisku na marksizm klasyczny, wymagający „dojrzałości obiektywnych warunków” i z tego właśnie wyprowadzenie wniosku o konieczności „polskiej drogi”. Zgadzałem się, z klasycznego marksizmu można istotnie wyprowadzić takie wnioski. Ostatecznie marksizm głosi, że świadomość określana jest przez byt społeczny, a nie przez propagandę i indoktrynację, z czego jasno wynika, że trzeba czekać, aż owa świadomość dojrzeje, że nie wolno sztucznie forsować tego procesu, a tym bardziej ignorować realia w imię ideologicznych iluzji. Ale sądzę też, że to sposób rozumowania zbyt elitarny, ażeby mogła go przyjąć partia masowa, zwłaszcza w kraju takim, jak Polska. Ja *toutes proportions gardees*, popełniłem analogiczny błąd (zbyt wiele oczekując od bezpartyjnych „mas”, przeceniając znaczenie racjonalnej argumentacji).

Ponowna prośba o dyskrecję dotyczyła nie tyle naszej korespondencji, ile faktu przystania Panu różnych moich tekstów politycznych, przeznaczonych w zasadzie dla ludzi z opozycji. Wiem, niestety, jak łatwo o „przecieki” i wyobrażam sobie możliwość dyskredytowania mnie jako człowieka chcącego za Pana pośrednictwem przypodobać się władzy itp. To oczywiście zaszkodziłoby mojemu programowi niezależności na obie strony. Jeśli „Aneks” wydrukuje moje *Myśli*, to przecież będzie tak tylko dlatego, że nie mogą podważyć mojej niezależności i odmówić autentyzmu moim wypowiedziom (sami napisali, że moje nazwisko jest dla nich „gwarancją niezależności”). Innymi słowy, zbyt mocne skojarzenie mojego nazwiska z Pańskim nie byłoby korzystne z punktu widzenia efektywności mojej argumentacji, bo przecież piszę jednak nie w „Polityce”, lecz dla kręgu czytelników „Aneksu”. Smutne to i głupie, ale nic na to nie poradzimy.

Mówiąc jeszcze konkretniej, prośba o dyskrecję spowodowana była (między nami) wiadomością o tym, że ponoć p. Wilson rozmawiał z Panem o mnie. (Nic oczywiście nie mam przeciwko rozmowom o mnie, ale wolałbym aby p. W. wiedział o moich dylematach tylko tyle, ile sam chcę mu powiedzieć. To uwaga tylko „na wszelki wypadek”.)

Przyznam, że usunięcie Pana z partii jest z mojego punktu widzenia usunięciem kolejnej przeszkody w kontaktach między nami. Bądź co bądź obaj jesteśmy teraz bezpartyjni. (Proszę, aby czytając powyższe słowa nie zapomniał Pan o poczuciu humoru). Życzę panu serdecznie dalszych sukcesów w pracy, czekam na obiecane teksty (m.in. na owe artykuły Pańskich czarnosecinnych polemistów).

Z najlepszymi pozdrowieniami

Andrzej Walicki

4 września 1984

Szanowny Panie Profesorze.

Tym razem tylko parę słów w związku z załącznikiem. Jak Pan widzi, tekst mój opublikowano, a w od-

powiedzi krytykom piszę to samo, co m.in. w listach do Pana. Skoro jest to już publikacja, chciałbym, aby znano to w kraju.

„Aneks” gotów jest publikować dalsze głosy w dyskusji, byłoby świetnie gdyby nadeszły też rozsądne głosy z kraju. Może zna Pan kogoś, kogo „Aneks” nie może opatrzyć etykietką „reżimowca”, a kto mógłby i chciałby wypowiedzieć się?

Łączę najlepsze pozdrowienia

Andrzej Walicki

12 października 1984

Drogi Panie Profesorze,
dziękuję za list z 30 września. Zajrzałem do kopii mojego listu do Pana z 30 lipca i zdziwiłem się – przecież tam powiedziane jest wręcz, że nie przychodziła mi do głowy myśl o „wstydzaniu się” naszej korespondencji! A więc nie jest to korespondencja „tajna”, skądże znowu! Chodziło mi tylko, żeby treść (nie sam fakt!) korespondencji prywatnej nie stawała się faktem publicznym. (Pan przecież także nie chciałby, aby treść naszej korespondencji była znana np. Najderowi.)

Pisze Pan b. ostro o Leszku K., a jednocześnie pochwała Pan tolerancję. Moja tolerancja obejmuje również Leszka K., choć drażni mnie jego nietolerancja (o czym on wie). Uprawiałem przez wiele lat sztukę empatycznego rozumienia diametralnie różnych światopoglądów i to właśnie nauczyło mnie znajdowanie punktów stycznych zarówno z Panem jak i z L.K. lub Najderem (absolutnie nie wierzę, że mógł być agentem). Ale rozumiem też, że Pan może to potępiać. A więc cóż... wybór muszę pozostawić Panu. Cenię sobie kontakt z Panem, wcale go nie ukrywam, ale cenię sobie też kontakt z rozsądniej myślącymi ludźmi „drugiej strony”. Jeśli zaś nie wychodzi mi dogadywanie się polityczne, to oddzielam to od związków czysto personalnych.

Zamierzam wydać wkrótce autobiograficzną książkę pt. *Spotkania z Miłoszem* (w przyszłym roku). Poślę ją Panu, będzie Pan wtedy miał pełny obraz tego kim byłem, kim chciałem być, jak oceniam to teraz. Czytał to m.in. Jan Szczepański i ocenił b. wysoko. Jeśli odczuje Pan, że zbyt różni się od Pańskiego obrazu mojej osoby, to wtedy może Pan podjąć decyzję co do c.d. kontaktu. Na razie zaś osobiście nie widzę powodów, żeby kontakt zrywać.

Posłałem do kraju kopię artykułu wraz z dyskusją, wiadomo mi, że wśród kręgów partyjnych „kolportuje” to jeden z moich kolegów.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Andrzej Walicki

Wiedeń, 29 października 1984

Drogi Panie Andrzeju,
odpowiadam z opóźnieniem z powodu moich peregrinacji.

Pan jednak nie chwyta tego, co mnie [nieczytelne]

Może wbrew pozorom byłem i jestem ogromnie tolerancyjny jeśli idzie o kontakty z „inaczej myślącymi”. Na zdrowie! Niech Pan utrzymuje je z kim Pan chce. Swoją drogą nie trzeba zamykać oczu na rzeczywistość. Najder był i jest agentem CIA, inaczej byłoby niemożliwe osiągnięcie tego stanowiska – tam nomenklatura jest nie mniej ostra niż po drugiej stronie; Kołakowski jest teraz

chorym renegatem, jak o tym świadczy jego haniebny atak przeciw „teologii wyzwolenia”. A więc bez złudzeń, ale proszę bardzo, ja robię podobnie, choć nie z tymi osobami. Co mnie „ugryzło” to fakt, że Pan kontaktów z nimi się nie „wstydzi”, nie pisze Pan do nich listów z żądaniem „dyskrecji”, kontaktu ze mną Pan się wyraźnie „wstydzi”. Naprawdę nie ma powodu. Ale niech będzie tak. Mówi się trudno i się kocha dalej, a ja Pana lubię i cenię.

Nie wiem, czy Pan docenia wypadki w Polsce. To tragedia, ale może wreszcie ludzie rozumieją, że – mimo wszystkich słabości – obecna ekipa to „mniejsze zło”. Boję się tej sytuacji, boje się głupoty ludzi, którzy mogą dać się sprowokować, choć trzeba przyznać, że są znaki otrzeźwienia ([nieczytelne], Solidarność). Jadę jutro do Warszawy. Napiszę potem, bo trudno tak zrozumieć, co się dzieje.

Pozdrawiam i ściskam dłoń

Adam Schaff

Wiedeń, 10 stycznia 1985

Drogi Panie Andrzeju,
nie z powodu konwencji, lecz „od serca” zacznę, od życzenia, by 1985 r. był dla Pana łaskawszy.

Jest mi ogromnie przykro, że Pańskie sprawy osobiste tak się pogmatwały.

W obecnej sytuacji, niezależnie od tego, nie doradzam powrotu natychmiast (nie doradzałem tego również poprzednio). Ale więzów proszę nie zrywać ostatecznie. Opcja amerykańska podoba mi się.

Pański artykuł (wraz z całością spraw w „Aneksie”) puściłem w ruch – krąży wśród ludzi.

Ciekaw jestem Pańskiej książki biograficznej. Ja wkrótce prześlę Panu moją nową książkę (polityczno-futurologiczna).

Pcham ten wózek z uporem, ale nawet ja zaczynam być zmęczony – wysiadam nerwowo. Moja rodzina też. To wszystko u nas jest ogromnie smutne i deprymujące. *Shall we overcome?*

Proszę podtrzymywać kontakt, cenię go sobie bardzo.

Serdecznie pozdrawiam i ściskam dłoń.

Adam Schaff

Wiedeń, 17 października 1985

Drogi Panie Andrzeju!

Za list i książkę dziękuję. Piszę krótko, gdyż za godzinę wyjeżdżam do Warszawy. Nie pisałem, ponieważ nie wiedziałem, gdzie Pan ostatecznie pozostał. Nawiązujemy znowu korespondencję.

Książki chętnie wezmę, ale z tym, że wręcę je Pańskiej ex-żonie. Z panami [nieczytelne] i M. nie utrzymuję żadnego kontaktu, gdyż są to zwykle moralne świnię. Różnice polityczne nic dla mnie nie znaczą w kontaktach osobistych, ale nagłe nawrócenie się (niestety choroba szeroko w kraju rozpowszechniona) jest wedle mnie niewybaczalne.

Ściskam dłoń

Adam Schaff

Źródło: Adam Schaff, *Korespondencja*. Wstęp, wybór, opracowanie Krzysztof Dubiński, Paweł Dybic, Grzegorz Sołtyś, Warszawa 2010

ANDRZEJ KURZ

Z PRZYPADKÓW TELEWIZYJNEGO NAIWNIAKA

W moim długim już życiu, pełnym zajęć, wydarzeń i spotkań z ciekawymi ludźmi trafił się okres, w którym mi się nie powiodło. Niepowodzenie, można je też nazwać zawiedzioną miłością, wiąże się z zaledwie półtorarocznym okresem mojej pracy w Telewizji Polskiej. Pełniłem w niej funkcję prezesa. Mało kto o tym pamięta, może to i dobrze.

Z reguły prezesem telewizji nazywało się przewodniczącego Komitetu do spraw Radia i Telewizji (tzw. Radiokomitetu) to znaczy ciała rządowego, ministerialnego. A ja byłem w Radiokomitecie pierwszym zastępcą przewodniczącego, ale zarazem kierownikiem zespołu Telewizji Polskiej. Organizmu liczącego ponad 7 tys. pracowników zajmujących się tworzeniem programów emitowanych na całą Polskę. (Wówczas nadawano już w kolorze programy I i II oraz regionalne.) Ale technika nadawcza telewizji i radia podlegała innemu zastępcy przewodniczącego Radiokomitetu, który równocześnie był pełnoprawnym wiceministrem łączności.

Te dość złożone zależności wpływały oczywiście na funkcjonowanie i Polskiego Radia i Telewizji Polskiej, dodatkowo komplikowane przez nerwowe próby sterowania tym wszystkim przez tzw. kierownictwo partii i państwa, szczególnie zaś tym, co uważano za sprawy polityczne, kontrolowane nieraz w szczegółach przez aparat partyjny. A sprawą polityczną w okresie mojej pracy w telewizji było już niemal wszystko.

Ten najmniej udany okres mojego życia uczyniłem tematem pierwszego dotychczas napisanego tomu moich wspomnień, który będzie nosił tytuł *Przypadki telewizyjnego naiwniaka*. Jeden bowiem z wieloletnich dyrektorów radiokomitetowej administracji, bardzo kompetentny i przyzwoity Aleksander Landau orzekł po pierwszych miesiącach naszej współpracy: pan prezes jest sympatyczny, ale okropnie naiwny.

Tutaj opowiem o tygodniach najdziwniejszych. O tym jak zacząłem w telewizji stan wojenny.

Nie brałem udziału w żadnych, albo prawie żadnych przygotowaniach Telewizji Polskiej do stanu wojennego, mimo że formalnie zostałem jej prezesem na trzy miesiące przed 13 grudnia 1981 r. Wszystkie kadrowe, techniczne i organizacyjne przygotowania do stanu nadzwyczajnego prowadził tajny zespół, którego składu ani nie znałem, ani nie domyślałem się. Sam wszedłem do nowego kierownictwa Radiokomitetu o ponad dwa miesiące później niż przewodniczący Władysław Loranc i wiceprzewodniczący kierujący Polskim Radiem, Stanisław Celichowski. Nie wiedziałem, co było przyczyną zwłoki w mojej nominacji. Przypuszczałem, że wynikała z tego, że Loranc chciał, abym kierował Telewizją Polską, a nadzorujący cały obszar propagandy i mediów,

potężny wówczas członek Biura Politycznego i sekretarz KC Stefan Olszowski, chciał powierzyć telewizję swojemu zaufanemu, dotychczasowemu szefowi ośrodka w Gdańsku, Stanisławowi Celichowskiemu, mnie proponując w dość napiętej rozmowie prezesowanie radiu. Na to się nie zgodziłem.

Nic mnie nie zmuszało do opuszczenia Wydawnictwa Literackiego po 10 latach nim kierowania, poza moim własnym postanowieniem. W czasie, mianowicie, ogólnopolskiego strajku ostrzegawczego spowodowanego marcowymi wydarzeniami w Bydgoszczy, moja żona, niemal w całości należąca (wraz ze mną) do „Solidarności”, uchwaliła udział w tym strajku. Ja uparłem się, że wydawnictwo i jego zespół, manifestujący do tej pory jedność i, jak to wielokrotnie deklarowano, zaufanie do dyrektora, nie ma powodu do strajku, który zresztą uważałem za skrajnie szkodliwy dla Polski. Ogłosiłem więc, że na strajk się nie zgadzam, a jeśli do niego dojdzie, występuję z „Solidarności”. Jednak strajk okupacyjny w WL zorganizowano i w historycznej atmosferze podgrzewanej przez kilku oszołomów ptci obojga ogłoszono, że kto opuści gmach wydawnictwa, nie ma już do niego powrotu. Kiedy wychodziłem z wydawnictwa do rady miejskiej Krakowa, a jako jej przewodniczący miałem się właśnie spotkać z przedstawicielami kierownictwa małopolskiej „Solidarności” – Andrzejem Borzęckim i Józefem Lassotą, żeby omówić, jak zmniejszyć uciążliwość strajku, zwłaszcza dla krakowskich matek i dzieci, dyżurujący przy bramie strajkowicz, skądinąd drugi sekretarz organizacji partyjnej WL, poinformował mnie zażenowany, że nie mogę być wpuszczony z powrotem.

Kiedy prowadziłem wspomniane rozmowy w siedzibie rady miasta, przybiegł jakiś wysłannik strajkujących i zostawił w sekretariacie przepustkę upoważniającą mnie mimo wszystko do wyjścia i powrotu do wydawnictwa. Uznałem jednak, że zasada zaufania między żoną a jej szefem została złamana. Wystąpiłem też z „Solidarności”.

Mogłem więc pozytywnie odpowiedzieć na majową propozycję Władysława Loranca, który właśnie w tym czasie prowadził ze Stefanem Olszowskim rozmowy w sprawie objęcia przewodnictwa Komitetu ds. Radia i Telewizji. Loranc umyślił, abym objął prezesurę Telewizji Polskiej. Przyjaźniłem się z Władkiem Lorancem już 30 lat, od czasu wspólnych studiów na krakowskiej polonistyce. Kiedy zaś na przełomie lat 60. i 70. prezesował Polskiemu Radiu i kiedy po wygryzieniu go z tego stanowiska przez nowego przewodniczącego Radiokomitetu, Macieja Szczepańskiego został na pociechę wiceministrem kultury, rozmawialiśmy bardzo często, choć w zupełnej abstrakcji, o tym jak wspinałymi instrumentami

kultury są radio i telewizja i jak można by je, zabijane od pewnego czasu przez propagandę sukcesu i bezczelność rządów technokratów, uzdrowić i rozwijać.

Oczywiście zaangażowania Loranca nie wystarczyłoby, aby mnie powołać na szefa Telewizji Polskiej. Zdecydował o tym Stanisław Kania, ówczesny pierwszy sekretarz KC PZPR, który, o czym dziś się nie wie albo nie mówi, stał za wieloma decyzjami promującymi do władzy niepokornych w epoce Gomułki i Gierka partyjnych inteligentów z Mieczysławem Rakowskim na czele. Zamanifestował to już, może w porozumieniu z Kazimierzem Barcikowskim (nigdy z nimi o tym nie rozmawiałem), przygotowując mnie do odpowiedzialnej funkcji w związku ze zwołaniem IX Zjazdu partii – jeszcze raz nazwanego odnowicielskim. W komisji przygotowującej ten zjazd zostałem bardzo aktywnym zresztą członkiem jej prezydium i sekretariatu, co wskazywało na przewidywane dla mnie później zajęcia publiczne. Ale nie zostałem wybrany na delegata na zjazd już na konferencji dzielnicowej w krakowskim Śródmieściu, za kulisami której rej wodzili i wyborami manipulowali przedstawiciele wielkiej organizacji partyjnej wojewódzkiej komendy służby bezpieczeństwa.

Z tego wszystkiego zdawałem sobie sprawę, ale nie chciałem kapitulować. Zdaje mi się też, że Kania, który najlepiej znał bezpieczniackie sprawy, postanowił mimo wszystko, by mnie do Warszawy ściągnąć. Działo się to w atmosferze wielkiego napięcia społecznego i organizowanych przez „Solidarność” manifestacji, których jednym z przedmiotów było atakowanie mediów i ich paraliżowanie, potęgowane przez wrzenie wewnątrz ich zespołów twórczych i produkcyjnych.

Tak więc pojawiłem się w Radiokomitecie i w Telewizji Polskiej dopiero wówczas, kiedy już od dwóch miesięcy działał w nich powołany przez nowe kierownictwo Radiokomitego zespół ds. reformy radia i telewizji. Postanowiliśmy jednak z Loransem, że dostaję trzy miesiące (czyli bardzo mało), aby najpierw zapoznać się z nowym dla mnie gospodarstwem i najbliższymi współpracownikami, spotkać się ze wszystkimi zespołami twórczymi i wybitnymi indywidualnościami, poznać technikę, działy produkcyjne i administrację, odwiedzić wszystkie ośrodki regionalne i porozmawiać z ich załogami. Do tego oczywiście dochodziły bardzo częste spotkania z Olszowskim, Kubiakiem (po IX Zjeździe zostałem członkiem Komisji Kultury KC, której przewodniczyłem) i ludźmi aparatu partyjnego, rozmowy z wybitnymi postaciami świata kultury i nauki (np. przewodniczącym Związku Literatów Polskich Janem Józefem Szczepańskim i przewodniczącym Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych Klemensem Szaniawskim), a także przewodniczenie radzie miejskiej Krakowa.

Czas miałem zajęty od rana do nocy. Sypiałem najczęściej w pokoiku wypoczynkowym obok prezesowskiego gabinetu, jadłem w stołówce i w bufecie, czasem dobre sekretarki gotowały mi budyń z sokiem na deser. Do Krakowa, więc i do domu jeździłem raz na dwa tygodnie.

W dziesiątkach rozmów i spotkań gromadnych wysłuchiwałem pomysłów programowych i organizacyjnych od tych, których o to prosiłem i którzy chcieli się ze mną nimi podzielić, a przedstawiałem do dyskusji moje pomysły i założenia dotyczące programu.

Moją ideą przewodnią było, że telewizja jest narzędziem rozmowy ze społeczeństwem i kształtowania

obywatelskich odpowiedzialności, a nie podlizywania się władzy i głoszenia sukcesów i potępień. Jest miejscem powszechnego uczestnictwa w kulturze i najwyższej jakości rozrywce, oknem otwartym na świat. Wydawało mi się, że należy coraz wyraźniej różnicować programy I i II (w tym także produkować odrębne dzienniki telewizyjne) oraz zwiększać udział w obu antenach dobrych propozycji przygotowywanych przez ośrodki regionalne.

Byłem przeciwny dominacji dziennikarskiego pustostwa uznając, że każde dzieło czy produkcja telewizyjna jest jednością świadomie dobranego słowa, obrazu i dźwięku, a więc odmiennym od innych gatunkiem twórczości.

Upierałem się, że występujący na ekranie telewizyjni zawodowcy muszą mówić nienaganną polszczyzną i wyróżniać się kulturalnym sposobem bycia i mają w tej dziedzinie obowiązki nauczycielskie. Brzmiało to zapewne naiwnie, choć miałem w tej mierze wielu sojuszników wewnątrz zespołu telewizyjnego, a przeciwstawiało się parciu na ekran różnego rodzaju krzykliwych, niedouczonej i kulturalnie „niedociągniętych” karierowiczów. Takich, jacy dzisiaj w mediach wręcz dominują. Chciałem przy doborze kadry programowej wzmocnić rolę tzw. karty ekranowej – rodzaju świadectwa niezbędnego dla zawodowego występowania na wizji oraz utrzymać mocno rozbudowany system zawodowego doskonalenia. Nie pozwoliłem, aby stawiający dopiero pierwsze kroki założony przez Macieja Szczepańskiego wydział radiowo-telewizyjny na Uniwersytecie Śląskim został zlikwidowany.

Byłem też jednoznaczny w głoszeniu, że podjęcie pracy w telewizji państwowej jest zarazem zobowiązaniem do lojalności wobec tego państwa i przestrzegania sprawy najważniejszej – polskiej racji stanu.

Dyskusje, w których brałem udział, były gorące, nieraz burzliwe. W pamięci utkwiły mi też ataki na mnie. Np. w Katowicach działacza „Solidarności”, który jeszcze niedawno produkował filmy sławiące Edwarda Gierka i Macieja Szczepańskiego, a mnie zarzucał (zresztą nie bez podstaw) „telewizyjną ignorancję”. Z Łodzi pamiętam młodego redaktorka, napuszonego oratora, który w kilkanaście lat później został z Wałęsowego nadania prezesem telewizji, ale na bardzo krótko.

Zadanie wstępnego rozpoznania pola mojej pracy, a także przygotowania do uczestnictwa w reformie zrealizowałem w sporej mierze. Nie będę tu opisywał politycznych wydarzeń tych trzech miesięcy, w których brałem udział. Także w naradach, na których czytano listy KC KPZR atakujące Kanię i Jaruzelskiego.

Wspomnę tylko, że pod koniec tej mojej trzymiesięcznej praktyki doszło do spotkania kierownictwa Radiokomitego i przedstawicieli działającej w niej organizacji Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich (było to w znacznej mierze zarazem przedstawicielstwo zakładowej „Solidarności”) z przygotowującą zmiany w ustawie o mediach sejmową komisją kultury pod przewodnictwem mądrej i zaangażowanej w wielką zmianę Krystyny Marszałek-Młyńczyk. Na posiedzeniu tym ujawniły się istotne różnice w moich, ukształtowanych już poglądach na konieczność i charakter zmian w mediach, z poglądami innych członków kierownictwa Radiokomitego. Gracjo poparła mnie na tym spotkaniu tylko Krystyna Marszałek-Młyńczyk. Ale wręcz totalna (żeby nie powiedzieć historyczna) krytyka całego kierownictwa Radiokomitego ze strony dwóch sterowanych przez „Solidarność”

przedstawicielki SDP uratowała mnie od ataku ze strony moich współtowarzyszy z kierownictwa Radiokomitetu.

W sobotę, 12 grudnia po południu brałem udział w rozdawaniu nagród przewodniczącego Radiokomitetu twórcom programów radiowych i telewizyjnych. Wszyscy byli napięci i przygnębieni. Tego dnia odbywał się Kongres Kultury, na który kierownictwa Radiokomitetu nie zaproszono. Poznałem na tym spotkaniu Jerzego Janickiego, jednego z najlepszych scenarzystów, zakochanego w swym mieście lwowianina. Rozmawialiśmy w części towarzyskiej spotkania o książce mojej żony o polszczyźnie Lwowa i kresów południowo-wschodnich. Szczególnie zaś utkwily mi w pamięci wypowiedziane do Loranca i do mnie mądre i niewesołe opinie Zygmunta Kałużyńskiego.

Wieczorem zaś uzyskując łatwo zgodę Loranca postanowiłem skorzystać z propozycji Hieronima Kubiaka i udać się w nie pierwszą już z nim podróż rządowym samolotem do Krakowa. Nie byłem w domu od 4 grudnia, kiedy przez nikogo nie namawiany złożyłem na sesji rady miasta rezygnację z funkcji jej przewodniczącego. Wydawało mi się, że Kubiak trochę ostentacyjnie wybierał się do domu do Krakowa, ponieważ na Kongres Kultury nie został zaproszony, w odróżnieniu od przedstawicieli rządu, tzn. wicepremiera Rakowskiego oraz ministrów kultury i edukacji.

Dyrektor generalny programu informacyjno-publicystycznego Władysław Snarski był wręcz zaskoczony, kiedy przekazywałem mu kierowanie telewizją na czas weekendu i coś niewyraźnie bąkał, że chyba nie powinienem wyjeżdżać z Warszawy. Przypuszczam dziś, że był wprowadzony w przygotowania do wprowadzenia stanu wojennego, ale chyba nie był jeszcze poinformowany o decyzji ostatecznej. Kiedy zresztą dziś zastanawiam się nad łatwością, z jaką Kubiak i ja zostaliśmy zwolnieni na niedzielę do domów, to rodzi mi się podejrzenie, że były to celowe działania dezinformacyjne, albo coś jeszcze więcej.

Faktem jest, że dyrektor programowy telewizji Włodzisław Grzelak, w rozmowie z autorem ciekawej i kompetentnej kroniki pierwszych godzin stanu wojennego, francuskim dziennikarzem Gabrielem Mérétkiem, przyznał się, że choć brał udział w przygotowaniach studia do nagrania przemówienia gen. Jaruzelskiego, był przekonany, że nie może się to stać w nocy z 12 na 13 grudnia, bo przecież prezes nie pojechałby w takiej sytuacji do Krakowa. Włodek Grzelak, w przeszłości żołnierz Szarych Szeregów, po Październiku'56 jeden z liderów odrodzonego harcerstwa był zawsze wzorem obywatelskiej odpowiedzialności i ludzkiej przyzwoitości. I może też być naiwny.

A spośród telewizyjnych dziennikarzy do tajnego przygotowania generalskiego nagrania powołany został Stanisław Cześnin, jeden z głównych bardów propagandy sukcesu i pupil Edwarda Gierka i Macieja Szczyńskiego, bardzo doświadczony w telewizyjnej kuchni były dyrektor generalny programów informacyjno-publicystycznych. Tyle tylko, że kiedy przychodziłem do telewizji, już go w niej nie zastałem, przebywał bowiem na urlopie przed emeryturą. A głównym reżyserem nagrania usiłował być gen. broni Józef Baryła, szef Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego, postać gdyby nie tak ważna, to tylko śmieszna i żalona.

Napisałem, że nie brałem udziału w żadnych, albo prawie żadnych przygotowaniach do stanu wojennego.

To „prawie” odnosi się do dziwnego wydarzenia z pierwszych dni grudnia. Zwrócił się wtedy do mnie zastępca przewodniczącego Radiokomitetu ds. techniki radiowej i telewizyjnej Konrad Kozłowski, abym razem z nim zwizytował punkt emisyjny programu telewizyjnego, przygotowywany na wypadek ataku na gmach Radiokomitetu. Urządzano i wyposażano na tę okoliczność specjalne pomieszczenia w jednym z budynków koszar przy al. Żwirki i Wigury. Poświęciliśmy na wizytę całe przedpołudnie. Żadne z urzędów nie było gotowe do emisji i, jak rozumiałem, Konrad chciał, abym go poparł w staraniach o przyspieszenia zakończenia prac. Znałem go od początku lat 60. jako człowieka solidnego i słownego, wiceministra łączności skutecznie popierającego starania Krakowa o pozaplanowe (jak się to mówiło, w czynie społecznym) wybudowanie wielkiego i nowoczesnego ośrodka telewizyjnego. Wiedziałem też, że w czasie wojny był żołnierzem AK.

Na zakończenie wizytacji w koszarach konkludowałem, że najgorszym sposobem jest robić coś nie do końca. Albo zaraz przygotowania tego punktu emisyjnego zakończymy, albo nie trzeba było go zaczynać i zamrażać środków. Powtórzyłem tę opinię, kiedy rozmawialiśmy z Lorcem i przyznał mi rację. Dodał też, że kiedy na początek swego urzędowania rozmawiał ze składającym mu wizytę przewodniczącym Radiokomitetu ZSRR starym Łapinem, uchodzącym za przyjaciela Breźniewa (bo grywał z nim w szachy), Łapin pytał, czy jesteśmy technicznie przygotowani na wypadek kontrrewolucyjnej agresji. Ale poinformowany o wyposażonym właśnie punkcie na terenie wojskowych koszar powiedział: „tylko nie przenoście się tam, bo z bunkra trudno się wychodzi”.

Tymczasem w jakieś dwa dni po naszej wizytacji przybiegł do mnie zdenerwowany Kozłowski i prosił, żebym jakoś zareagował, bo doszły do niego głosy z MSW, że wyraziliśmy opinię, iż przygotowywanie tajnego ośrodka to wyrzucanie pieniędzy. Przeprowadziliśmy tę wizytację w niewielkim gronie i zdawało mi się, że wiem kogo podejrzewać o tę prowokację, ale uspokoiłem Kozłowskiego, że jeżeli raz dwa dokończymy prace przy tym punkcie emisyjnym, nie będzie pretekstu do donosów.

Nie wiem też, czy można jeszcze uznać za mój udział w przygotowaniu do stanu nadzwyczajnego coś, co może było działaniem odwracającym moją uwagę ze strony tych, którzy stan wojenny wprowadzali naprawdę. Mianowicie, także w początku grudnia Stefan Olszowski polecił mi, abym przygotował opinię na temat sytuacji w społeczeństwie oraz projekt dokumentu programowego dla Sejmu w sprawie zwiększenia jego uprawnień do reagowania na sytuację głębokiego kryzysu polityczno-społecznego i gospodarczego. Chodziło o rodzaj manifestu do społeczeństwa. Dał mi na to wszystko pół dnia i noc. Napisałem i wręczyłem mu rękopis na zadany temat. Tak jak dziś pamiętam (nie zostały mi żadne notatki) szło mi ciągle jeszcze o poszukiwanie porozumienia ze społeczeństwem i „Solidarnością” jako jego emanacją. Proponowałem jednak wprowadzenie ustawowych uprawnień wzmacniające centralną władzę wykonawczą, a równocześnie zwiększenie dostępu związków zawodowych i samorządów do środków przekazu. Ale i ograniczenie metodami prawnymi swobody do strajków i paraliżowania państwa żywiołowymi manifestacjami. Proponowałem też rozbudowanie systemu re-

glamentacji zaopatrzenia i zaostrezenie dyscypliny pracy jako swego rodzaju przejściowe działania antykrzysowe.

W duchu wspomnianego już spotkania z sejmową komisją kultury, a więc i zwiększenia dostępu „Solidarności” do programu Telewizji Polskiej, choć i wzmocnienia współodpowiedzialności za spokój społeczny i wychodzenie z kryzysu, opracowane zostały materiały na zwołane na poniedziałek 14 grudnia rozmowy rządu z kierownictwem „Solidarności” na temat środków przekazu. Na czele zespołu rządowego miał stać Jerzy Urban, ja zaś miałem reprezentować cały Radiokomitet. Zespołem negocjatorów „Solidarności” miał kierować sam Lech Wałęsa. Byłem zdziwiony, że właśnie mnie powierzono takie zadanie i że nikt ze mną nie rozmawiał o taktyce spotkania. Ale wiedziałem, że główną rolę będzie grał Urban i miałem zaufanie do jego umiejętności, choć wydawało mi się, że jestem wystawiony na straconie. Nie podejrzewałem natomiast, że zwołanie takich rozmów może także być formą dezinformacji.

W każdym razie, jak widać, nie brałem udziału we wprowadzaniu Telewizji Polskiej w stan wojenny, choć formalnie byłem jej szefem i nie dopuszczałem myśli, że nie mam na nic w niej wpływu.

Pierwszy dzień stanu wojennego był dla mnie czymś surrealistycznym. 12 grudnia, jakiś czas przed północą, zatelefonował do mnie do domu w Krakowie szef krakowskiego Ośrodka TV, zaprzyjaźniony ze mną Andrzej Urbańczyk z informacją, że do budynku weszło wojsko i właśnie wyłączyli urządzenia emisyjne, a on nie wie, co to wszystko znaczy. Obiecałem mu porozumieć się z Kubiakiem, przecież członkiem Biura Politycznego i sekretarzem KC, i czegoś się dowiedzieć. Zanim zdążyłem wykręcić jego numer, telefon mi się wyłączył i w żaden sposób nie potrafiłem tego naprawić. Za to gdzieś o drugiej w nocy przyszedł do mego mieszkania oficer ochrony Kubiaka i poinformował mnie, że telefony w Polsce nie działają, że mam o 6.00 rano słuchać radia i zaraz potem przyjadą po mnie, udamy się na lotnisko i wrócimy z Kubiakiem do Warszawy. Zrozumiałem, że zarządzono stan wyjątkowy.

O 6.00 rano wysłuchałem Jaruzelskiego i przyjąłem do wiadomości, że zapadły decyzje, od których nie ma odwrotu, ale które mogą być rozwiązaniem pozytywnym, dającym szansę uniknięcia najgorszego – wojny domowej lub wojny z interwencją. Szansa, tak myślałem, zależy także od tego, czy całość inicjatyw pozostanie w rękach twardogłowych, populistów i donosicieli „do ruskich”, czy ludzi rozumiejących polską rację stanu. Jeżeli Rakowski, Barcikowski i Kubiak zaufali Jaruzelskiemu, ja też nie pozostawię go w rękach twardogłowych i aparatu przemocy. To jest moja Polska. Tak też powiedziałem na pożegnanie mojej mądrej żonie.

Wcześniej rano wyładowali w Warszawie i wprost z lotniska Kubiak podwiózł mnie, po drodze do KC, na ulicę Woronicza i chwilę czekał, aż wejdem do gmachu. Okazało się, że żołnierz na bramie nie może mnie wpuścić na teren telewizji, której jestem szefem, nie mam bowiem nowej przepustki, a on nie widzi potrzeby porozumienia się z przełożonymi. Kubiak odwiózł mnie więc do mieszkania, które wynajmowałem prywatnie przy ul. Platynowej i w którym miałem zainstalowaną od kilku dni ogromną pakę radiotelefonu wraz z instrukcją, jak się tym posługiwać. Bez żadnych kłopotów technicznych wywołałem hasło Władysława Loranca i powiedziałem

mu o incydencie na bramie pytając, co mam robić. Loranc odpowiedział, jak zawsze spokojnie, że zapyta, kogo trzeba. Po dwóch – trzech godzinach oddzwonił, że mam stawić się do pracy, wysłała po mnie samochód, a na bramie będzie mnie oczekiwał jeden z dwóch moich asystentów z przepustką. Tak się też stało.

Nie miałem pojęcia, że Służba Bezpieczeństwa już dawno postanowiła nie wydawać mi przepustki, a odbywające się z wczesnego rana pod patronatem Komitetu Warszawskiego zebranie już nowego Komitetu Zakładowego partii uchwaliło wotum nieufności wobec szefa Telewizji Polskiej i zażądało od przewodniczącego Radiokomitetu natychmiastowego odwołania mnie ze stanowiska.

O tym wszystkim dowiadywałem się po trochu w dniach następnych. Teraz zaś trafiłem natychmiast na posiedzenie prezydium Radiokomitetu, chyba już drugie tego dnia, na którym spotkałem się z nieznanymi mi wojskowymi komisarzami – przy przewodniczącym Lorancu był to gen. Albin Żyto, przy szefie Telewizji Polskiej, czyli przy mnie płk. Władysław Korczak, obaj z Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego. Dowiedziałem się o decyzjach w sprawie militaryzacji Polskiego Radia i Telewizji Polskiej i poznałem listę pracowników telewizji dopuszczonych do gmachu. Było ich bardzo niewielu, choć znaleźli się na niej dwaj moi asystenci, dwie sekretarki i dwaj kierowcy. Uderzył mnie brak na liście ogromnej większości pracowników Programu II, a szczególnie nie było nikogo ze Studia 2 kierowanego przez Mariusza Waltera.

Wieczorem pobiegłem do Kubiaka, do KC. Z tego zrobił się niemal codzienny zwyczaj. U Kubiaka bywali wciąż: Władysław Markiewicz, Jerzy Wiatr, wpadał Rakowski i Barcikowski. Organizatorem tych improwizowanych spotkań był najbliższy współpracownik Kubiaka, Ryszard Juchniewicz. Mówiło się najczęściej, kogo należy natychmiast zwolnić z internowania, jak przeciwdziałać awanturnictwu twardogłowych. W sprawach środowisk twórczych interweniował najczęściej Gieysztor.

Oczywiście wszelka praca przy tworzeniu programów telewizyjnych była przerwana, zresztą we wszystkich studiach kwaterowali żołnierze, zamieniając je w koszary. Emitowano przecież tylko komunikaty umundurowanych spikerów nadawane pod kontrolą wojska i bezpieki ze studia w „bunkrze” i programy z „puszki”, głównie piosenki wojskowe. Otrzymaliśmy jednak po paru dniach zezwolenie na stopniowe uruchamianie programu, a postanowiliśmy z Lorancem, że będzie to program uspokajający nastroje, rozładujący przerażenie społeczeństwa niezrozumiałym stanem wojennym.

Objąłem przewodnictwo codziennymi kolegiami programowymi telewizji, początkowo w mocno ograniczonym składzie, których już co najmniej dwa odbyły się bez mojej obecności. Przyjąłem do wiadomości zarządzenie, że przywracamy stopniowo tylko Program I. Zażądałem jednak, żeby do jego tworzenia zaangażować również Waltera i ludzi z jego Studia 2, choć zarówno on jak i jego pracownicy nie otrzymali przepustek. Zaangażowanie zespołu Waltera było dla mnie warunkiem jakości programu, a prezesi otrzymali uprawnienie do występowania o przepustki dla dalszych pracowników dla programu niezbędnych.

Postanowiliśmy wraz z Lorancem, że nadawanie *Dziennika TV* i programów informacyjnych przenosimy

na pl. Powstańców. Za warunek odbudowania zaufania do telewizji i rozładowywania lęków społecznych uznaliśmy powierzenie roli gospodarzy programów najbardziej popularnym spikerom – Edycie Wojtczak i Janowi Suzinowi, którym także początkowo nie dano przepustek. Przywrócenie do roboty programowej Mariusza Waltera i jego grupy oraz starych spikerów wywołało burzę protestów tych pracowników telewizji, którzy uznali stan wojenny za okazję do rewanzu na nich. Bowiem Maciej Szczepański w czasie swego królowania zwolnił z pracy lub odsunął od kierowania komórkami programowymi i administracyjnymi wielu ludzi mało sprawnych, najczęściej protegowanych aparatu partyjnego. Ci zaś natychmiast po upadku Szczepańskiego jako pokrzywdzeni, na stanowiska wrócili, a teraz donosili na swych zdolniejszych konkurentów do wpływowych ludzi z aparatu władzy, bezpieczeństwa i wojska. Zaostrzona po upadku Gierka i jego ekipy konkurencyjna walka o stanowiska i pieniądze wewnątrz ekip Radia i Telewizji doszła więc teraz do apogeum. Zwłaszcza ideę trwałej likwidacji Programu II TP uznano za najlepszą okazję do opanowania anteny i płynących stąd zarobków, za czasów Szczepańskiego mocno wywindowanych do góry.

Uznałem więc przywrócenie Programu II i współzawodnictwa między programami, a także ośrodkami terenowymi, za jedno ze swych zadań podstawowych. Na razie jednak szło tylko o pojedyncze programy i zespoły, które je stwarzają, o dotarcie do polskich rodzin i rozładowywanie napięć i lęków.

Jednym z pierwszych takich programów, które powierzyłem oczywiście zespołowi Waltera, były rozmowy na granicy z Polakami powracającymi do kraju, a przede wszystkim program świąteczny, którego kulminacją była rozmowa Polaków – przedstawicieli różnych środowisk i pokoleń – przy wigilijnym stole. Podtrzymałem propozycję Waltera, aby do świątecznej rozmowy zaprosić Bronisława Geremka. Ten długo się wahał i w ostatniej chwili się wycofał.

Uważałem też za niezbędne natychmiastowe podjęcie przygotowań programów redakcji młodzieżowych i dziecięcych, zawsze znakomicie i w atmosferze przyzwoitości kierowanych, ochronę ich pracowników i podtrzymywanie takich „superprodukcji” jak *Sonda* Kurka, Kamieńskiego i Siudyma.

Czesław Sandelewski zaproponował rozmowę o istocie stanu wojennego między wielkimi postaciami polskiej nauki – socjologii i politologii – Władysławem Markiewiczem, Franciszkiem Ryszką i Jerzym Wiatrem. Przekonał mnie, abym ja zamiast niego ją poprowadził, byłem bowiem mocno zaprzyjaźniony z wszystkimi trzema. Rozmowa, podczas której rozważaliśmy wkroczenie wojska do wielkich decyzji politycznych, jako ostatnią szansę na opanowanie niebezpieczeństwa grożącego Polsce, jej równowagi wewnętrznej i spokoju zewnętrznego, skierowana była przede wszystkim do inteligencji. Starła się rozładować niepokoje argumentując, że idzie o to, aby doprowadzić możliwie szybko do narodowego porozumienia na gruncie racji stanu i „czas wojenny” jak najszybciej zakończyć.

Ten program wywołał wściekłe na mnie ataki i oskarżenia, szczególnie ze strony organów przemocy i Komitetu Warszawskiego partii, o osłabianie stanu wojennego. Później każda próba powtórzenia tego programu na antenie wywoływała przewencyjną reakcję z różnych

stron. Co jednak najdziwniejsze i co zapewne uratowało na chwilę moją głowę, gen. Baryła przekazał mi (ale bardzo dyskretnie) podziękowanie za ten program od gen. Jaruzelskiego. Żeby było jeszcze dziwniej, relacje z wystąpień gen. Jaruzelskiego na forum rządowym czy innych naradach na szczeblu kierowniczym były z reguły okrawane na antenach tam, gdzie mówił (a robił to od samego niemal początku), że stan wojenny ma trwać możliwie najkrócej i być prowadzony tak, abyśmy nie musieli się go wstydić. Kiedy jeden jedyny raz zadzwoniłem do gen. Jaruzelskiego z interwencją, że znów nie puszczają relacji z takiej części jego wystąpienia, odpowiedział mi krótko: róbcie co uważacie. Ale tekst nie pojawił się na antenie i więcej już nie dzwoniłem.

W pierwszych też dniach stanu wojennego Władysław Loranc przekazał mi polecenie Generała, aby przewodniczący Radiokomitetu lub prezes Telewizji osobiście nadzorowali przygotowanie każdego *Dziennika TV*. Dotąd bowiem robił to zespół, który kontaktował się jedynie z biurem prasy KC oraz przedstawicielami wojska i MSW. I wtedy okazało się, że prezes telewizji otrzymał wprawdzie przepustkę na ul. Woroniczą, ale innej, zupełnie specjalnej, pozwalającej na wejście do redakcji przy pl. Powstańców nie dostał. Poszedłem więc na pl. Powstańców z jednym z moich asystentów, (który taką przepustkę miał od początku) i jakiś cywil nazywany towarzyszem pułkownikiem, skądinąd z sympatycznym uśmiechem, powiedział mi: trudno, musiałem towarzyszowi prezesowi przepustkę wystawić.

Bardzo się tam ten, krótkotrwały zresztą, mój nadzór nad *Dziennikiem* nie podobał. Zabroniłem im bowiem zapraszać do programów dziwnych profesorów, najwyraźniej „marcowych”, nacjonalistycznych i ksenofobicznych prymitywów związanych z tygodnikiem „Rzeczywistość”, a przyprowadzanych przez równie dziwnych ludzi z Głównego Zarządu Politycznego WP. Poleciałem zamiast nich zaprosić Tadeusza Hołuję i Mariana Sępnia z krakowskiej „Kuźnicy” oraz czołowych publicystów z „Polityki”.

Tego już twardogłowi nie wytrzymali. Rakowski, mimo że członek najściślejszego kierownictwa w stanie wojennym, był dla SB i GZP, a to znaczy i dla wielu ludzi z *Dziennika Telewizyjnego* postacią nienawistną. Kiedy jeszcze w dodatku nie dopuściłem na antenę kilku kawałków atakujących „Solidarność” w sposób tak prymitywny, że ewidentnie przeciwnie skuteczny, spłodzonych przez zastępcę naczelnego *Dziennika TV* – Stanisława Kaczmarskiego, dawnego pułkownika UB, nazywanego przez kolegów „Paznokietek” (była to aluzja do jego rzeźmionych zajęć w powojennej bezpiece) – granice zostały przekroczone. W informacjach Komitetu Warszawskiego i Warszawskiej Komisji Kontroli Partyjnej, a także dziennych biuletynach MSW ukazały się bardziej lub mniej aluzyjne wzmianki, że przeszkadzam partii. Myślę, że i docierające do Jaruzelskiego opinie od jego generałów nie mogły być dla mnie chwalebne. Np. gen. Piotrkowski, mianowany ministrem górnictwa, żądał ode mnie, abym nadał natychmiast 15-minutowy komunikat do górników, a ja mu proponowałem 3-minutową wzmiankę w *Dzienniku* (to już bardzo dużo) i udział w reportażu z kopalni. Nie pomagałem więc w wydobyciu węgla. Itp.

Z początkiem stycznia 1982 ogłoszono decyzję władz stanu wojennego o weryfikacji pracownikówo prasy, radia i telewizji mającej na celu wyeliminowanie przeciwników stanu wojennego, a dopuszczenie do pracy wszystkich

pozostałych, przebywających obecnie „za bramą”, czyli opłacanych lecz niepracujących. W Radiokomitecie powołano komisje weryfikacyjne, w skład których wchodziłi przedstawiciele partii, wojska, służby bezpieczeństwa i grupy zaufanych ludzi Radia i Telewizji, najczęściej ze szczebla kierowniczego redakcji. Na czele struktur weryfikacyjnych w Polskim Radiu stanął prezes Stanisław Celichowski zaś w TVP, aby ominąć jej prezesa, powołano dwa zespoły centralne – jeden dla programu informacyjno-publicystycznego, drugi dla programu kulturalnego, a na ich czele stanęli dyrektorzy generalni.

Oddzielne komisje weryfikacyjne, na czele z zastępcami przewodniczącego Radiokomiteu powstały w pionie technicznym i administracyjnym, a także w każdym regionalnym ośrodku radiowym i telewizyjnym pod nadzorem terenowych instancji partyjnych oraz przedstawicieli wojska i SB.

Komisje w redakcjach i ośrodkach działały poza naszą (Loranca i moją) kontrolą, a czasem i wiedzą. Do mnie dochodziły z nich tylko pojedyncze odgłosy i prośby o interwencje. W niektórych komisjach poważnie zastanawiano się nad sytuacją społeczną, polską racją stanu i obywatelską współodpowiedzialnością, w innych dawano upust prawie bolszewickiej nienawiści, ale zwłaszcza wobec konkurentów do telewizyjnych sukcesów w przeszłości. Wiele zależało od przyzwoitości i kultury redakcyjnych kierowników, wiele od poczucia godności, ale i obywatelskiej odpowiedzialności weryfikowanych. Zapewne najwięcej od postawy przedstawicieli instancji partyjnych.

Prezydium Radiokomiteu, tutaj już z udziałem przewodniczącego Loranca i moim jako jego pierwszego zastępcy ustanowiono instancją odwoławczą. Mimo nacisków ze strony twarogłowych reprezentowaliśmy z Lorancem stanowisko, że jeśli ktoś się odwołuje (a było tych odwołań bardzo dużo), to znaczy, że deklaruje chęć lojalnej pracy i z zasady odwołanie należy uwzględnić. W większości przypadków to nam się udawało.

Najostrejsza walka w komisjach znów rozgorzała wokół Waltera i ludzi ze Studia 2 oraz głównej scenografki telewizji, Xymeny Zaniewskiej. Od początku nie pozwalaliśmy na zwolnienie ich z pracy. Jerzy Bajdor, który przewodniczył komisji weryfikującej pion kulturalny zgłosił nawet swoje wotum separatum wobec decyzji o zwolnieniu Waltera, ale został na komisji przegłosowany. Krytykowany za swe stanowisko na posiedzeniu Komitetu Zakładowego partii powiedział, że musiał bronić Waltera ponieważ w przeciwnym razie Kurz zagroził ustąpieniem, a Loranca nie chce zamieszania w kierownictwie Radiokomiteu. W końcu na posiedzeniu prezydium Radiokomiteu jako ciała odwoławczego zmieniliśmy decyzję komisji weryfikacyjnej w sprawie wszystkich ludzi Studia 2, którzy zadeklarowali chęć dalszej pracy. Wciąż jednak Komitet Zakładowy partii w porozumieniu z Komitetem Warszawskim usiłowały Waltera z telewizji wywalić, sięgając nawet do metod fałszowania jego dokumentów osobistych. Maczała w tym oczywiście palce bezpieczeństwa, ale, jak mi się wydaje, sprzyjali Walterowi niektórzy ważni pułkownicy z wojska. Dużo zabiegów kosztowało mnie uratowanie od zwolnienia z pracy młodego małżeństwa twórców coraz ciekawszych programów – Tadeusza Kraśki i Niny Terentiew. Ale nawet gen. Żyto uznał, że nie możemy tego zrobić synowi niedawno zmarłego sekretarza KC PZPR, Wincentego Kraśki.

Kiedy przy wyjściu z posiedzenia jednego z pierwszych prezydiów w stanie wojennym powiedziałem, że trzymając tych kilku tysięcy pracowników za bramą produkujemy kontrrewolucję, już następnego dnia złożył mi wizytę oficjalną (jedyną zresztą) przedstawiciel kontrwywiadu MSW w Radiokomitecie, kapitan, który jeśli pamiętam nazywał się Niedźwiecki, i zapytał, dlaczego w kierownictwie Radiokomiteu powstały rozbieżności. Odpowiedziałem (rozmowa była bardzo krótka), że stanowisko prezydium reprezentuje zawsze przewodniczący Loranca, ja jestem wobec niego lojalny i nie będę pełnił swych obowiązków, gdyby Loranca zabrakło.

Ale zwolniono mnie z pracy dopiero po kilku miesiącach i to nie samego, lecz w towarzystwie przewodniczącego Loranca oraz z jego zastępcy, prezesa Polskiego Radia Stanisława Celichowskiego. Do tego ostatniego nabrałem zresztą szacunku – mimo twardości poglądów był człowiekiem przyzwoitym z dobrą AK-owską przeszłością.

A o tym, jak bardzo byłem naiwny i nie wiadomo dlaczego przez niemal półtora roku pełniłem wciąż swe funkcje, dowiedziałem się na początku lat 90. Kiedy Wiesław Górnicki likwidował archiwum prezydenta Jaruzelskiego, ofiarował mi na pamiątkę kolorowe, opatrzone wielu pieczętkami ksero dokumentu podpisanego przez szefa II Departamentu MSW, generała o pięknym, niemal biblijnym nazwisku (kiedy jako młodzieniec biegał po Makowie Podhalańskim nazywał się zupełnie inaczej). W dodatku generał ów, chyba nawet awansowany o jedną gwiazdkę, pełnił służbę na zagranicznej placówce gdzieś do początku XXI w. W podpisanej przez niego *Notatce*, nazwanej „materiałem operacyjnym” z pieczętką „tajne spec. znaczenia” i gryfem „Grupa R” (czyli dotyczącym kadry rządowej), datowanej na 14 listopada 1981 r. – a więc zaledwie po dwóch miesiącach mojej pracy w Radiokomitecie – czytamy o mnie m.in.: „znany z aktywnych kontaktów z korespondentami zachodnich agencji prasowych i personelem przedstawicielstw dyplomatycznych i konsularnych”. Było to kłamstwo, nie jedyne w tej *Notatce*. Ale jej część najważniejsza brzmiała: „Z chwilą objęcia nowego stanowiska rozpoczął realizację własnych zamierzeń programowych i kadrowych wykazując tendencję w kierunku liberalizacji polityki programowej w stosunku do „Solidarności”. Jest zdecydowanym przeciwnikiem zaostrzenia profilu dzienników telewizyjnych. W swojej działalności dąży do ograniczenia do minimum zaangażowanych programów publicystycznych, torpedując w szczególności programy podejmujące krytykę ekstremy „Solidarności”.

W tym względzie uwidaczniają się jego dążenia do sprowadzenia do roli drugorzędnej autorów tematów zaangażowanych, jak również eliminowanie kadry dziennikarskiej jednoznacznie opowiadającej się za linią polityczną partii (Bajdor, Ambroziewicz, Snarski). Jednocześnie stara się preferować dziennikarzy o co najmniej dwuznacznej postawie ideowej, stwarzając im szansę oddziaływania na sytuację społeczno-polityczną w Radiokomitecie (Wunderlich, Walter). (...)

Postawa zajmowana przez A.Kurza staje się w coraz większym stopniu czynnikiem aktywizującym elementy opozycyjne w Radiokomitecie oraz w środowiskach twórczych które chcą zwiększyć – z wrogich pozycji – swój wpływ na kształtowanie opinii publicznej w kraju.

Reasumując należy stwierdzić, że przebieg dotychczasowej pracy A.Kurza w Komitecie ds. Radia i TV nie tylko dyskredytuje go jako działacza politycznego, ale nie daje żadnej gwarancji na zapewnienie linii programowej RTV zgodnej z wytycznymi partii”.

Dlaczego po tak druzgocącej opinii gen. Jaruzelski nie zareagował wyeliminowaniem mnie z wszelkiej działalności publicznej w momencie wprowadzania stanu wojennego, chociaż Służba Bezpieczeństwa działająca oficjalnie w Radiokomitecie oraz pozostający pod bezpośrednim wpływem Komitetu Warszawskiego Komitet Zakładowy partii zamknęły przede mną bramy telewizji i w ciągu następnych tygodni potwierdzały to w jednoznacznych stanowiskach i wręcz uchwałach?

Dziś wydaje mi się, że czynnikiem podstawowym była wiedza gen Jaruzelskiego o tym, że to gen. Mirosław Milewski od początku dążył, aby Biuro Polityczne KC nie zatwierdziło mojego powołania na to stanowisko (oficjalnie powoływał premier, czyli gen. Jaruzelski). A potem zapewne wystąpiły sprzeczności w opiniach różnych tajnych służb. Wyczuwałem przecież coraz wyraźniej, jak różniły się od siebie postawy rozmaitych ludzi bezpieki i ich współpracowników w Telewizji i Radiokomitecie, a w samym wojsku oficerów Głównego Zarządu Politycznego i licznych wśród nich „zbirów marcowych” od niektórych szefów GZP, a szczególnie od ludzi Informacji Wojskowej. Nauczyłem się też odróżniać wśród pracowników służby bezpieczeństwa starych Moczarowców od ludzi Kiszczaka. Zauważyłem też bardzo szybko, kto biegnie do „radzieckich towarzyszy”. Ale moja orientacja w tych sprawach – z początku zupełnie znikoma, ponieważ nie miałem z tymi instytucjami do czynienia – pogłębiała się powoli. I w dodatku nie umiałem prowadzić intryg, a nawet jak już chciałem, wrywałem się z własnym głośnym zdaniem i opiniami.

W Telewizji Polskiej okazałem się więc naiwniakiem. Ale czasu w niej spędzonego nigdy nie pożałowałem, a niektórych wspomnień nie oddam nikomu.

ANDRZEJ KURZ

Prezesowi „Kuźnicy”

Andrzejowi Kurzowi

z okazji 80. Urodzin

dużo zdrowia, niespożytej energii

oraz aktywności twórczej

życzy

redakcja „ZDANIA”

Rada Stowarzyszenia „Kuźnica”

przyznaje

Honorową Nagrodę Kowadła

Panu Profesorowi

JANUSZOWI TAZBIROWI

w uznaniu dla Jego:

▲ *niezwykłego dorobku*

w dziedzinie historii Polski i jej kultury

▲ *odwagi badacza*

i wyrozumiałości nauczyciela

▲ *talentu pisarza i narratora*

▲ *postawy wielkiego obywatela*

i Europejczyka

Kraków, marzec 2012 r.

JÓZEF SMAGA

POLSKA – ROSJA

SPRAWY TRUDNE

Dla uzyskania prawdy o stosunkach Polski z Rosją oba rządy powołały w roku 2002 Grupę do Spraw Trudnych, która aktualny skład personalny przyjęła w 2007 roku. Po paru spotkaniach przemienne na terenie obu państw, zespół ogłasza pierwszy tom swych dociekań.¹

„Jak wiadomo nie ma znawstwa Rosji, są tylko różne stopnie ignorancji w tej dziedzinie”.² Ta wypowiedziana kilkadziesiąt lat temu opinia jednego z najwybitniejszych publicystów politycznych niewiele straciła na aktualności. Okres PRL-u, przymusowej „przyjaźni” i równie przymusowego nauczania języka rosyjskiego nie tylko nie pogłębił znajomości tego języka i wiedzy o naszym sąsiedzie, ale wręcz służył pogłębieniu stereotypów i wzajemnej niechęci. Rok 1989 stabilizuje wspomnianą ignorancję poniżej nawet tego marnego poziomu, jaki pozostał w spadku po latach uzależnienia od wschodniego hegemonu.

Jako rusycysta z kilkudziesięcioletnim stażem, niezłe zorientowany w problematyce rosyjskiej, przyznaję to ze smutkiem. Dlatego też powstanie zespołu do badań i wyjaśniania niełatwych naszych stosunków z Rosją przyjąłem z radością. Owa radość pogłębiła się jeszcze po lekturze tego potężnego i luksusowo wydanego 900-stronicowego tomu.

W komentarzach do prób nowego spojrzenia na nasze bardzo skomplikowane stosunki z sąsiadem nieodmiennie pada słowo „empatia”. Oznacza ono zdolność współodczuwania, spojrzenia na nowo na omawiane stosunki. W czasie kolejnych moich odwiedzin ZSRR i Rosji odbyłem ze swoimi znajomymi i przyjaciółmi wiele rozmów na temat bolesnego problemu Katynia. Dawniej kategorycznie zaprzeczali, iż czegoś podobnego mogli dokonać Rosjanie, ale gdy sprawa okazała się prawdziwą, wielu rozmów-

ców miało problemy ze zrozumieniem, iż można robić problem z liczbą „jakichś dwudziestu tysięcy, podczas gdy u nas, wiadomo... miliony”. Że Rosjanie, jak każdy wielki naród, ulegają magii wielkich liczb, to truizm, ale truizm ten powinniśmy traktować jak najpoważniej.

W Polsce mamy kłopot ze zrozumieniem demonstrantów z portretami Stalina i z tym, że Mauzoleum Lenina nadal istnieje na Placu Czerwonym, mimo mnóstwa literatury na temat wkładu tych postaci w budowanie ludobójczego systemu czerwonego terroru. Musimy jednak pamiętać, że takie pojęcia jak lustracja czy rozliczenie z systemem komunistycznym są w Rosji na razie nie do pomyślenia. Wielopokoleniowa tresura na wszystkich poziomach systemu wychowania i propagandy nie mogła nie pozostawić śladu.

Po klęsce puczu sierpniowego 1991 roku, wykreśleniu z konstytucji artykułu szóstego gwarantującego KPZR monopol władzy, odbył się proces puczystów oraz samej partii komunistycznej. Skończył się niczym, bowiem tak oskarżyciele, na czele z przewodniczącym Sądu Konstytucyjnego Walerijem Zorkinem, jak i oskarżeni okazali się byłymi członkami partii.

Profesor Aleksander Jakowlew, intelektualny mózg „pieriestrojki” Gorbaczowa i ojciec „nowego myślenia” był przez parę lat kierownikiem zespołu do spraw rehabilitacji ofiar czerwonego terroru od 1917 roku. W kilku wywiadach mówił o swym załamaniu po większej porcji lektury odnośnych materiałów. Był skrajnie przybity faktem częstej wymiennosci ról kata i ofiary. Stalinowskie procesy pokazowe lat 30., w których oskarżeni, prominentni członkowie gwardii leninowskiej i bohaterowie rewolucji przyznawali się do najbardziej absurdalnych zbrodni wzajemnie się obwiniając, domagając się dla siebie najwyższego wymiaru kary oraz wygłaszając panegiryki na cześć swego kata, miały również cel wychowawczy. Widok tych postaci przekonywał, iż następuje nowa epoka, w której nie istnieją już żadne zasady moralne i duchowa podmiotowość jednostki.

¹ *Białe plamy. Czarne plamy. Sprawy trudne w relacjach polsko-rosyjskich (1918-2008)*. Pod redakcją Adama Daniela Rotfelda i Anatolija W. Torkunowa, Warszawa 2010.

² *Juliusz Mieroszewski, Materiały do refleksji i zadumy*, Krakowskie Towarzystwo Wydawnicze, 1976, s. 56.

Cel ten na szczęście nie do końca został osiągnięty. W Rosji zawsze szczególne miejsce zajmowała warstwa inteligencji, rozumianej nie tyle ze względu na kryteria zawodowe, ile specyficznie pojmowane posłannictwo duchowe. Formacja duchowej opozycji, niezależności w stosunku do panującego reżimu politycznego wierna niezbywalnym prawom człowieka. Przedstawiciele tej formacji są w większości współautorami ze strony rosyjskiej omawianego tomu.

We wprowadzeniu współprzewodniczący Grupie Adam Daniel Rotfeld i Anatolij Torkunow stwierdzają, iż w wyniku Wielkiej Transformacji umożliwiającej przewzięcie podziału Europy na Wschód i Zachód oraz normalizację wzajemnych stosunków „Polska i Rosja podjęły wspólny wysiłek, żeby ze wzajemnych stosunków usunąć nagromadzone zwąły kłamstwa i fałszu [...]. Fakty historyczne są niepodważalne. Ich interpretacja może być jednak różna. Narody różnie oceniają te same zdarzenia”.³

Trudno systematycznie komentować wszystkie po kolei zagadnienia tego ogromnego tomu, postaram się więc zwracać uwagę tylko na najważniejsze, w moim odczuciu, kwestie.

Główny problem pierwszego bloku (*Początki*, lata 1917-1921), który komentują z polskiej strony państwo Daria i Tomasz Nałęczowie, z rosyjskiej Giennadij Matwiejew, to wojna 1920 roku. Niezwykle skomplikowany problem odradzania się Polski na wschodzie, kwestia granic, stosunki z bolszewikami i „białymi” generałami. W czasie wojny z Polską pierwsi porzucili proletariacką retorykę, apelując do uczuć patriotycznych Rosjan, czego dowodem jest „zmobilizowanie” niedobitków armii carskiej, w tym najbardziej znanego z nich generała Aleksieja Brusilowa.

Przelicytowali „białych”, którzy nie mogli odstąpić od ideału Rosji *jedynoj i niedielimoj*. Już na emigracji ich najbardziej znany przywódca, generał Denikin winowajcę swej klęski będzie upatrywał w Piłsudskim. I słusznie, bo gdyby w najbardziej krytycznym momencie dla Armii Czerwonej w październiku 1919 wsparł on Denikina, klęska bolszewików byłaby nieuchronna. Piłsudski nie miał innego wyjścia wobec nieustępliwości „białych” w sprawie granic, ich przyznania Polakom ziem jedynie w granicach etnicznych.

Tymczasem Lenin i towarzysze, mimo odwołania się do tak niedawno wyklętych wartości patriotycznych nie porzucili idei „rewolucji” światowej, albowiem październik 1917 nie był dla nich wydarzeniem rosyjskim, stąd marzenie nie tyle nawet o „eksporcie” rewolucji na bagnietach, co odwołania się do solidarności wszystkich proletariatusy. „Wszyscy wiedzą – zapewniał pod koniec listopada 1919 – że rewolucja socjalna dojrzewa w Europie Zachodniej nie tylko z każdym dniem, lecz z każdą godziną”.⁴ „Powinniśmy – zapewniał dwa miesiące później, gdy konflikt z naszym krajem stawał się nieuchronny – natychmiast zwrócić się do demokracji Polski i wyjaśnić jej prawdziwy stan rzeczy. Znamy doskonale ten nasz środek, który działa jak najbardziej skutecznie w tym sensie, że wywołuje wśród nich rozkład”.⁵ Niestety, żaden „rozkład” nie nastąpił, a Armia

Czerwona nie została powitana u nas z radością jako wyzwolicielka z jarzma wyzysku klasowego.

Kto zainicjował wojnę? Polacy stwierdzają, iż „w marcu 1920 dowództwo Armii Czerwonej podjęło decyzję o przygotowaniu wielkiej ofensywy przeciwko Polsce” (s. 35), w wyniku czego Piłsudski zdecydował o uderzeniu uprzedzającym. Tymczasem G. Matwiejew sądzi, iż faktycznym początkiem trwających 20 miesięcy działań wojennych jest atak wojsk polskich na bolszewickie 13 lutego 1919 r. w okolicy Baranowicz, gdy Polacy wzięli do niewoli 80 czerwonoarmistów (s. 65).

Gdy oficjalnie potwierdzony został fakt dokonania mordu katyńskiego przez Stalina i NKWD, w Rosji pojawiły się publikacje kwestionujące odpowiedzialność ZSRR z ten mord.⁶ Z kolei my przeciwstawialiśmy książkę toruńskiego historyka Z. Karpusa⁷ uważając, iż ona kwestię jeńców 1918-1924 wyczerpuje.

Zarówno polska, jak i rosyjska strona podają dostępne dane na temat liczby jeńców po obu stronach. Reprezentant strony rosyjskiej kwestionuje jednak rzetelność danych podawanych przez Karpusa, nadto w wywiadzie opublikowanym po ukazaniu się *Białych plam*⁸ na temat radzieckich ofiar śmiertelnych zauważa: „Zgodnie z postanowieniami traktatu ryskiego, obie strony miały przekazać takie listy, jednak Polacy tego nie uczynili”.⁹

Piłsudski nie miał szczęścia do obiektywnej oceny swych sukcesów wojskowych. Jedni potraktowali zwycięstwo 1920 roku jako interwencję Matki Bożej, „cud nad Wisłą”, endecja podejrzewała go, że „dogadał się” z bolszewikami.¹⁰ W ZSRR i w Rosji po upadku komunizmu odmawiano mu laurów zwycięzcy, przypisując je francuskiej misji wojskowej, która przybyła do Polski nie odgrywając jednakże istotniejszej roli. Tej tradycji do pewnego stopnia zdaje się ulegać nawet tak rzetelny badacz, jak G. Matwiejew, który „polsko-francuskiemu dowództwu wojskowemu” (s.75) przypisuje udział w opracowaniu operacji sierpniowej 1920 roku.

I tak jest to zaledwie śladowa pozostałość popularnej w historiografii rosyjskiej o zwycięstwie nad Wisłą wersji. Oto całkiem niedawno w dziele historyków uniwersytetu sanktpetersburskiego możemy przeczytać, iż „uderzenie polskich wojsk pod dowództwem generała francuskiego M. Weyganda z 19 sierpnia na flankę atakujących oddziałów frontu Zachodniego przekształciło bliskie zwycięstwo w bezwarunkową klęskę”. „Bardzo dokładnie – czytamy dalej na tej samej stronie sytuację scharakteryzował L. D. Trocki [...] – mówiący o „kierowanej przez Francuzów kontrrewolucyjnej pięści, która uderzyła nas celnie i sprytnie, w rezultacie czego powstała jedna z największych katastrof, jakie kiedykolwiek doznaliśmy na naszych frontach wojennych”.¹¹ Nazwisko Piłsudskiego nie pada tu ani razu!

⁶ Głównie J. Muchin, *Katyński dietietiw*, Moskwa 1995.

⁷ *Jeńcy i internowani rosyjscy i ukraińscy na terenie Polski w latach 1918-1924*, Toruń 1991.

⁸ *Polacy, poszukajcie dokumentów*. Z prof. Giennadijem Matwiejewem, rosyjskim historykiem, rozmawia Tomasz Kułakowski. „Nowa Europa Wschodnia”, 212, nr 1.

⁹ *iw.*, s. 116.

¹⁰ Przy takim zdaniu upiera się nawet Aleksander Sołżenicyn... Zob. W. Woroszyński, *Pozwólcie nam się cieszyć*, Warszawa 1996, s. 251.

¹¹ I. S. Rałkowskij, M. W. Chodiakow, *Istoria Sowietskoj Rossiji*, Sankt-Pietierburg 1999 (I), s. 77.

³ *Białe plamy...*, s. 11. W kolejnych przytoczeniach z tego tomu pomijam tytuły poszczególnych tekstów podając tylko strony.

⁴ Wł. Lenin, *Dzieła*, Warszawa 1957, t. 30, s. 145.

⁵ *Tamże*, s. 329.

Kolejne lata w naszych stosunkach przedstawiają Wojciech Materski oraz Aleksander Rewiak. Okres ten jest pod znakiem systematycznego ignorowania przez stronę rosyjską zobowiązań przyjętych przez nią w traktacie ryskim, szczególnie dotyczących kwestii gospodarczych. Dopiero rząd Grabskiego uznał, iż dotychczasowy impas w stosunkach bilateralnych, utrzymywanie niskiej wymiany gospodarczej bardziej szkodzi Polsce aniżeli ZSRR.

Priorytetem dla polskiej polityki zagranicznej staje się zapewnienie jej bezpieczeństwa, głównie w wymiarze stosunków dwustronnych. Efektem zabiegów naszej dyplomacji było podpisanie w Moskwie 23 grudnia 1932 r. traktatu pokojowego. Nie do końca rozpoznano charakter radzieckiego systemu, skoro taką wiarę dawano zawartemu w tekście sformułowaniu, iż „każde naruszenie terytorium polskiego będzie »aktem gwałtu«”, sądząc, iż oznacza to uznanie integralności terytorialnej II RP. Podpisywane przez Moskwę podobne umowy i konwencje miały z punktu widzenia ideologii marksistowskiej charakter włącznie taktyczny.

W zgodzie z wyznawaną przez Warszawę filozofią „równych odległości”, podejmowane są zabiegi o podobny traktat pokojowy z Niemcami. Deklaracja polsko-niemiecka została zawarta w 1934 roku. „Pakt z ZSRR oraz deklaracja z Niemcami – chyba nader optymistycznie wyrokuje W. Materski – tworzyły razem mocny punkt oparcia dla kontynuowania polityki skutecznego przeciwstawiania się uprzedmiotowieniu Polski przez dyktariat europejski” (s.100).

Po śmierci Piłsudskiego w 1935 roku pogarsza się zarówno wewnętrzna, jak i zewnętrzna sytuacja Polski. Złe lub wręcz fatalne są stosunki z Czechosłowacją, Litwą, pozostałymi republikami bałtyckimi, pogarszają się z przyjazną nam dotychczas Rumunią. Wreszcie coraz bardziej napięta kwestia Wolnego Miasta Gdańska. I nie lepsza sytuacja na wschodzie. Od roku 1933 intensyfikuje się w ZSRR akcja represji i mordów, dokonywanych na mniejszości polskiej. „Pierwszy naród ukarany”, tak badacz rosyjski M. Iwanow, określił rolę Polaków w ZSRR (s. 105), akcentując ich pierwszeństwo w rozpoczętej właśnie kampanii stalinowskiego terroru wobec mniejszości etnicznych. Przeprowadzane są masowe wywózki Polaków do Kazachstanu i na Sybir, zlikwidowano wszystkie polskie jednostki terytorialne zamieszkałe przez Polaków na Białorusi i Ukrainie.

A. Rewiak zauważa, iż kiepskie stosunki polsko-radzieckie są determinowane resentymentami historycznymi. „Wydaje się – notuje nie bez racji historyk – że tocząca się w ostatnich latach ożywiona dyskusja rosyjskich i polskich historyków na temat spornych kwestii dotyczących wspólnej historii obu krajów napotyka stale na trudności z gatunku właśnie sentymentalnych i historycznych” (s. 109). Zdaje się on, przynajmniej częściowo, podzielać fobie radzieckiej dyplomacji warunkowane osławionym „kapitalistycznym okrążeniem”, choć przyznaje, iż zaniepokojenie to przybierało nieraz „natrętne, paranooidalne formy” (s.112). Dodam, iż wewnątrz kraju bezustannie podsycana jest histeria „czujności” i szpiegomanii. Uczony zarzuca też naszej stronie, cytując obficie depeche dyplomatów z Warszawy, iż zignorowała radziecką, skierowaną również

do innych państw, propozycję z 1922 roku o zawarciu porozumienia o ograniczeniu zbrojeń. Dalej, w 1926 roku Polska po otrzymaniu propozycji o podpisaniu traktatu o nieagresji, „postawiła warunki, które – według strony radzieckiej – zostały celowo sformułowane tak, aby były nie do przyjęcia” (s. 112).

I interesujący fakt, nieco inaczej pokazujący nasze nieproste stosunki tego czasu. Bardzo krytycznie nastawiony wobec polityki Warszawy ambasador radziecki Jakow Dawtian niezwykle sympatycznie opisuje stosunek naszego społeczeństwa wobec kultury radzieckiej. W 1935 roku odnotowywał: „W żadnym kraju nie pokazuje się tylu radzieckich filmów, ile w Polsce” (s. 113). Podobnie z entuzjazmem, z jakim spotykali się tu rosyjscy artyści operowi czy pianiści. Pozostaje jednak w sumie zwolennikiem stanowiska swojego rządu notując uszczypliwe uwagi na temat polskich dyplomatów (J. Becka, J. Łukasiewicz, J. Szembeka), „zygzaków” naszej dyplomacji, w szczególności jej intryg w obszarze stosunków z Niemcami. Na końcu Rewiak przyznaje jednak, iż grubą przesadą, jeśli – dodam na marginesie – nie kłamstwem, były posądzenia Polski, iż wchodzi w jakieś tajne antyradzieckie porozumienia z Niemcami. Przyznaje, iż w tym „radziecka dyplomacja się myliła” (s. 137). Tym niemniej samousprawiedliwiając się zaznacza: „W historii ważna jest przecież nie tylko znajomość obiektywnego stanu rzeczy, lecz także jego subiektywnego odbioru przez osoby, które podejmują rozstrzygające decyzje” (jw.).

II wojna światowa, jej przyczyny w obszarze stosunków Polska–ZSRR przedstawiają Stawomir Dębski z polskiej i Michaił Narinskij z rosyjskiej. Kluczowym problemem tego okresu staje się kwestia porządku wersalskiego. We wstępie polski autor pisze: „Po upływie ponad 70 lat od wybuchu II wojny światowej bardzo trudno udzielić nowej, oryginalnej odpowiedzi na pytanie, jak to się stało, że 20 lat po zakończeniu jednej krwawej rzezi [...] w Europie wybuchła kolejna, jeszcze bardziej totalna, krwawa i przerażająca, jeszcze bardziej powszechna wojna” (s. 141).

Pozostaje zatem omówienie znanych faktów, a więc biernej postawy Francji i Wielkiej Brytanii wobec remilitaryzacji Nadrenii, co w konsekwencji doprowadzi do wybuchu wojny. W kwestii Wersalu nasi sąsiedzi są zgodni. Hitler nie przestaje mówić o „wersalskiej krzywdzie”, a traktat „bestialskim i nikczemnym” wielokrotnie określa Lenin, podobnie sędzić będzie i jego następcy.

Zrodzona na podstawie decyzji wersalskich II RP została postawiona w niezwykle trudnej sytuacji. „Konferencja w Monachium – pisze Dębski – była ostatnią udaną próbą modyfikacji systemu wersalskiego” (s. 153), przez Hitlera potraktowaną jednak jako wstęp do dalszego kwestionowania granic w Europie. Niestety, wzięta w tym udział również Polska dokonując aneksji Zaolzia, co nb. bardzo systematycznie przypominają nam Rosjanie na dowód, iż wcale nie byliśmy tuż przed wrześniem 1939 tacy niewinni. „W rezultacie prowadzenia tej polityki Polska znalazła się w izolacji, co skomplikowało jej położenie, gdy już trzy tygodnie później sama znalazła się pod presją żądań niemieckich” (s. 157).

Stalin nie ukrywał wrogiego stosunku do Polski, z czym szczerze podzielił się z G. Dymitrowem: „Zniszczenie tego państwa oznaczałoby o jedno burżuazyjne, faszystowskie państwo mniej” (s. 174). To preludium tragicznych dla Polski dat wrześniowych 1939 roku.

Michaił Narinskij inaczej widzi wydarzenia, akcentując np. „strategię Polski, polegającą na wykorzystaniu w jej interesie politycznym kryzysu porządku wersalskiego” (s. 179), jak ultimatum Warszawy pod adresem Litwy z żądaniem nawiązania stosunków dyplomatycznych i ekonomicznych. To upokorzenie Wilna odłoży się trwałym śladem na naszych wzajemnych stosunkach. Podobne konsekwencje będzie mieć polska nota z 30 września 1938 roku do rządu Czechosłowacji w sprawie Zaolzia (s. 187).

ZSRR był skłonny do współdziałania z Francją i Wielką Brytanią w budowie antyniemieckiego frontu, co było efektem wysiłków wybitnego dyplomaty ministra spraw zagranicznych (narkomindieła) Maksima Litwinowa. Sprawa rozbiła się jednakże wobec oporu Polski nie akceptującej radzieckiego warunku przepuszczenia przez jej terytorium (jak Litwy i Rumunii) oddziałów Armii Czerwonej, co oznaczałoby faktycznie okupację części naszego terytorium. „Polscy działacze – przyznaje Narinskij – nie wierzyli ani w dobrą wolę przywódców radzieckich, ani w ich pragnienie efektywnego udziału w działaniach wojennych przeciwko Niemcom”. (s. 209).

Wybierając ostatecznie zbliżenie z Niemcami Stalin chciał uczynić dodatkowy gest wobec hitlerowskich antysemitów usuwając ze stanowiska urodzonego w Białymstoku Żyda Litwinowa, czyniąc jego następcą bezwolnego wykonawcę swej woli, Wiaczesława Mołotowa. Te personalne zmiany mają przedłużenie w pakcie Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia oraz podziału stref wpływów w Europie Wschodniej, co – konkluduje rosyjski badacz – [...] było korzystne dla Hitlera i pozwoliło mu rozpocząć II wojnę światową w pomyślnych dla niego warunkach” (s. 216). Droga do 1 i 17 września 1939 r. została otwarta.

Lata 1939-1941 komentują Albin Głowacki oraz Natalja Lebediewa. Przygotowaniem do inwazji Armii Czerwonej na walczącą z Niemcami Polskę była kampania w prasie radzieckiej mówiąca o niesłychanych cierpieniach „ukraińskich i białoruskich braci”, doznawanych ze strony faszystowskiej Polski. Bezpośrednim uzasadnieniem napaści miało być stwierdzenie, iż Polska przestała istnieć. Międzynarodówce komunistycznej wydano polecenie przypominać, iż „międzynarodowy proletariatus nie może w żadnym wypadku bronić faszystowskiej Polski, uciskającej inne narodowości, która odrzuciła pomoc Związku Radzieckiego” (s. 220).

Dowodem przyjaznego współdziałania agresorów była wspólna wrześniowa defilada w Brześciu nad Bugiem oraz zawarty 28 września Układ o przyjaźni i granicy między ZSRR a Niemcami, którego ideą było m.in. ostateczne wymazanie Polski z mapy oraz stworzenie „mocnych podstaw trwałego pokoju w Europie”. Opracowano i wdrożono procedury aneksji zajętych przez ZSRR po 17 września 1939 r. terytoriów.

Warto kolejny raz przywołać barwne słowa Wiaczesława Mołotowa na mającej na celu ostateczną inkorporację do ZSRR zagrabionych terytoriów sesji Rady Najwyższej 31 X–2 XI 1939 r. Mówca wyraził radość, iż w wyniku współdziałania zaprzyjaźnionych armii zniknął problem Polski, tego „pokracznego tworu (*urodliwowo diétiszczaja*) traktatu wersalskiego”.

Oprócz innych udręk, jakie spotkały ludność polską na zajętych terenach, była przeprowadzona na wiosnę 1940 roku „paszportyzacja”, czyli uznanie ich za obywateli ZSRR połączone z wręczeniem im dowodu tożsamości (paszportu wewnętrznego). Ludzie, którzy opierali się temu przymusowi (to przypadek poety Władysława Broniewskiego), trafiali do więzień.

I uroki ustroju, który zaczęto wdrażać na „wyzwolonych” terenach. Od września 1939 do 1 grudnia 1940 roku masowe aresztowania dotknęły 407 000 osób (s. 241). Z pogwałceniem norm prawa międzynarodowego, które nawet Niemcy respektowali, postępowano z polskimi jeńcami traktowanymi jako przestępcy pospolici i przekazaniymi w gestię policji politycznej, NKWD. Tu zaczyna się wielokrotnie omawiana męczeńska droga tych ludzi znaczonego takimi nazwami, jak Starobielsk, Kalinin (obecnie Kozielsk), Twer. Armia Czerwona przekazała NKWD około 125 000 jeńców polskich (s. 243).

Do tego dochodzą przesiedlenia i deportacje. Od 10 lutego 1940 r. doodległych terenów Rosji, szczególnie Kazachstanu, w bydłowych wagonach przewieziono 52 tysiące osób. Później były dalsze akcje, którym oprócz wywozek osób towarzyszy totalna grabież ich mienia. Z faktu obywatelstwa ZSRR wynikał przymus służenia w Armii Czerwonej, którym podlegali mężczyźni od lat 18 do 50.

Dokonuje się odgórny przewrót w sferze „nadbudowy”, intensywna indoktrynacja ideologiczna, przebudowa szkolnictwa i oświaty według systemu radzieckiego, ograniczanie roli kleru i Kościoła katolickiego.

Natalja Lebediewa, która ze strony rosyjskiej „obsługuje” ten fragment czasowy, to jedna z najwspanialszych postaci zasłużonych w walce o prawdę i odtworzenie wydarzeń lat 1939-1941 w ich autentycznej postaci. Przypomina na wstępie, iż początkowy okres II wojny był do połowy lat 80. w nauce radzieckiej albo przemilczany, albo zakłamywany w duchu zachwalania przedwojennej przepelnionej zamiarami pokojowymi polityki ZSRR i traktowania Anglii, Francji i USA jako głównych podżegaczy wojennych. Okres po XX Zjeździe KPZR przynosi lekką zmianę, ale era breżniewizmu stabilizuje tradycyjne kłamstwo.

Uczona przypomina, iż od 1 września 1939 r. datuje się ścisła i wielostronna współpraca ZSRR i Niemiec w zakresie logistyki lotniczej i morskiej, a w polityce wewnętrznej ZSRR utrwała się szkalujący Polskę obraz jako państwa faszystowskiego, piekło ucisku społecznego i nędzy mas pracujących.

Wobec pogłosek o kapitulacji Warszawy Moskwa zapewnia sojusznika, iż jest gotowa do przekroczenia granicy polskiej, podpisując stosowne dokumenty wojskowe. Ponieważ Niemcy odrzucili projekt radzieckiego uzasadnienia agresji, rzekomą troską obrony narodu ukraińskiego i białoruskiego przed Niemcami, przyjęto wspólną wersję, że oto wobec całkowitego rozpadu państwa polskiego, konieczne jest przywrócenie na tym terytorium ładu i porządku.

17 września ranniem „porządek” zaczyna być przywracany. Tymczasem, jeszcze do 16 września – przypomina autorka – „broniły się Warszawa i Modlin, trwała bitwa nad Bzurą i obrona Wybrzeża, toczyły się zażarte walki na Lubelszczyźnie, bronił się Lwów. Czynniono kroki w celu wzmocnienia tzw. przedmościa rumuńskiego. Wojsko polskie liczyło w tym czasie około 600 000 żołnierzy, z których 250 000 nadal walczyło z Niemcami” (s. 275).

Autorka cytuje przy tej okazji opinię wysokiego rangą radzieckiego generała Nikołaja Watutina o potężniejszym oporze sił polskich i planach utworzenia „strefy zaporowej na linii Pińsk–Brześć Litewski” (s. 276). Udaremnił to radziecki nóż w plecy. „Ogromna potęga wojskowa RKKA – podkreśla N. Lebediewa – zwała się na niemal bezbronnych ludzi, na oddziały wyczerpane walkami z Niemcami i do tego jeszcze – na rozkaz Naczelnego Wodza – niestawiające oporu” (s. 287). Tekst Lebediewej oparty jest na obfitych przytoczeniach z rosyjskich archiwów, rejestrujących szczegółowo operacje Armii Czerwonej (dokładniej: RKKA, czyli Rabocze-Krestjanskoj Krasnoj Armii) w zakresie harmonizacji jej poczynań z jednostkami Wehrmachtu. I wspólne defilady np. w Grodnie, Brześciu i Pińsku.

Współpraca z Niemcami jest ze strony radzieckiej pełna uniżoności, nawet serwilizmu. Dostarcza się przysłannemu wrogowi ogromne ilości surowców strategicznych, m.in. 300 000 ton ropy naftowej i żywności. Transporty w stronę Niemiec szły nawet w dniu rozpoczęcia wojny niemiecko-radzieckiej. W powieści G. Baklanowa *Czerwiec 41* opisana jest radość radzieckich artylerzystów, gdy w pierwszym dniu wojny udało im się trafić własny pociąg załadowany ropą dostarczaną Niemcom.

Maksymalna jest również pomoc radziecka dla Niemców toczących wojnę z Wielką Brytanią. Po kapitulacji Francji i stanie wojny z Anglią towarzysz Stalin oświadcza: to „nie Niemcy napadły na Francję i Anglię, lecz Francja i Anglia napadły na Niemcy, biorąc na siebie odpowiedzialność za obecną wojnę” (s. 286).

Tragicznie zmarły w katastrofie z 10 kwietnia 2010 r. sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa (OPWiM) Andrzej Przewoźnik, osoba najbardziej zasłużona dla upamiętnienia polskich ofiar na Wschodzie, razem z Lebediewą śledzą proces dochodzenia do prawdy katyńskiej. Przewoźnik przekazuje, co sam objaśnia w przypisie, „opis faktograficzny zbrodni katyńskiej [...] oraz decyzje i działania, które zostały (lub nie zostały) podjęte dla wyjaśnienia nieznanych dotąd wątków sprawy katyńskiej, upamiętnienia ofiar zbrodni katyńskiej oraz polityczno-moralnego osądu sprawców” (s. 299). Krótko referuje okoliczności zbrodni. Żołnierze polscy, którzy trafili do niewoli sowieckiej mimo braku formalnego wypowiedzenia wojny, byli jeńcami wojennymi. Zginęli na mocy decyzji politbiura partii bolszewickiej z dnia 5 marca 1940 roku, bo według Ł. Berii byli „zażartkami i nieprzejednanymi wrogami władzy sowieckiej” (s. 300).

Przewoźnik rejestruje poszczególne etapy przełomu w tej sprawie. A więc komunikat agencji TASS

z 13 kwietnia 1990 roku, według którego zbrodnia ta stanowi „jedno z najcięższych przestępstw stalinizmu” (s. 303). Otwiera to możliwość poszukiwań innych miejsc zbrodni, śledzenia tropów i poszlak, wskutek czego pojawiają się kolejne miejsca grobów w Miednoje i Charkowie. W tych poszukiwaniach coraz aktywniejszy jest udział Rosjan i Ukraińców, też i w o wiele większym stopniu dotkniętych zbrodniczą działalnością stalinizmu. Piękną kartę w tych staraniach zapisuje Stowarzyszenie Memoriał.

Do Polski docierają pierwsze teczki, które generałowi Wojciechowi Jaruzelskiemu wręcza Michaił Gorbaczow. Ważną rolę odegrał również prezydent Borys Jelcyn. 14 X 1992 główny archiwista Federacji Rosyjskiej, prof. Rudolf Pichoja przekazuje prezydentowi Lechowi Wałęsie kopie najściślej dotąd chronionych dokumentów, dostępnych tylko sekretarzom generalnym KPZR. Doniosłym wydarzeniem było ukazanie się w 1994 roku książki prof. Natalji Lebediewej *Katyni: Priestuplenije protiv czetowiecznosti*, po raz pierwszy zbrodnia została w niej określona „ludobójstwem”. I inne publikacje zbiorowe z udziałem autorek występujących w omawianym tomie, Inessy Jaźborowskiej i Walentyny Parsadanowej.

Równocześnie z poszukiwaniami terenowymi trwają też intensywne i systematyczne kwerendy archiwalne, pojawiają się świadectwa osób ocalałych z akcji terrorystycznych lat 30. i późniejszych. Poszerza się wiedza o zbrodni w wyniku przeprowadzanych ekshumacji. Odkrywa się kolejne mogiły zbiorowe, powstaje konieczność regulacji prawnych dla upamiętnienia odkrytych ofiar.

W wyniku wieloletnich zabiegów w sześćdziesięciolecie zbrodni otwarte zostały i poświęcone cmentarze wojenne w Charkowie, w Katyniu i w Miednoje.

Nie udało się dotychczas ustalić losu Polaków przetrzymywanych na terenach Ukrainy i Białorusi. Bez odzewu pozostały starania władz polskich wobec władz białoruskich, dotyczące w szczególności miejsca spoczynku wielu ofiar w Kuropatach koło Mińska. I śledztwo katyńskie mające ustalić i wyjaśnić zbrodnię w duchu konwencji o zapobieganiu i karaniu zbrodni ludobójstwa, uchwalonej przez ONZ 9 XII 1948 r. oraz konwencji o nieprzedawnianiu zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości, uchwalonej 26 XI 1968 roku, ratyfikowanych przez władze Polski i ZSRR.

Mimo lat starań, przedstawiania stronie rosyjskiej dokładnej dokumentacji zbrodni Prokuratura Wojskowa Federacji Rosyjskiej umorzyła śledztwo we wrześniu 2004 roku, 5 lat później uznając, iż zbrodnia katyńska jako przestępstwo pospolite uległa przedawnieniu. Ten wyrok prawnicy rodzin ofiar zbrodni zaskarżyli do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu. Członek Memoriału Alosza Gurjanow akcentuje, iż „zbrodnia katyńska jest przede wszystkim naszym wewnętrznym problemem, a dopiero potem kwestią stosunków rosyjsko-polskich” (s. 330).

Z pojawieniem się tego tomu oraz powstaniem polsko-rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych A. Przewoźnik wiązał nadzieje na przełamanie impasu w kwestii katyńskiej i rozwiązania problemów z nią związanych. Natalja Lebediewa z kolei dąży do ustalenia inicjatorów i wykonawców zbrodni oraz wszystkich okolicz-

ności jej towarzyszących. Między innymi fakty wielokrotnie podnoszone w tym tomie, dotyczące wypowiedzi Stalina, współdziałania radziecko-niemieckiego w napaści na Polskę, aresztowaniach obywateli polskich po 17 września 1939 r. Świetnie zorientowana w problematyce przedstawia działalność służby bezpieczeństwa na terenie internowania polskich żołnierzy i oficerów, organizacji obozów w Kozielsku, Ostaszkowie.

Wojciech Materski z naszej oraz Walentina Parsadanowa z rosyjskiej strony to dwugłos na temat wydarzeń czasu wojny 1941–1945. Najpierw był oczywiście 17 września 1939 r., gdy Związek Radziecki współdziałając z innym agresorem napadł na Polskę zajmując tereny „zachodniej Ukrainy” i „zachodniej Białorusi”. Czerwiec 1941 r. przekreśla sojusz radziecko-niemiecki, a Polska znalazła się w jednym obozie z Moskwą. Według Majerskiego „ówczesna koniunktura nie została jednakże przez władze RP właściwie wykorzystana” (s. 363). Przejęcie po Stalingradzie inicjatywy na froncie przez Armię Czerwoną siłą rzeczy marginalizowało naszą rolę w zabiegach dyplomatycznych o powrót terytorialnego *status quo*, bowiem Związek Radziecki dźwigając główny ciężar walki z Niemcami stał się najważniejszym sojusznikiem aliantów zachodnich. Prezydent USA FD. Roosevelt powiedział z tej okazji, iż „sowieckie sukcesy frontowe nie stwarzają dobrego tła dla podnoszenia spraw obywatelstwa i powojennego rozgraniczenia polsko-sowieckiego” (s. 367).

Do tego doszła niekompetencja generała Sikorskiego i jego zgoda, by przełożyć na okres powojenny dyskusję na temat zmian terytorialnych wynikających z traktatu Ribbentrop-Mołotow, jak i traktatu o przyjaźni między Rzeszą i Moskwą z 28 IX 39. „Uchylenie się wówczas od podjęcia dyskusji na temat wzajemnego rozgraniczenia (granic – JS) – pisze Materski – uznać należy za jeden z największych błędów Sikorskiego jako premiera” (s. 365). To nie koniec porażek. Do nich należy zgoda ambasady polskiej w Moskwie uznania obywateli RP pochodzenia żydowskiego, w ogóle wszystkich narodowości niepolskich za obywateli ZSRR.

I kłopoty związane z powołaniem na terenie ZSRR Armii Polskiej, bowiem Moskwa przyznawała oficjalnie, iż przetrzymuje w niewoli ponad 130 tysięcy polskich żołnierzy i oficerów. Do tego dochodziły tysiące Polaków wcielonych do Armii Czerwonej lub zesłanych w głąb terytorium ZSRR. Powołanie Armii Polskiej przewidywał artykuł 4 układu Sikorski-Majski z 14 sierpnia 1941 r. Rekrutacja armii, na czele której stanął generał Anders, przebiegała z wielkimi trudnościami. Mimo to pierwsza jej ewakuacja na Bliski Wschód odbyła się na przełomie marca-kwietnia 1942 r., druga w sierpniu tegoż roku.

Poważnego znaczenia nabiera „lewicowa alternatywa” w kwestii polskiej w postaci Związku Patriotów Polskich i armii kościuszkowskiej, rekrutowanej z Polaków, którzy nie opuścili ZSRR z armią Andersa. Pierwszy raz przystąpiła do walki z Niemcami w październiku 1943 r. koło wsi Lenino na Białorusi. Żle dowodzona i bez odpowiedniego wsparcia utraciła w tej bitwie jedną czwartą swego stanu osobowego.

Inicjatorzy Powstania Warszawskiego liczyli na szybkie wkroczenie do stolicy oddziałów rosyjskich. I mimo, iż w przeddzień godziny „W” z Moskwy kilkakrotnie nadawano apel radiostacji im. Tadeusza Kościuszki: „Ludu Warszawy! [...] Uderzcie na Niemców. Pomóżcie Armii Czerwonej” (s. 380), Stalin ani myślał o udzieleniu pomocy Warszawie, powstanie potraktował jako „nierozsądną żalosną awanturę”, a jego dowództwo jako „przestępczą klikę” (s. 381).

Parsadanowa inaczej rozkłada akcenty uzupełniając je ważnymi okolicznościami. Zauważa, iż przyczyną niedotrzymania zobowiązań pełnego uzbrojenia armii Andersa były braki we własnym arsenale wobec strat na froncie nie tylko w sile żywej, ale broni strzeleckiej i pancernej. „Dodajmy – zauważa autorka – iż sojusznicy zachodni, którzy zobowiązali się uzbroić Polaków, nie przysłali w ciągu roku ani jednego transportu z bronią dla wojska polskiego w ZSRR. Tak więc „sprawa uzbrojenia coraz bardziej przekształcała się z kwestii organizacyjnej w rozbieżności polityczne i była wykorzystywana przez stronę polską jako uzasadnienie jej decyzji o wyprowadzeniu armii z ZSRR” (s. 392). Uczona rosyjska ocenia, iż decyzja o wyprowadzeniu Armii Polskiej była największym błędem Polaków w okresie wojny. Powołując się na pracę A. Noskovej stwierdza, iż zdali sobie oni sprawę z tego błędu, a ambasador polski w Moskwie Tadeusz Romer zaproponował w rozmowie ze Stalinem, by przerzucić z powrotem armię do ZSRR, ale strona radziecka nie wyraziła na to zgody (s. 394).

I wreszcie brzemienno dla stosunków dwustronnych Katyń. „Można jednak stwierdzić – zauważa uczona – że doprowadzenie przez strony do zerwania stosunków miało negatywne skutki dla rządu polskiego” (s. 395). Autorka negatywnie widzi też niedocenywanie w polskich ocenach walk berlingowców nadmienając, iż kampanię tę podchwyciły „polskie siły reakcyjne” (sic!). „Niestety, nie cichnie ona do dziś. Żołnierzom, którzy w bojach donieśli polskie sztandary do Warszawy i Berlina, przeciwstawia się zdobycie klasztoru w dalekich od Polski Włoszech – niemal jedyną zasługę bojową jednostek pod dowództwem generała Andersa, które dotarły za ledwie do Bolonii” (s. 400).

I różna ocena powstania w Warszawie, niezupełnie odbiegająca zresztą od wielu coraz częstszych ocen polskich historyków i publicystów ostatnich lat. Czy Stalin mógł udzielić powstaniu pomocy. „Dokumenty świadczą, że położenie armii (Czerwonej – JS) pod Warszawą w sierpniu i wrześniu 1944 było bardzo trudne. Jej awangarda pancerna była rozbita, wojska radzieckie musiały się cofnąć, poniosły one wielkie straty w ludziach (niemal połowa składu osobowego i w sprzęcie) [...] Natarcie mogło być kontynuowane dopiero we wrześniu” (s. 404). I konkluzja autorki: „Powinniśmy stwierdzić, że odpowiedzialność za śmierć 200 000 warszawiaków ponoszą w pierwszej kolejności polscy politycy, którzy zaplanowali powstanie i wezwali Polaków do udziału w nim bez uzgodnienia swojej decyzji z dowództwem radzieckim” (s. 405).

Potępia również autorka ZSRR za bezprawne skazanie przez Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego z 19-21 czerwca 1945 r. przywódców polskiego państwa podziemnego, ponieważ „Ta akcja [...] wykluczyła jakąkolwiek możliwość omówienia kwestii uczest-

nictwa przywódców tego podziemia w przyszłym rządzie koalicyjnym” (s. 408). Podobnie krytycznie ocenia demontaż niemieckich fabryk i ich wywóz do ZSRR z ziem oficjalnie przekazanych Polsce. I, niezależnie od wątpliwych metod jej przeprowadzenia, pozytywnie wypada jej ocena deportacji Niemców z ziem zachodnich. Warte zastanowienia jest też stawiane przez nią pytanie retoryczne: „czy przetrwałaby wielonarodowościowa Polska w starych lub w nowych granicach, czy nie powstałaby sytuacja podobna do jugosłowiańskiej?” (s. 418).

Okres 1945-1955 charakteryzują Włodzimierz Borodziej oraz Albina Noskowa. A więc, jak ujmuje to Polak, nastąpiło nie wymagające zbyt szczegółowych komentarzy i powszechnie znane – *Zwycięstwo i zniewolenie*, a tytuł ten w swoim tekście powtarza i A. Noskowa. W okresie przejściowym, lata 1945-1948, dokonuje się dostosowywanie sytuacji Polski do wymogów ustrojowych ZSRR, długotrwałe też, polityczne i ekonomiczne były skutki wymuszenia na Polsce rezygnacji z planu Marshalla.

Borodziej wskazuje na coraz intensywniejszą ingerencję Moskwy w nasze sprawy wewnętrzne, między innymi za A. Paczkowskim, sugeruje, iż fałszerstw wyników referendum 1946 dokonywała przysłana z Moskwy misja pułkownika o znaczącym nazwisku Pałkin (s. 430). Bardziej systematycznej pracy w tej i innych dziedzinach dokonuje się w organizacjach organów bezpieczeństwa, zatrudnianiu tam specjalistów radzieckich. Ta „bratnia pomoc” rozciąga się w zakresie planowania gospodarczego, w wojsku, propagandzie, a nawet w organizacji zagłuszania odbioru przez słuchaczy polskich zachodnich polskojęzycznych audycji radiowych. Końcówka tego okresu to coraz bardziej odczuwany kryzys narzuconego z zewnątrz systemu w wyniku śmierci Józefa Stalina.

Nie ulega wątpliwości, iż mimo ekscesów i zbrodni stalinizmu bilans zwycięstwa nad hitleryzmem był pozytywny, choć, jak to ujmuje węgierski autor, żołnierz radziecki „przyniósł swego rodzaju wyzwolenie, wyzbawienie od terroru nazistowskiego. Lecz wolności przynieść nie mógł, albowiem sam jej nie miał” (s. 440).

Albina Noskowa wyróżnia się znakomitą orientacją w polskiej literaturze przedmiotu akcentując też błędność mniemania wielu autorów o rzekomo bezwzględnej negacji całego społeczeństwa wprowadzanych reform w sferze społecznej, widzi otwarcie dla młodzieży szans kształcenia się, aczkolwiek negacja ta była bezwzględna wobec likwidacji oddziałów AK. Podobnie z miejscem PSL w polskim życiu politycznym i ewentualności finlandyzacji Polski: „Finlandyzacja w Polsce nie miała szans na realizację. Położenie geograficzne Polski – wcześniej jako »korytarza wtargnięcia«, a teraz jako drogi do Niemiec – było dla Moskwy arcyważne politycznie. Orientacja przedstawicieli rządu emigracyjnego, na którego czele stał Mikołajczyk, na opór antyradziecki po wojnie oraz istnienie w Polsce podziemia antykomunistycznego pozbawiała PSL perspektywę powtórzenia wariantu fińskiego i zmuszały ZSRR do objęcia Polski kontrolą, jaką zapewniała obecność wojsk radzieckich” (s. 451).

Uczona rosyjska polityczną sytuację w Polsce powojennej skłonna jest traktować jako odmienną

od innych satelitów. Wariant ten przejawia się w zachowaniu względnej wielopartyjności: PZPR i dwóch „stronnictw” PSL i SD: „Być może były to pozostałości koncepcji polskiej drogi do socjalizmu, idei frontu narodowego – zamiast formuły klasowej blok komunistów i bezpartyjnych, jak w ZSRR” (s. 459). Mimo to na podstawie zachowanych dokumentów archiwalnych uczona wyrokuję, iż zachowanie Bieruta, gdy bez przerwy prosił kierownictwo radzieckie o radę, było „świadomie niesamodzielne, a forma zwracania się do członków radzieckiego kierownictwa – niekiedy serwilistyczna” (s. 460). Nigdy też nie udało się w Polsce zniszczyć resztek pluralizmu, wskutek czego PZPR nie miała takiego monolitycznego charakteru, jak i inne partie bloku.

Mimo wszystko nasz kraj zachowuje względną niezależność głównie dzięki stanowisku Władysława Gomułki, zajmującemu np. odmienny pogląd, w odróżnieniu od przyjętego w pozostałych krajach socjalistycznych, na temat Jugosławii. Noskowa omawia też nietypowość stosunków między Stalinem i Gomułką. Znaczący jest też fakt, iż odsunięty w 1948 roku od władzy szef PPR, aresztowany trzy lata później, nie podzielił losu komunistycznych przywódców innych uzależnionych od Moskwy krajów, co było decyzją Stalina. W 1956 roku Nikita Chruszczow wyraźnie stwierdził, iż decyzja aresztowania Gomułki „wyszła od Warszawy, nie od Stalina” (s. 468), który roztaczał nad nim swoisty parasol ochronny.

Na pogrzeb zmarłego w marcu 1956 r. w Moskwie Bolesława Bieruta przybył do Warszawy Nikita Chruszczow, który wziął udział w posiedzeniu KC PZPR, na którym wybrano Edwarda Ochaba jako następcę po zmarłym. Ten nadmiernie aktywny udział w obradach przywódcy radzieckiego kierownictwa PZPR potraktowano jako ingerencję w sprawy wewnętrzne Polski, co wpisywało się w proces kryzysu, będącego efektem nabierających dynamiki symptomów destalinizacyjnych, w tym żądań usunięcia z Polski marszałka Rokossowskiego i radzieckich doradców w strukturach Urzędu Bezpieczeństwa.

Zaniepokojony jednostronnymi informacjami z Polski Chruszczow przybywa na Okęcie 19 października 1956 r. Bucharin pokazuje zabawną scenę, gdy wysiadający z samolotu wzburzony Nikita Siergiejewicz wygraża pięścią oczekującym go na płycie lotniska gospodarzom na czele z powracającym do władzy Gomułką. „Nie możemy do tego dopuścić i jeśli postawicie nas przed faktami dokonanymi, będziemy zmuszeni brutalnie ingerować” (s. 489) – zagroził. Przywódca PZPR nie przejął się pogroźkami impulsywnego gościa, który oczekiwał, iż polscy towarzysze wyciągną „wnioski” z zaistniałej sytuacji, na co Gomułka: „Wy też musicie wyciągnąć wnioski i nie wtrącać się w nasze sprawy” (s. 490). To najbardziej sensacyjna i niesłychana reakcja, na jaką pozwolił sobie ubezwłasnowolniony dotychczas wasal.

Ważny w naszych wzajemnych stosunkach po roku 1956, nazwany od tytułu powieści Ilji Erenburga *Odwilż* (*Ottiepiel*, 1954-1956) okres, przedstawiają z polskiej strony Andrzej Paczkowski, z rosyjskiej Nikołaj Bucharin, ma dwóch bohaterów: Nikitę Chruszczowa w ZSRR i Władysława Gomułkę w Polsce. Gdyby nie bezprzy-

kładna tępota w latach 1967-1968, gdy nieświadomie rozpętał on demony polskiego antysemityzmu i tragiczny grudzień 1970, Gomułka zasługiwałby na miano najwybitniejszego polskiego polityka powojnia, choć wspomniane wydarzenia schyłku kariery nie anulują wszystkich jego zasług. Mimo wszystko – zauważa Paczkowski – „Rozpoczął się dzień, który uformował legendę polskiego Października i na długo uczynił z Gomułki bohatera narodowego na miarę Piłsudskiego” (s. 489).

Dokonała się dynamiczna zmiana w dwustronnych stosunkach gospodarczych, symboliczny wymiar ma wyjazd z Polski marszałka Rokossowskiego i doradców radzieckich. Z ZSRR wracają nasi rodacy, którzy nie mogli skorzystać z poprzedniej repatriacji. Z więzień wychodzi tysiące niesłusznie skazanych ludzi, a wieś otrzymała zapewnienie o zaniechaniu polityki kolektywizacji rolnictwa. Sprzyjała temu koniunktura, głównie historyczny XX Zjazd KPZR w lutym 1956, a w czasie jego trwania rewolucyjny referat I sekretarza, w którym po raz pierwszy ukazane zostały zbrodnie Stalina. Mimo że tajny, tekst jego bardzo szybko w Polsce stał się jawny, wywierając decydujący i bardzo silny wpływ na ewolucję naszej sytuacji politycznej. W tym dokonały się zmiany na szczytach PZPR i powrót Władysława Gomułki do władzy.

Na marginesie drobna uwaga. Prof. Paczkowski, i nie on jeden wśród polskich piszących o epoce Chruszczowa popełnia nieścisłość określając go mianem „genseka”. To sprzeczne z intencją samego Nikity Siergiejewicza, który zerwał ze stalinowską tradycją nomenklatury partyjnej. Między innymi z tytułem *gienseka* (*gienieralny siekrietar*), który w 1922 roku przybrał Stalin obejmując kierownictwo partii. Chruszczow był zawsze pierwszym sekretarzem (*piersiekom*).

Jerzy Pomianowski z polskiej, a Andriej Worobjow i Aleksander Szubin z rosyjskiej strony kreślą „drogę do wolności” jako konsekwencji rewolucji 1956 roku. Ten wymiar wydaje się swoistą powtórką sytuacji sprzed paru stuleci, z epoki przedpiotrowej, gdy polska kultura odgrywa ogromną rolę w Rosji. Gdy polskim posługiwano się na dworze carskim za panowania Fiodora III Aleksandrowicza¹².

J. Pomianowski tylko marginalnie porusza kwestie popaździernikowych fermentów kulturowych oraz ich recepcję w Związku Radzieckim. Wspomniani Rosjanie problem traktują znacznie głębiej: „Wszystko, co się wtedy działo w Polsce – cytują oni jedną z charakterystycznych reakcji na ówczesne wydarzenia – było nieprawdopodobnie ciekawe. Wydawało się, iż jest to początek transformacji reżimu bolszewickiego [...] Polska zawsze była ostoją opozycji przeciwko rosyjskiemu reżimowi zarówno przed okresem bolszewickim, jak i później. A po 1956 r. Polskę postrzegano jako wysepkę jeśli nie wolności, to półwolności” (s. 528). Autorzy podkreślają inspirujący wpływ paryskiej „Kultury” i jej założyciela na rosyjskich dysydentów, na powstanie z tej inspiracji największego pisma rosyjskiej emigracji lat 70. redagowanego przez Władimira Maksimowa „Kontinentu”, śledzą reperkusje

rosyjskie rewolucji „Solidarności”, Okrągłego Stołu, przełomu 1989 roku.

Przebywałem na półrocznym stażu naukowym w Moskwie na początku lat 60., byłem wtedy naocznym świadkiem i poniekąd uczestnikiem ogromnej fascynacji Polską i jej kulturą. Polak w Moskwie stanowił wielką atrakcję towarzyską, był to Zachód, za którym tęskniły miejscowe elity. Wielu moich znajomych uczyło się polskiego, by móc czytać „Przekrój”, „Politykę”, „Przyjaciółkę”. *Och, jak zdrowo piszcie rzebiata* – słyszałem parę razy przypadkowe głosy. Niespecjalnie przepadający za filmem nigdy nie obejrzałem tyłu naszych obrazów, co w Moskwie. Niezbyt łatwa nawet dla naszego widza *Matka Joanna od aniołów* J. Kawalerowicza była tu odbierana z prawdziwym przejęciem. Sprawdzałem to pytając widzów przy wyjściu z seansu. Słyszałem też, jak zabawiają się przy sąsiednim stoliku w stołówce bibliotecznej dwaj konsumenci opowiadając sobie najzabawniejsze epizody *Gangsterów i filantropów* J. Hoffmana. *A wieliczajszij kinorieżysior* Wajda czy niesłuchanie tu później popularny Zanussi?

Ogromnie popularna były tu nasza współczesna poezja, malarstwo, eksperymenty teatralne, choć jeszcze nie muzyka. Pendereckiego wśród znawców podziwiano, ale jego utworów nie wykonywano, bo rygor socrealizmu jeszcze długo obowiązywały w tej dziedzinie, o czym świadczył np. smutny los Prokofiewa czy Szostakowicza, którym długo nie przywracano dobrego imienia po atakach na nich Andrieja Żdanowa.

Z kolei my bardzo intensywnie przyswajaliśmy sobie arcydzieła rosyjskiej prozy i poezji. Przyznanie Borysowi Pasternakowi Nobla za *Doktora Żywago* w 1958 r. i skandal polityczny z tym faktem związany oraz publikację cztery lata później *Jednego dnia w życiu Iwana Denisowicza* Sołżenicyna przyjęto w Polsce z ogromnym zainteresowaniem. Arcydzieło Michaiła Bułhakowa *Mistrz i Małgorzata*, w plebiscycie naszych czytelników uznane zostało za największą powieść XX wieku.

Wiele wydań miała u nas twórczość jednej z ofiar stalinowskiego terroru – Izaaka Babla czy jednego z najoryginalniejszych prozaików XX wieku Andrieja Płatonowa. Wielka poezja Achmatowej, Cwietajewej, Mandelsztama znajdowała u nas wielu entuzjastycznych czytelników. Podobnie jak twórczość często Polskę odwiedzającego i zaprzyjaźnionego z naszymi artystami poety i mistrza poezji śpiewanej Bułata Okudźawy.

„Kryzys polski” lat 1980-1981 widziany jest z naszej strony oczyma A. Paczkowskiego, zaś z rosyjskiej – Inesy Jaźborowskiej.

Sytuacja w Polsce bardzo niepokoiła przywódców ZSRR. Wybór Polaka na papieża, entuzjazm, z jakim witali go rodacy w czasie pierwszej wizyty w ojczyźnie, rosnący ferment wśród robotników kwestionujących monopol partyjny, a więc elementarne kanony marksistowskiej ideologii niepokoił kierownictwo na Kremlu na czele z coraz bardziej niedołęźniejącym Leonidem Breżniewem i ciężko chorymi jego następcami Jurijem Andropowem oraz Konstantinem Czernienko. Ci ludzie nie byli w stanie przyjąć do wiadomości kłęski

¹² J. Tazbir, *Sarmaci w roli pośredników*, „Niezbędnik inteligenta”, dodatek do „Polityki”, 18 IX 2004).

„budowy komunizmu” oraz rozpoznać realiów rzeczywistości niezgodnej z prognozami martwych dogmatów coraz bardziej skomplikowanej współczesności końca XX wieku.

Poza faktami powszechnie przywoływanymi w prasie polskiej na temat kryzysu polskiego A. Paczkowski notuje, iż uchodzą one uwagi rosyjskich analityków, albowiem „punktem ciężkości są (dla nich) sprawy wewnętrzne Związku Sowieckiego oraz problem konfrontacji ze Stanami Zjednoczonymi” (s. 548). Tym ciekawsze i bardziej kompetentne są w tym kontekście uwagi I. Jaźborowskiej. Śledzi ona nasze wydarzenia, również w oparciu o opublikowane w ostatnich latach notatki i spostrzeżenia obserwatorów i uczestników dramatu. Już 31 sierpnia „Prawda” alarmuje o „intrygach wrogów socjalistycznej Polski” (s. 552), akcentując „antysocjalistyczny kierunek” „Solidarności”. Mnożą się kontakty przedstawicieli aparatu PZPR i KPZR. Z Moskwy sugerowano najpierw zastosowanie „metod administracyjnych”, przywołuje się w tym kontekście *casus* Węgier 1956 oraz Czechosłowacji 1968 roku. Coraz bardziej natrączywe są naciski najbardziej ortodoksyjnych przywódców partyjnych Ericha Honeckera oraz Gustawa Husaka, zaniepokojonych możliwością wpływu herezji polskiej na ich kraje.

Potwierdzeniem oficjalnym stanowiska Moskwy było oświadczenie Leonida Breżniewa z 23 lutego, wygłoszone na XXVI Zjeździe KPZR, iż „bratniej Polski nie pozostawimy w nieszczęściu i nie damy skrzywdzić” (s. 558). Już za Czernienki kanałami nieoficjalnymi sugeruje się likwidację „przeżytków kapitalizmu” w Polsce, przywrócenie kolektywizacji wsi, wzmocnienie planowania gospodarczego, ograniczenie wpływu Kościoła. Gdy sugestie nie odnoszą skutku, dowództwo Armii Radzieckiej wzmacnia swe garnizony na terenie Polski, pojawiają się komunikaty o ćwiczeniach wojskowych skorelowanych z odbywającym się właśnie I Zjazdem „Solidarności”.

Kierownictwo radzieckie przejawiało wahania w sprawie zbrojnej interwencji świadome kolejnych obciążeń dla gospodarki. W sytuacji zaangażowania w Afganistanie, w dowództwie wojskowym istniały na ten temat różnice. Generał Jaruzelski do końca nie mógł być jednak pewien, iż „bratnia pomoc” nam nie grozi, tym bardziej iż do kwietnia 1982 r. utrzymywane były w stanie gotowości bojowej oddziały przeznaczone do interwencji na wypadek zaostrzenia polskiego kryzysu. Stan wojenny uspokoił towarzyszy radzieckich, a dokonana w 1985 roku w ZSRR zmiana kierownictwa partyjnego stworzyła zupełnie nowe perspektywy wzajemnych stosunków naszych państw.

Transformację w Polsce i w Rosji porównawczo analizują wstępnie Włodzimierz Marciniak oraz Władimir Baranowski i Boris Szmielow. Okres, w którym praktycznie nieobecne są problemy trudne czy białe plamy. Rosja uczyła się nowej roli, m.in. rozumienia, iż były kraje wspólnoty nie należą do „bliskiej zagranicy”, że mają prawo decydowania, do jakiego bloku wojskowego czy gospodarczego będą należeć. Nie był to proces łatwy.

Decydującym i dynamizującym czynnikiem przemian w ZSRR jest pojawienie się w 1985 r. nowego

gospodarza Kremla. Paradoks panowania Michaiła Gorbaczowa polega na tym, iż planował on udoskonalenie systemu przekonany o jego nieograniczonych możliwościach. Efektem finalnym okazała się natomiast jego dezintegracja i rozpad ZSRR na 15 suwerennych państw. Rozpad imperium, ogłoszenie suwerenności Rosji, która pierwsza opuszcza ZSRR, pobudza proces suwerenizacji republik związkowych, które stają się niezależnymi państwami. Dalsza ewolucja prowadzi w Rosji do powstania „demokracji kierowanej” Władimira Putina i bezalternatywnego charakteru prezydentury Federacji Rosyjskiej, ograniczenia pluralizmu społecznego oraz „monocentrycznego systemu politycznego” (s. 604).

Zrozumienie charakteru systemu, krachu jego fundamentów ideologicznych wymagało czasu, w tym rozpoznania pseudowspólnoty państw Bloku. Gorbaczow trafnie zauważył, iż „ustrój, który istniał w krajach Europy Środkowej i Wschodniej, potępiony został przez historię, podobnie jak i w naszym kraju” (s. 614).

W centrum uwagi kierownictwa radzieckiego po 1985 roku była Polska, gdzie kryzys „realnego socjalizmu” przybrał formę drastyczną, dlatego Gorbaczow dostrzegł nasz kraj jako „laboratorium reform” (s. 624). Mimo wszystko na naszych stosunkach ciąży garb przeszłości, jak choćby wciąż nieznan los ponad 7000 cywilów i oficerów znajdujących się na Białorusi i Ukrainie, nieprzyjemnym zgrzytem było np. z okazji 60-lecia zakończenia wojny zignorowanie naszego wkładu kosztem bliżej nieznaną roli „włoskich i niemieckich antyfaszystów”. W tym duchu było też ustanowienie w 2004 roku 4 listopada jako święta państwowego z okazji „oswobodzenia Moskwy od polskich okupantów w 1612 roku”.

W ciekawym eseju *Polacy i Rosjanie. Wzajemna percepcja* Nikołaj Bucharin porusza kwestię post-imperialnej nostalgii w sporej części społeczeństwa rosyjskiego. „Rosjanie muszą sobie jeszcze uświadomić, że nowa Rosja jest państwem, które zasadniczo różni się od Związku Radzieckiego” (s. 750), że zatem powrót do przeszłości imperialnej jest wykluczony. I że tożsamość Rosji ma charakter eklektyczny i jest to pełen sprzeczności „przekładaniec”, składający się bardzo sprzecznych wartości i elementów.

Popularne u nas utożsamianie nazizmu i stalinizmu wywoływać może i wywołuje nie tylko u nielicznych już weteranów wojny, ale i wielu Rosjan ostry protest, co powinniśmy uszanować, choć trudno nie zrozumieć i naszego wzburzenia wobec bandyckich metod, jakie zastosowano wobec niewinnych ofiar w Katyniu i innych miejscach kaźni.

„Rosjanie i Polacy zachowują różną tożsamość, odmiennie też oceniają własną przeszłość i postrzegają swoją przyszłość. Nie powinno to jednak być przeszkodą w rozwoju dobrosąsiedzkich stosunków między naszymi krajami” (s. 763). I ten, na razie pierwszy tom z chyba zaplanowanych dalszych dokumentujących prace Polsko-Rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych, takiemu celowi służy.

KATARZYNA BRATANIEC

NIEPEWNE LOSY REWOLUCJI

EGIPT, MAROKO, TUNEZJA, LIBIA

„Poparcie dla demokracji jest zaskakująco powszechne wśród ludności islamskiej, nawet tej żyjącej w społeczeństwach autorytarnych” – wykazali w swoich badaniach Pippa Norris i Ronald Inglehard¹. Dowiedli również, że huntingtonowska linia podziału między cywilizacjami nie dotyczy demokracji i różnic w sferze wartości politycznych, lecz kwestii równouprawnienia płci i liberalizacji podejścia do seksualności. Jednak pomimo licznych analiz badaczy islamu i społeczeństw bliskowschodnich, wnikliwych raportów Arab Human Development and Pew Research Center nikt nie przewidział tak szybkiego wybuchu niezadowolonych ze strony społeczeństw arabskich².

Minął rok od rozpoczęcia masowych protestów w świecie arabskim, w wyniku których obalono większość dyktatorów sprawujących władzę od przeszło trzydziestu lat. Wiemy już, w jakim kierunku potoczyły się dalsze losy rewolucji. W Tunezji, Maroku i Egipcie odbyły się wybory parlamentarne. Zwyciężyły w nich partie umiarkowanie islamskie zdecydowaną większo-

ścią głosów, w następnej kolejności partie konserwatywne. Wszystkie kraje borykają się z problemami gospodarczymi i wysokim bezrobociem wśród ludzi młodych i wykształconych. Rozbudzone zostały ogromne aspiracje i oczekiwania społeczne. Nie mogą one zostać spełnione w czasie, jakiego oczekują wyborcy. Nie wiadomo czy społeczeństwa arabskie zaufają umiarkowanym islamskim partiom i będą cierpliwie czekać na zmiany. Prawdopodobne jest także przekazanie władzy partiom konserwatywnym w następnych wyborach, jeśli ludzie rozczarują się do wprowadzanych reform i szybko nie odczują poprawy własnej sytuacji.

Czy islam okaże się rozwiązaniem? Wydaje się, że teokracja w stylu irańskim nie przyjmie się w społeczeństwach, które walczyły z cenzurą i łamaniem praw człowieka przez policję i służby bezpieczeństwa. Wątpliwości budzi przyszłe zachowanie większości społeczeństwa w każdym z krajów po przewrocie. Wiemy, co myślą elity i wykształcona młodzież uczestnicząca w globalnej sieci komunikacji, znamy deklaracje umiarkowanych islamistów i pryncypia partii i ruchów konserwatywnych. Nie wiemy jednak, jak postąpią te masy społeczeństwa, które są biedne, zacofane i bardzo religijne.

Egipt i jego partie polityczne

Do pierwszych demokratycznych wyborów parlamentarnych w Egipcie przystąpiło aż 50 partii politycznych. Wśród nich znajdują się partie umiarkowanie islamistyczne, konserwatywne i liberalne. Z ramienia salafitów w wyborach wzięło udział aż siedem partii, w tym między innymi: Światła, Sprawiedliwości, Cnoty oraz partia wywodząca się al-Dżama'a al-Islamiyya (Islamskiego Zgromadzenia), organizacji terrorystycznej. Młodzi rewolucjoniści stworzyli dziesięć partii³.

¹ Pippa Norris, Ronald Inglehard, *Sacrum i profanum. Religia i polityka na świecie*, Zakład Wydawniczy „Nomos”, Kraków 2006, s. 225.

² Dotychczas opublikowano pięć raportów. Każdy poświęcony innym istotnym dla rozwoju świata arabskiego kwestiom. Pierwszy Raport z 2002 roku, nosił tytuł: *Freedom, education and women's empowerment*, drugi z 2003 roku: *Knowledge deficit*, trzeci z 2003 roku poświęcony był prawom człowieka i relacjom między obywatelami a państwem: *Towards Freedom in the Arab World*, czwarty Arab Human Development Report (AHDR) 2004: *Towards Freedom in the Arab World*. Raport z 2005 roku szczegółowo omawiał sytuację kobiet w państwach arabskich: *Towards the Rise of Women in the Arab World*. Ostatni raport ukazał się w 2009 roku: *Challenges to Human Security in the Arab Countries*. Raport The Pew Research Center z 2006 roku nosił tytuł: *Wielki podział: jak ludzie Zachodu i muzułmanie widzą siebie nawzajem? (The Great Divide: How Westerners and Muslims view each other)* June 2006 (<http://pewglobal.org/reports/pdf/253.pdf>); The Pew Research Center, *Muslim Americans. Middle class and mostly mainstream*, For immediate release: May 2007 wskazywał, że wartości dotyczące demokracji i praw człowieka, wyznawane przez amerykańskich muzułmanów są zgodne z wartościami podzielanymi przez Amerykanów.

³ Marta Urzędowska, *Ile demokracji dadzą Egipcjanom ich generacje?*, „Gazeta Wyborcza”, 04. 11. 2011, s. 13.

23 stycznia odbyło się pierwsze posiedzenie Zgromadzenia Ludowego, niższej izby egipskiego parlamentu. 47 proc. mandatów zdobyli Bracia Muzułmanie (Partia Wolności i Sprawiedliwości), 23 proc. przypadło Partii Nur (Światła) – radykalnym salafitom, domagającym się odnowy moralno-religijnej Egiptu, 30 proc. dostali liberałowie z partii Waafd, Bloku Egipskiego, umiarkowani islamisci z partii al-Wasat (Centrum), koalicja Rewolucja Trwa, zwolennicy starego reżimu i kandydaci niezależni⁴. Żadna ze zwycięskich partii nie kwestionuje drugiego artykułu konstytucji egipskiej, który uznaje szariat za główne źródło egipskiego prawa. Debata toczy się, jak zauważył Clement Steuer z Centrum Badań i Dokumentacji Gospodarczej, Prawnej i Społecznej (Cedej), wokół zasady, na której powinny opierać się reguły wspólnego życia, czy powinien to być islam czy obywatelskość?⁵

Rozdrobnienie partii, które uzyskały 30 proc. mandatów nie powinno dziwić, jeśli przypomnimy sobie specyfikę egipskiego systemu partyjnego sprzed rewolucji. Partia rządząca – Narodowo-Demokratyczna była u władzy nieprzerwanie od czasu jej utworzenia w 1978 roku. Wszystkie inne ugrupowania, którym udało się przetrwać, były tolerowane dopóty, dopóki nie zagrażały jej dominującej pozycji. Spełniały one funkcje legitymizującą reżim dzięki uczestniczeniu w kontrolowanych przez rząd wyborach parlamentarnych.

Do 2011 roku w Egipcie istniały 24 legalne partie polityczne, ich działalność jednak była skrajnie nieefektywna. Nie cieszyły się poparciem społecznym ani popularnością. Nie pretendowały również do przejęcia władzy. Stanowiły wygodną dla reżimu fasadę, mającą przekonać Zachód do istnienia pluralizmu partyjnego. Partie te nie miały też żadnego społecznego i ekonomicznego programu odpowiadającego na potrzeby społeczeństwa egipskiego.

Już prezydent Sadat zapoczątkował budowę struktur władzy opartą na całkowitej kontroli partii politycznych: zakazał istnienia partiom utworzonym przed lipcem 1952 roku (zakaz objął przede wszystkim Bracia Muzułmanów, utworzonych w 1928 roku); istniejące partie nie mogły podważać podstaw państwa egipskiego – jedności narodowej, społecznych osiągnięć republiki, pokoju społecznego, pokoju zawartego z Izraelem oraz szariatu jako fundamentu prawodawstwa egipskiego państwa.

Mubarak poszerzył kompetencje urzędu prezydenta poprzez prawo do aresztowania i uwięzienia każdego obywatela bez sądu oraz zakaz demonstracji i spotkań. Wprowadził w tym celu, po zabiciu prezydenta Sadata w 1981 roku, stan wyjątkowy. Partie polityczne zmuszone były uzyskać zgodę służb bezpieczeństwa przed przedsięwzięciem jakichkolwiek publicznych mitingów, pokojowych demonstracji i dystrybucji ulotek partyjnych. Zgoda urzędu stanowiła wyjątek, nie regułę.

Większość partii napotykała problemy już na poziomie rejestracji. Z powodu skomplikowanych i niezwykle kosztownych dla ich działalności przepisów partie nie były zdolne do prowadzenia biur i rekrutacji członków⁶.

Pomimo strukturalnych problemów wśród legalnie istniejących partii za rządów Mubarak najistotniejszymi były: Bracia Muzułmanie, partie: Ghad, Wasat i Karama. Reprezentowały one główne ideologiczne odłamy społeczeństwa egipskiego: islamizm, liberalny nacjonalizm, panarabizm, i socjalizm.

Partia Ghad stanowiła odnogę Partii Waafd, została zalegalizowana w październiku 2004 roku i funkcjonowała zaledwie trzy miesiące – do aresztowania jej lidera Aymana Nour'a pod zarzutem zagranicznego finansowania partii. Centrowa Partia Wasat była odłamek Braci Muzułmanów, została utworzona przez jej młodych członków w latach 90. Jest to partia islamska, która jednak próbuje oddzielić w swoich działaniach funkcje polityczne od religijnych. Partia traktuje islam jako część kulturowego dziedzictwa państwa egipskiego i uznaje równość Koptów i przedstawicieli innych mniejszości religijnych jako pełnoprawnych obywateli przy zachowaniu szariatu jako podstawy prawnej państwa. Partia Wasat podkreśla także potrzebę gruntownej rewizji historycznego szariatu poprzez zastosowanie procedury *idżtihadu* – niezależnego myślenia. Szariat jest traktowany jako wyraz nieprzemijających islamskich zasad, w obrębie których część z upływem czasu stała się przestarzała i wymaga nowoczesnego ujęcia⁷. Partia Karama została utworzona także w 2004 roku jako odłamek Partii Nassera. Reżim odmawiał partii Karama oficjalnego poparcia. Pomimo tego partia publikowała tygodnik, a jej lider Hamdeen Sabbahy zasiadł w parlamencie po wyborach 2005 roku. Karama opierała swój program na zasadzie sprawiedliwości społecznej i równości wobec prawa dla klas najbardziej potrzebujących wraz z prawem do ich awansu społecznego. Głoszonymi przez siebie postulatami stanowiła realne zagrożenie dla Partii Narodowo-Demokratycznej. Nowe partie zostały utworzone w proteście przeciwko indolencji i słabości partii – matek.

Bracia Muzułmanie

Bracia Muzułmanie (*Dżama'at al-Ichwan al-Muslimin*) to jedna z najstarszych partii w Egipcie. Jako jedyna posiada zorganizowaną strukturę zakorzenioną w głównych warstwach społeczeństwa egipskiego i 750 tys. członków. Bracia byli także pierwszym w Egipcie masowym ruchem średniozamożnych warstw ludności miejskiej, tak zwanych *effendijja*, czyli osób, które pochodziły ze wsi, ale osiedlały się w miastach. Dzięki zdobyciu wykształcenia podejmowały pracę urzędników administracji państwowej, nauczycieli lub zarządców w prywatnych spółkach. Łączyli oni konserwatywne tradycje wiary muzułmańskiej z ideologią nacjonalizmu egipskiego i europejskim stylem życia⁸. Ponieważ nie należeli do starej elity władzy pozostającej po imperium osmańskim, musieli sami zdobyć wpływy polityczne.

Bracia zarejestrowani byli w Egipcie jako organizacja o charakterze religijnym. Ich wpływy obejmowały jednak cały Bliski Wschód. W latach 30. XX wieku działali w Algierii, Syrii i Palestynie. W latach 50. stworzono analogiczne organizacje w Sudanie, Jemenie, Jordanii

⁴ Marcin Pazurek, *Nie czas na świętowanie*, "Tygodnik Powszechny", nr 5, 2012, s. 24.

⁵ Francois Pradal, *Suez na pierwszej linii rewolucji*, „Le monde diplomatique”, nr 1, 2012, s. 15.

⁶ *Political Parties and Democracy*, Kay Lawson, Saad Eddin Ibrahim ed., Vol.V, The Arab World, Praeger, Santa Barbara, California, Denver Colorado, Oxford England, 2010, s. 12.

⁷ Carrie Rosefsky Wickham, *W stronę złotego środka. Strategia i wyciąganie nauki z doświadczeń w procesie powstawania egipskiej partii al-Wasat*, "As-Salam", nr 1, 2011, s. 73.

⁸ Jerzy Zdanowski, *Bliski Wschód 2011: bunt czy rewolucja?*, Krakowska Akademia im. A. Frycza-Modrzewskiego, Kraków 2011, s. 175.

i Iraku. W latach 70. powiązane z nimi ruchy polityczne powstały w Maroku i Tunezji. W latach 80. ugrupowanie starało się zachować charakter religijnego ruchu społecznego, którego celem było propagowanie wiary i stylu życia opartego na szariacie i jednocześnie dążyć do uzyskania statusu partii politycznej⁹.

Należy pamiętać, że Bracia nie działają w ramach jednego wspólnego frontu. Podczas wyborów w 2005 roku stanowili główną opozycyjną siłę w kraju. Pomimo represji, cyklicznych aresztowań członków reżim Mubaraka tolerował ich obecność na egipskiej scenie politycznej i w życiu społecznym. Dzięki temu zyskał lojalność zsekularyzowanych odłamów opozycji jako obrońców idei świeckiego państwa przed zagrożeniem islamistycznym, jakie w opinii wielu stanowili Bracia¹⁰.

Tymczasem, jak pokazują obecne wybory parlamentarne w Egipcie, Bracia nie są już radykalnym ugrupowaniem, za jakie miał je Zachód. Respektują podstawowe wartości demokracji i polityczny pluralizm. Rozumieją znaczenie praw człowieka dla funkcjonowania nowoczesnego społeczeństwa. Potrafią także współpracować z innymi ugrupowaniami, przynajmniej taki przekaz trafia do mediów zachodnich¹¹. Cieszą się także poparciem biedniejszych warstw społeczeństwa z uwagi na długoletnią działalność społeczną – darmowe szpitale, szkoły i obiekty sportowe. Bracia od kilkudziesięciu lat tworzyli świetlice dla dzieci w dzielnicach nędzy, prowadzili kursy czytania i pisania dla analfabetów oraz dbali o badania lekarskie dla biednych. Większość członków to biznesmeni prowadzący interesy handlowe, a część z nich wzbogaciła się na rynku nieruchomości.

Administracja prezydenta Obamy podjęła rozmowy z przywódcami Braci w czerwcu 2011 roku. Jednak nie oni są przedmiotem zmartwienia zachodnich polityków i sekularystów w Egipcie. Największe obawy budzi 20-procentowe poparcie dla Partii Światła (Nur), która otwarcie głosi swoje konserwatywne i radykalne poglądy. Salafici jako jedyni na egipskiej scenie politycznej przeciwstawiają sobie obywatelskość i islam, państwo islamskie i państwo świeckie. Z powodu przywiązania do Koranu i jego literalnej interpretacji, wrogości wobec chrześcijan i Zachodu zwani są też przez sekularystów „egipskimi talibami”.

Po ustąpieniu przez Mubaraka ze stanowiska prezydenta 11 lutego 2011 roku, większość z nich została zwolniona z więzień, a część wróciła z przymusowej emigracji. Niestety, od razu doprowadzili do konfliktów z mniejszością koptyjską i sprowokowali starcia z chrześcijanami w kairskiej dzielnicy Imbaba. Władze wojskowe w tej sytuacji nie podjęły żadnych działań wymierzonych przeciwko salafitom. W niedzielę 27 marca 2011 roku kilkuset uzbrojonych salafitów wdarło się na teren kościoła w miejscowości Basztıl domagając się jego zamknięcia. Otoczyli modlących się w środku chrześcijan, których uwolniło dopiero wezwane wojsko¹².

W większości okręgów wyborczych Partia Nur uzyskała mniej więcej 25 proc. poparcia, a w rewolucyjnie nastawionym Suezie uzyskała przeszło 51 proc., stanowi to najwyższy wynik w kraju. Młodzi salafici w tym mieście brali czynny udział w rewolucji i organizowali służby porządkowe podczas zamieszek. Działają tam również liczni popularni kaznodzieje: szajch Hafiz Salama i Muhammad Abd al-Chalid. Kampania wyborcza salafitów odbywała się w meczetach nawet podczas ciszy wyborczej. Istotne jest także to, że ich działania, także charytatywne, są wspierane przez Arabię Saudyjską, co przekłada się na sympatie biedoty¹³.

Jeszcze przed wyborami liderzy radykalnych islamistów przedstawiali własne wizje na temat nowego porządku. Kobietom nie będzie wolno odstawiać twarzy, ich obecność w parlamencie będzie tolerowana, jeśli nie będą zabierać publicznie głosu ani rozmawiać z mężczyznami. Chrześcijanie nie powinni sprawować funkcji publicznych. Niewiele różnią się te deklaracje od haseł Partii Wolności i Sprawiedliwości, która chce wprowadzenia szariatu do wszystkich dziedzin życia, nawet turystyki, chociaż jej elektorat to przede wszystkim klasa średnia – lekarze, prawnicy i biznesmeni.

Wojsko nie zamierza jednak oddać władzy. W listopadzie 2011 roku generał Mamduh Szahin zapowiedział rozprawienie się z organizacjami pozarządowymi w Egipcie z powodu ich zagranicznego finansowania. Generał dodał, że za pomocą organizacji NGO kraje zachodnie próbują sterować rewolucją w kraju. Służby bezpieczeństwa skonfiskowały komputery i dokumenty m.in. czterech organizacji amerykańskich i jednej niemieckiej (Freedom House)¹⁴. Generałowie aresztowali tysiące zbuntowanych, kontrolują także szeregi opozycji i niezależnych dziennikarzy.

24 stycznia marszałek Husajn at-Tantawi stojący na czele wojskowej rady rządzącej Egiptem ogłosił koniec stanu wyjątkowego, który obowiązywał od ponad trzydziestu lat. Zrobił to w przeddzień rocznicy protestów na placu Tahrir. Niestety, pewne elementy stanu wyjątkowego będą stosowane nadal w niektórych przypadkach: sądy wojskowe będą nadal mogły sądzić cywilów i przetrzymywać aresztowanych bez postawienia zarzutów¹⁵. Wskazuje to na szczególnie charakter zmian w Egipcie – demokratyzację pod kontrolą wojska i pod wyznaczonymi przez armię warunkami.

Maroko

Umiarkowani islamiści zwyciężyli także w wyborach marokańskich, gdzie zdobyli 107 z 395 mandatów w niższej izbie parlamentu. Wyrzucili w ten sposób rządzącą partię Istiklal¹⁶ (Niepodległości) premiera Abbasa al-Fasseigo, która zdobyła 60 mandatów. Zgodnie z nową przyjętą w lipcu 2011 roku przez króla Muhammada VI konstytucją, będzie on musiał mianować premiera z najsilniejszej partii w parlamencie. Tym samym król zgodził się na ograniczenie swojej władzy i w Maroku nie doszło do istotnych protestów¹⁷.

⁹ Tamże, s. 181.

¹⁰ *Political Parties and Democracy*, Kay Lawson, Saad Eddin Ibrahim ed., Vol.V, The Arab World, Praeger, Santa Barbara, California, Denver Colorado, Oxford England, 2010, s. 18.

¹¹ Tamże, s. 20.

¹² Agnieszka Dudka, *Arabska Wiosna Ludów w Egipcie a sytuacja Koptów w świetle doniesień prasowych*, „Studia Bliskowschodnie”, nr 1, 2011, s. 9.

¹³ Francois Pradal, *Suez na pierwszej linii rewolucji*, „Le monde diplomatique”, nr 1, 2012, s. 15.

¹⁴ Marta Urzędowska, *Egipt szykanuje wspieranych przez Zachód aktywistów*, „Gazeta Wyborcza”, 31.12. 2011 – 01. 01. 2012, s. 3.

¹⁵ *Egipt znosi stan wyjątkowy*, „Gazeta Wyborcza”, 25. 01. 2012, s. 7.

¹⁶ Partia Istiklal została założona przez Alla al-Fasseigo odwoływała się do programu Braci Muzułmanów.

¹⁷ *Islamiści wygrywają w Maroku*, „Gazeta Wyborcza”, 28.11.2011, s. 11.

System polityczny Maroka cechował się większą swobodą w porównaniu do reszty krajów regionu. Król Muhammad VI od momentu objęcia tronu w r. 1999 przeprowadził kilka reform, w tym najbardziej rewolucyjną – kodeksu rodzinnego, który nadawał kobietom równe z mężczyznami prawa. Zmodyfikował kodeks karny, zniósł tortury i uznał odpowiedzialność rządu za łamanie praw człowieka, w tym przez uprowadzenia i tortury, które stosowali jego poprzednicy (dziadek – Muhammad V i ojciec – Hassan II). Szczególna rola przypadła Komisji ds. Sprawiedliwości i Pojednania, która ujawniła te zbrodnie. Większe znaczenie za jego panowania zyskała także Rada Konsultacyjna ds. Praw Człowieka. Muhammad VI poszerzył swobody obywatelskie, jednakże nadal sprawuje władzę w kraju poprzez sieć tradycyjnych instytucji zwanych *machzan*, które wywierają wpływ polityczny niezależnie od wyników wyborów parlamentarnych.

W odróżnieniu od Egiptu z czasów Mubaraka, w Maroku partie polityczne działały ze względnej swobodą. Partia Istiklal i Socjalistyczny Związek Sił Ludowych współpracowały z rządem i dlatego miały zapewniony udział w strukturach władzy. Obecne wybory ujawniły rzeczywisty stopień nieufności społeczeństwa wobec tych partii i zapewniły sukces wyborczy Muzułmańskiej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (*Hizb al-Adala wa at-Tanmija*) z przywódcą Abd Allahem ben Kiranem.

Partia Kirana przechodziła wiele transformacji, swoją aktualną nazwę uzyskała dopiero dwa lata po połączeniu się z Ruchem Ludowo-Demokratycznym i Konstytucyjnym (*Al-Haraka asz-Szabijja ad-Dimokratijja wa ad-Dusturijja*) w 1996 roku. Jednocześnie funkcjonowała jako partia Reformy i Odnowy (*Al-Islah wa at-Tadżdid*) przyjmując tę nazwę, by oddalić podejrzenia o sympatie islamistyczne. Te dwa ugrupowania Partia Sprawiedliwości i Rozwoju oraz Al-Islah (jako Jedność i Reforma, po ostatniej zmianie nazwy) formalnie działają oddzielnie: pierwsza jako partia polityczna, druga jako ruch religijny zaangażowany w działalność społeczną i prozelicką. Partia akceptuje w pełni konstytucyjną legitymizację władzy religijnej monarchii i nie wzywała dotąd do utworzenia państwa islamskiego. Skupiała się raczej na walce z korupcją, reformie sądownictwa i odnowie politycznej niż na sprawach religijnych. Pomimo początkowych protestów w sprawie nowelizacji kodeksu rodzinnego zwanego *Mudawana*, którą część członków partii uznała za zamach na tradycyjną formę życia rodzinnego, partia ostatecznie uznała reformę za rezultat demokratyzacji życia w Maroku¹⁸.

Tunezja

Po ucieczce Ben Alego (14 stycznia 2011 r.) wojsko przejęło inicjatywę w tym kraju. Jednak z powodu małej liczebności armii tunezyjskiej (należy do najmniejszych w świecie arabskim) nie zyskała ona takich wpływów jak armia egipska. Wojskowi nie kontrolowali gospodarki i nie stanowili realnej siły politycznej jak w Egipcie, ale jednak zapobiegli wojnie domowej w Tu-

nezji¹⁹. W pierwszych wyborach zwyciężyła partia An-Nahda (Partia Odrodzenia) zdobywając aż 90 miejsc w 217-osobowym Zgromadzeniu.

Partia Odrodzenia istnieje od 1981 roku, początkowo jako Ruch Tendencji Islamskiej. Przeszła przez podobne koleje losu jak każde ugrupowanie islamskie podlegające autorytarnym reżimom na Bliskim Wschodzie, czyli represję, przymusową emigrację przywódców, powrót do kraju w czasie odwilży i włączenie się do systemu politycznego poprzez udział w wyborach.

W ciągu roku powstanie nowa tunezyjska konstytucja. Drugą największą partią w zgromadzeniu okazała się lewicowo-laicka partia Kongres na rzecz Republiki, zdobyła ona 30 miejsc. Następna pod względem liczebności to Lista Ludowa Haczemiego Hamida, mająca związki z byłym reżimem. Ogłoszono, że 6 z 19 zdobytych przez nią mandatów zostanie anulowanych z powodu nieprawidłowości w finansowaniu kampanii – wiadomość ta wywołała zamieszki. Demonstranci zaatakowali siedzibę An-Nahdy i lokalnych władz. Haczemi Hamid jako właściciel stacji telewizyjnej prowadził kampanię w zagranicznych mediach, co przyczyniło się do dobrego wyniku jego partii. Ponadto podejrzewa się go o przyjęcie pomocy finansowej ze strony zwolenników reżimu.

Niestety przywódcy ugrupowania zwycięskiego (Odrodzenia) odchodzą od wcześniejszego wizerunku partii otwartej i nowoczesnej. W meczetach głoszą, że praca kobiet jest powodem bezrobocia wśród mężczyzn i że powinny one pracować na pół etatu. Jest to tym bardziej zaskakujące, ponieważ w Tunezji kobiety posiadają od dawna prawie takie same prawa jak kobiety na Zachodzie (z pewnymi wyjątkami: tunezyjscy ojcowie mogą samodzielnie wystąpić o paszport dla dziecka lub zapisać je do szkoły, a matka nie; kobiety dziedziczą mniej o połowę niż mężczyźni)²⁰.

Libia

W Libii obalenie autorytarnego reżimu Kaddafiego nie obyło się bez krwawych walk. Podział między powstańcami a zwolennikami pułkownika przebiegał wzdłuż tradycyjnej linii (sprzed panowania włoskiego) oddzielającej położoną na wschodzie Cyrenajkę ze stolicą w Bengazi od zachodniej części kraju – Trypolitanii. Rada Bezpieczeństwa ONZ nałożyła na Libię sankcje i upoważniła NATO do użycia siły wobec represji i przemocy stosowanej wobec ludności cywilnej. Na skomplikowaną sytuację społeczną nałożyły się także niezwykle silne w Libii podziały plemienne.

W wyniku działań wojskowych reżim Kaddafiego upadł w sierpniu 2011 roku, powstańcy ujęli pułkownika w październiku i zamordowali²¹. Do końca sierpnia w rezultacie wojny domowej w Libii zginęło ok. 13 tysięcy ludzi. Wielu najemników Kaddafiego pochodzących z krajów afrykańskich zostało bestialsko zamordowanych²².

¹⁹ J. Zdanowski, dz. cyt., s. 169.

²⁰ Dominika Pszczółkowska, *W Tunezji islamieści oferowali barany i laptopy w zamian za przychylność wyborców*, „Gazeta Wyborcza”, 28.10.2011.

²¹ Jerzy J. Wiatr, *Demokratyzacja Turcji a rewolucje „czwartej fali” w krajach arabskich*, Do Księgi pamiątkowej prof. Jerzego Jaskierni, grudzień 2011 (złożone do druku), s. 12.

²² J. Zdanowski, dz. cyt., s. 283.

¹⁸ Alex Glennie, *Budując mosty, a nie mury. O potrzebie nawiązania kontaktów z islamistami politycznymi na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej*, „As-Salam”, nr 1, 2011, s. 27-29.

Rodzina Kaddafiego zgromadziła majątek szacowany na około 97 miliardów dolarów, podczas gdy reszta ludności żyła w nędzy. Było to możliwe dzięki prywatyzacji całego państwa, poprzez działalność państwowej Libijskiej Agencji Inwestycyjnej podporządkowanej rodzinie autokraty²³.

Po względnym spokoju, który zapanował w Libii po obaleniu Muammara Kaddafiego i objęciu władzy przez Narodową Radę Libijską, wiadomo już, że jej panowanie jest niepewne. Mnożą się protesty rewolucjonistów z różnych części kraju, którzy nadal posiadają broń. Narodowe siły zbrojne są w trakcie budowy. Społeczeństwo domaga się większej przejrzystości w mianowaniu urzędników na wysokie stanowiska rządowe oraz osądzenia kaddafistów²⁴.

1 lutego milicje z Misraty i Zintanu stoczyły w Trypolisie regularną bitwę. Każda z nich utrzymuje silne oddziały w stolicy kraju i kontroluje różne instytucje publiczne oraz rezydencje urzędników byłego reżimu. Milicje odmawiają złożenia broni i przyłączenia się do nowo utworzonej armii libijskiej. Sytuację z Nigru uważnie śledzi syn Kadadiego – Saadi, który stwierdził 11 lutego w wywiadzie dla Al-Arabijji, że w Libii niedługo wybuchnie powstanie, ponieważ ludzie nie są zadowoleni z nowych porządków i chaosu, który ogarnia kraj. Dodał również, że jest gotowy w każdej chwili powrócić do kraju.

Sondaż zrealizowany przez uniwersytet w Bengazi we współpracy z brytyjskim uniwersytetem w Oxfordzie wskazuje na poczucie tymczasowości wśród Libijczyków i potwierdza obawy, że rewolucja nie jest jeszcze zakończona. Aż 25 proc. Libijczyków chce, aby rządy w Libii objął silny przywódca, 23 proc. wybrało rządy technokratów, a tylko 12 proc. opowiedziało się za demokracją w stylu zachodnim. Co piąty badany wskazał jako wzór do naśladowania Zjednoczone Emiraty Arabskie, 8 proc. Katar, a 5 proc. USA. Zdaniem większości celem rządu w przeciągu najbliższego roku powinna być walka z przestępczością i odbudowa kraju po rewolucji²⁵.

Między islamskim radykalizmem a siłami demokratycznymi?

Część analityków i badaczy przewidziała upadek autorytarnych reżimów na Bliskim Wschodzie. Ich zdaniem wraz z powstaniem licznych instytucji obywatelskich, ruchów społecznych i organizacji pozarządowych dotychczasowe struktury władzy utraciły całkowity wpływ na kierunek przemian społecznych i politycznych. Wraz z pojawieniem się szczególnego modelu władzy zwanego hybrydowym, który łączył formy autorytarne z demokratycznymi los większości dyktatorów zdawał się przesądzony²⁶.

Ponadto najlepiej zorganizowane i najpopularniejsze ugrupowania opozycyjne w świecie arabskim to ugrupowania islamistyczne dążące do zreformowania społeczeństwa i struktur władzy zgodnie z regułami

islam. Reżim Mubarak czerpał swoją międzynarodową legitymizację z umiejętnie podsycanych obaw Zachodu, że nie ma żadnej racjonalnej alternatywy dla jego rządów, ponieważ jedynie dyktatura mogła powstrzymać islamskich ekstremistów przed zdobyciem władzy. Stąd uporczywe podtrzymywanie stanu wyjątkowego od nieomal trzydziestu lat i związanych z nim represji wobec obywateli. Obok kontroli świeckich partii opozycyjnych Mubarak starał się także zdusić wszelkie formy niezależności wśród klasy profesjonalistów i ograniczyć ich syndykaty. Do wczesnych lat 90. islamisci kontrolowali większość stanowisk w zarządach najbardziej prestiżowych organizacji w Egipcie: inżynierskiej, medycznej, naukowej, farmaceutycznej i prawniczej oraz syndykatach handlowych.

W ocenie wydarzeń na bliskowschodniej scenie politycznej części komentatorów trudno porzucić orientalistyczne przesady. Niektórzy badacze wręcz mówią o powstaniu nowego mitu – neo-orientalizmu, który nie pozwala właściwie przedstawić procesów, które dzieją się na naszych oczach. Mit ten zakłada, że islamski radykalizm ma jedno przewidywalne i znane wszystkim oblicze: nieprzejednanej wrogości wobec Zachodu, odrzucenia nowoczesności i jej zdobywcy, bezwzględności stosowania szariatu zgodnie z dosłowną interpretacją Koranu i tradycji, ograniczenia praw jednostki, szczególnie kobiet i mniejszości religijnych żyjących wśród wyznawców islamu. Ponadto żywi się on przekonaniem, że islamskie partie polityczne dążą wyłącznie do zbudowania jakiejś formy teokracji, jeśli tylko zdobędą władzę. Wtedy, twierdzą zwolennicy tej teorii, bez wahania odrzucą demokrację i pokażą światu swoje prawdziwe oblicze.

Opinii publicznej na Zachodzie bardzo trudno rozstać się z narosłymi przez stulecia i podtrzymywanymi przez kulturę także masową wyobrażeniami Wschodu. W muzułmańskim czasopiśmie społeczno-kulturalnym „As-Salam” możemy przeczytać: „Widok tłumów na ulicach Casablanki, Rabatu, Tunisu, Kairu czy Bengazi, wyrażających swój sprzeciw wobec odmawiania im przez władzę dostępu do podstawowych swobód i wolności politycznych, gwarancji bezpieczeństwa i perspektyw rozwoju jest dowodem na to, że pojęcia takie jak obywatelstwo, podmiotowość polityczna, autonomia i godność jednostki czy duch republikanizmu nie są ograniczone do jednego – zachodniego, europejskiego – kręgu kulturowego, tradycji i doświadczeń historycznych, ale stanowią część znacznie szerszego, ogólnoludzkiego dziedzictwa i wartości, w których obronie należy występować niezależnie od szerokości geograficznej, poziomu zamożności, języka, koloru skóry czy wyznawanej religii”²⁷.

Jakiegokolwiek polityczne, społeczne czy kulturowe przemiany zajdą na Bliskim Wschodzie, będą związane z islamem, ponieważ jest on prawdziwym źródłem kultury i tożsamości dla wszystkich żyjących w kręgu tej cywilizacji. Dlatego nie powinniśmy żądać od społeczeństw bliskowschodnich wyrzeczenia się religijnych korzeni w imię sekularyzmu, który dla ludzi Zachodu jest podstawą wolności i godności jednostki oraz synonimem postępu. Wartości te można osiągnąć i realizować w zgodzie z tradycją muzułmańską.

²³ Tamże, s. 105.

²⁴ Robert Stefanicki, *Kaddafi straszy zza grobu*, „Gazeta Wyborcza”, 25. 01. 2012, s. 7.

²⁵ Robert Stefanicki, *Libijscy powstańcy torturują*, „Gazeta Wyborcza”, 17.02.2012, s. 9.

²⁶ Bruce K. Rutherford, *Egypt after Mubarak: Liberalism, Islam and Democracy in the Arab World*, Princeton University Press, Princeton 2008, s. 16.

²⁷ *Bracia Muzułmanie. Neo-orientalizm a mit islamskiego radykalizmu*, „As-Salam”, nr 1, 2011, s. 3.

Jak pisał już dawno Wilfred Cantwell Smith: jeśli świat arabski odrzuci zasady zbudowane na islamie, to jego życie toczyć się będzie w braku wszelkich zasad, ponieważ muzułmanie nie stworzyli mocnej tradycji świeckiej, która mogłaby stanowić alternatywę dla tradycji religijnej²⁸.

Smith twierdził, że intelektualne elity na Bliskim Wschodzie długo wyrażały przekonanie o własnej wyższości religijnej wobec Zachodu, a w momencie niepowodzeń własnej historii winą obarczyły Zachód. Islam jego zdaniem w latach 50. całkowicie stracił kontakt ze współczesną fazą rozwoju cywilizacji, a ci co przyjęli standardy świata współczesnego, utracili z kolei więź ze swoją religią i resztą społeczeństwa. Być może obecnie jesteśmy świadkami wielkiej zmiany i odwrócenia muzułmańskiej historii.

Zdaniem Smitha, liberalizm i humanizm mogą zaistnieć w świecie islamu, lecz jedynie jako islamski liberalizm i islamski humanizm. Współcześni muzułmanie nie mogą porzucić swoich religijnych podstaw, ponieważ narazi ich to na utratę własnych cywilizacyjnych korzeni. Jak twierdzi Fernand Braudel: „nie można oddzielić społeczeństwa od cywilizacji (ani cywilizacji od społeczeństwa), ponieważ oba pojęcia dotyczą tej samej rzeczywistości”²⁹ „a religia jest siłą największą jako przeszłość i teraźniejszość cywilizacji”³⁰. Nie możemy zatem żądać od muzułmanów wyrzeczenia się tradycji, lecz jedynie jej modyfikacji zgodnie z wymogami współczesności.

Tym bardziej że tradycja odnowy islamu i idea pogodzenia go z nowoczesnością jest obecna co najmniej od drugiej połowy XIX wieku i wciąż żywa. Prekursorami jej byli: Muhammad Ali (1769-1849) – założyciel dynastii egipskiej, gubernator Egiptu z ramienia sułtana od 1805 roku, reformator i zwolennik stosunków kulturalnych z Zachodem, stworzył podstawy do późniejszego odrodzenia narodowej kultury w ruchu Nahda³¹ i zapoczątkował proces przekształcania Egiptu w nowoczesne państwo.

Rifa'a Bek Rafi' at-Tahtawi (1801-1873) – działacz ruchu modernistycznego, pedagog, tłumacz i propagator idei demokratycznych, został wysłany przez Muhammada Alego na stypendium do Paryża, gdzie przebywał pięć lat, odrzucił dwie powszechne dla jego epoki koncepcje polityczne właściwe dla myśli arabsko-muzułmańskiej: dogmat nieograniczonej wspólnoty wiernych i złoty wiek Medyny za czasów Proroka jako niedościgniony wzór dla życia politycznego wszystkich muzułmanów³².

Dżamal ad-Din al-Afgahani (1838-1897) wywarł olbrzymi wpływ na rozwój ruchów liberalno-konstytucyjnych w świecie arabskim, głosił ideę przystosowania islamu do zdobyczy naukowych i cywilizacyjnych Zachodu.

Muhammad Abduh (1849-1905) występował przeciwko poligamii i wschodniemu despotyzmowi, próbował dostosować prawo – *fikh* do potrzeb współczesnego życia, pozostawił wielu wybitnych uczniów, którzy kontynuowali jego pracę, między innymi: Kasima Amina, Tahę Husajna i wielu innych. Muhammad Raszid Rida (1865-1935), jego uczeń, współtwórca ruchu modernistycznego w teologii muzułmańskiej, propagator idei nacjonalizmu arabskiego, zwolennik wahhabizmu.

Obecnie większość partii islamistycznych rezygnuje, przynajmniej w sferze deklaracji z przemocy jako środka służącego zmianie układu sił politycznych. Dowiodły tego ostatnie protesty na placu Tahrir z 25 stycznia 2012 roku i wcześniejsze wydarzenia, w które Bracia Muzułmanie w ogóle się nie angażowali. Przemoc stała się sposobem działania dla radykalnych odłamów ugrupowań islamistycznych, odcinają się od niej natomiast frakcje umiarkowane. Dlatego z nimi zachodnia dyplomacja może podjąć dialog.

Niewiele partii islamistycznych w regionie określiło swoje stanowisko w sprawie polityki zagranicznej. Kierunek tej polityki po objęciu przez nie władzy jest kluczowy dla politycznych i gospodarczych interesów państw zachodnich w regionie. Na pewno wyrażają one sprzeciw wobec kształtu polityki uprawianej przez Stany Zjednoczone i Europę, oraz ich inicjatyw gospodarczych – Europejskiej Polityki Sąsiedztwa i Partnerstwa Eurośródziemnomorskiego³³. W tym duchu wypowiedzieli się, zwłaszcza przedstawiciele marokańskiej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju, i jordański Islamski Front Działania. Bracia Muzułmanie deklarowali z kolei poddanie pod referendum ogólnonarodowe traktatu pokojowego z Izraelem z 1979 roku³⁴.

Wobec zaistniałej sytuacji szczególnie trudne jest określenie przyszłego układu sił w świecie arabskim i wyznaczenie jego priorytetów cywilizacyjnych. Tym niemniej dalsza demokratyzacja życia politycznego i społecznego wydaje się nieunikniona. W latach siedemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zmiany religijne pociągnęły za sobą zmiany społeczne i polityczne. Być może teraz zmiany polityczne i kulturowe doprowadzą do zmian religijnych, które odmienią oblicze Bliskiego Wschodu.

KATARZYNA BRATANIEC

²⁸ Wilfred Cantwell Smith, *Islam in Modern History*, Princeton University Press, Princeton New Jersey 1957.

²⁹ Fernand Braudel, *Gramatyka cywilizacji*, Oficyna Naukowa, Warszawa 2006, s. 55.

³⁰ Tamże, s. 56.

³¹ Nahda – druga połowa XIX wieku, odrodzenie kulturalne i polityczne w Syrii, Libanie i Egipcie, składały się na ten proces: ożywienie oświaty, powstanie Uniwersytetu Amerykańskiego w Bejrucie w 1866 roku i Uniwersytetu Św. Józefa w 1874 roku, pierwszych nowożytnych uczelni na Bliskim Wschodzie, rozwój czasopism naukowo-literackich, publicystyki oraz odnowa klasycznego języka arabskiego.

³² Guy Sorman, *Dzieci Rifa'y. Muzułmanie i nowoczesność*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2007, s. 23.

³³ Partnerstwo Eurośródziemnomorskie, obecnie Unia na rzecz Regionu Morza Śródziemnomorskiego, ma na celu przekształcenie regionu Morza Śródziemnego poprzez rozwijanie politycznych, gospodarczych, społecznych i kulturalnych układów partnerskich. W skład Unii na rzecz Regionu Morza Śródziemnomorskiego wchodzi 27 państw członkowskich UE, 16 państw partnerskich z południa regionu Morza Śródziemnego i Bliskiego Wschodu, 1 państwo ze statusem obserwatora (Libia).

³⁴ Alex Glennie, *Budując mosty...*, „As-Salam”, nr 1, 2011, s. 50.

ROMAN CHYMKOWSKI

POŻĄDANIE WSCHODU

MIĘDZY SZTUKĄ A PORNOGRAFIĄ

Prawdziwa kobieta

W zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie znajduje się namalowany w 1888 roku duży obraz olejny Franciszka Żmurki pt. *Z rozkazu padyszacha*.¹ Widzimy na nim zwrócone tyłem do widza nagie ciało młodej kobiety leżące wśród rozrzuconych klejnotów na udekorowanym egzotycznymi tkaninami łożu. Poza kobiety jest tak zaaranżowana, że przy pierwszym spojrzeniu widać wypięte pośladki. Ciepła, zmysłowa kolorystyka wyłaniającej się z półmroku sceny, dyskretnie ukryte ślady zbrodni sprawiają, że dopiero tytuł dzieła podsuwa myśl o dramacie, jaki tu się przed chwilą rozegrał. Możemy snuć domysły, co było jego bezpośrednią przyczyną – zapewne niewierna odaliska, *false as water*², przyłapaną na zdradzie została zgładzona z rozkazu swojego pana. Możemy też wyobrazić sobie, jak to się stało – że jakiś silny mężczyzna, może było ich więcej, rzuciwszy nagą kobietę na łożo, które dotąd było miejscem jej rozkoszy, zacisnął na jej szyi pętlę. Być może rozpaczliwie próbując złapać oddech, kurczowo wbiła palce w pościel. Ta konsekwentnie budowana dwuznaczność sytuacji pozwala widzowi snuć wyobrażenia wykraczające poza kanon akademickiego erotyzmu.

Twórczość tego dziś raczej zapomnianego malarza spotkała się z życzliwym przyjęciem części krytyki, bywał nazywany „prawdziwym poetą wdzięku niewieściego czysto zmysłowego”³. Autor poświęconej malarstwu Żmurki monografii pisał: „Kobiety Żmurki są naturalnie naiwnie zmysłowe, zmysły budzą się bezwiednie w tych bogatych ciałach, przebijając się najzamienniej w omdłej, wyczerpanej pozie, jaką mają wszystkie akty Żmurki”⁴. Sposób ujęcia kobiecego ciała widać szczególnie dobrze, kiedy porówna się je z kobietami przedstawianymi przez Matejkę: „Są to bohaterki i wielkoludki, królowe i rycerskie damy, co jak sienkiewiczowska Jagienka rozszczepiać potrafią niedźwiedzie, a gniotą orzechy, siadając z mocą na ławę”⁵. Tymczasem Żmurko maluje po prostu kobietę, a nie „kobietę polską”,⁶ pokazując „piersi jędrne” niczym „krągły [...] kanon piękna”,⁷ tworzy „poemat o spadkach i wgięciach czarujących”.

¹ Por. *Orientalizm w malarstwie, rysunku i grafice w Polsce w XIX i 1. połowie XX wieku*, red. A. Kozak, T. Majda, Muzeum Narodowe w Warszawie, Warszawa 2008, s. 240.

² Por. W. Shakespeare, *Othello*, akt V, sc. II.

³ Wł. Prokiesz, *Franciszek Żmurko*, J. Czarniecki, Kraków 1911, s. 9.

⁴ K. Daniłowicz-Strzelbicki, *Franciszek Żmurko*, Jan Fiszer, Warszawa 1902, s. 47.

⁵ Tamże, s. 32.

⁶ Tamże, s. 62.

⁷ J. Jankowski, *Laudamus feminam. Franciszek Żmurko*, „Świat” 1908, nr 12, s. 4.

Orientalizm i „orientalizm”

To co w polskiej sztuce przełomu XIX i XX wieku mogło się wydawać nową, odświeżającą perspektywą, było późnym przejawem konwencji od wielu dziesięcioleci praktykowanej w malarstwie zachodnioeuropejskim, zwłaszcza francuskim, ta zaś stanowiła część znacznie szerszego zjawiska, a mianowicie konstruowania w zachodnioeuropejskiej literaturze, filozofii, sztuce, myśli politycznej, przyrodoznawstwie i kształtujących się od niedawna naukach społecznych wyobrażenia o świecie tzw. Wschodu, zwłaszcza – *no-men omen* – Bliskiego, i o jego mieszkańcach. Tak rozumiany „orientalizm” jako konstrukt samoświadomości Zachodu opisał w swojej słynnej książce Edward W. Said. Analizując i interpretując wielorakie źródła drukowane za pomocą narzędzi zaproponowanych przez Michela Foucault, sformułował on pogląd, że „orientalizm” usprawiedliwiał i wspierał zachodnie dążenia do ekonomicznego i politycznego zdominowania terytoriów zamieszkiwanych przez „obcych”, a także pozwalała – poprzez przejrzanie się w lustrze instrumentalnie skonstruowanej inności – potwierdzić własną tożsamość, odnaleźć „korzenie cywilizacji”.

Europejskie zainteresowanie „orientalną” seksualnością ma długą historię. Cieleśne uciechy haremów są przedmiotem fantazji w literaturze drugiej połowy XVII wieku. Wyobraźnię tę podsycają z jednej strony coraz liczniej publikowane relacje z podróży „na Wschód”, których autorzy zdradzają zainteresowanie prywatnym czy wręcz intymnym życiem tamtejszych kobiet, z drugiej zaś przekłady dzieł literatury arabskiej.

Z interesującego nas tu punktu widzenia bardzo ważnym wydarzeniem jest publikacja francuskiego tłumaczenia *Księgi tysiąca i jednej nocy* (1704-1717) pióra Antoine’a Gallanda. Nie tylko składające się na nią opowieści, pozbawione natrętnego moralizatorstwa tak charakterystycznego dla zachodnioeuropejskiego bajkopisarstwa, za to zdumiewające bogactwem „wschodniej” wyobraźni, ale zwłaszcza historia ramowa, którą stanowią losy pięknej Szeherazady umilającej wezyrowi czas zarówno swoim talentem literackim, jak i wdziękami ciała sprawiły, że w europejskiej wyobraźni na stałe zdominował się fantazmat haremu jako przestrzeni absolutnej władzy beztróskich mężczyzn nad kobietami. Jedynym powołaniem kobiet Wschodu jest spełnianie męskich pragnień.⁸ Należą one do nich w każdym wymiarze społecznym – ekonomicznie, prawnie i seksualnie.

⁸ Por. F. Mernissi, *Le Harem et l'Occident*, Albin Michel, Paris 2001.

Siłę tych wyobrażeń widać choćby na podstawie tego, że nie były w stanie im zagrozić bardziej rzetelne poznawczo, ale o wiele mniej barwne relacje z podróży, których długi szereg otwiera wielokrotnie wznawiana korespondencja Lady Mary Montagu⁹. W kontekście tak ukształtowanej aury otaczającej muzułmański Wschód nie dziwi obecność orientalnego sztafażu erotycznych opowieści i przedstawień powstających w Europie – z większym lub mniejszym nasileniem – praktycznie przez cały wiek XVIII i XIX.¹⁰ Czasem trafiały się wśród nich utwory – w pewnej skali – wybitne; należą do nich na przykład dzieła Crébillona¹¹ czy François Bouchera.

Zrozumiałe jest też poszukiwanie w literaturze perskiej czy arabskiej śmiałych scen erotycznych. W XIX wieku bodaj najpopularniejszym w Europie arabskim tekstem funkcjonującym jako pornograficzny był *Ogród rozkoszy an-Nafzawiego*. W istocie jest to pochodzący z pierwszej połowy XIV wieku arabski podręcznik sztuki kochania obfitujący w szczegółowe i bezpruderyjne zalecenia dotyczące technik seksualnych ze szczególnym uwzględnieniem tych, które kończą się stosunkiem dopochwowym. Na pierwszych stronach znajdujemy zdania utrzymane w poetyce tekstu religijnego, które mają uprawomocnić ten rodzaj pisarskiego przedsięwzięcia: „Chwalmy Boga, który uczynił przyrodzone części ciała kobiety źródłem największej rozkoszy mężczyzny i przysposobił przyrodzone części ciała mężczyzny ku jak najwyższemu ukontentowaniu kobiety”¹² I dalej: „Sławmy więc i chwalmy Tego, który stworzył kobietę z jej urodą i uwodzicielskim blaskiem, Tego, który obdarował ją włosami, pełnymi wdzięku kształtami, nabrzmiewającymi piersiami i tonem i nauczył owych miłosnych sztuczek, dzięki którym potrafi wzbudzić pożądanie”¹³. Teksty tego rodzaju oraz bardziej współczesna arabska literatura erotyczna¹⁴ walenie przyczyniły się do tego, że zachodnioeuropejskie spojrzenie na islam – jak na żadną inną religię – jest podszyte zainteresowaniem seksualnością.

Malarskim odpowiednikiem literatury sytuującej erotyczne podboje we wschodnich realiach (oczywiście słowo „realia” w bardzo umowny sposób odnosi się do empirycznej rzeczywistości) były obrazy przedstawiające kobiety w haremach. Wyraz „odaliska”, pochodzący od tureckiego rzeczownika oznaczającego pokojówkę, w praktyce stał się w Europie nazwą nagiej albo półnagiej młodej kobiety¹⁵ przedstawianej na płótnach malarzy, których nazywano „orientalistami”. Jakkolwiek ta sięgająca osiemnastego wieku konwencja była znana w całej Europie, to jej nurt erotyczny szczególnie buj-

nie rozwinął się we Francji, gdzie tworzyli najbardziej cenieni wówczas malarze (Jean Auguste Dominique Ingres, Jean-Léon Gérôme, Frédéric Bazille, Paul-Désiré Trouillebert, Luis Riccardo Faléro czy Jean Lecomte du Nouÿ), u których zamawiali obrazy do swoich salonów czy gabinetów zamożni mieszczaństwo m.in. z Anglii i Stanów Zjednoczonych.¹⁶

Malarski orientalizm nie był kierunkiem w sztuce, który można zdefiniować na podstawie podobnych kryteriów formalnych jak manieryzm czy impresjonizm, lecz pewnym repertuarem zestandaryzowanych przedmiotów i sposobów ich przedstawiania, u podstaw którego leżała pewna poznawcza, ale też ideologiczna konstrukcja świata. Z tego punktu widzenia po pierwsze przedstawienia te – jak zostało wyżej powiedziane – należą do tego samego porządku co teksty literackie, publikacje naukowe czy relacje z podróży (rzeczywistych lub fikcyjnych), a po drugie, pełniej ujawnią swoje znaczenie, jeśli odrzucić pytania normatywnych estetyki i spojrzeć na nie z perspektywy socjologii wiedzy w tym sensie historycznej, że zakładającej nie tylko dystans czasowy, ale także historyczność konwencji moralnych związanych z nagością i seksualnością. „Pornografia” jest kategorią świadomości zbiorowej, a niejednoznaczna, dryfująca granica, za którą rozpościera się jej mroczne królestwo, może być rozumiana tylko przez odniesienie do współczesnego jej kontekstu społecznego, a więc m.in. ekonomicznego, politycznego czy obyczajowego.

Sublimacja stłumionych popędów

Już przy pierwszym niezbyt wnikliwym spojrzeniu zwraca uwagę wyjątkowa popularność erotyki w konwencji orientalnej w środowiskach mieszczańskich. Podejrzliwie traktując cielesność i uczucia jako żywioły potencjalnie wyrwywające się spod kontroli rozumu, a więc sprzeczne z ideą racjonalizacji interakcji społecznych¹⁷ spychano seksualność w sferę tabu, wykluczenia z publicznego dyskursu, przez co budziła ona tym większe emocje – zakaz i rozkosz wzajemnie się warunkują.¹⁸ Jak zauważa Said, „w dziewiętnastowiecznej Europie, z jej postępującym *embourgeoisement*, seks został w bardzo znaczącym stopniu zinstytucjonalizowany. Z jednej strony nie istniało wówczas coś takiego jak »wolny« seks, a z drugiej, seks w towarzystwie pociągał za sobą sieć prawnych, moralnych, a nawet politycznych i ekonomicznych zobowiązań bardzo szczególnego i z pewnością bardzo obciążającego rodzaju”¹⁹. Z tego punktu widzenia Wschód kusił „innym typem seksualności, być może nieco bardziej libertyńskiej i nie wzbudzającej poczucia winy”²⁰.

W świecie przesiąkniętym swego rodzaju frustracją wynikającą z niemożności względnie swobodnego artykułowania przekonań i odczuć związanych z seksualnością, orientalizm stwarzał instytucjonalne przyzwolenie na obecność nacechowanej seksualnie nagości w prze-

⁹ Por. Lady Mary Montagu, *L'islam au péril des femmes. Une Anglaise en Turquie au XVIIIe siècle*, opr. A.-M. Moulin, P. Chuvin, La Découverte, Paris 2001.

¹⁰ Por. P. Pia, *Dictionnaire des sùvres érotiques*, Mercure de France, Paris 1971.

¹¹ Por. Cl.-P. Jolyot de Crébillon, *Sofa. Baśń moralna*, przeł. i wstęp: A. Siemek, PIW, Warszawa 1987.

¹² Szajch An-Nafzawi, *Ogród rozkoszy*, przeł. I. Lisowicz, Muza, Warszawa 2009, s. 5. Na marginesie warto odnotować decyzję polskiego wydawcy, żeby nazwy narządów płciowych oddać za pomocą mało czytelnych archaizmów (np. „wulwa”); jak widać czternastowieczny arabski tekst może się dziś wydawać zbyt śmiały w swej bezpośredniości.

¹³ Tamże, s. 6.

¹⁴ Por. np. Wacyf Boutros Ghali, *Les perles éparpillées. Contes et légendes arabes*, il. A. Styka, Chulliat, Paris 1923. W tej efektownie ilustrowanej książce znajdziemy opisy sytuacji, w których „mężczyźni i kobiety rzęli, wierzgali i parzyli się jak konie na łące” (s. 91).

¹⁵ Norma słownikowa wskazywała jednak na „nieerotyczne” znaczenie słowa; por. np.: *Dictionnaire de l'Académie Française*, wyd. VII, Librairie de Firmin-Didot et Cie, Paris 1878, t. II, s. 293.

¹⁶ Por. L. Thornton, *La femme dans la peinture orientaliste*, ACR Édition, Paris 1993; Ch. Peltre, *Orientalism in Art*, przeł. J. Goodman, Abbeville Press Publishers, New York-London 1998; Ch. Peltre, *Orientalisme*, Éditions Terrail, Paris 2004.

¹⁷ Por. M. Ossowska, *Moralność mieszczańska*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1985.

¹⁸ Por. G. Bataille, *Erotyzm*, przeł. M. Ochab, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2007, s. 106.

¹⁹ E.W. Said, *Orientalizm*, przeł. M. Wyrwas-Wiśniewska, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2005, s. 272.

²⁰ Tamże, s. 272.

strzeni galerii sztuki czy mieszczańskiego salonu. Wiele wskazuje na to, że ta obecność nigdy nie przestała być dwuznaczna – z jednej strony wizerunki nagich kobiet w miejscach i w pozach jednoznacznie sugerujących kontekst seksualny zapewne wywoływały w oglądających nie tylko, a w każdym razie nie przede wszystkim podziw dla warsztatu malarza, z drugiej ta zaangażowana kontemplacja umysłem i ciałem²¹ była możliwa właśnie dlatego, że została oficjalnie zdefiniowana jako nieseksualna.

Jak to się jednak dzieje, że ta dwuznaczność jest możliwa?

Obietnica prawdy

Pragnienie zdjęcia odzieży z „orientalnej kobiety”, które niejednokrotnie zostaje wyrażone wprost w niezliczonych relacjach z podróży i którym żywią się przedstawienia „odalisek”, wpisuje się w szersze pojęte dążenie do zerwania wielorako materializującej się przesłony ze świata Orientu. To co pozostaje w niewypowiedzianym domyśle w malarstwie, dyskursywną postacią przyjmuje w relacjach z podróży. Gérard de Nerval jak wielu innych przed nim i wielu po nim wyrażał stan podniecenia, napięcia wynikającego z niewiedzy o tym, co skryte: „Ze wszystkich miast Bliskiego Wschodu w Kairze kobiety najzazdrośniej kryją się za osłoną kwefu. [...] Egipt, poważny, i nabożny, pozostał krajem zagadek i tajemnic; piękność otaczają tak jak dawniej zasłony i opaski, a ta posępna surowość łatwo zniechęca płochego Europejczyka. [...] Wyobraźnia znajduje szerokie dla siebie pole w tym incognito kobiecych twarzy, owo incognito bowiem nie rozciąga się na wszystkie wdzięki. Piękne dłonie, zdobne w pierścienie-talizmany i srebrne bransolety, niekiedy białe jak marmur ręce wychylają się z szerokich rękawów podniesionych powyżej ramienia; białe stopy, z których babusze spadają za każdym krokiem, a smukłe kostki obwieszane obręczkami dzwonią srebryście – oto, co wolno nam podziwiać, czego wolno się domyślić, co wolno podpatrzeć”.²² Odkrywanie tajemnicy, odślanianie tego co skrywane zakłada dążenie do poznania prawdy, która – w myśl utartego zwrotu – jest naga. To pragnienie penetracji nagiej prawdy uprawomocnia nagość kobiecego ciała i jego pożądanie.

Podobne pragnienie odślaniania, ale wyrażone o wiele bardziej dosłownie, ożywia też Gustave’a Flauberta. We wspomnieniach ze swojej „orientalnej” podróży zdaje sprawę z wizyty u Kuchiuk-Hanem, tancerki znanej z dość swobodnych obyczajów. Wykonuje ona na jego oczach „taniec pszczoły”, który jest opowiadaniem za pomocą silnie skonwencjonalizowanych gestów o tym, jak pewna dziewczyna idąc drogą zostaje zaatakowana przez pszczołę próbującą ją użądlić i za pomocą zdjętej z siebie chusty stara się osłonić przed ukąszeniem kolejne zagrożone części ciała, aż w końcu prosi o pomoc uczynnego wędrowca. W trakcie tańca publiczność rytmicznie powtarza: „Oto pszczoła!” Flaubert nie próbuje pojąć tego, co się na jego oczach dzieje, nie rozumie ani wypowiedzanych słów, ani wykonywanych gestów, w jego oczach Kuchiuk-Hanem, ta

„bardzo zepsuta, ruchliwa, pełna życia, mała tygrysyca”²³ wykonuje rodzaj striptizu zwanego lokalnie „pszczołą”, który nie jest niczym więcej niż pierwszym krokiem do seksualnego zbliżenia. „Poplamilem dywan”²⁴ – stwierdza lakonicznie i relacjonuje dalej: „Drugi raz z Kuchiuk. Tuląc ją w ramionach, czułem jej okrągły nąszyjnik pod zębami. Wytrysnąłem w jej cipie jakby wyszcianej aksamitem. Poczułem się jak dzikus”.²⁵

Opowieść Flauberta wyraża nienasycone pragnienie obnażania, przełamywania napotykanego oporu.²⁶ Stosunek seksualny jest dla niego wtargnięciem w inność, dotarciem do tego co skrywane, trzymane w sekrecie. Porównanie do „dzikusa” wydobywa gwałtowny, graniczący z przemocą charakter tego doświadczenia.²⁷ Relacjonując spotkanie z inną kobietą pisze: „muzulmańska kobieta jest zabarykadowana, zawiązane spodnie bez żadnego otworu utrudniają ręczne igraszki. Nie rozpięła swojego zielonego, wyszywanego złotem kaftanu; dała mi znak, że bołą ją piersi i dlatego kaszle, ale cała reszta wnet została obnażona. Jej ciasny kaftan sprawiał, że jej piersi stykały się ze sobą. Położyliśmy się na macie – jędrne i zdrowe ciała, pośladki z brązu [...], ogolone owłosienie. Jej cipa sprawiała wrażenie wytrawnego smalcu”.²⁸

Na podstawie nocy spędzonej z Kuchiuk-Hanem, podczas której, jak się chwali, „oddał pięć strzałów i trzy razy dał sobie obciągnąć”²⁹, Flaubert zdążył poznać prawdę o wszystkich kobietach Wschodu: „Kobieta orientalna – pisze 27 marca 1853 roku w liście do Louise Colet – jest maszyną i niczym więcej; nie odróżnia w żaden sposób jednego mężczyzny od innego. Palić, chodzić do łaźni, malować sobie powieki i pić kawę – taki jest krąg zajęć, w którym obraca się jej istnienie. Jeśli chodzi o przyjemność fizyczną, musi ona być bardzo lekka, ponieważ obcina się im wcześniej ten sławny pączek, gniazdo tejże”.³⁰ W relacji Flauberta widać nie tylko to, że ujmowane w sposób esencjalistyczny Arabki są dla niego „niczym więcej” niż „maszynami” służącymi zaspokojeniu męskich potrzeb seksualnych, ale także poczucie ich paradoksalnej niedostępności, niemożności zaistnienia w ich oczach jako zindywidualizowany podmiot.

Nagość i seks nie znoszą kulturowej bariery, ale czynią ją jeszcze bardziej odczuwalną; granica między „ja” a „nie-ja” wydaje się więc zasadać na różnicy o charakterze substancjalnym – pozbawiona wszelkich materialnych znaczników odmienności kulturowej, po wielokroć wzięta w posiadanie „kobieta orientalna” wciąż pozostaje obca, potwierdzając „fenomen obojętności świata”.³¹ Użycie w tym kontekście słowa „maszyna” może być rozumiane nie tylko jako przywołanie jej „mechaniczności” i „bezduszności”, ale także jako mimowolne odniesienie do kartezjańskiego przekonanania na temat zwierząt,

²³ G. Flaubert, *Voyage en Orient (1849-1851). Égypte – Liban-Palestine – Rhodes – Asie Mineure – Constantinople – Grèce – Italie*, opr. i wstęp: Cl. Gothot-Mersch, Gallimard, Paris 2006, s. 134-135.

²⁴ Tamże, s. 135.

²⁵ Tamże, s. 135.

²⁶ Por. A. Buisine, *L'Orient voilé*, Zulma, Cadeilhan 1993, s. 120.

²⁷ Por. Y.-H. Bonello, *Le secret*, Presses Universitaires de France, Paris 1998, s. 116.

²⁸ G. Flaubert, *Voyage en Orient...*, wyd. cyt., s. 87-88.

²⁹ Tenże, *Les lettres d'Égypte*, opr. A. Y. Naaman, Nizet, Paris 1965, s. 242.

³⁰ Tenże, *Correspondance. Troisième sèrie (1852-1854)*, Louis Conrad, Paris 1927, s. 135.

³¹ Por. L. Kotakowski, *Obecność mitu*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1994.

²¹ Por. M. Merleau-Ponty, *Fenomenologia percepcji*, przeł. M. Kowalska, J. Migasiński, Fundacja Aletheia, Warszawa 2001, rozdz. pt. *Ciało jako byt płciowy*.

²² G. de Nerval, *Podróż na Wschód*, przeł. J. Dmochowska, wstęp: M. Czerwiński, Czytelnik, Warszawa 1967, s. 11-12.

w myśl którego są one właśnie maszynami, ponieważ – w odróżnieniu od ludzi – nie posiadają duszy. W tej perspektywie „kobieta orientalna” byłaby tyleż maszyną, co zwierzęciem, a więc bytem innym fundamentalnie.

Obietnica piękna

Erotyzm jednego z nurtów dziewiętnastowiecznego malarstwa orientalistycznego, jeśli wziąć pod uwagę śmiałość przedstawień i ich tematykę, nieraz ocierał się o pornografię, tym wyraźniej, że obrazy te powstawały i funkcjonowały w społeczeństwie mieszczańskim podejrzliwie traktujących cielesność, a zwłaszcza seksualność. Orientalizm jako kategoria opisująca rezultaty czynności uznawanych za artystyczne dawał tym scenom, niejednokrotnie perwersyjnym, pozór artyzmu, przez co wyłączał je z pola ocen moralnych i włączał w pole waloryzacji estetycznych. David Freedberg w nieco innym kontekście stwierdza: „Jeżeli twórcy i dostarcyciele pornografii (i realizmu) chcą, by pornografia, którą uprawiają, stała się akceptowalna, jeżeli mają świadomość istnienia potrzeby jej konsumowania i posługiwania się nią, by wzbudzić podniecenie, to mogą sprawić, żeby wyglądała jak sztuka, co też zresztą robią – zwłaszcza wówczas, gdy konsumujące ją społeczeństwo pogrążone jest w mieszczańskie moralności opartej na stłumieniu, wyparciu i represji”.³² Przykładowo – Ingres umieszczał na tych swoich płótnach, które były jawnie erotyczne, motywy pozwalające przynajmniej odpowiednio wykształconej części publiczności interpretować je jako grę z tradycją sztuki.³³

Z tego punktu widzenia orientalizm był konwencją funkcjonalnie podobną do różnych odmian klasycyzmu wykorzystującego motywy czerpane z mitologii greckiej czy rzymskiej. W drugiej połowie XIX wieku źródłem takich konwencjonalnych kostiumów, w które przyodziewano seksualność, była także Biblia. Na marginesie można wspomnieć, że w paryskim Musée d'Orsay, w stosunkowo rzadko dziś odwiedzanej sali ze sztuką akademicką można zobaczyć m.in. dwie rzeźby Eugène'a Delaplanché'a. Pierwsza – zatytułowana *Ewa przed grzechem* – ukazuje nagą kobietę i oplatającego się wokół niej węża, którego wzniesiona głowa o fallicznym kształcie zbliża się do jej łona, przez co oglądający może mieć uzasadnione wątpliwości, o jaki rodzaj grzechu chodziło artyście. Druga nosi tytuł *Vierge au lys*, który jest nieprzetłumaczalną grą słów; dosłownie znaczy tyle co „dziewica/dziewczyna z lilią”, ale wyrażenie *au lys* („z lilią”) w wymowie brzmi niemal identycznie jak *au lit* („w łóżku”), a ponadto *vergie* to słowo używane w podobnych kontekstach jak polskie wyrażenie „Maria Panna” czy „Najświętsza Panienska”. Tym bardziej zwraca uwagę, że ta dziewczyna trzyma oburącz lilię, symbol kojarzony m.in. Marią czy ze zwiastowaniem, w ten sposób, że koniec lekko zakrzywionej łodygi charakterystycznym gestem zbliża do waginy, co przywodzi na myśl masturbację czy wręcz – w kontekście tytułowego słowa „dziewica” – autodeflację.

Taka ryzykowna gra z pornografią, a nieraz i z bluźnierstwem przy założeniu, że oficjalnie ma się bronić

jako realizacja wartości estetycznych czy poznawczych i przez to zachować status publicznej, nie może przekroczyć pewnych granic norm obyczajowych. Na obrazach orientalistów nie znajdziemy scen kopulacji, a nawet zbyt jednoznaczne jej ślady mogły wywołać oburzenie stawiające pod znakiem zapytania instytucjonalne przyzwolenie dla tej gry. Widać to na przykładzie reakcji na obraz pt. *Rolla* Henriego Gervexa (1878) przedstawiający leżącą w nieładzie dziewczynę, która dopiero co miała orgazm. Nieco mniej dosłowny jest Benjamin-Constant, który na płótnie zatytułowanym *Muzulmański księżę* (1884) ukazuje m.in. spoczywającą na łożu kobietę przepojoną seksualną rozkoszą, podczas gdy druga – jeszcze nie zaspokojona – wypina piersi i pośladki, spoglądając pożądliwie na swojego pana.³⁴

Podobnie można interpretować także takie szczegóły anatomiczne jak brak owłosienia łonowego – upodobnienie w ten sposób do klasycystycznych przedstawień postaci mitologicznych dostarcza argumentu, że chodzi tu przede wszystkim o sztukę. Szczegół ten w niektórych przypadkach można jednak interpretować jako sugestię bardzo młodego wieku ukazywanych w ten sposób dziewcząt, ale wiele wskazuje na to, że bardziej liczyła się w tym przypadku konwencja, w myśl której ukazywanie owłosienia łonowego było dość jednoznacznie związane z pornografią (a o brak tej jednoznaczności właśnie chodziło twórcom i odbiorcom). Względnie dopuszczalne było też w przypadku dzieł prezentujących ciała rzeczywistych modelek, ale wówczas nie można było publicznie pokazywać tych prac.³⁵

Voyeur i uczestnik

Erotyczne przedstawienia kobiet zamieszkujących haremy i odwiedzające hamamy można podzielić na takie, które zawierają postać dominującego mężczyzny i takie, które są go pozbawione. W pierwszym przypadku przyjemność patrzącego oparta jest na podglądaniu cudzego intymnego życia; orientalny koloryt dostarcza swego rodzaju usprawiedliwienia tworząc pozór poznawczych, dziś powiedzielibyśmy „etnograficznych” walorów przedstawienia. W drugim przypadku patrzący wchodzi w rolę nieobecnego na płótnie posiadacza kobiet. To przed nim prężą się obnażone piersi i pośladki, to w jego stronę rzucają się zachęcające spojrzenia tych, które każdym gestem podkreślają swoje bezgraniczne oddanie. Odwrócona tyłem naga kobieta w pozycji półleżącej ukazana na słynnym obrazie Ingresa pt. *Wielka odaliska* (1814) spogląda przez ramię prowokacyjnie trzymając w dłoni spoczywającej na biodrze wachlarz z pawich piór o wydłużonej rękojeści. Inny obraz tego artysty (*Kąpiąca się*, 1808) pozwala patrzeć być może z ukrycia na siedzącą na łóżku dziewczynę starannie wycierającą się po kąpielu.

Toalety orientalnych kobiet stanowi osobny nurt tego typu malarstwa. Motyw ten pozwala ukazywać w jednej scenie wiele nagich kobiet – o różnym typie urody i w różnych pozycjach. Najbardziej znane są pod tym względem płótna Jeana-Léona Gérôme'a.³⁶ Zmysłowość tego rodzaju przedstawień wzmaga często obecność przedmiotów odwołujących się wyobrażeń smakowych czy zapachowych – owoców, herbaty, na-

³² D. Freedberg, *Zmysły i cenzura*, w: tenże, *Potęga wizerunków. Studia z historii i teorii oddziaływania*, przet. E. Klekot, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2005, s. 359.

³³ J.L. Connolly Jr., *Ingres and the erotic element*, w: *Woman as sex object: studies in erotic art, 1730-1970*, red. Th.B. Hess, L. Nochlin, Newsweek Publishers, New York 1972.

³⁴ Por. L. Thornton, *op. cit.*, s. 126-129.

³⁵ Por. tamże, s. 86-87.

³⁶ Por.: G.M. Ackerman, *La Vie et l'Œuvre de J.-L. Gérôme*, ACR Édition, Paris 2000.

rgili czy papierosów – a także występujący pod wieloma postaciami pozornie nieerotyczny dotyk. Edouard Debat Ponsan (*Masaż, scena z hamamu*, 1883) pokazuje nagie, bezwładne ciało białej kobiety masowane przez czarnoskórą niewolnicę rozebraną od pasa w górę. Gra opozycjami czerń-biel, siła-słabość, aktywność-bierność wydobyla seksualny potencjał tej sceny.

Seksualność skolonizowana

Odaliski, przynajmniej te na pierwszym planie niemal zawsze są kobietami rasy białej, co więcej – z rzadka miewają rysy wskazujące na semickie pochodzenie. Zdecydowaną większość z nich można by podejrzewać o to, że ich rodzice byli Francuzami, Włochami czy Niemcami. Za to mężczyźni dość jednoznacznie są obcy. Podkreśla to zarówno strój (w odróżnieniu od kobiet są ubrani) zawierający sygnały inności, ale także ciało – kolor skóry (od lekko śniadego po czarny, ale prawie zawsze ciemniejszy niż w przypadku kobiet) i kształt twarzy (semickie albo turkmeńskie rysy: wyrazisty, haczykowany nos, wydłużone kości policzkowe, mięsiste usta, „orientalny” zarost). Mordy i przymusowe samobójstwa, jakie dokonują się w haremach, przebiegają według schematu, że ofiara jest białą, „europejską” kobietą, a bezpośredni lub pośrednim sprawcą właśnie „obcy” mężczyzna albo ciemnoskóra – zapewne zazdrośna – kobieta.

Na pojedynczych płótnach zwracają uwagę wyeksponowane znaki przynależności religijnej nagich kobiet. Namalowany na czole, jak na jednym z obrazów Matisse'a, bądź zwisający między nabrzmiałymi piersiami krzyż – „między dwiema wystawion łotrami”³⁷ – przypomina, że oto „nasze” – rasowo i religijnie, a więc i politycznie – kobiety posiadają „obcy”, którzy na domiar złego są „dzicy” i bardzo bogaci. Można w tym odnaleźć – niezbyt subtelne – uprawomocnienie kolonizacji: nie tylko powinniśmy nieść związane z zachodnioeuropejską cywilizacją światłe idee postępu i społecznej emancypacji w świat barbarzyństwa, ale także czeka nas za to nagroda w ziemskim raju – bogactwo dzikich i niechybna wdzięczność wyzwolonych spod ich tyranii kobiet.

Zmiana medium

Sposoby przedstawiania kobiet właściwe malarstwu orientalistycznemu przejęła fotografia. Dzięki temu wynalazkowi wizerunki „typowych” kobiet „Wschodu” czy „Południa” pojawiły się na kartkach pocztowych, jakie mogli nabywać pracujący lub wypoczywający w Algierii czy Maroku Francuzi. Medium to sprawiło, że kobiety te stawały się bliższe, dostępne – także w sensie finansowym, przez co kontakt z przedmiotem pożądania stawał się bardziej intymny, osobisty, cielesny, a więc dostarczał przyjemności, która w przypadku obrazów nawet niezbyt znanych malarzy była jednak dość ekskluzywną. Indywidualizowana relacja między kupującymi fotografię a tymi, które one przedstawiały, była jeszcze bardziej bezpośrednią zachętą do tego, żeby pojąć te kobiety i przez to potwierdzić swoje panowanie nad ludami, które reprezentowały, do tego, żeby poddać penetracji kraje, z których pochodziły. W tym sensie orienta-

lizująca erotyka i pornografia umożliwiająca panowanie nad „innym” ciałem kobiety, a przez to – nad „innym” ciałem społecznym, była przedłużeniem ekonomicznej i politycznej relacji kolonialnej.³⁸

Podobnie jak w przypadku malarstwa orientalna stylizacja zdjęć nagich kobiecych ciał osiągnięta za pomocą rekwizytów budujących pozór „sceny rodzajowej”, była skutecznym sposobem na uniknięcie oskarżeń ze strony cenzury o szerzenie pornografii. Kartkę pocztową z nagą Algierką można było wysłać tak samo jak pocztówkę z fotografią egzotycznego zwierzęcia. Anatomia „orientalnej” kobiety należała do porządku zoologii i z tego punktu widzenia stanowiła część większego konstruktów poznawczego, w myśl którego na wystawach światowych wśród surowców i produktów pochodzących z kolonii, pokazywano także nieznanne w Europie gatunki zwierząt oraz „typy ludzkie”³⁹, a w popularnonaukowych pismach angielskich czy francuskich opisywano budowę ciała różnych gatunków małp obok analizy proporcji twarzy na przykład „negroidalnej”.

Heteroseksualizm

Orientalizm zdecydowanie przedkładał heteroseksualizm nad inne postaci erotyki. Mężczyźni są tu cieleśnie prawie nieobecni w tym sensie, że nie na nich skupiona jest uwaga. Także w tych przedstawieniach, gdzie mamy do czynienia ze scenami zbiorowymi o zdecydowanej przewadze liczebnej mężczyzn, na przykład w scenach handlu niewolnicami, to nie oni są najważniejsi. Do wyjątków należą takie obrazy jak *Zaklinacz węży* (1880) Gérôme'a, na którym widzimy odwróconego tyłem kilkuletniego nagiego chłopca, wokół szyi którego oplata się wąż. Opodal siedzi grupa ubranych „orientalnie” mężczyzn w średnim wieku, z których jeden – tytułowy zaklinacz – gra na klarncie w ten sposób, że jego wylot zmierza w stronę ciała chłopca na wysokości jego bioder, co może być aluzją do pieszczoty oralnej – tym bardziej naruszającą społeczne tabu, że dotyczącą osoby, która w sposób oczywisty jest dzieckiem.

Znikoma liczba tego rodzaju przedstawień może być wyjaśniona przez odniesienie do wewnętrznej logiki „orientalizmu”. Bierna, jednoznacznie seksualna kobieta jest obietnicą posiadania Wschodu, poddania go swej władzy, pozostałe składniki tego konstruktów – rodząca nieprzewidywalne sytuacje dzikość, zwierzęca siła, materialne bogactwo, skrycie za nieprzezroczystą zasłoną obcej cywilizacji – przypadają mężczyznom. W obrębie tego sposobu myślenia są oni potrzebni przede wszystkim jako właściciele i strażnicy złotych klatek, w których przetrzymywane są kobiety.

ROMAN CHYMKOWSKI

³⁷ A. Morsztyn, *Na krzyż na piersiach jednej panny*, w: *I w odmiannach czasu smak jest. Antologia polskiej literatury epoki baroku*, opr. J. Sokółowska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1991, s. 396.

³⁸ Por. G. Boëtsch, *La Mauresque aux seins nus. L'imaginaire érotique colonial dans la carte postale*, w: *Images et colonies (1880-1962)*, red. P. Blanschard, A. Chatelier, Syros, Paris 1993; M. Alloula, *The Colonial Harem*, przeł. M. i W. Godzich, University of Minnesota Press, Minneapolis 1986; G. Boëtsch, J.-N. Ferrière, *Contre Alloula, le harem colonial revisité*, w: *L'image dans le monde arabe*, red. G. Beaugé, J.-Fr. Clément, CNRS Éditions, Paris 1995; L. Sebban, Ch. Tarraud, J.-M. Bolorgey, *Femmes d'Afrique du Nord. Cartes postales (1885-1930)*, Bleu autour, Saint-Pourçain-sur-Sioule 2002.

³⁹ Por. *Zoos humains. Au temps des exhibitions humaines*, red. N. Bancel, P. Blanchard, G. Boëtsch, É. Deroo, S. Lemaire, La Découverte, Paris 2004.

XII REALITY SHOPKA SZOŁ

Są politycy śmieszni ze swej natury, ale jest tak prawdziwie i naturalnie, gdy wystąpią na scenie. Krakowski Teatr Groteska dwunasty już raz przedstawił spektakl *REALITY SHOPKA SZOŁ*. W tym roku ogłoszono ze sceny powstanie ugrupowania Shopka Jest Najważniejsza, któremu patronuje hasło „SJN dzieli naród”. Wystąpili między innymi dobrze już znani Jacek Majchrowski, Tadeusz Cymański, Andrzej Dera, Beata Kempa, Paweł Kowal, Paweł Poncyliusz (w tercecie z jedną koleżanką), Bogdan Pęk, Elżbieta Radziszewska, Joanna Senyszyn, Jerzy Wenderlich, Jacek Kurski, Zbigniew Ćwiąkalski i Stanisław Bisztyga, zadebiutowali zaś między innymi: Joanna Kluzik-Rostkowska, Adam Hofman, Stanisław Bury, Eugeniusz Grzeszczak. Nie pokazali się dobrze znani polskiej publiczności satyrycy Joachim Brudziński, Stefan Niesiołowski oraz paru innych, ale znakomity program i tak trwał za długo... Spośród blisko trzydziestu kupletów, piosenek na znaną nutę, recytacji, dialogów i monologów wybraliśmy zaledwie pięć.

GOLASY WELCOME TO

tekst: **Paweł Szumiec**
wykonanie: **Stanisław Bisztyga** (PO, b. senator)
(na melodię *Chałupy welcome to*)

I.
Co kadencję na Wiejskiej
W atmosferze wręcz sielskiej
Siada ten i ów
Lecz w tym roku szczególnie
Będzie tutaj przytulnie
Bo prócz świętych krów
Bo prócz tych od Rydzika
Którzy wiedzą jak bzykać
By to nie był grzech
Siadła Grodzka z Biedroniem
Co złym uczuciem płonie
Wywołując śmiech

Refren

Golasy welcome to
Golasów ani rusz
Nadchodzą czasy
Kiedy golasy
Rząd będą mieli dusz

Golasy welcome to
Ty w swetrze bywaj zdrów
Golasów prawa
Ujmie ustawa
Golasy welcome to

II.
Każdy poseł dziś w sejmie
Wierzchnie odzienie zdejmie
To ustawy treść
Będą w stroju Adama
Debatować od rana
Nago spory wieść
Lecz w ustawie tej treści
Błąd poważny się mieści
Bo któż będzie mógł
Równym oddychać tempem
WidząBc Beatę Kempę
Jak ją stworzył Bóg

Refren

Golasy welcome to
Golasów ani rusz
Nadchodzą czasy
Kiedy golasy
Rząd będą mieli dusz

Golasy welcome to
Ty w swetrze bywaj zdrów
Golasów prawa
Ujmie ustawa
Golasy welcome to

Golasy welcome tu
To nie jest żaden ból
Bo z Kaczyńskiego
Choć ubranego
Jest przecież nagi król

Golasy welcome to
Tu nie potrzeba słów
W sejmie narady
I sexparady
To będzie jeden chów

Golasy welcome to
Ty w swetrze bywaj zdrów
Sejm będzie plażą
Z poselską gażą
Golasy welcome tu

Golasy welcome to
Gdzie rzną tam leci wiór
Przyśniło mi się
By każdy w PiS-ie
Rozebrał się z swych bzdurow

ROZBITEK NA ZIELONEJ WYSPIE

tekst: **Mariusz Parlicki**
 wykonanie: **Zbigniew Ćwiąkalski**
 (b. minister sprawiedliwości)

Przybyłem na Zieloną Wyspę
 niczym Robinson (bez Piętaszka),
 więc służyć mi musiała jeno
 wraz ze mną ocalała flaszka.

Wyspa niezwykle mnie zdumiała,
 autostradą w pół urwaną,
 stadionem gdzie nie rosta trawa
 i sianą w krąg marihuaną.

Pociągi wolniej tu jeździły
 od tych na Rynku Głównym bryczek,
 a prokurator w telewizji
 przestrzelił zgrabnie swój policzek.

Podwładny beszał tu zwierchnika
 i miał uznanie prezydenta,
 szef opozycji maszerował
 tak w dni powszednie, jak i w święta.

Tu transmisyjny wóz zapłonął,
 tam świsnął koktajl Mołotowa,
 bo tu się liczą bardziej czyny
 niżeli bez znaczenia słowa.

Sejm jak ustawę przyjął w czwartek
 to w piątek ją nowelizował,
 a po weekendzie już nad drugą
 nowelizacją debatował.

Minister Bartek – spec od zdrowia
 wciąż nowych reform miał koncepty,
 no a pacjenci zażywali
 tutaj nie leki... lecz recepty.

Szef opozycji grzmiał codziennie,
 o nowym niebywałym chamstwie,
 o kondominium rusko-pruskim,
 o służalczości i poddaństwie.

Palikot dumnie palił jointa,
 Rydzyk ogłosił się Kordeckim,
 Kubicy dał relikwie Dziwisz,
 a knebel w ustach miał Boniecki.

Wyspę tę słusznie zwą zieloną,
 zieloni są tu ludzie prości,
 a w kwestii prawa jest zielony
 nawet minister sprawiedliwości.

Zostanę tu gdzie co dzień absurd
 nowy wyrasta i zakwita,
 a poziom życia leci z górki,
 jak Premier Tusek w Dolomitach.

KALENDARZ NOWYCH ŚWIĄT

tekst: **Mariusz Parlicki**
 wykonanie: **Eugeniusz Grzeszczak**
 (PSL, wicemarszałek Sejmu)

Jedenasty listopada, czy trzynasty grudnia
 świętujący tłum ulice Warszawy zaludnia,
 kostki bruku, jak confetti, czasami latają,
 do radości niezbyt wiele dni Polacy mają.

Proponuję więc by mali i duzi Polacy
 mieli więcej dni od szkoły wolnych i od pracy.
 Więcej trzeba dni świątecznych wlepić w kalendarze.
 Jakie święta czas wprowadzić? Chętnie wam pokażę.

Palikota Ruch słyszałem, że się dziś upiera,
 aby jeden dzień co miesiąc był Świętem Dealera.
 Wraz z tym świętem raz do roku może też zagościć
 Dzień Ściganych Posiadaczy Niewielkiej Ilości.

Grupa byłych członków PiS-u, dziś z Ziobrą zbliżonych
 chce mieć inny dzień świąteczny – Święto Wypędzonych.
 Pomysł świetny, więc nie trafi jak ich list, do kosza.
 Wypędzonych Święto będzie po Dniu Listonosza.

Adam Hofman do Ziobrystów krzyczy, że to kpiny
 bo z Błaszczakiem chce obchodzić Święto Wazeliny.
 Ja mam jednak inny pomysł, by Pana Hofmana
 chłopci polscy czcili podczas Tygodnia Barana.

Święto Starych Wyjadaczy chce wprowadzić Miller
 lecz to święto w Dzień Grabarza może przejść za chwilę.
 Gdy to mówię towarzyszom z oczu płynie łezka,
 od pół roku mają Święto Leżących na Deskach.

Będzie też Dzień Paprykarza i Święto Starucha,
 Tydzień Modlitw by Platforma Wyzionęła Ducha
 Świętem będzie Miesiąc Walki o Immunitety
 oraz Dzień Dna, które bardzo skrzywdziło kobiety.

W sprawie święta koalicji Pawlak Tuska spotkał.
 Ustallili, że tym świętem będzie Dzień Kłopotka
 Innych świąt już z braku czasu tutaj nie wyliczę,
 no a dzisiaj niech się święci Dzień Pobożnych Życzeń.

W POLSKĘ IDZIEMY

tekst: **Mariusz Parlicki**
 wykonanie: **Jan Bury** (przewodniczący Klubu
 Parlamentarnego PSL)
 (na melodię *W Polskę idziemy*)

* * *

O głosy chłopów w polityce wciąż trwa bój,
 przed wyborami się obietnic leje zdrój,
 O głosy chłopów inteligent stara się,
 przed wyborami nawet gnój nie pachnie źle,
 a po wyborach chłop przeżywa wielki szok,
 polityk gdy go widzi nagle skręca w bok
 i choć miał walczyć o dopłaty i o KRUS
 to nagle mówi że,
 pomylił strasznie się

Twierdzi, że trzeba dowlalić chłopu nowe podatki,
zabrać dopłaty na spłaty raty, wprowadzić składki:
składki zdrowotne, emerytalne i jeszcze inne.
Biedni, bogaci – niech każdy płaci – chłopy są silne

A kto nie silny niechaj czym prędzej siły nabierze,
i niech nie pyta się jak żyć dalej Panie Premierze,
bo nie odpowie mu na to dzisiaj Tusek i Kaczor,
bo za ich diety, chłopy niestety, wspólnie zapłacą

Palikot Janusz dla rolnictwa ma swój plan
marihuany łany oraz maku łan,
Kaczyński o uprawy papryk martwi się,
a Napieralski z rolnikami obiad je,
Tusk na dożynkach czule ściska żytni chleb,
a potem wszyscy wespół dadzą chłopom w łeb
bo każdy po wyborach ma już inny cel
a z chłopem tylko jest
jak zawsze PSL

Bo tylko Pawlak wsi nie zawiedzie walcząc z mozołem,
by chłop na korty szedł tenisowe za swą stodołę,
bo tylko Waldek nie zmienia nigdy barw swych i twarzy
twardy i dzielny, nasz wódz naczelny ogniowych
straży

Kiedy Palikot daje rolnikom sztachnąć się skrętem,
gdy paprykarzom Kaczor zaręcza, że da im rentę,
gdy Napieralski rozdaje gruszki z wierzby zerwane
to nie nabierzcie się na tę szopkę chłopy kochane

Ten obiecuje modernizację, tamten gaz w łupkach,
a po wyborach nic nie pamięta, udaje głupka
Nie daj się chłopie nabić w butelkę, zrobić w balona
Ufaj ludowcom, bo oni wierni jak twoja żona

KRAKOWSKI KRASNAL

tekst: **Mariusz Parlicki**

wykonanie: **Jacek Majchrowski** (prezydent Krakowa)

Pod grzybem kiedyś siadywał krasnal,
a dziś nad grzyba krasnal wyrasta.
Skąd ta przemiana? Krasnali rasa
rośnie, gdy trzeba zacisnąć pasa,
a pas zacisnąć trzeba dziś w mieście,
więc krasnal pewnie urośnie jeszcze.

Nim się rozrosnę, pójdę na spacer.

Idę, a tutaj Schetyna płacze,
a wręcz wydaje nieludzkie wrzaski.
bo był marszałkiem, a jest bez laski.
Mówię mu: – Grzesiu nie krzycz tak, a ja
kupię Ci laskę u Mitoraja
odlaną z brązu, i po kłopotach,
lub... bądź postanką u Palikota.
Palikot kiedyś z Tobą się czubił,
ale bez laski wnet Cię polubi.

Idę na Wawel, patrzę z oddali,
ktoś o wawelski mur głową wali.
Myślę kto niszczy te mury stare,
a to Spółdzielca – Grabarczyk Czarek.
Zganiłem Czarka za czyn kretyński,
bo mur Wawelu to nie mur chiński.
On mi wyjaśnił, że ten czyn dziki
sprowokowały dziś pekińczyki,
które przebiegły mu nagle drogę
i pod tym murem uniosły nogę.
To prowokacja, nieczysta gra.
– Ile ich było? – pytam. – A dwa.

Poszedłem dalej, przy Maszkaronach
w Janka Rokitę wtulona żona
płakała. On ją pocieszał: – Nelli,
lepszej od Ciebie w Sejmie nie mięli.
Już wkrótce znowu wrócisz na afisz,
Do Solidarnej Polski się zapisz
Tyś politycznie twórcza i płodna,
przy Tobie Wróbel to kurka wodna,
przy Tobie nawet Kempa jest błada,
bo nikt tak mądrze jak ty nie gada.
– Tak, przytaknąłem, bo trzeba było
weszprzeć tę piękną, choć ślepą miłość.

Wracam do domu, nagle ktoś krzyczy,
że chce pogadać w kwestii petycji.
Czytam petycję...
Biedroń z Nowicką chcą przemianować
ulicę Grodzką na Transwestycką.

Czmycham w te pędy,
wolę być retro, niżeli trendy.

Gdybym się zgodził plac Wszystkich Świętych
mógłby być placem z PiS-u Wyklętych,
i żeby eurosceptykom dopiec
mógłby Angeli być Wandy kopiec.
Mogłaby też chcieć Kurtyka Zuzka
ulicę Kupa zmienić na Tuska,
ktoś by na Śliskiej chciał mieć Hofmana
Macierewicza, zamiast Rejtana,
Leszka Millera zamiast Na Stoku
i Anodiny zamiast Pilotów,
Kamasza zamiast Żółtej Ciżemki.
Gdybym się zgodził, cierpiałbym męki,
więc się nie zgadzam, koniec i cisza.
Nie zrobię z Jana Pawła – Dziwisza,
Plac Sikorskiego nie będzie Radka
bo lepszy spokój jest, a nie jatka.

Być krasnoludkiem niełatwa sprawa,
tu mały problem, tam wielka wrzawa,
gdzie nie popatrzę, kogo nie spotkam,
widzę groteska, farsa i szopka.

Niedawno przebywałem w Ardenach, na granicy z Belgią, zatrudniłem się w niemieckiej hucie stali. Tam powstały „Kartki z dziennika kontraktowca”, które ślę do znanego mi „Zdania”, gdyż tam nigdy nie opublikowano moje grafiki...

Pozdrawiam serdecznie!

TOMEK BOHAJEDYN

KARTKI Z DZIENNIKA KONTRAKTOWCA

Dotarłem do swojego El Dorado. Klasyka. Zobaczyłem pokój z żelaznym łóżkiem bez pościeli i kibelem na zewnątrz... A jutro czeka na mnie huta w małej niemieckiej mieścinie. Dzień pierwszy!

Najdroższa, do pracy w hucie musiałem zdjąć obręczkę... Dziwne uczucie, po tylu latach... Podkreśliłem tym swoją klęskę!

Przez ostatnie miesiące malowałem ekspresjonistyczne abstrakcje – wizualizacje strachu...

Teraz mam okno w dachu z widokiem na stację kolejową i kościół, więc bicie dzwonów miesza się z turkotem przejeżdżających pociągów... Jestem na polskim kontrakcie w niemieckiej hucie. Poznałem już sól tej ziemi: hoplitów z hutniczej falangi. Nie znam jeszcze pracy. Nie rozumiem, co do mnie mówią, gdy opowiadają o produkcji... Dzisiaj o 15 poznam swoje możliwości.

Rdza jest wszędzie. Wdziera się w każdy zakamarek ciała. Pot żłobi w niej kanały i stygnie pod ubraniem. Ból nie stygnie. Narasta wciąż i wciąż, aż do końca dnia i trwa całą noc, zamiast snu.

Dnia widzę mało, a noce są w hucie na szczęście chłodne. Tęsknię. To normalne.

Pokolenie JP II

Na kontrakcie wszyscy jesteście oficjalnie ateistami, bo w Niemczech za przynależność do Kościoła płaci się podatek. W niemieckiej hucie pracujemy wydajnie na polskich warunkach. Żaden z nas nie jest rasistą – w weekendy preferujemy kolorowe kurwy w burdelach... Przedmurze!

Bóg jest pojęciem. My decydujemy o jego treści.

Niedzielne popołudnie na niemieckiej prowincji. Dobiągają mnie wypielęgowane posesje wokół. Regularnie przycięte trawniki, identycznie pomalowane domki... Zaczynam tęsknić za słowiańskim bajzłem, kolorowymi śmieciami w rowach przy drodze, pokrzywami i dzikimi śliwami i jabłoniąmi, między którymi stoją drewniane rudery i rdzewieją maszyny rolnicze... Za każdym zakrętem czeka zaskoczenie! A tutaj – bicie konia jedynie.

Stara Niemka w żółtej sukience tańczyła w parku między pijanymi mężczyznami. Mój towarzysz wskazał mi ją palcem, gdy jadąc do naszej huty mijaliśmy Bonn:

– Ale żulia się bawi!

Nie spodziewałem się, że pocieszenie przyniesie mi tutaj poezja Bukowskiego. Opisy pustostanów jego dni i nocy są lepsze od chlania wody. Mogę siedzieć i udawać, że oglądam telewizor, że słucham idiotyzmów... A tak naprawdę powtarzam sobie w myślach jego strofy: „w rozleniwionym meksykańskim powietrzu patrzyłem jak umiera byk”.

Zostałem tysięktyrymśtam znajomym Wernera Herzoga na Facebooku.

Za garść dolarów więcej

Przeczytałem list miłosny, który napisałem do Ciebie parę dobrych lat temu... Jeszcze nic nie wiedzieliśmy o życiu. O miłości. Teraz marzę o tym, żeby się z Tobą kochać. Wąchać Twoją nagość i całować Twoją nagość za wszystkie pieniądze, jakie uda mi się zdobyć, aby mieć spokój przez jakiś czas... Przeczytałem

list miłosny, który napisałem do Ciebie parę dobrych lat temu... Teraz znam reguły. Coś za coś.

Zasadzka. Chcesz zostać spadochroniarzem? Przeżyj noc Kurtz! Skacz na dno! Jądro ciemności, kurwa twoja mać! Poczuj rozgrzane żelazo na piersi! Wszystko dla miłości.

Granatowe filary nowo budowanej hali na tle jasnego prawie białego nieba wyrastają ponad szary budynek formierni, a na pierwszym planie zielone i pomarańczowe kontenery na śmieci. Mrużę oczy i robię z tego obraz ekspresjonistyczno-abstrakcyjny... Jeszcze tyk wody, kęs chleba i trzeba wracać na halę, gdzie czeka żelazo.

Mnich spotyka węża. Kto jest bliżej Boga?

Wrak parowca stał się niezwykle cennym habitatem dla jałowego dna.

Na halę huty wbiegła nagle sarna z zakrwawionym pyskiem. Przeskoczyła rozgrzane odlewy i znalazła wyjście na drugim końcu hali. Dopiero wtedy zobaczyliśmy sprawcę tego surrealistycznego zdarzenia – na pobliskim pagórku stał lis, który widząc ludzi przerwał pościg. Prawie pewna zdobycz ocalała dzięki piekłu...

Przerwa. Idziemy na stołówkę. Polacy siadają pod prawą ścianą; Niemcy pod lewą. Polacy brudni i w podartych w ubraniach jedzą i palą papierosy ze smętnymi minami, umęczeni pracą na akord. Niemcy w prawie czystych, jednolitych niebieskich uniformach gwarzą i jedzą ze spokojem ludzi będących u siebie. Wciąż to Westerplatte!

Żółte pudełko po tytoniu z rysunkiem głowy francuskiego żuawa przypomina mi przygody van Gogha i Gauguina w Arles. Ich „szaleństwa” tłumaczyły istotę tego świata. Gruby kontur oddzielał i wyodrębniał kolory.

Zabrałem z sobą zbiór wierszy Czechowicza, bo myślałem, że będzie w nim *Okręt* czyli *Dno*. Nie było, więc narysowałem wewnątrz U-boota i postawiłem w nim siebie w roli mechanika pokładowego. Jakie to śmieszne i surrealistyczne! Jestem na dnie, a stałem dzisiaj na wzgórzu i patrzyłem z niego na hutę – rdzawą plamę w morzu zieleni... Jutro znowu tam pójde i stanę przed nieznanymi mi zadaniami, nieopanowanymi dobrze maszynami i obcymi ludźmi, z którymi tworzę pokolenie – kolejne pokolenie dzikiego plemienia, które uważa się za wielki naród i głosi, że jedyne ma prawo do miana człowieka. Dzisiaj ogolić gęby nie dam rady!

Sen wreszcie nadchodzi. Snopy iskier zmieniają się w gwiazdy. Niewiele rozumiem. Niewiele potrafię. Jestem cywilizowany. Niestety.

Zardzewiały odlew leży pod ścianą z niebieskiej blachy w samo południe. Szczegóły piekła.

Być liczonym na deskach to dopiero horyzont poznawczy! Moja twarz w kubistycznej manierze pozostanie w lustrze na długo... Powodzenie u kobiet mam zapewnione, chociaż konto puste i umowa psia... Słowem – TRÓJKĄT.

Deszcz i zimno. Ależ cieszy taka pogoda blisko hutniczego pieca!

Ćma usiadła na moim rysunku. Dopełniła go.

Rdza wgrzyła się w moją skórę; już krąży w mojej krwi i zmienia moje myśli – automatyzuje przekaz... Stałem się przedłużeniem maszyny, moje dłonie układają się w zaciśki, moje ruchy są coraz bardziej określone i precyzyjne. Mogę wszystko! Mogę wskrzesić futurizm! Ognia!

Kobiety... Kobiety to podstawowy temat na każdej wojnie.

Łzy czyszczą oczy z rdzy. Żłobią w twarzy koryta rzek bez nazwy – rośnie amazońska dżungla... Ból – nagi nie zapomnę twojego dotyku i pieszczoty. Rdza...

Rdza. Jaki obraz pozostanie dzisiaj w pamięci? Te parę metrów z szatni na halę, kiedy się jeszcze nie wie, w jaki sposób będą krzyżować. Rdza. Żółte dłonie i nagłe przypomnienie chwili z dzieciństwa, kiedy strzelałem puszką z karabinem... Rdza.

Z nauki literatury w szkole najbardziej zapamiętałem sobie wiersz pewnego izraelskiego poety o wieży czołgu obracającej się w stronę pustyni, który przeczytałem na korytarzu w jakiejś gazecie, gdy zostałem wyrzucony z klasy za złe zachowanie.

Zobaczyłem wspaniały obraz! Granatową blachę zawieszoną do połowy czerwonej ceglanej ściany, przez której środek biegnie pionowo błękitna rura.

Światło i ciało. Mrok i ciało. Ból. Rdza i sperma...

Wrony kraczą od strony huty. Niedziela.

Zatrzymuję samochód pod remizą strażacką w niemieckim miasteczku. Wszędzie czysto, tylko moje myśli brudne. Słowiański punkt widzenia się nie zmienia. Koniec romantyzmu!

Autostrada w deszczu. Jastrząb obniża monotony lot.

Czerwona ziemia na horyzoncie. Osy na pierwszym planie. Dziesięć godzin prawdy. Czekanie. Czekanie na dziesięć godzin prawdy o sobie. Zajeżdża furgonetka pocztowa. Nic do mnie. Nic. Żadnej szansy. Żadnego

odzewu na *Help!*. Niedobrze być marynarzem U-boota. Niedobrze ciągle być pod powierzchnią... Czerwona ziemia na horyzoncie. Osy. Każda mnie mija. Przeżyję. Doczekam się. Ciągłe ściskam ziarnko gorczycy i staram się chodzić po wodzie w ogrodach Babilonu.

Wiatr z gór szarpie chiński dzwonek u drzwi. Tak bardzo nie chciałbym dzisiaj wychodzić!

Spotkało mnie coś mocniejszego od dniówki w hucie: jadłem mielonego oglądając krwawy horror... Między jednym kęsem a drugim musiałem patrzeć jak mutant rozrywa ofiarom czaszki i wyjada ich mózgi. Nie wytrzymałem – usiadłem plecami do telewizora, moi koledzy hutnicy jedli spokojnie, do końca wpatrzeni w ekran.

Wyciąłem z gazety zdjęcie przedstawiające Indian z Puszczy Amazońskiej – jednych z ostatnich, którzy zobaczyli białych ludzi pierwszy raz w życiu. Pierwsze skojarzenie, jakie się nasuwa, to oczywiście myśl, że tym przerażonym ludziom, nad którymi latał helikopter, wydaje się, iż zobaczyli boga... Boga, który niesie im prawdziwe nieszczęście – zakazany im owoc – pojęcie czasu.

...I ruszyłem na wzgórze, które zdobyłem kilka tygodni temu; które anektowałem dla siebie, bo widok z niego miałem na miasteczko szczęśliwych ludzi z białym kościółkiem po środku i pastwiskiem dla koni na przedmieściu. Gdy tu szedłem, towarzyszyło mi bicie dzwonów w rzeczonym białym kościółku. Pomyślałem, że może to wszystko, to całe pasmo ostatnich niepowodzeń, które doprowadziło mnie do huty w Ardenach miało tak naprawdę ponownie przybliżyć mnie do Boga. Tak, „jak trwoga to...”. Ale to kościelne przysłowie nie całkiem tutaj pasuje, bo do Kościoła – do instytucji – wcale nie mam ochoty wracać i nie wrócę. Chodzi mi o autentyczną bliskość Boga, za którą tak wielu spłonęło na stosach, a tak niewielu zostało świętymi... Usiadłem znowu, jak tydzień temu, przy stosie układanym na jakieś lokalne święto i deszcz zaczął padać. Schowałem się pod sosną i stało się sucho, dobrze. W przyrodzie tydzień końca lata to jak zmiana epoki – zieleń wypierają inne kolory. Dla mnie ten tydzień był bardzo ciężki – ból fizyczny odstąpił słabość ducha. Odstąpił potrzebę miłości, którą paradoksalnie przez miłość stłumiłem.

Słyszę grzmoty na horyzoncie: ostatnia burza lata? Być może. Niebo stało się bardzo dynamiczne, jak ocean. Hen z daleka różowe światło goni granatowe fale chmur zwieńczone białymi obłokami. A ja tutaj, na dnie, czekam na zbawienie – na grom z jasnego nieba.

Słowo na niedzielę

- Grasz z nami w piłkę?
- Nie
- Pójdiesz sobie sam na pogrzeb, pamiętaj.

Pollock chłapie farbą po olbrzymim płótnie rozciągniętym na podłodze pracowni. Widziałem tę fotografię set-

ki razy, ale dzisiaj wzruszyła mnie wyjątkowo. Tęsknię do malowania – do tej chwili wolności i niepewności razem. Za seksem tworzenia.

Poznałem Polaka, który od 20 lat pracuje w niemieckiej hucie. Był zszokowany ceną paczki papierosów w Polsce... I że już nie ma popularnych i klubowych. Ja tych papierosów próbowałem po kryjomu w szkole – on palił je wiele lat w kraju. Dzisiaj ja już nie palę od kilku lat, a jemu pozostały mocne rosyjskie papierosy. Zgodnie stwierdziliśmy, że dobrze, że na Zachodzie są bracia Moskale... Dobrze z nich chłopcy z dobrą wódką i dobrymi papierosami, a politykę historyczną po równo wszyscy mamy w dupie.

Czarny

Analitycy Boga kolekcjonują wulkany.

Przyrzekłem sobie: żadnych wierszy, wzruszeń – niepotrzebnego umierania... Na froncie trwa zima; poczta nie dochodzi; brak miłości. Transportowce przywoziły jedynie zaległy żołąd i tabliczki czekolady twarde jak kamień – gorzkie. Czyszcę karabin maszynowy; korci mnie jak dziecko, by przyłożyć język do metalu na minus 30 stopniach... Brak miłości; żołąd tutaj niepotrzebny; czekoladę dziobią wrony – nie ma tu kruków; kruki są na Zachodzie... Coś majaczy we mgłę: ciężki czołg w zimowym kamuflażu z czerwonym sercem na wieży. To nie miłość... Wrony są głośniejsze od pocisków!

„To dobry dzień, żeby umrzeć”, jak mawiali Indianie. Prawdziwie piękny dzień! Wyszedłem dzisiaj wcześniej w góry, zanim słońce osuszyło rosę z traw i podziwiałem jej diamenty wiszące na pajęczynach utkanych wśród traw – naszyjniki godne najpiękniejszych kobiet. Kobiety. Koledzy wrócili nad ranem z burdelu z pustymi portfelami, ale pełni wrażeń. Mężczyźni. Mężczyźni muszą żyć złudzeniami, że są silni, inaczej po nich. Inaczej tylko wódka, papierosy i narkotyki, albo wojna... To już lepiej wojna – potrząsanie i rąbanie szabelką; zdobywanie szczytów dawno już zdobytych... Po kilkunastu dniach przerwy znowu usiadłem na wzgórzu ze stosem, który miejscowi szykują na jakieś lokalne święto. Patrzą na białe miasteczko szczęśliwych ludzi, w którym chyba brakuje jakiegoś Kacpera Hausera, Woyzecka lub Stroszka... Ja boję się do niego zejść... Taka myśl przyszła mi do głowy, że tak zwana miłość nieszczęśliwa jest większym darem od tak zwanej miłości szczęśliwej – spełnionej, skonsumowanej i w końcu nie pozostawiającej żadnych złudzeń. Dzwon w białym kościółku zaczął bić na Anioł Pański – iluminacja, więc mogę wybrać sobie archetyp. Dzisiaj chcę zostać Odyseuszem, którego siłą była wiara, że powróci do domu, wytnie w pień zalotników łasych na wdzięki jego żony i majątek, i po ich trupach dojdzie do jej sypialni... W niepamięć. Jak skończę ten dzień? Będę słuchał *Lili Marleen* Marlene Dietrich – pieśni śpiewanej po obu stronach frontu...

Koniec lata

Chrzęszcze kopulują w mokrym dmuchawcu.

2 października

Wyjątkowo piękna pogoda jak na październik – ponad 20 stopni Celsjusza! Jutro święto zjednoczenia Niemiec. Huta nie pracuje – nawet Polacy nie mogą... Jedziemy więc na wycieczkę nad jezioro Rur. Nad wodą tłumy. Ludzie pływają łódkami, kąpią się, opalają, piją piwo w ogródkach, spacerują po deptaku... Nagle spotykamy rodaków – znajomych z innego kontraktu. Jeden z nich – dwumetrowy olbrzym – ściągnął koszulkę i prezentował na plecach tatuaż ze sceną walk ulicznych Powstania Warszawskiego...

Atylla zbiera wilcze jagody w Ardenach. Już niedługo jego hordy zaleją spokojne niemieckie miasteczka i hutę, w której pracują niewolnicy ze Wschodu... Atylla przygląda się wiatrakom elektrowni wiatrowych znaczących horyzont.

W knajpie podeszła do mnie prostytutka i zapytała czy mam ochotę na numer. Podziękowałem grzecznie. Zapytała, jak mam na imię. Odpowiedziałem: *My name is Clint Estwood*.

Gdy przyjechałem na urlop z frontu, znalazłem w wannie wija – biedakowi nie starczyło stu nóg, by pokonać gładką ścianę... Zanim odkręciłem kurki, wyciągnąłem go i wyrzuciłem za drzwi w noc.

W pociągu dziewczyna mówiła do telefonu: „... tak patrzył na mnie, jakby wcześniej miał przyjemność – takie rozpoznanie w oczach”.

Żelazny Krzyż

Cinek zawiesił sobie na szyi Żelazny Krzyż ze swastyką – *Nie ściągnę go nawet pod prysznicem, niech Gebelsy widzą!* Ze swastyką paradował przez miesiąc i pił coraz więcej, aż go kierownik wysłał na odwyk... na „front wschodni”. Alkoholicy i degeneraci – fizyczne i psychiczne kaleki – cały karny batalion rozlokowany po kwaterach w spokojnym niemieckim miasteczku. Mam dosyć! Dezertuję! Uciekam za parę tygodni, bo odzyskałem wiarę w Boga i chcę uwierzyć w ludzi – kochać jak nigdy wcześniej. Zamiast Żelaznego Krzyża wolę tabliczkę czekolady.

Bajka o czapli i wronach

Samotną czaplę zaatakowały trzy wrony. Na mglistym niebie nagły krzyk i spadający puch! Walka nie została rozstrzygnięta – ptaki odleciały w swoje strony i pozostała monotonna biel – jak na obrazach japońskich mistrzów... A mnie udało się jedynie sfotografować przejeżdżający pociąg na pobliskich torach.

Jeszcze ciemno za oknem, chociaż już po 7 rano. Ptaki śpiewają w ogrodzie i kot wałęsa się obok żywopłotu – szuka śniadania, które zostawia mu kolega J., nasz „pokładowy” kucharz. Chłop dobry, ale życiowo nieporadny, co „sępy” z sąsiedztwa już wyczuły i robią sobie z niego żarty – wstęp do pożarcia padliny. Tutaj trze-

ba być cały czas czujnym jak w wietnamskiej dżungli; kontakty z tzw. kolegami ograniczyć do minimum i nie wdawać się w żadne sojusze, żadne zobowiązania; pomagać jak trzeba, ale od nikogo nie oczekiwać pomocy; swoje poglądy zachować dla siebie, więcej milczeć niż mówić... To kontrakt – prawdziwa szkoła kapitalizmu! Ludzie wykorzeni i rzućni do ciężkiej pracy – niewiele dzieli nas od bestii... Trzeba poczuć zew krwi i wtedy dopiero wydawać sądy (moralne), zaczynając zawsze od siebie. Daje to szansę pozostania człowiekiem – nikłą, ale zawsze.

Skoszarowany marzę o intymności. Za oknem lampy uliczna świeci prosto w okno. Jutro niedziela; koledzy mają plan – pojedą do Belgii po tańszy tytoń i do tańszych burdeli. *W Brukseli jest »czarna ulica«, tam stoją tylko czarne kurwy...* mówi do mnie podniecony „ojciec rodziny”. *Coś od życia nam się należy za to, że musimy jebać po 12 godzin dla Gebelsów... Tu nie ma naszych kościołów i naszych polskich świętych. Tu jesteśmy sami, więc bawmy się na całego, póki sił, póki my młodzi!*

Co rano odwiedzają nas trzy grube koty: czarny, biały i rudy. Zawsze przychodzą w tej kolejności – trzy kolory niepewności.

11 listopada 2011

W niemieckiej telewizji polscy robotnicy oglądają mistrzostwa świata w podnoszeniu ciężarów kobiet.

Na dziedzińcu huty szron zmieszał się z rdzą. Tęsknię i marzę, a na piecach Niemcy nie mogą utrzymać temperatury. Schodzimy wcześniej ze stanowisk. Polskie czary.

Co tak huczy na granicy z Belgią? Czy to duchy żołnierzy Guderiana grzeją silniki swoich czołgów w lasach Ardenów? Nie, to polskie dusze rozsiewają zarazki romantyzmu na racjonalnej niemieckiej prowincji. Pijemy wódkę i za nic mamy ciszę nocną na ulicy domków jednorodzinnych, która prowadzi do cmentarza poległych w ofensywie 1944 roku. Pijemy zdrowie naszych poległych wrogów!

Przyszedłem na wzgórze ze stosem, a po stosie został tylko wielki krąg wypalanej ziemi i popiołu. Miejscowe święto odbyło się; kolejne całopalenie przeszło do historii, a od Nowego Roku mieszkańcy znowu będą układać nowy stos. A mnie tutaj już nie będzie, moje całopalenie też przeszło tutaj do historii. Jeźdźcy apokalipsy okazali się kuglarzami.

Koniec

W tunelu zablokowały się odlewy tak bardzo, że trzeba było je rozcinać pilarką. Z pieców przybiegli Rosjanie i na widok zwału jeden z nich krzyknął: *kurwa mać! Hujnia! Kamasutra!*

TOMASZ BOHAJEDYN

STANISŁAW BURKOT

„NIE BYĆ BOKSEREM, BYĆ POETĄ...”

Epitafium napisała sobie wcześniej, na wszelki wypadek, aby nie było później nieporozumień. Trochę w nim dziś, w momencie jej śmierci, trzeba dopowiedzieć, objaśnić skrótowo zapisane sensy, ale tekst nie wymaga zasadniczych zmian. Przywołajmy go tutaj, aby przedstawić, co się w tym tekście dzieje – niekoniecznie z „nagrobego” powodu. Bo wiersz jest wierszem – ucieleśnia się w nim sztuka słowa:

Tu leży staroświecka jak przecinek
autorka paru wierszy. Wieczny odpoczynek
raczyła dać jej ziemia, pomimo że trup
nie należał do żadnej z literackich grup.
Ale też nic lepszego nie ma na mogile
oprócz tej rymowanki, łopianu i sowy.
Przechodniu, wyjmij z teczki mózg elektronowy
i nad losem Szyborskiej podumaj przez chwilę.

(*Nagrobek*, tomik *Sól*)

W istocie każdy wers wymaga objaśnień. Co kryje się za dziwnym porównaniem: „staroświecka jak przecinek”? W 1962 roku, kiedy się wiersz ukazał, dogasały inspiracje poetyckie zrodzone z różnych odmian awangardyzmów, w fazie epigońskiej manifestujące się najczęściej w piętrzeniu wyszukanych metafor i w pogardzie dla tradycyjnych reguł interpunkcji. Poeci „bezp przecinkowcy” – chodzi nie tyle o Przybosia, co o jego epigonów – uważali się za odkrywców i nowatorów. Przeciwno nim manifestowało swoją odrębność „pokolenie ‘56”, „pokolenie »Współczesności«”. Powstawały liczne grupy poetyckie, bo gromadnie łatwiej było wówczas zaistnieć. Wydawało się im, że prawo do znaczenia, do sławy przysługuje tylko członkom grupy wyznającym ich programy. Gdzieś przez ironiczne paradoksy utrwalone w tym tekście przebija się wieloznaczność „wiecznego odpoczynku”: bo epitafium oznacza „zachowanie w pamięci”, może nie od razu pośmiertną sławę, ale jednak... Ironia, humor niwelują taką potrzebę osobistą u Szyborskiej, osoby od zawsze skromnej; „staroświeckość” oznacza więc jej skromność, pojedynczość, osobność, ale i niezależność. Puenta wiersza – „Przechodniu, wyjmij z teczki mózg elektronowy // i nad losem Szyborskiej podumaj przez chwilę” – wskazuje, że dobra pamięć, że sława nie były dla poetki do pogardzenia, ale nie tworzyły

jedynego celu twórczości. W każdym żarcie kryje się na dnie jakaś prawda. Na tej zasadzie zjawia się aforyzm Symonidesa z Keos, dedykowany Leonidasowi i pamięci poległych pod Termopilami: „Przechodniu, powiedz Sparcie...”.

Dobra pamięć w poezji nie utrwała się ani z powodu metafor i przecinków, ani grupowych programów, lecz wyłącznie z powodu bycia „osobnym”, zachowania własnej odrębności, głównie jednak z powodu obowiązku czy przywileju nieustannej refleksji nad sobą i nad światem. I niewiele się zmieniło w *Nagrobku* od pół wieku. Może jednak tyle, że poetka przestała być „autorką paru wierszy” – napisała ich ponad trzysta pięćdziesiąt. Zmianie podległ także „mózg elektronowy”. Dla ścisłości w momencie powstania wiersza – u nas go jeszcze nie było. Prace nad minikomputerem zaczęły się w 1973 roku, w 1974 przystąpiono do produkcji Mery 300; zajmowała sporą przestrzeń, była solidnym „biurkiem” i nie nadawała się do noszenia w teczce. Innymi słowy: przez pół wieku powiększyło się owych „parę wierszy” – metaforycznie: do nagrody Nobla, a „mózg elektronowy” uległ miniaturyzacji, takim przekształceniom, że można go nosić w teczce. Co Szyborska bezbłędnie przewidziała.

Żartobliwy, po części autoironiczny wiersz, zapisuje – już w tonie serio – sprawy fundamentalne dla całej twórczości poetki. Ważny jest nie ozdobny ciąg metafor, lecz prostota stylu. A prostota jest rzeczą najtrudniejszą w sztuce. Przeważająca część wierszy – a na dobrą sprawę wszystkie – mają u Szyborskiej charakter przypowieści: prezentują swoje mini-fabuły, opowiadają jakies zdarzenie jednak nie dla jego niezwykłości, dla uczestniczących w nim postaci, lecz dla określenia prawideł ludzkiej egzystencji, kolei losu lub wybranej jakiejś filozoficznej prawdy. Przypowieści – wywodzące się w tradycji europejskiej z Nowego Testamentu – zaliczane do literatury moralistycznej, u Wisławy Szyborskiej związane są zawsze z refleksją filozoficzną, często w postaci aforystycznego paradoksu. Poetka nie jest moralistką – nie poucza i nie nawraca. Rozpoznaje „przypadki”, objaśnia ich znaczenie, „dziwi się światu”. Paraboliczność jej stylu, prostota, bywają zwodnicze, mogą – w odbiorze czytelniczym – two-

rzyć powierzchowne lub wręcz fałszywe konkretyzacje. Przywołajmy tu na prawach przykładu wiersz *Konkurs piękności męskiej* z tego samego tomiku *Sól* (1962):

Od szczęk do pięty wszedł napięty.
Oliwne na nim firmamenty.
Ten tylko może być wybrany,
kto jest jak strucla zasupłany.

Z niedźwiedziem bierze się za bary
groźnym (choć go wcale nie ma).
Trzy niewidzialne jaguary
padają pod ciosami trzema.

Rozkroku mistrz i przykucania.
Brzuch ma w dwudziestu pięciu minach.
Biją mu brawo, on się kłania
na odpowiednich witaminach.

Narracja jak w każdej przypowieści zmierza do puenty. Szymborska jest delikatna: mówi o witaminach, bo nie było jeszcze współczesnego dopingowego „koku”. I jeszcze się nie urodził Andrzej Gołota (ur. 1968), bokser, który wszedł do biograficznej anegdoty o poecie. Jako kto? Ten, który „brzuch ma w dwudziestu pięciu minach”? Który jest „jak strucla zasupłany”? Więc owych parabolicznych narracjach jest zawsze „drugie dno” – w postaci kunsztownej inkrustacji, paradoksalnych zestawień. W tym przypadku wiersz odsyła do greckiego pojęcia *kalos kagathos* (piękny i dobry), bo uroda ciała była dla Greków zewnętrznym wyrazem dobra, u Rzymian – męstwa.

Co z tego zrobiliśmy wspólnie? Dwa początkowe wersy stanowią prawdziwy klucz do pełnej interpretacji: „Od szczęk do pięty wszedł napięty. // Oliwne na nim firmamenty”. To znakomita imitacja „siekanego” wiersza księdza Józefa Baki, poety późnego baroku, jego *Uwag [o] śmierci niechybnej*, zwłaszcza wiersza *Młodym uwaga*: „Cny młodziku, migdaliku // Czerstwy rydzu, ślepowidzu...”. *Kalos kagathos* i ksiądz Baka: antyczny topos i współczesny kicz. Wielekroć wspomniana fascynacja Szymborskiej kiczem, a ściślej – jej zabawy z kiczem mają gorzki smak. Wyrazić się mogą w takiej konstatacji, jak w przywołanym w tytule fragmencie z wiersza *Wieczór autorski*: „Muzo, nie być bokserem to jest nie być wcale. // Ryczącej publiczności poskapiał nam”.

Poetka i bokser – sztuka, myśl ludzka, poezja, i podziw tłumu dla góry mięśni, dla bicepsów. Autorka nie moralizuje, nie potępia, zgadza się, a nawet podziwia; stwierdza jednak istnienie takich ambiwalencji w kulturze współczesnej. Bo Szymborska, autorka przypowieści nie jest moralistką w starym stylu. W puentach jej narracji nie ma tradycyjnego „pouczenia”, jest żart, paradoks – zestawienie przeciwstawnych wzorców i też świadczących o bezradności ludzkiego umysłu. Bo paradoks okazuje się nieustannym docieraniem do granicy poznania, za którą jest tylko – „Nie wiem”...

To owo „nie wiem” otwiera strefy metafizyki w poezji Wisławy Szymborskiej:

Czemu w zanadto jednej osobie?
Tej a nie innej? I co tu robię?
W dzień co jest wtorkiem? W domu nie
w gnieździe?
W skórze nie łusce? Z twarzą nie liściem?
Dlaczego tylko raz osobiście?
Właśnie na ziemi? Przy małej gwiazdce?
Po tylu erach nieobecności?

Za wszystkie czasy i wszystkie glony?
Za jamochłony i niebosklony?
Akurat teraz? Do krwi i kości?
Sama u siebie z sobą? Czemu
nie obok ani sto mil stąd,
nie wczoraj ani sto lat temu
siedzę i patrzę w ciemny ką
– tak jak z wzniesionym nagle łbem
patrzy warczące zwane psem.

(*Zdumienie* z tomiku *Wszelki wypadek*, 1972)

Od razu dodać należy, że nie jest to metafizyka od św. Tomasza, z tomizmu i neotomizmu, lecz z głównego źródła w naszym kręgu cywilizacyjnym – z *Metafizyki* Arystotelesa. Nie jest to powtórzenie myśli filozofa i nawet nie ich interpretacja, lecz osobisty, prywatny niejako wybór. Nietrudno odnaleźć w języku Szymborskiej Arystotelesowskie leksemy: ruch, który zaczyna się zawsze od czegoś materialnego, poznawanie zmysłowo, a w akcie poznania rodzi nieuchronne pytanie – z jakiej przyczyny, dlaczego? U Arystotelesa był jako byt i jego atrybuty – istota metafizyki – cechują cztery jedności: ciągłość naturalna, całość, indywidualium i ogół; metafizyka, w przeciwieństwie do fizyki zajmuje się badaniem (poznawaniem) badaniem myśli ludzkiej; zdaniem Arystotelesa w ogóle życie jest „aktem rozumu”. Z jego *Metafizyki* nie wykorzystała Szymborska jednak przyczyny ruchu – Pierwszego Poruszyciela, substancji samoistnej i nieruchomej: w to miejsce w wierszu *Ruch* z tomiku *Sto pociech* tańczą „lekkoduchy i gagatki”: wodór, tlen, chlor, sód i azot – taka „Eine kleine Nachtmusik”, co zaprasza nas do tańca i do refleksyjnego zdziwienia. Naturalna ciągłość bytu, jego różnorodność, jako pojedynczość i jako całość okazuje się oczywista, bo jest „nie [od] wczoraj ani sto lat temu”, a całość – bo przejawia się w liściu i w łusce rybiej, w krwi i kości. Pytania zadaje zdumione swoją osobnością indywidualium, byt pojedynczy, zdolny do stawiania pytań, ale bezradny w formułowaniu odpowiedzi. Arystoteles nie rozwiązał zagadki. Paradoks bytu, zapisany w puencie wiersza, wyraża zdumienie niezwykłą całością Ziemi, Kosmosu, ale i poznawczą bezradnością indywidualium. Powtórzmy:

siedzę i patrzę w ciemny ką
– tak jak z wzniesionym nagle łbem
patrzy warczące zwane psem.

Nasze zapatwienie w gwiazdy, „wycie do gwiazd”, wyznacza granice poznania, których nie możemy przekroczyć. Gryzą pluskwy? Trzeba się do nich przyzwyczaić... Tak rodzi się jeden z najważniejszych aspektów filozoficznych w poezji Wisławy Szymborskiej. Był jako całość i ciągłość – niezliczona wielość jego form i kształtów, odnawialność poprzez narodziny i śmierć – jest poznawczo nieobjaśnialny: budzi więc zdziwienie, ale i nieustanny zachwyty. W całej twórczości Szymborskiej – od samego jej początku – uderza równoważność wszystkich form bytu; odrzucone zostają fałszywe usurpacje człowieka do panowania nad jego odmianami. Przywołać warto wiersze: *Zwierzęta cyrkowe* (*Dłatego żyjemy*, 1952), *Upamiętnienie*, *Dwie małpy Bruegla*, *Obmyślam świat* (*Wołanie do Yeti*, 1957), *Małpa*, *Niespodziane spotkanie*, *** [„Jestem za blisko...”], *Woda*, *W rzece Heraklita*, *Notałka* (*Sól*, 1962), *Radość pisania*, *Pejzaż*, *Żywy*, *Urodzony*, *Tarsjusz*, *Fetysz płodności z paleolitu* (*Sto pociech*, 1967), *Spadające z nie-*

ba, *Głosy, Fotografia tłumy, Szkielet jaszczura, Allegro ma non troppo, Autotomia, Pod jedną gwiazdą (Wszelki wypadek, 1972), Psalm, Widziane z góry, Sen starego żółwia, Eksperyment, Recenzja z nie napisanego wiersza, Cebula, Pochwała złego o sobie mniemania, Życie na poczekaniu, Utopia (Wielka liczba, 1976), Nadmiar, Widok z ziarenkiem piasku, O śmierci bez przesady, Krótkie życie naszych przodków, Tortury, Rozpoczęta opowieść (Ludzie na moście, 1986), Może być bez tytułu, Rzeczywistość wymaga, Kot w pustym mieszkaniu, Pożegnanie widoku, Nic darowane (Koniec i początek, 1993), Chwila, Milczenie roślin, Bał, W zatrzęsieniu, Platon, czyli dłaczego, Trochę o duszy, Bagaż powrotny, Wszystko (Chwila, 2002), Nazajutrz – bez nas, Moralitet leśny, Zdarzenie, Monolog psa zaplątanego w dzieje, Wywiad z Atropos, Grecki posąg, Nieuwaga, Właściwie każdy wiersz (Dwukropek, 2005), Myśli nawiedzające mnie na ruchliwych ulicach, Mikrokosmos, Otwornice, Przykład, Sny, Metafizyka (Tutaj, 2009). Bytem osobnym – w rozumieniu jak u Arystotelesa – są u Szyborskiej strzykwy, tarsjusze, wymarłe jaszczury, żółwie, psy, koty, ryby, jamochłony, sarny, małpy, tygrysy, jastrzębie, rekiny, pawie, żmije, nietoperze, gołębie; są i – na równych prawach – ludzie. A obok rośliny: drzewa, dęby, róże obok cebuli, łoży itd. Są cztery żywioły Arystotelesa: ziemia, woda, powietrze, ogień (*Woda, Notatka z tomiku Sól*). Ale osobnymi bytami, także jak u Arystotelesa, są kategorie: pamięć, nienawiść, miłość, narodziny, śmierć, niepokój itd.*

W wybranych tu wierszach trwa nieustanne zdziwienie różnorodnością form bytu, którego właściwością główną jest powtarzalność zasadniczej formuły: narodzin i śmierci, istnienia i przemijania. Ta formuła – inaczej niż u Sartre'a (w *L'Être et Néant*) – nie rodzi buntu, lecz zakłada zgodę dla powtarzalności i trwałości ruchu – przemijania, przepływania. Bo każdy byt – zwierzęta, rośliny, krajobrazy, dzieła rąk ludzkich – jest „na chwilę”. Tylko dziecko nie wierzy w konieczność przemijania:

Bo żeby wszystko, cokolwiek istnieje,
musiało istnieć tylko w jeden sposób,
w sytuacji okropnej, bo bez wyjścia z siebie,
bez paazy i odmiany? W okropnym stąd –
dotąd?

(*Wywiad z dzieckiem z tomiku Wszelki wypadek*)

A poetka? Wie, że każdy byt jest „na chwilę”. Poezja zaś jest po to, by zapisywać i utrzymywać, jednakże nie śmierć, jak robił to ksiądz Józef Baka, jak straszył nią Jean Paul Sartre, lecz budzącą podziw wielość form bytu i zdolność do nieustannych odrodzeń:

Chwałę hojność, pomysłowość,
zamaszystość i dokładność,
i co jeszcze – i co dalej –
czarnoksiężstwo, czarnoksiężstwo.

Szarpię życie za brzeg listka:
przystanął? dosłyszało?
Czy na chwilę, choć raz jeden,
dokąd idzie – zapomniało?

(*Allegro ma non troppo z tomiku Wszelki wypadek, 1972*)

To urodziny, a nie śmierć godne są pochwały. Przywołajmy wiersz o tym tytule z tomiku *Wszelki wypadek*:

Tyle naraz świata ze wszystkich stron świata:
moreny, mureny i morza i zorze,
i ogień i ogon i orzeł i orzech –
jak ja to ustawię, gdzie ja to położę?
Te chaszczce i paszczce i leszczce i deszczce,
bodziszki, modliszki – gdzie ja to pomieszczę?
Motyle, goryle, beryle i trele –
dziękuję, to chyba o wiele za wiele.
Do dzbanka jakiego ten łopian i łopot
i łubin i popłoch i przepych i kłopot?
Gdzie zabrać kolibra, gdzie ukryć to srebro,
co zrobić na serio z tym żubrem i zebra?
Już taki dwutlenek rzecz ważna i droga,
a tu ośmiornica i jeszcze stonoga!
Domyślam się ceny, choć cena z gwiazd zdarta –
dziękuję, doprawdy nie czuję się warta.
Nie szkoda to dla mnie zachodu i słońca?
Jak ma się w to bawić osoba żyjąca?
Na chwilę tu jestem i tylko na chwilę:
co dalsze przeoczę, a resztę pomylę.
Nie zdążę wszystkiego odróżnić od próżni.
Pogubię te bratki w pośpiechu podróznym.
Już choćby najmniejszy – szalony wydatek:
fatyga łodygi i listek i płatek
raz jeden w przestrzeni, od nigdy, na oślep,
wzgardliwie dokładny i kruchy wyniośle.

Przywołane tu całe – z samej „radości czytania” – cztery wiersze Szyborskiej: *Nagrobek, Konkurs piękności męskiej, Zdumienie i Urodziny* tylko pozornie są do siebie niepodobne: łączy je wywiedziona z tradycji Arystotelesa odwaga stawiania trudnych pytań, co więcej – bez jednoznacznych odpowiedzi. Bo skazani jesteśmy na same pytania. W refleksji, w zadumie poetki nie ma żadnych ułatwień. To, co moglibyśmy nazwać światopoglądem, czy jeśli ktoś woli – światowidzeniem jest trudne do nazwania: może powinniśmy użyć greckiego *panontos*, wszechbytu, największej i nierozwiązywalnej zagadki. Bo *on* istnieje w niezliczonych paradoksach: jest poważny i śmieszny, tragiczny i dotknięty ironią, przejawia się w cierpieniu, a niekiedy, na chwilę, w poczuciu szczęścia. Bo nasza *animula* bywa kapryśna:

Duszę się miewa.
Nikt nie ma jej bez przerwy
i na zawsze.
Dzień za dniem,
rok za rokiem
może bez niej minąć.

.....
Przy wypełnianiu ankiet
i siekaniu mięsa
z reguły ma wychodne

(*Trochę o duszy z tomiku Chwila*)

W tle tego wiersza są znów uwagi Arystotelesa o zależnościach między *soma* i *psyche*, przy czym dusza, rozumiana bardziej jako zespół myśli niż emocji, nie mieszkała u niego stale w tym, co z natury swojej było materialne, należało w sensie poznawczym do fizyki. Psyche – mówiąc ironicznie – wpadała tam od czasu do czasu. Tę tezę filozoficzną wyraziła Szyborska po swojemu w puencie wiersza. „Wychodne” duszy w czasie wypełniania ankiet i „siekania mięsa” ilustruje najpełniej wieloznaczność każdego jej tekstu poetyckiego, złudne pozory naiwnej prostoty.

Tomiki *Chwila* i *Tutaj* rozwijają inny z aspektów Arystotelesowskiej ontologii: dotyczą tego, co indywidualne, co pojedyncze, co „nic dwa razy się nie zdarza”. To składowa część *panontosu*. W *Fotografii tłumy* z tomiku *Wszelki wypadek* „moja głowa” była nierozpoznawalna, „już nie jedna, nie jedyna // już podobna do podobnych”. W *Metafizyce*, wierszu zamykającym tomik *Tutaj*, byt pojedynczy opisany zostaje w podstawowej regule każdego bytu: „Było, minęło. // Było, więc minęło”. Jednakże najważniejszy jest fakt realnego istnienia, nawet „na chwilę”: wyznaczone zostają jego parametry w czasie („fakt na wieki wieków”) i przestrzeni („na cały kosmos, jaki jest i będzie”). Coś pojedyncze „naprawdę było // póki nie minęło”. Tytuł wiersza okazuje się po części ironiczny i polemiczny, bo poetka skłonna jest opowiedzieć się za „faktem”, więc za „fizyką”, a nie „metafizyką”. Jedynym metafizycznym aspektem każdego bytu jest przemijanie; fundamentalnie ważny okazuje się jednak każdy fakt w życiu, „nawet to, // że dziś jadłeś kluski ze skwarkami”. *Chwila* i *Tutaj* już poprzez swoje tytuły dookreślają fundament, podstawowe zasady światopoglądu Szymborskiej:

Jestem kim jestem.
Niepojęty przypadek
jak każdy przypadek.

.....
W garderobie natury
jest kostiumów sporo.
Kostium pająka, mewy, myszy polnej.
Každy od zaraz pasuje jak ulał
i noszony jest posłusznie
aż do zdarcia.

.....
Ja też nie wybierałam,
ale nie narzekam.
Mogłam być kimś
o wiele mniej osobnym.
Kimś z ławicy, mrowiska, brzęczącego roju,
szarpaną wiatrem cząstką krajobrazu.

.....
Mogłam być sobą – ale bez zdziwienia,
a to by oznaczało,
że kimś całkiem innym.

Zdziwienie światem, jego całością i wielością form bytu – to już sprawa nie tylko filozofii, ale i poezji, „poznania poetyckiego”, bo jeśli poezja jest „badaniem życia”, jest więc także częścią metafizyki – u Arystotelesa: „nauki pierwszej”. Ale poezja to sprawa formy, stylu, doboru słów przy nazywaniu rzeczy i bytów, wyrażaniu bardziej myśli niż emocji. W samym tworzeniu dokonuje się coś, co zaprzecza porządkowi „było, minęło”, zaprzecza nieubłaganym prawom fizyki, bo poeta zawiesić może czas, odwrócić przewidywalny bieg zdarzeń. Nad „białą kartką papieru”, na której pojawiają się litery i słowa, poeta ma władzę absolutną, bo „inne, czarno na białym, panują tu prawa. // Oka mgnienie trwać będzie tak długo, jak zechcę” (*Radość pisanja*). Czym jest poezja? Bytem, jak inne twory myśli ludzkiej, jak kategorie moralne? Czy rodząc się przemija bez reszty? Czy – jak to określa Szymborska w puencie przypowieści – jest „zemstą ręki śmiertelnej”, bo zaprzecza atrybutom bytu?

Parabole – narracje o zdarzeniach rzeczywistych i wyobrażonych – mają u Szymborskiej zawsze swoje

puenty. W nich nieodmiennie pojawia się humor, odkrywa zaskakujący paradoks, zjawia się ironia. Po co? – To „zemsta ręki śmiertelnej”. Nie jest jednak negacją, uporczywą obroną przed tym, co nieuchronne, lecz próbą oswojenia samego faktu, że coś „było, minęło”. Jedyny wiersz *O śmierci bez przesady* z tomiku *Ludzie na moście* przekonuje, że „wszechmocna [to ona] nie jest”, że „nie ma takiego życia // które by choć przez chwilę // nie było nieśmiertelne”. Słowo „śmierć” zjawia się w tej poezji stosunkowo rzadko, rzadko także otoczone zostaje atrybutami utwalonymi w alegoriach, w kulturze i sztuce. U Szymborskiej ma byt osobny, utwalany tylko przez jej synonimy: znaki z rytuałów społecznych (*Minuta ciszy po Ludwice Wawrzyńskiej, Rehabilitacja, Pogrzeb*), z mitów (*Atlantyda, Chwila Troi, Wywiad z Atropos, Nad Styksem*), z odkryć archeologii (*Szkielet jaszczura, Fetysz płodności z paleolitu, Jaskinia, Archeologia*). Bo po co o niej mówić: „Nie zna się przecież na żartach // na gwiazdach, na mostach // na tkactwie, na górnictwie, na uprawie roli // na budowie okrętów i pieczeniu ciasta”.

Poezja, sztuka w ogóle jako osvajanie „złej konieczności”, a o tym mówi wiersz *O śmierci bez przesady*, powinna być – zdaniem Szymborskiej – zwrócona ku życiu, stale pamiętać o ziemskiej „chwili”, o „tutaj”. O tym mówi także *Wywiad z Atropos* z tomiku *Dwukropek*, jedną „z trzech córek Konieczności”, z greckiego mitu o Prządkach, z których Kloto przędzie nić życia, Lachezis wyznacza jej długość, a Atropos trzyma w rękę nożyczki... Jest pracoholiczką, nie cieszy się jednak uznaniem, nie jest nagradzana za swoją gorliwość i trud orderami, dyplomami itd.

Wiersz parafrazuje poetykę współczesnego dziennikarskiego wywiadu, ale ma swoje „drugie dno”. Bo jest to drugi wywiad ze śmiercią w naszej literaturze. Pierwszy powstał w średniowieczu i nosił tytuł *Rozmowa mistrza Polikarpa ze śmiercią*. Docieklawy średniowieczny „dziennikarz” „uźrał człowieka nagiego przyrodzenia niewieściego”, o rozpadającym się ciele („Upadł ci jej koniec nosa // Z oczu płynie krwawa rosa”, „Nie było warg u jej gęby”), z kosą w rękę. Ta alegoria miała wywoływać strach, rodzić pokorę, pełne podporządkowanie bezwzględnej władczyni z kosą. Nic dziwnego, że mistrz Polikarp „padł na ziemię ażę stęknął”. Wybór antycznego mitu przez Szymborską zawiera ironiczną, ukrytą negację rozpowszechnionej w chrześcijańskich rytuałach alegorii śmierci.

Parabole Szymborskiej zamykają się wyraźnie w wyodrębnianych pointach. Przywołajmy ich kilka: „Jaskółko ciszo ostra // żałobo wesola // aureolo kochanków // zmiłuj się nad nami” (*Upamiętnienie*); „Piosenko, która nie znasz nade mną litości: // mam ciało pojedyncze, nie przemienne w nic // jestem jednorazowa aż do szpiku kości” (*Próba*); „Meteor spadł. // To nie meteor. // Wulkan wybuchnął[...] Na tej plus minus Atlantydzie” (*Atlantyda*); „A wszystko inne – jest jak Bach // chwilowo grany // na pile” (*Obmyślam świat*); „Cokolwiek kiedykolwiek gdziekolwiek się stało // spisane jest na wodzie babel” (*Woda*).

Wyrafinowana i niezwykła gra ze słowami, z przesuwaniem pól semantycznych zaczyna się zwykle od przywołanego lub domyślnego frazeologizmu, więc czegoś oczywistego, utwalonego w mowie potocznej, istniejącego w naszej podświadomości. Frazeologizmy

i powtarzane w kulturze leksemy poddaje objaśnieniom – czasem na zasadzie konkretyzacji metafory, urealnienia i upowszednienia sensu, czasem humorystycznej czy ironicznej interpretacji. Z przypisywanego Heraklitowi z Efezu zwrotu *panta rhei* powstaje osobny wiersz. Śledzić możemy nawet proces przesunięć i przekształceń semantycznych: jeśli „wszystko płynie”, to jest rzeka; jeśli jest rzeka, to są ryby; jeśli są ryby, to jest hierarchia w ławicy i powstaje marzenie „ja ryby pojedynczej” o zachowanie odrębności.

Wieża Babel to leksem ze Starego Testamentu: Jahwe pomieszał języki budowniczym, nie mogli się porozumieć, dokończyć niezwyklej budowy. Konkretyzacja leksemu, kiedy przeobraził się w kulturze w symbol czy metaforę, polega na upowszednieniu i stałemu uwspółcześnianiu: dwoje ludzi – małżeństwo? – muszą się rozstać, bo pomieszały się im języki, pogubiły słowa. Z modlitwy pochodzi w przywołanej puencie wiersza *Upamiętnienie* zwrot „zmiłuj się nad nami”, choć dotyczy nagości kochanków; z mowy potocznej – z frazeologizmów: „spisane na wołowej skórze” i „wpadł jak kamień w wodę” powstaje paradoks puenty w wierszu *Woda* – „spisane jak na wodzie Babel”, bo się języki ludziom pomieszały, bo coś było, przeminęło, utonęło w niepamięci. Woda – jeden z żywiołów u Arystotelesa – nie jest bytem, podobnie jak kamień, lecz substancją; u Heraklita oznacza zmienność, przepływ, przemianę – staje się „leksemem”, przesunięciu uległo jej znaczenie, stała się symbolem – wyrazem spokrewnionym semantycznie z bytem.

Przejęte z frazeologizmów, utrwalonych i skostniałych zwrotów w języku: „plus minus prawda” (*Atlantyda*); „chwilowo grany na pile” (*Obmyślam świat, wydanie drugie*), „na domiar prawdziwego” [złego] (*Reszta*), „gromu z wysokiej chmury [z wysokiego nieba]”, „obrócenia w kamień” (*Bez tytułu*), „kto skórę zdał” (*Złote gody*), „wybrańcy bogów umierają młodo” (*Wizerunek*), poddane są obróbce, przetworzeniom, bądź też zostają wprowadzone w nowy, obcy im kontekst. To tego typu konstrukcje w stylu Szymborskiej tworzą wrażenie prostoty, zwykłości, „przejrzystości”. Ale to uwodna, pozorna prostota. Bo wszystko dokonuje się na poziomie syntaksy – funkcji frazeologizmów i leksemów w zdaniu, kontekstów, najbliższego sąsiedztwa, dokonywanych przetworzeń. Są wiersze, takie jak *Pod jedną gwiazdą* z tomiku *Wszelki wypadek*, że w całości zbudowane zostają z przetworzeń frazeologizmów i rozwijanych leksemów. A puenta przynosi jednoznaczne objaśnienie całego wysiłku:

Nie miej mi za złe, mowo, że pożyczam
patetycznych słów,
a potem trudu dokładam, żeby wydały się lekkie.

Bo styl Szymborskiej to nieustanne przemiany i przesunięcia pól semantycznych, takie jednak, które z jednej strony zachowują powagę refleksji nad tajemnicami bytu, a z drugiej – inkrustowane humorem, ironią wyrażają prawie dziecięce zdziwienie światem, radość życia, radość tworzenia, pisania. A wszystko z jednego powodu: „Jestem jednorazowa aż do szpiku kości”. Więc „pegaz” to „anioł koński” (*Wieczór autorski*), „kamień” to zamknięcie, nieprzenikliwość, niepoznawalność (*Rozmowa z kamieniem*). „Przypadek”, jedno ze słów kluczy w poezji Szymborskiej ma nie-

zliczoną ilość znaczeń, jest – trawestując Arystotelesa – substancją samoistną i nieruchomą, u Szymborskiej sprawczą przyczyną, „Pierwszym poruszytelem”. Z wiersza *Szkielet jaszczura* z tomiku *Wszelki wypadek*, pomijając jego kunsztowną ironiczną aranżację, przywołajmy wszystkie eksplikacje przypadku: „przyroda się nie myli // ale lubi żarty”; „taka główka niczego nie mogła przewidzieć // i dlatego jest główką wymarłego gada”; „za mało mózgu, za duży apetyt, // więcej głupiego snu niż mądrej trwogi”. Nasze istnienie jest także przypadkiem, może kolejnym „żartem przyrody”: „jakie zręczne ręce // jakie wymowne usta // ile głowy na karku”. I jak zwykle u Szymborskiej jest znacząca puenta: „cóż za odpowiedzialność na miejsce ogona”.

Tak bywa nie tylko w puentach przypowieści. W samych narracjach, a warto przypomnieć, że w paraboli mini-fabule bywają oszczędne, argumenty ulegają redukcji, autorzy nie troszczą się o prawdopodobieństwo, o psychologię. Pozwala to na zestawianie obok siebie słów o przybliżonych znaczeniach lub brzmieniach. Ich nadmiar zmienić się może w bełkot, oznaczać zagubienie drogi, pobłądzenie, działanie na zasadzie przypadku:

Droga za drogą,
ale bez odwrotu.

.....
zakręt za zakrętem,
zdumienie za zdumieniem,
za widokiem widok.
Możesz wybierać
gdzie być albo nie być,
przeskoczyć, zboczyć
byle nie przeoczyć.
Więc tędy albo tędy,
chyba że tamtędy,
na wycucie, przecucie,
na rozum, na przełaj,
na chybił trafił,
na splecione skrót.

Ten wiersz z *Wielokropka* nosi tytuł *Labirynt*. Dobór słów, ich kolejność, syntaksa i brzmienie, pośpiech w dykcji – znaczą na wyższym pięttrze semantyki; są przejawem nie tylko zagubienia i bezradności, lecz także braku refleksji nad „życiem jako aktem rozumu”. Tak definiował go Arystoteles.

* * *

Wieczór autorski, ironiczny wiersz z tomiku *Sól*, taka otwiera strofa:

Muzo, nie być bokserem to jest nie być wcale.
Ryczącej publiczności poskapiłaś nam.
Dwanaście osób jest na sali,
już czas, żebyśmy zaczęli.
Połowa przyszła, bo deszcz pada,
reszta to krewni. Muzo.

Na cmentarzu Rakowickim 9 lutego 2012 roku przy grobie Poetki był tłum, którego nie zgromadził żaden mecz: publiczność przyszła mimo „trząskającego mrozu”, nie „ryczała”, lecz w pełnym skupieniu i szacunku milczała. To były prawdziwe laury włożone nie na skroń, lecz na urnę niezwyklego, „osobnego aż do szpiku kości” człowieka.

STANISŁAW GĘBALA

PANIE TADEUSZU, JAK ŻYĆ?

Szkoda, że to fundamentalne – aczkolwiek naiwne, co stwierdziła już dawno w znanym wierszu Wisława Szymborska¹ – pytanie trafiło za sprawą ostatniej kampanii wyborczej do politycznego kabaretu. Trzeba mu koniecznie przywrócić powagę i skierować pod adresem prawdziwych autorytetów moralnych, jeśli takie nam jeszcze pozostały. Jeśli w ogóle jeszcze jakiegokolwiek uznajemy. Dla mnie Tadeusz Różewicz jest autorytetem niewątpliwym.

Kłopot tylko w tym czy, podobnie jak Szymborska, nie odmówi nam dziś na to pytanie odpowiedzi, skoro tak gruntownie zlekceważyliśmy chociażby taką fundamentalną naukę moralną, której udzielił nam przeszło pół wieku temu w słynnym *Liście do ludożerców*, wyraźnie nawiązującym do listu św. Pawła:

„Kochani ludożercy
nie zjadajmy się Dobrze
bo nie zmartwychwstaniemy
Naprawdę”

List został napisany w roku 1957, a ukazał się w tomie *Formy* wydanym w następnym roku. Twórczość Różewicza z tamtego czasu zostanie po upływie kilku lat określona przez Janusza Sławińskiego mianem poetyckiej moralistyki. Krytyka literacka zarzucała wówczas poecie nawet trywialne moralizatorstwo, zupełnie nie przejmując się faktem, iż popada w zasadniczą sprzeczność, oskarżając go równocześnie o nihilizm. Jakże łatwo było rzucić takie oskarżenie, sięgając choćby po fragment tytułowego wiersza z tomu *Nic w płaszczu Prospera* (1963):

„nic nadchodzi
nic w czarodziejskim płaszczu
Prospera
nic z ulic i ust
z ambon i wież
nic z głośników
mówi do niczego
o niczym”

Tak więc Różewicz został okrzyknięty moralistą-nihilistą. W rzeczywistości był przede wszystkim moralistą-ironistą i autoironistą. Ironia i autoironia pozwalały mu bez ryzyka artystycznego sięgać po wszystkie tonażje, od żartobliwej do patetycznej, a nawet stworzyć ich syntezę (*Żart patetyczny*).

Przywołałem tu tytuł wiersza, w którym poeta aż trzykrotnie powtarza, że kieruje swoje słowa „nie do potomnych”, po czym wylicza (wyliczenie jest, jak wiadomo,

jego ulubioną figurą stylistyczną), do kogo mówi. Kłopot jednak w tym, że żaden z adresatów go nie czyta i nie potrzebuje. Po podobnej konstatacji jego wielcy poprzednicy obrażali się i odwracali od swoich współczesnych, ale on sam nie ma już złudzeń co do „potomnych” („być może to będą potwory”) i zapowiada otwarcie:

„będę mówił do wszystkich
którzy mnie nie czytają
nie słuchają nie znają
nie potrzebują
Oni mnie nie potrzebują
ale ja ich potrzebuję”

Oto szczerść poety współczesnego, która była-by żałostna i żenująca, gdyby nie osłaniał jej ów „żart patetyczny”. Utwór ukazał się w zbiorze *Rozmowa z księciem* (1960). Piętnaście lat po wojnie „czysty” patos był już nie do zniesienia. Po kolejnym straszliwym jego nadużyciu w literaturze socrealizmu, „rząd dusz” niepodzielnie sprawowali „szyderycy”, wśród których Różewicz zajmował wprawdzie poczesne miejsce – o wiele jednak dla niego za ciasne, bo nie zdołał się nigdy wyzbycić poczucia tragizmu. Wprawdzie często „dramat ześlizgiwał [mu] się w komedię”, jak to określał w *Rozmowie* z tomu *Przygotowanie do wieczoru autorskiego* (1971), ale pojęcie tragikomizmu, które zrobiło w tamtym stuleciu ogromną karierę, jest również za ciasne – zwłaszcza dla jego poezji. Sięgnijmy po fragment prozy poetyckiej *Nienasycony* z tomu *Formy*: „Ulica oblepiona błotem pełna przemijających ludzi. Może to cienie. Przecież przechodzą ciemni milczący. Trzeba ich przebić kiedy krew tryśnie z jasnym krzykiem wtedy uwierzę że istniejemy. Gdzież są węzły które nas łączą więżą. Nici słabe przegniłe zwieszają się potargane ręką mordercy”.

To zakończenie trzeciej części, zdecydowanie wykraczające poza granice tragikomizmu, w których znakomicie mieści się jeszcze część druga: „Jestem tak pusty że można wybudować w moim wnętrzu jedną katedrę gotycką dwa domy towarowe teatr boisko zajezdnię tramwajową”.

Pewnie uważny czytelnik echo tego fragmentu utworu, napisanego w roku 1955, usłyszy w następującej kwestii Bohatera *Kartoteki* (o kilka lat późniejszej): „We mnie jest czasem takie ogromne klaskanie. Jestem pusty jak bazylika w nocy. Klaskanie, wujku, klaskanie...”.

To już był popaździernikowy rozrachunek z propagandowym kłamstwem, które przez prawie całe powojenne dziesięciolecie sztucznie podtrzymywało najwyższe napięcie patosu. „Klaskanie” (wraz z „okrzykami”) rozbrzmiewało na wiecach i pochodach, które miały być manifestacją entuzjazmu mas dla nowej rzeczywistości. Ale po zakończonych wiecach i pochodach masy rozsypywały się na poszczególne jednostki – osobne, niezwiązane z sobą żadnymi nićmi, milczące. Jednostki wprasowane w masę, pozbawione własnej osobowości,

¹ Jak żyć – spytał mnie w liście ktoś,
kogo ja zamierzałam spytać
o to samo.

Znowu i tak jak zawsze,
co widać powyżej,
nie ma pytań pilniejszych
od pytań naiwnych.
(*Schyłek wieku*, z tomu *Ludzie na moście*. Warszawa 1986, s. 25.)

indywidualności, marzyły o izolacji, o chwili samotności, której ciężaru już w następnej chwili nie mogły znieść (a nawet udźwignąć). Taki jest również bohater Różewicza w roku 1956. Postępujemy jego *BŁAGANIA*, kończącego opowiadanie *Nowa Szkoła Filozoficzna*:

„Sam. Myślałem, że człowiek może być sam. Teraz wybiegam z domu, teraz jestem bliski szaleństwa. Teraz biegnę, aby być bliżej ludzi. Jak to dobrze być popychanym, jak to dobrze obracać się w złej, spoconej, niecierpliwiej masie ciał. Ach, jestem z wami, jestem na zawsze. Wszystko, co ze mną zrobicie, będzie nas łączyło. Zło i dobro. Tylko nie zostawiajcie mnie samego. Byłem zarozumiały i głupi. Siedzę w swoim pokoiku i czekam. Strasznie tęsknię do żywego człowieka. Czekam na jego przyjęcie”.

Ta sama ambiwalencja uczuć charakteryzuje Bohatera *Kartoteki*. W przytoczonym cytacie kluczowe znaczenie ma określenie „żywy człowiek”, bo wśród swoich współczesnych poeta widział głównie „umartych”, których tak opisywał (zimną 1958 r.) w *Przerwanym egzaminie*: „Człowiek umarły jest bardzo wrażliwy. Na głód, na ciepło i zimno, na słowa i uśmiechy. Jego zwłoki są dla niego najważniejsze w całym wszechświecie”.

Przełom lat 50. i 60. zaznaczył się w twórczości Różewicza spotęgowaniem moralistycznej pasji, jakby wbrew wątpliwościom czy moralistyka w literaturze jest jeszcze możliwa po dwukrotnej kompromitacji w całkiem niedawnej historii – w lagrach i łagrach; po cynicznym szyderstwie napisu znad bramy obozu w Auschwitz *ARBEIT MACHT FREI* i po latach pierwszomajowych pochodów, w których śpiewało się: „Tysiące rąk, miliony rąk, a serce bije jedno!”. Poeta miał przy tym świadomość, że musi przewyciężyć własne wewnętrzne rozbieżności. W wierszu *Rozebrany* pisał w sierpniu 1956: „Nie będę kłamał / nie stanowią całości zostałem rozbity i rozebrany” – a w 1959 w opowiadaniu *Próba rekonstrukcji*: „Kto nie może złożyć swojego świata, ten żyje z dnia na dzień. Nawet się nie domyśla, że go nie ma”. To poczucie rozbitości i mozolne próby rekonstrukcji będą od tamto czasu towarzyszyć jego twórczości, stając się wręcz jej najistotniejszą treścią.

Oczywiście poecie zdarzają się chwile pewności, ale głoszone w takich chwilach stwierdzenia mają ważność tylko w odniesieniu do czasu, w którym są wypowiedziane. W wielu utworach znajdujemy przeciwstawienie: „teraz” i „dawniej”. Warto je zauważyć nawet w wierszu, który jest uważany za *credo* poety (taką interpretację utrwała zresztą szkoła, ponieważ utwór trafił do wielu podręczników) – ostatniej części poematu *Opowiadanie dydaktyczne, zatytułowanej Prawa i obowiązki*:

„Dawniej kiedy nie wiem
dawniej myślałem że mam prawo obowiązek
krzyczeć na oracza
patrz patrz słuchaj pniu
Ikar spada
Ikar tonie syn marzenia
porzuć pług
porzuć ziemię
otwórz oczy
tam Ikar
tonie
albo ten pastuch
tyłem odwrócony do dramatu
skrzydeł słońca lotu
upadku

mówiłem ślepcy

Lecz teraz kiedy teraz nie wiem
wiem że oracz winien orać ziemię
pasterz pilnować trzody
przygoda Ikar nie jest ich przygodą
musi się tak skończyć
I nie ma w tym nic
wstrząsającego
że piękny statek płynie dalek
do portu przeznaczenia”

To była jedna z chwil pewności – pod poematem jest data: 1962. Zaledwie dwa lata wcześniej poetą targaty wątpliwości, których wyrazicielem był Bohater *Kartoteki*: czy warto robić cokolwiek w świecie tak niepewnym, że w każdej chwili sufit może zważyć się człowiekowi na głowę. Lepiej więc leżeć w łóżku i kontemplować sufit: „Piękny, czysty, biały sufit”. To było już „teraz” czy jeszcze „dawniej”? Poeta odpowiada: „nie wiem” – granica między „teraz” i „dawniej” zaciera się. Czasem tylko daje się uchwycić i dokładnie oznaczyć – np. datą zawarcia jakiegoś budzącego nadzieję międzynarodowego traktatu. W obszernych didaskaliach i uwagach z *Aktu przerywanego* wyznawał:

„Kiedy zasiadłem do pisania tej sztuki, byłem w doskonałym humorze. Przyznam się, że pisząc didaskalia prawie się bawiłem. Jakie było źródło tej bez troski, tego optymizmu? Po prostu wraz z całą ludzkością odetchnąłem. Apokalipsa zastąpiła swoje oblicze. Świat wydaje mi się od jakiegoś czasu konstrukcją trwalszą i solidniejszą. Nie będę ukrywał, że na zmianę mojego nastroju wpłynął akt polityczny o znaczeniu ogólnoludzkim. Myślę o zakazie prób z bronią jądrową”.

Ale w końcu powtarzalność narastających zagrożeń i następujących po nich momentów „odprężenia” (to dyżurne słowo z języka politycznych komentarzy tamtych czasów) powodowała ogólne stępienie wrażliwości, a przynajmniej zneutralizowanie poczucia grozy śmiechem. Bo tylko tak można żyć w „świecie na krawędzi”. Pod koniec lat 60. to określenie, które w tamtej dekadzie ciągle powtarzało się w nieustających oficjalnych ostrzeżeniach, stało się wyswiechtanym frazesem i bu-dulcem takich oto kabaretowych dialogów, jak ten ze sztuki *Stara kobieta wysiaduje*:

„PAN Cóż, Cyrylu, znów ludzkość na krawędzi.

CYRYL Niestety, panie mecenasie, na krawędzi... czy umyć głowę?

PAN Nie trzeba... parę latek przeszło i znów na krawędzi...

CYRYL A jak małżonka pana redaktora? Jeśli można wiedzieć.

PAN Dziękuję, na krawędzi, ale pełna energii”.

Ten arcyśmieszny fragment skłania do nader poważnej refleksji na temat komunikacji społecznej w pierwszych dwóch dekadach powojennych. O ile do połowy lat 50. odpowiedzią na oficjalny przekaz propagandowy nowej władzy było wrogie, ale i załknione milczenie przeważającej części społeczeństwa, o tyle po październiku '56 tą odpowiedzią był głównie śmiech (parodia języka oficjalnego, dowcip polityczny). Różewicz bardzo konsekwentnie ośmieszał propagandowy frazes – nawet w apogeum socrealizmu, którego nakazem zresztą sam próbował się podporządkować, co później wielokrotnie mu wypominano. Jednak jego spojrzenie obserwatora

zakłóceń komunikacji społecznej sięgało znacznie głębiej. Przede wszystkim konstatawał zerwanie komunikacji międzypokoleniowej. Ba! W *Kartotece* zdawał się sam utrwalac ten stan rzeczy, wkładając w usta Bohatera takie słowa: „Bracia moi, moje pokolenie! Do was mówię. Nie mogą nas zrozumieć, młodzi i starzy!” Ale przecież po chwili oratorskiego uniesienia próbuje nawiązać dialog z Dziewczyną – osiemnastoletnią Niemką, której usiłuje wytłumaczyć, czym właściwie była wojna. Oczywiście przekona się, że jego usiłowania są daremne.

Podobną scenę znajdziemy w sztuce *Wyszedł z domu*, gdzie już nie ma żadnej młodej Niemki i wszystko toczy się w modelowej polskiej rodzinie, złożonej z rodziców i dwojga dzieci – siedemnastolatki i dziesięciolatka. Jeżeli w *Kartotece* pobrzmiwały jeszcze chwilami patetyczne tony, to tutaj patos jest konsekwentnie ośmieszany. Przede wszystkim patos rodzimej tradycji, która uświęciła samo słowo „ojciec”. Dla dzieci jest on już tylko „tatusiem”. „Ojciec” miał np. narzucony przez tradycję obowiązek przekazania dzieciom swego życiowego doświadczenia, z którego nie jest w stanie wywiązać się „tatusz”. „Ojciec” na toż śmierci błogosławił swe dzieci; ale tu ową podniosłą, przedstawianą wielokrotnie w literaturze i malarstwie, scenę odgrywa „tatusz”-hipochondryk:

„HENRYK kładzie dłoń na głowie Beniamina. Mówi głosem cichym ale wyraźnym Czuję, że odchodzę. Nie chcę was zostawiać bez błogosławieństwa, ale nie wiem, jak się to robi.

BENIAMIN Masz dopiero 37 stopni... Mama mówiła, że przychodzisz do siebie...

[...]

HENRYK Chciałbym was pobłogosławić, ale naprawdę nie wiem, jak to robili nasi ojcowie, to skandal, że nie ma jakiegoś podręcznika...”

Niezrażony niepowodzeniem, „tatusz” podejmuje z kolei heroiczny wysiłek słownego przekazu swojego doświadczenia, którego pragnie mu oszczędzić dziesięcioletni syn: „Nie męcz się, tatusiu, przecież wiemy, że nie masz nic do powiedzenia. To zresztą naturalne.”

Ta kwestia nie powinna umknąć naszej uwadze – w nastroju rozbawienia, w jaki wprawia cała scena. Oto dowiedzieliśmy się (z ust dziesięciolatka!), że doświadczenie pokoleniowe jest nieprzekazywalne, a więc szkoda się męczyć. Jeśli nawet ktoś podejmie taką heroiczną (a może tylko groteskową?) próbę, to jego przekaz będzie bezwartościowym bełkotem. Ale jeszcze bardziej szokująco brzmi lakoniczne stwierdzenie: „To zresztą naturalne”. Kto pierwszy uznał TO za „naturalne”? Komsomoł? Hitlerjugend? W każdym razie stało się to w wieku XX za sprawą obu totalitaryzmów.

Wróćmy jednak do nastroju beztroskiej(?) zabawy i słuchajmy dalej „tatusia”, rozpaczliwie usiłującego sprostać wymogom tradycyjnej roli „ojca”:

„HENRYK uparcie Pragnę wam zostawić jakieś wskazania... swoją drogą, nikt nie ma w tych sprawach doświadczenia... Dziad wasz wpadł do studni po pijanemu i nie miał czasu na spisanie testamentu, nie zdążył mi przekazać nic ze swego wielkiego doświadczenia, ja jestem w szczęśliwszym położeniu i chcę wam to przekazać, czego nie zdążył mnie przekazać wasz dziadek.

GIZELA Przekazuj nam, tatusiu...”

Tak zwana komedia – jak ją określił autor w podtytuł – *Wyszedł z domu* została napisana w roku 1964. Proponuję teraz przeskoczyć czterdzieści lat

– do pierwszej dekady nowego stulecia i tysiąclecia. W 2003 r. Tadeusza Różewicza spotkała przygoda, którą uwiecznił w wierszu *niebieska linia*. Utwór został wprawdzie umieszczony w tomie *Kup kota w worku*, zawierającym teksty raczej żartobliwe, ale ten brzmi bardzo serio. Posłuchajmy najpierw opowieści (Różewicz często w swoich wierszach coś opowiada):

„w lutym roku 2003
(działo się to w Konstancinie)
spadł śnieg
po murku (okalającym ogród DPT)
maszerowała „gęsiego” gromadka chłopców
(uczniów miejscowej szkoły)

zaczęli rzucać we mnie
(udając że mnie nie widzą)
kulami śnieżnymi
czasem w takiej kuli może
być kamień... więc się trochę wystraszyłem
co wy... chłopcy...”

To „co wy... chłopcy...” jest najłagodniejszą z możliwych reakcji słownych w podobnej sytuacji. Zresztą jak może zareagować stary przestraszony człowiek, świadom swojej bezsilności wobec hordy rozwydrzonych poczuciem bezkarności szczeniaków, żeby ich nie rozwścieczyć? Ale już ich rozwścieczył; zrobił rzecz absolutnie niedopuszczalną – popsuł im zabawę. Miał udawać, że nie wie, skąd lecą kule śnieżne, skoro oni udawali, że go nie widzą. A gdyby rzeczywiście w którejś kuli znalazł się kamień, miał obowiązek udawać, że go nie zabolalo i że z głowy nie cieknie mu krew. No, chyba że kamień byłby za duży... Wtedy już niczego nie musiałby udawać.

Reakcja „chłopców” jest więc w pełni zrozumiała: „usłyszałem rechot... i jakieś porykiwania... czkawkę dziadek coś pierdoli
poleciały w moją stronę prócz śnieżnych kul
słowa których nie słyszałem
w partyzantce
nigdy w szkole
ani w gimnazjum
ani na uniwersytecie

ani w stolarni
fabryki mebli Thonet-Mundus
gdzie byłem czeladnikiem
ani u żołnierzy niemieckich
ani u radzieckich”

Nie wiem, dlaczego dwa krótkie cytaty z przytoczonych tu dłuższych fragmentów wryły mi się w pamięć jako wyznaczające krańcowe punkty wspomnianego czterdziestolecia; słowa Beniamina ze sztuki *Wyszedł z domu*: „Nie męcz się, tatusiu, przecież wiemy, że nie masz nic do powiedzenia” oraz lakoniczne słowa „chłopców”: „dziadek coś pierdoli”. Ten pierwszy był jeszcze kwestią w dialogu; ten drugi przecina wszelką komunikację międzypokoleniową. Skrajnie zwulgaryzowany język, atakujący nas zewsząd, rozbija zbiorowość na wrogie grupy, których członkowie identyfikują się przy jego pomocy jako „swoi”, oraz służy do eliminacji „obcych”.

Już na początku lat 60. pisał Gombrowicz w *Dzienniku*: „chichot toczy się przez naród”. Chichot jest prześmiewczy, ale nie agresywny, w przeciwieństwie do rechotu – raczej obronny. Poza tym nie za głośny. W rozchichotanej zbiorowości moralisci mają trudne

życie; ale z kolei, gdy żyje im się zbyt łatwo, to jest z nimi (stale, od wieków) ten kłopot, że rzadko sami stosują się do głoszonych przez siebie nauk, co w końcu zaowocowało jeszcze jedną nauką moralną: czyńcie, jak nauczam, a nie, jak czynię. Żeby nie ulec presji fałszywych autorytetów moralnych, rozróżnialiśmy wówczas moralistów i moralizatorów. Różewicz-moralista uświadamiał sobie, rzecz jasna, jak bardzo sytuacja w tym względzie była skomplikowana i jak nieufnie traktowano wszelką moralistykę. Wiedziony trafną intuicją, kreował często bohatera naiwnego i prostodusznego, w którego usta wkładał nauki moralne, przeczuwając, że będzie on bardziej wiarygodny niż skompromitowany „intelektualista”. Podobne przekonanie wyrażał później Czesław Miłosz w *Widzeniach nad Zatoką San Francisco* (1969): „Mąż pobożny i bogobojny jest, śmiem twierdzić, wyższym okazem człowieka niż ruchliwy szyderca, chętnie nazywający siebie „intelektualistą” i dumny ze swojej zręczności w postugiwaniu się ideami, które bierze za swoje własne, choć otrzymał je w lombardzie, zastawiając prostotę serca”.

Do Różewiczowskich bohaterów trudno byłoby wprowadzić odnieść określenia „pobożny i bogobojny”, ale istotniejsza tu jest – wymieniona przez Miłosza na końcu – „prostota serca”. Jednym z nich jest Henryk, bohater-narrator opowiadania *Moja córeczka* (1964-1966), którego autor obarczył wyjątkowo trudnym zadaniem – miał on uwiarygodnić najbardziej chyba wyświechtany humanistyczny arcyfrazes „kochać ludzi”:

»Muszę Mireczce powiedzieć, że ją bardzo kocham, i Annie... Annie chyba od wielu miesięcy nic miłego, serdecznego nie powiedziałam... powiem przy wigilijnym stole na ucho „siostrzyczko, twój młodszy brat cię bardzo, bardzo kocha”... te wszystkie gwiazdy i galaktyki uciekają od siebie w nieskończoność... trzeba w tej pustce koniecznie ludziom mówić, że się ich kocha, nie trzeba się wstydzić, trzeba głośno mówić „kocham was, kocham, ludzie”...«

Zatrzymajmy się chwilę przy tym wyznaniu... Henryk każe nam kochać człowieka i ludzi, a nie „ludzkość”. *Moja córeczka* zaczyna się od sceny wkuwania na pamięć inwokacji do *Pana Tadeusza*. Wiele lat później, 7. października 1991 r., w przemówieniu na uroczystości wręczenia doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego Tadeusz Różewicz powie: „Kiedy myślę o poezji w ogóle, myślę o Mickiewiczu, kiedy myślę o poezji polskiej, myślę o Mickiewiczu”.² Zapewne miał w pamięci również aforyzm ze *Zdań i uwag* Mickiewicza, kiedy ironizował na temat Przybosa: „Przyboś chciał uszczęśliwić »ludzkość« – ja człowieka...”³. Ów aforyzm, zatytułowany *Kochać ludzkość*, brzmi następująco:

„On kocha ludzi? Za cóż od ludzi ucieka?

Bo on kocha w człowieku ludzkość, nie człowieka”.⁴

Ucieczka od konkretnych ludzi, od człowieka, i deklamacje o dążeniu do szczęścia ludzkości – tak można by opisać w największym skrócie rzeczywistość powojennego prawie półwiecza. Umownie nazywamy ją rzeczywistością PRL-u. Był to świat zdominowany przez kłamstwo propagandy politycznej, atakującej nas codziennie przez mass-media, i narastającą we wszelkich kontaktach międ-

dzyludzkich agresję. Złe emocje wylewały się w postaci chamstwa zachowań na ulicy, w sklepach, urzędach – słowem: wszędzie – oraz we wszechogarniającej wulgaryzacji języka. Oba te zjawiska, niestety, przeżyły PRL i kwitną w Niepodległej, zwanej też Najjaśniejszą. Różewicz, oczywiście, był i jest ich baczny obserwatorem, który nieustannie porównuje „teraz” z „dawniej”.

Krąg jego obserwacji obejmuje zresztą nadal całą „ludzkość na krawędzi”. Poeta wydaje się przy tym mniej skłonny niż parędziesiąt lat temu do wpisywania nowych tragedii ludzkości w kategorii humoru absurdalnego. Przejmującą książkę *Matka odchodzi* (1999) otwiera poemat prozą *Teraz*, w którym to tytułowe „teraz” zostaje również zderzone z „kiedyś”:

„Kiedyś, dawno, w roku 1955 napisałem wiersz *W środku życia*...

Po końcu świata
po śmierci
znalazłem się w środku życia
stwarzałem siebie
budowałem życie
ludzi zwierzęta krajobrazy

to jest stół mówiłem
to jest stół
na stole leży chleb nóż
nóż służy do krajania chleba
chlebem karmią się ludzie
człowieka trzeba kochać
uczyłem się w nocy w dzień
co trzeba kochać
odpowiadałem człowieka

poeta! zestarzał się, stoi u „progu śmierci” i jeszcze nie rozumiał że nóż służy do urzynania głów do urzynania nosów i uszu do czego służy nóż? do ucinania głów... gdzie tam, daleko? blisko? i do czego jeszcze służy nóż? do ucinania języków które mówią językiem obcym i do rozcinania brzuchów ciężarnym kobietom do wycinania piersi karmiącym do urzynania genitaliów do wydlubywania oczu... i co tam jeszcze można zobaczyć w Telewizji? co przeczytać w gazetach? co usłyszeć w radio?

do czego służy nóż
służy do ucinania głów wrogom
służy do ucinania głów
„kobietom dzieciom starcom”
(Tak to się pisze w gazetach
od stu lat...)

teraz kiedy piszę te słowa spokojne oczy matki spoczywają na mnie na mojej ręce na tych okaleczonych oślepionych słowach”.

Świat się skurczył. Określenia „daleko” i „blisko” straciły na znaczeniu. „Ludzkość”, mimo że przekroczyła siedem miliardów, też jest do ogarnięcia wzrokiem – zwłaszcza uzbrojonym w kamerę telewizyjną.

Panie Tadeuszu, jak żyć w tym naszym, ogarniętym szaleństwem, świecie na początku drugiej już dekady nowego stulecia i tysiąclecia?

Poeta pewnie odpowiedziałby mi tak (z właściwym sobie cierpkim poczuciem humoru): – Teraz dopiero pan pyta?... Ile pan ma lat? 72? To średnia wieku, jakiego dożywają mężczyźni w tym kraju... Więc czym się pan martwi? Pora zbierać się do odejścia...

STANISŁAW GĘBALA

² *Margines, ale...* Wrocław 2010, s. 258.

³ *To, co zostało z nienapisanej książki o Norwidzie*, w: *Proza 3*. Wrocław 2004, s. 121.

⁴ Adam Mickiewicz, *Dziela Tom I Wiersze*. Kraków 1949, s. 366.

MARIAN STĘPIEŃ

CZY POWRÓT WŁADYSŁAWA BRONIEWSKIEGO?

Prasa ostatnio doniosła, że radni Płocka zamierzają rok 2012 ogłosić rokiem Władysława Broniewskiego. Trudno nie zatrzymać się nad tym komunikatem, jeżeli się pamięta, że radni tego samego miasta (zapewne nie te same osoby) w roku 1990 wzywali do zburzenia stojącego w Płocku pomnika poety – dzieła Kazimierza Gustawa Zemły.

Niezależnie od powodzenia obecnej inicjatywy i jej ewentualnej realizacji jest ona sygnałem, który dużo mówi o zmianach w myśleniu o życiu i twórczości Władysława Broniewskiego, o jego znaczeniu dla polskiej kultury i o przewartościowaniu wielu spraw, jakie się wiążą z życiem i twórczością poety, który odgrywał ważną rolę w życiu literackim, a także politycznym w czasach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Na początku ostatniego dziesięciolecia ubiegłego wieku samorządowcy wielu miast występowali przeciw utrzymywaniu pamięci o Władysławie Broniewskim. Jedni cieszyli się, że w wolnej Polsce można wreszcie publikować jego dotychczas zakazane wiersze, a inni gorliwie przystąpili do zmieniania patronów szkół noszących jego imię. Tych drugich może nie było więcej, ale byli bardziej krzykliwi. Zmieniano nazwy ulic z jego nazwiskiem. Na warszawskim Żoliborzu miał on ustąpić Jerzemu Popiełuszce. Szczęśliwie do tego nie doszło. Książd Jerzy Popiełuszko otrzymał swoją ulicę, Broniewski swojej nie stracił. Ale mało brakowało. Z programów szkolnych usunięto jego wiersze.

W 2007 roku postowie Prawa i Sprawiedliwości wnieśli do sejmu projekt ustawy „dekomunizacyjnej”, na mocy której usunięto by z polskiej przestrzeni resztki symboli przypominających lata Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Zabiegiem tym miał być objęty również Władysław Broniewski. Twórcy pomysłu napotkali jednak duży opór, dzięki temu oszczędzono wybitnych poetów, którzy chociaż „w dłuższym czy krótszym okresie ulegli komunistycznym mirażom”, nie wyrażali pochwały komunizmu, a dzieła ich dowodziły dużego talentu wzbogacającego polską literaturę. Mimo więc tych zapędów ostali się: Władysław Broniewski, Julian Tuwim, Jan Brzechwa.

Tak postępowali politycznie rozgorączkowani samorządowcy, także niektórzy postowie. A co powiedzieć o uniwersyteckim profesorze historii literatury polskiej, któremu powierzono przygotowanie dla Biblioteki Narodowej wyboru wierszy Kazimierza Wierzyńskiego i który nie wprowadził do tego wyboru jednego z najlep-

szych powojennych jego wierszy, ponieważ mówi się w nim o Władysławie Broniewskim. Nie pomogło nawet, że utwór ten otwierał tom wierszy Broniewskiego wydany zaraz po jego śmierci przez Giedroycia, tom zawierający utwory nie dopuszczone w Polsce do druku. Mimo to profesor próbował skazać Broniewskiego na trwałą niepamięć.

Przez dziesięć lat czekało na publikację opracowane starannie przez Feliksę Lichodziejewską krytyczne wydanie *Poezji zebranych* Władysława Broniewskiego. Przygotowane dla Państwowego Instytutu Wydawniczego zostało w nim złożone w 1989 roku. Do publikacji nie doszło. Prace nad nim zostały wstrzymane w roku 1990 z motywacją mówiącą o trudnościach finansowych. Był to rok politycznych rewizji planów wydawniczych i skreślenia z nich pozycji wówczas źle widzianych. Znam to z własnego doświadczenia, bo te zabiegi i moich publikacji dotknęły. Czterotomowe wydanie *Poezji zebranych* Broniewskiego ukazało się dopiero w 1997 roku nakładem Towarzystwa Naukowego Płockiego i Wydawnictwa Algo. W tym samym roku zasłużona edytorka umarła.

Znacznie wcześniej, w 1973 roku Feliksa Lichodziejewska opublikowała bardzo ważne dla badania życia i twórczości poety dzieło: *Twórczość Władysława Broniewskiego. Monografia bibliograficzna*. Kto chciał, mógł się już wówczas z niej dowiedzieć przynajmniej o istnieniu wszystkich utworów poety, także o tych, którym wstępu do kraju zakazywała cenzura; również o okolicznościach towarzyszących ich publikacji.

Kiedy tylko powstały umożliwiające to warunki, Feliksa Lichodziejewska opublikowała w Wydawnictwie Społecznym KOS książkę *Broniewski bez cenzury 1939-1945*. W obszernej rozprawie wstępnej przedstawiła życie i twórczość poety w okresie objętym tymi datami, a w *Aneksie* zamieściła jego utwory, których publikacja napotykała na trudności ze strony różnych cenzur: radzieckiej, wojennej angielskiej i – najczęściej – powojennej polskiej.

W tym samym czasie, w którym postowie PiS-u występują z projektem wspomnianej ustawy, zaczyna się odkrywanie Władysława Broniewskiego przez młode pokolenie. Młodzi twórcy znajdują w niej dla siebie źródła inspiracji. W 2004 roku znany i ceniony w świecie młody artysta Wilhelm Sasnal maluje duży (prawie dwa na dwa metry) portret Władysława Broniewskiego. Rok później w warszawskiej galerii Raster młodzi twór-

cy związani z nową lewicą, Łukasz Gorczyca i Michał Kaczyński przygotowali wystawę *Broniewski* z ekspozycją prac plastycznych inspirowanych jego poezją. Towarzyszyła im płyta z tekstami poety śpiewanymi przez różnych wykonawców. Były też różne gadżety: wódka Broniewski, t-shirty z jego wizerunkiem. Wystawę pokazano w Warszawie, później w Berlinie. Broniewskiemu też poświęcono specjalny numer miesięcznika „Lampa”.

Wznowiona została tradycja konferencji naukowych poświęconych twórczości Władysława Broniewskiego. Po latach nieobecności powrócił on do uniwersyteckiego życia naukowego. Na Uniwersytecie Śląskim urządzono wystawę „Broniewski – »Mój pogrzeb«” i zorganizowano sesję naukową, której pokłosiem są referaty zebrane w książce *Broniewski*. W tym samym roku w Muzeum Władysława Broniewskiego w Warszawie odbył się cykl odczytów o poecie opublikowanych w książce *Mój Broniewski*.

Pamiętali i pamiętają o poecie aktorzy Teatru im Jerzego Szaniawskiego w Płocku. Od 1997 roku, czyli od setnej rocznicy jego urodzin, co roku 17 grudnia (dzień urodzin poety) urządzają pod jego pomnikiem happeningi z wierszami, śpiewem, toastami i trunkiem.

Przemysław Wojcieszek wprowadził wiersze Broniewskiego do filmu *Made in Poland*. Jego sztuka, później oparty na niej film ukazuje świat ludzi mieszkających w blokowiskach, środowisko „błokersów”. W szarych blokowiskach, w obecnej w nich biedzie, w klimacie beznadziejności, braku perspektyw lepszego, godniejszego życia dochodzi do buntu wyrażającego się w chamstwie, w wulgaryzmach. Z takim światem zostają skonfrontowane wiersze Broniewskiego. Przedwojenne, zatrzymujące się na ludzkich nieszczęściach, na wegetowaniu pozbawionym nadziei na wyjście ku lepszemu, piękniejszemu światu. W spotkaniu ze światem dzisiejszych blokowisk poezja Broniewskiego okazuje się aktualna. „Przy całym swoim romantycznym patosie brzmi niezwykle świeżo, odbija nasz współczesny niedosyt naszą »kulturą wyczerpania«. Słynny wiersz Broniewskiego *Poezja* pisany był w innej cywilizacji, ale przecież w podobnym klimacie rozczarowania [...]. Wojcieszek przywołuje Broniewskiego w osiedlowym barze nie po to, żeby go poniżyć, tylko żeby otworzyć przed swymi bohaterami inną perspektywę”.¹

Refleksje o nieobecności i przywracanej obecności Władysława Broniewskiego wywołała książka Mariusza Urbanka.² Jest ona jeszcze jednym, obok dotychczas wymienionych, najważniejszym i najpełniejszym znakiem powracania poety. Równocześnie z nią ukazał się tom wspomnień o nim przygotowany przez Mariolę Pryzwan pod tytułem *W słowach jestem wszędzie* oraz w wyborze i ze wstępem Mariusza Urbanka tom jego poezji zatytułowany *Wierszem przez życie*. Wszystkie trzy książki ukazały się w ubiegłym roku.

Tytuł książki Urbanka, ściślej jej podtytuł jest „komercyjny”, mający skłonić do kupienia książki. Sugeruje lekkość ujęcia, plotkę, może skandale. Ale wbrew temu podtytułowi książka jest poważną biografią poety, odwołującą się do wielu świadectw dotyczących jego życia i do tej części jego twórczości poetyckiej,

która może być potraktowana jako źródło wiedzy o życiu poety.

Niemniej ten nieco frywolny podtytuł może mylić, zwłaszcza gdy trafi do czytelnika poezji Broniewskiego, który jest do niego uprzedzony i skłonny traktować poetę powierzchownie. Jak na przykład Krzysztof Masłoń, który czuje się „zakatowany Broniewskim”, bo musiał w szkole deklamować *Elegię o śmierci Ludwika Waryńskiego*. Zapamiętał tylko jego „poetyckie wycpiny”. Skwapliwie skorzystał z tej tytułowej wódki, pojął ją zbyt dosłownie i w recenzji książki Urbanka zamieścił niezbyt mądre słowa o poecie: „Można z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że gdyby nie będący przekleństwem poety alkohol, nie trafiłby 24 stycznia 1940 roku wprost ze sławnej uczty w restauracji Aronsona do więzienia na Zamarstynowie, nie zostałby skazany, nie spędziłby w sowieckich tiumach 562 dni”.³

Tak oto krytyk postrzega przyczynę aresztowania poety, który został zatrzymany przez NKWD w styczniu 1940 roku i osadzony w więzieniu na Zamarstynowie we Lwowie. Po upływie pół roku został przewieziony do Moskwy do więzienia na Łubiance, później do Saratowa. W radzieckich więzieniach spędził cały rok 1940 i ponad połowę roku 1941. Został zwolniony dopiero na mocy układu zawartego między rządem Władysława Sikorskiego i rządem Józefa Stalina. A zaraz, w parę dni po aresztowaniu ukazał się artykuł Witolda Kolskiego pod wystarczająco wymownym tytułem *Zgnieść gadzinę nacjonalistyczną*, w którym uzasadnia się aresztowanie polskiego poety wskazując, że był on kapitanem legionów walczących z republiką radziecką, przyjaźnił się z sanacyjnymi dygnitarzami i uprawiał „szowinistyczną agitację przy pomocy wierszydeł nacjonalistycznych”.⁴

Notabene ta „wódka”, która tak uwiodła Masłonia, w książce pojawia się właściwie dopiero w jej ostatnich rozdziałach, zwłaszcza w tym, który traktuje o pobycie poety w szpitalu w Kościanie. I we wspomnieniu przybranej córki poety, Marii Broniewskiej-Pijanowskiej zamieszczonym na końcu.

Mariusz Urbanek podjął się niełatwego zadania. Napisać biografię poety, który był nie tylko bardzo złożoną osobowością; zarówno radykalną w swej rewolucyjności, jak i zdolną do lirycznych, sentymentalnych wyznań. Co więcej, żeby pokazać Broniewskiego, tak w jego wielkości, jak i w chwilach obniżonych lotów trzeba było sprostać wyzwaniu tej wizji Broniewskiego, jaka pozostała i nadal pozostaje, bo jest utwierdzona w zbiorowej wyobraźni. Wizji Broniewskiego jako barda rewolucji i chwalcę socjalistycznego ustroju w powojennej Polsce. Barda, który za służenie swym talentem bieżącej polityce otrzymywał wymierne i duże dobra materialne. Co więcej, trzeba było sprostać tej wizji Broniewskiego, jaka łączy się ze *Słowem o Stalinie*, poematem zapamiętanym jako szczytowy przejaw panegiryzmu w poezji. Trzeba było rzucić wyzwanie tej wizji Władysława Broniewskiego, jaką zdefiniował Gustaw Herling-Grudziński pisząc o nim jako o „dworzaninie typu *poeta laureatus*”.⁵

Broniewski, autor rewolucyjnych wierszy w okresie międzywojennym poczuł się w Polsce powojennej

¹ Tadeusz Sobolewski, *Broniewski na blokowisku*. „Gazeta Wyborcza” 25 II 2011.

² Mariusz Urbanek, *Broniewski. Miłość, wódka, polityka*. Warszawa 2011.

³ Krzysztof Masłoń, *Haust Broniewskiego*. „Rzeczpospolita. Plus – Miłus”, 19-20 XI 2011.

⁴ Por. M. Urbanek, *Broniewski... jw.*, s. 167-169.

⁵ Zob. Gustaw Herling-Grudziński, *Kłeska i bunt dworzanina*, w: *Wyjścia z milczenia, Szkice*. Warszawa 1998.

jak w państwie, w którym ma prawo przyjmować hołdy i towarzyszące im wymierne dobra. Ale takie samopoczucie zakładało nie tylko gotowość do pochwał pod adresem tego państwa, lecz również hardość człowieka, który wie, kim był, kim jest i do czego ma prawo w państwie socjalistycznym. Przyjmował hołdy i obdarowania (łącznie z willą na Mokotowie), ale równocześnie odmówił Bierutowi napisania nowego hymnu polskiego. A w *Pokłonie Rewolucji Październikowej* „czapką po polsku” była nie tyle uległość lecz coś ze wspaniałomyślności człowieka, który w młodości, w Legionach Piłsudskiego przeciwko niej walczył.

Wolny od uprzedzeń, niezależny wobec różnych stereotypów związanych z nazwiskiem i twórczością Władysława Broniewskiego, Urbanek zbiera pieczołowicie informacje o życiu poety; oficjalne, prywatne i bardzo osobiste zmierzając do stworzenia wielowymiarowego portretu możliwie bliskiego oryginałowi jego złożonej osobowości. Uduje się drogą własną, może zbyt własną, bo niekiedy na użytek książki wyszłoby sięgnięcie do niektórych prac o Broniewskim, a jest ich dużo.

Urbanek odtworzył rodzinne powiązania poety, ukazał jego dzieciństwo, wczesną młodość, gimnazjum w Płocku, ucieczkę do Legionów, urzeczenie poezją wielkich romantyków. Gdy opowiada o udziale Broniewskiego w walkach frontowych, dowodzeniu przez niego kompanią, otrzymaniu Virtuti Militari za walkę z bolszewikami, którym, jak później Broniewski pisał, zawdzięczał „pocałunek Almanzora” w postaci znalezionych w porzucenych taborach rewolucyjnej literatury – Urbanek nie poprzestaje na opisie wojennych doświadczeń, warunków w okopach, widoku rozszarpanych granatem zwłok towarzyszy walki; mówi o reakcji Broniewskiego na widok chłopów zmuszanych do oddawania nałożonych na nich kontyngentów żywności, bicia opornych, którzy – z biedy – nie mogli wywiązać się z tych obowiązków, na widok po prostu ludzkiej krzywdy.

Dobrze też przedstawia Urbanek rozczarowanie poety niepodległą ojczyzną, co prowadzi do jego radykalizacji w latach międzywojennych i zbliżenia się do kręgów komunistycznej lewicy, i do kontaktów z poetami artystycznej i ideowej awangardy. Wprawdzie pisząc o rozdrożeniu poety na – z jednej strony – rzecznika rewolucji, a z drugiej – lirycznego twórcę nastrojowych wierszy, nie jest Urbanek odkrywcą, jak mu to przypisują niektórzy recenzenci. O tym, jak to Broniewski bronił „harfy ze stu strun stustrunnej” nie chcąc podporządkować swej twórczości doraźnej walce politycznej pisano już wiele razy. Niemniej Urbanek umiejętnie wydobywa różne strony osobowości poety szczególnie podatnego na wzruszenia miłosne – i różne nuty jego wielostronnej poezji, której „nic co ludzkie nie jest obce”. Umiejętnie prowadzi narrację o życiu poety wydobywając wszystkie – niekiedy sprzeczne z sobą – cechy jego osobowości, które równolegle znajdowały wyraz w jego poezji. Zaangażowanie polityczne, społeczne, a równocześnie – poezja liryczna i romanse, których w życiu poety było niemało, do czego Urbanek dorzuca garść nowych informacji.

Twórczość poetycka Władysława Broniewskiego w książce Urbanka pozostaje na dalszym planie. Bywa niekiedy przywoływana jako dowód, poparcie tezy o jakimś epizodzie z życia poety, jako dokument jego duchowej biografii. Można by z niej wydobyć znacz-

nie więcej materiału autobiograficznego, niż to czyni Urbanek. Niekiedy czytelnik jego książki wprost żałuje, że nie sięgnął on po niektóre opracowania o poecie bo wówczas jego książka dużo by mogła zyskać. Na przykład w związku z wycieczką do Zakopanego, w Tatry, im właśnie – jak pisze Urbanek – „poświęcił piękny wiersz *Hawrań Murań*, którym zachwyił się Wende” (128). I tyle. I nic o pięknym, głębokim eseju Kazimierza Wyki poświęconym „Najpiękniejszemu wierszowi tatrzańskiemu Broniewskiego”.⁶ Zderzenie zdawkowej wzmianki o wierszu „którym zachwyił się Wende” z esejem Kazimierza Wyki wskazuje, ile mogłaby zyskać książka Urbanka, gdyby sięgnął on do niektórych prac o Broniewskim.

To samo wrażenie odnosi się do prezentacji przez Urbanka rozejścia się Broniewskiego z rewolucyjnymi poetami z kręgu „nowej Kultury” w latach dwudziestych ubiegłego wieku. Obraz tego rozdzwień uległby znacznemu pogłębieniu, gdyby Urbanek sięgnął chociażby do studiów Tadeusza Bujnickiego o Broniewskim i do niektórych innych prac poruszających te problemy.

Dużo i ważnych informacji o życiu poety i jego kontaktach znalazłby Urbanek w książce Marci Shore *Kawior i popiół. Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*.

Dobrze są przedstawione losy poety (i towarzyszące im wiersze) w Związku Radzieckim, potem w Armii Andersa, na Bliskim Wschodzie, ale kiedy przechodzi do syntetycznego ujęcia życia poety w Polsce Ludowej, po powrocie do kraju w 1945 roku, nie udaje mu się uniknąć utartego szablonu:

„Został jednym z najbardziej skłamanych poetów Peerełu. Obsypany łaskami i wynagradzany tak, jak carowie nagradzali posłusznych piewców ich wielkością, zapłacił za to bardzo wysoką cenę. Musiał zrezygnować z części swojego życiorysu i twórczości. Być może części najważniejszej” (245).

Jest w tym sformułowaniu doza prawdy, ale zbyt to uproszczone ujęcie. Autentyczne i wielkie było pragnienie poety powrotu do kraju. Można zauważyć w jego utworach przyływ energii w chwili, gdy podjął decyzję, by wrócić i dołączyć do tych, którzy podnoszą kraj z wojennych ruin. Jest w nich dużo entuzjazmu, porywu, niekłamanego zapału. Nie wszystkie wiersze poety odnoszące się do odbudowującej się Polski musiały być „skłamane”.

Władysław Broniewski po powrocie do kraju kończył swoje tragiczne rozrachunki poetyckie z wojną – w „Kuźnicy” zamieścił nowe wiersze poświęcone pamięci żony, Marii Zarębińskiej, byłej więźniarki Oświęcimia i bohaterstwu walczących z okupantem komunistów (wiersz *Pięćdziesiąciu*).

W wyzwolonej spod niemieckiej okupacji Polsce, w dźwigającym się z ruin kraju jego poezja wzbogacała się o nowe tony. Przechodziła od „pieśni gniewnej, złej pieśni”, od „gniewu i pogardy”, od „śpiewu zachłyśniętego krwią”, „pożądającego krwi” – do „pieśni miłości, pieśni radosnej”, do ucieleśnienia tułaczego snu”. Od twórczości burzącej, protestującej – do poezji konstrukcji, budowy, entuzjazmu, zapału, co wcale – zwłaszcza w pierwszych latach po wojnie – nie musiało być zakłamaniami.

⁶ Kazimierz Wyka, *Rzecz wyobraźni*. Wydanie drugie poszerzone. Warszawa 1977, s. 453.

Poezja Broniewskiego towarzyszyła sukcesom wojennej odbudowy kraju i ważnym wydarzeniom politycznym. To prawda, że wiele jego wierszy okolicznościowych tchnie nieprzekonującą deklaratywnością, przesadnym panegiryzmem. Niemniej nawet wśród nich są i takie, które są pozbawione fałszywego tonu. Proste i celne słowa, które u innych stawały się wytartym frazesem, u Broniewskiego odznaczały się autentycznym wzruszeniem, żarliwością i prawdziwą pasją polityczną, choć może być ona różnie przyjmowana, zależnie od politycznych sympatii odbiorcy jego poezji.

Poza tym Broniewski „okresu Peerelu” to również – co Urbanek docenia i czemu poświęca należytą uwagę – autor cyklu *Anka*, którym poeta wszedł do tej tradycji polskiej poezji, której świetny początek dały *Treny* Jana Kochanowskiego. To jego – w ostatnich latach życia pisane – nowe liryki zwrócone ku ojczystemu pejzażowi, ku własnej osobowości; pisane ze świadomością nieuchronnego a rychłego odejścia. Proste, naturalne, przejmujące.

Dobrym przykładem rzeczowego, obiektywnego opisu skomplikowanego zjawiska jest przedstawienie przez Urbanka poematu *Słowo o Stalinie*. Poświęca mu osobny rozdział. Zaczyna się tak: „W 1949 napisał *Słowo o Stalinie*, poemat, który wypominano mu do końca życia. Najgłośniejsi ci, którzy pisali o Stalinie utwory nie tylko znacznie bardziej wiernopoddańcze, ale pozbawione talentu Broniewskiego” (275). Po czym następują różne opinie o poemacie i o jego autorze. Przekreślające poetę słowa Jana Lechonia, oskarżycielskie szyderstwo Mariana Hemara, surowa ocena moralistyczna Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, pobłażliwość Jerzego Giedroycia, przyznanie prawa do takiego pisania ze względu na postawę sięgającą lat przedwojennych przez Mieczysława Grydzewskie-

go, wyrozumiałość Józefa Czapskiego i słowa Juliusza Mieroszewskiego: „Gdyby Broniewski był marmurowy i niezłomny, nie byłoby ody na cześć Stalina, ale nie napisałby pewnie też *Drzewa rozpaczającego*. Ten sam talent bywa źródłem wielkości i małości” (284). A obok tych opinii – słowo Broniewskiego broniącego zawsze walorów artystycznych swego poematu: „Uważam, że utwór ten jest uczciwy, a wycofałem go dlatego, że nie przypuszczałem, iż przy takim wkładzie pracy i energii tylu ludzi mogło ponieść niezasłużoną śmierć” (279).

Książka Mariusza Urbanka jest dobrą, popularną, dobrze czytającą się biografią poety. Przeznaczoną do szerszego odbiorcy zainteresowanego literaturą, jej twórcami i dzisiejszym odczytywaniem ich dzieł. Jej popularny charakter tłumaczy nieobecność przypisów, które by dokumentowały przytaczane fakty, zdarzenia, opinie, czyniąc je bardziej wiarygodnymi.

A jednak... Mimo zrozumiałej skądinąd niechęci do obciążania książki aparatem naukowym można żałować, że jest ona pozbawiona przypisów, które by odsyłały do źródeł, potwierdzały wiarygodność przytaczanych informacji i opinii. Nie mówiąc już o tym, że oddałyby sprawiedliwość tym, którzy przed Urbankiem pisali o Broniewskim. Książka jest pozbawiona nawet końcowego zestawienia wykorzystanej i pomocnej bibliografii. Popularność popularnością, a to jednak pomniejsza wartość dobrej w istocie książki, której pojawienie się wita się z zadowoleniem jako znak rzeczowego, wyważonego, rzetelnego, nie unikającego spraw kłopotliwych mówienia o twórcy literatury polskiej XX wieku.

Może poezja Władysława Broniewskiego powróci jeszcze do programu polskiej szkoły?

MARIAN STĘPIEŃ



Rys. Małgorzata Tabaka

WŁADYSŁAW LORANC

BOY, GOMBROWICZ, MIŁOSZ – NASI WSPÓŁCZEŚNI

W drugiej dekadzie XXI wieku trwa ustrojowa transformacja kraju. Taki miękki pseudonim nadano zmianie stosunków politycznych, którą co do treści i skutków porównam ze zmianami, jakie Europa na początku wieku XIX nazwała Świętym Przymierzem. Rozpoczęty przed dwudziestoma laty proces (zaczadzony euforią ideolog nazwał go „końcem historii”), załamuje się. Politycy sądzili, że powstaje świat, dla którego wymyślili efektowne imię: „Pax Americana”. Ich projekt przechodzi do archiwum jako pomysł ideologiczny, a nie jako program polityczny. Świat jaki jest, każdy widzi, a ogromna większość odczuwa trudność w nazwaniu tej wszystkimi zmysłami doświadczanej rzeczywistości. W chaosie zdarzeń trudno zrozumieć ich sens. Szukamy właściwych imion dla zdarzeń i struktur. Politycy wymyślają fałszywe lub wręcz idiotyczne terminy w rodzaju: wojna polsko-polska, prawdziwy patriotyzm itp. W numerowaniu ustroju doszli do IV RP. Każą się cieszyć z mnogości rządów kreujących transformację. Deklarują gotowość powołania nowych. Politycy prawicy gloryfikują naród. Bylibyśmy skłonni uwierzyć im, gdyby nie wątpliwość czy w tym wybranym narodzie jest miejsce dla obywateli pewnych swych konstytucyjnych praw. Przeżywamy poważne trudności nie tylko w zrozumieniu politycznych wydarzeń, ale często sami ze sobą nie umiemy dojść do ładu. Prawdopodobnie główną przyczyną sprawczą tych trudności jest fakt, że proces transformacji odbieramy jako pasmo rozczarowań polityką, gospodarką, etyką i kulturą. Powtórzę: potrzebujemy realistycznych słów otwierających szansę zrozumienia warunków, w jakich znalazł się kraj. Wątpię, czy realizacja postulatów Norwida „odpowiednie dać rzeczy- słowo” jest możliwa w sojuszu z politologami. Większą szansę dostrzegam w podjęciu próby z pisarzami, zwłaszcza z tymi najwybitniejszymi, których wymieniam w tytule mojego eseju: Boy, Gombrowicz, Miłosz. Oni udowodnili swe intelektualne i artystyczne kompetencje w czasie, gdy wszystko się zaczynało, gdy Polacy przekroczyli Rubikon rozdzielający Polskę poetycką od Polski politycznej. Wtedy wybuchło, rozbiły się i upadło odrodzone po rozbiorach państwo polskie. Zrozumienie kryzysu, który przeżywamy, potrzebuje ich wiedzy.

Co może powiedzieć o świecie człowiek urodzony w rodzinie, która o pięknej epoce (*la belle époque*) coś

tam usłyszała w szkole. Życie tej rodziny ukształtowały dwie światowe wojny. Przed nimi i po nich doświadczają skutków opóźnionych o ponad sto lat reform społecznych. zwłaszcza mactwa wokół odkładanej reformy rolnej. Co mogli zrozumieć ludzie zmagający się z krachem gospodarczym lat 1929-1933? A co o świecie wie człowiek, który wyprawę Legionów na San Domingo zrozumiał dopiero wtedy, gdy armia jego suwerennego, jak mówią, kraju narzucała rygory globalizmu ludności Iraku, Afganistanu, Jugosławii czy obecnie Afryki. Jak ten świat rozumie człowiek, co promiennymi oczyma patrzył na Sobór Watykański II, by później z niedowierzaniem obserwować spychanie do kulis Jana XXIII, łączone z pospiesznym przygotowaniem kanonizacji Piusa XII – papieża ostatniej krucjaty. Każde z wspomnianych zdarzeń zachęca, by doświadczenie kraju i swoje własne oceniać w kontekście europejskim, kierując się myśleniem uniwersalnym, a nie lokalnym, prowincjonalnym, tak charakterystycznym dla polskiej szlachty.

* * *

Poszukiwanie odpowiedzi na postawione pytania zaczynam od pierwszego impulsu, który Czesław Miłosz przestawił w *Traktacie poetyckim*: „Fiakry drzemały pod Mariacką Wieżą. / Kraków malutki jak jajko w listowiu / wyjęte z rondla farby na Wielkanoc / I w pelerynach kroczyli poeci. Nazwisk ich dzisiaj już się nie pamięta”. W kolejnym fragmencie artysta tak rzeźbi drugą stronę medalu: „Za swoją uznać pieśń przy kufli piwa / W czarnych jak sukno fabrycznych osadach. / Zapatką trzasnąc, na dwanaście godzin / Iść, tworząc w dymach postęp i bogactwo”.

Proces rewaloryzacji doświadczeń Polski i Polaków zaczynam od refleksji nad twórczością Tadeusza Żeleńskiego, którego Józef Hen w tytule poświęconej mu książki niepotrzebnie nazwał „błaznem”, a bardzo słusznie „wielkim mężem”. T. Żeleński, po mieczu galicyjski szlachcic, a po kądzieli warszawski mieszczański urodził się w rodzinie, która współtworzyła kulturalną elitę Krakowa. W jej świadomości tkwi pamięć o śmierci dziadka, jednej z ofiar chłopskiej rabacji w 1848 roku. Wnuk był; uczniem – studentem, lekarzem, młodzieńcem zdrowym z wyraźnymi cechami męskiej urody.

W oczach środowiska jego młodość nie wyróżniała się niczym szczególnym. Dopiero stopniowe, głębsze i jednocześnie wrażliwe wnikanie w klimat miasta, w życie Galicji i rozbiorami rozdartego kraju zaowocowało niezwyklej wartości działalnością pisarską, teatralną i edytorską. Zaczęto go postrzegać jako pisarza – artystę antropocentrycznie pojmującego rolę sztuki. Jedni reagowali podziwem, drudzy gwałtownym atakiem i potępieniem. Do nazwiska przybył trzeci jego człon, słowo Boy. Twórca nie stanął na koturnie, by uderzyć w wielki dzwon. Nie oderwał się od środowiska, eksponując samego siebie, jednostkę niezwykłą, monumentalną, jakąś kolejną edycję „nadczołowieka”. Tkwiąc w środowisku nigdy nie rozciągał swej akceptacji na treść i styl życia krakowskiej elity. Ze swoimi współczesnymi patrzył na wspólny im świat. Z niezwykłą przenikliwością portretował ludzi, ich postawy. Konfrontował wartości deklarowane z praktykowanymi. Dla niego część była zawsze częścią, a nie całością. Gdy zderzył się z niechętną czy wręcz wrogą postawą, nie rezygnował z ujawnienia bezzasadności przywilejów i bezkarności grabieży. Różnił się od elity, której wydawało się, że skoro grabież jest prawnie bezpieczna, to moralnie jest bezgrzeszna. Boy reagował inaczej – odważnie i bezkompromisowo. Używał środków proporcjonalnych do skali zła. Z arcy-mistrzowską biegłością operował środkami literackimi, zwłaszcza żartem, ironią, pamfletem.

Działalność T. Żeleńskiego, przez niego skromnie lecz celnie nazwana „legenda Zielonego Balonika” znów nas intryguje. Była przede wszystkim protestem przeciwko sposobowi życia szlachty, mieszczaństwa i duchowieństwa. Portretował przemiany obyczajowe i socjalne. *Słówka* wręcz instynktownie broniły wolności człowieka. Walczyły o prawo do swobodnego poznawania świata. Rewindykowały prawo do buntu. Gdy lawina krytyki ruszyła wywołując zarzut bezmyślnego burzycielstwa, Boy zaczął wydawać nową bibliotekę otwierającą świadomość Polaków na najwyższego lotu tradycji intelektualne i artystyczne francuskiego oświecenia, na dzieła Kartezjusza, Woltera, Balzaka.

Wielkie kampanie publicystyczne Boya: *Brązownicy*, *Piekło kobiet*, *Nasi okupanci* demaskowały zakłamanie i tromtadację oficjalnych elit. Dziś pisarstwo Boya wywołuje podziw, zwłaszcza celność, z jaką ośmieszał nadużywanie patriotycznych frazesów osłaniających kult sarmatyzmu. Boy uświadamiał społeczeństwu, że „w mieszczańskiej quasi-demokracji nierówności społeczne przetrwały, kastowość feudalną zastąpiła kastowość plutokratyczna...”. Bronił naturalności i prawdy w obyczajach, traktując je z tą samą powagą, jakiej wymaga kwestia dobrego rządu czy właściwych norm prawnych konstytucji. Ostrzegał przed potężniejszą falą okrucieństwa i bezprawia.

W sporach o treść i styl życia społecznego krytycznie reagowała nie tylko prawica. Pisarze i publicyści lewicowi też bywali sceptyczni. M. Niedziałkowski zarzucał Boyowi, że „atakuję zagadnienia mniej ważne”. A. Polewka, L. Kruczkowski atakowali autora (*Naszyc okupantów!*) za „selektywność krytyki i drugorzędność problemu”. Boy, broniąc się, zarzucił lewicowemu publicystom „obojętność na niedolę życiową klasy robotniczej i oportunizm wobec kół klerykałnych”. Profesor Henryk Markiewicz zauważa w swej książce, że „popierały go tylko liberalne »Wiadomości Literackie«, ma-

sowa prasa prorządowa milczała, socjalistyczna była niechętna, katolicka i endecka wręcz wroga”.

W ówczesnych realiach historycznych te reakcje nie dziwią. Zaskakują reakcje już powojenne. W 1958 r. na łamach „Polityki” zaatakował Boya A. Sandauer za „anegdociarstwo i naiwny realizm”. A. Kijowski w „Przełądzie Kulturalnym” nazwał pisarza „Nikodemem Dyzmą literatury międzywojennej”. Ten epitet później odwołał, lecz krytycznej oceny nie. P. Hertz w „Tygodniku Powszechnym” wielkie kampanie publicystyczne Boya ocenił jako „pieniactwo intelektualne i dulszczyznę a *re-bours*”. Ciśnie się na usta pytanie, co powiedziałyby każdy z tych krytyków o randze i roli twórczości oraz społecznej misji Boya dziś, po dwóch dekadach transformacji ustrojowej w Polsce? Czy jego trud utracił znaczenie, czy też nadal budzi nasz rozum? Nim w końcowej części eseju przedstawię swoją opinię, tu przypomnę słowa pisarza wypowiedziane do towarzyszącej mu osoby, z którą obserwował ukraińską ludność, gdy obsypywała kwiatami wkraczającą do Lwowa faszystowską armię: „Co oni robią, co ci ludzie robią”? Patrząc co „prawdziwi Polacy” wyprawiają na Krakowskim Przedmieściu, powtórzę i rozszerzę to dramatyczne pytanie: „Co ci ludzie robią, kim jest poeta wierszem wypowiadający swój żal, że w Polsce zbyt mało wieszamy zdrajców narodu”? Apel o nowego Jeremiego Wiśniowieckiego ujawnia, jak płytko przeżyliśmy wielkie dzieło Tadeusza Boya-Żeleńskiego. W Polsce znów „byczo jest”. Ksenofobia, pełna patriotycznych frazesów anarchia, jaśniepańska megalomania hulają nie tylko na ulicach Warszawy. „Bronzownicy” budują IV RP. „Nasi okupanci” bogacą się jak kupcy przez Chrystusa wypędzeni ze świątyni. Antysemita przekonują, że nietrudno w Polsce zostać przyzwoitym człowiekiem, wystarczy nie być Żydem.

Powtórzę: świat jaki jest, każdy widzi. Dajmy więc szansę demokracji nie w igrzyskach wyborczych, lecz podejmując poważne wysiłki dla uwolnienia stosunków społecznych od wciąż tkwiącej w nich mentalności feudalnej i kastowości plutokratycznej. Z determinacją trzeba nadal walczyć o demokratyczną treść i takiż styl życia publicznego w Polsce.

Miał rację Czesław Miłosz gdy, już w pierwszej fazie transformacji skierował twarde lecz sprawiedliwe słowa: „społeczeństwo polskie robi na mnie wrażenie baranów, które idą na rzeź /.../ nie podejmuje się żadnej akcji przeciwko horrorom /.../? Jak można biernie przyjmować ohydny władzę pieniądza /.../ totalitaryzm przynajmniej stosował cenzurę”. Sprostanie wyzwaniu poety wymaga działań zbiorowych, a nie tylko indywidualnych. To nie przypadek, że pisarz wzywający do oporu w swej młodości był pod urokiem socjalistycznych idei w takiej ich postaci, jaką artykułował Stanisław Brzozowski.

Na kresach w podobny sposób zaczynała swą podróż do niepodległej i nowoczesnej wspólnoty narodowej tysiące młodych ludzi. Przypomnę najbardziej znaczące nazwiska: Waryński, Brzozowski, Piłsudski, Traugut, Prus, Wańkowicz. Czesław Miłosz sprzeciwiał się już w niepodległej Polsce. Jego indywidualny bunt był nadal częścią charakterystycznego dla tego pokolenia rozdarcia. Spełniało się ono między polskim dworkiem a litewsko-białoruską wsią. Po latach w *Roku myśliwego* komentował to tak: „Zdobywałem się najwyżej na bunt, ale bunt to jeszcze nie wolność”. Jego droga do wolno-

ści nie była ani krótka, ani łatwa. Pod koniec drugiej ze światowych wojen znalazł schronienie w dworku Turówiczków. Swe przeżycia zanotował tak: „Miałem świadomość, że nie ma nic w Polsce oprócz wioski i dworu. To było straszliwie ciężkie, szczególnie, że jedyne duże miasto Warszawa zostało zburzone i ta jakaś okropna fikcyjność tej Polski i straszliwe nieszczęście”. Tylko przypomnę fragment doświadczenia, którego symbolem stał się *Zniewolony umysł*. Nie zapominam o tym dziele poety. Ograniczam się do przypomnienia, bo to epizod powszechnie znany, ale nadal ważny.

Przechodzę do ważniejszej refleksji. Opanowanie kryzysu intelektualnego i moralnego nękającego od kilkunastu lat kulturę polską jest niemożliwe bez przyjęcia jako punktu wyjścia ważnych diagnoz sytuacji Polski i Polaków, dokonanych w dziełach Boya, Gombrowicza i Miłosza. Moją hipotezę umocni myśl wypowiedziana przez Miłosza już w 1931 roku: „Sztuka jest narzędziem. Powiedzmy to sobie jasno, bez ogłupiania się wiarą w jej nadprzyrodzone pochodzenie. Sztuka jest narzędziem w walce społeczeństw o wygodniejszą formę bytu”. Przywołana myśl przyszłego noblisty wypowiedziana w polskich warunkach wyrażała wolę zmiany nadal archaicznych form życia wspólnotowego. Umacniała nadzieję na ratunek przed katastrofą. Diagnoza miała znaczenie ważne, lecz nie była prawdą absolutną. Wracając po latach do kwestii społecznych zobowiązań literatury i sztuki Czesław Miłosz przestrzegał przed nadmiernymi ambicjami. Przypomniał, że doświadczenia XX wieku są jeszcze nie opowiedziane – jeden wskazał wyjątek, Tadeusza Borowskiego opowiadania oświecimskie. Zaproponował ciekawą myśl: „Chęć bycia uniwersalnym za wszelką cenę, może być bardzo niezdrowa”. Refleksję bardzo potrzebną Polakom rozwinął tak: „I jeśli mogę mówić o swoim triumfie to dlatego, że swoją prowincjonalność starałem się podnieść do poziomu uniwersalnej wartości”. Noblista nie stawiał siebie jako wzoru do naśladowania. W innym utworze pisał: „Gdybym chciał żyć dłużej, to tylko po to, żeby naprawić zło, jakie wyrządziłem. A do niego należy wszelka poezja, która sprzyja polskiemu, jeżeli wemu, szlachetnie-patriotycznemu samodurstawu”. Dziedzictwa Czesława Miłosza nie traktuję jako dowodu, że w nim coś zostało zauważone i mądrze opisane. Ta twórczość to wezwanie do opanowania intelektualnego i moralnego kryzysu kultury polskiej w trwającym epizodzie ustrojowej transformacji. Jak tlenu potrzebujemy dowodów, że rozumiemy, iż jesteśmy na początku drogi.

* * *

Nobliście zawdzięczamy sugestię, kto z polskich pisarzy może odegrać rolę Wergiliusza dla wszystkich poszukujących drogi wyjścia kryzysu. W rozmowie z dziennikarką „Polityki” zauważył: „Mickiewiczowi mimo prób, nie udało się wejść do kręgu literatury międzynarodowej. Sukces natomiast odniósł Gombrowicz, który z mickiewiczowską tradycją satyrycznie polemizował”. Traktuję tę rekomendację jako odkrywczą, a więc bardzo ważną. Już pierwsze utwory Gombrowicza, także jego szkice kytuczno-literackie, były tekstami rewelacyjnymi, rzutującymi na całą późniejszą twórczość. Powód, jak sądzę, tkwił nie w nowatorskiej formie dzieł, lecz w powadze ich treści.

Autor *Ferdynand* podejmując walkę o przewartościowanie polskiej mentalności, odpowiedział wnikliwie

i odważnie na potrzebę nowych rozwiązań. Spór o styl kultury polskiej podbudował intelektualnie. W 1953 roku potrzebę zmiany uzasadniał tak: „Dotychczasowa kultura polska była wytworem warstwy wyższej, żyjącej życiem złagodzone – więc ta kultura była nieskuteczna przez swoją sferę. Życie polskie mogło być zrewidowane tylko od podstaw /.../ otóż czasy dzisiejsze w Polsce są pierwszym w naszej historii przeoraniem bytu polskiego do głębi, do najniższych jego pokładów”. Rzetelność i odwaga tej diagnozy wywołały furję większości emigracyjnych środowisk. W tym klimacie powstające opinie tylko rozwijały epitet: „kryptobolszewik”. Pisarzowi, jednemu z trzech, których dalekowzroczność uczyniła naszymi współczesnymi, nie chodziło o rzekomą niedostępność naszej literatury dla czytelników z innych kręgów kultury europejskiej. Walory stylistyczne Gombrowicz traktował jak rzecz drugorzędą. Znamy jego sceptyczny stosunek do awangardy i jej słynnego mitu „miasto-masa-maszyna”. Nowatorstwo estetyczne oceniał brutalnie, lecz celnie: „Awangarda polska była nieuczesana, rozchełstana, bosa, była pokraką z głową rabina i bosymi nogami wiejskiego chłopca”. Przyczyny intelektualnej niedojrzałości i stylistycznego plagiatorstwa polskiej literatury dostrzegał w skansenowych osobliwościach bytu. Drukując po latach *Wspomnienia polskie*, wrażenia z pierwszego pobytu we Francji opisał tak: „Na zachodzie nie było proletariatu, przynajmniej w polskim sensie tego słowa. Byli pracownicy umysłowi i pracownicy fizyczni, ludzie bogatsi i biedniejsi, ale na ogół nędza nie dochodziła do takiego zaostrenia, aby naprawdę stwarzać oddzielny gatunek człowieka, inną „klasę”. Bose dziewczki na ulicach paryskich były nie do pomyślenia”.

Wyjścia z tej egzotycznej odmienności ukształtowanej feudalnymi skamielinami – wyjścia innego niż walka o emancypację polityczną i kulturalną „oddzielnego gatunku człowieka” – Gombrowicz nie widział. Nie akceptował państwa nazwanego ludowym. Walczył z ustrojem, którego było strukturą, ale odrzucając je podobnie jak młodopolskie uniesienia nad „bajecznie kolorową wsią”, dostrzegał historyczne i korzystne zmiany w tym, co nazwał „przeoraniem bytu polskiego do głębi”. Potwierdzają to nie tylko jego *Dzienniki* lecz w istocie cała twórczość literacka i dramaturgiczna. Ośmieszył sarmacką mentalność polskiego społeczeństwa. Wiązał literaturę polską z kulturą europejską. Tę naszą chciał nasycić wartościami uniwersalnymi, rzeczywiście humanistycznymi. Miał świadomość, że jego kopernikański wysiłek nie jest końcem wieńczącym dzieła. Sądzę, że także do własnej twórczości odnosi słowa, którymi oceniał książki Czesława Miłosza: „są dostarczycielkami nowej rzeczywistości, ich cel /.../ to oswojenie nas z historią. Przetworzenie /.../ przyjdzie później”.

Witold Gombrowicz nie dotarł z nami do lat przełomu, do słynnego roku 1989! Jego dzieło pisarskie zachowa jednak zdolność przetworzenia nas. Wnikliwa lektura stwarza możliwość zrozumienia doświadczeń całego narodu. Po uważnej lekturze czytelnik pojmuje co odrzucić, a na czym oprzeć trud kształtowania losów kraju i swojego bytu indywidualnego.

* * *

Do literatury i sztuki nigdy nie miałem i nie mam także obecnie stosunku podobnego do postawy entomologa, który po nabiciu owada na szpilkę pedan-

tycznie opisuje jego kształt i kolory, ze znanstwem włączając do kanonu martwy już przedmiot swoich zainteresowań. Twierdzą, że dzieło sztuki nie umiera. Bierzymy je do ręki, by poznać i przeżyć losy tych, o których opowiada, a także tych, co opowiadają! W autentycznym dziele sztuki są naszymi współczesnymi. Wybieramy tych postrzeganych jak sąsiadów, a bywa, że sobowtórów. Z najbliższymi zaprzyjaźniamy się. Po książki Boya-Żeleńskiego, Cz. Miłosza i W. Gombrowicza sięgam zaniepokojony rosnącym kryzysem życia wspólnotowego. W sferze kultury jest on najgłębszy, lecz nie omija żadnej ze sfer bytu: polityki, gospodarki, świadomości społecznej, relacji z sąsiadami. Żaden z Wielkiej Trójki pisarzy nie uległ modom. Unika niszczącego wpływu czasu. Każdy jest nam nadal lub znów potrzebny. Dzieje się tak nie tylko za przyczyną pisarskiego mistrzostwa, czyli czynnika, o którym H. Markiewicz zamykając swą książkę o Boyu napisał: „jego polszczyzna – jasna, celna, dobitna, po zostanie jednym z wielkich wzorów pisarstwa”.

Strukturalny kryzys życia polskiego, współtworzony przez tzw. klasę polityczną, bez względu na to czy kolejni liderzy zaklinają się na „Solidarność”, na lewicę czy Kościół powoduje, że książki Wielkiej Trójki warto po wielokroć brać do ręki. W ich twórczości realistycznie i odkrywco odbija się awers i rewers dramatycznych konfliktów Polski, Europy i świata. W tych dziełach możemy niejako dotknąć deklarowanych intencji, porównać słowa i czyny, zrozumieć grozę toczących się wojen. Poznanie i przyjęcie tego dziedzictwa literackiego to szansa czytelnika na świadome uczestnictwo w życiu zbiorowym, na uniknięcie losu ofiary. Twórczość pisarzy, których nazywamy Wielką Trójką, uwrażliwia nas na kwestię współodpowiedzialności za los kultury polskiej. Uczy odpowiedzialności za słowo jako tworzywo historii. W konsekwencji obcowanie z tą literaturą pozwoli na zrozumienie reform jako zmiany prowadzącej do demokratycznych celów, a nie do ekshumacji starych struktur i zużytych form, czyli tego wszystkiego, co Boy trafnie nazwał „kastowością plutokratyczną zastępującą kastowość feudalną”. Poznając świat przedstawiony w ich dziełach nie przyjmujemy bezwolnie twierdzenia, że robotników już nie ma, bo modnie zastąpili to słowo epitetem „robole”. Z naszych oczu nie zniknie polski chłop, mimo że prawie nikt nie kwestionuje zastąpienia tego słowa cynicznym słowem „burak”.

Twórczość trzech pisarzy wciąż nam współczesnych pozwala na lepsze zrozumienie istoty gry chytrze nazwanej transformacją. Przede wszystkim zaś zachęca, by wrócić do przerwane go procesu emancypacji ludzi pracy, bez którego tyra do demokracji przypominają bezmyślne młócenie plew. Polaków stosunek do twórczości Boya, Gombrowicza i Miłosza to ważny test sprawdzający naszą zdolność podtrzymywania tego płomienia, który daje energię, by zmodernizować polskie życie, by kultura polska nie zniknęła w chłame wszechobecnej, głównie importowanej rozrywki.

Twórczość Boya, Gombrowicza i Miłosza umożliwiła inteligencji zrozumienie najważniejszego z jej doświadczeń. Jak to się stało, że wielkie nadzieje zrodzone z polityki porażki przyniosły tak cheralawy efekt? Życie społeczne zdominowała nowa monarchomachia rozpętana wokół pustego jak wyduszka mitu IV RP? Przypomnę lekceważoną dziś prawdę. Emancypacja

ludzi pracy to fundament całego życia społecznego. By osiągnąć ten cel, najpierw spełnić należy warunek znakomicie ujęty przez Konstantego Grzybowskiego: „Dziecko robotnika czy chłopca, które stało się człowiekiem z wyższym wykształceniem wnosi cechy swej nowej warstwy społecznej do środowiska, z którego wyszło. A cechy warstwy, z której wyszło – w warstwę społeczną, w której się znalazło”. Ten proces wzajemnego przenikania się wartości i doświadczeń środowisk dotąd antagonizowanych zanikał już w dekadzie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, a załamał się w procesie transformacji.

Odbudowana i rozwijana w imponującym tempie warstwa inteligencji w dwóch trzecich wywodząca się ze środowiska chłopskiego i robotniczego przestała rozumieć ustrojowe znaczenie procesu emancypacji ludzi pracy. Przed laty wybitny emigracyjny pisarz J. Mieroszewski, doskonały analityk spraw krajowych, pisał, że nowa inteligencja, wywodząca się z rodzin robotniczo-chłopskich, nie poprze żadnych programów politycznych, jeśli przewidywałyby one powrót do gospodarki folwarcznej lub restaurację kapitalizmu. A Stefan Kisielewski, człowiek z tradycyjnego mętecznika polskiej inteligencji, w połowie lat osiemdziesiątych obserwował już radykalną zmianę nastrojów. Dokonał się renesans kultury szlacheckiej, właściwych jej mitów i mentalności. Kisiel pisał: „Nowy ustrój, nowe ziemie, nowi ludzie – a inteligencja ta sama, z której i ja wyrosłem! Polszczyzna-ojczyzna wcale nie zmieniona, słowo daję!” Nastąpiła masowa zdrada klerków, szczególnie silna w środowisku ludzi Kościoła, a wręcz zaskakująca w przypadku biskupów prawie w osiemdziesięciu procentach wywodzących się z rodzin chłopskich i robotniczych.

Ich przestał interesować proces emancypacji ludzi pracy. Wśród inteligencji znikła wola zbudowania demokratycznego społeczeństwa. Zachowano tylko gaworzenie o wolności, no i oczywiście o raj. Na czym w tej sytuacji oprzeć przeciwdziałanie kryzysowi? Komu przedstawić postulat, by stawiać opór? Zwięzła odpowiedź jest prosta, do politycznie zorganizowanego społeczeństwa, przede wszystkim do lewicowych partii. Odpowiedź rozwinięta powstawać będzie latami. W tym miejscu tylko zauważę, że wyjść z kryzysu kultury polskiej tak głębokiego, iż nasuwa się porównanie z tsunami, szukam wśród inteligencji, ale dopiero na tej wysokości, na którą polską literaturę wydzwignął intelektualny, moralny i artystyczny wysiłek Boya, Gombrowicza i Miłosza. Z plejady polskich pisarzy przede wszystkim oni mogą zwrócić się do innych współzawodników, cytując Horacego: „Navem ágere ignarus navis timet. – Boi się prowadzić okręt ten, kto się na nim nie zna”. Ich dzieło jest światłem, z którym możemy przepływać niebezpieczny przesmyk między Scyllą kryzysu kultury a Charybdą megalomanii samozwańczych sterników, co sami siebie nazwali „klasą polityczną”. Nie wahajmy się płynąć z Wielką Trójką pisarzy. Oni znali okręt, poznali morza i umieli żeglować. By spełnić dobrze rolę przywódcy, inteligencja potrzebuje wiedzy i woli. Wysiłek nie oparty na gruntownym przemyśleniu i maksymalnym spopularyzowaniu twórczości Boya, Gombrowicza i Miłosza byłby tylko stratą czasu.

WŁADYSŁAW LORANC

19 maja 2011 r.

BOLESŁAW FARON

PRYWATNY ŻUKROWSKI

Z autorem *Z kraju milczenia* spotkałem się po raz pierwszy dość późno. Było to w latach osiemdziesiątych ub. wieku podczas mojego pobytu w Warszawie, kiedy od 12 lutego 1981 do 6 listopada 1985 roku pełniłem funkcję ministra oświaty i wychowania. Spotykaliśmy się na ul. Wiejskiej, w gmachu Sejmu najczęściej w tamtejszej restauracji podczas przerw w obradach. Wojciech Żukrowski był wówczas posłem. Zajmował stolik zwykle w towarzystwie Wilhelma Szewczyka, Józefa Ozgi Michalskiego oraz Edmunda Jana Osmańczyka. Ponieważ panowała tam wówczas całkowita prohibicja, zaprzyjaźnione kelnerki podawały im alkohol w zalanej wrzątkiem kawie. Był to napój o potwornym smaku, po prostu lura, toteż zebrani przy stoliku pisarze z obrzydzeniem, lecz dość skutecznie opróżniali filiżanki z „kawą” i wiedli dysputy nie tyle o polityce, co o życiu, swoich doświadczeniach i literaturze. Z zapartym tchem słuchałem ich wspomnień z przeszłości; Żukrowskiego głównie o karierze wojskowej i znajomości z Karolem Wojtyłą, z którym studiował polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, Osmańczyka o organizacjach międzynarodowych, Ozgi-Michalskiego o nurcie chłopskim w literaturze.

Zanim bezpośrednio zetknąłem się z Wojciechem Żukrowskim, ten recenzował kolejne moje publikacje w „Nowych Książkach”: o *Zbigniewie Uniłowskim*, (w 1970 roku), o *Prozaikach dwudziestolecia międzywojennego* (1972), o *Stefanie Kołaczowskim jako krytyku i historyku literatury* (1977). Eseje te przedrukowywane były później w książkach *Karambole* (1973) czy *Rozmowy o książkach* (1989). Nie były to zdawkowe omówienia. Cechowały je: znakomita kompetencja, znajomość z autopsji faktów literackich, żywy, czasami bardzo osobisty tok narracji. Toteż Żukrowski nie oszczędzał młodego autora, chociaż traktował go z dużą dozą zyczliwości.

Podczas pobytów w Warszawie zachodziłem nierzadko do jego mieszkania przy ul. Karowej 14/16,

m. 22. Rytuał tych spotkań był zawsze jednakowy. Najpierw powitanie z panią Żukrowską w saloniku, gdzie oglądała telewizję i wykonywała jakieś ręczne robótki, potem przejście do pracowni pisarza pełnej książek, fragmentów maszynopisów, i starej maszyny do pisania na biurku, a na ścianach obrazów, w tym portretów pisarza. Tu rozmawialiśmy głównie o jego planach literackich, nowych pomysłach, czytał mi fragmenty niedrukowanych dotąd tekstów. Potem zwykle przenosiliśmy się do kuchni. Siadał naprzeciwko mnie, blisko lodówki, z której wyjmował kawałek wiejskiej kiełbasy, specjalne paszety, jakieś konfitury wykonane przez żonę według indyjskiej receptury, do tego zwykle czarny chleb pokrojony w małe kostki, masło i oczywiście... dobrze zamrożoną wódkę, najczęściej była to wyborowa, którą wydzielał bardzo skrupulatnie: maksimum dwa, trzy małe kieliszki na cały wieczór. Tu rozmowa miała już inny charakter, nie literatura, a życie. Nasze sprawy osobiste, radości, przeżycia czasem bardzo intymne ale i smutki. Na przykład reakcje niektórych czytelników na jego poparcie w TVP decyzji o ogłoszeniu stanu wojennego (zwracanie książek i inne demonstracje) mocno przeżył!

Spotkania te przerwał mój wyjazd do Wiednia w sierpniu 1986 roku. Jako dyrektor Instytutu Polskiego postanowiłem zaprosić Wojciecha Żukrowskiego na spotkanie z wiedeńskimi slawistami i tamtejszą Polonią. Oprócz niego gościłem Stanisława Lema (mieszkał wtedy w Wiedniu), Andrzeja Szczypiorskiego, Ewę Lipską, Andrzeja Kuśniewicza, Juliana Kawalca i Wiesława Myślińskiego. Impreza odbyła się 27 stycznia 1987 roku – jak wszystkie tego typu w zabytkowym budynku Instytutu Polskiego Am Gestade 7. Zgromadziła ona około pięćdziesięciu osób, co – jak na tamtejsze warunki – było wyrazem dużego zainteresowania jego twórczością. Jedyne Lem i Szczypiorski mieli większą frekwencję.

Zebranych interesowała wczesna proza Żukrowskiego; znali m.in. powieść dla młodzieży *Porwanie*

w *Tiuturliście*, opowiadania *Z kraju milczenia*, *Piórkim flaminga* czyli opowiadania przewrotne, no i oczywiście *Kamienne tablice*. Powracał temat filmu Andrzeja Wajdy według opowiadania *Lotna* oraz ekranizacji *Kamiennych tablic*. Na pytania profesorów z Uniwersytetu Wiedeńskiego i przedstawicieli Polonii Żukrowski odpowiadał z werwą, humorem, dowcipem. Ujął zebranych swoją bezpośredniością. Uczestników spotkania nie interesowały jego zainteresowania polityczne, krajowe konteksty, skupiali swoją uwagę wyłącznie na jego tekstach literackich, ich walorach estetycznych, emocjonalnych i poznawczych.

Od tej pory wymienialiśmy myśli drogą korespondencyjną. Nie wszystkie jego listy zachowały się w moim archiwum domowym, nie mam też wszystkich kopii kierowanej doń korespondencji. Z tego co pozostało, wybieram parę przykładów z nadzieją, że mogą się one okazać interesujące dla czytelników, których ciekawi on jako pisarz i człowiek w całej swej złożoności. Po raz ostatni spotkałem się z Wojciechem Żukrowskim na wiosnę 2000 roku, na początku marca, podczas VII Targów Książki Szkolnej „Edukacja”. Rozmowa – jak zwykle – odbyła się przy ul. Karowej 14/16, w mieszkaniu pod numerem 22, jak zwykle – wieczorem, jak zwykle – według tego samego scenariusza.

Było to nasze ostatnie spotkanie. Wojciech Żukrowski zmarł 26 sierpnia 2000 roku w Warszawie. Miał 84 lata. W dniu 4 września w kościele ss. Wizytek przy Krakowskim Przedmieściu 34 została odprawiona msza żałobna, a na cmentarzu Powązkowskim (dawny Wojskowy) odbyły się uroczystości pogrzebowe. Wszystkie media w Polsce: telewizja, radio i prasa odnotowały zgon wybitnego pisarza. Część gazet, zwłaszcza o orientacji prawicowej przypuściła bezpardonowy atak na twórcę, odwołując się do jego telewizyjnego poparcia stanu wojennego, dezawuowano cały jego dorobek. W obronie autora *Kamiennych tablic* wystąpił Aleksander Małachowski, który w „Przełędzie” z 11 września, w felietonie pt. *Lustracja trumny* napisał m.in.:

„Zmarł, w bardzo późnym wieku, wielki polski pisarz – Wojciech Żukrowski. Zostawił po sobie kilkaset stron prozy będącej jednym z fundamentów języka polskiego, zostawił także ważne dla swojego i następnych pokoleń, artystyczne dokumenty tragicznych zmagani wojennych, zostawił cudownej piękności książki dla dzieci. [...] Nad trumną oprócz przyjaciół stroskanych śmiercią olbrzyma literatury i dobrego człowieka, pojawili się także, zawsze gotowi do usług, plwacze szukający okazji do bezczeszczenia pamięci o tych, co się bronić nie mogą. [...] Dobre imię wielkiego nawet pisarza nie jest chronione w jakiś szczególny sposób, ale państwo plwacze: wara, wara wam od trumny, wara od profanacji jeszcze nie całkiem ostygniętych zwłok czyichkolwiek, a cóż dopiero wybitnego artysty słowa. [...] Ostatnie ceremonie przy ołtarzu odprawił jeden z największych współczesnych poetów polskich Jan Twardowski. Mało tego, przy wyjściu z kościoła Piotr Kuncewicz, prezes Związku Literatów Polskich pokazał mi list kondolacyjny przeznaczony do odczytania na cmentarzu, nad otwartym grobem. Krótki, piękny tekst podpisany nazwiskiem wiernego ponoć do końca przyjaciela z lat młodości Wojciecha Żukrowskiego, Karola Wojtyły... papieża Jana Pawła II”.

Listy Wojciecha Żukrowskiego

27.1.87

„Drogi!

Z ulicy Dobrej było bliżej do mnie niż Zum Martin Sepp do Admirala.

Ściskam Cię z najlepszymi życzeniami

Wojtek Ż.”¹

Pan Dyrektor
Prof. dr Bolesław Faron

Drogi Bolesławie!

Nie mam słów, żeby wyrazić Ci wdzięczność za okazaną mi przyjazną gościnę. Boję się, że nadwyrężyłem Twoje finanse, bośmy trochę poucztowali i nieźle pociągnęli młodego winka! W każdym razie była po temu i ochota i stosowna po pracy godzina spełnionej – przedświąteczna pora. Mocno Cię ściskam, życzę dużo, dużo zdrowia i aby nadal Ci się tak darzyło. Nowin garść opowie Wilucha², jemu trzeba stężonego alkoholu lub piweczko pienne, w liczbie niemiejszej niż kręgle... On sam jest biłą, która je poobala kolejno.

Lecę do Moskwy na kongres pokoju, po dwa dni Tallin i Ryga, a pierwszego kwietnia na 2 tygodnie z córką do Chin, jeśli Bozia da zdrowie, a koledzy nie zeżrą, bo oni widzą, że jeżdżę, a nie wiedzą, że nie z puli ZLP. Bez prezesowania też mnie dosyć po świecie nosiło.

Przeczytaj koniecznie w „Perspektywach” dyskusję o najbardziej czytanych książkach z ubiegłego roku – może Ci się ten odsiew przydać!

Czy dałeś moje książki Pani Minister?

Czy – co najważniejsze – ucałowałaś ode mnie dłoń swojej Pani i powiedziałaś, jak dobrze się obaj prowadziliśmy pod jej nieobecność.

Ściskam Cię mocno. Na Karowej dom otwarty czeka! Nowy pies – Atos – merda ogonem.

Twój

Wojtek

9 lutego 87
Blabona

Pan Dyrektor
Prof. dr Bolesław FARON
Am Gestade 7
W I E N

Wielce Szanowny Panie Dyrektorze!

Przyznam się, miałem tremę przed tym spotkaniem z wiedeńczykami, mimo że jestem rodem z Galicji. Duża ilość słuchaczy, docieklive pytania i coraz bardziej odczuwalna atmosfera życzliwości przydały mi śmiałości i wieczór tak się rozwinął, że dwie godziny było skąpo.

Bardzo Panu i Pańskim Pracownikom chciałbym gorąco podziękować za przywabienie słuchaczy, za udzielenie mi kredytu zaufania, bo nawet i dobry pisarz często bywa mrukiem.

Jeszcze jedno, dziękuję za spotkanie w Ambasadzie, sądzę, także mimo całkiem innego charakteru – udane. Właśnie jestem zobowiązany za ułatwienie mi rozmowy z znakomitymi polonistami: i panią Gerdą Hagenau i prof. Wytrzemsem³, z czego może i coś konkretnego wyniknie.

Jestem ogromnie zobowiązany za troskliwą opiekę i tę atmosferę przyjazną, w której dobrze się pracuje. Dziękuję też za kontakt z O.N.-zetowską ekspozyturą.

Życzę Wam dużo powodzenia w tej trudnej pracy, choć już blokada wokół Polski pofolgowała, a w kulturze przenikanie jest łatwiejsze.

Ściskam dłoń
Wojciech Żukrowski

Warszawa, 11 sierpnia 1988

Drogi Bolku!

Dziękuję za list i życzliwe słowo. Nie mam ich za wiele, zwłaszcza z Wiednia, gdzie ktoś mnie obszczał przed nieboszczykiem Brandtstaetterem, który mi nafukał, że go obmawiam. A jaki mój stosunek do niego, sam wiesz najlepiej. Czyżby Gerda? Ale już Bóg z nim, było, poszło, napisałem, co myślę, w równie cierpkim tonie.

Rok, jak widzisz, raczej dobry: trzy wznowienia – *Ręka Ojca*, *Piórkiem Flaminga* i *Nieśmiały narzeczony* w jednym tomie – Czytelnik, oraz *Z kraju milczenia* – KAW. Dwa portrety: jeden kapitalny Jurka Dudy Gracza! Drugi – akademicki, kolorysty Wyrożembskiego. Dostałem na plebiscycie czytelników, zrobionym przez „Tygodnik Kulturalny” na najlepszą książkę 40-lecia – pierwsze miejsce – bijąc na łeb wszystkich najbardziej czytanych! *Kamienne Tablice* bestsellerem PRL! Złoty Laur, równie złoty jak polska złotówka, wieńczy me skronie! Teraz ta Akademia Literatury! Wiesz – wstyd, że to, co Hitler zniszczył, nie zostało odbudowane. Nie wiele by kosztowało, 15 – Nieśmiertelnych i dziesięciu czyhających na ich miejsca – kandydatów, w tej 25. właściwie zmieściłaby się nasza współczesna literatura. Cały Parnas! Dziwi mnie dość rzetelny dobór nazwisk, co wskazywałoby na dobry smak i znajomość kuchni literackiej u głosujących, a więc nie ulica, jak w poprzednim plebiscycie.

Ponieważ właśnie ukończono mi trzeci portret – widzę w tym sygnał do pożegnania. A żyję, jakbym miał żyć wiecznie, nie liczę się z czasem, tylko brykam. Ciągle nam jeszcze serce zwało bijące. Ciekawym, jaka trzecia nagroda? Bo musi być i trzecie wyróżnienie.

Przykro mi, że się nie spotkamy. 24 sierpnia odlatuję do Seulu na kongres PEN Clubu. Wiesz, że został ten nasz też uruchomiony.

Lecę z Zygmuntem Stoberskim. I dwoma prezesami Żuławskim, Żulem i Międzyrzeczkim Arturkiem. Może być zabawne, bo nigdy w Seulu nie byłem. Zaraz po powrocie – jeśli Bozia pozwoli – 6 września do Moskwy na otwarcie sezonu i nowego Ośrodka Kultury, potem Leningrad i lot na Sachalin, śladami Czechowa. Przystałem sobie, że to już moje ostatnie miotanie się po świecie. Zasiadam i piszę, bo nie ma nowej powieści w produkcji.

Kaśka, moja córka, przygotowuje pracę habilitacyjną na SGPIIS-ie z zakresu rozbrojenia, ma już cztery książki wydane na ten temat, ekonomiczne aspekty, nie żadne ple-ple politologów.

Czuję się raczej dobrze, ciągnie mnie znowu w świat. Choćby do Wiednia. Bardzo mi żal tego chłopaka, co się zabił w aucie, ale poszli razem, widać tak im było sądzone?⁴ Spotkania ze śmiercią bywają w przedziwnych miejscach, znasz przypowieść arab-

ską: o czarnym wielbłądzie, który się kładzie przed dalekim progiem? Bo tylko Ty nie wiesz, on zaś wie, gdzie go dosiądziesz, by odjechać w mrok...

Jak przyjedziesz, zadzwoni. Może akurat jeszcze, czy już będę, to pogadamy o wielkim napięciu, o zniecierpliwieniu i całkiem irracjonalnych nadziejach tego narodu, który wierzy w cuda. Aż lęk bierze, co tym razem wywołają, jaki bicz na siebie ukręca...

Mocno Cię ściskam, Pani ucałowanie rąk. Nigdy nie zapomnę noclegów w saloniku i buszowaniu po Waszej lodowce, bo młode wino cholernie suszyło...

Ślę najlepsze życzenia
Wojtek

Drogi Bolku!⁵

piszę na specjalnym papierze listowym, żebyś się poczuł prawdziwym krakowianinem, skoro Wasi najbardziej polscy Polacy w braku smoka zapraszają Żyrinowskiego i palą flagę Izraela! Mój Boże, głupota polska ma już boskie cechy – jest niedoogarnięcia!

Pokwituj odbiór tego listu, bo nazwę ulicy tak bazarę, że nawet by jej nie odczytał aptekarz dawnego chowu!

List dostałem. U nas telefon wysiadł, a ponieważ telefony są MONOPOLEM, więc się nie spieszą z naprawą. Nie można im też wytoczyć procesu o straty spowodowane uszkodzeniem kabli. Oczywiście tż! Bo w sąsiednim domu telefony działają. Próbowano wszystko zwalić na Wałęsę, bo mu obok remontują Pałac Namiestnikowski. Gdybyś nie był sknerą, kupiłbyś świąteczny „Przekrój” – przeczytał moje opowiadanie i pełne krygowań odpowiedzi na ankietę, co zrobić z tym cholernym Żukrowskim, który nie chce się pokajać i napluć na Generała! W Grudniowym DZIŚ jest moje dość drażniące wspomnienie o Adolfie Rudnickim, w każdym razie dalekie od pisanych u nas okadzań. Mam dwie umowy na wznowienia i tym razem, nie z oszustem z BGW (wiesz, że W. Wiśniewskiego już nie ma, i B.⁶ też odszedł, zostało tylko wielkie GIE!), który mi rok opóźnił wydanie – *Kamienne Tablice* i *Porwanie*, za rzetelną zaliczkę, reszta płatna do 2 miesięcy od wyjścia na rynek książki. Zaliczka przepada i umowa zostaje unieważniona, jeśli książki nie wyjdą w terminie. Przynajmniej tyle dobrego na ten Nowy Rok!

Szkoda, że wyjechałeś z W-wy. Zawsze to pied à terre mogło być Ci użyteczne! Warto było trzymać, jeśliś już mieszkanie wykupił na własność.

W lutym, koniec lub początek marca jadę do Zakopanego z Kaśką. Dziko haruje, należy jej się trochę słońca, czystego powietrza i pół metra śniegu pod deskami, jeśli jeszcze w ogóle będzie zima.

Nareszcie mogę, mając krakowski adres postać Ci, Całemu Domowi, garść życzeń: zdrowia, zdrowia, bo pora byłaby je cenić. Pieniżków, bo z nimi wszystko przed Tobą, cały świat do nabycia, no, i choć garści przyjaciół, którzy przyjaźni dochowają bez względu na Twoje stanowisko...

Pani ręce całuję, padam do nóżek – jak mawiać – zwykli starcy CK-Krakowianie, Ciebie ściskam – niechże Wam się w tym Nowym Roku darzy!

Wojtek
8.1.94
(octava)

W-wa 13.1.94

Drogi Bolku!⁷

Dziękuję za list. Nazwa ulicy co najmniej dziwna. Telefon odnotowałem. Mój przez dwa tygodnie milczał. Dom przeszedł grypę. Może warto się w porę szczenić? Czekam na sygnał w czasie Twego pobytu w W-wie. Mam mieć wywiadzik w TV obok Gwiazdy nr 1 Adasia Michnika. Trzy pytania, wiesz, niezbyt inteligentne, chyba będę mówił, co mi się zechce. Ściskam, dobrze o Tobie myśląc.

Wojtek Ż.

24 listopada 94

Drogi Bolku!

Miło, żeś z potrzeby serca do mnie napisał.⁸ Żyję z przyzwyczajenia, więc i piszę. Dwie książki mi w tym roku wznawiono: *Kamienie tablice*, najładniej jak dotąd wydane, w jednym tomie, za głupie 180 tysięcy, w serii światowych bestsellerów. Wydawnictwo MUZA. I *Porwanie w Tiuturlistanie* z nowymi ilustracjami, dobry druk i papier – wydawnictwo Novus Orbis. SOPOT, to samo, co wydawało znaną Muskat Fleszarową, więc stąd wypłacalne. Mam dwie nowe książki: *Zabawa w chowanego* eseje o zmarłych kolegach, i jednym bardzo żywym Dudzie Graczu. Dwa eseje wydrukował mi Mietek Rakowski w swoim miesięczniku DZIŚ: Kisiel i Adolf Rudnicki.

Czuję się, jak na swój wiek, dobrze. Kaśka wydała też książkę *Szerokie otwarcie* oczywiście – ekonomia. Stale jeździ za granicę, bardziej w NATO jest znana niż u nas, jak naukowcowi jej płacą, czyli dobrze wiesz sam – marnie. Gdyby nie granty, czyli zamówienia z Niemiec, Kanady czy Japonii, musiałbym jej dokładać, żeby jej się budżet zamknął pomyślnym saldem.

Rad Cię powitam na Karowej. Wolalbym wcześniej wiedzieć, bo dość intensywne prowadzę życie towarzyskie. „Wiadomości” są zwyczajnie nudne. Nie ma tam dobrego opowiadania „do czytania”, ta sama formuła, co POLITYKA, ale niestety, gorzej redagowane pismo. Toeplitz – mówiłem z nim – boi się mnie drukować, a ja i według niego mam „niedobre nazwisko”. Czy Ty zauważył, że Wolek (zbożowy?) w „Życiu” i to w tytule artykułu nazwał próbę morderstwa Generała przez tego głupka Helskiego – „czynem bohaterskim”. Przecież to jest redaktor naczelny, człowiek bądź co bądź – myślący.

Do Związku członków przybywa, głównie poetów. Jak przed wojną drukują tomiki własnym sumptem lub lekkomyślnej rodziny. Na dobrą prozę nie trafiłem, choć jestem wszytkożerny i nawet kolegów czytam. Gretkowska wydała mi się kulturalną logoreją, a tak się nią Miłosz zachwycał, nawet wstęp napisał. Za to Dąbrowską zbył jednym słowem: „ale nuda”. Albo skleroza, albo pycha. On jest tylko autorem kilku dobrych wierszy, proza ...Mój Boże! No, da się to czytać, choć wolę jego eseje...

Naprawdę tych, których podawałem do nagrody Nobla w czasie prezesowania: Różewicz, Parnicki, Mrozek, Szymborska byli lepsi! Ale Różewicz nie umie w kontakcie osobistym ludzi sobie jednać, pozrażał w Szwecji jurorów. Parnicki wziął i umarł, nie tłumaczony czeka na odkrycie. Mrozek jest – „do śmiechu”. Zo-

staje Szymborska, prawdziwa poetka. Bardzo ją cenię. Mimo że na mój widok fuka jak kotka.

Staram się nie oddychać toksycznym powietrzem „warszawki”. Dużo chodzę z psem po lesie w Podkowie. Wlokę obalone wichurami brzozy na drzewka, na kominek. Patrzę na straszące deszczem lub śnieżkiem obłoki. I myślę o nielicznych przyjaciółach. Co taktowniejsi zabrali się stąd, a wraz z nimi pochowaliśmy prawdy naszego czasu. Młodzi ślepo wierzą w głoszone przez TV i gazety, że PRL był pod sowiecką okupacją, a dopiero dziś jest wolność. No, cóż... Ja mam order Budowniczych, jestem wyznaczony na odstrzał przez byłych komuchów, którzy dziś wymachują papieską – chorągiewką, a jeszcze na nich woda chrzcielna nie wyschła. Chyba jeszcze pożyję, bo chciałbym doczekać momentu otrzeźwienia, kiedy wahadło wróci do pionu, wraz z rozsądkiem.

Ściskam Cię. Życzenia świąteczne ślę całemu domowi. Wierzę, że wczesny wnuk będzie moim czytelnikiem! Piszę to, gdybyśmy się nie zobaczyli przed świętami...

Wojtek

25 lipca 95

Drogi Mój!⁹

Dziękuję Ci za życzliwą pamięć i książeczkę ślicznie wydaną, specjalne pochwały się należą grafikowi, panu Mściwojowi Olewiczowi, którego nazwisko utajono na ostatniej stronie, zamiast umieścić na szmucytule. Lekkie rysunekki wtopione w tekst budzą zainteresowanie, niektóre postacie rozpoznawałem, ale ja jestem raczej wiekowy, więc jeśli nie skleroza, to powinienem postacie pamiętać.

Dobór cytatów, nie mówiąc o bardzo lakonicznym, niemal kronikarskim Twoim tekście, jednak i moją wiedzę poszerzył. Wiesz, że ja zawsze muszę tyżkę dziegciu, otóż bardzo mi brakowało króciutkich charakterystyk współtwórców Zielonego Balonika, których nazwiska wymieniasz. Boya i kilku znakomitych malarzy oczywiście znam, ale młodzi na pewno nie kojarzą. Ja Boya słuchałem, zapamiętałem, że miał głosik, a nie głos i ponurą twarz, nigdy bym go nie posądzał o przekrętne wierszyki pełne humoru. Wiesz, kiedy po niego podjechała Wanda Wasilewska ciężarówką, żeby uratować, wywieźć z wycofującymi się Rosjanami, mówię o Lwowie, on wyskoczył przez okno w kuchni na podwórze i ukrył się. Pomyśl, że wkrótce został rozstrzelany przez Niemców, batalion Nachtigal. A tak go „prawdziwi” Polacy oczekiwali w podziemnych pisemkach... Choć, gdyby powrócił z komunistami, nie wiadomo, co musiałby wygłaszać, gdzie by go wepchnięto. Zajmowanie stanowiska politycznego to sprawa charakteru i pewnej mądrości. Widziałeś, co robił nasz Noblista, nie „przydał się” w AK, z powstania w porę go niemiecki Czerwony Krzyż wywiózł, przed upadkiem Mokotowa. Za Stalina był lojalnym dyplomatą, całował w rączki panią Modzelewską prosząc o powtórne wysłanie do Paryża, dawał słowo litewskiego szlachcica, że wróci. Ruiny Warszawy go przyprowadziły o ból głowy, a starszka Maria Dąbrowska mogła ze złamaną ręką mieszkać w niedopalonej kamienicy na Polnej...Wszystko jest ŁASKĄ, czy jak wolisz – przeznaczeniem... Jak dziś

przeoglądałam listę autorów z lektur obowiązkowych, wzruszam ramionami, bo tam tyle miernot i taka nuda, że może każdego ucznia zrazić do czytania ambitniejszej książki.

Wracając do „Jamy”... Dobrze, że trochę napisałeś o Tadeu Kwiatkowskim!! o Jacku Stworze, choć naprawdę stać Cię na charakterystyki, kim oni byli, czy nawet są, bo jeszcze żyją... A przecież o nich tyle wiesz, nie musisz szperać po papierzykach, wystarczy sięgnąć po dobrodusznego Kuncewicza.

Dawno się nie widzieliśmy. Może Ci wpadł w ręce nr 28 „Przeгляdu Tygodniowego”, jeśli znasz to pismo Rakowskiego. Tam jest spory wywiad ze mną. Warto, żebyś sięgnął – bo z wypowiedzi wynika, że się nie zmieniłem, nie merdam, nie kajam za „kolaborację”, bo „to wymysł przebierańców” typu Matucha-Szmatucha, który nas popędzał z Melanią Kierczyńską do socrealizmu. Tylko, że ona przynajmniej mówiła: „Piszcie, towarzysze, jak Szołochow!” Pamiętasz tę garbulę z trybuny, jak przez grube szkła wpatrywała się w salę, szukając opornych?

We wrześniu wyjdzie moja nowa książka. Znowu całkiem inna, bo ja nudziłbym się kalkując siebie, nawet, żeby to miało gwarantować sukces. Poślę Ci, poczytasz sobie, sam się przekonasz. Ściskam Cię mocno, Żonie ręce całuję. Jak będziesz w Warszawie, pamiętaj o Karowej...

Wojtek Ż.

20 kwietnia 97, Warszawa

Drogi Bolku!

Miło mi, żeś sobie o mnie przypomniał, z okazji bądź co bądź – JUBILEUSZU! Bo cóż to za wiek – sześćdziesiątka! Jak będziesz miał tak jak ja – OSIEMDZIESIĄTKĘ za sobą, wtedy poczujesz, że czas pomyka za prędko, że jeszcze by się to i owo uszczknęło, bo jednak żyć-było-warto... W załączeniu fotka, do zamyslenia i skrywanego uśmiechu¹⁰.

Książeczka wydana smacznie¹¹. Przeczytałem uważnie, od zawartości „krakowskiej skrzyni” malowanej w kwiaty, po ów wcale imponujący spis ogłoszonych prac, artykułów i not. Tam i swoje nazwisko znalazłem, kto czyta i – co gorsza – myśli, musi się o mnie potknąć. Nawet Kisiel w grubaśnych dziennikach też mi nie przepuścił, ale on ma sraczkę – mózgową i zółto go zalewa, że innych drukują i że ich słowo nawet dość bliskie prawdy stało się siłą sprawczą, gdy on tylko do szuflady, do szuflady...

Wiesz Bolku, bo przecież jak każdy tworzący na to czekasz, że mi się podobał Twój Stary, który boje, że mu chałupę chcą rozebrać, a sam ją stawiał, własną ręką belki brał na przycieś. Najbardziej mi bliskie wspomnienie o matce, najprawdziwsze, spod serca.

Zrobili Ci mądry podarek koledzy, przyjaciele. Powinieneś im być za to wdzięczny. Zawsze to jakiś ślad, czy jak wolisz – trop dla nielicznych, którzy go dostrzegą. Pomyśl tylko, ilu naprawdę świetnych pisarzy idzie w zapomnienie i to ze znakiem krzyża w tym katolickim kraju: Jan Władysław Grabski, Jan Dobraczyński, Zofia Kossak-Szczucka, Hanna Malewska, Gotubiew, Skierski, Rembek, nie mówiąc o „lewicy” – Kruczkowskim i Putramencie, no, a ci „moralnie obojętni”, jak

zwykł ich określać ks. Pirożyński – Adolf Rudnicki, Andrzej Kuśniewicz czy Michał Choromański... Żeby pierwszych z brzegu. Uderz się we własną pierś, ani słowa do mnie nie napisałeś o mojej nowej prozie *Za kurtyną mroku* i *Zabawa w chowanego* (o pogrzebach przyjaciół). Tylko się nie tłumacz, żeś nie czytał. Albo że musiałbyś połowę lektury odbywać do spizarki, bo ja swoich bohaterów nie karmię papierem, tylko uczciwie opisuję, co wypili i czym zakąsili! A nawet „za komuny” było czym! A jak brakowało, tym większą uciechę sprawiało, że się coś godziwego wypatrzyło i zdobyło.

Cóż, jakby zazdrość przeze mnie przemawia. Po-czytałem, zamyśliłem się, dobrze Ci się wiedzie, masz koło siebie życzliwych a tu w Warszawie, żaden poseł czy senator, nie mówiąc o ministrach, nie bąknie w TV, że książkę przeczytał, że był w teatrze czy na wystawie... To, że Wałęsa nie przeczytał żadnej, i to przez całe życie, czym się chwalił Orianie Fallaci, jak z nim robiła wywiad, to jeszcze mogę znieść, ale żeby ten zza muru, nie miał czasu, żeby parę kartek odwrócić, to już tylko złości i zmusza do wzruszenia ramionami. Ładną Ci zrobili książeczkę! Zdobądź się na słowa wdzięczności, a konkretnie – postaw flaszczynę! Oni warci są tego!

Ściskam i życzę dużo zdrowia. Nauczyłem się je cenić. Na Ciebie też przyjdzie pora, choć może uprawiasz nieświadomy wampiryzm, podbierasz energię z młodych słuchaczek, one wychodzą po wykładzie jak zaczadziacie, a Ty kwitniesz!

Czego Ci życzę też!
Wojtek

Warszawa, 6 sierpnia 97

Drogi Bolku!

Skoro masz mnie nie w sercu, a w dupie i dopiero kopnięcie w tążę nagli Cię do epistolograficznych wyczynów i zamiast napisać mi parę słów o sobie, o tym co wydajesz, (napisałem szczegółowo o TOMIKU, jaki mi podesłałeś, a Ty nawet nie pokwitowałeś odbioru) pozwól, że ja tylko potwierdzam odbiór Twego raczej lakonicznego listu. Rad, że recenzja służąca jako pretekst do osądu naszej literatury znalazła w Twoich oczach uznanie¹².

Ockniesz się, kiedy otrzymasz, znajdziesz w prasie zawiadomienie o moim zejściu. Nie! Nie spieszę się! Wszyscy jesteśmy wyrokowcami. Życie jest śmiertelną chorobą, choć przebieg bywa wcale przyjemny.

Ściskam, najlepsze życzenia dla CAŁEGO DOMU!
Wojtek

„Radosnych, miłych i pogodnych Świąt Bożego Narodzenia oraz Szczęśliwego Nowego Roku”¹³ i zamiast długiego listu, który więcej o mnie opowie, rozmowę z red. Jurkowskim, jeśli będziesz miał cierpliwość przeczytać!

Ściskam

Wojtek Ż.

18.XII.97.

PS: Byłem w Krakowie na pogrzebie Janiny Garyckiej – pół wieku przyjaźni, to już się liczy. Myślałem, że Cię zobaczę. Ale Ty, chytry, zostałeś w domu. A nas

mróz ścisnął, łyzy wycisnął... Zmów chociaż wieczne odpoczywanie! Ks. Maliński znakomicie mówi!

WŻ

Mój Bolku!¹⁴

Musiąło padać, jeżeli ten kobyłasty wywiad przeczytałeś do końca. Choć piszesz o nim dobrze, co by temu przeczyło. Powiedziałem raczej prawdę dość powszechną, więc był inny ten PRL mimo tylu głupot, a nawet zbrodni w majestacie prawa. Mnie Żółkiewski i Matuch¹⁵ mieli za złe, że nie jestem marksistą, teraz ci katolicy żądają, żebym co najmniej udawał świętego. A ja jestem tylko katolikiem piszącym, jak Graham Green. Bo Janek D.¹⁶ był prawie święty. Ja to raczej nie. Sam wiesz. Mam gotowy tom niesamowitych opowiadań, drugi – wspomnień o Stempowskim, tym od masonów i Maryjki – wspomnienie o Jerzym Borejszy, piszę o nim dobrze, nie na zamówienie, o lwaskiewicz i o Sienkiewicz, bo ich lubię!

Ściskam Cię, Żonę całuję. (na pewno to rzadko robisz!)

Wasz ten sam, co za PRL-u
Wojtek

1 września 1999

Drogi!

Żebyś nie odwykł od wywiadów ze mną, posyłam¹⁷ wraz z uściskami

Wojtek

14.9.1999

¹ Notatka skreślona na odwrocie kartki, jaką otrzymał na Grienzingu, gdzie udaliśmy się po jego spotkaniu autorskim, do winiarni Zum Martin Sepp. Właściciel tego heurigera prosił osoby zainteresowane informacjami o dniach otwarcia i innymi o podanie swojego adresu. W tekście aluzja do niewielkiej odległości z ul. Dobrej, gdzie mieszkałem w Warszawie i większej z heurigera do hotelu w Wiedniu.

² List pisany ręcznie na papierze z nadrukiem Wojciech Żukrowski, ul. Karowa 14/16, m. 22, 00-324 Warszawa, tel. 26-16-18. Idzie o Wilhelma Szewczyka, który niebawem miał przyjechać do Wiednia.

³ W tej samej kopercie list pisany na maszynie, na papierze z nadrukiem jak wyżej: Gerda Leber Hagenau-Niemka, urodzona w Łodzi; zauroczona polską kulturą, poetka, wydawca, autorka m.in. książek o Janie III Sobieskim i historii polskiego dramatu. Günther Wytrzens, profesor na Wydziale Sławiistyki Uniwersytetu Wiedeńskiego.

⁴ List pisany na maszynie, bez nadruku. Idzie o Wojciecha Młyńczyka, Polaka zamieszkałego w Wiedniu, którego Żukrowski poznał podczas wieczoru autorskiego. Młyńczyk zginął parę miesięcy później wraz ze swoją narzeczoną pod Brnem w drodze powrotnej z Polski.

⁵ List pisany na maszynie, na papierze z portretem Romana Dmowskiego i cytatem z jego pism.

⁶ Oszustem nazywa głównego prezesa wydawnictwa BGW Romana Górskiego, B. – Witold Bójski.

⁷ List pisany na maszynie, na widokówce. Na odwrocie krajobraz z Uzbekistanu.

⁸ Odpowiedź na mój list pisana na maszynie na papierze z nadrukiem – jak wcześniej:

Czarny Potok, 14.11.1994 r.

Pan Wojciech Żukrowski

ul. Karowa 14/16 m. 22

00-324 Warszawa

Wojtku Drogi,

siedzimy z moim bratem w listopadowy wieczór w rodzinnym Czarnym Potoku: za oknem zima – śnieg, mróz, na stole ta „co krasica”, gwarzymy o świecie, polityce, ludziach. W pewnym momencie brat pyta, a co słycać u Pana Wojciecha Żukrowskiego? Zrobiło mi się przykro, gdyż od dłuższego czasu nie mam z Tobą kontaktu. Nie mogłem więc zaspokoić jego ciekawości. W Warszawie bywam wprawdzie prawie co tydzień, ale po załatwieniu spraw – wracam zaraz do Krakowa.

Moje życie biegnie utartymi torami. Praca w WSP (wykłady, seminaria) – to sprawia mi największą radość, prezesowanie w Wydawnictwie Edukacyjnym – kłopotów wiele – satysfakcji mało. Jesteśmy już dziadkami. Wnuk Maciej ma 1,5 roku. Syn kończy aplikację notarialną.

Od czasu do czasu uciekam z Krakowa na wieś, gdzie brat wydzielił mi w jego domu osobną „izdebkę”.

Odezwiń się! Napisz, co się z Tobą dzieje? Jak zdrowie Twoje, Żony, Córci? A przede wszystkim, co nowego masz na warsztacie? Czytasz zapewne „Wiadomości Kulturalne”? Ciekaw jestem, jaka jest Twoja opinia o tym piśmie i czy zamierzasz z nim współpracować?

Jeżeli uda mi się dłużej zatrzymać się w Warszawie, wpadnę do Ciebie. Spragniony już bowiem jestem tych rozmów w kuchni przy kanapeczce z pasztetem i małym kieliszku.

Łączę serdeczności i pozdrowienia

Bolesław Faron

⁹ List pisany na maszynie z nadrukiem – jak wcześniej. Żukrowski odnosi się tutaj do pierwszego wydania mojej książki *Jama Michalika. Przewodnik literacki*. Dzięki jego sugestiom w następnym wydaniu znalazł się *Słowniczek nazwisk*.

¹⁰ Dyskretny akt kobiecy.

¹¹ Idzie o książeczkę *Korzenie*, wydaną w 1997 przez Tadeusza Skoczka z okazji mojego 60-lecia.

¹² List napisany na maszynie z nadrukiem w języku arabskim. Jest to odpowiedź na moją lakoniczną korespondencję:

Bolesław Faron

Kraków, dnia 31.07.1997 r.

Pan

Wojciech Żukrowski

Drogi Wojtku,

z dużym zaciekawieniem przeczytałem Twój artykuł w 30 numerze „Wiadomości Kulturalnych” pt. *Każdy za siebie*, napisany na marginesie książki prof. Henryka Słabka. Dobrze, że ktoś rozsądny zabrał głos w sprawie postaw artystów i intelektualistów w PRL. Oszołomy bowiem od lat mydlą oczy czytelnikom. Nam nie zamydlą, ale młodszej generacji, która tych czasów nie pamięta – mogą.

Cieszę się, że jesteś w dobrej kondycji intelektualnej, mam nadzieję, że również fizycznej.

Pozdrawiam Cię bardzo serdecznie, Pani się kłaniam.

Bolek

¹³ Święteczna kartka pocztowa. Pod standardowymi życzeniami dopisek ręczny. Wywiad Stefana Jurkowskiego *Żyję pełnią* ukazał się w „Trybunie” 20 listopada 1997 roku.

¹⁴ Korespondencja pisana ręcznie na kartce pocztowej Maxa Fudali *Trele Morele*.

¹⁵ Idzie o Ryszarda Matuszewskiego

¹⁶ Jan Dobraczyński.

¹⁷ Notatka odręczna na kserokopii wywiadu *Z Katowic na wojnę*, przeprowadzonego z Wojciechem Żukrowskim przez Mariana Kisiele w czasopiśmie „Śląsk”.

HENRYK CZUBAŁA

FAJERWERKI ŻENADY

(UWAGI O CZYTANIU MASŁOWSKIEJ)

Proza Masłowskiej ma cechy rewelatorskie – jest jednym z najbardziej oryginalnych zjawisk literackich ostatnich lat o niezwykłych walorach estetycznych i etycznych. Złożone okoliczności towarzyszące recepcji *Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną* oraz *Pawia królowej* domagają się odpowiedzi na pytanie, dlaczego twórczość Doroty Masłowskiej – tej „nastochańby polskiej literatury”, jak przezywają pisarkę na stronach internetowych – irytuje i gorszy tak wielu czytelników? Zarówno wytrawnych miłośników nowoczesnych literackich strategii, jak i czytelników zaciekawionych atmosferą skandalu towarzyszącą kolejnym utworom¹.

Proza Masłowskiej nie mieści się w prostych schematach strategii zdobywania rozgłosu i koncentrowania na sobie uwagi żadnej sensacji publiczności. Nacechowana socjotechnicznie poetyka opowieści, które snują współcześni pisarze celebryci, jest związana ze sztuką wzbudzania podziwu i zazdrości, robienia wrażenia na ludziach. Ich opowieści należą bowiem do sztuki gry towarzyskiej, która łączy się ze spektakularyzacją zdarzeń i ludzkich losów, dowartościowującą osobę narratora, a zwłaszcza intensyfikującą jego zmysłowe doświadczenie życia.

Pisarz celebryta nieustannie estetyzuje siebie – w autobiograficznych narracjach wystawia swoje życie na pokaz. Pisarz jako wodzirej w zabawnej i epatującej czytelników konfabulacji wprowadza swoją prozę na rynek (jak to opisywał niegdyś Walter Benjamin). Gdy chce być pisarzem modnym i wielbionym, a przynajmniej akceptowanym w wielkim świecie, musi wejść w przypisaną mu rolę w teatrze życia codziennego. Uprawia przynoszącą liczne pożytki sztukę kamuflażu – uszlachetnia i ukrywa, a zarazem ocala siebie przed światem, przed natręctwem i agresją obcych. Bliska wielu pisarzom sztuka autokreacji, owo wystawianie siebie na pokaz

i wchodzenie w teatralne i fikcyjne role życiowe, to sztuka bycia atrakcyjnym. Potrzeba uwodzenia, a nawet kłamania jest związana ze sztuką pozyskiwania poklasku.

Irytacja – niechęć – zgorszenie

Ku rozczarowaniu masowej widowni okazuje się, że proza Masłowskiej nie jest tylko „kryjówką” służącą do przechowania siebie w coraz to nowych i jakże powabnych dla świata wcieleniach czy sobowtórach – nie jest sztuką, którą uprawia marzący o wielkim świecie snob czy dandys. Pochodzącej z Wejherowa pisarce, która rezygnuje z kariery w Warszawie i porzuca „Przekrój”, obca okazała się w końcu właściwa celebrytom kultury masowej egotyczna potrzeba koncentrowania na sobie uwagi, epatowania publiczności skandalicznymi zachowaniami, popisami elokwencji, dowcipu czy zabójczej ironii, łatwością szargania „świętości”, i tą lekkością, niefrasobliwością i celnością sądu, którą przypisujemy ludziom utalentowanym oraz miłośnikom wygłupów i ekscesów. Okazuje się bowiem, że Masłowska zbyt nonszalancko i beztrzesko traktuje ów świetny zbiór przymiotów i rekwizytów sukcesu, przedmiotów zachwyty medialnej widowni.

Nie przypadkiem więc często spotykane oceny prozy Masłowskiej bywają wyrazem niechęci i irytacji, której nie przewyżczyła nawet autentyczny sukces wydawniczy jej książek w Niemczech i we Francji². Estetyczne uprzedzenie i moralistyczne zniecierpliwienie czytelników sprawiają, że umiejętności artystyczne Masłowskiej oraz walory jej książek pozostają nierozpoznane.

Odbiorców kultury wysokiej razi nieprzystawalność Masłowskiej i jej prozy do standardowych konwencji, do których przywykli. Dawka oryginalności przekracza dopuszczalny poziom akceptacji inności. Proza Masłowskiej wymaga nowego sposobu czytania pojmowanego jako partycypacja w tym, co inne, a to niestety znów rodzi sprzeciw, nikt bowiem nie chce mieć poczucia udziału w czymś, co uważa za obce, czego nie akceptuje w powodów estetycznych i moralnych. Ponadto irytację i zgorszenie budzi język – wulgaryzmy i kolokwializmy, barbarzyzmy, składniowe solecyzmy, anakoluty i anapodotony... zarówno autorki jak i jej bohaterów, język niepasujący do salonów wymuskanych przez wynajętych dizajnerów.

„Ja niestety mam taką cechę – mówi Masłowska – że postuguję się wyrażeniami w stylu „ja się do tego nie oponuję”, a wtedy wszyscy są oburzeni, że jest nieoprawnie i nigdy by się nie spodziewali, że można przyjechać z Warszawy prosto z przyjęcia i tak mówić. Wszy-

¹ Tytuł pochodzi z wywiadu Masłowskiej opowiadającej o swoich warszawskich wybrkach, dobrze wyraża atmosferę zaciekawienia a nawet sensacji, która otacza jej twórczość. „Dorota Masłowska mówi swemu wydawcy o nienawiści, 5 nowych powieściach i jak policjant przykuł ją do krzesła – pisał w »Lampie« Paweł Dunin-Wąsowicz. – „To był film sensacyjny – opowiadała Masłowska – bo mnie ściągnęła policja, a on rzucił się w krzaki i spał w krzakach pod moim domem do rana, a ja miałam świetny humor i przesłuchiwana powtarzałam cały czas: »wiem, ale nie powiem, wiem, ale nie powiem« i pytałam się, czy będą tortury. Wysłałam następnego dnia o szesnastej, chwając się na nogach. Strasznie chciało mi się pić, ale miałam tylko siedemdziesiąt groszy i błagałam tego pułkownika, żeby mi dał jeszcze osiemdziesiąt na kolę, ale on kłamał, że nie ma, dzwonił gdzieś ciągle, w końcu wyszedł, a mnie przypiął kajdankami do krzesła w korytarzu”. Zaciekawieni są czytelnicy oczekujący skandalu oraz ambitni uczestnicy kultury wysokiej, którzy boją się, że będą przez tę prozę katowani, że przyjdzie im jak powiadał Artur Sandauer – „kamienie gryźć”. Z pisarką rozmawiał Paweł Dunin-Wąsowicz (*Dyskoteka w piekle*, »Lampa« 2004 nr 1).

² Mówi się o ponad 120 tys. egzemplarzy sprzedanej *Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną* Masłowskiej.

scy chcą wartości, wierszy, przystów, a nie że przychodzi panienska i mówi, że jest u niej na podwórku skażenie nadmanganianem potasu, a jej chłopak wkłada głowę do palnika gazowego»³.

Właśnie z powodu estetycznych i moralistycznych przesądów, zwłaszcza przywiązania do wyobrażeń o wyższości i społecznych zaletach uznanych konwencji tzw. sztuki wysokiej, z przekonania o jej wyższości estetycznej i moralnej nie dostrzegamy artystycznych umiejętności Masłowskiej. Nie dostrzegamy też jej etycznej odkrywczosci. A może przyczyna leży w dziele i w jego bohaterach, których moralności i umysłowości, języka nie jesteśmy w stanie znieść, chociaż przywykliśmy do różnych gorszących i ekstrawaganckich form ekspresji.

– Dorota Masłowska irytuje i gorszy, gdyż takie jest jej zamierzenie. Chce odnieść sukces medialny i dołączyć do grona znanych i bogatych, by w przyszłości, być może... reklamować szampon do farbowanych na rudo włosów... – oto punkt widzenia zazdrosnych o sukces celebrytów. To styl myślenia, dla którego literatura, muzyka, sztuka jest tylko narzędziem – sposobem koszenia kasy, czyli zdobywania pieniędzy na budzące pożądanie przedmioty, albo narzędziem rozrywki przynoszącej egzotyczne wrażenia.

Lecz nawet pobieżna analiza wywiadu, którego Masłowska udzieliła Pawłowi Duninowi-Wąsowiczowi wskazuje, że ten trop jest błędny:

»W Polsce natomiast najwięcej emocji budziło, czy nie męczy mnie już ten szum medialny. SZUM MEDIALNY. Co to jest za absurd. Ja nie wiem, dlaczego ja jeszcze żyję. Wczoraj [na spotkaniu z czytelnikami w Kielcach] ta prowadząca w golfie mówi do mnie: „przeprowadziłaś się do Warszawy, o czym większość ludzi może tylko marzyć i oglądać w telewizji, jak to jest?”. To wydało mi się naprawdę smutne, w ogóle to często są fajerwerki żenady. „Jaki masz naprawdę kolor włosów? To ja może tak z innej beczki: jaki lubisz smak słodczy?” Jak się tam siedzi na najlepszym fotelu w całym domu kultury i trzeba na to odpowiadać tak, żeby wszyscy się nie obrazili, to to jest bolesne. A publiczność i tak tylko czeka, żebym powiedziała jakiś żart w stylu „o czym ty do mnie rozmawiasz?” i wtedy będzie śmiesznie»⁴.

„To to jest bolesne” – mówi Masłowska i w swej wypowiedzi podważa jakby tezę o zamierzonym, celowym skandalizowaniu. Każdy celebryta marzy o takich sytuacjach i dlatego dziwi się – „czegóż ta baba może chcieć więcej?” Natomiast Masłowska źle się czuje wśród oczekującej na kolejny skandal publiczności. O tym, że całe spotkanie było nieporozumieniem, świadczą żenujące pytania i stawianie gościa w roli niemalże zoologicznej czy też cyrkowej ciekawostki.

Czy proza Masłowskiej uderza głębiej, gdyż burzy spokój oraz dobre samopoczucie ludzi zmęczonych, oczekujących dobrej zabawy, a nie mozolnego poszukiwania odpowiedzi na trudne pytania? Jej twórczość irytuje i gorszy, chociaż współczesny odbiorca masowej i wysokiej kultury jest do tej formy przyciągania uwagi przyzwyczajony. Dziś już bez zgorszenia słuchamy przecież „wstrząsających” muzycznych kolaży oraz fabularnych mikśów Pink, która w swoich piosenkach opowiada szokujące historie o własnej rodzinie. Bez moralistycznego zgorszenia umiemy też oglądać obrazy Katarzyny

Kozyry oraz brutalne sceny filmowe *Pasji* Mela Gibsona. Nie gorszą nas widowiskowe ekscesy Madonny, dawno oswoiliśmy „pornograficzne” demaskatorskie i „fotograficzne” obrazy życia w prozie Emila Zoli, Louisa-Ferdinanda Céline’a czy Henry’ego Millera...

Wydaje się nawet, że czytelnik lubi być gorszony – sympatia do ekstrawagancji, obrazoburstwa w kulturze masowej jest dobrze widziana. Od lat to co gorszy jest dobrze sprzedającym się towarem. Hasło „wszystko na sprzedaż” kieruje twórcami reklamowych kampanii i artystami, których zyski powiększa strategia skandalizowania.

Skoro lubimy się gorszyć, skąd więc ta niechęć i irytacja, która sprawia, że artystyczne umiejętności Masłowskiej pozostają niedocenione?

Zabójczy protekcyjnalizm

W kod czytania prozy Masłowskiej najczęściej wpisane jest dążenie do zamknięcia jej oryginalnej twórczości w literackim stereotypie opowieści o dorastaniu prowincjuszki, mieszkanki lumpowskiego blokowiska, do „warszawki”, czyli zdegradowania jej opowieści do rzędu etnologicznych mitów (również należących do „wielkiego świata”) na temat społecznej inicjacji, dresiarzkiego marginesu oraz subkulturowej egzotyki.

Jednocześnie ożywiani resentymentem lub chęcią deprecjacji prozy wywołującej irytację, niechęć i konsternację czytelnicy sytuują jej twórczość w kręgu postmodernistycznych eksperymentów warsztatowych niedojrzałego pisarza, który dopiero dorasta do świata literatury i chce nas zadziwić. Zadaniem krytyka, strażnika ogrodzonego osiedla, enklawy sukcesu, staje się namaszczenie tej pisarki w jej aspiracjach do warszawskiego salonu – protekcyjnalne uchylanie drzwi do kariery na łamach „Przekroju”...

Wydaje się jednak, że Masłowska w swoich wywiadach tylko pozornie potwierdza te oczekiwania czytelników takimi „niegramatycznymi” i „szczerymi” opowieściami wziętymi z własnego życia:

»Natomiast w grudniu któregoś dnia postanowiliśmy sobie z Mirkiem [Mirek Nahacz] robić trochę przygód i bardzo nam wyszło. Wszystko się stało przez to, że było zamknięte karaoke koło Pałacu Kultury, bo wypiliśmy mnóstwo alko w Cafe Bajka, a potem dalej piliśmy, biorąc z lokali różne rzeczy na pamiątkę, bo potem znalazłam w torebce mnóstwo rzeczy, których wcześniej nie miałam, między innymi porcelanowego pingwina z dzieckiem,

Mirek ciągle upierał się, że idziemy na karaoke, bo on musi teraz śpiewać, ale było zamknięte. Pamiętam, że nawet wzięliśmy jakieś deski ze śmietnika, bo ja mówiłam, że mogą mi się przydać. No i Mirek wybił wielką szybę na Ordynackiej, a potem napisał w zeznaniach „to ja wybiłem tą szybę, to nie wybiła Dorota”. Ale to był film sensacyjny, bo mnie ściągnęła policja, a on rzucił się w krzaki i spał w krzakach pod moim domem do rana, a ja miałam świetny humor i przesłuchiwana powtarzałam cały czas: „wiem, ale nie powiem, wiem, ale nie powiem” i pytałam się, czy będą tortury. Wysłałam następnego dnia o szesnastej, chwając się na nogach. Strasznie chciało mi się pić, ale miałam tylko siedemdziesiąt groszy i błagałam tego pułkownika, żeby mi dał jeszcze osiemdziesiąt na kolę, ale on kłamał, że nie ma, dzwonił gdzieś ciągle, w końcu wyszedł, a mnie przypiął kajdanami do krzesła w korytarzu. Jak dzwonił mu telefon, to

³ Paweł Dunin-Wąsowicz, tamże.

⁴ Tamże.

krzyczał: „Kurwa! Nie odbieram, jak do mnie dzwonią! Sam też nie dzwonię! Niech do mnie dzwonią pedały, jak coś chcą!” Ja rozumiem dobrze to stanowisko, ale to nas wtedy do siebie nie zbliżyło. W końcu przyszedł Mirek i powiedział: „zjadłbym jakiś obiad, byśmy poszli gdzieś na obiad”. A ja tam siedziałam i ryczałam, bo ten pułkownik cały czas wrzeszczał na mnie: „przestań ryczeć”⁵.

Masłowska epatuje więc czyniąc zadość konwencjonalnym oczekiwaniom czytelnika, który jednak czuje się nieco zażenowany... Dlaczego? Jak to możliwe, skoro współczesna kultura oswoiła nas szokującymi eksperymentami w sztuce – potrzeba skandalu ożywiła twórczość dwudziestowiecznych awangardzistów, ożywia kulturę masową i współczesne kampanie wyborcze.

»PDW: A czy Warszawa jest aż tak nudna, że trzeba dla rozrywki wybijać szyby? DM: Powiem ci, że to jest prawie jedyne moje wydarzenie w życiu, odkąd mieszkam w Warszawie, bo reszta to jakaś miazga. Pasjonująca była też podróż na komisariat, kiedy siedziałam na decymetrze kwadratowym z trzema skutymi chłopcami i paliłymi papierosy. To było bardzo koncentracyjne, a policjanci w akcie empatii włączyli nam wywietrznik. Ten samochód prawie miał wypadek, bo to był dzień, kiedy ten wariat wszedł na dźwig koło pałacu i były korki. To było wszystko jak zaawansowany sen. Siedziałam potem z nimi w takiej klatce i policjanci przychodzili i mówili: „a co ty tu robisz dziewczynko, z Wejherowa aż przyjechałaś, chcesz wystąpić w reality show”? Ja powiedziałam: „chciałam zająć w ciężę” i to ich szalenie rozbawiło⁶.

Wiemy już, że postmodernistyczna estetyka naszego otoczenia przekształca „najprawdziwszą rzeczywistość” w symulakrum niemniej rzeczywiste lecz bardzo efektowne, w świat obrazów naśladowanych obrazy – w *reality show*, wyobrażeniową rzeczywistość aspirującą do bycia rzeczywistością.

Kultura masowa sprawia, że nie gorszymy się już nawet wtedy, gdy spostrzegamy, że pisarzem i jego dowcipnymi fabulacjami kieruje niezaspokojone pragnienie intensyfikacji doznań i efektów estetycznych, właściwe kulturze symulakrów, a więc uwodzenia czytelnika, które steruje fabułkami filmów o Bondzie, prozy Umberto Eco, a może nawet Elfriede Jelinek i Herty Müller. Ta estetyka widoczna jest w ekshibicjonistycznych i voyeuristycznych tendencjach literatury popularnej oraz PR-owskich, autorklamiwymi strategiami twórców, którzy podobnie jak Manuela Gretkowska wystawiają na pokaz i na sprzedaż swoje ja, poddając jego rzeczywistość obróbcie wyobraźni. Epatujące, regresywne i agresywne ja literackiego podmiotu odnajduje w nich dla siebie usprawiedliwienie, potwierdza zagrożone poczucie rzeczywistości. Nie jest jednak pewne, że pisarz w roli celebryty w ten sposób znajduje w swojej sztuce usprawiedliwienie infantylnego i bezwzględniego dążenia do rządzenia przeżyciami i manipulowania nastawieniami czytelnika; czy znajdzie też usprawiedliwienie bezceremonialne dążenie podmiotu literackiego do narracyjnego, intelektualnego i emocjonalnego panowania nad przedstawianym światem.

Niełatwo uwierzyć, że Masłowska, choć tak często wyłamuje się z roli celebrytki, w której chciałaby ją widzieć „wielki świat”, przede wszystkim szuka uznania – epatuje, by zdobyć przepustkę do enklaw dobrobytu.

Zaufania nie budzi w czytelniku podmiot literacki prozy Masłowskiej, owo rapujące i hiphopowe medium, które odbiera mu przeświadczenie, że los można sobie literacko przedstawić i że choćby w ten sposób można nad nim panować...

A może *Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną* – ta prosta opowieść o prostych ludziach – jest tylko malowniczą i naiwną „balladą dresiarzką”, co sugeruje film zrobiony przez Xaverego Żuławskiego z Borysem Szycem w roli Silnego i Sanią Bohosiewicz. Wbrew powszechnemu przeświadczeniu uważam jednak, że epatowanie egzotyką i swoisty malowniczy naturalizm jest tego filmu największą słabością. Cóż z tego, że widowie i czytelnicy szukają w tej prozie przede wszystkim sensacyjnych i barwnych elementów, których nie brakuje balladom.

W poprawnej, bo medialnie atrakcyjnej celebryckiej prozie tworzącej gotowe scenariusze filmowe ukazują się życie i biografia, które są nieustannie kontrolowane, a nawet represjonowane przez dowcipną fabulację. Masłowska nie próbuje panować nad zyciem. W jej prozie fascynuje i budzi respekt to, co nieobliczalne, szalone i natchnione w życiu wyrzutek, których ukazuje jako ludzi – niemniej moralnych, inaczej twórczych i wrażliwych. Opowieści Masłowskiej wyłamują się zatem z poprawnego społecznie, zaakceptowanego schematu kulturowego, który chciałby ich zamknąć w fascynującym lecz niebezpiecznym egzotarium i otoczyć protekcyjnym rozumieniem i współczuciem.

Wgląd w ten świat, który Masłowska odślania oferując przeżycie udziału, na pewno nie „ubogaca”. To obraz świata dalekiego, lecz pozostającego „na wyciągnięcie ręki”, danego do czytania i współodczuwania, a nie do współczucia.

Hiphopowe kolażowanie i naśladowanie Masłowskiej ukazują się jako „metody” doświadczania pokrewieństwa – zbliżania się do tego co inne, co bywa jednak obce, a nawet zakazane. Wprowadzanie siebie i czytelnika w bliskość z tym, co inne, odbywa się w kolażach i słowotokach – tych skupieniach słów i zdarzeń, które znamy z jej rapujących narracji. To nie są „gry” i „zabawy” językowe, popisy narracyjnego kunsztu. W ten sposób praktykowane wchodzenie w cudze istnienie przestaje być wytworem sztuki przedstawiania, a staje się dziełem sztuki partycypacji. Dokonująca się w jej literackiej mowie teatralizacja własnego życia, która odbywa się przez naśladowanie – a więc wystawianie go na pokaz – to przede wszystkim wchodzenie w bliskość z tym, co przed świadomością człowieka umyka, czego zaś można doświadczyć tylko estetycznie.

Książki Masłowskiej wprowadzające w świat Innych – lecz nie „obcych”! – wpisują się w krąg twórczości artystów, dla których najważniejsza jest rzeczywistość ludzi odrzuconych przez świat oficjalnej kultury i sukcesu, dla których sztuka jest formą ludzkiej życzliwości. Masłowska w swoich narracjach przenika – a nie: konstruuje go i przedstawia – w świat brzydkich ludzi z równoległego świata, od którego czytelnicy chcieliby odgradzić się płotem oraz wynajętym ochroniarzem.

Proza Doroty Masłowskiej swój świat przedstawiany rozciąga poza elektrycznym pastuchem czytelnicznych przyzwyczajęń, obaw i uprzedzeń.

HENRYK CZUBAŁA

⁵ Tamże.
⁶ Tamże.

FILIP RATKOWSKI

WIELKOŚĆ I UPADEK „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Trwa dyskusja wokół najnowszej książki prof. Andrzeja Romanowskiego pt. *Wielkość i upadek »Tygodnika Powszechnego« oraz inne szkice*. Po poświęconych jej spotkaniach w klubie „Pod Gruszką” i podobnych dyskusjach w Warszawie, autora zaprosiła krakowska „Kuźnica”.

– Do dziś wspominam z bólem, pierwszy sygnał tego, co się z „Tygodnikiem” zaczyna dziać – mówi „Pod Gruszką” Romanowski. – Oto w 1995 r. po wyborze Aleksandra Kwaśniewskiego na prezydenta RP, na łamach pojawił się tekst Bogdana Cywińskiego *Niech cię trafi szlag i to szybko!* Mówię o tym, „bom smutny i sam pełen winy”, jako że byłem wówczas w redakcji.

W spotkaniu uczestniczyli też: red. Adam Szostkiewicz i prof. Jan Widacki, a rolę moderatora dyskusji przyjął dyrektor wydawnictwa Universitas, które książkę wydało, Andrzej Nowakowski.

Doświadczenie świadków historii

– To, że Andrzej Romanowski wydaje swoją kolejną książkę w wydawnictwie Universitas, nie jest przypadkiem – przyznał dyrektor Nowakowski. – Znamy się ponad 44 lata i należymy do pewnej grupy ludzi związanych wspólnym doświadczeniem pokoleniowym. Andrzej Romanowski był starszy od nas o rok, ale mijaliśmy się na tym samym korytarzu, Adam Szostkiewicz studiował ze mną na jednym roku polonistyki, profesor Widacki był od nas starszy, ale tylko nieco starszy. Na naszym roku studiowali Bronisław Wildstein, Jerzy Pilch, Bronisław Maj, Marian Stala i paru ważnych dziś profesorów, ale też Staszek Pyjas i Lesław Maleszka. Czasy były niezwykle, burzliwe, a sprawdzian odwagi i doświadczenie tamtych lat ma, jak sądzę, wielki wpływ na to, o czym dziś pisze w swojej publicystyce Romanowski – podkreślał szef wydawnictwa Universitas.

Osobiste doświadczenia tamtych lat są szczególnie ważne, bo dziś na te tematy najchętniej głos zabierają ludzie, którzy historię PRL znają z drugiej ręki, często od osób, które swoją ówczesną bierność usprawiedliwiają „wszechobecnym terrorem komunistycznym” i do dziś szukają złowrogich tajemnic. To „rewolucjonści trzeciego szeregu” są dziś radykalnymi przeciwnikami dawnego obalonego systemu i to oni prezentują linię, którą dziś nazywa się „polityką historyczną” czy zgoła „ipeenowską historiografią”.

O cywilnej odwadze

– Romanowski z otwartą przyłbicą przeciwstawia się takiemu myśleniu i w tomie, o którym mowa, dostajemy wybór jego znakomitych tekstów. – Tak jak myśli i pisze Andrzej Romanowski, myśli wielu ludzi – mówi m.in. prof. Jan Widacki. – Jednak nie każdy ma odwagę, by to głosić publicznie. Nie każdy ma na to dość odwagi cywilnej...

– To prawda, że wielokrotnie spotykam się z reakcjami ludzi stwierdzających, że ja mam „odwagę cywilną”. Ale, jaką odwagę? Jakiej tu odwagi trzeba? – protestował Romanowski. – Dziś za taką odwagę ani nie zamykają, ani nie wyrzucają z pracy...

A jednak na ten właśnie aspekt publicystyki Romanowskiego zwrócił uwagę Andrzej Walicki na łamach „Przeglądu”. „Tyrania społeczna – pisał Walicki cytując klasyka liberalizmu Johna Stuarta Milla – nie grozi zwykle surowymi karami, ale mimo to »straszniejsza jest od wielu rodzajów politycznego ucisku«, pozostawia bowiem »mniej sposobów ucieczki, wnika o wiele głębiej w szczegóły życia i ujarzmia samą duszę«”.

Czy tak jest i u nas? Paradoksalność sytuacji polskiej polega na tym, że to wewnętrzne zagrożenie wolności bywa bardzo realne i dotkliwe, mimo że społeczeństwo nasze jest dość dalekie od politycznej jednomyślności, a tym bardziej od moralnego rygoryzmu. Rzecz w tym jednak, że w dużej mierze poddaje się ono moralno-politycznemu dyktatowi mniejszości przypisującej sobie szczególne zasługi historyczne i na tej podstawie roszczącej sobie prawo do stygmatyzowania przeciwników politycznych lub (w łagodniejszej wersji) do autorytarnego ustalania, komu mniej, a komu więcej wolno.

Moralność arbitralna?

W pierwszych latach po odzyskaniu pełnej niepodległości tym zbiorowym „arbitrem moralności narodowej” chciano uczynić „obóz posierpniowy” jako całość, propozycja ta jednak – słusznie uznana przez Romanowskiego za moralnie i politycznie wątpliwą – nie wytrzymała próby czasu. Choć, sama w sobie dość skrajna, propozycja ta nie zadowalała agresywnej „prawicy narodowej”, niechcącej znajdować się w jednym obozie z ludźmi umiarkowanej lewicy liberalnej, a tym bardziej z osobami o „niewłaściwych rodowodach” – stwierdza Walicki.

A ma Romanowski rodowód jak najbardziej słuszny. Był stypendystą Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku (1990), jest kierownikiem katedry na Wydziale Polonistyki UJ, a od 2003 r. redaktorem naczelnym *Polskiego Słownika Biograficznego*. Od 1976 publikował w „Tygodniku Powszechnym” (w latach 1990–2002 był również redaktorem pisma). Pracował ponadto w redakcjach zdecydowanie prawicowego „Czasu Krakowskiego” (1989), wchodził w skład władz krajowych Ruchu Obywatelskiego Akcji Demokratycznej, Unii Demokratycznej oraz Unii Wolności. W 2005 rozstał się z „Tygodnikiem Powszechnym”, teraz publikuje w „Gazecie Wyborczej”, niekiedy w „Rzeczpospolitej”, jego eseje ukazują się w „Zdaniu”. Za swą niezależną publicystykę został uhonorowany Kowadłem „Kuźnicy”. Dziś dostajemy do ręki obszerny wybór publicystyki i esejów z ostatniego dziesięciolecia, namacalny dowód, że Kowadło mu się należało.

„Tygodnik” w ogniu oskarżeń

– Nie zdecydowałbym się na zebranie tych tekstów w jednym tomie – mówi Romanowski – gdyby nie książka Romana Graczyka, która ukazała się na przedwiośniu 2011 r. i wywołała sporo medialnego szumu. Pisali o niej i Adam Szostkiewicz w „Polityce” i Jan Widacki w „Przeglądzie”, ale najbardziej uderzająca była nie reakcja na nią, lecz brak reakcji, obecnie zespołu „Tygodnika Powszechnego”. Przypomniał to, w ostatnim numerze „Znaku” w wywiadzie z Dominiką Kozłowską, prof. Andrzej Friszke, który wyraźnie ma o to żal do „Tygodnika”. Chodzi o brak zdecydowanej obrony wybitnych postaci redakcji oskarżanych o flirt, o ile nie o coś więcej, z ubecją i władzami PRL.

– „Tygodnik” przez cały okres PRL robił kapitalną robotę, czegoś takiego nigdzie nie było – mówi Romanowski. – I gdy dziś myślę o przypadkach osobnych Stefana Pizona, Mieczysława Wilkanowicza, to jestem pewien, że obrzucanie ich błotem za sam fakt, że niekiedy musieli się spotykać z różnymi wystannikami „ciemnej strony mocy”, jest kompletną aberracją. Jest w tym także chora, IPN-owska wyobraźnia, bo tamten zespół „Tygodnika” to był jedyny w swoim rodzaju zespół najszlachetniejszych ludzi w tym kraju. Trzeba pamiętać i o tym mówić najczęściej, że mieliśmy wyjątkowy skarb tu, w Krakowie. Ile z tego zniszczono, ile obecna redakcja tych wyjątkowych wartości przepuściła...

Ale „Tygodnik”, jego wielkość w dobie PRL-u i stopniowo pogłębiający się upadek po śmierci Jerzego Turowicza, to tylko pewna egzemplifikacja procesów, jakie odbywają się w Polsce i tym zbiorem tekstów udało się autorowi pokazać, jak dalece pomniejszamy siebie samych.

Trudne wybory

– Ja odszedłem z „Tygodnika” zaraz po śmierci Jerzego Turowicza w 1999 roku, zauważając zmianę wiatrów w stronę wzmocnienia ortodoksji kościelnej i prawicy – mówi Adam Szostkiewicz. – Nie muszę przypominać, że byłem więźniem generała Jaruzelskiego, współpracownikiem prasy podziemnej, wcześniej działaczem pierwszej „Solidarności” dość wysokiego szczebla, ale fakt, że nagle wyładowałem w „Polityce” był dla wie-

lu moich znajomych prawdziwym szokiem. A przecież jest coś co łączy „Politykę” z tamtym „Tygodnikiem”. To, mówiąc zwyczajnie, pewna racjonalność myślenia, która charakteryzuje też teksty Romanowskiego. W początku lat 90. sam należałem do grupy, którą Andrzej trochę kopie – byliśmy młodzi, radykalni, prawicowi... Chcieliśmy Polskę budować na nowo, zmieniać, i nie było mowy o żadnym porozumieniu z „postkomunistami”. To był rzeczywiście nasz język. Sam, po wyborze Kwaśniewskiego na prezydenta RP, napisałem w „Tygodniku”, że jednak to jest dla mnie za dużo i w te buty nigdy, przenigdy nie wejde! Emocjonalnie było to może zrozumiałe, ale intelektualnie, było to podejście błędne, bo dalekie od myślenia propaństwowego – przyznaje Szostkiewicz.

Adam Szostkiewicz umiał odejść od takiego myślenia, jednak dalece nie wszyscy z jego pokolenia, a szczególnie ci nieco młodszy nie umieli przejść podobnego procesu obywatelskiego dojrzwania. Dziś po prawej stronie sceny politycznej umacnia się tendencja do wykształcenia się, jak to nazywa Romanowski „dyskursu bezalternatywnego”, tworzącego swoistą i jedyną „poprawność polityczną”, a przecież to na rzekomo powszechnie obowiązującą poprawność polityczną skarżą się absurdalnie przedstawiciele skrajnej prawicy. Tymczasem to przecież właśnie oni narzucają społeczeństwu swoje kompletnie nieuzasadnione wizje i oceny.

Niestety dotyczy to nie tylko postaci w rodzaju Wildsteina czy Macierewicza. Prawdziwy festiwal takich postaw mieliśmy na jesieni, w związku z 30 rocznicą stanu wojennego, i w styczniu – z okazji wyroku w procesie „zbrojnej szajki – sprawców stanu wojennego”. A przecież, jak wynika z powszechnie dostępnych badań, większość Polaków uważa, że stan wojenny był uzasadniony. Gdy jednak zajrzeć do gazet, okaże się, że taki pogląd na łamach nie istnieje! O jaką „poprawność polityczną” zatem chodzi?

Dyskurs bezalternatywny

Temu właśnie „bezalternatywnemu dyskursowi” Romanowski poświęca w książce najwięcej uwagi i próbuje pokazać, jaka jest jego istota, jakie są jego części składowe. Jedną z nich to „polityka historyczna” – narządzie ogromnie niebezpieczne, bo z natury rzeczy konfliktujące nas z sąsiadami. Jak bowiem stworzyć jednolitą politykę historyczną z Ukraińcami w sprawie Lwowa?

– Polityka historyczna jest też głęboką indoktryncją, „pierekowką świadomości”! – stwierdzał wprost Romanowski. – Tu na sali siedzi moja siostra, pamiętamy oboje mamę, która zwracała nam uwagę, że Polska międzywojenna wyglądała zupełnie inaczej niż ta, o której nas nauczano w szkole. „Grubo przesadzają”, mówiła. To samo mamy z naszym nieszczęsnym PRL-em. Nie zawsze wyglądało to tak, jak dziś usiłuje się nam wmówić.

Kolejny problem to IPN. – Jego działalność – mówi Romanowski – przypomina mi historię, jak to Litwini przed II wojną światową, w 1930 roku wytoczyli proces Władysławowi Jagiello za to, że zdradził Litwę z Polską i skazali go na karę śmierci! Życzę IPN-owi powodzenia na tej drodze. Co więcej, samo istnienie IPN-u jest rażącym odejściem od państwa prawa i mało kto zdaje

sobie sprawę, że IPN jest tworem, którego powołanie stworzyło nowy ustrój! Podstawowym założeniem tej instytucji jest przede wszystkim nierówność obywateli wobec prawa! „Pokrzywdzony” ma większe prawa niż „niepokrzywdzony”, nie mówiąc już o domniemanych „sprawcach”.

– To prawda – podkreślał prawnik przecież nie byle jaki, prof. Jan Widacki – że i prokurator i historyk poznają tę samą rzeczywistość i to ludziom mało rozgarniętym może się wydać czynnością niemal identyczną, ale paradygmat historyka jest inny, bo wedle innych rygorów poznaje prawdę, a proces karny wedle innych rygorów. I to jest dość oczywiste, ale gdy napisałem to kilka lat temu, pewien wybitny umysł, aktualnie minister sprawiedliwości napisał, że jestem „relatywistą moralnym”, bo przecież prawda jest jedna! A potem przytoczył leninowską definicję prawdy, choć tego nie był świadom...

Mamy ostatnimi czasy wiele gorzkich doświadczeń z Polską i polsnością, i nie każdy ma ochotę jeszcze raz sobie to wszystko przypominać, jak bardzo marnowaliśmy dar wolności odzyskanej w 1989 roku, a właśnie Romanowski o tym pisze.

O adekwatność ocen

– W „Tygodniku” przepracowałem 11 lat i mógłbym się podpisać pod każdym słowem Andrzeja o znaczeniu tego zespołu – dodaje Szostkiewicz – ale uważam, że książka jest przede wszystkim o polskości, o Polsce, o naszych sporach i o jałowości tych sporów.

– Wiem, że żadne środowisko w Polsce nie dało mi i nie mogłoby mi dać tyle, ile „Tygodnik Powszechny” Turowicza i Kozłowskiego, Hannelowej... – mówi Romanowski. – Żadne inne środowisko nie uczyło tak i tyle o Polsce, o świecie, o człowieku... Owszem, jestem wielkim dłużnikiem prof. Henryka Markiewicza, uczyła mnie polonistyka krakowska, w oczywisty sposób pluralistyczna, ale spójnym ideowo środowiskiem był tylko „Tygodnik”. Dlatego jest pewnie we mnie trochę osobistego żalu i może temperament zwiódł mnie czasem na manowce. Być może powinienem bardziej personalizować pewne sprawy i oceny, ale ja nie walczę z ludźmi, tylko z ideami, z pewnym blokiem postaw. W życiu publicznym nie chodzi o to, żebyśmy sobie dokopywali personalnie. Niech to robi polska prawica, ona jest w tym świetna.

W „Kuźnicy”

Po spotkaniach w klubie „Pod Gruszką”, na które licznie stawili się nie tylko sympatycy dawnego „Tygodnika Powszechnego”, ale też przedstawicieli krakowskiej lewicy umiejscowieni docenić ważką rolę, jaką pismo spełniało w okresie PRL a i później, w dobie głębokich i trudnych przemian ustrojowych, po podobnych dyskusjach w Warszawie, autora zaprosiła „Kuźnica”. To było ważne spotkanie, na którym mówiono nie tylko o losach pewnego środowiska dziennikarzy i publicystów, ale przede wszystkim o tym, jak zmieniała się Polska w ciągu mininego półwiecza. Książka Romanowskiego była dobrym pretekstem, bo sięga głęboko do początków „Tygodnika” i pokazuje drogę, jaką pismo przeszło i jak ewoluowało w kierunku, jaki reprezentuje dziś. Jednak, jak za-



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

uważył w słowie wstępnym prezes Stowarzyszenia doc. Andrzej Kurz, autor na przykładzie „Tygodnika Powszechnego” zilustrował kluczowy problem całej polskiej sceny politycznej po roku 1989: „zaprzeczanie mądrości pokoleń” przez nieustanne przesuwanie się w stronę radykalnie zideologizowanej, demagogicznej prawicy, dążącej do zawłaszczenia całej tradycji polskiej.

– Rozprawy, które składają się na ten tom, drukowane w prasie, czytaliśmy na bieżąco, ale zebrane razem stały się nową jakością, wręcz wydawniczym wydarzeniem – mówił Kurz. – A nas szczególnie porusza to, że książka kończy się artykułem pt. *Wierność* napisanym na podstawie wystąpienia pana profesora w „Kuźnicy” po otrzymaniu Kowadała. Książka, prócz kwestii związanych z „Tygodnikiem” ma też wiele wątków obecnych w publicystyce Romanowskiego w ostatniej dekadzie. Mówi o rozkładzie „Solidarności” i jej etosu, o słabościach Trzeciej Rzeczypospolitej, o groźnym fundamentalizmie twórców IV RP, która wydawała się zjawiskiem przejściowym, o moralnej degrengoladzie idei lustracji i polityki historycznej oraz związanych z tymi sprawami ustaw i struktur państwowych. Niezwykłą przenikliwość i moralną głębię tej książki uwyraźnił prof. Andrzej Walicki w recenzji w „Przeglądzie”, warto też wspomnieć recenzję Katarzyny Wiśniewskiej w „Gazecie Wyborczej”, zatytułowaną *Trzecia Rzeczpospolita zmarnowała swą szansę*.

Zdrada centrum

Także w „Kuźnicy”, na czoło dyskutowanych problemów wysuwała się kwestia „bezalternatywnego dyskursu”, bo to przecież skrajna prawica odmawia legitymacji moralnej wszystkim i prawa głosu swym przeciwnikom. Przypadek „Tygodnika Powszechnego”, który uległ tej presji, jest w oczach autora jaskrawym, ale typowym przykładem „zdrady centrum”, czyli kapitulacji środowisk, które powinny były pełnić funkcję mediatorską, wyważając racje i sprzyjając w ten sposób narodowemu pojednaniu; kapitulacji na rzecz sił skrajnych, dążących do narzucenia społeczeństwu hegemonii ideologicznej nawet za cenę nieliczenia się z realnymi interesami kraju. Dowodzi to, że prawica dawno już zatraciła zdolność do myślenia w kategoriach polskiej racji stanu. Romanowski jest dla prawicy szczególnie niewygodnym przeciwnikiem, bo ma za

sobą drogę, którą dziś zwykliśmy nazywać „chlubną kartą opozycyjną pod sztandarem »Solidarności«”. Profesor nawiązując do drogi „Tygodnika” z centrum na prawicę, wspominał również o przywłaszczeniu sobie tego sztandaru przez PiS i PO, dodał od razu że w takiej sytuacji cenna jest wierność „idei i istocie sprawy – a nie sztandarowi”.

Kiedy milczeć nie wolno

Inspiracją do oddania czytelnikom tej książki, która przecież jest zbiorem przejranych, odpowiednio zestawionych esejów i wystąpień publicystycznych profesora, była niezwykle jednostronna i napastliwa reakcja wielu publicystów i polityków prawicy na środowisko turowiczowskiego „Tygodnika Powszechnego” zainspirowana książką Leona Graczyka pt. *Cena przetrwania*, a szczególnie nijaka reakcja „Tygodnika Powszechnego” na te bezprzykładne ataki.

Teraz to prof. Andrzej Romanowski musi „bronić »Tygodnika« przed »Tygodnikiem«”. A przecież turowiczowski „Tygodnik Powszechny” to niezwykła wartość sama w sobie, jedyne takie pismo od Uralu do Łaby i jak zauważali dyskutanci – postawa obecnego kierownictwa pisma to nie tylko zmiana linii, ale także walka tocząca się z „polityką historyczną”, dla której nic co działo się w „krwawej i mrocznej” epoce PRL nie może być oceniane pozytywnie. Nawet działalność opozycyjna, taka jak swego rodzaju praca organiczna środowiska „Tygodnika” czy karana wieloletnim więzieniem aktywność polityczna członków KOR-u nie może być taktowana jako zjawisko niezależne i wyraz dążenia tych środowisk do manifestowania swej wolności i niepodległości, a najwyżej jako „sposób reżimu na rozbrajanie społeczeństwa”. Zdaniem niektórych liderów prawicy, gdyby nie takie postawy, to zniszczone społeczeństwo zamiast „odbudowywać stolicę”, ruszyłoby na barykady lub przynajmniej na stałe osiadłoby w lesie wychylając się stamtąd wyłącznie w celu wysadzania sowieckich pociągów wywozających z Polski grabione dobra.

O historię bez przekłamań

Tej agresywnej, skrajnie prawicowej polityce historycznej ulegamy nistety w jakiejś mierze wszyscy. Jak zauważył prof. Bronisław Łagowski, przykładem obowiązujących zafaszowań jest choćby obchodzone z wielkim zadęciem święto 11 Listopada ustanowione w 1937 roku, zaledwie jeden raz obchodzone w II RP. Dla Polski 11 listopada nie jest żadną znaczącą datą, nie wiąże się z jakimś istotnym wydarzeniem, święto miało służyć tylko umocnieniu hagiografii Piłsudskiego i buduje zgoła fałszywą perspektywę historyczną.

Ta „fałszywa perspektywa” na stanowić dla zwycięzców „legitymację historyczną” tak jak „czyn legionowy” miał ją stanowić dla środowisk piłsudczykowskich po 1926 roku, tymczasem – jak przynawał Romanowski na spotkaniach w „Kuźnicy” i „Pod Gruszką” – owa „perspektywa” tak mocno zakorzeniła się już w naszej świadomości, że ma swój wyraz nie tylko języku publicystyki, ale nawet w mowie potocznej. Oto mówi się dziś o „szlachetnej karcie solidarnościowej” w życiorysie, natomiast niesposób powiedzieć o „szlachetnej karcie” w życiorysach ich przeciwników na-

wet gdy rzeczywiście byli ludźmi wielkiej przyzwoitości! Twórcy polityki historycznej chętnie powołują się na przykład na wyrwane z kontekstu sytuacyjnego „wiernopoddańcze” wobec przywódców ZSRR wypowiedzi gen. Jaruzelskiego, skrętnie pomijając oczywisty fakt, że w mniej lub bardziej dyplomatycznych rozmowach z silniejszym przeciwnikiem używa się języka, jakim ten partner się posługuje, a pytanie o ewentualne wsparcie ze strony „Wielkiego Barata” może być w istocie pytaniem o to, czy już jest on gotów do interwencji, czy jeszcze mamy chwilę czasu. Romanowski nie boi się stwiać w swej publicystyce i takich pytań, nie boi się też pytać, dlaczego takie problemy stawiać jest coraz trudniej?

Zamierająca legenda

A jednak Romanowski je stawia i nie boi się przyznać, że, jak to zauważył w dyskusji prof. Hieronim Kubiak, poddaje krytycznej kontroli nie tylko cudze ale i własne, wcześniejsze poglądy. Z książki wyłania się także ciekawy obraz autora – publicysty, człowieka centrum otwartego na argumenty swych adwersarzy.

O złożonych źródłach publicystyki Romanowskiego, w tym o szczególnym klimacie krakowskiej polonistyki mówili m.in. Jan Güntner i prof. Marian Stępień. Spierając się o rzeczy zasadnicze „kuźniczanie” nie tracił jednak z pola widzenia faktu, że głównym polem zainteresowania prof. Andrzeja Romanowskiego, w tym przypadku jako autora określonego tomu, są losy „Tygodnika Powszechnego” i pewnego środowiska. Doceńnięć ogromną rolę pisma w okresie, gdy stało się ono trybuną jednoczącą wszystkie ważne nurty opozycji, dr Edward Chudziński zwrócił uwagę na wyraziste „cofanie się” czytelnictwa po 1989 roku. To jednak tylko jeden aspekt procesu „cofania się legendy”. – W ostatnim czasie, rolę obrońcy turowiczowskiej tradycji „TP” przypisuje się ks. Bonieckiemu, a przecież – zauważył Chudziński – to Boniecki jako redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego” otworzył drogę dla nowego, ortodoksyjnego nurtu pisma i to on ponosi odpowiedzialność za fakt, że z pismem żegnali się kolejni członkowie redakcji z jej okresu heroicznego.

Na tym tle z ust innych dyskutantów padały pytania o obecny stan niegdyś związanej z „Tygodnikiem” młodej inteligencji katolickiej, o nadziejach, że nurt „katolicyzmu otwartego” będzie mógł znaleźć przystań na łamach krakowskiego „Znaku”, ewentualnie o nadziejach tych środowisk na powstanie czegoś na kształt polskiej edycji francuskiego „Esprit”. Ten niepokój o losy młodej inteligencji spod znaku katolicyzmu otwartego „wyplukiwanego” dziś przez hierarchię kościelną, w pełni podziela też Romanowski i choć dziś jest „przy ks. Bonieckim” atakowanym przez środowiska skrajnej prawicy, to nie uwalnia go od odpowiedzialności za upadek, przede wszystkim upadek ideowy „Tygodnika Powszechnego”.

– Niezręcznie mi krytykować w gronie „kuźniczan” ks. Bonieckiego czy kościelną hierarchię – przyznał na zakończenie – i chętnie bym to zrobił w sporze z księdzem, w salce katechetycznej w trakcie rozmowy z obecną redakcją „Tygodnika”, czy na łamach *Radia Maryja*. Niestety, tam mnie nie zapraszają!

FILIP RATKOWSKI

JERZY SŁABICKI

W POSZUKIWANIU POLITYCZNEGO REALIZMU

Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas” wydało drugi już tom esejów politycznych profesora Bronisława Łagowskiego. Pierwszy, zatytułowany *Duch i bezdusznosc III Rzeczypospolitej* zawierał teksty publikowane w latach 1999-2006 i był omawiany na naszych łamach. Obecny – *Symbole pożarły rzeczywistość* – gromadzi teksty z lat 2005-2010, pochodzące w absolutnej większości z tygodnika opinii „Przeгляд”, podobnie zresztą jak poprzednio. Tylko pojedyncze z nich miały swój pierwodruk w „Tygodniku Powszechnym”, „Gazecie Wyborczej” i „Europie. Tygodniku Idei”. Wszystkie były, jak podkreśla wydawca, pisane „od żałoby po śmierci papieża do katastrofy smoleńskiej”. Od symbolu do symbolu, jak przystało na tytuł!

Obecny zbiór jest więc kontynuacją politycznego piarstwa B. Łagowskiego. Mamy zatem okazję zaobserwować jego okiem, czy i co zmieniało się w naszej rzeczywistości, a też czy zmienia się spojrzenie samego autora, jego oceny, odczucia. Jest bowiem Łagowski wręcz kronikarzem polskiej polityki, pisze najnowszą, dziejącą się wciąż polityczną historię Polski, w której nic jeszcze nie należy do przeszłości.

Eseje (mimo prasowej postaci felietonu to trafniejszy termin określający tę formę wypowiedzi) tego krakowskiego uczonego, filozofa, historyka idei i myśli społecznej, erudycyjnego publicysty wreszcie, zgromadzone w jednym tomie tworzą całkowicie nową jakość. Czyta się je zupełnie inaczej niż podczas cotygodniowej lektury tygodnika, z którego pochodzą. Rysowany przez krytyczną refleksję autora obraz współczesnej polityki polskiej staje się pełny, wyrazisty, a wszystkie jego fragmenty do siebie pasują. Wraca pamięć rozmaitych wydarzeń, bo i Łagowski dba o to, abyśmy nie zapomnieli, o czym nie zawsze chcemy pamiętać. A to wciąż ta sama polityka.

Kiedy się czyta Łagowskiego tak skondensowanego, ma się wrażenie, że Polska od lat ma trzy wielkie, raczej niezmienną się w swej istocie problemy: polityków, mediów i hierarchii Kościoła katolickiego, bowiem inne kościoły w sferze publicznej i politycznej obecne nie są. I tak jest w istocie. Są to instytucje mające potężny wpływ na rzeczywistość i nie jest specjalnie ważne, która większa. Ich jakości, kultura polityczna są zbliżone, jeśli nie takie same, a każdego niestety niskie. Zatem i wpływ destrukcyjny.

Autor widzi napór politycznego katolicyzmu, nacjonalistycznego, antykomunistycznego oczywiście i ksenofobicznego, interesownego w coraz mniej skrywany sposób. Dostrzega otwarte szeroko dla niego bramy i chętny posłuch, z jakim oferują się politycy. Dotyczy to, w różnym tylko natężeniu, wszystkich politycznych szczebli i orientacji. Bo tak naprawdę nie jest ważne – dopowiedzmy –

kto jest fizycznie u władzy, ważne natomiast, czyja wola polityczna jest spełniana. A tu raczej nie ma wątpliwości. Styk polityki i religii, co w Polsce powszechne, nazywa bagnem, „z którego pochodzi malaryczna atmosfera umysła dzisiejszej Polski (...) Coraz więcej ludzi w kraju i za granicą – pisze w szkicu *Malaryczne powietrze* – dostrzega alarmujący stopień deprawacji polskiej polityki przez świadomość religijną i wpływy Kościoła”. Zagalopuje się jednak ten, kto chciałby w Łagowskim widzieć antyklerykała. „Jeszcze wyraźniej widzimy – to następne zdanie – oddziaływanie odwrotne. Polityka, w której kler się tak rozsmakował, nawzajem deprawuje Kościół”.

Widzi Bronisław Łagowski mizериę mediów, ich destrukcyjną często rolę, umysłowe i moralne spustoszenie, jakie czyni powszechna już tabloidyżacja, i poiryutowany mówi o dziennikarzach „telewizyjniacy i gazeciarze”.

Jednak zasadniczym tematem jego rozważań są politycy i jest polityka. A nade wszystko myślenie polityczne. Temu poświęca najwięcej uwagi. To polityków przede wszystkim i partie polityczne zasadnie obarcza główną odpowiedzialnością za państwo i położenie społeczeństwa. O ugrupowaniach politycznych dobrego zdania nie ma, co jest łagodnie powiedziane. A jego argumentacji, bo nigdy – co wymaga zauważenia – nie formułuje sądów bez wystarczających uzasadnień, uczciwie, na poziomie racjonalnym, zakwestionować się właściwie nie da. Konkluduje trafnie: „Wszystkie partie żyją małymi sprawami i niskimi uczuciami, poczucie odpowiedzialności za przyszłość narodu jest im zupełnie obce”. Pokazuje groźbę PiS, impotencję lewicy, fałsz Platformy.

Jego diagnoza jest brutalna i nie pozostawia wątpliwości co do istoty polskiej sytuacji politycznej. „W Polsce rządzą i będą rządzić – pisze w szkicu *Porównania* w 2007 roku – partia Kościoła toruńskiego na zmianę lub razem z partią Kościoła łagiewnickiego, solidarni na zmianę lub razem z liberalnymi, i w ogóle będzie można sobie wybrać dowolny kolor, pod warunkiem że będzie to kolor czarny. »Solidarność« otoczyła żyjące pokolenia kredowym kołem narodowej religii z jej własnymi kultami, rytuałami, autorytetami, cierpiętnictwem i watykaństwem. Macie w tym posłusznie tkwić, a wewnątrz wolno wam bawić się w lewicę i prawicę”.

Między dwiema postsolidarnościowymi partiami pierwszego planu – PO i PiS różnic zasadniczych nie widzi (i nie jest w tym odosobniony), a cały spór między nimi głośny, a przy tym całkiem płytki, sprowadza do dylematu: „czy mają się bawić wspólnie, czy osobno. Rządy Kaczyńskich – pisze w 2006 roku – nie będą trwały tak długo, żeby mogli oni spełnić wszystkie swoje groźby. Robotę może dokończyć PO, jeśli po nich nastanie”. Co też się zdarzyło. Bo przecież nie przeciwstawiają się one

sobie „zasadniczo i merytorycznie”. Trudno się z tym nie godzić. Obie te partie mają wspólną historię i korzenie, tak samo ahistorycznie myślą o przeszłości, którą jednak mistyfikują i zinstrumentalizują. Różnią się trochę, ale przecież nie poważnie. W kwestiach polityki zagranicznej, w sprawach zasadniczych głosowały w Sejmie zbieżnie. Hołdują tym samym historycznym kompleksom, symbolom i mitom. Z przewagą PiS, które od prawie dwóch lat jest „bogatsze” o mit „smoleński”.

B. Łagowski nie ma złudzeń, że są one po tej samej stronie barykady, z różniącym je tylko poziomem radykalizmu (co wystarczy, zauważmy, aby PO wygrywała wybory), a walka o władzę między zwycięskimi partiami postsolidarnościowymi to konflikt „rodzinny”. Przestania on „główny konflikt polityczny – co do istoty ten sam od lat. To konflikt postsolidarności z postkomunistami”, a narzędziami, jakimi posługują się w tym konflikcie „są lustracje, ustawowe i dzikie, dyfamacyjne kampanie telewizyjne i gazetowe, a przede wszystkim Instytut Pamięci Narodowej”, który całkiem trafnie określa jako „służbę bezpieczeństwa skierowaną na zwalczanie przeszłości”. Przestrzeń polityczna jest wypełniona przez jeden obóz.

Minęło kilka lat, dziś ta barykada jest już mniejsza wobec postępującej mizerii lewicy, a konflikt główny zdaje się też maleć, chociaż pewności nie ma. Przecież IPN na solidarnościowym, zmistyfikowanym obrazie historii i totalnym zakwestionowaniu Polski Ludowej chowa nowe pokolenia, którym może być trudno, podobnie jak obecnie rządzącym, odróżnić interes partyjny i ideologiczny od rzeczywistego interesu Polski. Tę politykę wspiera muzealnictwo na czele z muzeum największego i najbardziej wszechogarniającego mitu, jakim jest, w wyniku solidarnościowych interpretacji, Powstanie Warszawskie. A z pomocą przyjdzie na pewno Muzeum II Wojny Światowej, zwłaszcza że – jak to wiemy od obecnego premiera – zakończyła się ona dopiero w 1989 roku.

Po drugiej stronie barykady jest lewica samobójczo dopasowująca się do procesu kryminalizowania polityki, niesolidarna ze swoimi współtowarzyszami natychmiast jak tylko rzuci ktoś na nich choćby najbardziej niedorzeczne podejrzenie, zdeorientowana moralnie i politycznie w wyniku złudnego poszukiwania nadziei w młodości, odnowach, weryfikacjach. (*Niespolegliwość lewicy*). Nie-samodzielna intelektualnie, niepewna ideowo, uległa wobec obowiązujących interpretacji. Łagowski precyzyjnie i niebywale celnie analizuje podejmowane przez nią decyzje, stanowiska, zachodzące przede wszystkim w SLD i jego okolicach procesy.

Wielokrotnie też broni tożsamości lewicy za nią samą i odwrotnie niż ona sama broni jej historii. A może to nie lewicy broni, tylko historii Polski po prostu? Przed zakłamaniem, zmanipulowaniem, fałszem? Esej *Lewicy coś się śni* może być w tym względzie esencją jego poglądów i sposobu myślenia. Robi to, co powinna robić lewica w stosunku do historii, także najnowszej, czego się od niej oczekuje, a czego ona sama nie czyni, bo albo w procesie przystosowania do kapitalizmu straciła poglądy i myśli po solidarnościowemu, uległa chętnie i bez większych rozterek panującej obecnie politycznej poprawności, albo najwycyżniej w świecie się boi.

A może po prostu nie ma poglądów? Posiadanie poglądów czasami, jak wiadomo, kosztuje. Nie wiem, ile Bronisław Łagowski płaci za swoje poglądy. Wiem natomiast, bo to wyczuwalne, że płaci goryczą, rozczarowaniem

waniem preradzającym się chwilami w irytację i otwartą wręcz złość, choć nigdy poza akceptowalne granice.

Można odnieść jednak wrażenie, że w specjalny sposób zajmuje się lewicą. Ale lewicowcem przecież nie jest, podkreśla dystans do niej i do jej przedstawicieli. Może takie wrażenie bierze się stąd, że publikuje głównie w lewicowym tygodniku opinii, a może to dlatego, że – co byłoby korzystną dla lewicy interpretacją – wiązał z nią jakieś oczekiwania, może nawet nadzieje? Był przecież czas, kiedy polska lewica mocno chodziła po ziemi, patrzyła realistycznie, a realizm polityczny to jest postawa i sposób myślenia, o które Bronisław Łagowski nieustannie się dopomina.

Jakkolwiek by było, stronnictwo Łagowskiemu w żaden sposób zarzucić nie można. Ma równy dystans do sił politycznych, nie opowiada się za żadną ze stron, żadnej nie faworyzuje. Jego stroną jest realizm, racjonalność, uczciwość, rzeczywiste, więc realne, a nie ideologiczne interesy Polski. Tak samo jak dla prawicy, tak i dla lewicy nie ma litości. Nie ma dla polityków dobrego słowa, chociaż, kiedy się go czyta, można odnieść wrażenie, że bardzo by je chciał mieć. Tępi prostactwo umysłowe polityków i ich partyjność górującą nad odpowiedzialnością za państwo, chroniczny brak poczucia rzeczywistości i niezdolność do zapanowania nad realnym życiem, bez różnicy kto przy władzy (co w naszych dziejach raczej nie jest niczym nowym), oburza się na myślenie polityczne cierpiące na symbolizm, mitotwórstwo i fobie, tak kosztowne w rzeczywistym świecie, także, a może najbardziej w świecie polityki międzynarodowej (której notabene poświęca wiele uwagi) i kończące się bolesnymi klęskami będącymi, jak nieraz słyszymy, „moralnymi zwycięstwami”. Przykładów nie brakuje: Nord Stream, przecież na własne życzenie, bo nam się pomyliły interesy i przestaliśmy rozróżniać, który własny, a który nie, obsesyjną antyrosyjskość zaburzającą nam myślenie, fiasko polityki wobec Ukrainy, przeciwnie skuteczną politykę wobec Litwy, czy imperialną wobec Białorusi, o której, nawiasem mówiąc, pisze się ostatnio w tonie potępienia, że idzie w ramiona Rosji, co nas niepomierne dziwi, choć przecież przyłożyliśmy do tego rękę.

Jednocześnie tęskni do zachodniej trzeźwości politycznej i zdumiewa się, że niegdysiejsze przesunięcie Polski na zachód, w wyniku II wojny, nie przynosi efektu w postaci przesunięcia naszego politycznego myślenia w stronę racjonalności i realizmu. Szuka – i chyba znajduje – przyczyny takiego stanu rzeczy.

Tłumaczy na zrozumiały język rzeczywistość i pojęcia polityczne, deklaracje, wypowiedzi. Dobrze wie, że w Polsce, a szczególnie w polskiej polityce nic nie jest tym, na co wygląda. U nas „prawda nie wystarczy. Potrzebny jest mit. Gdzie indziej, ale nie w Polsce, przeciwieństwo prawdy”.

Obnaża fałsz, hipokryzję, objaśnia prawdziwe znaczenie wypowiedzianych publicznie słów. Wskazuje na niewygodne fakty.

Jest krytykiem bezlitosnym, coraz bardziej bezlitosnym. Zaostrza ton. Jeden z czytelników jego najnowszej książki zwrócił mi uwagę, że wręcz krzyczy. Tak jest rzeczywiście. Łagowski jest polską polityką współczesną niebywale już poirytowany, nie potrafi się do jej jałowości i prostactwa przyzwyczaić ani tym bardziej przystosować, odwrotnie niż większość z nas, na których zdaje się ona nie robić już wrażenia.

Wyrazistość jego sądów i analiz psuje dobre samopoczucie wszystkim, zwłaszcza tym politycznym siłom obecnym i przeszłym, które je demonstracyjne manifestują w przekonaniu o swojej wielkości i swoich rzekomych przewagach.

Nie przebiera przy tym w słowach, co jest nowym u niego zjawiskiem. Tej irytacji, nie zawsze skrywanej złości towarzyszy – paradoksalnie – nowy ton, którego wcześniej chyba nie było – kpiarski. Kpiarz Łagowski to, jak się zdaje, zupełnie nowe zjawisko. I nie mówimy przy tym o ironii, złośliwości, zawsze subtelnej i tym przez to ostrzejszej.

Uwagę zwraca język, jakim pisane są eseje. Erudycyjny, błyskotliwy, lapidarny, celny, czysty i jasny. Żadnego zbędnego słowa, więc tym bardziej dobitny.

Profesor Andrzej Walicki uznał kiedyś Bronisława Łagowskiego za „najbystrzejszego analityka PRL”. Idąc tym śladem można powiedzieć, że jest on od lat najby-

strzejszym, bezkompromisowo uczciwym analitykiem III, IV i znów III Rzeczypospolitej. Analitykiem wszechstronnym. Patrzy jak socjolog, historyk, jak filozof, czasem jak psycholog, kiedy poszukuje motywów postępowania takiej czy innej postaci, jak polityk, kiedy analizuje polityczne skutki podejmowanych decyzji.

Najnowsza historia Polski notowana, interpretowana i objaśniana przez Bronisława Łagowskiego w zasadzie nie ma jasnych stron. Można się przeciwko temu burzyć. Problem jednak w tym, że to Łagowski ma rację. Bo polityka to za poważna rzecz, by kwitować ją oklaskami, nawet jeśli czasami jest za co.

JERZY SŁABICKI

Bronisław Łagowski, *Symbole pożary rzeczywistość*, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, Kraków 2011.

GRZEGORZ BABIŃSKI

POLSKA BIEDA

Zacząć wypada od stwierdzenia, że omawiany zbiór rozpraw jest ważny i potrzebny nie tylko okazjonalnie, z racji obchodzenia Europejskiego Roku Walki z Ubóstwem i Wykluczeniem Społecznym. Jest to ważny wielogłos w bardzo istotnych dla współczesnego świata sprawach. Bieda i wykluczenie towarzyszyły ludzkości od zawsze, jednak ostatnie dziesięciolecia ukazują nowe, chyba bardziej złożone oblicze tych zjawisk. Dotyczy to zwłaszcza społeczeństw wysoko rozwiniętych, a więc tych, o których długo z optymizmem sądzono, że mają one realne szanse na trwałą eliminację w ich obrębie znaczących nierówności społecznych, w tym biedy i wykluczenia.

Mało aktualne wydaje się być obecnie optymistyczne stwierdzenie Bila Clintona, że przyptyw podnosi wszystkie okręty. Czasami tak zapewne bywało. Ale po pierwsze, przyptywy są jakby słabsze i rzadziej się pojawiają; po drugie, przyptywy podnoszą, i to znacznie, tylko niektóre okręty i spychają na dół coraz większą liczbę coraz mniejszych łodzi. Dynamika rozwoju zastępowana bywa dynamiką kryzysu i degradacji poziomu życia całych społeczeństw. Społeczeństwa klas średnich stają się społeczeństwami klas zaniepokojonych (*anxious class*), kanały ruchliwości pionowej zostały w wielu społeczeństwach odwrócone, trwałą degradacją społeczną staje się w przypadkach całych znaczących grup i zbiorowości społecznych zjawiskiem długotrwałym.

Degradacja taka nie musi oznaczać i na ogół nie oznacza biedy, jednakże znajdowanie się tylko nieco powyżej obszaru ubóstwa nie jest także sytuacją komfortową. Dotyczy to zwłaszcza zwiększającej się w ostatnich dekadach fali migrantów międzynarodowych, którzy w większości przypadków są skazani na

trwałą marginalizację. A migrują na ogół dlatego, aby przed biedą i marginalizacją uciec, powstają zamknięte kręgi migracyjne, żeby nie powiedzieć migracyjne błędne koła. Do tego dochodzi trwałe zdaje się odchodzenie w polityce społecznej od modelu państwa opiekuńczego.

To tylko niektóre z problemów poruszanych w omawianym tomie przez kompetentnych specjalistów z tego zakresu. Otwiera go słowo wstępne prezydenta Krakowa, Jacka Majchrowskiego. Podkreślił on że tom powstał jako pokłosie konferencji organizowanej wspólnie przez Stowarzyszenie „Kuźnica”, Krakowską Akademię im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego oraz Instytut Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Liczba referatów i tekstów zamieszczonych w omawianym tomie jest znacznie dłuższa i obejmuje osoby związane z wieloma instytucjami, zwłaszcza naukowymi w całym niemal kraju.

Najobszerniejszy w tym tomie jest artykuł Hieronima Kubiaka: *Bieda i wykluczenie społeczne. Prolegomena*. Zawarł on w nim, a na pewno nazwał niemal wszystkie problemy poruszone przez autorów kolejnych tekstów. W eseju Kubiaka znajdujemy odwołania do głównych nurtów myśli społecznej, od starożytnych Chin do współczesności. Znajdujemy także szerokie refleksje nad społecznymi i kulturowymi wyznacznikami biedy oraz sposobami radzenia z nią w przeszłości i współcześnie.

Krzysztof Frysztacki (*Problem ubóstwa. Uwarunkowania, korelaty, czynniki składowe*) przedstawił szczegółowo uwarunkowania zjawisk ubóstwa, czynniki je wyznaczkające. W trzynastu punktach ukazał powiązania biedy i wykluczenia z różnymi czynnikami społecznymi i kulturowymi. Nie ma powodów, abym przytaczał

i omawiał poszczególne punkty, zasługuje ta enumeracja na stwierdzenie, że obejmuje ona chyba wszystkie ważkie i związane i problematyką ubóstwa problemy, i że warto je mieć na uwadze, gdy podejmuje się w tych kwestiach działania praktyczne

Elżbieta Tarkowska (*Subiektywny wymiar ubóstwa*) podkreśla fundamentalne znaczenie, jakie dla definiowania i postrzegania ubóstwa mają czynniki kulturowe. Biedny jest nie ten kto ma za mało pieniędzy ale ten, kogo za biednego, a przez to i wykluczonego postrzegają inni, i ten, kto w opozycji do innych definiuje swoją sytuację życiową i szanse jej poprawy.

Powyższe trzy teksty mają charakter bardziej teoretyczny. Następne, napisane przez specjalistów ekonomistów, prawników, a także polityków ukazują porównawczo rozwiązania i standardy prawne ustalane w Europie w programach redukcji poziomu ubóstwa i pomocy grupom społecznym znajdującym się poniżej poziomu ubóstwa. Na tym tle ukazana jest polityka społeczna w Polsce, zwłaszcza jej niedostatki.

Streszczenie i ukazanie nawet w największym skrócie wszystkich znaczących wątków poruszanych w tej stosunkowo niewielkiej objętościowo pracy zbiorowej wymagałoby napisania recenzji o co najmniej kilkakrotnie większej objętości. Widać wyraźnie, że autorzy starali się zawrzeć w swych artykułach rzeczy i sprawy najważniejsze, a jednocześnie ukazywali je w całej ich złożoności.

Wartość omawianego tomu upatruję w trzech jego cechach. Po pierwsze, jest to wartość naukowa. Wprawdzie autorzy nie proponują jakichś nowych, naukowo nowatorskich teorii czy metod badawczych, ale dokonali oni, w moim przekonaniu, bardzo wnikliwej syntezy wiedzy na temat uwarunkowań ubóstwa oraz metod walki z nim. Przedstawili w zasadzie wszystkie możliwe punkty widzenia, odwołania zarówno

do koncepcji strukturalnych i makroekonomicznych jak i do czynników kulturowych i uwarunkowań mikrospołecznych. Ukazali znaczenie, zarówno pozytywne jak i negatywne w swych konsekwencjach, relatywizmu społecznego, politycznego i kulturowego w definiowaniu, opisywaniu i diagnozowaniu zjawisk biedy i wykluczenia społecznego.

Po drugie, jest to wartość diagnostyczna, przydatna dla polityków i polityki społecznej. Nie zaproponowali autorzy tego tomu jakiegoś uniwersalnego, nowatorskiego modelu walki z biedą, bo oczywiście takiego jednego modelu polityki zaproponować nie można, zwłaszcza dla różnych społeczeństw. W zamian ukazywali dodatnie i ujemne strony budowanych i wdrażanych w przeszłości i współcześnie modeli polityki walki z nędzą. Ukazali także wyraźnie, że walka z biedą i wykluczeniem nie jest prosta, wymaga wielu nakładów nie tylko finansowych, może być jednak skuteczna. Natomiast zaniedbanie tych problemów jest zawsze bardzo społecznie kosztowne, w tym oczywiście także bardzo kosztowne ekonomicznie. Warto te wnioski zdedykować tym politykom i działaczom liberalnym, którzy często podkreślają, że na skuteczną walkę z biedą i wykluczeniem brakuje po prostu pieniędzy.

Po trzecie, jest to niewątpliwie bardzo przydatny jako podręcznik, nie tylko akademicki, ale także jako podręcznik dla pracowników socjalnych i realizatorów polityki społecznej na różnych stopniach.

GRZEGORZ BABIŃSKI

Polska bieda w świetle Europejskiego Roku Walki z Ubóstwem i Wykluczeniem Społecznym, pod redakcją naukową Hieronima Kubiaka, Krakowskie Towarzystwo Edukacyjne sp. z o.o. – Oficyna Wydawnicza AFM, Kraków 2012.

ANDRZEJ ROMANOWSKI

PRL JAKO PRZYSTAŃ

Na fotografii krajobraz Mazur: stóg siana i oparci o niego kobieta i mężczyzna. Agnieszka Osiecka i Daniel Passent. Odprężenie, słońce, młodość. Nasza młodość w PRL.

Od piszącego te słowa jest Passent starszy tylko o trzynaście lat. To jednak znaczy: starszy o II wojnę światową. To też znaczy: starszy o Holocaust. Urodzony w przedwojennym Stanisławowie jako Dawid Passenstein, przeżył Passent najwcześniejsze lata w ciągłym ukryciu. Częściowo był to czas poza dziecięcą świadomością – i to odróżnia tę relację od wspomnień starszego o cztery lata Michała Głowińskiego. W dodatku rodzice Passenta, zadenuncjowani przez sąsiadów, zostali przez Niemców rozstrzelani.

Gdy ma się bagaż takich doświadczeń, wkroczenie Armii Czerwonej traktuje się już na zawsze jako auten-

tyczne wyzwolenie: to było uratowanie życia. Polska komunistyczna dawała poczucie stabilizacji, bezpieczeństwa – była przystanią. A skoro rodzinę zastępczą stworzyła siostra ojca i jej mąż, gen. Jakub Prawin – wrastało się też w PRL-owski establishment. Dzieciństwo w Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie, studia w Leningradzie, młodość w amerykańskim Princeton... Państwo „ludowe” dawało szansę – tym, którzy byli lojalni.

O sprawach tych opowiada Passent barwnie i soczyście, nie szczędzi ani kolorów ciemnych, ani jasnych, wplata anegdoty i malownicze obrazki. Mówi jednak tonem dyskretnym i ścisłym, w czym zresztą dzieli zasługę z prowadzącym rozmowę Janem Ordyńskim. Wywiadujący jest bowiem dociekliwy, ale nie napastliwy, przyjazny, ale i czujny; pragnie się dowiedzieć, ale też chce zrozumieć. W rezultacie otrzymujemy dialog

dwóch dobrych znajomych, z których ten drugi usuwa się w cień, zostawiając pole pierwszemu. I dostajemy obraz ówczesnego życia: układy z cenzorami i portrety samych cenzorów, spotkania z partyjnymi notablami, postać Mieczysława Rakowskiego, warszawskie kabarety, Polska Ludowa jako kraj codziennych absurdów, który na koniec „pęknął ze śmiechu”... I właśnie w tym wszystkim – fenomen tygodnika „Polityka”.

Nie byłem zbyt pilnym czytelnikiem tego pisma – stanowiło ono dla mnie część świata oficjalnego, chcącego przekonać mnie do czegoś, na co nie miałem ochoty. Ale ludzie z kręgów, w których się obracałem, spoglądali na „Politykę” życzliwie – Stefan Kisielewski twierdził nawet, że czytając to pismo przekonujemy się, jak bardzo zły mamy ustrój. Rzeczywiście, zwłaszcza z upływem lat, była „Polityka” pismem otwartym i rozważnym, grupującym tyleż koniunkturalistów, co pragmatyków, ostrożnych reformatorów, działaczy partyjnych i realistów, robiących co można, by PRL-owskiej rzeczywistości nadać oblicze trochę bardziej ludzkie. Na pewno nie był to zespół „rewizjonistyczny” – czy jednak warto było kłaść na szali istnienie pisma? A przecież w godzinie próby „Polityka” się sprawdziła: Stanisław Stomma opowiadał mi, że marcu 1968 r. ZNAK-owcy uznawali ją za sojusznika.

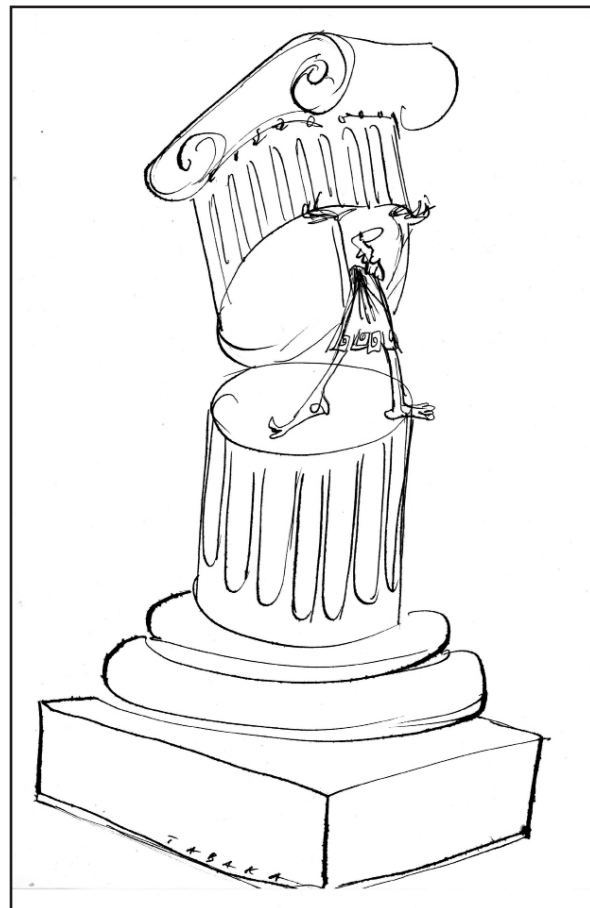
Czy sprawdziła się również w stanie wojennym? Czy honor „Polityki” uratowali jedynie ci, którzy z pisma wtedy odeszli? Passent nie daje jednoznacznej odpowiedzi, stara się widzieć racje obu stron, a w ocenie własnej drogi jest powściągliwy. „Lubiłem być po bezpiecznej stronie”, „Nie mam w sobie nic z bohatera” – wyznaje. Istotnie, pamiętam jego prześmiewcze felietony, w których widziałem objaw cynizmu. I nieraz też publicystyczna szarża zwiódła go na manowce – jak w tekście reagującym na powrót do kraju Seweryna Blumsztajna. A jednak wszystko to jest znacznie bardziej skomplikowane – i myślę, że Passent jest zbyt po latach samokrytyczny. Szkoda na przykład, że nie przywołano w książce takiego choćby fragmentu jego artykułu z pierwszego po „odwieszeniu” numeru „Polityki” (20 II 1982): „Układy się zmieniają, a Polska istnieć musi, jej istnieniem ryzykować nie wolno. Dopóki jednak dotychczasowy układ stosunków międzynarodowych i polityczny podział świata na Wschód oraz Zachód nie zostanie zmieniony, dopóty nie ma co emigrować wewnątrz, lub za granicę, nie ma co umywać rączek, tylko trzeba działać”.

Pamiętam, że debatowaliśmy nad tymi słowami w solidarnościowym podziemiu. To było zaproszenie do poważnej rozmowy – tylko jak tu rozmawiać mając w tle obozy internowanych? Z kolei w rok później określał się Passent jako zdecydowany przeciwnik kary śmierci. W kraju realnego socjalizmu takie „rozmiękczające” działania miały swój sens, swoje znaczenie. Czy przez swe poparcie dla stanu wojennego miałby Passent być z definicji mniejszym patriotą niż podziemni konspiratorzy? Jego postawa jakoś się – zwłaszcza po latach – broni sama, a mimo to jego autokrytyczny rozrachunek stanowi ważny atut książki. „Jestem «wplywowo», mało samodzielny, lubię trzymać się grupy”... „Nikt nigdy w życiu nie kazał mi niczego napisać, nikt mi nie dyktował, nikt mnie nie zmuszał, nie szantażował, za wszystkie moje błędy i grzechy odpowiadam ja sam”... Może więc to wła-

śnie ta skromność, uczciwość i brak zadęcia zjednały książkę sympatię po obu stronach historycznej barykady. Na promocji 8 lutego w Warszawie najgorętszą apologię autora wygłosił... Stefan Niesiołowski.

Horyzont *Passy* wykracza jednak – przestrzennie i czasowo – poza PRL. Przestrzennie – bo widzimy tu obrazki z kilkakrotnych pobytów w Ameryce i z wojny w Wietnamie, bo pojawiają się rozmówcy z różnych stron świata: George Bush, Oriana Fallaci, Jerzy Kosciński, Yehudi Menuhin, Emil Zatopek, Henry Kissinger... Czasowo – bo ostatnie rozdziały mówią o III Rzeczypospolitej: o pracy Passenta jako ambasadora RP w Chile, o jego powrocie do nowej „Polityki” Jerzego Baczyńskiego, o skandalu polskiej lustracji. Jest to świat znany z cotygodniowych felietonów autora, tu jednak na nowo odczuty i podsumowany. Dołącza się zaś nurt wspomnieniowy, bo książka – obok stron poświęconych postaci żony, Marty – jest też hołdem dla Agnieszki Osieckiej, owej pięknej kobiety z mazurskiej fotografii. Wierność dawnym miłościom i przyjaźniom oraz sentyment dla minionego czasu stanowią więc kolejne atuty tego świadectwa. Życiowa *summa* człowieka, uznanego niedawno za najlepszego polskiego felietonistę.

Daniel Passent: *Passa*. Rozmawia Jan Ordyński, Warszawa 2012.



Rys. Małgorzata Tabaka

PRZEMYSŁAW TRZECIAK

O SCHEMACIE

Ostatnio spędziłem kilka dni w miejscowym szpitalu. Ostry ból okolic żołądka, na który nie pomagały żadne domowe sposoby, rozprzestrzenił się na cały brzuch.

– To z pewnością pęcherzyk żółciowy – stwierdził chirurg wiedząc, że mam już wcześniej zdiagnozowaną kamicę. – Musimy pana operować. Dalsze badania i negocjacje z ordynatorem odsunęły widmo operacji. Jednak powód bólu wciąż nie był jasny.

– Pańscy koledzy w izbie przyjęć zdiagnozowali mój przypadek według schematu – powiedziałem, acz bez przygany.

Nie, nie! Nic podobnego! – zachnął się ordynator, wyraźnie urażony. Tymczasem dla mnie była to oczywistość, stwierdzenie faktu, bez intencji krytycznych. By nie nudzić się w szpitalnym łóżku, zacząłem zastanawiać się, czemu tak oburzył się, skądinąd bardzo sympatyczny ordynator.

*

W kontaktach człowieka z otaczającą rzeczywistością schemat odgrywa bardzo istotną rolę pośrednika. Wszystkie pojęcia służące nam do opisu rzeczywistości, są upraszczającymi i ograniczającymi konstrukcjami umysłu, nie zaś znamionami tej rzeczywistości, jak zwykliśmy sądzić. Czasem odczuwamy niewspółmierność pomiędzy pojęciami a rzeczywistością. Dlatego warto być nieufnym wobec ustanawiania wszelkich relacji pomiędzy nimi.

„Wedle Francuzów prawdziwą fantazję ma tylko ten, kto umie zobaczyć rzeczywistość. A to bardzo rzadka zdolność” – notuje Sándor Marai w *Księdze ziół*. Schematami mówimy, myślimy, według schematów widzimy, słyszymy i zachowujemy się. A jednak czujemy się urażeni, gdy ktoś nam powie, że myślimy schematycznie.

Schemat, termin przejęty przez łacinę z greki, to rysunek, szkic, zarys, figura (kształt, postać, obraz, zjawisko, rodzaj), łączy się zawsze z uproszczeniem, upraszcza rzeczywistość do minimum niezbędnego dla jej pochwycenia, dając jednocześnie poczucie, najczęściej złudne, jej rozumienia. Ponieważ nie cieszy się dobrą opinią, staramy się nie używać tego terminu, sądząc że wówczas ominiemy rafy uproszczeń, docie-

rając bezpośrednio do rzeczywistości. Stosujemy więc liczne zamienniki:

stereotypy	prądy (ideowe)
standardy	klasyfikacje
szablony	hierarchie
struktury	mapy (oprócz mapy Borgesa)
zasady	znaki
reguły	typy
prawa	style
procedury	konwencje
normy	układy
wzorcy	projekty
formy	metody
dogmaty	kody
kanony	testy, sondáže
paradygmaty	rytuały, obrzędy
diagramy	systemy (np. dur-moll)
typologie	itd., itd

Pisząc teraz, również posługuję się schematami: regułami językowymi, zasadami gramatycznymi, ortograficznymi, stylistycznymi itd. Sam język, obudowany tymi zasadami, jest także wielkim schematem – pośrednikiem. Wbrew popularnemu przekonaniu, język wcale nie jest kalką rzeczywistości. Pojęcia prawdy i rzeczywistości, którymi ciągle się posługujemy, wynikają z tęsknoty za doskonałym światem, w którym będą zbędne pośredniczące schematy i wszystko będzie sobą, takie jakie rzeczywiście jest.

Cały proces nauczania od przedszkola, od prostego „Ala ma kota”, po szczyty edukacji uniwersyteckiej jest wdrażaniem schematów, nauką, jak nimi operować. Źle, jeśli tylko do tego się ogranicza. Dlatego największym kłopotem światłych nauczycieli jest: jak uniknąć hamowania i wypaczenia zdolności twórczych adeptów. Trudno odnieść tu sukces.

Także czas i przestrzeń, stanowiące siatkę współrzędnych naszej egzystencji, są dla nas dostępne jedynie poprzez schematy. Rzeczywistość, nawet ta najbliższa, codzienna, biurka przy którym siedzę, świerkowych desek ściany, na którą patrzę, z jej misternymi wzorami słojów i sęków, liścia dębu, który wiatr przyniósł właśnie przez uchylone okno, jest tak bujna, osza-

łamiająca w swym skomplikowaniu i różnorodności, że możemy ją odbierać jedynie poprzez upraszczające filtry.

A cóż powiedzieć o możliwości samopoznania piszącego te słowa? Przed wiekami pitagorejczycy sformułowali słynną dyspozycję: poznaj samego siebie!

Czy komukolwiek przez dwadzieścia sześć wieków udało się to zrealizować? Poznawanie samych siebie jest najdłuższą podróżą, podróżą bez końca, w dodatku po najbardziej krętych, mylnych szlakach. Siebie samych widzimy i oceniamy także poprzez schematy i często są to schematy dalece zafałszowane w swych uproszczeniach.

Jeśli jeszcze uwzględnimy niewątpliwy fakt, że wszystko, cała materia rzeczywistości znajduje się w procesie ciągłych przemian, że tylko te przemiany są jej jedyną niezmienną właściwością, to wszelkie próby opisu tej rzeczywistości będą z góry skazane na porażkę. Natura wyposażyła nas w taki aparat percepcji, który gwarantuje orientację w świecie, potrzebną do przetrwania gatunku. Wprawdzie człowiek wspomaga swe ograniczone możliwości poznawcze różnymi protezami, od soczewki Alhazena (XII w.), po zderzacz hadronów pod Genewą, ale wyniki są jedynie nowymi, zapewne doskonalszymi schematami.

Wielcy myśliciele, naukowcy, artyści potrafią przekroczyć aktualnie obowiązujące schematy i zaproponować inne, lepiej opisujące rzeczywistość. Ale pełnego odejścia od schematów w ludzkim świecie nie ma i być nie może. Czasem jedynie wyobraźnia i intuicja w jej bergsonowskim ujęciu zdają się nam otwierać na moment jakieś prześwity w murze schematów. W nagłym przebłyску odstania się nam coś, co uznajemy chętnie za prawdziwy sens danego przedmiotu, istotę danego zdarzenia. Wydaje się nam, że widzimy ich rzeczywiste relacje ze światem, że wykroczyliśmy poza schemat, ale czy rzeczywiście wykroczyliśmy?

Niekiedy artyści zwierają się z marzeń, by móc spojrzeć na świat oczyma dziecka. Picasso mówił: „Kiedy miałem szesnaście lat, rysowałem jak Rafael, ale straciłem jeszcze piętnaście lat, by nauczyć się rysować jak dziecko”. Marzą bowiem o stanie niewinności, kiedy mózg jeszcze nie podporządkował się w pełni wyuczonym schematom, gdy oko zachowało jeszcze świeżość widzenia.

Gdybyśmy jednak z jakiejś niezwyklej przyczyny utracili te upraszczające i porządkujące filtry schematów, zagubilibyśmy się w chaosie, w bezformnym, zmaconym świecie zjawisk. Rzeczywistość jest rozpięta pomiędzy chaosem a porządkiem (schematem).

Nasz stosunek do schematu jest ambiwalentny. Z jednej strony staramy się go przestąpić, usunąć ze świadomości, z drugiej zaś cenimy za wyrazistość, jasność, zrozumiałość, za jego funkcje porządkujące. Grecy wykształcili w nas to zamiłowanie do jasności, porządku, konkretności, odsuwając od chaotycznej rzeczywistości. Każda kultura ma jakiś Greków.

W mitologii chińskiej jest opowieść o cesarzu Hundunie-Chaosie. W praczasach, Hu – cesarz Morza Północnego i Shu – cesarz Morza Południowego uctwowali na dworze Hunduna, który był istotą bezkształtną, pozbawioną zmysłów. Pragnąc mu się odwzajemnić za gościnę, obaj władcy postanowili wypożyczyć gospodarza w „siedem otworów” i codziennie

wiercili mu jeden. Gdy jednak wiercili siódmy, Chaos umarł i wtedy powstała Ziemia. Ciekawe są tu zbieżności z *Genesis*, która również opowiada o powstawaniu empirycznej, dostępnej zmysłowo rzeczywistości z pierwotnego chaosu.

Jeśli pragniemy zbliżyć się do tej rzeczywistości, szukając jej prawdy, powinniśmy pozostać w strefie nieokreśloności, na samej granicy tego co zmysłowe, licząc się z tym, że tylko dotkniemy czegoś, co pozostanie nieuchwytnie, ponieważ stale się rozwija, zmienia, wchodzi w różne związki, nigdy nie dając się sprowadzić do jednego konkretnego przejawu ani w pełni uchwycić przez zmysły. Niechęć do schematu zwykle wynika z przekonania o jego jałowości informacyjnej. Tymczasem schemat również jest zjawiskiem żywym, zmieniającym się, asymilującym fenomeny zewnętrzne, choć wciąż pozostającym w określonych ramach. Np. styl, jego ramy tworzy zespół charakterystycznych, stałych cech dzieł sztuki w danym okresie. Prawda, że szukając tych cech często świadomie nie zauważano innych, nie pasujących do schematu, ale przez kilka wieków (XVI-XX) kategoria stylu była przydatna w porządkowaniu zjawisk artystycznych. Podobnie system dur-moll, długo (poł. XVII-XX w.) służył twórcom muzyki do porządkowania świata dźwięków, nie przeszkadzając w powstawaniu arcydzieł Bacha i Mozarta.

Od kilkudziesięciu lat kłopoty ze schematem nasilają się, a to z powodu znacznej standaryzacji zjawisk kultury masowej, zawierających coraz mniejszą liczbę informacji. Próby wyjścia poza schemat podejmowane przez awangardę stają się coraz trudniejsze, ponieważ każde odstępstwo szybko ulega kolejnej standaryzacji.

Jaki morał płynie z tych rozważań? Ano taki, że stale powinniśmy mieć świadomość myślenia, działania, kontaktowania się z rzeczywistością poprzez określone, zmienne w czasie, ale zawsze upraszczające schematy. Być może taka świadomość skłoni nas do pokory poznawczej, osłabi przesadne przekonanie o posiadaniu absolutnej prawdy, powstrzyma od kreowania biało-czarnego obrazu rzeczywistości, co jest jednym z najbardziej rozpowszechnionych i niebezpiecznych schematów.

Jest to także wyzwanie dla naszej inteligencji, by w każdej sytuacji dostrzegać złożoność rzeczywistości, jej niejednoznaczność, by nie oślepnąć w rutynie schematów codzienności.

Jeśli będziemy stale o tym pamiętać, nie popadniemy w schematyzm, gdy schemat, zamiast pośredniczyć w recepcji rzeczywistości, przestani ją całkowicie, gdy schemat uznamy za realną rzeczywistość. To bardzo ciężka przypadłość, wyjątkowo trudna do wyleczenia,

*

I tak wróciliśmy do początku tych rozważań. Po jakimś czasie okazało się, że źródłem moich kłopotów nie był wcale pęcherzyk żółciowy. Można to było odkryć zastanowiwszy się nad objawami nietypowymi dla pęcherzyka. Ale w myśleniu chirurgów były one uporczywie pomijane. Nie pasowały do schematu.

ANDRZEJ BANAŚ

LETNIA PODRÓŻ DO ZIMOWEJ STOLICY

„Nowa, głęboko rewolucyjna cywilizacja stawia pod znakiem zapytania nasze dawne przekonania. Bez względu na to, jak bardzo jesteśmy przywiązani do dawnych sposobów myślenia, formułek i ideologii, i jak bardzo były one przydatne w przeszłości, dziś nie pasują już one do faktów. Świat, który wyłania się wskutek zderzenia nowych wartości i technologii, nowych stosunków geopolitycznych, nowych stylów życia i sposobów komunikacji, domaga się nowych idei i analogii, klasyfikacji i koncepcji. Nie można tego załączka świata jutra wtłoczyć w konwencjonalne przegródki dnia wczorajszego”.

Alvin Toffler, *Trzecia fala*

Co pewien czas powracam do przeczytanych wcześniej książek. Rytm bywa zróżnicowany, a i motywy różne. Na ogół jednak powoduje mną niekiedy nie do końca uświadomiona ciekawość czy powrót do lektury sprzed lat sprowadzi się tylko do powtórnego wyczytania dawniejszych treści, czy też odkryje się przede mną treść zupełnie nowa, świeża, nieznaną.

Kiedy w 1986 r. przeczytałem po raz pierwszy *Trzecią falę*, gotów byłem, z całym uznaniem dla poprzednich znanych mi dokonań autora uznać ją za ogromnie interesujące skrzyżowanie technologicznego *science fiction* z socjologiczną wyrocznią z pogranicza zabawy i szamańskich sztuczek. Z biegiem lat, kiedy część ryzykownych na pierwszy rzut oka przepowiedni zaczęła się realizować, wrywkowo powracałem do lektury z uczuciem rosnącego zaskoczenia trafnością proroctwa. Tak jest i dzisiaj, kiedy obserwując kierunek rozwoju naszej cywilizacji i jego gwałtowne przyspieszenie, konsternację przychodzi zastąpić podziwem, a wczorajsze niedowierzanie szacunkiem.

Z wielu niezwykle istotnych powodów związanych z polskim dniem dzisiejszym warto uważnie pochylić się nad przesłaniem płynącym z treści tej ważnej książki. Podstawowym wydaje się oczekujący nas już w najbliższej przyszłości niełatwy wyścig z czasem, którego celem ma być odrobienie dystansu dzielącego nas od reszty świata w licznych dziedzinach życia, dystansu stanowiącego spuściznę kilku dziesięcioleci sztucznej, politycznej i nie tylko, izolacji. Zadanie nie jest łatwe, ale też koniecznie musimy pamiętać, że nie mamy wyboru. Albo uwieńczona sukcesem pogoń, albo rosnące zapóźnienie i wegetacja na cywilizacyjnych peryferiach.

Czasu mamy niewiele. Popularna gazeta powiada, że przy dzisiejszym tempie rozwoju poziom europejskich krajów uda się nam osiągnąć za 59 lat. Prawdą

jest, że precyzja rachunku może zdumiewać, ale pozostawiając bez komentarza arytmetyczne umiejętności autora przepowiedni i jego ekonomiczne kompetencje, nie da się ukryć, że dzieli nas od czołówki spory dystans i najwyższa pora przyspieszyć pamiętając, że ostro zwiększają tempo ci, których doścignąć zamierzamy. Między bajki można włożyć opowieści o tym, że spowolnieniu ulega rozwój krajów już rozwiniętych.

Wyobraźmy sobie znaną z popularnego filmu sytuację, w której ze stanu hibernacji po pięćdziesięciu latach budzi się młody człowiek i nie poznaje otaczającego świata, który go dziwi i przeraża. Nie trzeba dziś nikogo hibernować na tak długo. Wystarczy na kilka lat skutecznie odciąć kogoś od dostępu do środków masowej komunikacji, żeby po wyjściu ze stanu izolacji ze zdumieniem stwierdził, że nic mu nie mówią wszechobecne i oczywiste dla wszystkich wokół skróty typu DVD, VHS, MTV lub, przechodząc na poważniejszy grunt, wytrychy takie jak WHO, IACS lub UKIE. Zdziwiony będzie zachowaniem co drugiego przechodnia wygłaszającego długie przemówienia do trzymanego przy uchu małego prostokątnego przedmiotu i zacznie rysować kółka na czole na widok tłumy histerycznie popiskujących nastolatek reagujących tak na dźwięk nazwiska, które jemu nic nie mówi.

Ten osaczający nas ze wszystkich stron świat „dzieje się” straszliwie szybko i nie wystarczy mu tylko dorównać. Dla skutecznego pościgu, bo tylko wtedy da się mówić o prawdziwym sukcesie, trzeba czegoś więcej, trzeba biec jeszcze szybciej wciąż pamiętając, jak niebezpiecznym jest beczynne oczekiwanie zwycięstwa tylko dlatego, ponieważ uznaliśmy wcześniej, że ono się nam słusznie należy. Niechybnie to właśnie miał na myśli znany z małomówności i celnych sprostowań prezydent Stanów Zjednoczonych z lat dwudziestych minionego wieku Calvin Coolidge, mówiąc: „Niektórzy osiągają sukces, bo są na to »skazani«, ale większość osiąga go dzięki determinacji”. Bardzo jej dziś potrzebujemy, bo niemal na tym samym oddechu tenże mądry człowiek dodawał: „Sukces jest drabiną, po której nie sposób się wspiąć z rękami w kieszeniach”.

Jeśli ktokolwiek miałby w tej sprawie wątpliwości czy rozterki, powinien się starannie rozejrzeć i rychło dostrzeże, że pełno dookoła takich, którzy nie poprzestali na wyjęciu rąk z kieszeni, ale także zakasali rękawy i starają się nadrabiać dystans. Interesujące, że nie dotyczy to tylko młodego pokolenia. Sam znam dobiegają-

cego osiemdziesiątki filozofa, który biegle posługuje się komputerem słuchając równocześnie przebojów muzyki pop z płyt DVD. Do niedawna skłonny byłbym uznać za dowcipną anegdotę opowiadkę o góralu z Gorców, który zgłaszając policji kradzież dwu owiec zapytany o adres odparł spokojnie i z należnym policji szacunkiem: *www.baca.com.pl*. Dzisiaj sądzę, że jakkolwiek zdarzenie wydaje się samo w sobie zabawne, nie ma poważnych powodów powątpiewać w jego prawdziwość. Podobno równie autentyczna jest historia zagubionej w supermarkecie pięcioletniej dziewczynki, która chcąc ułatwić odszukanie rodziców podała adres: *dorotka@interia.pl* przestrzegając natychmiast, żeby po „pl” nie stawiać kropki, bo wtedy „się nie uda”.

Najwyższa pora uwierzyć w cywilizacyjne przyspieszenie i korzystając z wszelkich możliwych środków po prostu się przyłączyć, co nie jest zadaniem łatwym.

Powtarzając na różne sposoby uwagi o wiodących do sukcesu drogach, szlakach, ścieżkach i drabinach łatwo się narazić na zarzut pustostowania, nawet jeśli przywołuje się i cytuje wielkie umysły, autorytety, nazwiska stanowiące słupy milowe w rozwoju ludzkości. Nie od rzeczy więc będzie jeszcze jedno ważne spostrzeżenie, że podróże kształcą, czego zupełnie niepotrzebnie zamierzam dowieść za pomocą opowiadki o pewnej podróży. Poprzedników mam niezłych, żeby przywołać choćby sławną *Podróż z Petersburga do Moskwy* Aleksandra Radiszczewa, *Iwana Turgieniewa Przejazdźkę na Polesie*, *Atlantyk–Pacyfik* Melchiora Wańkowicza oraz wielu i wiele innych. Dorównać im oczywiście nie sposób, toteż odłożywszy na bok ambicje korzystam z użytkowych walorów tej formy, jak się niebawem okaże bez wątpienia przydatnej.

Całkiem niedawno, dość wczesnym letnim porankiem wyruszyłem w niezbyt daleką podróż ze stołecznego królewskiego grodu do „zimowej stolicy”, która przed kilkunastu miesiącami aspirowała do organizacji igrzysk olimpijskich. Wczesne budzenie nie sprzyja jasności umysłu, toteż wydarzenia na drodze docierały do mnie z opóźnieniem i niezbyt ostro. Za oknem autobusu przesunął się zwawo malowniczy krajobraz, słońce było coraz wyżej i właśnie zaczynałem się naprawdę budzić, kiedy radio kierowcy poinformowało, że na autostradzie gdzieś na zachodzie kraju doszło do tragicznego w skutkach czołowego zderzenia samochodów w wyniku prowadzonych tam prac remontowych ograniczających ruch do jednej tylko drogowej nitki. Niemal w tym samym momencie spostrzegłem, że poruszamy się coraz wolniej, ponieważ ruch odbywa się na jednym mocno już zatłoczonym paśmie, na drugim zaś na mniej więcej stumetrowym odcinku trwa właśnie remont nawierzchni. Napisałem „trwa”, ponieważ „prowadzone są prace” byłoby z punktu widzenia ducha ojczystego języka nietrafną sugestią, że coś się tam dzieje, coś się robi i dopuściłbym się przestępstwa poświadczając nieprawdę. Trwanie oznacza bezruch i tak też było. Prace „trwały” na mniej więcej dwustumetrowym odcinku, zaś ruch wyłączono bez żadnego dającego się wymyślić powodu na całych pięciu kilometrach, co, jak nietrudno zgadnąć, zaowocowało utworzeniem się w pierw bardzo długiego, poruszającego się w żółtym tempie konwoju, a w kilka chwil później gigantycznego korka. Zadałem sobie pytanie, czy osoba lub osoby, które zamawiając taki remont

dopuszcili do opisanego wcześniej sposobu jego realizacji, bez podporządkowania go sensownie opracowanemu harmonogramowi prac i wyłączeń zdawały sobie sprawę z konsekwencji swojej bezprzykładnej głupoty dla ruchu na drodze w ogóle i bezpieczeństwa użytkowników drogi w szczególności.

Nim zdążyłem znaleźć odpowiedź, na co miałem chwilę czasu przy okazji jazdy po dwupasmowej drodze, na której nic nie trwało, kiedy historia powtórzyła się niemal jota w jotę. Pięć kilometrów wyłączonej drogi, ruch jednym pasmem z jedną istotną różnicą. Po obu końcach wyłączanego odcinka na mniej więcej dwustumetrowych kawałkach snuto się bez nadmiernego pośpiechu kilka postaci i parę maszyn. Rezultaty dla ruchu jak wyżej i trudno się dziwić, że współpasażerowie używali wyrazów, których nie cytuję, ponieważ żadne szanujące się pismo i tak by ich nie wydrukowało.

I wówczas, o czym z nieklamana radością muszę poinformować, cały autobus opanowała euforia. Remontowany odcinek się skończył, a jazda dwupasmową szosą szybkiego ruchu to prawdziwa przyjemność, której dorównać może wyłącznie osiągnięcie celu podróży. Okazało się po kilkunastu minutach, że przygód jeszcze nie koniec, a z drugim stopniem radości przyjdzie trochę poczekać. Pokonywanie kilkukilometrowej długości stromego wzniesienia odbywa się, co zrozumiałe, w tempie nieco wolniejszym. Nasza wspinaczka zaczęła się jednak znacznie wolniej niż wymuszała to pokonywana stromizna. Znow utworzył się konwój, do którego dołączały kolejne pojazdy. Ku powszechnemu zaskoczeniu ujrzałem za oknem uśmiechnięte twarze dwóch dość pękatych rowerzystów (nie mylić z kolarzami), którzy wyprzedzali nas z dużą nadwyżką prędkości i bez wyraźnego wysiłku. Najwyraźniej na czele konwoju znajdował się hamulcowy, pojazd, którego możliwości obracały się w okolicy 10 km na godzinę.

Zrobiło się płasko i przestronnie, i wyprzedzaliśmy dziarsko, choć dychawicznie pomrukujący traktorek ciągnący zestaw dwu barakowozów. W okienkach powiewały unoszone rześkim porannym wietrzykiem różowe firaneczki przyjemnie kontrastujące ze ścianami pomalowanymi jasnożółtą, mocno już łuszczącą się farbą. Na tym tle krzyczał wielkimi półmetrowymi literami dumny, purpurowy napis CYRK POLONIA.

W tym miejscu wygodnie byłoby napisać naśladując rzecznika Białego Domu: *No comments!* Nie potrafię jednak oprzeć się pokusie krótkiego choćby komentarza. Żywię wielki szacunek dla sztuki cyrkowej i cyrkowych artystów. Nie przeszkadza mi to jednak uważać, że najlepszy nawet cyrk nie może stanowić przeszkody na drodze dla tych, którym spieszno. Do pracy, ważnej i ogromnie pilnej.

Stanowczo sobie nie życzę, żeby w mojej opowiadce poszukiwano nazbyt rozległej metaforyki, ale oczywiście nikomu zakazać tego nie mogę. Cała komunikacyjna historia, uroczyste raz jeszcze zapewniam, że autentyczna, to zwyczajna relacja z nie całkiem zwyczajnej podróży. Poszukiwaczy dodatkowych podtekstów chciałbym natomiast zachęcić do udziału w ważnej i pewnie dalekiej podróży. Czas nagli. Trzeba przyspieszać.

ŚNIADANIE WIOŚLARZY czyli kolaż urodzinowy

Jak to jest? Muszę popytać naczelnego Chudzińskiego, który świętował swoją 70. w aureoli, w czasie uroczystej akademii i przy fanfarach. Przez 20 lat bowiem udawałem, że mam lat 50 i nieźle mi to szło. Czy nazajutrz po 70. urodzinach nastąpi gwałtowna implozja mojej gwiazdy? Na portrecie Doriany Graya codziennie przybywało nowe łajdactwo, a tu naraz 20 lat jednym haustem! Interesuje mnie zwłaszcza kwestia buntu, inaczej rebelii. Olga Tokarczuk w wywiadzie-perłce dla portalu www.jamamto.com mówi, że „bunt z wiekiem zmienia formę”. Ważne, że trwa.



Zaproponowano mi do wyboru *déjeuner des canotiers* czyli lunch nad Sekwaną wg obrazu Renoira, albo pielgrzymkę do Composteli, gdzie mógłbym uzyskać od św. Jakuba odpust zupełny i widoki na przyszłość. Fatima z Ludwikiem zapowiedzieli, że będą szli na końcu z żółtymi gwiazdami na ramieniu. Ja bym wtedy z uprzejmości zamykać musiał pochód ze znamiem trędowatego. Całuję rączki, chociaż to by się zgadzało z broszurką pióra dwóch bohaterów z '68 r. – jednego z MSW, drugiego z MSZ, którzy przedstawili tezę, że Żydzi wzięli się z... „leprozoriów egipskich”.

Więc *déjeuner*... Wysepka Chatou na Sekwanie. Restauracja La Maison Fournaise. Proszę popatrzeć na obraz. Ten pan na planie pierwszym to słynny Caillebotte, malarz, mecenas i bogacz, który *déjeuner* finansuje. Siedzę na jego miejscu podobnie ubrany, chociaż trudno było znaleźć taki wioślarski biały trykot. Z lewej z pieskiem pierwsza żona malarza Grudka. Nasze panie noszą urocze kapelusiki jak kuperek przepiórki z wpiętą igłą z kolorową główką plus polny kwiatek. Tylko Dorota ma dorodny kapelus z dużą ilością kwiecia,

wśród którego wypchane ptactwo wije swe gniazdo. I dlatego nie ma Jej na obrazie.

Od gości – najbardziej klasyczne z prezentów – książki. Na przystawkę *Pałac Elizejski – Lata Ciemności* d' Orcivala – w czasie *collabo*. Danie główne, rybne to *Condé* – zagubiony bohater S. Bertiére – rzecz o człowieku, którego niezwykle talenty zbyt często były na służbie złej sprawy. Danie mięsne, opasty tom niczym krwisty *côte de boeuf* D. Bykova – biografia Pasternaka, 1000 stron z premierowymi zdjęciami z Majakovskim, Cwietajewą, no i z Osipem, Na deser – *Limonov* Emanuela Carrère, książka o „menelu z Ukrainy, idolu radzieckiego undergroundu, nowojorskim włóczędze, a potem kamerdynerze miliardera na Manhattanie, najemniku na Bałkanach i wreszcie szefie Partii Narodowo-Bolszewickiej”. Z mottem z Putina: „Ten kto chce powrotu komunizmu, nie ma rozumu, ten kto komunizmu nie żałuje, nie ma serca...”. Proszę je powiesić w „Kuźnicy”.

Znany z tych łamów, a także z pierwszego obiegu politycznego gospodarczego i towarzyskiego Najjar Sergiusz dał mi awansem tomisko *Niemcy* urodzonego w Breslau Fritza Sterna, który gdyby nie został historykiem dostałby pewnie Nobla z chemii lub medycyny. Dolny Śląsk wydał ich, proszę Państwa, aż dziewięciu! Roi się w książce od przepysznych, soczystych anegdot, no i jest jedna zaiste wadowicka „kremówka”. Po kolejnej sesji filozoficznej w Castel Gandolfo z Miłoszem, Kotakowskim, Ashem, von Weizsäckerem (filozofem), kardynałem Königiem, nasz Fritz siedzi przy obiedzie obok JP II i opowiada, jak to 18 proc. studentów przyjmowanych dziś (tj. w 1987 r.) stanowią Azjaci. „Zajęli miejsce Żydów” – mówi. Na to papież: „Tak, ale oni wciąż kontrolują media i finanse”. (sic!) Myślę sobie (ja, tj. KK, a nie Fritz), że papież zapomniał o skrzypkach i show-biznesie... Chyba tego Jehudi, Izaak, Jasha, Leonid, Dawid i Igor, a także Mr Metro, Mr Goldwin i Mr Mayer Jego Świętobliwości nie wybaczą.

Kolejny prezent! Moja Matka cichaczem włożyła w Kondeusza dowód na roczną subskrypcję „Figaro Littéraire”, który recenzował wszystkie te książki z paczki. Czytając Lema recenzje z książek nigdy nie napisanych marzyło mi się, by mu ktoś zrobił psikusa i chociaż jedną z nich naprawdę napisał. Lem wchodzi do księgarni na Rynku i przeciera ze zdumienia okulary... Czytując recenzje w „FL” podejrzewałem, ba, pewien byłem, że książek tych nigdy nie przeczytam, ani o Konde-

uszu, ani całej reszty. Teraz, przy stole w La Fournaise ja przecieram okulary, uradowany i nieźle wzruszony.

Przy rybie urodzinowy kabaret, czyli konkurs na dowcipy–cytaty. Wygrywa Passent ze swą troską o człowieka w wykonaniu abp. Michalika: „Od poczęcia do egzekucji” oraz Mleczek ze swą prostytutką, która robi porządek w głowie jakiemuś klientowi: „Co ty mi będziesz, koleś, pieprzył o demokracji, ja od 30 lat daję wszystkim”. Judyta tłumaczy toto senatorowi Jeanowi B., który dławi się ze śmiechu sandaczem w szafranie, zaś pewien paryski emigrant wraca do Passenta – o sędziach piłkarskich, kibicach i sprawozdawcach–patriotach, dla których zawodnik polski ma „jaja z luźnej i delikatnej tkanki łącznej”, zaś zagraniczny „z kutego żelaza”. Z felietonu sprzed ćwierć wieku! Dobra *Passa* wciąż trwa!

Od dowcipu do polityki historycznej tylko jeden krok. Słyszę, że wynalezienie przez Niemców z Centrum Badań nad Jonami Ciężkimi (ładnie się nazywa, *nicht wahr?*) w Darmstadt nowego pierwiastka i nazwanie go Copernicus (Cp) to też prezent. Jest najcięższy i będzie u Mendelejewa tuż pod rtęcią. Jest to dla wielu z nas prawdziwy koniec Wielkiej Rekoncylacji. Niemców stać było na gest równy w swej wymowie objęciu się panów: Mazowieckiego i Kohla w Krzyżowej. Chociaż niestety słyszę już głosy, że jest to ostateczne przejęcie (może być zawłaszczenie) Herr Kopernika przez historię i kulturę IV Rzeszy..

Ciekawie by było, gdyby władza dekretowała prawdę historyczną przy pomocy swej większości w parlamencie. Gdybyśmy mieli PiS-owską z marszałkiem, np. Macierewiczem, to karalibyśmy za kłamstwo gibraltarskie – Sikorskiego zamordował Churchill ze Stalinem, nie mówiąc już o tym, jakie lody ukręciły Czarny Antek w sprawie Smoleńska. Większość w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ minutą ciszy czci pamięć Kim-Jong-ila, zaś pamięć o śmierci Havla relegowana jest do wygodki lub co najwyżej do baru.

Właściciel zaprasza do saloniku, otwiera humidor z drewna cedrowego, obok czeka fagas ze srebrnymi nożyczkami do przycięcia partagasa lub quintero. Ten arystokrata, który zamienił zamek na knajpę, proponuje też łezkę sędziwego armaniaku (*une larme d'Armagnac*). Fagas nalewa „łezkę” do kieliszków wielkości nocnika. Podgrzewamy od dołu, od góry wsadzamy głowę i odbywamy inhalację. Ktoś rzuca chamski dowcip o nasiadówce. Chyba w tym momencie wolałbym się napić czystej z sąsiadem Barylakiem Adamem zagryzając wójtowickim ogórkiem.

Mimo że w kolażu brak wielu nie nadających się do druku kamieni szlachetnych słyhać *burnyje apłodimentsy* i wsje wstają! Publiczność woła „autor, autor!” i nie łezkę się dopchać. Na scenę bowiem wpadają i szybko ją zaludniają: Olga Tokarczuk, Walichnowski i Sidor, Macierewicz, Kopernik w chmurze z Ciężkich Jonów, Caillebotte i Limonov w skórze, Grudka, Fritz, softys Barylak, Passent wprowadza Ciszewskiego Jana, a św. Jakub grzeszną Judytę, pielgrzymi wnoszą kokilki, zaś *międzunarodnyj ansambl'* w składzie – Menuhin, Heifetz, Stern, Kogan, Ojstrachowie *ispałniajet sentimentalnyj walc Czajkowskowo*. Ja zaś – jak u Becketta – czekam na coś, co chyba w ogóle nie istnieje.

KRZYSZTOF KOMORNICKI

KORESPONDENCJA

Zygmunt Bauman, laureat „Kowadła”, do Profesora Hieronima Kubiaka:

Drogi Panie Hieronimie, dzięki za pamięć i życzenia! Tego wszystkiego, co Pan mnie, ja i Panu życzę, a i z nawiązką, bo więcej ma Pan do zrobienia i przeżycia! Więc i tego życzę, by 2012 był dla Pana lepszy, niż 2011, ale nie tak wspaniały, jak 2013!

No i w szczególnie dobry moment Pana list trafił, bo szukałem równie gorliwie co bezskutecznie (wrodzone moje bałaganiarstwo nadbudowane starczą sklerozą) adresu owych trzech co to na jednego – a chciałem im z całego serca podziękować za zachłystująco ciekawy [3-4/2011 – red.] numer „Zdania” (nie mogłem się oderwać) oraz (a tu szczególnie Adamowi Komorowskiemu) za najlepszą z tych, jakie przyszło mi czytać wiwi-sekcję tego, czym pragnąłem (z mieszanym jeno powodzeniem...) moją pisaninę uczynić. Gdybym umiał tak, jak Adam widzieć i jak On zdawać sprawę z tego com zobaczył, i gdybym chciał sporządzić życiorys własny na użytek Sądu Ostatecznego, to bym tak pewnie to zrobił. A przecież nie zrobię, bo tak jak Adam nie umiałbym, a i bodźca brak: podobnie jak Pan, Panie Hieronimie, ateistą jestem, a mój Sąd Najwyższy, czyli sumienie, zemrze wraz ze mną.

Czy mógłby Pan te moje słowa wdzięczności trzem co to na jednego przekazać?

Dzięki za pomoc!

Z najlepszymi –

Zygmunt Bauman

Leeds

KOMUNIKAT

JAK PRZEKAZAĆ 1% NA KUŹNICĘ?

W rocznym zeznaniu podatkowym PIT, w rubryce zatytułowanej „Wniosek o przekazanie 1% podatku należnego na rzecz organizacji pożytku publicznego OPP”, wpisujemy nazwę:

FUNDACJA „KUŹNICA”,

numer KRS: 0000300613 oraz kwotę, która nie może przekraczać 1% podatku należnego (po zaokrągleniu do pełnych dziesiątek groszy w dół).

TOMASZ GOBAN-KLAS

TECZKA JOBSA

W osobiwy sposób amerykańskie FBI pożegnało i doceniło twórcę iPada Steve'a Jobsa, zmarłego w zeszłym roku założyciela firmy Apple. W styczniu 2012 r. opublikowano materiały zebrane w 1991 roku podczas weryfikacji Jobsa jako potencjalnego pracownika administracji rządowej za prezydentury George'a Busha seniora. Chodziło o Export Council – Radę ds. Eksportu. Było to w okresie, gdy poróżniony z nowym kierownictwem Apple Steve Jobs nie pracował już w tej firmie, lecz we własnej spółce Next.

Na stronie FBI zamieszczono niemal 200 stron protokołów i dokumentów, w tym zapisów rozmów z kilkudziesięcioma osobami znającymi Jobsa. Choć większość wysoko oceniała Jobsa, jego zdolności organizacyjne, talent menadżerski, to nie wahała się wskazywać na jego negatywne cechy. Jeden ze znajomych z college'u twierdził np., że Jobs to „podstępny człowiek, nie jest prostolinijny i szczerzy. Ma skłonność do naginania prawdy i wypaczania rzeczywistości, żeby osiągać swoje cele”. Inny nazywa go „wiarygodnym, ale skomplikowanym człowiekiem o podejrzanej naturze moralnej”.

FBI przeprowadziła rozmowę z samym Jobsem ustalając, że „w ciągu ostatnich pięciu lat nie używał narkotyków, ale mniej więcej w latach 1970-74, czyli w liceum i na studiach eksperymentował z haszyszem, marihuaną i LSD”. Teczka Jobsa zawiera notatki agentów wskazujące, że unikał kontaktów, sekretarki informowały, że ich szef jest na urlopie, wróci za tydzień i oddzwoni...

Jak wynika z dokumentów, poza Jobsem nikt z przepytanych przez FBI pracowników jego firmy, dawnych i obecnych znajomych, nie wahał się przed udzielaniem szczerych, choć nie pozbawionych krytycyzmu (a więc i potencjalnie szkodliwych) wypowiedzi. Czy stawali się w ten sposób tajnymi współpracownikami – oczywiście nie, nikt od nich niczego ponad te wypowiedzi nie wymagał, czy stawali się tajnymi informatorami – oczywiście tak, ale to był ich obywatelski obowiązek. Nie było dylematów moralnych ani zawodowych.

Zatem cóż jest ciekawego w casusie teczki Jobsa? Nawet nie to, że po dwudziestu latach i śmierci figuranta (tak chyba się nazywało w Polsce osobę obserwowaną), że FBI sama ujawniła jego akta, a zapewne część tych akt. Mało emocjonujące jest przedstawienie tej banalnej historii i banalnych, poprzednio powszechnie znanych w Ameryce wiadomości i plotek o twórcy komputera Apple oraz odtwarzacza iPoda i tabletu iPada. Frapujące jest natomiast opisanie tej sprawy przez liczne polskie media pod sensacyjnymi nagłówkami:

Portal wprost24 (2012-02-09 22:36) bulwersuje internautów: „Steve Jobs według FBI podstępny, kłamca, narkoman”. I dalej tak streszcza zawartość teczki: „FBI

zgrupowało dużą i w wielu sprawach niepochlebłą »teczkę« Jobsa, opierając się na wywiadach z ponad 30 osobami – napisał dziennikarz »The Washington Post« Hayley Tsukayama. Federalne Biuro Śledcze prowadziło rozmowy z przyjaciółmi, sąsiadami i byłymi współpracownikami Jobsa, a także osobami z jego rodziny i z samym współtwórcą Apple'a. Raport FBI zawiera informacje na temat przygód Jobsa z narkotykami (według EFE był to haszysz i LSD) oraz opinie i »niepokoje«, że ówczesny szef firmy NeXT zaniedbuje swoją córkę ze związku z licealną sympatią”.

Inne polskie portale internetowe także eksponowały „smaczki” z akt FBI. Typowe tytuły *Steve Jobs pod lupą FBI. Kłamca i narkoman*, a w krótkim tekście napisano, że „Wiele osób kwestionowało uczciwość Jobsa i podkreślało, że jest skłonny zniekształcać rzeczywistość i przekręcać fakty, by zrealizować swoje cele – wynika z raportów Biura”. I jeszcze szpilka „Geniusz biznesu słaby w szkole. Biuro zauważyło, że geniusz biznesu był człowiekiem, którego talenty rozkwitły późno i odnotowało nawet lichą średnią ocen z liceum”.

Jednakże w swym raporcie FBI zaopiniowała pozytywnie osobę Jobsa „na stanowisko wymagające zaufania i odpowiedzialności”, lecz nie został on zatrudniony. Nie wiadomo, w jakim stopniu zaszkodziły mu „szczerze” opinie kolegów. Zapewne sam Jobs był umiarkowanie zainteresowany stanowiskiem, skoro przez trzy tygodnie lekceważył prośby agentów FBI o spotkanie, a musiał wiedzieć, że źle wypadnie.

Co najbardziej ciekawe, polskie media nie zauważyły, że FBI opublikowało materiał nie z własnej inicjatywy, ale jako rezultat wniosku dziennikarza Michaela Morisy przesłanego e-mailem dzień po śmierci Jobsa, 6 października 2011 r. Podstawą była ustawa o swobodzie dostępu do informacji, amerykański Freedom of Information Act. Po serii ponaglących e-maili Biuro powiadomiło dziennikarza, że teczka (STEVENa PAULA JOBSa jest dosępna w elektronicznej czytelni (The Vault) FVI pod adresem at: <http://vault.fbi.gov/>. Można ją poznać także w <http://www.fbi.gov/> albo witrynie <http://www.fbi.gov/foia/> (FBI Records: Freedom of Information/Privacy Act). Kserokopie zostały przesłane pocztą.

Wnioski i nauki z tej historii mogą być wielorakie. W każdym ustroju służby zbierają rozmaite materiały. W demokratycznych nie potrzeba jednak specjalnych instytucji dla ich udostępniania, wystarczy stosowna ustawa, postawa archiwistów wobec próśb mediów, dobre obyczaje (ujawnienie, gdy figurant przechodzi do historii). A także demitologizacja owych akt FBI – miała w nich być jakaś bomba, a tu tylko kapiszon. I tylko polscy dziennikarze internetowi przez moment zostali ogłuszeni. Ale to już nasza narodowa specyfika – robić z igły widły. ■

więcej
wątpię
jestem

KRÓTKI KURS HISTORII „ZDANIA”

Ludzie, zwłaszcza ambitni, chcą mieć własne zdanie. Toteż nie ma się co dziwić, że powstały w Krakowie w połowie lat 70. Klub Twórców i Działaczy Kultury „Kuźnica”, w którego składzie znalazło się wiele znanych i uznanych podówczas w tym mieście nazwisk, też miał takie ambicje. Udało się je zrealizować w 1978 roku, kiedy to w Wydawnictwie Literackim zaczęły się ukazywać raz na kwartał numerowane tomy „Zdania”, anonsowane jako publikacja „Kuźnicy” (wyszło ich w sumie piętnaście).

Taki stan trwał do wczesnej jesieni 1981 roku, kiedy zapadła decyzja o przekształceniu nieformalnego kwartalnika w miesięcznik społeczno-kulturalny „Zdanie” reprezentujący nadal „Kuźnicę”, ale wydawany odtąd przez Krakowskie Wydawnictwo Prasowe. Powołany na stanowisko redaktora naczelnego Zbigniew Regucki zorganizował zespół redakcyjny rekrutujący się w większości spośród publicystów i dziennikarzy związanych z dotychczasowym „Zdaniem”, kierowanym przez prof. Józefa Lipca. Kiedy pierwszy numer był w zasadzie gotowy do druku, ogłoszono stan wojenny i z jego wydaniem trzeba było czekać do wiosny...

* * *

Początek lat 80. był dla „Zdania” okresem ciężkiej próby. Zespół poddany został weryfikacji, ale najbardziej dramatyczne wydarzenia rozegrały się na przełomie 1982/1983 roku, kiedy to odwołano naczelnego (z powołaniem następcy zwlekano kilka lat!), a „Kuźnicę” zmuszono do samorozwiązania. Dla tzw. reformatorów w partii nastały ciężkie czasy, także dla utożsamiającego się z nimi „Zdania”. Pismo oskarżano niemal o wszystko: rewizjonizm, trockizm, liberalizm, oportunistyczny, chwiejność ideową, wyrozumiałość dla politycznych przeciwników, jawną bądź zakamuflowaną krytykę polityki partii i wiele innych „przestępstw” i „odstępstw” formułowanych w obowiązującym języku nowomowy. Doszło do tego, że w jednej z ocen Wydziału Prasy KC powiedziano wprost, że gdyby Kuroń i Michnik nie siedzieli w więzieniu, to redagowałoby takie samo albo bardzo podobne pismo.

Aliści nie tylko jakoś udało się te lata przetrwać, ale nawet zachować godność. We wspomnieniach internowanych znaleźć można świadectwa, że jednym z nielicznych tytułów w świetlicy więziennej, który brali do ręki, było „Zdanie”. Nie zawsze jednak dostępne, często nie było go nawet w miejscach do tego przeznaczonych, jak kioski „Ruchu”. W niektórych regionach towarzyszące traktowali pismo jak samizdat i po cichu lub jawnie sabotowali, utrudniając kolportaż.

Tak więc z własnej i nieprzymuszonej woli znaleźliśmy się między młotem a kowadłem. Władza nas nie kochała i podziemie również, bo ukazywaliśmy się oficjalnie. Dla licznych nieprzejednanych był to wystarczający powód, żeby takiego pisma nie brać do ręki. Z podobnych pryncypialnych powodów, tylko *à rebours*, traktowali nas jak zarazę partyjny beton. Na szczęście jego wpływ wtedy już nie były na tyle silne, żeby nas unicestwić.

Szczęśliwie dla nas, w Polsce lat 80. mieliśmy do czynienia nie tylko z ekstremą, po obydwu zresztą stronach. Mogliśmy zatem liczyć na zrozumienie, przychyłność, a nawet sympatię ludzi i całych środowisk, którym – podobnie jak nam – nie odpowiadał czarno-biały schemat opisu i oceny ówczesnej rzeczywistości. Dlatego w cyklu rozmów *Trzech na jednego* zgodzili się z nami rozmawiać m.in. Kazimierz Dejmek, Zbigniew Zapasiewicz, Wiesław Myśliwski oraz Stefan Kisielewski.

I tak dotrwaliśmy, przyswajając w *Myśli społecznej XX wieku* nawet Carla Schmitta oraz obchodząc skromny jubileusz 5-lecia z udziałem sędziwego prof. Czesława Bobrowskiego, do Okrągłego Stołu, czerwcowych wyborów i transformacji ustrojowej.

* * *

W marcu 1990 roku ukazał się ostatni numer miesięcznika „Zdanie”. Pochowano nieboszczkę RSW, a jej majątek przeszedł w godne ręce zwycięzców. Reaktywowana „Kuźnica” za „symboliczną złotówkę” (w rzeczywistości to było kilkaset tysięcy na stare pieniądze) zdołała odkupić należny jej tytuł, by po czterech latach przerwy wznowić jego wydawanie w formule kwartalnika. Ale i tak zabrakło środków, by „Zdanie” ukazywało się regularnie. Od 1994 roku wychodzą – z nielicznymi wyjątkami – jeden lub dwa numery w roku (w 1999 r. nie ukazał się żaden, z wiadomych powodów). Dopiero w ostatnich latach, dzięki pozyskaniu mecenasa pod nazwą Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex”, możemy mówić o stabilizacji wydawniczej „Zdania”, regularnym ukazywaniu się dwa razy w roku (wiosna – jesień) i dostępności w 80. miastach Polski w sieci Empik. Na skład komputerowy, łamanie, adiustację i korektę składają się sympatycy-podatnicy (1 proc.), a brakującą resztę zdobywa Fundacja „Kuźnicy”. Autorzy nie otrzymują honorariów, zaś redakcja pracuje społecznie.

Tylko raz „Zdanie” otrzymało wsparcie finansowe z Ministerstwa Kultury, kiedy kierował nim Kazimierz Dejmek. Pod koniec ubiegłego roku, zachęcenie ministerialnym programem złożyliśmy wniosek o dotację w wysokości 20 tysięcy złotych. Nie otrzymaliśmy ani grosza, a anonimowi ministerialni eksperci za ostanie dwa numery, uznawane za jedne z najlepszych, przyznali poniżej 50 punktów na 100 możliwych, co automatycznie wykluczyło odwołanie się od ich decyzji. Niechaj o tym wiedzą autorzy i bohaterowie *Trzech na jednego*, których nazwiska widnieją na przedostatniej, okładkowej stronie tego numeru (wiele z nich mogłoby być ozdobą najbardziej renomowanych czasopism w Polsce). A także prof. Zygmunt Bauman, gość honorowy MKiDN na Europejskim Kongresie Kultury we Wrocławiu, który w zamieszczonym liście różni się zasadniczo w ocenie poprzedniego numeru „Zdania” od wynajętych i opłacanych przez ministerstwo zoilów.

Reszta jest milczeniem.

WIEŚLAWOWI MYŚLIWSKIEMU

*Wielkiemu pisarzowi, mistrzowi słowa,
laureatowi „Kowadła”
w 80. rocznicę Urodzin
kolejnych wspaniałych dzieł,
wzbogacających literaturę polską*

życzą

„KUŹNICA” i „ZDANIE”

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski,
Beata Kowalska, Paweł Kozłowski, Lech M. Nijakowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji).

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41

www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Marian Szulc, 30-441 Kraków, ul. Fałęcka 60

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.

ZDANIE

1/1982 - 153/2012
Rozmowy
„TRZECH NA JEDNEGO”
m.in. z:

BARCIKOWSKIM KAZIMIERZEM, BASZKIEWICZEM JANEM, BAUMANEM ZYGMUNTEM,
BOBROWSKIM CZESŁAWEM, CIMOSZEWICZEM WŁODZIMIERZEM, DEJMKIEM KAZIMIERZEM,
GÓRNICKIM WIESŁAWEM, HENEM JÓZEFEM, KISIELEWSKIM STEFANEM, KOWALIKIEM TADEUSZEM,
KOZAKIEWICZEM MIKOŁAJEM, KUBIAKIEM HIERONIMEM, KURONIEM JACKIEM, KURZEM ANDRZEJEM,
KUTZEM KAZIMIERZEM, KWAŚNIEWSKIM ALEKSANDREM, LISOWSKIM JERZYM,
ŁAGOWSKIM BRONISŁAWEM, MARKIEWICZEM HENRYKIEM, MODZELEWSKIM KAROLEM,
ks. MUSIAŁEM STANISŁAWEM, MYŚLIWSKIM WIESŁAWEM, RAKOWSKIM MIECZYŚLAWEM F.,
ROMANOWSKIM ANDRZEJEM, ROTFELDEM ADAMEM DANIELEM, SCHAFFEM ADAMEM,
SZACKIM JERZYM, TAZBIREM JANUSZEM, TEJCHMĄ JÓZEFEM, TRELĄ JERZYM,
WALDENBERGIEM MARKIEM, WALICKIM ANDRZEJEM,
ZAPASIEWICZEM ZBIGNIEWEM, ŻÓŁKIEWSKIM STEFANEM

W numerach 1 - 153 publikowali m.in.:

BARAN JÓZEF, BAUER ZBIGNIEW, BELKA MAREK, BONI MICHAŁ, BURKOT STANISŁAW,
CHWEDEŃCZUK BOHDAN, CZUBAŁA HENRYK, DOMAŃSKI HENRYK,
FARON BOLESŁAW, GĘBAŁA STANISŁAW, GOBAN-KLAS TOMASZ, GÜNTNER JAN,
HAUSBRANDT ANDRZEJ, HOŁUJ TADEUSZ, JAWORSKI WIT, KABATC EUGENIUSZ, KAWALEC JULIAN,
KOMORNICKI KRZYSZTOF, KOMOROWSKI ADAM, KOWALIK TADEUSZ, KOZŁOWSKI PAWEŁ,
KUBIAK HIERONIM, KULA MARCIN, KULAWIK ADAM, KURZ ANDRZEJ, KWAŚNIEWSKI KRZYSZTOF,
LORANC WŁADYSŁAW, ŁAGOWSKI BRONISŁAW, ŁĄTKA JERZY, MARKIEWICZ HENRYK,
MARKIEWICZ WŁADYSŁAW, MENCWEL ANDRZEJ, MIKLASZEWSKI KRZYSZTOF,
MROZIEWICZ KRZYSZTOF, ks. MUSIAŁ STANISŁAW, NIJAKOWSKI LECH M., NOWAK JERZY ROBERT,
PAWLUCZUK WŁODZIMIERZ, PIĄTKOWSKI JERZY, PIEKARCZYK JERZY, PIESZCZACHOWICZ JAN,
POLEWKA JAN, POMIANOWSKI JERZY, RATKOWSKI FILIP, RYDZEWSKI WŁODZIMIERZ,
SADKOWSKI WACŁAW, SADOWSKI ZDZISŁAW, SITEK RYSZARD, SMAGA JÓZEF,
STABRO STANISŁAW, STEFANOWSKI ROMAN, STĘPIEŃ MARIAN, SZCZEPAŃSKI JAN,
SZUMOWSKI MACIEJ, ŚLIWA MICHAŁ, TAZBIR JANUSZ, TRZECIAK PRZEMYSŁAW,
URBAŃCZYK ANDRZEJ, WALDENBERG MAREK, WALICKI ANDRZEJ, WARZECHA ANDRZEJ,
WIATR JERZY J., WIDACKI JAN, WOJCIECHOWSKI JACEK,
WOLEŃSKI JAN, WYSOGLĄD ROMAN, ZAGAJEWSKI MAREK, ZIEMIANIN ADAM

